



BJØRN ANDREAS  
**BULL-HANSEN**



# JOMSWIKING

CZAS OGNI A I ŹELAZA



BJØRN ANDREAS  
BULL-HANSEN



# JOMSWIKING

CZAS OGNI A I ŹELAZA

Przełożyły:  
Maria Sibińska  
Katarzyna Michniewicz-Weisland

Wydawnictwo Czarna Owca  
Warszawa 2019

Tytuł oryginału: *Jomsviking*

Redakcja językowa: Beata Kołodziejska

Projekt okładki: Krzysztof Rychter

Ilustracja na okładce: gettyimages / Lorado

Korekta: Dorota Ring, Beata Wójcik

Redaktor prowadzący: Bartłomiej Nawrocki

Copyright © 2017 by Nidhogg forlag. Published in agreement with NORTHERN STORIES.

Copyright for the Polish edition © by Wydawnictwo Czarna Owca, 2019

Copyright © for the Polish translation Maria Sibińska, 2019

Copyright © for the Polish translation Katarzyna Michniewicz-Weisland, 2019

Książka opublikowana dzięki dofinansowaniu z NORLA.

Wszelkie prawa dozwolone. Niniejszy plik wcale nie jest objęty ochroną prawa autorskiego i nie jest zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia do dowolnego użytku. Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest dozwolone.

Wydanie I

Więcej ebooków i audiobooków na chomiku [JamaNiamy](#)

Wydawnictwo

**CZARNA  
OWCA**

[www.czarnaowca.pl](http://www.czarnaowca.pl)

**Wydawnictwo Czarna Owca Sp. z o.o.**

ul. Wspólna 35 lok. 5, 00-519 Warszawa [www.czarnaowca.pl](http://www.czarnaowca.pl)

Redakcja: tel. 22 616 29 20; e-mail: [redakcja@czarnaowca.pl](mailto:redakcja@czarnaowca.pl)

Dział handlowy: tel. 22 616 29 36; e-mail: [handel@czarnaowca.pl](mailto:handel@czarnaowca.pl)

Księgarnia i sklep internetowy: tel. 22 616 12 72; e-mail: [sklep@czarnaowca.pl](mailto:sklep@czarnaowca.pl)

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

# Spis treści

*Strona tytułowa*

*Strona redakcyjna*

*Mapki*

*Wprowadzenie*

Wzięty w niewolę

Osada kupiecka

Przepowiednia

Blot, czyli uczta ofiarna

Smok

Wolność

Wyspiarska kraina

Na południe

Jorvik

Zamążpójście

Morski król

Ludzie Olafa

Msza

Bitwa morska

Holmgang, czyli pojedynek na wyspie

Nowy król

Wyjęty spod prawa

Topór i młot

Tylko najodważniejsi

Braterstwo

Odpowiednia kara

Trelleborg

Zima w Jomsborgu

Ogień i żelazo

Dwunastu mężów z południa

Na służbie u króla Wendów

Poselstwo

Gość z Północy

Ucieczka

Donos

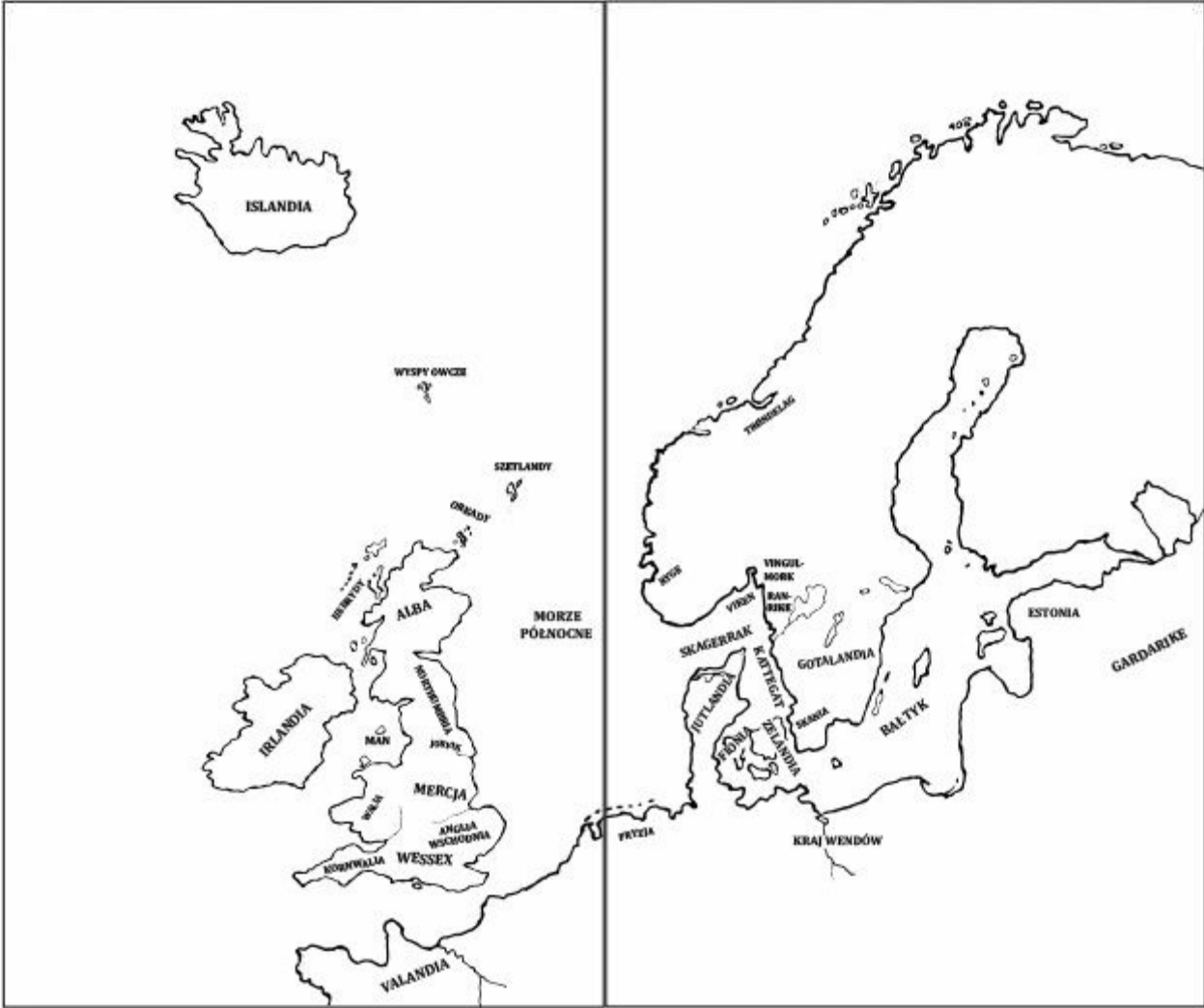
Nowe tysiąclecie

Lato nad morzem

Bitwa pod Svolder

Kraina na zachodzie

*Przypisy końcowe*



Ojciec rzekł mi pewnego razu, że człowiek wolny spotyka bez lęku każdy dzień.

W taki sam sposób trzeba iść na spotkanie śmierci. Gdyż nic życia zostaje ucięta w chwili, w której człowiek się rodzi, a gdy czas upłynie, żadnemu mężczyźnie ani żadnej kobiecie nie uda się nawet jeden jedyny raz zaczerpnąć tchu.

Świat, w którym dorastałem, świat, na który przychodzili moi synowie, już nie istnieje. Dawne królestwa ogarnęła pożoga, imion dawnych bogów nie wolno wspominać. Jestem na końcu linii życia. Zanim jednak opuszczę moje stare, zniedołężniałe ciało, opowiem o tym, co było. Żywię bowiem nadzieję, że ci, którzy nadejdą po nas, pojmą, że nie byliśmy tylko bestiami i wrogami prawowitych władców. Żywię nadzieję, że w ich pamięci zostanie to, jak żyliśmy i za co walczyliśmy.



# 1

## Wzięty w niewolę

**N**ie pamiętam zbyt wiele z lat przed moim uprowadzeniem. Wolę jednak myśleć, że był to szczęśliwy czas. Potrafię siedzieć długo i podążać w wyobraźni ścieżkami, bo wciąż jeszcze je pamiętam. Mogę zatrzymać się przy jednym z cisów, poczuć zapach trawy i rozgrzanych mokradeł. Dostrzegam słońce przez liściaste korony drzew, przedostające się przez nie światło ma zielonkawą barwę. I jest upalnie – przedzierając się przez zarośla, czuję ciepło na odsłoniętej skórze. Paprocie ocierają się o moje nagie łydki, wyczuwam łuk w dłoni i kołczan obijający się o biodro. Wchodzę w gęsty zagajnik, stopy grzęzną w wilgotnym mchu; wiem, że tu w czasie największych przyływów dociera morze i pozostawia po sobie wodorosty, muszle i kraby zakopujące się w podłoże. Stoję zatem nad brzegiem, w głębi zatoki, spoglądam na wlewające się na ląd fale i na mewy, które zawisły wysoko niczym przybite do nieboskłonu na chwilę przed tym, zanim zatrzepotawszy skrzydłami, polecą w kierunku otwartego morza lub rozciągających się za moimi plecami lasów.

Po prawej stronie mam piaszczyste mielizny, o rzut kamieniem ode mnie stoi ojciec w towarzystwie Ulfhama. Siwe włosy ojca powiewają na wietrze. Jak zwykle lekko przechyla w bok żylasty tułów, ale mimo wszystko jest silnym mężczyzną. Przechodzi mi przez myśl, że nic na tym świecie nie jest w stanie go złamać. Ulfham ujada, ale nie odstępuje ojca na krok. Zawsze tak się zachowuje. Ojciec, skinąwszy mi prawie niezauważalnie głową, pochyła się i podnosi muszlę. Podążam dalej. Ścieżka skręca i wiedzie mnie ku północnej części zatoki. Wspinam się kamienistą dróżką. Właściwie nadal jestem dzieckiem, ale zwinnym, o krzepkich rękach i nogach. Przewiesiwszy łuk przez ramię, szybko i nieustraszenie wdrapuję się na szczyt wzgórza, bo wiem, że ojciec



mnie obserwuje. Martwi się, że zrobię sobie krzywdę, ma teraz tylko mnie. Muszę mu pokazać, że potrafię, że jestem równie silny jak on, gdyż wkrótce zjawią się synowie gospodarza i zaproponują, bym im towarzyszył na statek, a wówczas ojciec będzie wiedział, że dam sobie radę.

Ze szczytu mam rozległy widok na fiord. Na szczycie był punkt obserwacyjny i przez pierwsze lata po zakończeniu walk ojciec rozpalał ognisko za każdym razem, gdy dostrzegł langskip <sup>1</sup>. Czuwał na wzgórzu każdej nocy.

Siadam pod starym drewnianym zadaszaniem i oparłszy się o ścianę, pozwalam oczom przez chwilę spoczywać na morzu. Sunę wzrokiem po linii dzielącej wodę od nieba. Jest cieniutka jak włos i prosta niczym ostrze miecza. Tam się udam. Tam gdzie morze spotyka się z niebem. Po drugiej stronie horyzontu, daleko na zachodzie, jest wyspiarskie królestwo. Bjørn, mój jedyny brat, popłynął tam zeszłego lata. Teraz nadeszła moja kolej.

Nie siedzę zbyt długo. Znów jestem na nogach, teraz jednak biegnę, a gałęzie jałowca smagają mnie po łydkach i brzuchu. Nie pamiętam, co mam na sobie, może tylko kawałek tkaniny, którą przewiązałem się w pasie. Dotarłem na północną część cypla, odplątuje sznurek, którym wcześniej owinąłem łuk. Na końcu sznurka mocuję zrobiony przez siebie cierniowy haczyk i nadziewam na niego rozgniecione ślimaka.

Długo leżę na brzuchu na wyłaniającej się z morza skale. Przeglądam się w lustrze wody. Długie, zmierzwiłone włosy zwisają, okalając mi twarz. Wciąż mam w sobie coś krągłego i dziecięcego, ale to wkrótce minie. Już zacząłem męźnieć, czoło i kości policzkowe zrobiły się bardziej kanciaste, a oczy są głębiej osadzone i błyszczą jasnoniebiesko na tle ogorzałej od słońca skóry.

Od czasu do czasu w pobliżu haczyka przepływają ryby. Niektóre z nich prześlizgują się tuż pod powierzchnią, zakłócając lustrzany obraz płetwą ogonową. Potem znów schodzą niżej, do haczyka, ale są małe i nie będzie z nich jedzenia. Szarpie za sznurek, by je odstraszyć.

Przez wiele lat to było wszystko, co zapamiętałem z czasów przed nastaniem zła. Wędrowka chłopca do miejsca, w którym biorą ryby. Ojciec zbierający małże na mieliźnie. Przez wiele lat to wspomnienie było jedynym z tamtych czasów. Kiedyś

miałem powrócić na półwysep, który był królestwem mego dzieciństwa, i odnaleźć ścieżki, które nie zarosły dzięki sarnom i jeleniom, miałem naprawić drewniany dach zbudowany niegdyś przez ojca. I miałem sobie przypomnieć.

Musiałem zdrzemnąć się na skale. Gdy się nagle ocknąłem, wszędzie było cicho. Słońce wciąż stało wysoko na niebie, nie mogłem spać zbyt długo. Obejrzawszy się, niespodziewanie dostrzegam mężczyznę przy dawnym punkcie obserwacyjnym ojca. Nie ma na sobie nic oprócz obszarpanych skórzanych spodni, a jego tułów pokrywają niebieskie pasy. Zauważa mnie od razu. Na wpół zwrócony do tyłu krzyczy coś w języku, którego nie rozumiem, i zbiega w moim kierunku.

Pamiętam ucieczkę. Pędzę, przeskakując z jednego skalnego wzniesienia na drugi, biegnę brzegiem wzdłuż linii wody, upadam i kaleczę kolano o skorupy pąkli, podrywam się; ściga mnie trzech mężczyzn, jeden z nich jest uzbrojony w topór. Pozostali dwaj są półnaczy, z niewolniczymi obręczami na szyi, i biegiem pokonują skalne wzniesienia; jeden wyje niczym pies. Depczą mi po piętach, rzucam się do wody. Usiłuję płynąć, lecz dopadają mnie, chwytają za włosy, podtapiają.

Musieli przytrzymać mnie pod wodą tak długo, że straciłem przytomność. Nieśli mnie z powrotem, przez cypel i w dół na mieliznę, gdzie leżał Ulfham ze strzałą w piersi i wkrótce miał go zabrać przyływ. Wyszli na południową część cypla; za wojownikiem z toporem podążali dwaj niewolnicy, wlekąc mnie między sobą.

Ojciec wybudował dom między kamiennymi pagórkami i w tamtym czasie sądziłem, że był tak okazały jak długi dom gospodarza. Ktoś inny wzniosłby może domostwo po zawiętrznej stronie cypla, ale miało się wrażenie, że ojciec w zasadzie nigdy nie przestał pełnić swych obowiązków. Nieustannie wpatrywał się w fiord, bo długie życie nauczyło go, że wrogowie zawsze przybywają stamtąd. Tym razem jednak stało się inaczej. Pod osłoną drzew podkradli się do niego. Stary i zmęczony wojownik, sam jeden na cyplu, nie zasługiwał nawet na porządny cios mieczem.

Kiedy doszedłem do siebie, leżałem na boku, z dłońmi skrępowanymi na plecach. Najpierw spostrzegłem mężczyzn szwendających się dookoła. Jeden z nich wiązał w pęczki ryby, które powiesiliśmy do suszenia na żerdziach. Inny wypróbowywał naciąg w łuku ojca. Obróciłem się na drugi bok i go dostrzegłem. Siedział pod ścianą ze

strzałą tkwiącą w piersi. Na zewnętrznej części uda i na przedramieniu miał głębokie cięte rany.

Drgającą czerwoną od krwi dłoń oparł na kolanie.

Gdy się uniosłem, powróż, który miałem na szyi, naprężył się.

– W gospodarstwie powiedzieli, że dawniej walczyłeś w szeregach jarła z Lade – usłyszałem za sobą. Domyśliłem się, że zwracano się do ojca.

– Co robisz w Vingulmorku?

Ojciec milczał.

– To twój syn?

Ojciec podniósł głowę.

– Młody jest. Darujcie mu życie.

Mężczyzna stojący za mną warknął coś do niewolników, którzy podeszli i chwycili mnie za ramiona. Potem zwrócił się do swoich ludzi, wciąż w języku, którego nie rozumiałem; dwóch podniosło ojca na nogi i przyparło do ściany.

– Torstein – usłyszałem ojca. – Nie patrz.

Wciąż nie widziałem, kto rozmawia z ojcem. Nagle poczułem nóż na gardle, a moim oczom ukazał się jeden z obcych; był wysoki, odziany w splamioną krwią kolczugę. Bez słowa wyciągnął zza pasa długi, zakrzywiony nóż i wbił go ojcu w brzuch.

Ojciec nie wyrzekł ani słowa, gdy go rozcinano. Jego nogami wstrząsnął dreszcz, to wszystko. Pozwolono mu się osunąć na ziemię, teraz siedział nieruchomo, jego oczy odszukały mnie, płakał. Nigdy przedtem nie widziałem, by płakał.

– Podłóżcie ogień – rzekł mężczyzna w kolczudze.

Jeden z niewolników wszedł do domu. Słyszałem, jak grzebie w palenisku, w miejscu, gdzie zakopywaliśmy w piasku żar, tak by dotrwał do wieczora. Jednocześnie niewolnicy postawili ojca na nogi; widziałem, że chce mi coś powiedzieć, ale wówczas obcy w kolczudze wepchnął mu palce do brzucha. Ojciec jęknął boleśnie, z trudem łapał powietrze. Zobaczyłem, że obcy trzyma w dłoni coś, co przypomina zakrwawiony rzemień. Obrzucił to coś spojrzeniem, po czym przyszpilił nożem do ściany.

– Ruszaj! – warknął. – Naprzód!

Ojciec usłuchał. Zrobił jeden krok i zatrzymał się, nie mogąc złapać tchu. Jeszcze

jeden, ale teraz, odwróciwszy ode mnie wzrok, zgiął się wpół i zwymiotował. Mężczyzna w kolczudze znowu krzyknął, kazał mu iść, nie zatrzymywać się; wtedy ojciec wyprostował się i ruszył przed siebie, jakby nie zauważył wylewających się z niego wnętrzności, aż w końcu cały ich kłęb wyśliznął się i upadł mu pod stopy. Wówczas osunął się na jedno kolano. Znow odnalazł mnie wzrokiem, po czym padł na bok i już się nie poruszył.

Niewolnicy zawlekli go pod dom i tam zostawili. Zdjęto ostrze z mojej szyi, a ja rzuciłem się w stronę ojca, lecz niewolnicy pochwycili mnie za ramię i zmusili, bym poszedł z nimi.

Pamiętam, że gdy wiedli mnie między kamiennymi wzgórkami, obejrzałem się za siebie i zobaczyłem płomienie przebijające się przez torfowy dach. Po chwili byliśmy już w lesie. Przy potoku zatrzymaliśmy się i pozwolono mi się napić, lecz odmówiłem.

Idąc polami, dobrnęliśmy do gospodarstwa, gdzie dopalał się długi dom. Wokół leżeli zabici mieszkańcy, gospodarza powieszono na drzewie. Jego dwóch córek nie zauważyłem, ale Hilda siedziała pośrodku placu, z rękami, podobnie jak ja, skrępowanymi z tyłu, w koszuli rozerwanej na plecach do samego krzyża.

Zaprowadzono mnie do kuźni. Tu założono mi obręcz, naginając ją tak, by obejmowała szyję, a pomalowany niewolnik wbił rozżarzony do czerwoności bolec w metalowe ucho i zagiął go obcęgami. Pamiętam, że nie śmiałem się poruszyć w obawie, że bolec mnie oparzy. Gdy tak tkwiłem nieruchomo ze sznurem przywiązanym do obręczy, zmuszono Hildę, by uklękła. Również ją tego dnia zakuto w niewolniczą obręcz.

Tego samego wieczoru przykuto mnie do ławki wioślarzy. Widywałem wcześniej langskipy, a ojciec nieraz wysyłał mnie do gospodarstwa z wiadomością, gdy tylko wypatrzyliśmy żagle w oddali na fiordzie. Stawałem wtedy na brzegu, razem z innymi dziećmi, podekscytowany, przyglądając się wynoszonym na ląd beczkom, skórą, a kupiec ze srebrnym naramiennikiem, stojąc na dziobie, pokrzykiwał w naszą stronę o kosztownym jedwabiu, który przywiózł ze sobą, o winie, szklanych paciorkach i klingach ze skuwanych ze sobą wielu warstw stali. Czasami pokazywano też niewolników: mężczyzn, kobiety, dzieci z niewolniczymi obręczami na szyi, o plecach

noszących ślady bata i rozżarzonego żelaza.

Teraz sam byłem kimś takim. Gdy przykuli mnie do ławy dla wioślarzy, spojrzałem w górę masztu i ujrawszy trzy ułamane drzewca strzał, pomyślałem, że to nie jest zwykły langskip, tylko łódź wojenna. Nigdy przedtem takich nie widziałem, ale mój brat i synowie gospodarza opowiadali o nich. Wyobrażałem sobie, że są tak potężne, że siłą uderzenia mogą zatapiać zwykłe łodzie, ale ten był płytko zanurzony i tak wąski, że wioślarze siedzieli na biegnących poprzecznie belkach, zamiast na skrzyniach, co było zwyczajem na większych jednostkach. Mężczyźni z toporami przy pasach ładowali na pokład zagrabiony z gospodarstwa dobytek, a przy maszcie siedział, wpatrując się we mnie, łysy człowiek w tunice i habicie. Po drewnianym krzyżu na szyi poznałem, że to mnich. Gospodarz zgodził się kiedyś, żeby taki jeden wepchnął go aż po czubek głowy do potoku, co niezbyt spodobano się ojcu.

Na pokładzie langskipa było jeszcze sześciu niewolników, sami młodzi chłopcy. Przykuto mnie do łańcucha przewleczonego od jednej obręczy do drugiej. Do każdej obręczy przytwierdzono pierścień, przez który przechodził łańcuch, tak że nikt nie mógł się za bardzo poruszyć, nie pociągnąwszy przy tym pozostałych. Teraz wpędzono na pokład również Hildę. Kazano jej usiąść między workami i skrzyniami, podczas gdy mężczyźni szykowali łódź do wyjścia w morze.

Jak pamiętam, pomyślałem wówczas, że łódź pewnie przyplynie pod osłoną mroku. W innym wypadku ojciec by ją zauważył. O świcie napastnicy podeszli ukradkiem pod gospodarstwo, minęli wybieg dla koni i klatkę z sokołami Lotha, a poranna rosa przyłgnęła do stali na ich toporach i hełmach, zanim rozbiegli się między domami. A potem, niczym drapieżne stado, rzucili się, by zabijać. I musiało to odbyć się szybko, bez większych walk, gdyż po płaskim terenie wokół zagrody dźwięk niesie się daleko. Usłyszelibyśmy szczęk broni i okrzyki.

Na pokład wszedł także mężczyzna w kolczudze. Był wtedy młodzieńcem, wysokim, szerokim w barach. Przyjemnie byłoby na niego patrzeć, gdyby nie jego przedziwnie małe świńskie oczka. Stojąc na dziobie, ogarnął wzrokiem niewolników, worki ze zbożem i inną zdobycz. Pokiwał głową i sprawiał wrażenie zadowolonego. Wówczas podszedł do niego mnich i przyłożył mu krzyż do czoła.

– Niech Chrystus błogosławi ciebie i twój miecz – rzekł.

Tego samego wieczoru wypłynęliśmy. Miałem dwanaście lat.



## 2

### Osada kupiecka

**C**ałe lato miałem spędzić przy wiosłach. Później dowiedziałem się, że młodym niewolnikom często daje się taką pracę, żeby się przekonać, czy są wystarczająco silni. Ros i jego ludzie zapewne mieli wątpliwości, czy pozostawić mnie przy życiu, bo byłem młodszy niż pozostali chłopcy na pokładzie. Poza tym byłem chudy i niezgrabny, a do ćwiczeń fizycznych w ogóle się nie nadawałem. Synowie gospodarza lubili się ze mną ścigać, bo zawsze przybiegałem ostatni. Prosili mnie też, żebym skakał przez strumienie, tylko po to, by zobaczyć, jak z pluskiem wpadam do wody. Bardzo ich to bawiło. Bjørn wpadał wtedy we wściekłość i biegł, żeby powalić ich na ziemię. Ale jemu też uciekali. Ojciec zwykł mówić, że nasza rodzina nie jest zbyt żwawa. To w ramionach tkwiła nasza siła.

I to siła ramion uratowała mi życie. Niemal pokładając się przy każdym pociągnięciu, wiosłowałem prawie jak dorosły mężczyzna. Wiedziałem już, że niewolnik może odzyskać wolność. Mówiono, że dwóch ludzi gospodarza było takimi wyzwolencami. Jeden wyruszył z kupcami z Irlandii, żeby odnaleźć swój ród. Drugi, Thau, był u nas. On i ojciec siedzieli pewnego letniego wieczoru nad wodą, długo rozmawiając. Ja i Bjørn przycupnęliśmy koło chaty i przyglądaliśmy się im. Thau miał blizny na szyi, były to ślady po żelaznej obręczy.

Wkrótce sam dorobiłem się takich blizn. Żelazna obręcz obtarła mnie już pierwszego dnia przy wiosłach. Nie umiałem jeszcze porządnie utrzymać rytmu i żelazo raz po raz wrzynało się w skórę na karku i na szyi. Przede mną siedział rudowłosy chłopiec z odciętym uchem. Z nikim nie rozmawiał, mówił tylko do siebie, i to po duńsku. Za mną siedział chłopak nieco starszy ode mnie, który pluł mi na plecy, kiedy tylko

wypadałem z rytmu.

Tego lata rzadko myślałem o zemście. Pamiętam, że spuszczałem wzrok, kiedy zabójca mego ojca przechodził obok. Inni wołali na niego Ros. Mówiono, że pochodzi znad rzek na wschodzie i przybył tu jako młody chłopak. Gdy czasami odważyłem się spojrzeć mu w twarz, dostrzegałem coś wschodniego w jego rysach. Kości policzkowe były silniej zarysowane niż u nas, Norwegów, a małe oczy osadzone były tuż pod wypukłym czołem. Nienawidziłem go za to, co zrobił, ale jeszcze bardziej się go bałem.

Ros zgwałcił Hildę trzeciej nocy na statku. Najpierw uderzył ją w brzuch tak, że upadła i nie miała siły się podnieść. Potem położył się na niej, okrywając oboje włochatą opończą, spod której wystawały tylko ich nagie stopy. Siedziałem niedaleko. Kiedy skończył, wstał i ściskając w garści obnażony członek, zaśmiał się do pozostałych mężczyzn. Pamiętam, że cały się trząsałem, szybko oddychając. Hilda leżała jak martwa między workami zboża, ale dla niej koszmar dopiero się zaczynał. Za dnia i w nocy płynący statkiem wolni mężczyźni wykorzystywali ją, gdy tylko chcieli.

Powiosłowaliśmy najpierw na południe do Ranrike<sup>2</sup>. Tam zacumowaliśmy przy brzegu, a Ros i jego ludzie poszli do lasu na polowanie. Potem, po kilku dniach żeglugi na południe, zatrzymaliśmy się przy jakimś gospodarstwie. Jego właściciel miał kilkunastu łuczników rozstawionych na szkieletach, kiedy wpływaliśmy do zatoczki. Ros podniósł rękę na powitanie gospodarza, a na ląd wyniesiono skrzynię, która stała między wręgami statku. Na brzegu zaczął się handel. My, niewolnicy, patrzyliśmy, jak Ros wyjmował ze skrzyni skarby i pokazywał gospodarzowi i jego ludziom. Były tam złote łańcuszki, naramienniki, perły i barwione kielichy do wina. Za to wszystko gospodarz dał mu miecz o szerokim ostrzu, dwa cisowe łuki i kolczugę. Potem wskazał palcem na niewolników na statku. Na ląd sprowadzono Hildę. Gospodarz dał Rosowi kilka sztuk srebra i Ros przekazał mu dziewczynę.

Później dowiedziałem się, że spotkał ją straszny los. Ponieważ została sprzedana do miejsca oddalonego o zaledwie kilka dni żeglugi od swoich rodzinnych stron, ucięto jej język, żeby nie mogła nikomu powiedzieć, skąd pochodzi. Zapewne taki sam los spotkałby mnie, gdybym także został wówczas sprzedany.

W czasie piątej pełni księżyca siedzący przede mną rudowłosy Dan zachorował.



Najpierw zaczął kaszleć, a potem, trzęsąc się, spędził całą noc na siedząco, aż rano jeden z ludzi Rosa kopnął go w bok. Sam Ros był jeszcze na lądzie, bo miał jakąś kobietę w gospodarstwie w pobliżu zatoczki, w której cumowaliśmy. Słyszałem mężczyzn mamroczących, że jeśli chłopak nie weźmie się do wiosł po powrocie Rosa, to już po nim. Pozbawiony sił niewolnik nie jest na statku nikomu potrzebny.

O dziwo, Ros nie zwrócił uwagi na Dana, kiedy wrócił. Usiadł przy maszcie i zaczął półgłosem rozmawiać z mnichem. Siedziałem w niewielkiej odległości, więc usłyszałem co nieco z ich rozmowy. W gospodarstwie czekały na Rosa wieści o jego bracie. Już na długo przedtem rozpytywał o niego i obawiał się, że nie żyje. Właściciel gospodarstwa powiedział mu jednak, że brat żyje i „przebywa u przyszłego króla”. Tego z przyszłym królem nie pojmowałem. W Norwegii nie panował już żaden król na długo przed moim urodzeniem. Tak mówił ojciec. Jego ojciec, który walczył po stronie jarla z Lade w wielkiej bitwie na północy, opowiadał, jak to król Håkon padł na kolana, wyciągając ręce ku niebu, kiedy włócznia przebiła go na wylot. Od tej pory żaden król nie śmiał rzucić wyzwania potężnemu rodowi jarłów z Trøndelagu, twierdził ojciec. Kim więc był człowiek, o którym mówił Ros? Jego ręka szukała rękojeści miecza, a wzrok skierował na otwarte morze. Mnich wyciągnął drewniany krzyżyk i przyłożył mu do czoła, ale Ros gwałtownie go odsunął i poszedł na dziób statku.

W owych czasach szybkie statki tego typu, jaki należał do Rosa, nazywano karvami<sup>3</sup>. Były lżejsze niż statki handlowe, miały płaskie dno i były pozbawione ładowni pod pokładem. Na nadburciu znajdowały się żelazne haki, na których wojownicy wieszali tarcze, kiedy zanosilo się na bitwę albo abordaż, bo burta była niska i nie dawała prawie żadnej ochrony. Maszt nie był zbyt wysoki, ale miał u góry szeroką reję, na której wisiał żagiel z gęsto tkanej wełny. Tego żagla Ros i jego ludzie nieustannie strzegli. Zrzucali go, kiedy wiatr wzmagął się niemal do sztormu, a kiedy byliśmy w porcie, czuwał zawsze przy nim jeden mężczyzna. Nieco później dowiedziałem się, że taki żagiel był równie cenny, jak sam statek i jego niewolnicy. Jeśli by nie uważali, mógłby się porwać, a wtedy tę bandę zabijaków, jaką byli Ros i jego ludzie, mogłaby dogonić banda podobnych im zbójów albo innych napastników. Ros od dawna trudnił się grabieżą. Grasował w Ranrike, Gotalandii, Skanii, na Zelandii i w moim rodzinnym

Vingulmorku. Nie grabił natomiast drugiego, zachodniego brzegu fiordu. Tam przybijał tylko na handel i chociaż ludzie raczej wiedzieli, w jaki sposób zdobywał towary, o nic nie pytali, bo w owych czasach nie było to niczym niezwykłym. Statki jarla ochraniały szlak wiodący wokół południowego krańca Norwegii i na północ, do Trøndelagu, ale rzadko można było je zobaczyć w Viken. Vestfold i Grenland<sup>4</sup> leżały na zachodzie, a na wschodzie był mój rodzinny Vingulmork. Na tym obszarze żadnemu królowi nie udawało się dłużej utrzymać władzy, więc te wody pozostawały obszarem bezprawia, gdzie pomniejsi królowie i wodzowie mieli tylu wojowników, ilu mogli wyżywić.

Rudowłosy Dan wiosłował z całych sił, ale widzieliśmy, że to długo nie potrwa. Obraliśmy kurs prosto na Skagerrak i wypłynęliśmy już tak daleko, że nie widać było lądu. W pewnej chwili Dan puścił wiosło. Szarpnąłem głową, mając nadzieję, że go obudzę z odrętwienia, ale chłopak tylko zawisł bezwładnie. Ciężar jego ciała tak ciągnął w dół moją obręcz, że nie mogłem utrzymać rytmu wiosłowania.

Ros siedział przez większość dnia na dziobie, z prawie opróżnionym bukłakiem wina na kolanach i ze zmarszczonym czołem. Teraz wszystkie oczy zwróciły się na Dana. Ros się podniósł. Najpierw uderzył chłopaka w twarz. Wtedy ten jęknął i zaczął płakać. Ros gmerał przy jego obręczy, próbując chyba wyjąć żelazny bolec. Ale bolec był wbity młotkiem i dodatkowo zagięty, więc bez narzędzi nie można go było usunąć. Ros zaklął w swoim wschodnim narzeczu, chwycił chłopaka za włosy i położył tak, że głowa wystawała za burtę. Potem wyciągnął zza pasa nóż i wepchnął go w gardło chłopca. Ten szarpnął się gwałtownie i zaczął wierzgać nogami, a Ros ciął dalej, jak piłą. Większość krwi tryskała prosto do morza, lecz trochę polało się też na ręce Rosa i na ławy wiosłarzy. Czerwona strużka płynęła teraz po dnie, tam gdzie opierałem nagie stopy. Zsikałem się. Zapach mojego moczu zmieszał się z ciepłą, prawie słoną wonią świeżej krwi. Ros zaczekał, aż ciało chłopca znieruchomieje, po czym ciął dalej. Teraz zostały mu już tylko kręgi szyjne. Trudniej było je przeciąć, więc mnich podsunął Rosowi miecz. Ten jednak ciął mocniej nożem. Głowa chłopca wpadła do wody i leżała w niej twarzą w dół. Potem Ros wyrzucił przez burtę ciało, opłukał ręce z krwi i znów usiadł na dziobie.

Zaraz potem wzmógł się wiatr, więc mężczyźni zrzucili żagiel i zawinęli go w skórzaną

płachtę, a potem siedli do wiosła. Nie tylko my wiosłowaliśmy. Karv miał po dziesięć wiosła z obydwu stron, więc większość ludzi Rosa też musiała wiosłować. Ale my, niewolnicy, wiosłowaliśmy teraz co sił w obawie, że podzielimy los Dana, jeśli nie pokażemy, że jesteśmy warci jedzenia i wody. Od wysiłku popękała mi zgrubiała na rękach skóra. Słona woda, która cały czas nas oblewała, drażniła skórę po wewnętrznej stronie dłoni, lecz wiosłowałem tak, jakby wszyscy nieboszczycy z krainy Hel gonili mnie tej nocy. O świcie ręce zdrętwiały i miałem poczucie, że były przyklejone do wiosła żywicą. Teraz nad horyzontem na wschodzie ukazało się słońce, mężczyźni pokazywali coś, krzycząc. Przed dziobem statku pojawił się ląd.

Ros stanął przy nadburciu, przyglądając się wybrzeżu, i wkrótce wskazał na kilka wysepek. Znowu chwyciliśmy wiosła i po chwili karv sunął już między nagimi skałami i szkierami.

Wcześniej słyszałem od ojca o osadzie kupieckiej w Skiringssalen, ale wtedy jeszcze nie wiedziałem, że tam właśnie płyniemy. Patrzyłem na okrągłe głazy wystające z wody i usypiska z kamieni z wetkniętymi długimi kijami i poszarpanymi wiatrem, łopocącymi proporczykami. Oznaczały one szlak do najbardziej na północ wysuniętego miasta należącego niegdyś do duńskiego króla Godfreda. Teraz jednak miasto podlegało władcy Skiringssalen.

Płynęliśmy dalej, mając stały ląd po lewej stronie i wyspy po prawej. Wkrótce znaleźliśmy się na zacisznych wodach, gdzie wiatr zupełnie ucichł. Krajobraz przypominał ten znany mi z domu: z okrągłymi głazami i przygiętymi do ziemi przez wiatr krzewami i zaroślami jałowca. Po lewej stronie było wzniesienie pokryte lasem sosnowym, ale dalej w głębi lądu dostrzegłem drzewa z bujnym listowiem. Płynęliśmy jeszcze ze sporą prędkością, bo Ros lubił śmiało wpływać do portów i dopiero w ostatniej chwili rykiem rozkazywał, żeby hamować zanurzonymi w wodzie wiosłami. Pojawiły się pierwsze domy pod pokrytym lasem wzniesieniem, zabudowa ciągnęła się wzdłuż północno-zachodniego brzegu zatoczki i w głąb lądu. Tutejsze budynki były mniejsze niż w moich rodzinnych stronach. Ściany i dachy zrobiono z pionowych desek, czego nigdy przedtem nie widziałem.

Znajdowało się tam chyba ze sto budynków, ale sporo było już opuszczonych.

Niektóre dachy załamały się pod ciężarem śniegu, a wiele ścian rozbierano, bo deski zawsze mogły się przydać. Osada miała już za sobą okres świetności, ale wtedy nie miałem pojęcia o takich sprawach. Zmienne plany i zamiary potężnych mężów mogły uśmiercić tego typu miejsca i tutaj tak się właśnie działo. Pod rządami Godfreda Danowie zbudowali pierwsze domy, bo od początku było wiadomo, że ma tu być kaupang, czyli osada handlowa. Niejeden przedsiębiorczy mąż mógł dotrzeć do tego miejsca z północnej Jutlandii, zahandlować i popłynąć z powrotem dzień później, wykorzystując wiejący od lądu wiatr. Postawiono piece do wytopu rudy i kuźnie z wielkimi miechami kowalskimi. Były warsztat bursztywnika i chaty, w których wrzeczona kręciły się od rana do wieczora. Ale w miarę jak rosła potęga panów z Vestlandu i Trøndelagu, Danowie coraz mniej interesowali się osadą w Viken. Wprawdzie statki jarłów rzadko pokazywały się na tym szlaku, trzymając się głównie szlaków zachodnich, ale ten niegdyś bogaty handel w Skiringssalen teraz niemal całkowicie zamarł. Z dziewięciu miejscowych kowali tylko jeden podtrzymywał jeszcze ogień w palenisku, a z dwunastu szkutników ostał się jeden. Szkutnicy ucierpieli zresztą nie tylko wskutek zamierającego handlu. Zatoka stawała się z czasem coraz płytsza, a przy niskim stanie wody statki łatwo mogły osiąść na mieliźnie. Mówią, że to duchy podziemne sprawiły, że grunt się podnosił, a wody odpływały z zatoki.

Zanim urodził się Bjørn, ojciec bywał tutaj często z gospodarzem. Opowiadał mi o najdziwniejszych przedmiotach, które można tu było zobaczyć: szklane paciorki w pięknych kolorach i bursztyn z Jutlandii, srebrne i złote ozdoby, jedwab aż z Miklagardu<sup>5</sup>. To tutaj ojciec widział raz niewolnika o niemal czarnej skórze. Jego włosy były w dotyku jak owcza wełna, a tułów i policzki miał pokryte drobnymi bliznami, które układały się w misterny wzór.

Ros i jego ludzie zacumowali statek przy jednym z długich pomostów i powiedli nas na ląd. Stojący na brzegu siwobrody mężczyzna w sięgającej kolan bogatej szacie przywitał przybyłych. Nic nie mówiąc, wyciągnął ramię w kierunku lądu i odchrząknął, a potem zatknął ręce za szeroki skórzany pas. Na początku pomostu pojawiło się też kilkoro dzieci. Był z nimi mały zabiedzony pies na trzech łapach, bo jedna z tylnych łap zwisała, bezwładna i skurczona.

Siwobrody poprowadził nas szeroką drewnianą ulicą, ciągnącą się od nadbrzeża aż

do skraju lasu. W ogóle nie wiał wiatr, za to uderzył w nozdrza smród gnoju i moczu. Dzieci zostały przywołane do domów przez matki, a zamiast nich pojawiło się więcej mężczyzn. Był mężczyzna z wielką krzaczastą brodą i w porwanym skórzanym fartuchu. Okazało się, że to miejscowy bednarz. Był też stary, chudy bursztynnik i potężny, dwubrody mężczyzna z wielkimi rękami oraz kilku Islandczyków, których statek osiadł na mieliźnie podczas nocnego sztormu tego roku. Teraz Islandczycy budowali nowy statek. Ci i wielu innych szli z nami w milczeniu, aż dotarliśmy do podestu z desek mniej więcej w środku osady. Tutaj zostaliśmy przykuci do kilku żelaznych bolców, a Ros i jego załoga znikli w jednym z domów razem z siwobrodym i pozostałymi.

Drewniana ulica, którą przyszlismy od nadbrzeża, była dosyć prosta, a ponieważ znajdowaliśmy się teraz wyżej niż większość zabudowań, mogliśmy się wszystkiemu dobrze przyjrzeć. Domy stały raczej blisko siebie, a wokół nich wały się zwierzęce kości, psie odchody, wióry i inne śmieci. Usłyszałem rozpaczliwy kwik prosiaka, który nagle ucichł, widziałem konie biegające po ogrodzonym kawałku ziemi. Stary bursztynnik, który przeniósł swój warsztat na ulicę, siedział teraz o rzut kamieniem od nas. Jakaś bryłka o barwie złota zabłyszczała w jego rękach, on zaś zerkał na nas. Nagle podniósł ten kawałek bursztynu, chyba go nam pokazując, i wyglądało to tak, jakby udało mu się przez moment pochwycić w nim słońce. Bursztynnik uśmiechnął się do nas, potem przymocował bryłkę bursztynu przed sobą i zaczął ją obrabiać.

Nikt z nas nie odezwał się ani słowem. Nie mieliśmy pojęcia, co się teraz z nami stanie, i to nas przerażało. Ale z lękiem zmagaliśmy się już od dawna. W pewien sposób przyzwyczailiśmy się do niego, podobnie jak ranni w boju wojownicy przyzwyczajają się do wszelkiego bólu i przestają o nim mówić.

Okazało się, że Islandczycy skończyli budowę statku. Mieli jeszcze tylko skrócić kilka lin i wyciosać kilka wiosł i już byli gotowi do podróży. Nie było ich jednak wystarczająco wielu, żeby przepłynąć przez morze. Połowa utonęła, kiedy wpłynęli na mieliżnę. Ci, którzy zginęli, przebywali teraz w paradnych salach bogini Ran, więc pozostali przy życiu potrzebowali kilku niewolników do wiosł. Islandzka załoga, cała dziewiątka, pojawiła się przy drewnianym podejściu. Jeden z nich, z toporem u pasa,

wyłożył sześć sztuk srebra, naramiennik z kiepsko wykutego złota i kilka szklanych koralików. Ros warknął, że to nie wystarczy, ale Islandczyk utrzymywał, że to wszystko, co mają i że chcą za to wziąć wszystkich niewolników. Chyba przeczuwał, że Rosowi i jego ludziom się spieszy.

Ros nie zgodził się i postawił dwóch ludzi, żeby nas pilnowali w nocy. Zbliżała się jesień i wraz z zapadnięciem ciemności poczuliśmy ciągnący od wody chłód. Z niektórych domów wydobywał się blask pochodzący z palenisk, ale większość była pogrążona w mroku. Wiele domów opuszczono w ciągu paru ostatnich lat, a kilka rodzin wyjechało jeszcze tej wiosny. Na tle świecącego półksiężyca pojawił się na chwilę kruk, który zaskrzeczał dwa razy.

O świcie przyszli Islandczycy, ciągnąc ze sobą pijanego Rosa. Ten wybełkotał coś do swoich ludzi, którzy pełnili przy nas wartę. Zrozumiałem tyle, że sprzedał niewolników, ale że Islandczycy są skąpi i ciężko się z nimi negocjuje. To ostatnie podkreślił splunięciem na ziemię. Potem dodał, że mogą zabrać wszystkich z wyjątkiem jednego. Sami mogą wybrać, kogo zostawić, jemu to obojętne, niech Hel porwie i niewolników, i ich samych. Wtedy Islandczycy puścili go, a Ros osunął się na ziemię i już tam pozostał. Islandczycy kazali nam wstać, oglądali nas ze wszystkich stron, wymieniając uwagi. Potem jeden z nich podszedł do mnie z młotem i przecinakiem. Miałem uklęknąć, a oni wbili przecinak w łańcuch, rozcinając go. Potem poprowadzili pozostałych chłopców po drewnianej ulicy do statku, który cumował na nadbrzeżu między drewnianymi pomostami.

Przesiedziałem sam cały ranek, nikt mnie nie pilnował. Łańcuch był nadal przytwierdzony do obręczy tkwiącej w drewnianym podeście, ale nie uciekłbym chyba, nawet gdyby jej tam nie było. Ogarnęło mnie jakieś odrętwienie, nie czułem się ani żywy, ani umarły. Dopiero kiedy podszedł do mnie pies na trzech łapach, ocknąłem się. Był nieduży, ledwo sięgałby mi do kolan, gdybym wstał. Skurczona tylna łapa przykuła moją uwagę. Wyglądało na to, że ścięgno powyżej stawu skokowego zostało przecięte, bo dostrzegłem w tym miejscu bliznę. Pies oblizywał pozostałą po duńskim chłopcu obręcz, która nadal wisiała na łańcuchu. Nigdy przedtem nie widziałem tak zabiedzonego psa. Przez skórę można było policzyć żebra, miał pełno ran. Człowiek ma

obowiązek opiekować się swoimi zwierzętami, mawiał ojciec. A pies to najwspanialsze i najwierniejsze ze wszystkich stworzeń. Psy, które czasami towarzyszyły kupcom na statkach i psy myśliwskie gospodarza, były zawsze dobrze odżywione i miały lśniąca sierść.

Kiedy tak siedziałem, ujrzałem nagle Rosa i jego ludzi na statku. Mężczyźni zasiedli do wiosł, a Ros stanął na dziobie. Odплыnęli, wykorzystując jeszcze wysoki poziom wody. Ros musiał dojść do wniosku, że już mnie nie potrzebuje i teraz zostałem sam, wyrzucony jak niepotrzebny towar, który tylko zajmuje miejsce i zawadza.

Chwilę później przyszło po mnie dwóch mężczyzn. To był dwubrody, którego widziałem na nadbrzeżu, i jeszcze jeden, podobny do niego, wyglądali na braci. Powlokłem się z nimi w górę między domami. Tak doszliśmy do końca drewnianej ulicy. Stała tu chata, obok której zobaczyłem starszego człowieka, z rezygnacją przyglądającego się okorowanemu pniowi sosny. Całe podwórze było pokryte wiórami. W palenisku płonął ogień, a na ogniu stał żelazny sagan z parującą wodą.

– Halfdanie – odezwał się dwubrody.

Stary odwrócił się do nas. Spojrzał na mnie, westchnął ciężko i podszedł, kołysząc się na krzywych nogach.

– Obróć go, Ragnarze.

Obrócili mnie plecami do niego. Poczulem, jak maca moje dłonie twardymi kciukami.

– Hm – rzekł. – Dzieciak jeszcze. Ale nada się. Ile dałeś temu łotrzykowi?

– Sześć sztuk srebra.

Stary odchrząknął i splunął, po czym kołyszącym się krokiem wszedł do chaty.

– Wejdźcie z nim do środka!

Podprowadzili mnie przed chatę.

– A co z łańcuchem?

Stary odpowiedział z wnętrza:

– A jak myślisz? Rozkuj go!

Kazali mi uklęknąć przy pieńku do rąbania drewna i odcięli łańcuch od obręczy za pomocą młota i przecinaka. W jednej chwili byłem wolny. Mężczyźni odsunęli się ode mnie na kilka kroków, jakby obawiając się, że wpadnę w szal i będę się rzucał, atakując

wszystko wokół. Ale ja stałem nieruchomo, więc podeszli, chwycili mnie za ramiona i wprowadzili do chaty. W środku było dosyć ciasno, prawie jak u nas w domu. Jednak ojciec utrzymywał porządek i każdy przedmiot miał swoje miejsce. Tutaj wały się wszędzie połamane, niedokończone łuki, kubki, pęknięte dębowe cebrzyki i pęczki ścięgien. Klepisko pokrywały skóry zwierząt z doszczętnie wytartym włosiem. Stół poplamiony był sadzą, a ogryzione do czysta zwierzęce kości leżały po kątach. Stary stał teraz w głębi chaty obok beczki i nalewał coś do naczynia z rogu. Bracia puścili mnie, jeden z nich uderzył mnie w plecy, tak że zatoczyłem się i upadłem koło paleniska. I tam siedziałem, podczas gdy stary z rogiem w dłoni stanął tyłem do beczki. Pociągnął łyk i podrapał się w brodę, a potem zaczął mi się bacznie przyglądać. Teraz promień słońca, wpadający przez drzwi do środka, utworzył na klepisku smugę, dzieląc starego na dwie połowy: jedna była pogrążona w półmroku, a druga oświetlona. Wyglądał na znużonego. Cała krzepa z lat młodzieńczych jakby osunęła się z barków i ramion i zebrała w wydatnym brzuchu i niezwykle muskularnych przedramionach.

– Jestem Halfdan Szkutnik – powiedział. – Ile masz lat?

– Dwanaście – odparłem.

Halfdan podrapał się po brodzie i zastanowił nieco.

– Jak masz na imię?

– Torstein.

– A twój ojciec?

– Tormod.

– Ale nie ma go tutaj. – Stary pokręcił głową i robił wrażenie niemal zmartwionego tym stwierdzeniem.

– Ojciec nie żyje – odparłem. – Ten człowiek ze statku, Ros, zabił go. – Musiałem zebrać w sobie całą odwagę, żeby powiedzieć to, nie odwracając wzroku od twarzy starego.

Kiwnął głową i zdjął długi kawał drewna z półki na ścianie. Od razu dostrzegłem, że to cis, bo drewno było jasne na zewnątrz i ciemne w środku.

Podał mi je.

– Robiłeś kiedykolwiek łuk?

– Tak, wiele razy.



– To chodź ze mną, Torsteinie, synu Tormoda. Pokażę ci, jak wyciąć łuk tak mocny, że wystrzelona z niego strzała przebije kolczugę.

Jak powiedziałem Halfdanowi, zrobiłem już wiele łuków. Wiele z nich było z cisu, tego drzewa bogów, gęsto porastającego nasz półwysep. To ojciec nauczył mnie i Bjørna wycinać łuki. Dlatego nie podobało mi się, że teraz inny mężczyzna miał mnie uczyć tego samego. Było to tak, jakby ojciec, patrząc mi przez ramię na podwórzu, kręcił szpakowatą głową, niezadowolony z rezultatu. Halfdan Szkutnik usiadł na zydlu i unieruchomił koniec cisowego kija między stopami. Nie strugał, jak ja to robiłem, lecz przesuwiał delikatnie nożem po drewnie tak, że odpadały tylko cienkie jak włos wióry. Jednocześnie wyjaśniał mi, że coraz mniej było chętnych na deski do budowy statku, dlatego zaczął robić łuki. Na dobre łuki nadal był popyt.

Siedząc tak dobrą chwilę i delikatnie zeskrobując kolejne warstwy, dał mi popróbować. Teraz przypomniałem sobie, że ojciec, pokazując mi to, siedział dokładnie tak samo. Ale zapomniałem o tym, bo taki sposób zajmował wiele czasu, natomiast ja byłem zawsze niecierpliwy i chciałem, żeby łuk był gotowy tego samego dnia.

Nie tak jednak postępował stary skutnik. Kawał drewna, który obrabiałem tego ranka, leżał i suszył się od poprzedniego lata, a ja miałem pracować nad nim jeszcze przez całe trzy dni, zanim Halfdan był całkowicie zadowolony. Potem należało skrócić cięciwę z końskiego włosia i natłuścić ją woskiem pszczelim, a później wysłał mnie do lasu. Miałem trafić do zagajnika, gdzie można było znaleźć proste gałęzie. Materiał na strzały Halfdan brał tylko stamtąd. Następnie trzeba było opierzyć każdą strzałę i przytwierdzić grot i wreszcie wypróbowały się w pełni gotowy łuk. Dopiero wtedy stary kiwał głową i był zadowolony.

Wieczorem przyszli bracia, którzy przyprowadzili mnie tutaj z targowiska. Mieli w koszu świeżo złowione dorsze i zaczęli je piec nad ogniskiem na dworze. Nie miałem nic w ustach od prawie dwóch dni, więc od samego zapachu zaburczało mi w brzuchu. Mężczyźni kroili rybę na kawały, które nadziewali na zastrzone kije, a stary Halfdan przysunął zydel bliżej i zapatrzył się w ogień.

– Nie pozwól chłopakowi siedzieć za długo nad tym łukiem – rzekł Ragnar.

Stary zamruczał, że ma też jesion i w ogóle mnóstwo innych naciętych

i wysuszonych rodzajów drewna, a potem splunął w wióry, odchrząknął i zakaszłał.

Siedzieliśmy tak razem, jedząc. Stary Halfdan miał na podwórzu stół i kiedy słońce schodziło coraz niżej za wierzchołki drzew, a bracia łąpczywie pochłaniali kawały ryby, stary się zadumał. Spojrzał na morze, poruszył zgarbionymi ramionami i pogładził się pod nosem. Potem jego wzrok znów powędrował na wierzchołki drzew. Wiejący od ładu wiatr zerwał z drzew kilka liści, które powirowały gdzieś nad dachy domów.

– Chłopcze – powiedział. – Nie bądź rozgoryczony. Każdy ma swój los.

– Norny – wtrącił Ragnar.

– Tak. – Stary skinął głową. – Czy ojciec mówił ci o Nornach, chłopcze?

– Mówił – potwierdziłem.

– Wiesz zatem, że Norny przędą nić losu każdego człowieka. – Halfdan zetknął czubek kciuka z czubkiem palca wskazującego, tak jakby trzymał między nimi nić. – Na niektórych są węzły, inne są proste, jak gdyby utkane z najdelikatniejszego jedwabiu. A na koniec... – Teraz palcem wskazującym i środkowym drugiej ręki uczynił ruch nożyc – przecinają ją.

Chociaż miałem wtedy zaledwie dwanaście lat, zrozumiałem, co próbuje mi powiedzieć. Spuściłem oczy na kawał ryby i nie miałem ochoty nic więcej słyszeć. To była groźba. Jeśli spróbowałbym ucieczki, zabiliby mnie.

– Są trzy rodzaje ludzi na tym świecie, Torsteinie. Jarlowie, ludzie wolni i niewolnicy. Wszyscy jesteśmy potomkami Heimdala, praojca wszystkich rodów, klanów i ludów na ziemi. Jak sądzisz, którym z tych mężów jesteś ty, Torsteinie?

– Jaki tam z niego mąż – zaśmiał się drugi z braci. Miał na imię Steinar, ale wtedy jeszcze tego nie wiedziałem. – To jeszcze dzieciuch.

– Jest wystarczająco dorosły – rzekł Halfdan.

Nagle zobaczyłem znajomego psa na trzech łapach. Przyszedł, kuśtykając, drewnianą ulicą aż na podwórze Halfdana podczas rozmowy mężczyzn, ale nie miał odwagi podejść do stołu.

– Ten znowu tutaj – powiedział Ragnar. – Nic mu nie dawajcie, to pójdzie precz.

Wtedy coś we mnie drgnęło. Po raz pierwszy od czasu, kiedy mnie pojмали, ustąpił ciągle towarzyszący mi strach. W rękę trzymałem dymiący kawał ryby, a wzrok mężczyzn był utkwiony we mnie. W oczach Ragnara pojawił się gniew, pięści się

zacisnęły. Ale wytrzymałem jego spojrzenie, kawał ryby wylądował w wiórach na ziemi, tuż przed pieskiem na trzech łapach. Ten szybko go pochwycił i pokuśtykał dalej.

Ragnar, opierając się o stół, chwycił mnie za ramię, lecz stary objął obydwoma rękami jego pięść i pokręcił głową. Ragnar puścił mnie, podniósł się i odszedł.

Po posiłku bracia opuścili nas, a Halfdan poszedł do chaty. Przez otwarte drzwi widziałem go, siedzącego przy stole z kuflem w ręku. Po raz pierwszy od czasu, kiedy na mojej szyi pojawiła się obręcz niewolnika, mogłem uciec. Nikt mnie nie pilnował. Zanim stary wybiegłby z chaty i zawiadomił innych, przebyłbym już lasem odległość kilku strzałów z łuku. Zrobiłem parę kroków w jego kierunku, wiedziałem, że tam, w cieniu lasu, czeka mnie wolność. Ale nie odważyłem się.

– Słuszny wybór – powiedział Halfdan, gdy wszedłem do chaty. – Do świtu by cię znaleźli. – Potem pociągnął solidny łyk z kufła. I tak siedział i pił przez resztę wieczoru, aż kufel wypadł mu z ręki, a głowa zwisała na piersi.

Noc przespałem na baranicy przy palenisku. Wyglądało na to, że stary przygotował mi tam posłanie. Sam miał pryczę przy ścianie. Na pryczy leżało kilka przepoconych okryć. Pewnie by się na nią wczołgał, pomyślałem, gdyby nie siedział i nie chrapał przy stole.

Tej nocy śnił mi się mój brat. Stał na dziobie statku. Długie kasztanowe włosy opadały mu na plecy, oczy były utkwione w dal. Nagle poczułem, że to ja nim jestem i widzę wszystko jego oczami. Teraz coś ciemnego zaczęło pełzać na horyzoncie, stawało się coraz większe. Wreszcie okazało się, że to setki langskipów.

Świtało już, kiedy się ocknąłem. Podniosłem się i wyszedłem na podwórze. Stamtąd zobaczyłem statek opuszczający zatokę. To był statek Islandczyków. Na jego pokładzie byli chłopcy, którzy przedtem razem ze mną ciężko pracowali przy wiosłach. Nigdy więcej ich nie spotkałem i nie wiem, co się z nimi stało.



### 3

## Przepowiednia

Ojciec niewiele mówił o tym, co było kiedyś. Ale ja i mój brat rozumieliśmy, że los okrutnie się z nim nieraz obchodził. Synowie gospodarza twierdzili, że był niegdyś wojownikiem, że grasował i zabijał ludzi, służąc jarlowi z Lade w Trøndelagu; tak mówił ich własny ojciec, ale również on był oszczędny w słowach, gdy rozmowa schodziła na ten temat. Zawsze myślałem, że obydwaj starzy byli dawniej wikingami, bo od czasu do czasu ojciec chodził do gospodarstwa i tam siadał z gospodarzem przy długim stole. Synowie, kobiety i służba mieli trzymać się z dala, kiedy ci dwaj wpatrzeni w kufle z piwem mrukliwie wspominali dawne czasy. Domyślałem się, że obydwaj zawarli pewien pakt; Bjørn i ja byliśmy często posyłani do gospodarstwa po worek zboża, po rzepę albo nawet dzbanek miodu. Gospodarz dbał, żebyśmy nie przymierali głodem. Ale czy ojciec w zamian miał obserwować fiord albo czy gospodarz w pewien sposób płacił mu za to, by trzymał się od gospodarstwa na dystans, tego nigdy nie udało mi się ustalić. Krążyły plotki o jednym i drugim. Mówiło się, że o ojcu krąży wiele pogłosek, jednak on sam zachowywał milczenie. Dowiedzieliśmy się, że matka zmarła zaraz po moich urodzinach, była piękną kobietą, a żałoba po niej niemal ojca zabiła. W ostatnich dniach cierpiała na gorączkę, która prawie i mnie pozbawiła życia. Ojciec, opowiadając mi o tym, zawsze trzymał mnie za ramię, patrzył mi w oczy i mówił, że nigdy nie powinienem myśleć, że to moja wina. Norny tkają nic losu każdego mężczyzny i każdej kobiety, my nic na to nie możemy poradzić.

O życiu, które wiódł przed naszym urodzeniem, jak już wspomniałem, zbyt wiele nie opowiadał. Ale widzieliśmy przecież bliznę na jego plecach, szeroką na dłoń, tuż pod łopatką. Mój brat uważał, że wygląda na bliznę, która pozostaje po ranie zadanej

duńskim toporem. Tak, to nie mogło być nic innego, on sam widział już wcześniej mężczyznę z taką raną, wojownika na pokładzie jednego ze statków cumujących koło gospodarstwa. Tak to wyglądało zdaniem Bjørna, kiedy topór trafił ubranego w kolczugę mężczyznę z wielką siłą. Ostrzu topora nie zawsze udawało się przeciąć kolczugę, ale żelazny materiał owijał się wokół ostrza i wbijał się w ciało.

Ojciec nie lubił takiego gadania, nie lubił również naszego marudzenia, że moglibyśmy poćwiczyć posługiwanie się toporem i tarczą. „Teraz panuje pokój”, mawiał. Sam jednak nie mógł pozbyć się nawyku rzucania co rusz uważnego spojrzenia w kierunku fiordu. Czasami przyłapywałem się na myśli, że nie wrogów wyglądał, tylko krewnych lub przyjaciół. W głębi duszy żywiłem nadzieję, że matka wcale nie umarła, kiedy się urodziłem, ale z jakichś nieznanym nam powodów udała się na zachód i dlatego ojciec ciągle kogoś wyglądał.

Teraz to ja obserwowałem fiord. Już pierwszego dnia po tym jak Halfdan Szkutnik mnie kupił, powiedział mi, że rzadkością jest bycie schwytanym jako niewolnik tu, w Viken, a jeszcze większą rzadkością jest sprzedanie niewolnika tak blisko miejsca, w którym dorastał. Ojciec nie miał, o ile mi wiadomo, żadnej rodziny. Oprócz mojego brata byłem ostatni z rodu. A ponieważ nie miałem w kraju żadnych krewnych, nikt nie przejmował się tym, że jestem niewolnikiem tuż po drugiej stronie fiordu. Nikt z wyjątkiem Bjørna. Był ode mnie o pięć lat starszy. Miałem urodziny w dziewiątym miesiącu, więc skończyłem teraz trzynaście lat. Bjørn miał osiemnaście. Pewnie wyrósł na wysokiego i silnego mężczyznę i jeśli tylko by wrócił, dowiedziałby się, że gospodarstwo zostało splądrowane i spalone. Przegrzebałby zgliszcza i odkryłby kości ojca, ale po mnie nie znalazłby śladu. Zaczęłyby szukać. Krążyłby po okolicy i wypytywał, dokąd udali się ci, którzy napadli na gospodarstwo. I może w końcu przypląnąłby tutaj, do osady kupieckiej, zszedłby na ląd i rozglądałby się między domami i po drewnianych ulicach. I wtedy mnie dostrzeża. W jego niebieskich oczach pojawia się błysk, można w nich zobaczyć radość i gniew. Radość ze znalezienia mnie. Wściekłość z powodu niewolniczej obręczy na mojej szyi. Podchodzi szybkim krokiem, miecz opuszcza pochwę, szeroki miecz o lśniącym ostrzu. Niczym jeden z wilków Odyna obnaża zęby na starego, a potem mnie obejmuje, tak jak tylko starszy brat potrafi i teraz wiem, że już nic mi nie grozi. Schodzimy razem po drewnianej ulicy. On

obejmuje mnie ramieniem, a bursztynnik siedzi schylony nad swoim warsztatem i nie ma nawet odwagi podnieść wzroku. Wchodzimy na statek i odpływamy.

To był sen, który często mi się śnił. Kiedy stałem nad blokami drewna, z których miały powstać łuki i zestrugiwałem cieniutkie warstwy, często uciekałem w ten sen. Dodawałem słowa, które brat szeptał mi do ucha, gdy schodziliśmy ulicą. Statek w moim wyobrażeniu miał kolorowe tarcze na nadburciu i dwadzieścia wiosł po każdej stronie. Na pokładzie nie było niewolników, wszyscy byli wolni jak mój brat, uśmiechali się pod wąsem i przypominali mojego ojca. Tak musiał wyglądać, kiedy był młody.

Halfdan Szkutnik kręcił głową, widząc, jak oddaję się tym marzeniom na jawie.

– Daleki świat to miejsce pełne przemocy – mawiał. – To nie tak, jak w opowieściach, mój chłopcze. Wcale nie tak.

W tym czasie zaczynałem pojmować, że ludzie w osadzie kupieckiej nie uważają jarla z Lade za mądrego i sprawiedliwego władcę. Dziwiłem się temu, bo ojciec zawsze ciepło się o nim wyrażał. Nazywał go po prostu Håkonem, jak gdyby go dobrze znał, i twierdził, że to jemu zawdzięczamy panujący w kraju pokój. Wprawdzie jarl Håkon rzadko zaprzętał sobie głowę tym, co się działo w Viken, ale szanował decyzje tingów i nie był zbyt surowy w ściąganiu danin. Niewiele się wtedy na tym znałem, ale tyle rozumiałem, że zarówno ojciec, jak i gospodarz uważają Håkona za dobrego człowieka.

Dlatego byłem zaskoczony, kiedy Ragnar wszedł pewnego dnia na podwórze z ponurym spojrzeniem i zaciśniętymi, opuszczonymi po bokach pięściami. Halfdan siedział na pniu sosny, którą ścięliśmy tego dnia, i pił. Ragnar usiadł ciężko obok niego i zaczął coś mrużyć o knarze, która przyплыnęła tego ranka, że mężczyźni na pokładzie byli na zachodzie i słyszeli tam wieści z Hålogalandy. Jakiś możny tamtejszy gospodarz imieniem Hårek odmówił zapłacenia daniny, a jarl Håkon kazał ponoć w akcie zemsty splądrować jego gospodarstwo. Żadnemu mężczyźnie nie darowano życia. Kobiety zgwałcono w kałużach krwi ich mężów, a potem wzięto je w niewolę i powieziono na zachód przez morze.

Halfdan pokręcił głową. Mnie mówił wcześniej, że o jarlu zawsze krążyły plotki, że pożądał kobiet i złota i że ziarno prawdy pewnie w tym było, ale takie historie z upływem czasu wyolbrzmiano. Teraz jednak tych opowieści pojawiło się podejrzenie

wiele. Jeśli rzeczywiście jarl przywłaszczył sobie należące do innych mężczyzn kobiety, niedługo powstaną przeciwko niemu potężni przeciwnicy.

Tego dnia stałem i ociosywałem deskę, ale w tym momencie odłożyłem siekiere, żeby lepiej słyszeć ich rozmowę. Nagle znajomy pies na trzech łapach wszedł, kuśtykając, na podwórze, a ja przykucnąłem i przywołałem go do siebie. Zacząłem dawać mu trochę jedzenia i to pewnie utrzymywało go przy życiu. Od bursztynnika dostałem zioła, które zawinałem w kawałek boczku. Miały za zadanie usunięcie robaków z małego psiego żołądka. Sam też ich trochę brałem, ale na szczęście nie znalazłem jaj ani robaków w swoich odchodach. Halfdan miał robaki. Widziałem je, kłębiące się w dole z odchodami, po tym, jak z niego skorzystał.

Tej jesieni miało pojawić się więcej opowieści o jarlu Håkonie. Czy były prawdziwe czy nie, tego nikt w osadzie nie wiedział na pewno, ale wkrótce zła sława jarla i jego synów rozniosła się po obydwu stronach Viken. To martwiło Haralda Rudego, hovdinga<sup>6</sup> Skiringssalen. Nie dysponował zbyt wielką siłą przeciwko potężnemu jarlowi z Lade i jego synom, a skoro nie był w stanie ochraniać kupieckiej osady, ludzie mogli zacząć twierdzić, że nie może utrzymać statusu hersira<sup>7</sup>. Też pobierał daniny, wprowadzie nie tak wielkie, lecz płacono mu tylko dlatego, żeby jego ludzie trzymali miecze i topory w pogotowiu na wypadek ataku rabusiów.

Spędziłem już trzy miesiące u Halfdana, nadchodziła zima. Rano, kiedy stary leżał wśród baranic i kaszłał, chodziłem zazwyczaj między drzewa. Tam opróżniałem pęcherz, a potem kierowałem wzrok między pnie drzew. Miałem ochotę wziąć jeden ze zrobionych przez siebie łuków, kilka strzał i pobiec. Wiedziałem, że mężczyźni puściliby się konno w pogoń i albo zostałbym złapany i naznaczony gorącym żelazem, albo musiałbym walczyć. Byłem całkiem niezłym łucznikiem, ale czy zdołałbym zabić człowieka? Ojciec mawiał, że nie jest to takie proste, jak ludzie sobie często wyobrażają. Dlatego stałem nadal ze wzrokiem utkwionym między drzewami, między potężnymi pniami dębów i jesionów, podczas gdy zapach mojego moczu ulatniał się, a poranna mgła leżała jak dywan na paprociach, mchu i pieńkach po ściętych drzewach.

Halfdan budował byrding, długą i wąską łódź z dwoma parami wiosł, miejscem dla

trzech, czterech mężczyzn, kilku beczek z wodą i pewnej ilości towaru. Budował tę małą łódź na podwórzu przed swoją chatą. Na razie gotowe były tylko klepki poszycia na dnie. Ale stewa dziobowa była już zwrócona ku zatoczce, a pod stępkę podłożono dębowe okrągłaki. Halfdan mówił, że buduje łódź dla swoich synów, że ma być gotowa, kiedy synowie wrócą do domu z wyprawy na zachód. Gdyby byrding czekał już na nich tutaj, nad zatoczką, nie musieliby nawet wynosić swoich rzeczy na ląd. Mogliby natychmiast zepchnąć byrding na wodę i popłynąć dalej, a stary Halfdan popłynąłby razem z nimi.

Na razie nie wolno mi jeszcze było pracować przy budowie łodzi Halfdana. To Ragnar i jego brat Steinar budowali byrding. Ja natomiast miałem ścinać drzewa, ociosywać z grubsza deski i wyszukiwać materiał na łuki. Cisy rosły o pół dnia drogi od zatoczki, Halfdan często mnie tam posyłał i jakoś nie obawiał się, że przyjdzie mi do głowy ucieczka. Konia nie miałem, sam więc musiałem dźwigać na plecach wycięte kłoc drewna. Następnego dnia rozłupywałem je za pomocą klinów, a potem odkładałem na półki w chacie, gdzie miały schnąć do następnej wiosny.

Halfdan wyznawał zasadę, że tylko co czwarty łuk będzie zrobiony z cisu. Uważał, że wióry z drewna cisowego niszczą płuca. To właśnie przez nie nabawił się brzydkiego kaszlu. Tak więc pracowałem przede wszystkim w drewnie jesionowym, sosnowym i wiązowym. Wtedy nie miałem jeszcze pojęcia, że rzemiosło, którego się uczę, pomoże mi później w życiu, ale już tej jesieni stwierdziłem, że lubię pracować z drewnem. Chociaż byłem niewolnikiem i czułem na szyi ciężar niewolniczej obręczy, stojąc i pracując, nieraz zapominałem o czasie i miejscu. Żeby zrobić dobry łuk, należy przyrzeć się słojom w drewnie. Musisz widzieć, jak układają się linie, musisz wiedzieć, z której strony wiał wiatr i gdzie jest najlepsze naprężenie. To w trakcie najcięższych zim wyrasta najmocniejsze drzewo, wtedy linie są bliżej siebie i w drzewie magazynuje się największa siła. A jeśli drzewo na dodatek rośnie na ubogiej ziemi albo wyrosło w skalnej szczelinie, masz w rękach materiał na łuk dla wielkich wojowników. Takie łuki mogą przebijać kolczugi i tarcze, a kiedy właściciel ma celne oko i pewną rękę, może powalić trupem króla i odnieść zwycięstwo na polu bitwy. Jednak żaden łuk nie będzie mocny, jeśli ten, kto go zrobił, nie podchodzi z miłością do rzemiosła i do kawałka drewna, które trzyma w ręku. Halfdan mruczał o tym podczas jednego



z pierwszych wieczorów, w trakcie wychylania trzeciego kufla piwa. Wtedy nie rozumiałem, o czym mówi. Minęło kilka tygodni, zanim przyłapałem się na tym, że stoję i przyglądam się swojemu pierwszemu łukowi bojowemu; dopiero wtedy pojąłem, na czym polega uczucie, o którym mówił. Ten łuk nie przypominał łuków, które wystrugiwałem na rodzinnym półwyspie i którymi bawiliśmy się z bratem. Ten łuk był bronią. A kiedy go chwyciłem i naciągnąłem cięciwę, poczułem niemal, że to żywa istota. Wkrótce miał być sprzedany na nadbrzeżu i zabrany na pokład łodzi. Może będzie towarzyszył swojemu właścicielowi aż na Jutlandię; oczami wyobraźni widziałem wojownika stojącego na Danevirke, potężnej palisadzie przebiegającej przez cały kraj, i posyłającego strzały w kierunku dzikich Franków. A może zostanie zabrany na wyprawę na zachód, do angielskich lasów. A ja, niewolnik skutnika ze Skiringssalen, w pewien sposób będę mu tam towarzyszył.

Chociaż tej jesieni wyciosałem wiele łuków, to budowa łodzi była głównym zadaniem dla Halfdana. Stary wydawał się nie interesować niczym innym jak byrdingiem, a mnie pozostawiał produkowanie towarów na sprzedaż. Oprócz łuków i strzał robiłem tarcze, które Halfdan obramowywał niewyprawioną skórą. Wyciosywałem również wręgi i klepki do poszycia łodzi. Najpierw robiłem mniejsze łodzie, które nawet nie musiały być szczelne w miejscach połączeń klepek. Nie miały być używane na morzu, tylko do grzebania zmarłych. Sam widziałem, że wśród rzemieślników było wielu starszych ludzi, a Halfdan zwykł mawiać, że teraz więcej ludzi opuszcza osadę, mając ziemię, a nie wodę morską pod stępką. Potem zwykle narzekał, jakie to nieszczęście być opuszczonym przez synów i zostać samemu na starość. Pijany i otumaniony zapytał mnie pewnego wieczoru, czy mogę sobie wyobrazić, jak źle jest być samemu, bez rodziny. Nic nie odpowiedziałem.

Kiedy stary nie pracował przy łodzi, często przebywał w lesie. Zrobił tam sobie izbę. Było to tylko trochę kłód z dachem z kory, ale miał tam wiele beczek, w których warzył piwo. Zwykł mawiać, że sprzeda je hovdingowi i innym lepiej urodzonym, ale nie widziałem, żeby sprzedał choć jedną beczkę. Jestem pewien, że sam wypił wszystko co do kropli.



Pracowałem właśnie nad czwartą łodzią pogrzebową, kiedy Halfdan zaczął się źle czuć. Spadł już pierwszy śnieg. Pamiętam, że dostałem skórzany kubrak natarty pszczelim woskiem, dziergane igłą<sup>8</sup> wełniane skarpety i stare buty Halfdana. Tego ranka wstałem wcześniej, bo dni były krótkie, a chciałem osadzić górne klepki poszycia, zanim zapadnie zmrok. Ale Halfdan nie wyszedł na zewnątrz tego ranka. Nadal leżał na swoim posłaniu, słyszałem, jak zanosi się kaszlem.

Wkrótce przyszli Ragnar i Steinar. Usłyszeli charczenie i spojrzeli po sobie z troską, po czym weszli do środka. Nie pozostali tam długo. Zniechęceni powlekli się do byrdinga. Ragnar przeciągnął ręką po dziobnicy. Nadal brakowało większości klepek poszycia. Według mnie łódź przypominała potężnego zwierza, po którym został tylko kręgosłup, kiedy zdechł odwrócony grzbietem i kiedy zgniło ciało.

Nie wyrzekli do mnie ani jednego słowa tego dnia. Wyciosali kilka klepek, coś porobili świdrem łukowym, a potem Ragnar znowu zajrzał do starego. Następnie wyszedł i zmrużywszy oczy, popatrzył na zatoczkę, gdzie właśnie zachodziło słońce. Przywołał gestem brata i poszli.

Zostałem tego wieczoru na podwórzu. Lód zaczął skuwać zatoczkę. Nie było żadnego handlu aż do wiosny, bo kiedy lód skuwał wodę, nikt nie przyplýwał do nadbrzeża. Większość już opuściła osadę, na zimę zostali tylko najstarsi rzemieślnicy. Było z nimi tak jak z Halfdanem: synowie wyruszyli na zachód, a oni nie mieli gdzie się podziąć.

Tego wieczoru czułem niepokój i pozostałem na podwórzu do momentu, kiedy słońce nie zniknęło w morzu i osada pogrążyła się w ciemności. Kiedy wszedłem do chaty, Halfdan siedział przy stole i kaszłał. Między jednym i drugim napadem dygotał na całym ciele. Kazał mi wziąć pogrzebacz i zanurzyć w jego kuflu z piwem, co według niego pomagało na wszelkie choroby.

Trójnogi pies już się ułożył na mojej baranicy obok paleniska. Nazwałem go Fenre, tak jak nazywał się potężny wilk, który odgryzł rękę śmiałemu Tyrowi. Tę historię ojciec często opowiadał mnie i Bjørnowi, kiedy byliśmy mali. Halfdan śmiał się z tego imienia i uważał, że głupio robię, dzieląc się własnym jedzeniem z psem, którego raczej

powiniennem zatłuc z litości. Ale spostrzegłem, że głaszcze Fenrego, kiedy myśli, że nikt nie widzi. A teraz, gdy na zewnątrz zrobiło się zimno, pozwalał mu spać w chacie.

Fenre zasnął tego wieczoru przytulony do mojego brzucha. Był ciepły i czasami wierzgał we śnie; wtedy poruszała się również przykurczona łapa. Ojciec mówił raz o czymś, co nazywał „sercem wojownika”. Nie wystarczy być odważnym. Wojownik musi też mieć w sercu dobroć. Bez niej nie jest wojownikiem, tylko potworem. Przeciwno takim potworom walczą synowie Odyna. Ojciec wskazał palcem na niebo, to był wieczór, kiedy południowy wiatr szumiał w koronach drzew, a strumienie wody morskiej tryskały na skały. Ciemne chmury gromadziły się nad fiordem i nagle zobaczyliśmy błyskawicę, wygięty oszczep lecący w dół do morza. Ojciec rzekł, że to był Thor. Thor jest na kolejnej wyprawie. Szuka potworów, ludzi pozbawionych dobroci. Wódz, wolny mąż, niewolnik, to dla niego nieważne. Ludzie pozbawieni dobroci, niezależnie od tego, kim są, nie zasługują na łaskę u Thora. Wszystkich miażdży swoim potężnym młotem Mjølnerem.

Zasnąłem przy palenisku, a sny zawiodły mnie do Asgardu. Szedłem z ojcem przez brzozowy zagajnik pokryty wiosenną zielenią. Przebrnąwszy przez gęstwinę, ujrzałem rozległy widok, znaleźliśmy się na grzbiecie wzgórza. Stąd mogliśmy spoglądać na Gładsheim, siedzibę samego Odyna. Między nami a okalającymi ją murami roztaczała się dolina, widzieliśmy złote wieże, lśniły w słońcu hełmy i tarcze strażników. „To jest teraz mój dom”, rzekł ojciec. Wtedy odwróciłem się, bo usłyszałem odgłos uderzeń tuż obok mnie i pomyślałem, że muszą to być wrogowie Odyna i jego synów, którzy przybyli, żeby zburzyć mury otaczające Gładsheim.

W jednej chwili się obudziłem. Sen nadal we mnie tkwił. Halfdan zajęczał na swoim legowisku.

– Idź i zobacz kto to, niewolniku. Ja jestem chory.

W drzwiach była szpara. Wyjrzałem przez nią. Na zewnątrz stał jakiś mężczyzna, trzymając za uzdę konia. Widziałem go już wcześniej, to był Svein, jeden z synów wodza. Otworzyłem drzwi. Svein był wysokim, potężnie zbudowanym mężczyzną z kędzierzawą rudoblond brodą i z szerokim mieczem u pasa. Widziałem koniec pochwy miecza wystający spod niebieskiego wełnianego płaszcza.

– Torstein – powiedział. – Tak cię zwa, prawda?

Skinąłem głową.

– A Halfdan jest w domu?

Znowu skinąłem głową.

– Chodź tu, niewolniku. Przytrzymaj konia.

Zrobiłem, co mi kazał. Svein zsunął kaptur na kark i wszedł do środka.

Zostałem na podwórzu. Dwaj mężczyźni rozmawiali cicho, ale parę słów usłyszałem. Rozmawiali o hovdingu, najwyraźniej coś się wydarzyło. Nie miałem odwagi podejść bliżej, to była rozmowa między dorosłymi wolnymi mężczyznami. Od czasu do czasu Halfdan kaszłał. Kaszel był teraz gorszy, jakby nie mógł się wydobyć z jego piersi.

Po chwili Svein wyszedł. Zamknął za sobą wypaczone od wiatru drzwi z desek i ciężko odetchnął. Potem podszedł do mnie i do konia i wyciągnął z sakwy przy siodle kij, którego jeden koniec był owinięty wierzchnią warstwą kory brzozonej i nasączony żywicą.

– Idź, wetknij go w żar paleniska – powiedział, podając mi kij. Zrobiłem, co mi kazał, rozdmuchałem węgle w palenisku i wetknąłem w nie pochodnię, która natychmiast się zapaliła.

Kiedy wyszedłem, Svein siedział już w siodle.

– Biegnij przede mną, niewolniku. Oświetlaj mi drogę.

Śnieg nie był głębszy niż na szerokość ręki, więc z łatwością poruszałem się po zamrożonej ziemi. Nie miałem odwagi zatrzymać się, bo przeczuwałem, że chodzi o coś pilnego. Svein był tuż za mną, od czasu do czasu wołał, żebym uważał, tam z przodu zwisa jakaś gałąź, tu jest dziura albo kępa trawy, tak jakbym tego nie widział. Znałem dobrze ten las, przemierzałem ścieżkę prowadzącą do dworu wodza wielokrotnie. Ale nadal nie rozumiałem powodu tego pośpiechu w środku nocy.

Kiedy dotarliśmy do pól uprawnych, wyszli nam naprzeciw bracia Sveina. Stali z pochodniami i wskazali nam pośpiesznie drogę obok stajni i chlewa na podwórze przed długim domem, w którym Harald Rudy miał swoją siedzibę. Po drodze Svein powiedział swoim braciom, że szkutnik zachorował i wysłał zamiast siebie niewolnika.

Dom wodza stał na środku podwórza. Dwóch mężczyzn z pochodniami stało przed drzwiami. Nie widziałem budynku zbyt dobrze w ciemnościach, ale byłem tu już kilka

razy. Wtedy była to największa halla<sup>9</sup>, jaką kiedykolwiek widziałem. Dach wyglądał niemal jak poszycie wielkiej łodzi ustawionej do góry dnem na środku tego wielkiego placu. Miał ściany z bali, które były podparte wieloma grubymi palami. W pewien sposób mogło to przypominać wiosła wyciągnięte z wody morskiej i wetknięte w ziemię.

Rozpoznałem mężczyzn stojących przy drzwiach. Jednym z nich był Kalv, kolejny syn wodza. Drugi mówił zawsze z dziwnym akcentem. Był niewolnikiem w czasach młodości swojej i swego pana, ale wódz wyzwolił go wiele lat temu. Z tego powodu zawsze uważałem, że Harald Rudy jest dobrym człowiekiem.

Wnętrze dużego budynku było zaciszne i pachniało dymem z paleniska. Klepisko było suche i ubite, w belkach podpierających dach osadzono pochodnie. Wzdłuż ścian ustawiono ławy tak szerokie, że mężczyźni mogli na nich spać z głową zwróconą w stronę ściany i stopami w stronę paleniska, które było podłużną masą żarzących się węgla otoczoną naczyniami do gotowania i rożnami. Harald Rudy siedział na wysokim siedzisku po drugiej stronie paleniska, ubrany w niebieski płaszcz i długą tunikę wyszywaną złotem; zapatrzony w żarzące się węgle niemal nie zwracał na nas uwagi.

W halli nie było wiele osób. Niektórzy mężczyźni siedzieli na ławach ponuro zapatrzeni przed siebie. Trzy kobiety stały na końcu pomieszczenia pogrążonym w półmroku i rozmawiały półgłosem. Synowie poprowadzili mnie wzdłuż paleniska i postawili przed siedziskiem Haralda, który podniósł wzrok i spojrzał na mnie, a potem na swoich synów.

– Gdzie jest Halfdan? – zapytał.

Svein podszedł do siedziska i położył ojcu rękę na ramieniu.

– Zachorował, ojcie. Wysłał w zamian niewolnika.

Harald znowu spojrzał na mnie. Był starzejącym się mężczyzną z workami pod oczyma i siwą krzaczastą brodą, ale barki i ramiona wciąż miał potężne. Wskazał na mnie pokrytą bliznami ręką.

– Nazywasz się Torstein, czy tak?

– Tak – odrzekłem. – Torstein.

– Halfdan dobrze mówił o tobie.

Nie odpowiedziałem. Nie byłem przyzwyczajony do słuchania takich rzeczy.

Halfdan nie miał w zwyczaju mnie chwalić, ale wcale tego nie oczekiwałem, skoro miałem obręcz niewolnika na szyi.

– Widzisz tego człowieka? – Harald wskazał w półmrok, gdzie jakaś postać podniosła się z ławy pod ścianą i podeszła pod światło pochodni. Mężczyzna był chudy, miał długie kończyny, był wymalowany na twarzy i nosił opończę ze skóry wilka. Natychmiast go rozpoznałem. Przybył na pokładzie statku handlowego kilka tygodni temu i wzbudził sensację w osadzie. Ludzie biegli go zobaczyć, nie tylko z powodu pomalowanej twarzy. Nosił ze sobą kij z runami i twierdził, że jest mistrzem runicznym, wróżbitą. Halfdan zamknął się w swojej chacie i odmawiał wyjścia, dopóki obcy sobie nie pójdzie. Nie musiał długo czekać. Wróżbita nie chciał wróżyć zwykłym ludziom. Interesowali go królowie i możnowładcy. Od biedy mógł się zadowolić hersirem osady kupieckiej. Tak więc poszedł do dworu i tyle go widzieliśmy.

Harald przywołał skinieniem wymalowanego mężczyznę. Ten podniósł kij z ławy i podszedł. Synowie usunęli się, jakby w obawie przed nim.

– Mistrzu run – rzekł Harald. – Opowiedz chłopcu o moim śnie.

Mistrz zwrócił ku mnie pomalowaną twarz. Tego dnia, kiedy zszedł na ląd, nie podszedłem do niego wystarczająco blisko, żeby zobaczyć, co przedstawiały malunki, ale teraz blask bijący od pochodni i paleniska oświetlał wychudzoną twarz. Zrobił krok w moim kierunku i patrzył na mnie intensywnie wielkimi, szalonymi oczyma, dolna warga opadła, obnażając zęby. Tak pozostał, całkowicie w milczeniu, a ja zrozumiałem, że Halfdan miał rację, kiedy mówił: „Jeśli ludzie twierdzą, że jest wymalowany, to nie jest do końca prawda”. Malunek można zetrzeć. To, co zobaczyłem, było jakby na nim wyryte. Linie, które zdobiły jego twarz, nie były przypadkowe. To były runy. Ojciec uczył mnie ich, ale prawdopodobnie większość zapomniałem, oprócz tych, które wchodziły w skład mojego imienia. Teraz ujrzałem cały szereg run. Wszystkie były wyryte na twarzy wróżbity stojącego przede mną.

– Harald Rudy, hersir Skiringssalen, zapadł w sen tego wieczoru i ujrzał... – Mistrz run zrobił półobrót w stronę starego wodza, po czym znowu utkwiał wzrok we mnie – smoka. – Wyciągnął rękę ku wyjściu skierowanym na zatoczkę. – Przyplynie on z morza. Z paszczy zije ogniem. Szpony miażdżą domy i dwory. Harald Rudy chwytą miecz. Walczy. I ginie.

– Poprosiłem mistrza, żeby rzucił runy. – Harald położył rękę na rękojeści miecza. – Chciałem się dowiedzieć, czy ujrzałem przyszłość.

Wróżbita wetknął rękę do sakwy przy pasie i wydobył garść kamyków. Podsunął mi je. Na każdym wyryta była runa.

– Runy są darem Odyna dla nas, ludzi – powiedział Harald. – Ujrzał je, kiedy wisiał na Yggdrasilu. Pierwsze, co zrobił, gdy z niego zszedł, to wyrył je i przekazał wiedzę o nich trzem rodom Heimdala.

– Runy powiedziały mi, że sen był prawdziwy. – Mistrz włożył kamyki z powrotem do sakwy i spuścił wzrok. – Smok przybędzie. Harald Rudy będzie walczył i poległ.

Jedna z kobiet wybuchła płaczem. Svein podszedł do niej pośpiesznie i ją objął.

– Nie rozumiem – rzekłem. – Dlaczego mówicie o tym mnie? Jestem przecież tylko... – Chciałem powiedzieć „chłopcem”, ale Harald mnie ubiegł.

– Niewolnikiem? To prawda. Dlatego posłałem po Halfdana Szkutnika. Chciałem powiedzieć o tym jemu, ale skoro sam nie może przybyć... Nie ma czasu do stracenia. Trzeba zacząć od razu. Mistrz run twierdzi, że smok jest już w drodze.

– Ale... Co ja mogę począć? Nie jestem wojownikiem.

Kiedy wyrzekłem to słowo, mistrz podniósł wzrok. Wpatrywał się we mnie tak intensywnie, że oczy niemal wypadły mu z czaszki, po czym znowu odsunął się w mrok.

– Nie o twoje waleczne ramię mi chodzi, chłopcze. – Harald uśmiechnął się, a synowie cicho się zaśmiali. – Chcę, żebyś wrócił do domu i powiedział Halfdanowi, że musi dokończyć budowę byrdinga. Miałem nadzieję, że popłynę większym statkiem w tę podróż. Ale nie ma już czasu na zbudowanie nowego.

– Ale dokąd się wybierasz? – zapytałem zdziwiony.

– Do Asgardu. Ten byrding będzie moją łodzią pogrzebową.

Spuściłem wzrok. Halfdanowi nie spodobałoby się to. Miał zupełnie inne plany związane z byrdingiem.

– Idź już, chłopcze. I powiedz swojemu panu, żeby wstrzymał się nieco z piciem piwa. Nie chcę mieć krzywych klepek w mojej łodzi.

Odwróciłem się i wyszedłem. Za mną synowie wodza zasiedli przy ogniu. Tam pewnie chcieli dzielić się swoimi poważnymi myślami. Ale smok? Co to wszystko

miało oznaczać?

Zamknąłem drzwi za sobą i zostałem sam w zimową noc. Nad dworem woda lśniły gwiazdy. To ognie rozpalane przez naszych zmarłych, żebyśmy o nich nie zapomnieli. Tak mówił mi ojciec. Teraz sam przebywał tam na górze. Czy zapalał ogień każdego wieczoru, żebyśmy ja i Bjørn nie zapomnieli o nim? Nigdy bym nie zapomniał ojca. Był ze mną codziennie. Wyobrażałem sobie, że stoi przy mnie, kiedy pracowałem siekierą albo wiórowałem drewno na kolejny łuk. Nic nie mówił, ale dzięki temu, że przy mnie stał, ręka była pewna, a uderzenia siekierą silne. „Zaczynasz nabierać siły, powiedziałały. Niedługo będziesz mężczyzną, tak jak twój brat”.

Kiedy tak stałem, dostrzegłem jakąś postać na podwórzu. Od razu rozpoznałem chudego mężczyznę o długich kończynach. Blask księżyca padał na jego opończę z wilczych skór.

– Chodź tu, chłopcze. – Wyciągnął do mnie rękę.

Zawahałem się. Przerazał mnie.

– Podejdź bliżej. Mam ci coś do powiedzenia.

Podszedłem ostrożnie do niego. Był teraz niemal podobny do zwierzęcia albo wilkołaka, o których słyszałem. Opończa z wilczych skór miała kaptur z głowy wilka. Naciągnął go na głowę, stał przygarbiony, jakby zaraz miał paść i na czworakach odbiec po śniegu.

Kiedy znajdowałem się o długość ramienia, nagle chwycił mnie za rękaw. Opadł na kolana, chwycił mnie mocno za nadgarstki i wpatrywał się w moje ręce. Jego ciałem wstrząsnął dreszcz, wywrócił oczami.

– Krew dwóch królów... na twoich rękach.

Mistrz run puścił moje ręce, przewrócił się na bok i tak pozostał w śniegu.

Wtedy dobiegło nas wołanie z głównego budynku. To był Svein. Podbiegł do nas z wyciągniętym mieczem.

– Niewolniku, cóżeś zrobił?

Chciałem stamtąd uciec, ale zrozumiałem, że to by świadczyło o mojej winie. Chwyciłem więc mistrza run za barki i usiłowałem go podnieść. Svein był już przy nas. Cisnął mnie na śnieg i przyłożył mi ostrze miecza do gardła. Ale wtedy mistrz doszedł do siebie.



– Nie – powiedział, gramoląc się ponownie na nogi. – Niewolnik jest niewinny.  
Zostaw go.

Svein niechętnie mnie puścił. Schował miecz do pochwy i otoczył ramieniem mistrza, prowadząc go z powrotem do głównego budynku.



## 4

### Blot, czyli uczta ofiarna

**M**inęło wiele lat, zanim odważyłem się komukolwiek wyznać, co mi powiedział mistrz run. Ale następnego ranka przekazałem Halfdanowi jego słowa o smoku, a Halfdan pokręcił siwą głową i mruknął, że pan musiał zupełnie postradać zmysły. Ten mistrz run to łotr szukający schronienia i pożywienia na zimę. Powiedział dokładnie to, co Harald Rudy chciał usłyszeć. Ta gadanina o smoku to bzdury, które wszyscy starzejący się wodzowie lubią słyszeć. A Harald Rudy pewnie umrze ze starości, z kuflem piwa w ręku, tak jak większość wodzów.

Halfdan nie był też zachwycony zamówieniem na łódź pogrzebową.

– Ta łódź jest dla moich synów – mamrotał, wlokąc się do stołu i nalewając sobie nowy kufel piwa z beczki. – Kiedy powrócą z zachodu, zabiorą starego ojca. To miejsce... – Stary pociągnął solidny łyk i powlókł się z powrotem do pryczy. – To nie potrwa dłużej niż do następnej jesieni.

Zapytałem go, co mam powiedzieć wodzowi.

– Idź do niego i poproś o srebro. Powiedz, że praca pochłonie cały mój czas i że musimy mieć zapłatę z góry. Albo przynajmniej część. A potem wrócisz tutaj i będziesz nadal robił klepki. Nasmołujesz łódź. Musi być zdolna do żeglugi. Ale o tym ani słowa Haraldowi Rudemu.

Całe przedpołudnie zbierałem w sobie odwagę, żeby znowu pójść do wodza. Mógłby przecież mnie pobić albo zrobić coś jeszcze gorszego w odpowiedzi na tak bezczelne żądanie. Halfdan leżał w chacie i kaszlał, wkrótce na drewnianej ulicy pojawili się Ragnar z bratem. Mieli ponury wzrok, wchodząc do chaty. Słyszałem, jak wymruczeli kilka słów, zanim wyszli. Ragnar skinął mi głową na powitanie, potem obydwaj poszli.

Wkrótce zobaczyłem ich sylwetki między domami. Teraz jechali konno. Przejechali obok chlewa, potem ścieżką wzdłuż ostatnich zabudowań i dalej do lasu. Nigdy więcej ich nie zobaczyłem.

Później tego samego dnia poszedłem do Haralda Rudego i poprosiłem o srebro. Stałem przed jego siedziskiem, patrzyłem w klepisko i musiałem powtórzyć wszystko dwa razy, bo nie miałem odwagi podnieść głosu. Kiedy Harald w końcu zrozumiał, co powiedziałem, pogłaskał charta leżącego przy jego stopach i zapytał, czy Halfdan jest tak bardzo chory, że znowu musiał posłać niewolnika. Czy może stchórzył na stare lata, skoro nie ma odwagi przyjść sam i poprosić o zapłatę? Nigdy przedtem nie miał z tym problemu. Ostatnie zdanie wzbudziło wesołość wśród synów wodza, a Harald Rudy kazał mi podnieść wzrok. Zrobiłem to. Stary zdjął z palca srebrny pierścień i rzucił mi pod nogi. Potem dodał, że będzie tego więcej, ale siekiery mają teraz pracować bez wytchnienia na podwórzu Halfdana Szkutnika.

Halfdan ożywił się na widok srebrnego pierścienia i kazał mi natychmiast udać się z nim do kowala i poprosić o wykucie nitów. Następnie chwycił siekiere i zaczął wyciosywać nową klepkę poszycia.

W ciągu tych dni lód pokrył wodę, aż do najdalszych wysepek, a Halfdan kręcił głową i cały czas mamrotał, że ma nadzieję na łagodną zimę i wczesną wiosnę. Jego synowie powinni wkrótce wrócić, bo zestarzał się i czuł zimny oddech Hel na karku. Po trzech dniach znowu dopadł go bolesny kaszel, leżał na pościeli i jęczał, a ja sam musiałem kontynuować pracę. Dobrze mi z tym było i gdyby nie obręcz niewolnika, czułbym się jak wolny człowiek, bo miałem niemal wrażenie, że pracuję przy własnej łodzi. Kiedy byłaby już gotowa, wyciosałbym bale i położył przed dziobem, potem zaprzągnąłbym do niej konie i popędził po drewnianej ulicy, prosto do zatoczki, a lód pękłby pod ciężarem stępki. I odpłynąłbym.

Ale to było marzenie, nic innego. Robiło się coraz zimniej, wieczorami słyszałem trzask lodu. Wielu opuszczało teraz osadę. Byli to mężczyźni, którzy najęli się przedtem do pracy u rzemieślników, kilku myśliwych, którzy przez lato zaopatrywali nas w mięso i skóry i garstka wojowników, którzy przyплыли na pokładzie statku kupieckiego późną jesienią i czekali na kogoś, kto mógłby ich zabrać do Irlandii.

Jednego z tych wieczorów, kiedy wszedłem do chaty po całym dniu pracy, Halfdan leżał i wpatrywał się w sufit. Musiał być w swego rodzaju malignie, bo chciał wiedzieć, czy Ragnar i jego brat tu są i czy mi pomagają.

– Oni przecież odeszli – powiedziałem i wtedy stary doszedł do siebie, ale tylko na chwilę.

– Tak – westchnął. – Odeszli. Nie powiedziałem im o srebrze. Nie dostaną mojego srebra.

Rozdmuchałem żar w palenisku i położyłem na wierzch drewniane polana. Kiedy buchnęły płomienie, odciąłem kilka plastrów wieprzowej szynki i nabiłem na rożen nad ogniskiem. Halfdan pozwalał mi jeść tyle, ile potrzebuję. Może był zapijaczonym zrzędą, ale nie był skąpy. A teraz, kiedy zachorował, nie zwracał uwagi na to, że podsuwam kawałki mięsa Fenremu.

Zrobiłem tak również tego wieczoru. Fenre towarzyszył mi za dnia przy pracy, ale kiedy zapadał zmrok, zawsze wchodził do chaty. Teraz położył mi się na kolanach ze skurczoną nogą przy moim brzuchu, tak jakby potrzebował tam szczególnie dużo ciepła. Halfdan przewrócił się na bok i leżąc, patrzył na mnie półprzymkniętymi oczyma. Wreszcie usłyszałem:

– Chyba niewiele czasu mi już zostało, Torsteinie.

Odwróciłem szybko od niego wzrok. Nie chciałem o tym rozmawiać. Co by się ze mną stało po jego śmierci? Nie odzyskałbym wolności, tyle wiedziałem. Inni przejęliby na własność wszystko, co należało do starego. Synowie, gdyby wrócili. A gdyby nie wrócili, gdzie bym w końcu trafił?

Stary jakby zgadł, o czym myślę.

– Oto, co zrobimy – zamruczał. – Kiedy umrę, masz mnie zanieść do lasu. Poczekaasz, aż się ściemni, żeby nikt cię nie zobaczył. Ułożysz mnie pod usypiskiem kamieni. Potem wrócisz tutaj i będziesz kontynuował pracę przy byrdingu. Jeśli ktoś będzie o mnie pytał, masz powiedzieć, że poszedłem poszukać pomocników.

Zrozumiałem. Nic nie mogło przeszkodzić w ukończeniu łodzi, nawet śmierć Halfdana.

Następnego poranka stary leżał z otwartymi ustami i wpatrywał się w sufit. Podszedłem

do niego i zajrzałem w ogorzałą i pooraną zmarszczkami brodatą twarz. Z głębi jego piersi wydobyło się charczenie, wciągnął powietrze i zamrugał oczami.

– Żadne walkirie po mnie nie przyjdą – wyszeptał. – Za to Hel... widzę jej twarz. Gdy tylko zamknę oczy, widzę ją.

Zostawiłem go i wyszedłem. Fenre pobiegł za mną. Podwórze pokryte było śniegiem, więc najpierw zabrałem się do odśnieżania. Potem odszukałem tę szczególną siekiere, którą Halfdan nazywał ciosłem. Przypominała zwykłą siekiere, ale ostrze osadzone było prostopadle do styliska, jak w motyce. Używało się jej do formowania z grubsza desek, po czym stosowało się szeroką siekiere z ukośnym ostrzem. Wziąłem ciosło i zabrałem się do robienia klepek poszycia statku z rozłupanych pni.

Wchodziliśmy właśnie w najciemniejszą porę roku. Ostatni myśliwi opuścili osadę, widziałem, jak się oddalają na długich nartach. Dźwięki dobiegające z kuźni ucichły, a bursztynnik nie siedział już przed domem, pochylony nad złocistymi ozdobami. Lód na zatoczce pokryty był śniegiem, drzewa okalające podwórze Halfdana miały nagie gałęzie; przypominały ramiona wyciągnięte w kierunku znikających promieni słońca.

Może sprawiła to samotność tam, na podwórzu. Może myśl o starym człowieku umierającym w chacie. Potężna tęsknota ogarnęła mnie, kiedy stałem z ciosłem w rękę w rozkroku nad kłodą drewna. Straciłem zupełnie władzę w rękach i nogach i upadłem na kolana. Zobaczyłem martwego Ulfhama na plaży i ojca robiącego ostatni krok. Zobaczyłem naszą chatę w płomieniach i poczułem ręce chwytające mnie za ramiona. Usłyszałem na wpół zduszony okrzyk, który wydobył się z moich ust, i zacząłem dygotać. Czułem niemal uderzenia młota wbijającego boleć w niewolniczą obręcz, chwyciłem ją obiema rękami i próbowałem zerwać z szyi. Kiedy to się nie udało, rzuciłem się do statku i zacząłem uderzać karkiem w dziobnicę. Fenre czekał, nie rozumiejąc, co się dzieje. Sam tego nie rozumiałem. Wiedziałem jedno, muszę się oswobodzić. Muszę stąd uciec. Chcę do domu.

Stałem, uderzając karkiem o stewę, aż szaleństwo mnie opuściło. Wtedy padłem bez sił i tak pozostałem na śniegu. Jak długo tam leżałem, nie pamiętam. Ale oto nagle Svein, syn wodza, wjechał konno na podwórze. Spojrzał na mnie z wysokości siodła, zanim poprowadził konia wzdłuż niegotowego jeszcze kadłuba, uważnie się mu przyglądając. Potem znowu pojechał w las.

Słońce zaszło wcześniej tego popołudnia. Kiedy z Fenrem weszliśmy do chaty, Halfdan nadal leżał wpatrzony w sufit. Tak pozostał, gdy rozpałem ogień i gotowałem wodę. Mamrotał coś do siebie, od czasu do czasu kaszlał i dygotał na całym ciele, a potem długo leżał całkowicie spokojnie z szeroko otwartymi oczyma. Nie chciał nic jeść, ale kiedy zapytałem, czy chce piwa, nagle się ożywił. Podniósł się i oparł na łokciu, spojrzał na mnie mętym wzrokiem i poważnie skinął głową. Nalałem piwa do kufła i mu go podałem. Halfdan pił łapczywie. Potem znowu leżał jak nieżywy, wreszcie zajęczał, że mam podejść bliżej.

– Posłuchaj – powiedział, chwytając mnie drżącą ręką za ramię. – Nie zestarzej się. Zgiń na polu walki. Obiecuj mi to, chłopcze.

Odpowiedziałem, że to może być trudne, skoro jestem niewolnikiem. Niewolnicy nie biorą przecież udziału w bitwach. Ale Halfdan chyba tego nie słyszał, bo wzrok znowu mu uciekł, uścisk na moim ramieniu zelżał i szkutnik tak pozostał, leżąc zupełnie bez sił. Musiałem przyłożyć ucho do jego ust, żeby usłyszeć, czy nadal oddycha.

Halfdan leżał w gorączce. Następnego ranka wymamrotał, że muszę iść do kowala i poprosić o wykucie więcej nitów na wypadek, gdyby też miał opuścić osadę na zimę. Wziąłem ze sobą Fenrego i poszedłem do kuźni, która leżała tuż przy nadbrzeżu. Kowal zwał się Rolf i był człowiekiem małomównym. Kiedy powiedziałem mu, że potrzebujemy więcej nitów, dobiegło mnie tylko z głębi jego krzaczastej brody:

– Więcej srebra. – Potem skrzyżował muskularne ramiona na piersi i spojrzał na mnie z ukosa.

Nie mogłem przekazać Halfdanowi jego żądania. Stary rzeźił na posłaniu i nie słyszał, co mówię. Wziąłem krzesło i usiadłem przy nim, bo pomyślałem, że teraz wreszcie gorączka go zmoże. Ale Halfdan musiał być niezwykle wytrzymały, bo wieczorem znowu się ożywił. Teraz nic nie mówił, leżał tylko, ciężko oddychając. Wyglądało na to, że gorączka w końcu go opuszcza. Przestał dygotać, pot nie występował mu już na czoło.

Svein przyjechał konno dzień później. Zapowiadało się na śnieg, syn wodza miał na sobie ciemnoniebieską opończę obszytą wilczą skórą. Pracowałem nad klepką, którą obrabiałem dzień wcześniej. Jedna strona była już prawie płaska, precyzyjnie ociosana,

potem miałem przewrócić pień i zacząć obrabiać drugą stronę. Svein był najpierw w chacie u Halfdana, ale zaraz potem wyszedł i wdrapał się na siodło. Miał potężnego białego ogiera z zaplecioną grzywą i znakiem runicznym wodza wypalonym wysoko na prawej tylnej nodze.

– Znowu ciebie wysyła – powiedział w końcu Svein.

Odłożyłem ciosło. Nie rozumiałem, co ma na myśli.

– Napełnimy kufle przy zachodzie słońca. Ale umyj się przed przyjściem. Jeśli masz dopełnić obowiązku wolnego człowieka, nie możesz cuchnąć jak niewolnik.

Svein pozwolił koniowi zrobić kilka kroków w moim kierunku, mierząc mnie wzrokiem.

– Włóż też inne łąchy. I wyczysz wszy z włosów.

– Nie mam wszy – odrzekłem. Svein spojrzał na mnie z szyderczym uśmiechem. Potem spiął konia i zniknął między drzewami.

Wtedy niewiele wiedziałem o obyczajach możnowładców. Ojciec nigdy o nich nie opowiadał. Naszym światem był Viken, a tutaj, po wyczynach synów Eirika, panował pokój. Ale Harald Rudy był wystarczająco stary, by pamiętać inne czasy, kiedy to wszyscy mężczyźni trzymali broń blisko siebie, a córki i synowie uczyli się walki, gdy tylko byli w stanie utrzymać się na nogach. On sam był częścią leidangu <sup>10</sup> pod rządami Håkona Adelsteinsfostre. Wtedy był bardzo młodym mężczyzną, lecz pamiętał, że każda wieś miała obowiązek utrzymywania statku z wytrenowaną w walce załogą. Pamiętał też, jak mężczyźni twierdzący, że są członkami królewskiego rodu, przyplýwali jesienią i wymagali zakwaterowania i wyżywienia przez zimę. Ale właśnie i zabójstwa wytepiły większość królewskiego rodu i jarl Håkon z Lade przejął władzę nad zachodnią Norwegią. Od tego czasu Viken był zazwyczaj pozostawiany w spokoju. Zarówno Danowie, jak i Norwegowie postrzegali go jako swoją strefę handlu, lecz nie podejmowali prób przegonienia siebie nawzajem. Wszak chodziło o handel, a mądrzy kupcy nie odstraszaają swoich klientów. Harald Rudy przejął tytuł hersira Skiringssalen po ojcu, ale jego funkcja nie podlegała już jarlowi czy królowi, jak to było za czasów jego ojca. Dlatego Harald rządził, jak chciał.

Stopiłem nieco śniegu i umyłem się suchym mchem przy palenisku. Kiedy ponownie

miałem włożyć ubranie, Halfdan chrząknął i wskazał na baranicę, która zawsze leżała pod stołem.

– Tam pod nią – powiedział. – Tam jest kłapa.

Ukląknęłam i podniosłam starą, brudną owczą skórę. Pod nią, tak jak mówił, była w klepisku kłapa. Okazała się wiekiem dębowej skrzyni, która nie wyglądała na dzieło tutejszych rzemieślników, bo w wieku był wycięty duży krzyż. Ojciec narysował mi kiedyś ten znak. To był znak Białego Chrysta.

– Otwórz ją.

Zrobiłem, co mi kazał. Ostry zapach zjełczałego tłuszczu uderzył mnie w nozdrza. W skrzyni leżało kilka sztuk odzieży. Były utkane z delikatnego materiału, nie jak odzież, którą nosiło się na co dzień. Na samej górze leżał szeroki na trzy palce pas z okrągłą kłamrą z brązu. Wyjąłem go i pokazałem Halfdanowi.

– To mój stary pas – rzekł. – Musisz mieć dobry pas, kiedy idziesz na ucztę ofiarną, no i odświętne ubranie. Włóż te brązowe spodnie i długą tunikę. I płaszcz.

Zerknąłem na niego.

– Nie dam teraz rady pójść na ucztę ofiarną, chłopcze. Ale ktoś musi iść za mnie, żebym nie ściągnął niesławy na Haralda Rudego. Więc włóż te ubrania.

Znowu obróciłem się do skrzyni. Wziąłem z niej starannie złożony płaszcz, brązowe spodnie i szarą, długą tunikę, o której mówił. Była taka, jaką noszą ludzie wysokiego stanu, obszyta dwukolorową, żółto-niebieską taśmą przy rozcięciu na głowę. Pod ubraniami leżał jeszcze jeden płaszcz, a pod nim było coś jeszcze. Podniosłem ostrożnie płaszcz i zajrzałem. Leżał tam hełm, kolczuga i żeleźce topora. I nie było to żeleźce, jakie miały nasze siekiery używane na podwórzu. To było lżejsze i cieńsze i miało wygięte, długie na moje dwie pięści ostrze. Jeden koniec ostrza był szpiczasto zaostrzony, jakby używano go do zadawania pchnięć.

W skrzyni było jeszcze coś. Na samym dnie leżała starannie złożona bela materiału. Przejechałem po nim ręką. Był sztywny i gęsto utkany. Wyglądało to na żagiel.

– Reszty rzeczy nie ruszaj.

Odłożyłem żeleźce i zamknąłem skrzynię. Położyłem na miejsce owczą skórę i zacząłem się ubierać.

– Dobry z ciebie chłopak – zamruczał Halfdan. – Gdyby były inne czasy, zdjąłbym



ci obręcz niewolnika.

Nie odpowiedziałem. Tak tylko sobie gada, pomyślałem. Usprawiedliwienie. Pasowało mu posiadanie mnie jako niewolnika, zwłaszcza teraz, gdy przyszła zima i większość wolnych mężczyzn dawno wyjechała. Ale nie potrafiłem się na niego gniewać. Nie był złym człowiekiem. A teraz jeszcze dopadła go niemoc, leżał tylko na posłaniu i kaszłał.

Spadło tyle śniegu, że mogłem przypiąć narty, które zrobiłem sobie tej jesieni. Halfdan sam mnie o to poprosił, bo wiedział, że trudno będzie poruszać się w głębokim śniegu. Zima przyszła już chyba na dobre, bo śnieg padał tak gęsto, że ledwo widziałem czubki nart. Miałem pochodnię w jednej ręce i kij w drugiej, próbowałem poruszać się po wydeptanej w lesie ścieżce, ale pochodnia wkrótce zgasła i prawie nie widziałem, gdzie jestem.

Przez chwilę kręciłem się po ciemnym lesie, aż usłyszałem wrzask. Brzmiało to jak odgłos konia, ale nigdy nie słyszałem, żeby koń wydawał taki dźwięk. Poszedłem w kierunku, z którego dobiegał odgłos, i wkrótce znalazłem się na skraju lasu niedaleko dworu. Krąg mężczyzn stał wokół podwórzowego kamienia, rozpoznałem wśród nich Bjørna Bednarza i Othgara Bursztywnika. Zdjąłem narty i ostrożnie podszedłem bliżej. Zaraz potem spotkałem Sveina. Chwycił mnie mocno za ramię i pociągnął do innych, którzy rozstąpili się, żeby zrobić mi miejsce.

Harald Rudy stał okrakiem nad koniem. Przedtem poderżnął mu gardziel, a teraz uderzał ostrzem miecza w kark. Wreszcie oddzielił koński łeb od reszty ciała, podniósł go za grzywę, skierował czerwony od krwi miecz do nocnego nieba i krzyknął z całych sił:

– Odynie!

Potem podszedł do podwórzowego kamienia i skropił widoczne na nim runy krwią ciekącą z końskiego łba. Oczy Haralda były zamknięte, głos zduszony, brzmiał niemal jak szept.

– Wlej odwagę w moje serce i siłę w moje ramiona, Odynie. Daj mi umrzeć tak jak żyłem, bez lęku. Pozwól, żeby moi synowie żyli i zobaczyli, jak dorastają ich synowie.

Teraz wokół kamienia zapadła całkowita cisza. Harald Rudy upuścił koński łeb

w śnieg, otarł ręką krew z miecza i przycisnął ją do kamienia, zanim zwrócił się do zgromadzonych:

– Wejdźmy teraz do wnętrza i wypijmy.

W środku domostwa ogień płonął na całej długości paleniska, kilka kobiet piekło na rożnie prosiaka. Wyglądało na to, że przyszli tu wszyscy mieszkańcy dworu. Były dzieci wspinające się na belki pod sufitem, stojące w mroku i chichoczące młode dziewczęta, ze dwadzieścia zamężnych kobiet oraz niewolnic ubranych w najpiękniejsze koszule, z ozdobami z bursztynu na szyi i bransoletami ze lśniącego srebra. Mężczyźni, którzy brali udział w ofierze, usiedli najbliżej ognia. Harald usiadł ciężko na siedzisku wodza i oparł miecz o poręcz. Pojawiło się kilka kobiet, które włożyły do rąk mężczyzn napełnione rogi. Harald podniósł swój róg, ale nic nie powiedział, tylko powiódł wzrokiem po gościach: najpierw po synach i innych mężczyznach, którzy siedzieli najbliżej ognia, potem spojrzął w półmrok, gdzie znajdowali się niewolnicy, kobiety i dzieci. Najwyraźniej tylko mężczyźni przy ogniu mieli wziąć udział w toaście, bo ani niewolnicy, ani kobiety i dzieci nie dostali żadnych naczyń, z których mogliby pić.

– Hej, ty tam! – padło nagle ze strony wodza. – Torstein, czy nie tak?

Nie miałem odwagi odpowiedzieć. Teraz wszyscy zwrócili się w moim kierunku.

– Torstein? – Harald wskazał na mnie zakrwawionym palcem.

– Tak – odrzekłem.

– Chcę, żebyś tu usiadł. – Wskazał palcem na puste miejsce obok Sveina. – Jesteś tu zamiast skutnika i musisz wypić za niego.

Najbardziej życzyłbym sobie, żeby ciemność mnie pochłonęła. Tutaj siedzieli najpotężniejsi mężowie Skiringssalen i po ich spojrzeniach zorientowałem się, że wcale nie podzielali zdania wodza, że niewolnik ma wypić zamiast swojego pana.

– Chodź. – Harald kiwnął na mnie swoim sękatym, zbrukanym krwią paluchem.

Posłuchałem. Nie miałem odwagi nie posłuchać. Zająłem miejsce na ławie obok Sveina, w rękę wetknięto mi róg i napełniono go przez ramię.

Cały czas Harald Rudy trzymał róg w górze. Teraz nareszcie przyszedł czas na toast.

– Wypijmy za dłuższe dni.

Mężczyźni przytknęli rogi do ust i wypili.

– Za wczesną wiosnę – kontynuował Harald i pociągnął kolejny łyk. – I za plony.

Mężczyźni znowu wypili.

– Niech Frej uczyni nasze pola ciężkimi od zboża, a nasze kobiety płodnymi.

Jeszcze jeden toast. Chociaż gospodarz w moich stronach każdej zimy odprawiał ucztę ofiarną, nigdy w żadnej nie uczestniczyłem. Ojciec uważał, że dla mnie i Bjørna będzie lepiej, jak zostaniemy w domu. Kiedy wracał do domu rano, zawsze był śpiący i ledwo trzymał się na nogach. Dzień później siedział przy palenisku, jęcząc i skarżąc się na ból głowy, a Bjørn i ja musieliśmy mu obiecać, że będziemy trzymać się z dala od piwa i miodu, jak dorośniemy. A jeśli naprawdę będziemy zmuszeni do picia, musimy to robić wśród równych sobie, krewnych i przyjaciół. W przeciwnym wypadku łatwo mogło dojść do kłótni.

Mężczyźni wychylili swoje rogi do dna. Podczas gdy kobiety podchodziły i ponownie je napełniały, Harald Rudy zwrócił uwagę, że nie wypilem.

– Musisz wypić – powiedział. – Zastępujesz tutaj swojego pana.

– Ojciec mówił... – zacząłem. Słowa te wyszły z moich ust, zanim zdążyłem pomyśleć.

– Tak? – Harald zerknął na mnie ze swojego siedziska. – Co mówił twój ojciec?

– Mówił, że powinienem pić tylko z równymi sobie.

Harald pogładził się po brodzie, zastanawiając się nad tym.

– Dobrą radę dał ci ojciec – rzekł wreszcie. – Mimo to chcę, żebyś teraz wypił.

Spojrzenia wszystkich znowu były skierowane na mnie. Wziąłem róg i podniosłem go w kierunku mężczyzn wokół paleniska, bo widziałem, że inni tak robili, a potem przytknąłem do ust i pociągnąłem łyk. Piwo miało słodszy smak, niż się spodziewałem. Nie było wcale gorzkie.

Tego wieczoru wychylono wiele toastów. Zwyczaj był wtedy taki, że mężczyźni pili najpierw zdrowie Odyna i jego synów. A ponieważ młot Thora był potrzebny, żeby dać deszcz polom i przeciwko podziemnym zjawom i innym zmorom czającym się w ciemności, potem wychylono dwa czy trzy toasty na jego cześć. Piliśmy również za Freja, jego siostrę Freję i za ich ojca Njorda, który dawał bogactwo kupcom

i podróżnikom morskim. Mężczyźni wychylali już trzeci róg i teraz łatwo było zobaczyć, że są pijani. Próbowałem pić małymi łykami, ale wychyliłem już pierwszy róg i byłem w połowie drugiego. Głowa stała się ciężka, zaczynało mi się w niej kręcić. Poczulem, że muszę wyjść na dwór, żeby opróżnić pęcherz, ale nie miałem siły się podnieść. Kiedy nalano piwa na jeszcze jedną rundę, Harald Rudy przechylił się przez poręcz siedziska i spojrzał na mnie. Powiedział, że nie muszę się powstrzymywać, piwa jest pod dostatkiem. Chyba nie zdążyłem odpowiedzieć, bo wstał Svein, niepewnie i z rogiem w garści. Teraz przyszedł czas na „toasty Bragego”, kiedy to mężczyźni wstają i obiecują dokonać jakiegoś śmiałego czynu. Svein wskazał rogiem na ojca i rozlewając piwo, wybełkotał, że będzie stał u jego boku, gdy przybędzie smok. Dobył miecza i zaczął nim wymachiwać, po czym ojciec poprosił go, żeby usiadł. Następnie wstał Bjørn Bednarz, obiecując znaleźć tego parszywca ze Swealandii, który porwał jego żonę, co wywołało szepty i śmiechy. Halfdan opowiadał mi tę historię. Nikt nie porwał żony bednarza, miała dosyć starego dziada i sama uciekła z kupcem z Gotalandii. Stary bursztynnik Othgar nie mógł być gorszy, więc kiedy Bjørn Bednarz usiadł, ten wstał i wymamrotał coś, wygrażając pięścią, zanim znowu klapnął na tyłek. I jakby to wszystko było grą, w której każdy kolejny uczestnik musi przebić poprzedniego, mężczyźni podnosili się jeden po drugim i opowiadali o swych śmiałych planach. Była tam zemsta za zabitych krewniaków, były wyprawy na wschód i zachód, obietnice, że mężczyźni będą stać przy boku wodza, kiedy przybędzie smok. Pomyślałem, że to ostatnie chyba najbezpieczniej obiecać, bo chociaż byłem tylko chłopcem, nie byłem głupi. Wiedziałem, że nie ma czegoś takiego jak smoki.

Nigdzie nie widziałem mistrza run. W półmroku między belkami stały przeważnie kobiety i dzieci. Niektórzy mężczyźni leżeli już na ławach przy ścianie, może mistrz run był wśród nich? Chciałem go odnaleźć i zapytać o dziwne słowa, które mi powiedział, ale wtedy poczułem rękę Sveina na ramieniu.

– Twoja kolej, chłopcze.

Ponieważ się zawahałem, Svein podniósł mnie i stałem tak z rogiem w garści, podczas gdy podłoga kołysała się jak pokład statku. Mężczyźni śmiali się, ktoś pokazywał na mnie.

– Czyn w imieniu Bragego – rzekł Harald Rudy. – I pamiętaj, twoja obietnica jest

wiążąca.

Obróciłem się w stronę starego wodza.

Harald Rudy pociągnął kolejny łyk.

– Twego ojca zabito. Może chcesz obiecać, że go pomścisz?

Przesunąłem się nieco w bok, trudno mi było utrzymać się na nogach. Jakaś ręka mocno mnie chwyciła i przytrzymała.

– Nie mogę – wymamrotałem ze wzrokiem utkwionym w klepisko. – Jestem przecież niewolnikiem.

– Bogowie znajdą dla ciebie jakieś wyjście. Twoja nić życia była już tkana, zanim się urodziłeś, chłopcze; myślę, że każdy dobry człowiek dostanie sposobność pomszczenia swoich krzywd.

Kiwałem głową. Straszny widok ojca z jelitami wylewającymi się z brzucha był jedyną rzeczą, jaką zdołałem w tej chwili zobaczyć. Broda zaczęła mi się trząść, ale powstrzymałem się z całych sił, nie mogłem się rozplakać na oczach wszystkich.

– Obiecuj, że pomścisz ojca, chłopcze! – Głos Harald Rudego brzmiał surowo. – On cię widzi i słyszy twoje słowa!

– Oo... Obiecuję – usłyszałem swój głos.

– Dobrze. – Harald podniósł róg. – Wypijmy za to!

Wszyscy wypili. Stałem nadal z rogiem przytkniętym do ust, ale nie byłem w stanie przełykać. Piwo płynęło mi po brodzie i upadłbym, gdyby silna dłoń nie trzymała mnie mocno za ramię. Zebrało mi się na wymioty. Upuściłem róg i usłyszałem własny jęk.

– Chłopak będzie chyba rzygał – powiedział Svein i pociągnął mnie za sobą.

Zabrał mnie na podwórze. Tam upadłem i na czworakach zwymiotowałem. To zupełnie pozbawiło mnie sił, więc przewróciłem się na bok i znieruchomiałem.

Przez chwilę leżałem, dysząc w mroźną zimową noc. Za każdym razem, kiedy zamknąłem oczy, widziałem przed sobą ojca. Zacząłem płakać jak dziecko. Z domu dobiegały wrzaski, kobiety i mężczyźni śpiewali. Nie mogłem rozróżnić słów oprócz słowa „Odyn!” wykrzykiwanego między zwrotkami. Poczułem wściekłość na mężczyzn siedzących w środku. A więc mam pomścić ojca? Jeśli wódz naprawdę tak uważa, chyba może zwrócić mi wolność? Nie jestem przecież w stanie nic zrobić, będąc

w niewoli. Chciałem chwycić niewolniczą obręcz i zerwać ją z szyi, chciałem krzyknąć z wściekłości, ale ledwo udało mi się poruszyć ramionami, a zamiast krzyku wydobył się tylko pisk. Nieco dalej, przy podwórzowym kamieniu, leżał bezgłowy koń w kałuży własnej krwi. Żał mi było tego konia. Czym sobie zasłużył na taki los? Jednak ze zwierzętami było jak z niewolnikami, żyły zdane na łaskę swojego pana.

Próbowałem wstać, lecz udało mi się tylko oprzeć na łokciach i kolanach, potem znowu przewróciłem się na bok. Wtedy dostrzegłem mężczyznę, który siedział na kamieniu podwórzowym. Zdechłego konia nie było, a śnieg dookoła był biały i czysty. Zacząłem czołgać się w tamtym kierunku. Mężczyzna siedział z jedną ręką opartą na kolanie. Drugą trzymał miecz w pochwie. Rękojeść lśniła w świetle księżyca, jakby była ze złota. Długie kasztanowe włosy opadały na okryte płaszczem plecy. Wyglądał, jakby spał. Albo może był znużony długą wędrówką, bo siedział z pochyloną głową, nie poruszając się.

Czołgałem się dalej. Zapytałbym go, kim jest, ale piwo sparaliżowało mi język, nie udało mi się wyartykułować słowa. Mężczyzna poruszył się, jakby się ocknął. Podniósł głowę i spojrzał na mnie. To był Bjørn. Uśmiechnął się pod cienkim wąsem.

– Torstein. Mój brat.

Podniosłem się i poszedłem w jego kierunku chwiejnym krokiem. Bjørn wstał i szedł mi na spotkanie. Wtedy się potknąłem i wylądowałem w kałuży krwi tuż obok zdechłego konia. Bjørn stał teraz nieco dalej od kamienia. Wyjął miecz z pochwy, skierował wzrok na gwiazdy i wzniósł go przed siebie. Na zachód, pomyślałem. Pokazuje na zachód. Potem obrócił się znowu, a ja straciłem przytomność.

Obudziłem się na klepisku w długim domu. Przez otwór w dachu wpadał snop dziennego światła. Ogień wygasł. Uczta ofiarna była skończona. Mężczyźni i kobiety odsypiali pijaństwo na ławach wzdłuż ścian.

Kiedy usiadłem, poczułem dudnienie za czołem. W ustach miałem nieprzyjemny smak. Zauważyłem skórzaną sakiewkę leżącą między moimi łydkami. Była wielkości dwóch pięści i wyglądała na dobrze zasnurowaną.

– Zanieś ją Halfdanowi – usłyszałem głos dobiegający z drugiej strony domu. Svein leżał tam przykryty płaszczem z głową na pośladkach jednej z kobiet.

Podniosłem sakiewkę. Była ciężka.

– Wracaj do domu, niewolniku. I nie myśl sobie, że uda ci się uciec z tym srebrem. I tak cię znajdę. – Pomacał wokół siebie, przewracając jakiś kufel, wreszcie znalazł swój pas i miecz. Żeby podkreślić to, co mówi, położył rękę na pochwie miecza. – Pamiętaj, chłopcze. Prosto do domu. I nie waz się ukraść choćby jednej sztuki srebra.

Wstałem i wziąłem sakiewkę. Piwo nadal siedziało we mnie, stopy nie wiedziały, gdzie podążyć, więc zwyczajnie wlokłem je za sobą, kiedy zataczając się, wychodziłem z budynku. W pobliżu drzwi zobaczyłem mistrza run. Leżał z głową przy ścianie, na piersiach miał wymiociny. Dostrzegłem krew na jego wąsach i na kostkach rąk.

Obok kamienia na podwórku kilka kobiet ćwiartowało konia. Zapytałem, czy widziały młodego mężczyznę poprzedniego wieczoru. Nie rozumiały, o co mi chodzi. We dworze jest przecież wielu młodych mężczyzn.

Znalazłem narty i kij. Z sakiewką srebra w jednej ręce i kijem w drugiej wśliznąłem się między pnie drzew i szybko znalazłem w śniegu podwójną linię, mój ślad prowadzący z powrotem do osady.

Obszedłem szerokim łukiem cały dwór, ale nie znalazłem choćby jednego śladu stóp. Zatrzymałem się. Czy to naprawdę Bjørna widziałem uprzedniego wieczoru, czy to tylko piwo wywołało u mnie wizje? Pokazywał na zachód. A może to w niebo skierował swój miecz? Cekał na mnie gdzieś na zachodzie czy był teraz jednym z einherjerów<sup>11</sup> Odyna lub Frei? Czułem ciężar sakiewki w ręku i chłodny powiew wiatru na twarzy. Ten powiew miał w sobie posmak soli, pochodził od morza. Za srebro mogłem kupić miejsce na statku. Albo nawet kupić własny statek. Zaledwie o kilka dni wędrówki stąd nikt by mnie już nie rozpoznał. Gdyby udało mi się zdjąć obręcz niewolnika i znaleźć miejsce, gdzie statki nie były unieruchomione przez lód, mógłbym odpłynąć i nikt nigdy by się nie dowiedział, co się ze mną stało.

Zaczął padać śnieg. Obejrzałem się. Wszyscy mężczyźni we dworze byli przepici i niewyspani.

Obróciłem narty i poszedłem, jak mi się wydawało, w kierunku zachodnim. Wkrótce dwór za mną zniknął, a ciężkie od śniegu świerki wokół mnie tłumili wszelkie odgłosy. Przystanąłem. Śnieg wciąż padał. Za chwilę moje ślady staną się niewidoczne. Jeśli

tylko pójdę dalej, wkrótce dwór wodza i osada kupiecka przestaną istnieć i moja niewola stanie się ledwie bolesnym wspomnieniem.

Jeszcze jedna odległość strzału z łuku w las. Znowu przystanąłem i obejrzałem się. Jakbym dostrzegł Sveina jadącego konno między drzewami. Wyciągnął miecz z pochwy, a z jego ust doszedł mnie straszny ryk. Biegłem na nartach, słysząc za sobą tętent końskich kopyt. Nagle poczułem, że coś wbija mi się w plecy i wchodzi aż do piersi – przebił mnie mieczem.

Ledwo zdążyłem rozpiąć pas. Stałem, pozwalając, żeby mocz spływał w śnieg, a we mnie wzbierała coraz większa pewność, że nie jestem ani odważny, ani wolny. Dlatego na takich jak ja nie potrzeba było łańcucha. Wróciłem do niewoli, nie miałem odwagi postąpić inaczej.





## 5

### Smok

**P**o powrocie do osady wręczyłem Halfdanowi srebro. Leżał, sycząc i kaszląc, na posłaniu i ledwo dostrzegł, że wszedłem. Ale kiedy poczuł srebro w rękach, stał się żywszy. Wygramolił się ze skór, otworzył sakiewkę i zaczął wykładać na stół sztuki srebra i monety, uważnie przyglądając się każdemu kawałkowi i każdej monecie. Niektóre rozpoznał, pokazał mi je, mrużąc, że to jego srebro, które zarobił w uczciwy sposób, ale synowie Haralda zabrali mu je jako daninę. „A była to danina za nic”, powiedział gorzko, mamrocząc zaraz potem, że Harald Rudy jest jak pijawka wysysająca z ludzi krew. Może hersir nawet był wart daniny przedtem, kiedy po wybrzeżu grasowali zbójcy, ale nie teraz. Teraz tylko siedział beczynnie, tusty i chciwy.

Zapytałem Halfdana, czy ktoś przybył do osady podczas mojej nieobecności. „Młody mężczyzna, powiedziałem, o długich kasztanowych włosach i z mieczem u pasa. Pojawił się tu taki człowiek, kiedy byłem na uczcie ofiarnej?”

Halfdan pokręcił głową. Nikt nie przybył do osady. Nikt tu przecież nie przybywa zimą. Potem zerknął na mnie z ukosa. Dlaczego o to pytam?

Kiedy powiedziałem mu, że tam, na podwórku, widziałem brata, uśmiechnął się szyderczo i wrócił do oglądania srebra. „Piwo może powodować wizje”, zamruczał i zaczął przyglądać się jednej z monet pod światło. A jak zna Haralda Rudego, toastów u niego pewnie sobie nie żałowano.

Pracowałem przy byrdingu cały dzień aż do późnego wieczoru. Ponieważ zbliżał się czas osadzenia kolejnej klepki, Halfdan wywlókł się z chaty, by pokazywać i wyjaśniać,

jak mam zagotować masę uszczelniającą i nanosić na miejsca spojenia. Była to gęsta mieszanina wełny, odrobiny włosia końskiego i smoły. Wymiotowałem kilkakrotnie tego dnia, bo gorzki zapach masy w połączeniu ze smakiem piwa z poprzedniego wieczoru wywoływał mdłości.

Halfdan wbił pierwsze nity, podczas gdy ja trzymałem klepkę poszycia. Później poprosił mnie, żebym unieruchomił ją kilkoma kołkami i obłożył kamieniami, po czym powlókł się z powrotem do chaty. Wyglądało to łatwo, kiedy robili to bracia, ale żeby klepka leżała, jak należy, potrzeba było precyzyjnego chwytu i siły.

Następnego dnia kontynuowałem pracę nad nową klepką. Halfdan nie opuszczał posłania tego dnia, ale marudził, żebym nie żałował smoły. Kiedy zapytałem, dlaczego łódź ma być szczelna, przecież zostanie użyta do pochowania Haralda Rudego, odwrócił się do mnie tyłem i coś tam wymamrotał.

Może nadal miał nadzieję, że synowie wrócą i zabiorą go stąd. A jeśli ta łódź miała ich unieść, musiała być szczelna i bardziej wytrzymała niż łódź pogrzebowa. Przyciąłem starannie klepkę z poprzedniego dnia i wbiłem młotkiem ostatnie nity. Potem zrobiłem kilka kroków do tyłu i uważnie przyjrzałem się byrdingowi. Według mnie przypominał zwierzę. Stewa rufowa była ogonem, a dziobowa głową. Leżał na podwórzu z brzuchem w śniegu, tęsknie spoglądając na pokrytą lodem zatoczkę. Nigdy tam nie dotrze, pomyślałem. Zostanie zaciągnięty przez konie do lasu, a służba z dworu wodza obłoży go kamieniami, tak żeby wszystko było gotowe na dzień, w którym Harald Rudy wyruszy w podróż do Asgardu.

Później tego dnia zerwała się zawierucha. Najbardziej zrujnowane chaty handlarzy, te, które już od kilku sezonów stały opuszczone, zostały przewrócone przez wiatr. Halfdan siedział w chacie i robił wrażenie zrezygnowanego, leżąc i gapiąc się pustym wzrokiem przed siebie. Wyciosałem jeszcze jedną klepkę poszycia i przygotowywałem ją do osadzenia na stałe. Byłem też ze srebrem u kowala, bo potrzebowaliśmy więcej nitów. Przez następne dni dobiegał nas odgłos z kuźni i dzięki temu osada jakby na nowo ożyła, choć tylko na chwilę. Stary Othgar przyszedł na podwórze i stał długo, przyglądając się mojej pracy, potem wszedł do Halfdana i wypił z nim kufel piwa. Bjørn Bednarz przyszedł, tocząc beczkę, uznawszy, że przyda się na pokładzie;

zapewne dowiedział się, że Halfdan dostał srebro od wodza. Ale musiał ją zabrać z powrotem. Halfdan nie miał zamiaru kupować żadnej beczki, skąpił srebra. Pewnie chciał je schować dla swoich synów.

Zawierucha trwała ponad tydzień. Potem przyszedł znowu mróz i podwórze pokryło się lodem. Fenre ślizgał się po nim na swoich trzech łapach przez jakiś czas, ale potem zrezygnował i ciągnął za sobą tylną część ciała. Halfdan po raz pierwszy od długiego czasu wyszedł na zewnątrz. Stał przez chwilę w drzwiach, patrząc zmrużonymi oczami na słońce. Potem ostrożnie posunął się w stronę stołu, gdzie położyłem narzędzia. Chwycił jeden z młotków i dłuto, zakaszał, splunął i powłókł się do lasu. Dotarłszy na jego skraj, obejrzał się, jakby chciał się upewnić, że nadal pracuję, po czym znikł między drzewami. Później usłyszałem odgłos kucia w kamieniu.

Wrócił dopiero wieczorem. Nagle stanął na podwórzu, kiwnął na mnie, chcąc, żebym poszedł za nim. Ja i Fenre weszliśmy z nim między drzewa. W odległości strzału z łuku wykuł w jednym z kamieni runy. Powiedział, że teraz kamień jest przymarznięty do ziemi, ale na wiosnę mam po niego pójść. Jestem młody i silny, na pewno dam radę przenieść kamień na jego, Halfdana, miejsce spoczynku. Przeczytał mi runy: „Tutaj leży Halfdan, syn Magnusa, ojciec Håkona i Sigurda”.

Teraz było tak, jakby same Norny szepnęły staremu, że jego dni są policzone. Następnego ranka znowu dostał gorączki, macał bezradnie dookoła siebie i jęczał, że chce kufel piwa. Później narzekał, że mu zimno, a jeszcze później westchnął głęboko i leżał cicho z szeroko otwartymi oczami. Przez chwilę myślałem, że nie żyje, ale przez wynędzniałe ciało przeszedł dreszcz.

– Łódź – wyszeptał. – Buduj łódź.

Kontynuowałem pracę wczesnym rankiem. Halfdan już nie wychodził, żeby pokazywać i wyjaśniać, jak należy wszystko zrobić. Musiałem dawać sobie radę sam. I to nie tylko dlatego, że Halfdan mnie o to poprosił. Zdecydowałem, że sam dokończę byrding. Harald Rudy traktował mnie niemal jak wolnego męża podczas uczyty ofiarnej. Jeśli zobaczy, że zbudowałem dla niego łódź, może zdejmie ze mnie obręcz niewolnika? Być może po śmierci Halfdana mógłbym zostać nowym skutnikiem w osadzie.

Dlatego pracowałem długo i ciężko. Smołowałem łódź tak, jak nakazał mi Halfdan.

Chociaż był teraz chory, nie miałem odwagi się mu sprzeciwić. Wiedziałem, że jest to niepotrzebne na łodzi pogrzebowej, ale i na to miałem gotową odpowiedź. Svein przyjechał konno któregoś dnia, podjechał do byrdinga i spojrzął z ukosa na masę uszczelniającą między klepkami. Chciał wiedzieć, dlaczego poświęcam czas na uszczelnienie łodzi pogrzebowej.

– Niewykluczone, że po drodze do Asgardu jest morze – powiedziałem, co spowodowało, że syn wodza wbił we mnie spojrzenie niebieskich, głęboko osadzonych oczu. Cały czas patrząc na mnie, podjechał bliżej i trącił mnie w ramię stopą. Zrobiłem krok do tyłu. Podjechał jeszcze bliżej i znowu mnie trącił. Potem na jego ustach pojawił się drwiący uśmiech i odjechał.

Przez następny miesiąc nikt z dworu nie przyjeżdżał, żeby obejrzyć łódź. Nie pojawił się też nikt inny. Chociaż osada nie była całkowicie opuszczona, wydawało się, że ci, którzy zostali, są wystarczająco zajęci przetrwaniem zimy. Rąbali drewno i zastawiali sidła w lesie. Widziałem, jak zjeżdżają ze wzgórz na nartach z leśnym ptakiem czy zającem przytroczonym do pasa. Siedzieli na łodzi, łowiąc ryby. Ja też musiałem wkrótce zdobyć jakieś pożywienie, bo spiżarnia Halfdana ze zbożem i suszonym mięsem zaczynała świecić pustkami. Ale cały swój czas poświęcałem budowie łodzi. Byrding nie należał do największych, był krótki i wąski. Tylko że nigdy wcześniej nie wykonywałem takiej pracy i klepki, które już przybiłem nitami, obluzowały się. Ze swojego posłania Halfdan wymruczał, że muszę je ponownie zdjąć i zanurzyć w wodzie na kilka dni. Potem należało je ogrzać nad ogniem i osadzić na nowo.

Zrobiłem tak, jak powiedział stary. Pięć dni trzymałem je pod lodem, po czym rozpałem podłużne ognisko, prawie tak długie jak łódź, i położyłem nad nim deski, żeby odparowały. Teraz były giętkie, dawały się formować jak glina.

Dni zrobiły się dłuższe. Ponieważ miałem teraz więcej światła dziennego, udawało mi się zrobić więcej. Przymocowałem górne klepki i wyciosałem ławeczki. Nadszedł czas na znalezienie materiału na wręgi, które należało umieścić wewnątrz łodzi, żeby utrzymywały klepki na miejscu. Musiałem też wyszukać materiał na maszt i wiosła. Cała ta praca zajęła mi prawie pół miesiąca i rad byłem z tego, że przeważnie przebywałem w lesie. Svein pewnie by przyjechał i wypytywał, po co robię wręgi,

maszt i wiosła, nie będą przecież potrzebne na łodzi pogrzebowej. I znowu trącałby mnie stopą albo jeszcze gorzej.

Kiedy wróciłem z ostatnim wiosłem, zobaczyłem Halfdana siedzącego w drzwiach.

– Klepki – wyjęczał, gdy pomogłem mu się podnieść. Wymachiwał ręką w kierunku łodzi. – Nie leżą równo względem siebie, chłopcze. Stąd to widzę. Będzie przeciekała.

Udało mi się doprowadzić go z powrotem do posłania. Okryłem go skórami, a on odetchnął ciężko i zamknął oczy.

W ciągu następnych dni zdjąłem wszystkie klepki, oprócz tych, które przymocował Halfdan z dwoma braćmi. Próbowałem najpierw zdrapać z nich gęstą masę uszczelniającą, ale już zeszywniała. Oczyszcziłem je, ogrzewając nad ogniskiem, ale niektóre się wypaczyły, a inne zaczęły się palić i w końcu zniszczyłem połowę. Nie było innej rady, jak pójść do lasu i wyciosać nowe. Zbliżał się koniec trzeciego miesiąca zimowego i robiło się coraz cieplej. Lód trzaskał w zatoczce. Przyłapałem się na tym, że stoję i spoglądam na morze. Postanowiłem skończyć budowę łodzi przed nadejściem wiosny, ale teraz wydawało się to niemożliwe.

Ale miałem trzynaście lat i nawet niewolnicza obręcz na szyi nie była w stanie uśmiercić młodzieńczej zuchwałości, z którą obudziłem się następnego dnia. Z przygiętym karkiem wszedłem do zimowego lasu i zanim zaszło słońce, udało mi się ściąć i pozbawić gałęzi wystarczającą liczbę drzew na nowe klepki. Zająłem się nimi następnego dnia.

Wieczorem znowu przyjechał Svein. Siedział w siodle i patrzył zmrużonymi oczyma na usunięte przeze mnie klepki, a ja siedziałem z Fenrem w chacie, nie mając odwagi wyjść na zewnątrz. Wreszcie sobie pojechał.

Nazajutrz wiatr przyniósł odwilż z południa. Byłem w lesie i ociosywałem pień sosny. Pomyślałem, że nadaje się na wiosło sterowe. Ta praca zajęła mi cały dzień, więc dopiero kiedy wróciłem, ujrzałem to: lód na zatoczce pękł. I jakby sami bogowie zadecydowali, że do osady wiosna zawita wcześniej, wiatr zmienił się, gdy tam stałem. Teraz wiał od lądu i po chwili kry zaczęły dryfować w kierunku otwartego morza.

– Wiosna przyszła – powiedział nagle Halfdan tego wieczoru. Leżał wśród skór,

a spojrzenie miał niezwykle klarowne. – Wkrótce przypląną moi synowie i zabiorą mnie stąd.

Śnieg stopniał i wkrótce brzozy pokryły się zielonymi liśćmi. Pracowałem nad deskami od rana do wieczora, stwardniała skóra na moich rękach popękała i krwawiła, ale nie przejmowałem się tym. Przycinałem deski tak, że były równe i ładne po bokach. Najpierw przykładałem je do siebie, a potem strugałem, aż w końcu przylegały do siebie zupełnie płasko. Svein przyjeżdżał i objeżdżał mnie dookoła, naśmiewając się. Do nadbrzeża przybiła pierwsza knara i stoczono z niej na pomost beczki. Dwaj myśliwi, których nie było przez całą zimę, przywędrowali niespiesznie z długimi łukami na ramieniu, a Othgar Bursztynnik znowu przeniósł się na ulicę. Gotowałem wełnę, końskie włosie i smołę i porządnie smarowałem miejsca złączeń. Wyciągnąłem nity wbite w zniszczone klepki i użyłem ich ponownie. Teraz kiedy wiedziałem, jak to wszystko robić, praca szła łatwiej.

W ciągu pierwszego miesiąca wiosny wróciła większość tych, którzy opuścili osadę przed nadejściem zimy. Pięć knar i jeden langskip aż z Jutlandii kotwiczyło w zatoczce i wkrótce było tak jak przedtem. Mężczyźni z obcych portów kręcili się po osadzie, odgłosy z kuźni słyhać było od rana do wieczora. Prząśnicy wełny znowu przędli, a myśliwi rozproszyli się po lesie, zastawiając sidła. Ragnar i jego brat jeszcze nie wrócili. Miałem nadzieję, że w ogóle nie przybędą. Teraz kiedy łódź była już niemal gotowa, nie chciałem, żeby odebrali mi ten honor. Po skończonej pracy chciałem pójść do Haralda Rudego i powiedzieć mu, że to ja ją zbudowałem. Wiedziałem, że Svein i może inni synowie wodza uznają to za bezczelność, ale wódz traktował mnie jak prawie równego sobie podczas uczty ofiarnej. Dlatego żywiłem nadzieję, że da Halfdanowi nieco więcej srebra i wykupi mnie, jeśli okaże się wystarczająco zręczny.

Nie rozmawiałem o tym z Halfdanem. Podobnie jak tej zimy, w ogóle o niewielu rzeczach z nim rozmawiałem. Mówił do mnie tylko wtedy, kiedy chciał coś zjeść, napić się piwa albo potrzebował cebrzyka, żeby załatwić potrzebę.

I może głupotą było rozmyślanie o wolności. Dlaczego Harald Rudy miałby mi ją zwracać? To nie on o tym zdecydował. Należałem do Halfdana. Pamiętam, że pewnego dnia, kiedy o tym rozmyślałem, dopadło mnie rozżalenie; stałem z siekierą i wycinałem

jeszcze jedną klepkę. Nagle przestałem rąbać, podniosłem siekierę i przyszło mi do głowy, że powinienem iść, a jeśli ktoś próbowałby mnie zatrzymać, zabiłbym go. Ale potem wściekłość mnie opuściła i zrozumiałem, że to daremne. Nie jestem taki jak Harald Rudy i jego synowie. Nie jestem wojownikiem.

Tego wieczoru siedziałem, przyglądając się starcowi na posłaniu. Leżał na plecach, jak zwykle. Od czasu do czasu przez jego nogę albo ramię przechodził dreszcz. Wyglądało to tak, jakby śnił.

Spędziłem noc pod baranicą przy palenisku. Fenre leżał przytulony do mnie, miał ciepłą sierść. Ale tej nocy nie mogłem się odprężyć. Ciągłe się budziłem. Może to wiatr w drzewach. Słyszałem, że jest coraz silniejszy. Może przeczuwałem w jakiś sposób to, co miało nastąpić, co wkrótce miało wszystko odmienić.

O świcie miałem już na sobie tunikę i spodnie. Rozdmuchałem żar w palenisku, dałem Fenremu wody i kawałek ryby i usiadłem przy stole, czekając, aż Halfdan się obudzi. Nalałem mu piwa do kubka i przyglądałem się nieruchomej postaci. Jedna ręka zwisała przez rant łóżka. Zazwyczaj tak nie leżał. Podniosłem się, podszedłem do niego i spojrzałem w stare, spracowane oblicze. Wtedy to do mnie dotarło. Usiadłem z powrotem przy stole i rozmyślałem o tym. Znowu byłem przy nim. Dotknąłem jego czoła. Był już chłodny. Musiał umrzeć w nocy.

Długo siedziałem przy stole. Nie czułem żałoby po zmarłym. Może bym ją nawet czuł, gdyby nie to, że bardzo się bałem. Bo co teraz stanie się ze mną? Może powinienem natychmiast pobiec do dworu i powiedzieć, co się stało. A co, jeśli mi nie uwierzą? Co, jeśli pomyślą, że go zabiłem w nadziei na wyzwolenie?

Gdy tak siedziałem, usłyszałem stąpanie konia na podwórzu. Ktoś z niego zsiadł, zaskrzypiały wióry za drzwiami.

– Halfdan?

To był głos Sveina. Fenre zaczął warczeć. Nie lubił Sveina.

Ktoś chwycił za drzwi. Zerwałem się.

– Jesteśmy tutaj. My... już idę!

Rzuciłem się do drzwi i wysliznąłem na zewnątrz. Svein stał tuż przede mną, wiatr rozwiewał mu płaszcz. Jedną rękę trzymał na rękojeści miecza, drugą miał zatkniętą za pas.

– Niewolniku – rzekł i splunął pogardliwie w wióry. – Czy Halfdan jest w domu?

– On... On śpi – powiedziałem.

Svein spojrzał zmrużonymi oczami w dół na zatoczkę.

– Szukam mistrza run. Widziałeś go? Mówił o tobie wczoraj, więc pomyślałem, że może przyszedł tutaj.

Pokręciłem głową.

– Nie ma go od wczoraj – wymruczał Svein. – Przyjdź i powiedz, jeśli go gdzieś zobaczysz.

Svein podszedł do konia i wspiął się ociężale na siodło. Dopiero teraz odważyłem się podnieść wzrok. Syn wodza chwycił uzdę i przez chwilę przyglądał się łodzi. Była już niemal gotowa. Górne klepki były osadzone i naprężone, pozostało jedynie przytwierdzić je nitami.

Zaczekałem, aż Svein zniknie między drzewami, i zacząłem młotkiem wbijać nity. Nie miałem odwagi zrobić inaczej. Jeśli zaprzestałbym pracy, ludzie zrozumieliby, że coś jest nie tak. Może by tu przyszli i dopytywali o Halfdana. Może weszliby do chaty i wtedy by go znaleźli. Co, jeśli Svein powiedziałby im, że to moja wina, że to ja uśmierciłem starego? Zabiliby mnie.

Zajęty pracą cały czas zerkąłem w dół na drewnianą ulicę. A co, jeśli Ragnar i jego brat wrócą? Przyjdą tutaj i zechcą rozmawiać z Halfdanem. Ragnar mnie nie lubił. On też prawdopodobnie zrzuciłby winę na mnie.

Kiedy zamocowałem górne klepki, usiadłem plecami do drzwi chaty i zacząłem ostrzyć siekierę. Fenre wczołgał się między moje nogi i skulił się, tak jakby sam też odczuwał strach. Jak się ściemni, powinienem zanieść Halfdana do lasu. Musiałem go ukryć, wtedy pomyślą może, że wyjechał. Potem trzeba by biec i zatrzymać się daleko, daleko stąd.

Gdy się ściemniło, znowu usiadłem przy stole. Nie jadłem przez cały dzień, ale nadal nie miałem ochoty na jedzenie. W ciągu dnia usta Halfdana szeroko się otworzyły



i wydobywał się z nich przykry zapach. Tak jakby coś gniło w jego wnętrzu.

Próbowałem zebrać się na odwagę, żeby podejść i podnieść go. Lecz takiej odwagi widocznie we mnie nie było, bo pozostałem przy stole i nic nie mogłem zrobić. Przez chwilę myślałem, żeby wziąć ze sobą srebro i pójść do Haralda Rudego. Gdybym oddał mu srebro, chybaby mnie nie podejrzewał. A może właśnie wtedy zaczęłby mnie podejrzewać, potraktowałby to jako zadośćuczynienie, tak jakbym próbował wykupić się od zabójstwa.

Więc pozostałem i siedziałem. Tego wieczoru nie rozpałem paleniska i nie położyłem się jak zwykle na skórze razem z Fenrem. Nadal siedziałem w ciemnościach.

Wreszcie musiałem chyba zasnąć przy stole, bo kiedy się obudziłem, nie było ciemno. Przez szczeliny dookoła drzwi przenikało światło. Wydawało mi się, że słyszę krzyk na zewnątrz, głos mężczyzny, ale potem znowu zrobiło się cicho. Podniosłem się. Nogi miałem zeszywniałe po nocy spędzonej na zydlu. Fenre już nie spał. Stał przy drzwiach i wyglądał na niespokojnego, chciał zapewne wyjść na zewnątrz.

Wtedy znowu to usłyszałem. Krzyk. Jakby dobiegający z nadbrzeża.

Zobaczyłem to natychmiast, jak wyszedłem na zewnątrz. Do zatoczki wpływał długi statek. Wiosła uderzały miarowo o wodę. Żagiel był zdjęty, maszt położony. Mężczyźni na ławkach wiosłarskich poruszali się bardzo rytmicznie. Ze szczytu rufy dziobowej widoczna była pomalowana na czerwono głowa smoka z otwartą paszczą. I zrozumiałem. To był smok, o którym mówił mistrz run.

Statek z hukiem uderzył w nadbrzeże. Przełamał pierwszy pomost, wbił się dziobem w drugi i tam się zatrzymał. Na pomoście ktoś stał, chyba jeden z nowo przybyłych myśliwych. Zdołał tylko wydać z siebie okrzyk, gdy jeden z mężczyzn na pokładzie podniósł się z długim łukiem w rękę. Myśliwy zrobił kilka kroków do tyłu, zobaczyłem strzałę w jego piersi, kiedy wyrzucił się i wpadł do wody.

Mężczyźni na pokładzie odczepiali tarcze z nadburcia. Usłyszałem ich ryk, gdy wyskakiwali na pomost. Wyglądało na to, że większość uzbrojona jest w topory, oprócz dwóch, którzy ustawili się z długimi łukami w rękę. Mężczyźni rozbiegli się między domami, kopnięciem otwierali drzwi, usłyszałem krzyk kobiet. Othgar Bursztynnik wybiegł na drewnianą ulicę, zaraz potem strzała utkwiała w jego boku, ale nie zwracając

na to uwagi, biegł do góry w moim kierunku, krzycząc, że musimy uciekać do dworu, musimy zaalarmować Haralda Rudego. Nie mogłem się poruszyć. Jakby ryk dzikich mężczyzn mnie sparaliżował i mogłem tylko patrzeć, jak rąbią mieczami tych, którzy wybiegają z chat, zaspani i na wpół ubrani, niemal niezdolni do obrony. Niektórzy mieli kije i młoty, inni usiłowali założyć cięciwy na długie łuki. Bjørn Bednarz wyskoczył ze swojego warsztatu uzbrojony w topór i wbił go w czaszkę jednego z napastników, ale nie zdążył go nawet oswobodzić, kiedy inny wbił mu włócznię w gardło. Dziewczynka przybyła tu z matką zaraz potem jak zniknął śnieg, została wyciągnięta z warsztatu, gdzie przedzono wełnę pośrodku drewnianej ulicy. Może czarnobrody mężczyzna, który ją chwycił, miał zamiar zabrać ją jako niewolnicę. Ale strasznie się wyrywała z jego rąk, więc nagłym ruchem wyciągnął nóż i poderżnął jej gardło. Krew trysnęła strumieniem z boku szyi, a czarnobrody podniósł wzrok i zobaczył mnie. Wytarł nóż we włosy dziewczynki i schował do pochwy, a potem wyciągnął wiszący u pasa topór.

Pamiętam, że się rozplakałem. Stałem przy chacie Halfdana Szkutnika i płakałem jak dziecko. Wzrok miałem utkwiony w ziemi, słyszałem krzyki dochodzące z domów i nie miałem odwagi się ruszyć. Słyszałem kroki czarnobrodego, zbliżał się do mnie. Wiedziałem, że teraz czeka mnie śmierć.

Ojciec powiedział mi kiedyś, że dobry pies jest w walce wart dwóch ludzi. Teraz usłyszałem warkot psa. To mały, trójnogi Fenre stał tuż przede mną ze zjeżoną sierścią na karku i obnażonymi zębami. Nigdy przedtem tego nie słyszałem. Wydawał z siebie zaskakująco gardłowy, głęboki warkot. Ten dźwięk wyrwał mnie z odrętwienia, podniosłem wzrok i zobaczyłem, że czarnobrody jest tylko kilka susów ode mnie. Szybko chwyciłem Fenrego pod pachę i pobiegłem w kierunku lasu.

Przebiegłem prawie połowę ścieżki prowadzącej do dworu wodza, kiedy spostrzegłem starego Othgara. Osunął się na ścieżce. Upuściłem Fenrego na ziemię. Kiedy podszedłem do niego, żeby pomóc mu się podnieść, odepchnął mnie.

– Nie, zostaw. Uciekaj stąd, chłopcze.

Pobiegłem dalej. Fenre biegł za mną, udawało mu się nadążyć na swoich trzech łapach. Wkrótce byłem we dworze, ale Harald i jego synowie musieli usłyszeć krzyki, gdyż mieli już na sobie kolczugi i wsiadali na konie. Harald Rudy dwukrotnie okrążył

na koniu kamień ofiarny na podwórzu, mieczem wskazując wyryte na nim runy. Wokół stała służba, większość z kołczanami wypełnionymi strzałami i z łukami cisowymi w rękach, niektóre rozpoznałem jako własne dzieło.

Stałem nadal na skraju podwórza. Starsza kobieta zanosila się płaczem. Dwie inne, o wiele młodsze kobiety, obejmowały ją. Harald Rudy wydawał się jej nie widzieć. Teraz podano mu hełm. Włożył go na głowę. Pokryta rdzawymi plamami maska zakryła mu twarz aż po brodę, teraz nie był już starym, brzuchatym włodarzem kupieckiej osady, tylko wojownikiem z samego Asgardu. Ruszył stępa w moim kierunku, a przejeżdżając koło mnie, rzucił:

– Uciekaj stąd, chłopcze. Nie musisz dzisiaj umierać.

Więc pobiegłem. Ale nie byłem jedyny. Podczas gdy Harald Rudy, jego synowie i reszta mężczyzn z dworu pojechała w stronę osady, kobiety i dzieci ruszyły w przeciwną stronę. Niosły ze sobą dywany, skóry zwierzęce, łuki, kołczany; jedna z dziewczynek miała pod pachą szczeniaka.

Pobiegłem z nimi dobry kawał w kierunku lasu i się zatrzymałem. Za nami były zdeptane paprocie, obłamane gałęzie, na wilgotnym leśnym poszyciu było mnóstwo śladów stóp. Jeśli Haraldowi i jego ludziom nie uda się powstrzymać napastników, ci ruszą do dworu, żeby go splądrować. Zobaczą ślady i pójdą nimi, żeby wziąć kobiety i dzieci jako łup.

Znajdowaliśmy się teraz na płaskim, pokrytym lasem terenie w rejonie zatoczki. W odległości zaledwie kilku strzałów z łuku w kierunku północno-zachodnim było wzniesienie stanowiące granicę między terenem osady a lądem w głębi. Rabusie będą trzymali się wody, pomyślałem. Raczej nie oddalą się zbyt od statku.

Najpierw próbowałem wołać do pozostałych. Musimy zawrócić, musimy uciekać wyżej. Te słowa spowodowały we mnie przemianę. Nie byłem już nieletnim niewolnikiem, tylko mężczyzną. Miałem uratować kobiety i dzieci z dworu, poprowadzić je w bezpieczne miejsce. Nie pamiętam, czy zrobiłem to, mając nadzieję, że wdzięczny Harald podaruje mi wolność, czy dlatego, że bałem się uciekać stamtąd sam. Tak czy owak, mogłem zaoszczędzić sobie tych słów, bo nikt mnie nie słuchał. Kobiety i dzieci były jak stado przerażonych zwierząt, ślepe na wszystko dookoła.

Wkrótce ja i Fenre znaleźliśmy się na wzgórzu. Wdrapałem się na sosnę i rozglądałem po osadzie. Statek, którym przyплыnęli napastnicy, stał nadal wśród rozbitych pomostów. Kilku mężczyzn wrzucało na pokład różne przedmioty. Dywany, skóry, worki ze zbożem. Błysnęło srebro albo złoto, kiedy któryś z nich podniósł jakiś przedmiot pod słońce. Wyglądał na puchar albo wielki kufel, trudno było zobaczyć dokładnie z tej odległości. Skądś dobiegł krzyk. Brzmiał chyba jak głos mężczyzny, ale nigdy przedtem nie słyszałem człowieka wydającego z siebie taki dźwięk. To było wycie umierającego, tyle zrozumiałem. Potem wycie nie było już tak głośne, przeszło w przejmujący płacz, po czym wszystko ucichło.

Nadal siedziałem na drzewie. Po chwili spróbowałem z niego zejść, ale jakby znowu mnie sparaliżowało, ramiona i nogi były odrętwiałe, nie mogłem się ruszyć. Widziałem mężczyzn przeszukujących domy, jeden z nich był teraz na podwórzu Halfdana. Staął, przyglądając się byrdingowi, potem kopniakiem otworzył drzwi chaty i wszedł do środka.

Nie zabawił tam długo, bo inni już gromadzili się na nadbrzeżu. Kilku niosło rannego mężczyznę. Wzięli go na pomost. Myślałem najpierw, że to któryś z nich. Ale kiedy wnieśli go na pokład, założyli mu pętlę na szyję. Dwóch mężczyzn chwyciło go za ramiona i postawiło twarzą do masztu. Trzeci podszedł do niego z długim nożem.

Jeniec krzyknął, kiedy nóż zatopił się w jego plecach. Przywoływał Odyna, a ja rozpoznałem jego głos. To był Harald Rudy. Jego krzyk przeszedł w ochrypły skowyt, a potem całkowicie ucichł. Zawisł na linie, podczas gdy tamci rozcinali mu plecy. Potem wyciągnęli coś czerwonego, podciągnęli go za szyję, wierzgającego nogami, bo nadal żył. Mężczyźni na pokładzie podnieśli topory nad głowę i wydali z siebie przeciągły okrzyk „Oooouuu-ooouu!”.

Wtedy zlazłem z sosny. Zwrócony plecami do osady, wspinałem się coraz wyżej na wzgórze. Tutaj podłoże było bardzo kamieniste, więc mogłem iść, nie zostawiając śladów. Kiedy dotarłem do szczytu, zatrzymałem się i spojrzałem za siebie. Teraz rabusiom udało się dorwać konie. Już byli w drodze do góry po drewnianej ulicy. Ponieważ koni nie wystarczyło dla wszystkich, reszta bandy podążała za nimi pieszo. Każdy miał po kilka pochodni, które wtykali pod dachy domostw.

Chata Halfdana również została podpalona. Potem mężczyźni znikli w lesie. Ścieżka

zaprowadziła ich do dworu wodza, a stamtąd łatwo już było podążać śladami. Wkrótce będą z powrotem z niewolnikami.

Szedłem dalej. Musiałem opuścić to miejsce i nie wolno mi było oglądać się za siebie. Gdyby ktoś z osady przeżył, pomyśli, że jestem wśród zabitych, że moje ciało spłonęło razem z chatami. Albo że zostałem uprowadzony i wywieziony daleko stąd. Nikomu nie będzie mnie brakowało. Jeśli teraz uda mi się stąd uciec, będę wolny.

Nagle uderzyłem stopą w wystający korzeń i się potknąłem. Natychmiast wstałem, ale nie poszedłem dalej. Srebro. Skrzynia Halfdana była dobrze ukryta. Może jej nie znaleźli.

Obróciłem się w stronę zatoczki. Na statku było dwóch mężczyzn. Poza tym nikogo nie widziałem. Jeśli udałoby mi się wejść do chaty, zanim wrócą, mój los całkowicie by się odmienił. Bo nie chodziło tylko o srebro. Była też kolczuga i hełm, no i żagiel. Taki żagiel, słyszałem, był wart tyle, co statek. Gdyby udało mi się go zabrać i gdyby udało mi się zdjąć obręcz, nie byłbym już niewolnikiem. Byłbym wolny i do tego bogatszy niż większość ludzi. Mógłbym popłynąć na zachód i poszukać Bjørna.

Pobiegłem w kierunku osady, ale nie ubiegłem daleko, kiedy znowu gwałtownie się zatrzymałem. Ponownie pojawił się strach, zobaczyłem zmalretowane ciało Haralda zwisające z masztu i chciałem zawrócić.

Ale może ojciec szepnął mi z wysokości Asgardu, że jest to dla mnie próba, teraz bogowie mogą zobaczyć, na jakiego mężczyznę wyrosnę. Mam duszę niewolnika czy wojownika? Fenre stał już dobry kawał w dół na zboczu i czekał na mnie.

Kiedy dotarłem do zabudowań, większość chat stała w płomieniach. Zbliżyłem się ukradkiem między drzewami i wkrótce byłem już na podwórzu Halfdana. Chata płonęła, ale ogień nie objął jeszcze ścian. Nie widziałem nikogo ani na podwórzu, ani na dole drewnianej ulicy.

Najpierw schowałem się za byrdingiem i spojrzałem na ulicę. Nadal byłem sam. Rzuciłem się w kierunku chaty. Wewnątrz było gęsto od dymu. Musiałem się pospieszyć.

Fenre stanął w drzwiach, kiedy ja wskoczyłem do środka. Zapiszczał. Był przerażony. Sam byłem przerażony, gorąco buchnęło w moją stronę. Halfdan leżał dokładnie tak, jak go zostawiłem, rabusie go nie ruszyli. Resztę chaty wyrócili do

góry nogami. Kubki i naczynia pozrzucał na podłogę, koce i narzędzia leżały w nieładzie. Ale stołu nie ruszyli, a skóra przykrywająca wieko skrzyni nadal leżała na swoim miejscu.

Otworzyłem ją. Niczego nie brakowało. Sakiewka ze srebrem, hełm, kolczuga, głowica topora i na samym dnie – złożony żagiel.

Ponieważ skrzynia była zbyt ciężka, żebym mógł ją podnieść, wyłożyłem wszystkie przedmioty na baranicę. Pociągnąłem ją po podłodze do drzwi. Oczy mnie piekły, ledwo mogłem oddychać. Dach zatrzeszczał i nagle przez chmurę dymu płomień buchnął w dół. Chwiejnym krokiem wycofałem się przez drzwi i opadłem ciężko na ziemię. Fenre zaczął szczekać. Przetarłem oczy i miałem właśnie wyciągnąć skórę z chaty, kiedy tuż nad sobą zobaczyłem postać. Coś błyszczącego poleciało w moją stronę, zrobiłem unik. Mężczyzna podniósł topór, szykując się do kolejnego ciosu. Zerwałem się i gdy zamierzył się toporem na mój brzuch, ledwo udało mi się zrobić unik. Ale topór wrócił jak wahadło, napastnik uderzył tylną częścią żeleźca i trafił mnie w udo. Cios zwałił mnie z nóg.

Najpierw nie poczułem bólu. Widziałem jedynie wojownika szczerzącego zęby w wielkiej, płowej brodzie i jego sękate, brudne paluchy zaciśnięte na drzewcu topora. Odczołgałem się do tyłu. A ponieważ nie było innego miejsca, gdzie mógłbym się schować, wczołgałem się do płonącej chaty.

Pamiętam, że płakałem. Przez dym widziałem mężczyznę na zewnątrz. Fenrego nie widziałem ani nie słyszałem. Nie słyszałem nic oprócz płomieni.

Nie wiem, jakie myśli przebiegały mi przez głowę, kiedy tam siedziałem. Ale chyba sami bogowie szeptali do mnie. Bo jakże inaczej znalazłbym w sobie odwagę, żeby zrobić to, co zrobiłem? Podnoszę się. W ręku mam żeleźce topora ze skrzyni Halfdana. Gorąco pali mnie ze wszystkich stron. Dym oślepia. Jednak ciągle widzę postać stojącą na zewnątrz i nagle wyskakuję przed chatę. Rzucam się na niego. Walę żeleźcem topora w jego twarz raz za razem. Teraz on leży pode mną, a ja siedzę na nim okrakiem i uderzam żeleźcem, aż nie widać już twarzy, a broda to tylko krwawy kłęb. Wpadam do wnętrza chaty, prawie nie zwracam uwagi na żar, wywlekam z niej skórę. Potem wkładam na siebie starą kolczugę Halfdana. Na głowę wkładam hełm i zawijam sakiewkę ze srebrem i zakrwawione żeleźce topora w żagiel. Teraz słyszę, że zbliża się

duża gromada mężczyzn. Widzę ich z daleka, prowadzą kilka kobiet z dworu. Mają skrępowane ręce i sznur na szyi.

Szybko zabieram żagiel i biegnę przed siebie.



## 6

### Wolność

**W**idziałem, jak mężczyźni odpływają z jeńcami, ale jeszcze przez dwa dni nie miałem odwagi zejść do osady. Siedziałem na górze w lesie. Kiedy odkryli tego, którego zabiłem, usłyszałem gniewne okrzyki na dole między płonącymi domami; śpiesznie pokuśtykałem między drzewa z krwią na rękach i na twarzy i tak się bałem, że zmoczyłem się w spodnie. Zaraz potem zobaczyłem, jak wloką jakiegoś nieszczęśnika nad brzeg wody, tam zgromadzili się wokół niego i zarabali na śmierć. To musiał być ostatni żywy człowiek w osadzie. Myśleli pewnie, że zabił ich kompana, i to najwidoczniej uratowało mi życie.

Kiedy odpłynęli, zrobiło się całkowicie cicho. Pamiętam, że drugiego dnia niebo pociemniało i nadpłynęły granatowoczarne chmury. Potem nad zatoką pojawiła się błyskawica, wrony i sroki poderwały się i zaskrzeczały, po czym sfrunęły w dół, obsiadając trupy. Niemal czułem ten zapach, siedząc na wzniesieniu, zapach krwi, wnętrzości i zmoczonego deszczem popiołu. Ale najgorsza była cisza. Gdy drugiego dnia wieczorem deszcz ustał, wszystko było tak ciche, że miało się poczucie, iż cały świat się zatrzymał. Żadnego tchnienia wiatru, żadnego dźwięku wydanego przez zwierzę albo człowieka. Stałem pod zmoczoną deszczem sosną, patrząc, jak ciemność osuwa się nad zatoczkę, i ogarnęło mnie dziwne odrętwienie. Przyłapałem się nad tym, że się zastanawiam, czy naprawdę żyję, czy też jestem zjawą nierozumiejącą, że moje młode życie właśnie się skończyło.

W ciągu tych dwóch dni udo bardzo mi spuchło. Nie bolało tak jak na początku, ale rankiem trzeciego dnia, podnosząc się, poczułem przeszywający ból. Obuch topora



zostawił prawie prostokątny znak na samej górze prawej nogi, skóra była tam ciemnoniebieska i odrętwiała.

Nadal miałem na sobie kolczugę. Była oczywiście o wiele za duża, ale czułem się w niej bezpieczniej. Włożyłem na głowę hełm, zabrałem ze sobą żeleźce, żagiel i sakiewkę ze srebrem i zacząłem schodzić w dół wzniesienia. Paralizujący strach siedzący we mnie przez ostatnie dni ustępował, byłem głodny. Potrzebowałem łuku i strzał, żeby zapolować.

Obrzmienie powiększało się, gdy szedłem, mogłem je zobaczyć przez spodnie. U podnóża wzniesienia ból był tak silny, że musiałem wyciąć gałąź, żeby się na niej oprzeć. Tak przebrnąłem przez las liściasty, znalazłem się z Fenrem między drzewami przy podwórzu Halfdana.

Cała osada była spalona. Ostały się tylko osmalone drewniane bale podtrzymujące konstrukcje domów. Pomosty były zerwane, a w łodziach rybackich powybijano dziury. Na wodzie unosił się trup, mewy siedziały mu na plecach i go dziobały. W zgliszczach też leżały trupy: kobiety, dzieci, mężczyźni. Ptaki i drapieżniki otworzyły większość z nich, a to, co jeszcze pozostało z wnętrzości, leżało rozwleczone.

Byrding nadal stał. Wyglądał na nietknięty przez napastników. Dziób wskazywał na zatoczkę, całą łódź cechowała jakaś duma, nieustraszonosc.

Nie zostałem długo na podwórzu. Wdrapałem się do byrdinga, wiedziałem, że w środku leży ciosło. Wziąłem je ze sobą między drzewa, gdzie uciąłem gałąź, którą szybko uformowałem w drzewce topora i osadziłem na nim głowicę. Potem stanąłem, ściskając topór w jednej ręce, a drugą opierając na gałęzi. Jeśli miałem się stąd wydostać, potrzebowałem konia. Może były jeszcze jakieś koło dworu.

W drodze przez las natknąłem się na bursztynnika. Leżał pośród paproci, niedaleko od miejsca, w którym go pozostawiłem, z oczami zwróconymi ku koronom drzew. Jama brzuszna była rozerwana, większości wnętrzości brakowało. W tutejszym lesie były lisy i wilki, pewnie się poczęstowały. Ale to nie drapieżniki odrąbały mu ręce.

Przez chwilę stałem, przyglądając się mu. Jego krzyk jakby nadal rozlegał się po lesie. Nie rozumiałem tego okrucieństwa. Skoro przybyli tu, żeby zabijać, dlaczego po prostu nie zabijali? Dlaczego wyciągnęli płuca z Haralda Rudego, dlaczego odrąbali

staremu ręce? Dlatego, żeby siać postrach, czy dlatego, że sprawiało im to przyjemność?

Widok zmalretowanego ciała starego stał mi przed oczami do chwili, kiedy dotarłem do dworu. Bestialstwo jest wszędzie, myślałem. Było w ziemi pode mną i w lekkim wietrze, który powodował szum brzożowych gałązek. Powietrze było przesycone krwią, cuchnęło wybebeszonymi wnętrznościami i obezwładniającym strachem. Musiałem uciekać od tego smrodu. Musiałem opuścić to miejsce.

Przy dworze nie znalazłem koni. Wszystkie budynki były spalone. Poszedłem śladami prowadzącymi do lasu i nie musiałem iść daleko, żeby znowu usłyszeć ochrypły skrzek srok i wron.

Przez chwilę szedłem wśród trupów. Pozdejmovano im pasy i naramienniki, buty też. Fenre znalazł coś czerwonego i zaczął to żuć. Pozwoliłem mu na to, nie miałem siły spojrzeć, żeby zobaczyć, co to jest.

Po chwili znowu znalazłem się w osadzie. Drewnianą ulicą zszedłem do plaży i stanąłem nad wodą. Przyjrzałem się zmasakrowanemu ciału Haralda unoszącemu się na wodzie wśród desek. Większość płuc została zjedzona, z wyjątkiem kilku włókien.

Dopiero gdy udało mi się oderwać wzrok od martwego wodza, zauważyłem worek ze zbożem. Leżał w pobliżu spalonej kuźni. Zrobiła się w nim dziura, zboże wysypywało się na ziemię.

Pokuśtykałem tam, ukląknęłam i zagarnąłem ziarna rękami. Zacząłem je żuć. Wodę piłem ze strumieni leśnych, ale nic nie jadłem od ponad dwóch dni.

Kiedy zjadłem, usiadłem i patrzyłem tępo przed siebie. Może byłem tak długo pozbawiony wolności, że jeszcze nic nie rozumiałem. Ale pamiętam, że wstałem i w jednej chwili ciężar obręczy na szyi stał się nie do zniesienia. Obróciłem się i zobaczyłem kamienne kowadło w spalonej kuźni. Wielki, grubo ociosany kamienny blok.

Następne, co pamiętam, to to, że klęczę z szyją na kowadło i uderzam tylną stroną topora bojowego o obręcz na szyi. Krzyczę po każdym uderzeniu, bo krawędź topora kaleczy mi policzek, ale nadal uderzam i nagle słyszę, jak bolec pęka. Podnoszę się, obręcz spada. Jestem wolny. W tym poczuciu jest jakaś lekkość. Nawet dzisiaj pamiętam dotyk wiatru na karku, tam gdzie przedtem była obręcz. Stoję w zgliszczach

kuźni i widzę niewolniczą obręcz u moich stóp. Wiatr wzbija w powietrze popiół, obracam się w kierunku łodzi na górze, byrdinga tak dumnie stojącego na podwórzu Halfdana.

W tej chwili przestałem być dzieckiem. Jeszcze pamiętam siłę wibrującą w moich ramionach. Kulałem, noga nie chciała mnie prawie nieść. Mimo to nie wahałem się. Po chwili znalazłem się na podwórzu. Wyciosałem szybko kilka okrągłaków, które umieściłem przed dziobem w odległości ramienia od jednego do drugiego, tak jak dębowe bele, na których opierała się stępka. Potem zaparłem się nogami o ziemię, a ramionami o rufę i pchnąłem z całych sił, aż zraniona noga ugięła się pode mną, ale byrding ani drgnął. Przez chwilę stałem oparty ramionami o burtę, myśląc, że powinienem pójść do lasu, ale gdzie dalej? Miałem ślady po obręczy na szyi, ludzie pomyśleliby, że uciekłem. A co, jeśli ktoś z osady ocalał i go spotkam? Obręcz znowu zaciśnie się na mojej szyi. Albo może poczuję na niej ostrze topora.

Znowu zaparłem się z całych sił i pchałem tak mocno, że zrobiło mi się ciemno przed oczami. I kiedy już chciałem się poddać, byrding się poruszył.

Cały dzień spędziłem na przesuwaniu byrdinga w dół drewnianej ulicy. Kiedy wreszcie udało mi się spuścić go na wodę, obrzmienie na udzie miało wielkość pięści, a ja dygotałem na całym ciele. Byłem też opuchnięty i okrwawiony w miejscu, w którym sam się uderzałem toporem, klęcząc przy kowadle, ale nie mogłem sobie pozwolić na odpoczynek, aż do momentu, kiedy będę daleko stąd. Może powinienem zostać dzień lub dwa i przygotować się na podróż, jednak wszystko, o czym byłem w stanie myśleć, to uchwycenie tej wolności. Wziąłem ze sobą kolczugę, srebro, żagiel i topór, napełniłem hełm zbożem i wniosłem Fenrego na pokład byrdinga. Potem sam się do niego wdrapałem. Wyciąłem dwa zagłębienia w górnych klepkach i wysunąłem wiosła. I wypłynąłem z zatoczki w mrok nocy.

Wtedy nie liczyliśmy jeszcze lat jak chrześcijanie. Liczyliśmy pokolenia i ile zim minęło od ważnych wydarzeń, takich jak bitwy czy śmierć możnowładców. Ale gdy potem ludzie mnie pytali, kiedy po raz pierwszy opuściłem ojczysty kraj, odpowiadałem, że było to roku pańskiego 994. Zaledwie rok później urodził się Olaf Haraldson, ale to inny Olaf najpierw miał podnieść miecz chrześcijaństwa przeciwko

starym rodom Norwegii. W ciągu tych kilku lat dzielących nas od nowego tysiąclecia Norwegia miała się zmienić na zawsze.

Powiosłowałem daleko pierwszej nocy. Do obsługi wiosła wystarczała jedna osoba, a kadłub byrdinga robił przedtem wrażenie o wiele większego niż teraz, kiedy w nim siedziałem i wiosłowałem. Ostra fala mogła z łatwością wlać się przez burzę, byrding był na tyle wąski, że rozpostarłszy ramiona, mogłem sięgnąć od jednej burty do drugiej. Halfdan raczej nie planował przemierzania nim otwartego morza, planował pewnie trzymać się blisko brzegu na wodach na południe od Morza Północnego i dotrzeć w ten sposób do wysp angielskich.

O świcie odpłynąłem już tak daleko, że ląd widoczny był tylko jako szary pasek na horyzoncie. Noga bardzo mi dokuczała, obrzmienie przybrało niebieskawy odcień. Byłem okrutnie spragniony, bo w ferworze ucieczki zapomniałem wziąć wodę. Zapomniałem też masztu, ale najbardziej doskwierało mi pragnienie. Dlatego skierowałem się w stronę lądu. Cały czas był we mnie strach: co będzie, jeśli mężczyźni, którzy zaatakowali osadę, mnie zauważą? Tutaj z łatwością by mnie dogonili.

Wiatr północny i przypływ spychały mnie na południe, cały dzień zajęło mi dotarcie do lądu. Znalazłem płytką zatoczkę i wprowadziłem łódź na piaszczystą plażę. Fenre pobiegł między drzewa, a ja pokuśtykałem za nim, myśląc, że tak samo jak mnie chce mu się pić. Miałem rację, bo po chwili zobaczyłem go ponownie, stojącego w strumieniu. Korony drzew kołysały się nade mną w północnym wietrze, a ja leżałem na brzuchu i piłem. Potem przewróciłem się na plecy i tak pozostałem. Wydawało mi się, że drzewa w górze coś sobie szepczą. Wiatr przepływał przez liście osiki, gałęzie uginały się, jakby były chwytającymi się ramionami i rękami.

Fenre i ja spędziliśmy tam noc. Nie miałem pojęcia, że przyszedł przypływ, podniósł łódź i porwał ją niemal ze sobą. Leżałem na plecach przy strumieniu, poszycie pode mną było miękkie od mchu. Jeszcze teraz pamiętam poczucie, że las w pewien sposób mnie widzi, że jest żywą istotą pozwalającą mi odpocząć przy strumieniu, a osiki patrzą w dół na mnie i szepczą do siebie o tym zbiegłym młodym niewolniku i wolności, którą odzyskał. Mogłem też zamknąć oczy i usłyszeć głos ojca. Słyszałem nazwy krajów

gdzieś tam, krajów, które przedtem wydawały się tak dalekie i niezwykłe, że równie dobrze mogły się znajdować w siedzibie Wanów albo Asów. Widziałem ojca rysującego sękatym palcem w popiele obok paleniska. Morze Północne... Morze, które łączy kraje ludów Północy. Na wschodzie byli Norwegowie, Gotlandczycy, Skańczycy, Sweowie i Danowie. Po zachodniej stronie była Dania, tam były piaszczyste wydmy i płaski krajobraz ciągnący się przez wiele dni żeglugi. Na południowy zachód wzdłuż tego wybrzeża leżała Fryzja, a dalej królestwo Gange-Rolfa, wodza, którego Harald Pięknowłosa wygnał z Norwegii. Tylko jedna cieśnina oddzielała tę krainę od Anglii na północy. A sama Anglia podzielona była na wiele królestw. Ojciec rysował w popiele linie dzielące wyspę. Na południu było Wessex, Anglia Wschodnia i miasto Lundenborg. Leżało w głębi nad wielką rzeką, a tamtejsi kupcy byli bogatsi od jarłów. Na północ od Wessex i Anglii Wschodniej leżała Mercja, której zachodnia część kiedyś należała do Danów, ale teraz znowu była zjednoczona pod angielskim berłem. Na północ od Mercji leżało wiele pomniejszych królestw, jednym z nich była Northumbria, a najbardziej na północ leżał kraj często nazywany Albą, który ludzie tam mieszkający sami nazywają Szkocją. Ale to nadal nie wszystko. Na zachodzie była jeszcze jedna wyspa. Irlandia jest norweska, mówił ojciec, a jego ojciec mówił kiedyś, że ma tam brata przyrodniego.

Na morzu dookoła leżało wiele wysp należących do norweskich wodzów. Były to Hebrydy i Man na morzu między Irlandią a szkockimi i angielskimi królestwami, były Orkady i Szetlandy na morzu na północny wschód od Szkocji. A ci, którzy byli odważni i mieli dobry statek, mogli przy dobrych wiatrach dotrzeć do Islandii. Jeszcze dalej na zachód od niej leżała Grenlandia, gdzie człowiek mógł się wzbogacić na połowie morsów.

Kiedy się obudziłem, z nogą było gorzej. Nie mogłem oprzeć na niej ciężaru ciała. Ale udało mi się ponownie wdrapać do łodzi i wypłynąć. Później tego samego dnia zobaczyłem dom w głębi lądu. Byłem zmęczony wiosłowaniem i wiedziałem, że jeśli mam płynąć dalej, muszę najpierw zdobyć pożywienie i beczkę wody.

Znajdowałem się prawie koło nadbrzeżnych skał, gdy zabrakło mi odwagi. Byłem nadal dosyć blisko osady kupieckiej. Tutejsi ludzie mogli mnie rozpoznać, bywali

pewnie w Skiringssalen na handlu. Popłynąłem dalej.

Dzień i noc przy wiosłach. Pragnienie znowu zmusiło mnie do zejścia na ląd, kiedy zrobiło się jasno. Wziąłem wodę do hełmu, ale większością napoiłem Fenrego. Znajdowałem się albo w najbardziej południowej części Vestfoldu, albo w północno-wschodniej Grenlandii i raczej nie oddaliłem się od osady na więcej niż pół dnia żeglugi. Lecz nie mogłem już dłużej czekać. Zerkąłem cały czas na morze, obawiając się, że rabusie mnie zauważą. Na tym nie koniec, bo zaczynała mi drętwieć noga. Obrzmienie nadal było wielkości pięści, tylko teraz chorobliwa sina barwa rozchodziła się na dolną część nogi i to mnie wystraszyło. Słyszałem o ranach, w które wdawało się zakażenie. Bjørn opowiadał mi o starszej kobiecie z gospodarstwa, tej bez ręki. Koń ją ugryzł w kciuk i dostała zakażenia, które rozprzestrzeniło się tak, że musieli jej odjąć całą rękę.

Płynąłem wzdłuż wybrzeża, aż zobaczyłem kilka domów. Tutaj zszedłem na ląd. Przybiłem do pomostu z pali, gdzie cumowała już mała knara, a na końcu pomostu stało dwóch mężczyzn z łukami w rękach. Nie napięli ich, ale każdy trzymał w ręce po trzy strzały i nie spuszczały ze mnie wzroku, kiedy powoli dobijałem do pomostu. Ponieważ nie miałem liny do zacumowania, stałem, trzymając się brzegu pomostu. Wiatr złapał kadłub byrdinga i chora noga ugięła się pode mną. Uparcie i głupio nadal trzymałem się pomostu, podczas gdy łódź się oddalała, aż w końcu musiałem puścić chwyt i wpadłem do wody.

Przenieśli mnie z plaży i położyli przy palenisku w głównym budynku. Mieszkańcy gospodarstwa zebrali się wokół mnie, a siwowłosa kobieta z wielkim pękiem kluczy u pasa podeszła z moją sakiewką srebra i zapytała, gdzie je znalazłem.

– Zarobiłem je – odparłem.

To wywołało śmiech wokół paleniska, ale kobieta nie śmiała się. Przyklękła obok mnie i najpierw wyciągnęła rękę do Fenrego, co wydawało się uspokoić pieska. Drapiąc go po karku, nagle odgarnęła włosy z moich ramion. Przyłożyła grzbiet dłoni do blizn na szyi, blizn pozostałych po niewolniczej obręczy.

Ani razu mnie nie zapytali, skąd uciekłem. Może uważali, że powinienem cieszyć się tą wolnością, jak długo trwała. Kiedy kobieta odkryła nabrzmienie na moim udzie,

zdjęli ze mnie spodnie, a ona pokręciła zrezygnowana głową. Potem wyciągnęła nóż przytroczony do pasa. Potrzymała go w ogniu, w tym czasie ludzie z gospodarstwa przycisnęli mnie do klepiska i zakryli mi oczy.

Krzyknąłem, kiedy nacięła nabrzmiące miejsce. Potem ścisnęła udo, tak że zgromadzona tam krew znalazła ujście. Powiedziała, że mam szczęście, bo kość udowa nie jest złamana. Młody jestem, uśmiechnęła się. Moje kości są jeszcze miękkie i to zapewne mnie uratowało. Teraz powinienem wypocząć. Oni się mną zajmą, nie muszę niczego się obawiać.

Pozwolili mi położyć się przy palenisku. Okryli mnie kocem, nakarmili zupą mięsną i напоili wodą. Wkrótce zapadł zmrok i wszyscy schronili się wewnątrz przed nocą. Długi dom, w którym się znajdowałem, miał, jak to było w zwyczaju, ławy wzdłuż ścian. Przeniesiono mnie tam, a domownicy zajęli miejsce przy ogniu. Siedzieli cicho, rozmawiając i piekąc rybę. Jeden z nich miał przy sobie moje ciosło, inny siedział, przyglądając się toporowi bojowemu. Od czasu do czasu odwracali się i patrzyli na mnie, a ja leżałem, obejmowałem ramieniem Fenrego i nie miałem odwagi się poruszyć.

Nie siedzieli długo. To byli ludzie, którzy żyli z roli, a teraz noce były krótkie, dni długie. O świcie musieli już być na polach, wchodzić do lasu, sprawdzać sidła i polować, wypływać na morze i łowić ryby.

Kiedy zasnęli, podczołgałem się do paleniska i zabrałem topór i ciosło. Sakiewki ze srebrem nie mogłem znaleźć, więc wykradłem się po cichu z budynku. Na zewnątrz było chłodno i jasno od światła księżyca. Lekki wiatr wiał z północy, nieco marszcząc wodę. Moja łódź była zacumowana przy pomoście z pali. Stała tam też knara mieszkańców gospodarstwa.

Podniosłem się i pokuśtykałem w dół do pomostu z Fenrem pod pachą. Stamtąd opuściłem się do byrdinga. Od razu spostrzegłem, że już tu byli i zabrali moje rzeczy. Żagla, który wziąłem z osady, nie było. Nie mogłem też znaleźć kolczugi ani hełmu. Pamiętam, że stałem w świetle księżyca, nienawistnie spoglądając w kierunku długiego domu, ale wnet spostrzegłem w ich knarze reję z przymocowanym do niej żaglem. Na pokładzie były cztery zwoje liny. Była też mała beczka.

Masztu nie udało mi się uwolnić, był zaklinowany w belce na dnie, a liny mocujące

go z przodu i z tyłu były mocno napięte. Ale nie zajęło mi dużo czasu poluzowanie i wyciągnięcie fału mocującego reję. Przerzuciłem zwoje liny do byrdinga, zabrałem też beczkę. Potem wsadziłem Fenrego do łodzi, odcumowałem ją i powiosłowałem.

Później tego dnia dobiłem do brzegu. Większość dnia kuśtykałem lub szedłem na czworakach między drzewami, tocząc przed sobą beczkę, aż w końcu znalazłem jakiś strumień. Beczka była oślizła od rybich wnętrzności, lecz wypłukałem ją do czysta, a następnie napełniłem wodą. Większość wody wylała się, kiedy ciągnąłem beczkę z powrotem do łodzi, ale na niebo napłynęły ciemne chmury i pomyślałem, że Thor we własnej osobie zobaczył mnie i wypełni dla mnie beczkę.

Z linki cumowniczej zrobiłem wędę, a z kości mostka martwej rybitwy haczyk. Zebrałem garść omułków na przynętę, ściałem młodą prostą brzozę na maszt ze sztagiem z przodu i z tyłu i wantami po bokach. Ponieważ nie miałem bloczka, na którym mógłbym podciągnąć reję do góry, zrobiłem na szczycie masztu pętlę z liny, przez którą przeciągnąłem fał. Przymocowałem wiosło do burty pętlą i oto miałem już wiosło sterowe. Kiedy w końcu mogłem podnieść żagiel, wiatr północny natychmiast go pochwycił i popchnął byrding do przodu.

W odległości kilku strzałów z łuku od lądu zobaczyłem na wschodzie żagiel, gdzieś daleko w fiordzie. Ale łódź musiała mieć zupełnie inny kurs niż moja, bo wkrótce znikła na horyzoncie.





## 7

# Wyspiarska kraína

Ojciec opowiadał nam, chłopcom, o krajach południowych. Mówił o chciwych królach, o żądnych krwi dzikich plemionach i o konnych wojskach, które włóczyły się i plądrowały. Przytoczył historię o królu Franków Karolu, który najpierw ochrzcił, a potem ściął pięć tysięcy Sasów. Żeby bronić Danii przed Frankami, Danowie zbudowali Danevirke, palisadę przecinającą Jutlandię w poprzek. Ludzie na południu są jak niewolnicy pod swoimi panami, mówił ojciec. Nie mieli tingów, czyli walnych zgromadzeń, gdzie mężczyźni mogli się spotykać i uzgadniać różne kwestie i gdzie niesprawiedliwość naprawiano sądem i grzywną. Na kontynencie rządili królowie. A ponieważ żądza posiadania jeszcze większej ilości ziemi była u tych królów nienasycona, nigdy nie mógł zapanować pokój.

Wiedziałem, że między dziczą na południu i bardziej cywilizowaną północą przebiegała granica. Ta granica przebiegała wzdłuż Danevirke, a stamtąd wzdłuż wybrzeża aż do Vallandii. Tutaj znajdowało się norweskie królestwo i jak zrozumiałem, owo królestwo nie pozwalało ludom z południa przekroczyć kanału i zaatakować Anglii.

Królestwa angielskie są podzielone między wielu królów i jarłów, mówił ojciec, ale Norwegowie są mile widziani we wszystkich tych królestwach. Były też norweskie terytoria, takie jak Vallandia. Ojciec mówił, że to grabieże rodu Pięknowłosego rozpoczęły osadnictwo na zachodnich obszarach. Całe klany były zmuszone opuścić Norwegię. Ale to byli możnowładcy. Budowali sobie okazałe dwory, mieli statki i wojska i wkrótce pojąłem, że w rękach mieszkających za granicą Norwegów skupione było tyle samo władzy, co u jarłów w rodzimej Norwegii. Na zachodzie były bogactwa

większe, niż kiedykolwiek byłbym sobie w stanie wyobrazić; był tam też pewien człowiek, morski władca, który teraz zwrócił oczy na kraj swoich przodków.

Pamiętam chwilę, kiedy Norwegia znikła za horyzontem, a ja po raz pierwszy znajdowałem się tak daleko na morzu, że nie było widać nic oprócz wody. Byrding nie był przeznaczony do żeglugi na otwartym morzu i wiedziałem, że jeśli zerwie się sztorm, to już po mnie. Ale czekająca mnie gdzieś tam wolność kusila, a schwywania i ponownego zniewolenia bałem się o wiele bardziej niż utonięcia. Na zachodzie, na angielskich wyspach, nikt by mnie nie rozpoznał, tam będę bezpieczny. Sterowałem więc na zachód i pamiętam, że najpierw miałem wiatr północny, który popychał mnie w kierunku Danii. Potem wiatr się zmienił, zaczął wiać ze wschodu i wypchnął mnie na Morze Północne. Żeglowałem, mając za sobą wschodzące słońce, a nocą Gwiazdę Polarną nad prawym ramieniem. W ten sposób miałem nadzieję dopłynąć do Anglii, zanim skończy mi się woda. Noga bolała, ale pomagało położenie się na dnie byrdinga ze stopą za relingiem, odczuwałem też ulgę po polaniu nabrzmienia wodą morską. Ból mówi człowiekowi, że żyje, tego nauczył mnie ojciec. I może dopiero teraz w pełni dotarło do mnie to, co było niemal niepojęte: że przeżyłem napad na osadę, że własnymi rękoma zabiłem uzbrojonego wikinga i odzyskałem wolność.

Przez pierwszych parę dni na morzu ta pewność była niemal upojna. Intensywna radość nieraz sprawiała, że całkowicie zapomniałem o bólu nogi. Łowiłem ryby, dzieliłem się surowym rybim mięsem z Fenrem, patrzyłem do tyłu i myślałem, że już nigdy nie wrócę do Norwegii. Nie było nic oprócz złych wspomnień.

Jednak radość wkrótce miała się skończyć. Byłem chyba w połowie drogi, kiedy po raz pierwszy w życiu dopadło mnie straszliwe przygnębienie. Nie wiedziałem wtedy, co to jest. Później miałem się dowiedzieć, że takie coś zaczyna się wtedy, kiedy chłopak lub dziewczyna wchodzi w okres dojrzewania, a ja właśnie wchodziłem w ten okres. Pojawiły się u mnie włosy na kroczu i pod pachami, ramiona i barki stały się silniejsze. Widziałem, jak mój brat zmienił się z chłopca w mężczyznę w ciągu jednego lata i jesieni, a teraz przyszła kolej na mnie. Ale u mnie zaczęło się to przedsmakiem tego, co później miało być udręką przez całe życie. Obudziłem się ze strasznym lękiem i najpierw tylko leżałem, czując ból w nodze. Czułem, jak byrding kołysze się na falach,

i widziałem chmury przepływające po szarym niebie. Widziałem, że żagiel łopocze, lecz nie miałem siły się podnieść, żeby temu zaradzić. Długo leżałem, owładnięty samotnością i poczuciem rozzalenia. Wszystko mi zabrali. Po co właściwie miałem dalej żyć? Zbiegły niewolnik z kulawą nogą, uciekinier wypędzony z ojczyzny swojego ojca. Gdziekolwiek się pojawię, ludzie zobaczą blizny na mojej szyi i od razu zrozumieją. Znowu nałożą mi na szyję żelazną obręcz albo zabiją mnie za karę.

Przez jakiś czas myślałem, że zostanę tak, leżąc i unosząc się z prądem i wiatrem, aż fala przewróci łódź lub aż umrę z pragnienia. I być może tak by się to skończyło, gdyby nie Fenre. Ten mały biedak o trzech łapach spędził noc wtulony w moje ramię, ale teraz podszedł do beczki z wodą, przycisnął do niej nos i zapiszczał.

Później często myślałem, że wtedy mnie uratował. Zmusił mnie do wstania, a kiedy rozejrzałem się po morzu, zobaczyłem kilka wielorybów sunących w moim kierunku. Było to może stadko młodych byków, jak my żeglarze je nazywamy, i pewnie uważały, że jestem rywalem kołyszącym się na powierzchni. Szybko zrzuciłem żagiel, po czym usiadłem na środkowej ławeczce z wysuniętymi wiosłami. Wieloryby wynurzyły się z boku łodzi, jeden z nich spojrział na mnie okiem, które było prawie jak ludzkie, zanim wypuścił fontannę wody z otworu nosowego i popchnął kadłub. Dotknąłem wody wiosłami i wszystkie trzy zniknęły w głębi. Pomyślałem, że wcale nie są potworami, jak słyszałem. Mogły zmiażdżyć byrding jednym uderzeniem ogona, ale rozumiały, że jestem w ich świecie obcy i że nie chcę im zrobić nic złego, więc oszczędziły mnie. Ta myśl wbiła się klinem w mój smutek i chociaż lęk przed tym, co może się wydarzyć, kiedy dobiję do lądu, nadal we mnie tkwił, teraz przynajmniej wstałem. Dałem Fenremu wody, sam też trochę wypilem, a następnie podniosłem żagiel i zarzuciłem wędę.

Wiatr zaniósł mnie najpierw do najbardziej na północ wysuniętej części Szkocji. Tutaj wybrzeże było strome i całkowicie pozbawione naturalnych portów. Wiatr popchnął mnie dalej na północ. Na północnym skraju lądu prąd powodował, że nie mogłem też zwrócić się w kierunku zachodnim, ale nie chciałem tego, bo niebo było tam czarne od burzowych chmur. Na północy pojawiło się kilka wysp. Nie wiedziałem jeszcze, gdzie jestem, lecz skończyła mi się woda, a głód ssał w żołądku. Musiałem szybko zejść na ląd i łatwiejsze wydawało się dobiec do brzegu tam między wysepkami niż tutaj przy

stromym wybrzeżu.

Prądy wokół Orkadów mogą być silne, ale miałem szczęście. Tego popołudnia morze było spokojne, a wiatr wiał równo z południowego zachodu. Mogłem siedzieć na ławeczce na rufie i przyglądać się temu dziwnemu miejscu. Tutaj nie było gładkich skał nadbrzeżnych, do których byłem przyzwyczajony. Wyglądało to tak, jakby wyspy zostały zbudowane przez olbrzymów, które warstwa po warstwie ułożyły ciemnobrązowe płaskie skały. I to one stanowiły teraz wyspy i mniejsze wysepki wokół nich. Przebywały tu tysiące ptaków morskich, widziałem, jak gniazdują w skalistych pionowych zboczach. Foki wylegiwały się na wysepkach, były ich setki. Widziałem, jak małe wieloryby, gatunku, który mieliśmy w Norwegii, przecinają wodę za burtą.

Nie widać było żadnych drzew, krajobraz wydawał się wyludniony. Przez chwilę krążyłem między wysepkami i zastanawiałem się, dokąd dotarłem. Czy byłem tutaj jedynym człowiekiem? Miałem taką nadzieję, ale wkrótce zobaczyłem w oddali kilka białych plam tuż obok linii brzegowej. Kiedy podpłynąłem bliżej, odkryłem, że to owce. Stały nad wodą, żując wodorosty.

Opłynąłem cypel i wpłynąłem do szerokiej zatoczki. W głębi zobaczyłem pokryty torfem długi dom na tle zielonego krajobrazu. Dom leżał na szczycie wzgórza. Po chwili wyszły z niego dwie postacie i ruszyły w dół w kierunku wody. Leżała tam łódź.

Zepchnęli łódź na wodę i wysunęli wiosła. Najpierw chciałem zawrócić, ale szybko zrozumiałem, że płynąc pod wiatr i pod prąd, i tak bym został dogoniony. Siedziałem więc na ławeczce na rufie, cały czas utrzymując ten sam kurs, i wkrótce ci dwaj znaleźli się obok mnie. Byli wysokimi, chudymi mężczyznami ubranymi w zniszczone skórzane kubraki. Siedzieli obok siebie na środkowej ławeczce i wiosłowali każdy swoim wiosłem. Obydwaj mieli długie kasztanowe brody i kasztanowe włosy, ale u jednego przebijała łysina na czubku głowy.

– Ktoś ty? – zapytał łysy mężczyzna. Mówił typową gwarą zachodniego wybrzeża Norwegii; szturchnął towarzysza, który szybko przystawił wiosło do mojej burty, tak że ich łódź przyległa do mojej.

– Jestem Torstein – powiedziałem.

Łysy chwycił krawędź burty mojego byrdinga i zajrzał do środka. Zobaczył Fenrego.

– Ten pies tutaj. Jest chory?

– Nie – odrzekłem. – On już tak ma.

– Skąd przy płynąłeś?

– Z Norwegii – odparłem.

– Tą małą łodzią?

– Tak.

– A gdzie reszta załogi?

– Jestem tylko ja.

Łysy zwrócił uwagę na blizny na mojej szyi. Trącił w bok towarzysza, pokazał palcem i szepnął mu coś do ucha, zanim znowu zwrócił się do mnie.

– Z Norwegii, powiadasz? A skąd z Norwegii?

– Z Vingulmorku w Viken.

– Vingulmork? Czy to nie są teraz przypadkiem ziemie Danów? Nie brzmiś jak Dan.

– Nie...

– Wygląda na to, że cię tu przywiało. Chyba nie miałeś zamiaru tutaj płynąć?

Nie odpowiedziałem, bo przecież nadal nie wiedziałem, dokąd trafiłem. Dwóch wioślarzy nie spuszczało ze mnie oka.

– Przyplływ zaraz się zmieni – powiedział łysy. – Musisz dobić do brzegu.

Powiosłowałem z nimi do brzegu i przycumowałem do pala wbitego w piach. Potem poszli ze mną do długiego domu. Tutaj wyszedł mi na spotkanie starzec z siwą brodą o imieniu Grim i obwieścił, że znalazłem się w Grimsgårdzie, czyli zagrodzie Grima. Na stole pojawiły się woda, podplomyki i suszona ryba, a kiedy przełknęliśmy parę kęsów, Grim zaczął wypytywać, w jakiej sprawie przybyłem i czyim synem jestem. O to drugie zazwyczaj pytano na zachodzie, bo wszyscy mieli krewnych w ojczystej Norwegii i zawsze była nadzieja, że obcy okaże się dalekim krewniakiem. Ale wtedy o tym nie wiedziałem, dlatego wystraszyłem się. Wiedziałem przecież, że ojciec w młodości często brał udział w różnych waśniach, więc może tutaj też był. Może walczył przeciwko rodzinie i przyjaciołom siwobrodego, którego miałem przed sobą, a może nawet z nim samym.

Odpowiedziałem, że nie wiem, kto jest moim ojcem. Grim zamruczał, że to żaden

wstyd. Ale utkwił wzrok w mojej szyi, zauważył blizny i pojął, że uciekłem z niewoli.

Dwóch wioślarzy, którzy okazali się synami Grima, o imieniu Håkon i Hårek, oprowadzili mnie po gospodarstwie. Otaczał mnie krajobraz niepodobny do niczego, co widziałem wcześniej. Rosła tutaj tak gęsta i zielona trawa, że wyglądała jak dywan, lecz nie rosły żadne drzewa, a krajobraz był płaski i pozbawiony zacisznych, naturalnie osłoniętych od wiatru miejsc. Trwał przypływ, owce wycofały się z brzegu do góry, gdzie chodziły, skubiąc trawę. Było też kilka koni, które miały gęstą sierść i krótsze nogi niż nasze konie.

Zagroda Grima była umiejscowiona w samym środku tej wyspiarskiej krainy, na głównej wyspie zwanej Rossøy, w najgęściej zaludnionym miejscu. Zatoczka, do której wpłynąłem, dzieliła wyspę niemal na dwie części i tylko szeroka na kilka odległości strzałów z łuku równina odgradzała ją od podobnej zatoczki na północ od gospodarstwa. W tej zatoczce leżał główny port składający się z długiego kamiennego nadbrzeża i kilku domów otaczających szeroki plac, gdzie rozpalano ognisko. Reszta wyspiarzy mieszkała w okolicznych gospodarstwach, z których większość była umiejscowiona nad zatoczką. Tak jak gospodarstwo Grima. W najbardziej zacisznych miejscach kołysały się na wietrze źdźbła zbóż, ale tutaj, na wyspach, plony nie były zbyt obfite.

Kiedy zapytałem, dokąd trafiłem, Hårek, ten łysy, podparł się pod boki i popatrzył przed siebie. Wysoka, chuda postać stała mocno i dumnie; nie było w nim żadnej bojaźni, żadnej ręki szukającej topora czy noża u pasa. Nigdy przedtem nie widziałem tak stoickiego spokoju u mężczyzny.

– Orkady – powiedział. – Przybyłeś na Orkady.

Miałem pozostać w zagrodzie Grima przez wiele dni i chociaż pewnie szeptano na wyspie o zbiegłym niewolniku, nikt mnie więcej nie pytał o przeszłość. Ale o jedno Grim zapytał już pierwszego wieczoru, kiedy siedzieliśmy wspólnie przy stole: chciał wiedzieć, czy param się jakimś rzemiosłem. Siwobrody dostrzegł zapewne zrogowaciałą skórę na moich rękach. Odpowiedziałem, zgodnie z prawdą, że nauczyłem się pracować w drewnie, umiem robić łuki i budować łodzie. Rzekłem, że terminowałem u pewnego szkutnika, i było to w pewien sposób prawdą.

Zbliżał się koniec piątego miesiąca roku i miałem szczęście, że przybyłem do Grima

wiosną, ponieważ był to dobry czas dla tych ludzi mieszkających nad otwartym morzem. Zimą nie byliby może aż tak gościnni, bo wtedy wszyscy musieli oszczędzać na jedzeniu, a sztormy czyniły morze niebezpiecznym dla rybaków. Ale nie tylko pora roku sprawiła, że stałem się mile widzianym gościem u Grima i jego rodziny. Podczas jednego ze sztormów tej zimy Hårek i Håkon wpłynęli na szkiery tuż na zachód od wyspy. Ran darowała im życie i pozwoliła dopłynąć do lądu, ale ich łódź, mała knara rybacka, była zupełnie zniszczona. Hårekowi, który dobrze pływał, udało się później doholować linę do wraku i wciągnąć go na ląd. Grim pomyślał, że ma szczęście, bo oto pojawiłem się ja, uciekinier ze starej Norwegii, z odciskami na rękach, i okazało się, że jestem skutnikiem. To było zapewne powodem, że zgodził się porządnie mnie karmić i przydzielić mi ciepłe miejsce przy ogniu, a moja rana na udzie została oczyszczona i posmarowana maścią.

Tego ostatniego doglądały córki Grima, niezwykle urodziwe stworzenia. Sam Grim nie należał do przystojnych, miał krzywy nos, osadzone blisko siebie oczy i zbyt duże usta. Prawdą jest, co mówią, że brzydkim mężczyznom rodzą się ładne córki, bo były tak piękne, że mogłyby być siostrami samej bogini Frei. Ich matką była druga żona Grima, rudowłosa, pracowita i zręczna kobieta imieniem Gerd. Nigdy nie siedziała w miejscu, zawsze czymś się zajmowała. Nosiła kosze tam i z powrotem, stała przy stole, krojąc jedzenie dla prosiaków, zbierała wodorosty na brzegu morza. Obydwie córki odziedziczyły jest bujne rude włosy i bez przerwy jej towarzyszyły; te trzy postacie z włosami rozwianymi na wietrze widać było z dużej odległości. Starsza córka, Astrid, miała osiemnaście lat, a o jej względy starał się mieszkający w sąsiednim gospodarstwie chłopak imieniem Kara. Kara ciągle przyjeżdżał na włochatym koniu i oferował pomoc w gospodarstwie. Grim bardzo go za to lubił.

Druga córka, Sigrid, była o kilka lat młodsza. Pewnego wieczoru, smarując maścią moją ranę, zapytała, ile mam lat. Kiedy odparłem, że niedługo skończę czternaście, na jej ustach pojawił się uśmiech, a dziewczęca nieśmiałość ustąpiła dziecięcemu zapałowi.

– Ja też! – wykrzyknęła.

Byliśmy w tym samym wieku i mieliśmy urodziny w tym samym miesiącu.

Sigrid nadal była dzieckiem. Miała płaskie piersi i szczupłe ciało, ale była dość

wysoka, jak pęd młodej rośliny, który wystrzelił w górę, nie troszcząc się o to, żeby urosnąć wszcz. Nad całością jej szczupłej postaci królowały bujne rude włosy, które jakby żyły własnym życiem: chwytaly najmniejszy powiew wiatru i chyba nie lubily kapturów ani czapek, bo te dziewczyna natychmiast zrywała z głowy, kiedy tylko byla poza zasięgiem wzroku matki. Sigrid miała za zadanie pilnować, żeby owce nie wchodziły na skały, często była też na plaży i wciągała uparciuchy na ląd w przybierającej wodzie przyplýwu. Zazwyczaj biegala, jej ciało wydawalo się tak lekkie, że lada podmuch wiatru mógł porwać je i unieść w powietrze. W domu była cicha i małomówna, tak jak ja. Kiedy pielęgnowala moją nogę, rzadko miała odwagę spojrzeć mi w oczy. Dlatego te chwile przy palenisku były dziwne dla kogoś, kto patrzył z boku. Domownicy często się z nas podśmiewali.

Wciąż pamiętam jej zapach. Zapach bujnych włosów, kiedy pochylała się nad moim udem. Przywodził na myśl przede wszystkim wiatr i morze, wzgórza, wodę trzęsawisk i wodorosty, ale było jeszcze coś. Coś bliskiego i ciepłego. Działał na mnie jak najśłodszy miód. Jej zapach i dotyk palców na skórze... Łagodził ból rany. Ale wkrótce miałem zrozumieć, że moja noga nigdy całkowicie nie wydobrzeje. Topór rozerwał mięśnie do kości i noga miała na zawsze pozostać słabsza od drugiej. Tego powłóczenia nią, do którego przywykłem, miałem się już nigdy nie pozbyć.

Poza Grimem i jego najbliższą rodziną w gospodarstwie mieszkały jeszcze trzy osoby. Były to żony Håkona i Håreka, siostry z obszaru granicznego na północ od Northumbrii. Wieczorami zajmowały się najczęściej tkaniem albo przędły wełnę i dziergały igłą odzież, rozmawiając ze sobą w języku, którego nie rozumiałem ani ja, ani nikt inny. Zdaje się, że przybyły tu całkiem niedawno i dlatego nie były jeszcze przy nadziei. Trzecią osobą był Gard, daleki krewniak Grima, który w młodości tego popijał i popadł w długi u jarla Orkadów, co doprowadziło go do utraty gospodarstwa i bydła; mówiono, że gdyby Grim nie przyjął go na służbę, umarłby z głodu. Gard miał już swoje lata, ale kobiety nie miał. Popłynęła na stały ląd całe lata temu.

Pozwolili mi wypocząć przez parę tygodni. Rana zablizniła się i ból ustał. Dobrze mnie karmili i poili, a Grim opowiedział mi historię o tym, jak jego ród uciekł przed Haraldem Pięknowłosym i przeżył straszliwy zimowy sztorm na morzu. Ja i Fenre byliśmy odkarmieni i wypoczęci, więc Grim zabrał mnie na wzgórza za domem. Teraz



kiedy dostałem opiekę i wyżywienie, może mógłbym zobaczyć, czy jego łódź da się uratować? Miałem dostać narzędzia, w stajni zaś było kilka bali drewna ze stałego łądu. Jeśli udałoby mi się naprawić jego starą knarę, zadbałby o to, żeby inne rodziny się o tym dowiedziały. Mogły płacić srebrem, bo sprzedawały skóry fok załogom przyplływających tu statków, więc nie byłoby z tym kłopotu. Ale najpierw musiał się czegoś dowiedzieć. Chwycił mnie za ramię. Miał ciężką dłoń, jego niebieskoszare oczy patrzyły prosto w moje. Że uciekłem z niewoli, to zrozumieli już pierwszego dnia i potem nikt na ten temat nic nie mówił. Jednak teraz Grim chciał się dowiedzieć, czy zabiłem kogoś podczas ucieczki. Przewiercony jego wzrokiem nie potrafiłem skłamać. Skinąłem głową. Wtedy Grim ciężko westchnął, a między jego brwiami powstała głęboka zmarszczka. Chciał się też dowiedzieć, czy mówiłem komukolwiek, dokąd się udaję. Czy ktoś tu przybędzie, żeby się zemścić? Pokręciłem głową. Nikt. Tego może być pewien, nikt nie przeżył tego, od czego uciekłem. Nie mogłem nikomu powiedzieć, dokąd się udaję, bo sam tego nie wiedziałem. Popłynąłem po prostu na zachód. Oczywiście miałem nadzieję na odnalezienie brata, ale o tym nie powiedziałem ani Grimowi, ani nikomu innemu. I prawdę mówiąc, wydawało mi się teraz szaleństwem płynąć dalej. Miałem dach nad głową i byłem wolny. Miałem wielką ochotę pozostać tu na pewien czas.

Następnego dnia Hårek i Håkon wynieśli ze stajni dwa drewniane bale. To był dobry materiał; proste pnie brzoź ściętych na południu Szkocji w odległości kilku dni żeglugi. Z pniami przywiązanymi do górnej części burty wypłynąłem w morze. Hårek popłynął ze mną, a Fenre zajął miejsce pod ławeczką na rufie. Tego dnia nad zatoką wiał dość silny wiatr.

Do wraku nie było daleko. Håkon opowiadał, że zostali z bratem zaskoczeni przez złą pogodę i wpłynęli między wyspy, ledwo unikając mielizn na zachodzie. Ale tutaj, między wyspami Haøy na południu i Gramsøy na zachodzie, porwały ich ze sobą wody przyplwy i rzuciły na szkiery.

Knara leżała na plaży, tuż poniżej gospodarstwa Hutta. Kiedy wpływaliśmy, ten niski mężczyzna stał na górze między kilkoma stosami torfu w sięgającym do kostek włochatym płaszczu. Z bujną, kręconą brodą przypominał mi trolla. Hårek powiedział,

że chociaż ojciec i Hutt nie byli krewniakami, Huttowi nie przyszłoby na myśl zgłaszanie pretensji do wraku łodzi należącej do kogoś innego, to byłoby nikiemnością. Hutt zazwyczaj zadowalał się własnym towarzystwem, a utrzymywał się ze sprzedaży suszonego torfu, który wyspiarze wykorzystywali jako opał.

Później usłyszałem o waśni między starym Grimem a Huttem. Zaczęło się od kłótni o pewną Szkotkę, kiedy byli tak młodzi, że ledwo można ich było nazwać mężczyznami. Była też bójka na zimowej uczcie ofiarnej i wzajemne obwinianie się o zepchnięcie ze skały owiec rywala, tak że potopiły się w wodach przypiływu. Wtedy jeszcze tego nie wiedziałem, ale Hårek czuł się nieswojo tam na plaży i cały czas zerkał na Hutta, podczas gdy ja oglądałem wrak.

A był to rzeczywiście wrak. Knara wyglądała tak, jakby otrzymała potężne uderzenie w środek burty, bo była niemal rozerwana na dwie części. W lewej burcie ziała wielka dziura, stewa rufowa była połamana, a większość klepek zaczęła rozchodzić się w miejscach połączenia. Ale najgorsze, że złamała się stępka. Ten element konstrukcji można wyciąć tylko z jednego kawałka dobrego drewna i to najlepiej dębowego. Pnie, które mieliśmy ze sobą, były nie tylko z niewłaściwego drewna, ale również niewystarczająco grube.

Tego wieczoru Grim zapytał mnie, czy uda mi się na nowo zwodować jego knarę. Siedzieliśmy przy długim stole, Fenre siedział u mnie na kolanach, a ja wodziłem wzrokiem za Sigrid i Astrid, które siedziały przy ogniu, naprawiając zdarte buty. Inny ojciec pewnie by mi dał w pysk za przyglądanie się jego córkom, ale Grim był pod tym względem pobłażliwy, a może myślał, że mógłbym być dobrym konkurentem do ręki młodszej córki za kilka lat, kiedy stanę się mężczyzną i dam się wszystkim poznać jako budowniczy łodzi. Jeszcze nic nie mówił na ten temat, ale chciał wiedzieć, czy jest jakaś nadzieja dla jego małego stateczku leżącego w zatoce Hutta. Potrzebowałyby go pod koniec lata, kiedy z otwartego morza przypłyną ławice ryb.

Natychmiast odparłem, że wyszykuję knarę do połowów. Wtedy Grim podniósł w górę kufel i wzniósł toast:

– Za Torsteina, naszego skutnika!

Przez następne dni wypływałem o świcie, a wracałem wieczorem. Zadanie wydawało

się niemożliwe. Przez pierwsze dni chodziłem na plażę, wodziłem rękami po kadłubie i złamanych klepkach i zastanawiałem się, jak się zabrać do pracy. Nie chciałem sprawić zawodu Grimowi, bo on i pozostali mieszkańcy gospodarstwa ugościli mnie lepiej, niż ktokolwiek mógłby się spodziewać, i uważałem, że należy po prostu wykonać tę pracę dla niego. A może błędnie to pamiętam, może raczej było tak, że chciałem pokazać Sigrid, że jestem kimś więcej niż pozbawionym zarostu nieletnim niewolnikiem, że jestem mężczyzną.

Hutt pojawił się między stosami torfu drugiego dnia i pozostał tam do chwili, aż popłynąłem z powrotem w ciemnościach. Kiedy wróciłem następnego ranka, znowu tam stał, w tym samym miejscu, ubrany w tę samą włochatą opończę. Sprawiał wrażenie, jakby zastygł w tym miejscu na dobre.

Tego dnia zdjąłem klepki i popłynąłem z nimi z powrotem do gospodarstwa. Obawiałem się, że Hutt może mi ukraść nity.

Następnego dnia nie ujrzałem go, ale usłyszałem za to metaliczne dźwięki dochodzące gdzieś zza stosów torfu. Słyszałem je przez cały ten dzień i dzień następny. Nie wybrzmiewały nieustająco, słyszałem tylko miarowe stukanie od czasu do czasu. Rozpoznałem je, były to dźwięki typowe dla pracy w kuźni.

Do tej pory nie zamieniłem wiele słów z Sigrid. Nie było to takie dziwne, mieszkałem przecież pod dachem jej ojca, co budziło wystarczająco dużo strachu u młodego chłopaka i chociaż Grim wydawał się nie przejmować szybkimi spojrzeniami rzucanymi przeze mnie w kierunku jego córki, nigdy nie odważyłem się na nic więcej. Spojrzenie spod krzaczastych brwi Grima mogło być twarde i zdecydowane, nie był typem mężczyzny nawykłym do sprzeciwu. Ale był człowiekiem sprawiedliwym i lubianym. Był też hojny. Ludzie mogli do niego przychodzić, kiedy skończyły się im zapasy na zimę, bo Grim nie pozwalał nikomu głodować, byle tylko jarl o tym nie wiedział. Tak mówiła Sigrid pewnego ranka, gdy ja i Fenre byliśmy w drodze do byrdinga. Ona szła po wodę ze strumienia i nikogo innego nie było jeszcze na podwórzu. Ten ranek i jej słowa... Nawet teraz, po wszystkich tych latach, mogę zamknąć oczy i je usłyszeć, poczuć zapach wodorostów na plaży i mokrej od deszczu ziemi. Ziemia pachnie inaczej na Orkadach, jakby cała wyspa przesiąknięta była słoną wodą. I oto przez te zapachy

i mgłę unoszącą się nad zatoką i w górę do głównego budynku, przez ciszę przedziera się jakiś dźwięk. Gwizd. Jeden przeciągły gwizd, potem cisza, wreszcie słyszę kroki na krótko przygryzionym przez owce torfie. Stoi tam, zaledwie parę kroków ode mnie.

Jeszcze nie wiem, czy to na mnie gwizdała, czy przywoływała w ten sposób owce, bo tak zazwyczaj robiła. Stała z cebrzykiem w ręce, a ciężar wody przyginał jej wiotką postać jak gałązkę na wietrze.

– Chcę tylko powiedzieć... – zaczęła, ale Fenre podbiegł do niej, a ona przykucnęła i pogłaskała pieska. Po przywitaniu się Fenre pokuśtykał do mnie, Sigrid zaś popatrzyła na mnie, nadal przykucnięta.

– Ojciec lubi pomagać ludziom – rzekła. – I... lubi ciebie.

Te słowa towarzyszyły mi przez całą drogę do zatoki Hutta i nie mogłem pozbyć się wrażenia, że wcale nie miała na myśli ojca, tylko siebie.

To zapewne słowa, które padły tego ranka, sprawiły, że podjąłem mocne postanowienie, iż knara znowu będzie pływała. Zadanie wydawało się, jak wspomniałem, niemożliwe do wykonania. Żadnego z pni nie można było użyć jako stępki. Poza tym ledwo ich wystarczało na cztery klepki poszycia, a ja potrzebowałem dwukrotnie więcej. Ale gdyby mi się udało, Sigrid i jej ojciec uważaliby mnie za mężczyznę, a nie tylko za zbiegłego nieletniego niewolnika.

Sama myśl o tym, że mógłbym zdobyć względy ślicznej Sigrid, jeśli uda mi się naprawić knarę, stała się obsesją, plany odnalezienia brata mogły na razie poczekać. Tego ranka stałem długo, przyglądając się wrakowi i zastanawiając, jak mam tego dokonać. Z kuźni nie dobiegały żadne odgłosy kucia, ale prawie nie zwróciłem na to uwagi, podobnie jak nie zwróciłem uwagi na foki, które wyszły na mieliznę i wystawiły łebki, żeby popatrzeć na człowieka i jego trójnogiego psa. W mojej głowie kiełkowało pewne rozwiązanie: chciałem zesztukować połamane klepki poszycia.

Kilka następnych dni spędziłem na morzu. Ja i Fenre płynęliśmy wzdłuż brzegu, wypatrując wyrzuczonego przez fale drewna i w ciągu tych kilku dni dobrze poznaliśmy okoliczne fiordy i zatoczki, nauczyliśmy się też korzystać z przypływu. Żeglowanie pod prąd było bezcelowe, ale odkryłem, że obserwując słońce i porę dnia, mogę zaplanować żeglugę tak, że będę płynął z prądem.

Znaleźliśmy potężny korzeń drzewa i kilka grubych konarów. Zacząłem wyciosowywać z nich wręgi albo bandy, jak nazywamy je my, Norwedzy. Chciałem je przybić wewnątrz poszycia, a potem zesztukować klepki i połączyć je z wręgami długimi nitami. Jeszcze nie wiedziałem, w jaki sposób zesztukować stępkę, żeby była wystarczająco wytrzymała, bo to w niej kumulują się wszystkie uderzenia fal w poszycie i skręty masztu, stępka to kręgosłup łodzi. Ale i na to znalazła się wkrótce rada.

Jeszcze nie postawiłem stopy na lądzie na Orkadach w innych miejscach niż zagroda Grima i plaża w zatoce Hutta, ale nie przypominam sobie, żeby mi się do tego specjalnie spieszyło. Miałem dach nad głową, jedzenie na stole i byłem wolny. Ten, kto zaznał niewoli, ceni to bardziej niż inni. Nie poszedłem nawet obejrzeć portu i stojących w nim statków, byłem zbyt zajęty pracą, bałem się też, że będą tam Norwegowie i że ktoś mnie rozpozna.

Dlatego kiedy Gard, Grim i jego synowie pewnego wieczoru włożyli na siebie opończe i kiwnęli na mnie, żebym im towarzyszył, odmówiłem. Zacząłem się uskarżać na ból nogi, lecz nie chcieli o tym słyszeć. Wcześniej tego dnia przypłynął jakiś statek, mówiono, że ma wieści z Norwegii. Grim zapewne domyślał się, czego się obawiam. Położył mi dłoń na ramieniu i obiecał, że gdyby ktoś pytał, powie, że jestem jego krewnym. Wtedy nikt nie śmiałby twierdzić, że jestem zbiegłym niewolnikiem; wszyscy wiedzieli, że Grim i jego rodzina nie oddadzą nikogo ze swoich krewnych bez walki.

Tego wieczoru dowiedziałem się dwóch rzeczy o Grimie. Pierwsza była dla mnie oczywista, kiedy zatrzymaliśmy się przy kopcu z kamieni oznaczającym granicę pastwisk Grima, mniej więcej w połowie drogi między portem a jego zagrodą. Tu mężczyźni stanęli i wtedy spostrzegłem, że ten wysoki na chłopa kopiec nie jest tylko usypiskiem kamieni. Od strony północnej była w nim wnęka, a we wnęcie stał mały drewniany krzyż. Grim złożył sękaty łokieć tak, że utworzył swego rodzaju szpic, i przytknął go sobie do brody, a potem spojrzał surowo na Gardę, Håkona i Håreka, którzy uczynili to samo. Grim zapewne słyszał słowa, które należało wypowiedzieć, ale pamiętał tylko niektóre z nich:

– Gloria Patri... Maria... Sanctus.

Zakończył modlitwę niezgrabnym ruchem, dotykając najpierw jednego ramienia, później drugiego, a potem czoła i piersi. Gard i synowie naśladowali go. Następnie odwrócili się plecami do krzyża, a Grim wyjął mały młot Thora zawieszony na łańcuszku pod wełnianą koszulą i wskazał nim w cztery strony świata.

Przedtem nie miałem pojęcia, że Grim jest chrześcijaninem. Wcale mi się to nie podobało. Ale przezornie trzymałem gębę na kłódkę.

Drugą rzeczą, której dowiedziałem o Grimie tego wieczoru, było to, że nie tylko hojność i dobre serce kryły się za jedzeniem, które wystawiano mi na stół każdego wieczoru i ranka, i nie bez powodu pozwolono mi spać w ciepłym miejscu. Kiedy zbliżaliśmy się do portu, Grim położył mi rękę na ramieniu i szliśmy tak dalej ścieżką prowadzącą w dół między domy. Było tu co najmniej kilkadziesiąt budynków o kamiennych ścianach i torfowych dachach, było też kamienne nadbrzeże, przy którym kotwiczyło wiele łodzi. Większość była mniejszymi knarami rybackimi, jak łódź Grima, ale był tu też długi statek z wyrzeźbioną na przedniej stewie głową smoka. Na ten widok wzdrygnąłem się, bo natychmiast pomyślałem, że to statek, którym rabusie wpłynęli do osady kupieckiej, ale zaraz potem przekonałem się, że ten jest o wiele większy.

Na ładzie przed nadbrzeżem było miejsce na ognisko. Płonął ogień, ludzie stali wokół, słuchając wysokiego mężczyzny w natartym olejem skórzanym płaszczu, jaki był popularny wśród żeglarzy w tamtych czasach. Miał na sobie niebieską, pięknie wyszywaną długą tunikę i pas z przytroczoną do niego skórzaną sakiewką. Ta sakiewka ciężko zwisała mu na biodro i wszyscy chyba pomyśleliśmy, że ma w niej złoto i srebro, bo wyglądał na bogacza. Wszystko w nim, od tuniki i pięknie uszytych skórzanych butów, do starannie uczesanych, długich włosów, na to wskazywało. Oprócz niego na placu przy ognisku było kilkadziesiąt obcych, ogorzałe od wiatru i słońca chłopcy z kuflami w garści, a na statku płonął ogień w żelaznej misie. Zapewne na statku przebywała reszta załogi.

Zrobiono nam miejsce przy ognisku, przez chwilę siedzieliśmy, słuchając. Mężczyzna w żeglarskim płaszczu miał brzydką bliznę przecinającą nos i wielki

gliniany kufel w rękę. Z tego kufła pociągał porządnie za każdym razem, kiedy wyspiarze zgromadzeni wokół ognia o coś go pytali, a potem gładził się po jasnej jak słoja brodzie i odpowiadał ściszym głosem.

Ludzie wypytywali go przede wszystkim o krewniaków w Norwegii, o kuzynów, wydane za mąż córki i pożenionych synów, ale o takich sprawach obcy zbyt wiele nie wiedział. Za to mógł poinformować, że w Norwegii są teraz niespokojne czasy. Wiele westlandzkich rodów zbuntowało się przeciwko jarlowi Håkonowi i jego synom i odmówiło płacenia im daniny. Krążyły słuchy, że pewien hovding imieniem Torfinn pojmał kilku ludzi jarla w niewolę i zażądał dziesięcioletniej daniny srebra jako okupu. Inni mówili, że wodzowie przegonili jarla Håkona i wszystkich jego wojów z Trondheim i że przysięgli się, aby pomścić krzywdy wyrządzone im i ich kobietom.

Znowu usłyszałem, jak to jarl z Lade bezczelnie wykorzystuje kobiety, gdzie tylko się pojawi. Ludzie wokół ogniska kręcili na to głowami, a kiedy mężczyzna ze statku podniósł pięść i podniesionym głosem oznajmił, że Norwegia potrzebuje mądrego i sprawiedliwego króla, wielu potwierdziło skinieniem głowy. Takiego jak Håkon Adelsteinsfostre, zamruczał Grim, on był dobrym królem dla starej Norwegii. Teraz mężczyzna ze statku skierował rękę na południe, w stronę granatowego wieczornego nieba nad pastwiskami Grima. Zna on kandydata na króla, męża mądrego i odważnego. Człowiek ten czeka na południu, w Wessex.

Ludzie przy ognisku bardzo się zaciekawili i taki był zapewne cel żeglarza. Nagle w poświęcie wokół płomieni wychynęła twarz Hutta, zajął miejsce po drugiej stronie ogniska. Hutt zabrał głos, pytając, czy ten kandydat na króla ma jakieś imię; wtedy żeglarz odrzekł, że ma na imię Olaf, ale wielu nazywa go Kråkebein, czyli Wronia Kość.

Skoro Hutt zabrał głos, Grim nie mógł być gorszy. Białobrody podniósł się i rzekł, że również on słyszał o Olafie Wronia Kość, lecz nic dobrego. Danowie szukający schronienia w tutejszym porcie opowiadali o nim. Twierdzili, że to zwykły rozbójnik morski.

Żeglarz wbił wzrok w Grima, który podparł się pod boki i zmarszczył nos, jakby węszył zapach obcego. Przez chwilę stali tak, gapiąc się na siebie, aż jeden z mężczyzn podniósł kufel i wzniósł toast. Po toaście nie mówiono już zbyt wiele o tym kandydacie

na króla z południa. Chociaż wyspiarze nadal uważali się za Norwegów, nie klękali przed żadnym królem. Ich przodkowie uciekli właśnie przed kimś takim, a wspomnienia o grabieżach Haralda Pięknowłosego nadal były żywe dzięki przekazywanym z pokolenia na pokolenie opowieściom.

Po jakimś czasie Grim wstał ponownie i zdradził drugi powód, dla którego wziął mnie ze sobą.

– To jest Torstein, o którym słyszeliście – powiedział i położył mi rękę na ramieniu.  
– On jest moim skutnikiem.

Wszystkie oczy zwróciły się na mnie. Wielu kiwało głowami, niektórzy podnieśli kufel w moim kierunku, przypijając do mnie. Grim dodał, że jestem teraz zajęty pracą, ale jeśli ktoś potrzebuje fachowej pomocy przed jesiennymi połowami ryb, powinien udać się do jego zagrody.

Wokół ogniska znowu pokiwano głowami i zamamrotano. Żeglarz w opończy przekrzywił głowę i zaczął mi się przyglądać. Hutt się wychylił i splunął w ogień.

– On nie jest twoim skutnikiem – powiedział, zerkając krzywo na Grima. – Myślisz może, że masz go jak niewolnika?

Grim nic nie odrzekł, chyba zbyt szybko opanowała go wściekłość, żeby był w stanie mówić. Natychmiast wetknięto mu w wolną rękę róg z napitkiem, po czym mężczyźni i kobiety wzniesli toast po raz kolejny.

Stary białobrody siedział i pił i chyba już miał w czubie, bo opadł trochę na siedzeniu i zrobił się podejrzanie spokojny. Ja też zostałem poczęstowany napitkiem i chociaż ostrożnie pociągałem każdy łyk, wkrótce poczułem jego działanie. Było to piwo warzone przez wyspiarzy na jęczmieniu dwurzędowym dojrzewającym na słonecznych polach południowej Anglii. Trunek, który szedł prosto do głowy, a potem w dół do krocza. Ale działanie w obydwu miejscach było całkowicie różne, bo o ile myślenie stawało się otepiałe i spowolnione, poniżej pasa działało się coś dokładnie przeciwnego. Wielu mieszkańców Orkadów poczętych zostało w piwnym upojeniu, na niewiele się zdało, że zajeżdżali tu księża, opowiadając, jak ludzie powinni się zachowywać, by przypodobać się Białemu Chrystowi i jego ojcu. Starzy bogowie jeszcze nie opuścili wysp, a żaden nie był znany z tego, że wylewał za kołnier albo przepuszczał jakiegokolwiek kobiecie.



Większość mężczyzn wokół ogniska dobrze już sobie podpiła i znajdowali się teraz w najbardziej wybuchowym stadium: wystarczająco pijani, żeby najmniejsza błahostka mogła skłonić ich do bójki, ale nie tak pijani, żeby nie móc się bić. I oto w samym środku tego pijaństwa pojawił się jarl Orkadów ze swoimi ludźmi. Byłem jednym z pierwszych, którzy go zauważyli. Wjechał konno między domy i zatrzymał się dopiero o rzut kamieniem od ogniska, a jego świta zbierała się wokół niego. Było z nim ośmiu wojów, wszyscy na koniach. Żeglarz ich zobaczył i podniósł kufel na powitanie. Ale Sigurd Lodveson, jarl Orkadów i wszystkich mieszkańców, nie odpowiedział na ten gest.

Pierwszy raz wtedy widziałem jarla, więc Gard trącił mnie łokciem i wyjaśnił, kto to jest i że zaraz dojdzie do awantury.

Sigurd zsiadł z konia, najpierw przyjrzał się nam, splunął na ziemię z wyraźną pogardą i zagadał coś do jednego ze swoich ludzi, wskazując na statek. Tego człowieka już widziałem, przybył raz do zagrody Grima i nakazał mu odłożenie suszonej ryby i mięsa dla poborcy daniny, po czym Grim siedział przez cały wieczór i przeklinał jarla i cały jego ród. Bo mężczyznę, do którego zwracał się jarl, był jego syn o imieniu Hund<sup>12</sup>, nazywany przez wyspiarzy Valp<sup>13</sup>. Miał w sobie coś przyczajonego, wyglądał tak, jakby nie mógł się nigdy całkowicie wyprostować, a teraz towarzyszył ojcu z wyczekującym uśmiechem na ustach.

Mówiono o Sigurdzie Lodvesonie, że jest chciwy i że potrafi po kryjomu szlachtować bydło tych, którzy odmawiali płacenia mu daniny. Był wysokim, grubym mężczyzną, a na szyi, tuż nad wycięciem tuniki, miał narośl. Mówiono, że ta narośl zmienia kolor, kiedy jarl wpada w złość, wtedy robi się czerwona i zaogniona; tak jak ogień na kopcach z kamieni na szczytach gór ostrzegał o zbliżających się statkach, tak narośl ostrzegała ludzi wokół jarla. Grim się nadał, wydał z siebie kilka warknięć. Na niewiele się zdało, że Håkon objął ojca uspokajająco ramieniem. O jarlu Grim mawiał, że jest rabusiem i oszustem, bo nie robi nic, by zasłużyć na daninę. Wyspiarze muszą sobie radzić sami.

Kiedy jarl podszedł do ogniska, stanął na szeroko rozstawionych nogach z kciukami zatkniętymi za pasem. Wysunął do przodu podbródek i nie mówił ani słowa, tylko stał, gapiąc się na żeglarza w opończy. To Valp przekazał wiadomość od niego.

– Sigurd Lodveson, jarl Orkadów, mówi, że was wita. – Valp wysunął się kilka kroków przed ojca. – Czy to wasz statek?

Żeglarz skinął głową.

– Możecie go zacumować przy naszym nadbrzeżu.

Żeglarz rzucił okiem na statek, a potem ponownie zwrócił się do Valpa i jarla.

– Tak – powiedział. – Jak widzisz, już to zrobiliśmy.

Valp zbliżył się jeszcze o parę kroków, wszedł między mężczyzn i kobiety wokół ogniska i zmrużonymi oczami popatrzył na wojów na statku. Ci pojęli zapewne, że coś się święci, bo garstka z nich ruszyła szybko trapem na ląd, a kilku ścisnęło w garści topory. To musiało przestraszyć Valpa, rzucił się z powrotem do ojca i stanął częściowo ukryty za jego plecami. Sigurd Lodveson zamruczał coś do swoich ludzi, którzy odgarnęli do tyłu oponczę i położyli ręce na sztyletach i toporach u pasa. Sam Sigurd miał szeroki miecz, który właśnie miał wydobyć, kiedy żeglarz zawołał:

– Nie dobywaj miecza przeciwko mnie!

Brzmiało to niemal tak, jakby bał się, że coś strasznego się wydarzy, jeśli jarl to zrobi.

– Jesteś potężnym mężem, Sigurdzie, jarlu Orkadów. Ale obiecałem mojemu wodzowi, że nie będę posłuszny nikomu oprócz niego. Więc jeśli dobędziesz miecza... wtedy będę musiał cię zabić, jarlu.

Żeglarz położył dłoń z tyłu biodra i z pochwy, którą skrywała jego oponcza, wyciągnął długi saks. Widziałem już te długie, ostre noże, ale były o wiele częstsze za granicą niż w moim rodzimym Vingulmorku. Podczas gdy zwykłe noże mają wygięte ostrza, saks ma ostrze proste, a tępa strona jest łukowato wygięta.

Sigurd Lodveson nadal stał z dłonią na rękojeści miecza, jego oczy zrobiły się wielkie i okrągłe. Popatrzył na żeglarza z saksem, na załogę statku zbliżającą się nadbrzeżem i wszyscy chyba myśleliśmy, że obróci się na pięcie i odjedzie, lecz w jarlu było więcej odwagi, niż mi się wydawało.

– Nie dobywam miecza przeciwko przyjezdnym – powiedział i zakrył rękojeść miecza oponczą. – Ale daninę musisz zapłacić. Jedną dziesiątą tego, co masz przy pasie.

Sigurd wskazał palcem sakiewkę żeglarza, a potem chwycił syna za rękaw i wypchnął go przed siebie. Valp jeszcze bardziej się przyczał, nie miał odwagi

spojrzeć żeglarzowi w oczy, wbił za to wzrok w sakiewkę, przedzierając się między mężczyznami i kobietami przy ognisku. Żeglarzowi chyba już sprzykrzyło się to przedstawienie, bo nagle odwiązał całą sakiewkę od pasa i rzucił ją nad ogniskiem prosto pod stopy jarla.

– Weź, ile chcesz, jarlu. W ten sposób będziemy mieli zapłacone również za następny raz.

Ponizej godności jarla było schylenie się po sakiewkę. Jeden z jego ludzi musiał to zrobić za niego. Jarl odsznurował sakiewkę, spojrzął do środka i podniósł do góry srebrną monetę błyszczącą w blasku ogniska. Potem zanurzył w niej rękę i wyjął jeszcze ich garść, po czym obrócił się i poszedł do swojego konia z Valpem depczącym mu po piętach.

Po odjeździe jarla i jego świty nadal siedzieliśmy przy ognisku. Mężczyźni dalej pili, a żeglarz razem z nimi. Albo był teraz zmęczony, albo miał słabą głowę, bo po chwili niewiele już było w nim stanowczości, którą okazał jarlowi. Po tym, jak opróżnił pęcherz na pomoście, oblewając sobie przy okazji moczem nogawkę, wrócił, zataczając się, do ogniska, głośno jęknął, a potem zapadł się w sobie jak worek.

Nie było to godne zakończenie wieczoru, ale wkrótce miałem zobaczyć bardziej gorszące sceny. Kiedy posiedzieliśmy przy ognisku jeszcze chwilę i większość mężczyzn była już spita, ludzie zaczęli kierować się do swoich domostw. Noce nie były nigdy całkowicie ciemne o tej porze roku, więc nawet podpici mężczyźni i kobiety mogli bezpiecznie wracać do gospodarstw, nie potykając się i nie narażając na poważne potłuczenie przy upadku. Słyszeliśmy śpiewy i pijackie krzyki nad wzgórzami, ja też pewnie byłem pijany, bo pamiętam, że szedłem, jednym ramieniem obejmując Garda, a w drugiej ręce trzymając Fenrego, ale nie przypominam sobie, żebym pieska zabierał ze sobą, chyba sam wybiegł z gospodarstwa i podążył naszym tropem.

Zatrzymaliśmy się przy kopcu kamieni, gdzie Grim stał przez chwilę i wymachując ręką, mamrotał, że bardzo kocha tę wyspę. Tak, kocha każdą kępę i każde źdźbło trawy wokół nas. Kocha niebo nad nami, bo czy istnieje coś piękniejszego niż letnie niebo nad Orkadami? Håkon kiwał głową, przytakując. Zazwyczaj zgadzał się z ojcem niemal we wszystkim. Hårek usiadł plecami do kopca. Sprawiał wrażenie, jakby spał.

Kiedy Grim tak stał, spostrzeżliśmy kudłatą postać idącą od portu w górę. Grim machnął pięścią i nie przyszło mu nic rozsądnego do głowy, bo wydał tylko z siebie ryk. To sprawiło, że Hutt przyspieszył kroku, a Grim znowu zaryczał i wyszedł mu naprzeciw.

Zwarli się w miejscu o rzut kamieniem od kopca. Hutt był niższy od Grima, ale okazało się, że jest równie wytrwały w bójce jak Grim. Kiedy rzucili się na siebie, złapał Grima w pasie i powalił na ziemię. Grim wściekle wrzasnął, podniósł się i zaraz potem otrzymał cios w twarz. Zatoczył się do tyłu z ręką przy nosie, między palcami płynęła krew. Nie otrzymał żadnej pomocy od synów, ale nie było to potrzebne. Odwrócił się do niższego od siebie mężczyzny i wymierzył cios, który trafił go prosto w szczękę. Hutt upadł na ziemię i przez chwilę leżał tak między kępami trawy, przewracając oczami, lecz potem podniósł się i uderzył Grima pięścią w brzuch, na co ten zgiął się wpół i zwymiotował. Trochę wymiocin wylądowało we włosach Hutta, z czego Grim był chyba bardzo zadowolony, bo wybuchł śmiechem, wskazując je palcem. Hutt chwycił go za ten palec, ale Grim wrzasnął, żeby nie ważył się mu go złamać, to byłoby nikczemnością. Wtedy Hutt puścił palec i złapał Grima za koszulę na piersi, wodzili się i popychali, aż wpadli na kopiec kamieni, tak że wnęka z krzyżem się zapadła. Wtedy obydwaj starzy chyba uznali, że to wystarczy, puścili jeden drugiego, podnieśli się, wygładzili na sobie ubranie, obrzucili się nienawistnym spojrzeniem, po czym obrócili się do siebie plecami i się rozeszli.

Następnego dnia byłem znowu w zatoce Hutta, żeby naprawiać knarę. Hutta nie widziałem tego dnia, pewnie odsypiał pijaństwo. Kiedy tego wieczoru wróciłem do domu, dowiedziałem się, jakie zło go spotkało. Nie tylko byli z żoną bezdzietni, ale gdy pewnej zimy osiemnaście lat temu na wyspę przysła zaraza, gospodarstwo Hutta bardzo ucierpiało. Żona, siostra żony i wszyscy inni domownicy zmarli. Od tej pory Hutt mieszkał sam.

Tego popołudnia zobaczyłem na morzu statek. Obrął kurs na południe. Ja sam szukałem dryfującego drewna. Potrzebowałem go, żeby wprawić kawałek w miejsce, gdzie złamała się stewa rufowa. Tego dnia wiał południowy wietrzyk, na statku wiosła były wysunięte. napięty żagiel ustawiony wzdłuż burty drżał na wietrze, podczas gdy sternik

halsował pod prąd. Razem z Fenrem dobiliśmy do brzegu na wysepce Glimsholmen, jednej z mniejszych między główną wyspą Rossøy i wyspą Borgarøy na południu. Tutaj do lądu często przyływały zarówno gałęzie, jak i całe drzewa, a ja właśnie wyciosywałem belkę z sękatego korzenia.

Statek szybko przemieszczał się w kierunku południowym. Wkrótce widziałem już tylko żagiel nad spienionymi falami i więcej nie poświęcałem mu uwagi. Waśnie możnowładców nie obchodziły mnie, nie obchodziła mnie też moja dawna ojczyzna. To była prawdziwa ulga ujrzeć wybrzeże Norwegii znikające na horyzoncie i to samo uczucie towarzyszyło mi, gdy zobaczyłem, że statek znika na południu.

Kiedy zbliżałem się do plaży Hutta, usłyszałem dźwięki dobiegające z kuźni. Ale nie zastanawiałem się więcej nad tym.

Dotychczas poświęcałem czas na przycinanie i dopasowywanie klepek i kawałków drewna, lecz żadnego z tych elementów jeszcze nie przytwierdziłem, bo potrzebowałem nitów. Planowałem w ten sam sposób zesztukować samą stępkę, choć obawiałem się, że nie będzie wtedy wystarczająco wytrzymała. Musiałem porozmawiać o tym z Grimem i bałem się tej rozmowy. On udzielił mi schronienia i żywił prawie przez całe lato, a ja miałem mu powiedzieć, że jego knara jednak nie będzie się nadawała do żeglugi? To niemożliwe. Musiałem znaleźć jakieś rozwiązanie.

Tego dnia przesiedziałem na plaży Hutta aż do wieczora. Kiedy ja i Fenre wreszcie pożeglowaliśmy do domu i szliśmy w górę, stała tam Sigrid, czekając na mnie.

– Późno wracasz – powiedziała cicho.

Odparłem, że mam dużo pracy, obiecałem przecież wyszykować knarę na jesienne połowy. Fenre podbiegł do niej, ona przykucnęła jak zwykle i lekko tarosiła jego sierść. Tarosiła tak długo, aż Fenre nasycił się pieśczętą i wbiegł do domu przez wpółotwarte drzwi, skąd dobiegał złocisty blask z paleniska. Sigrid podniosła się, wygładziła dół sukienki szczupłymi dłońmi i uśmiechnęła się do mnie.

Nie powiedzieliśmy sobie nic więcej tego wieczoru i może nie trzeba było przywiązywać takiej wagi do tego, że trzynastoletnia dziewczynka wyczekiwała mnie w letni wieczór. Lubiła stać na tym wzgórzu i patrzeć na zatokę, na małe wieloryby tryskające fontannami wody i na pływące na horyzoncie chmury, które czasami

przybierały kształt zwierząt i przedmiotów. Ale dobrze było ją tam zobaczyć i dopiero później zrozumiałem, że te drobne chwile chroniły mnie przed popadnięciem w głębokie przygnębienie. Bez nich chwyciłyby mnie wspomnienia i nie chciały puścić. Oczami wyobraźni po tysiäckroć widziałbym śmierć ojca, widziałbym, jak małemu niewolnikowi w kajdanach przede mną podrzynają gardło, czułbym blizny pozostałe po niewolniczej obręczy i to, że okaleczona noga nie całkiem nadąża za drugą. Napełniłoby mnie to zgorzknieniem i siało spustoszenie w umyśle. Przede mną było długie życie i miałem zobaczyć więcej ludzkiego okrucieństwa niż ktokolwiek inny. Ale tego byłem w tamtym czasie błogo nieświadomy i dzisiaj dziękuję za to bogom.

Następnego ranka obudziły mnie wyjące podmuchy wiatru. Nie odstraszył mnie, zjadłem kaszę i byłem nad wodą, zanim inni zdołali się wygramolić ze słomy na posłaniach. Morze było pokryte białą pianą, lecz fale bardzo rzadko tu dochodziły, bo gospodarstwo było korzystnie położone. Wyspa chroniła nas przed niepogodą z północy, a na południu leżały wyspy Haøya, Flotta i Ragnvaldsøy, osłabiając impet fal z południa. Wyspa Borgarøy i wschodnia część głównej wyspy osłaniały przed niepogodą ze wschodu. Mając wiatr południowo-wschodni wiejący z boku, z wiosłem sterowym pod pachą i Fenrem między stopami, sunąłem wzdłuż poszarpanego wybrzeża i zaraz potem wpływałem do zatoki Hutta. Zazwyczaj utrzymywałem sporą prędkość, płynąc w stronę lądu i nie zrzucałem żagla do momentu, kiedy od celu dzieliło mnie kilka strzałów z łuku. Tak też było owego ranka i wkrótce stałem nad wodą z toporem w jednej ręce i ciosłem w drugiej, zbierając się do czekającej mnie pracy; najpierw musiałem starannie ociosać miejsce złamania w stępcie. Potem chciałem ją zesztukować.

Przez chwilę stałem, przyglądając się różnym kawałkom drewna zgromadzonym podczas tego lata. Był tam korzeń dębu, kilka pni brzozowych, klepki, które wyjąłem z dziurawej beczki i resztki drewnianych kłód leżących u Grima. Żadne z nich nie było dobrym materiałem na zesztukowanie stępki.

Chwyciłem topór, który naostrzyłem poprzedniego wieczoru na osełce pożyczonej od Håkona. Za każdym razem, kiedy wyciągałem ten topór, rozmowy w domu cichły, domownicy rzucali spojrzenia na mnie i na topór i nie podobało im się to. Widzieli, że

jest to topór bojowy, i przeczuwałem, że Grim powiedział wszystkim, iż mam na rękach krew człowieka. Ale nie mówiono o tym, przynajmniej nie w mojej obecności.

Gdy miałem wdrapać się do wnętrza knary, zobaczyłem coś nowego. Na stępkę nałożono masywne żelazne okucie. Było pokryte sadzą, świeżo wykute i obejmowało drewno z trzech stron. Miało niemal długość ramienia, a z boku otwory na nity.

Wtedy zrozumiałem. Dźwięki z kuźni... Teraz dojrzałem Hutta; jak zwykle stał przy stosach torfu. Podniósł rękę na powitanie i zaczął iść w kierunku plaży. Wiatr targał jego włochatą opończę. Tego ranka miał na sobie szeroki pas, u którego zwiisał młotek i skórzana sakwa.

Podszedł do mnie, stanął, spoglądając na morze, podczas gdy jego siwiejące włosy powiewały wokół okrągłej twarzy. Potem wysmarkał się w palce, oparł się ramieniem o stewę burtową i zaparł stopami w piasku.

– Złap no tam! – Skinął głową na burtę, więc podbiegłem. A kiedy powiedział: – Podnieś, chłopcze! – Podniosłem.

Równocześnie Hutt pchał burtę. Knara zatrzeszczała. Gdy ją postawiliśmy na ziemi, Hutt spojrział nad burtą i warknął niezadowolony, bo stępka jeszcze nie leżała równo.

– Jeszcze raz – powiedział i znowu podnieśliśmy.

Tym razem przesunęliśmy kadłub tak, że obydwie części stępki leżały równo na sobie.

– Wejź teraz do środka – rzekł Hutt – i załóż okucie.

Wdrapałem się do knary. Okucie pasowało idealnie, obejmując miejsce złamania, i to z dużym zapasem. Hutt podał mi młotek i kilka nitów, które miał w przytroczonej do pasa sakwie. Również one były pokryte sadzą i całkowicie gładkie; nowiutkie, prosto z kuźni. Wbiłem je w otwory w okuciu. Teraz stępka była zesztukowana i solidniejsza niż kiedykolwiek. Zostało mi tylko przytwierdzenie klepek na burcie i knara znowu była zdatna do żeglugi.

Chciałem podziękować Huttowi, ale kiedy podałem mu młotek, odwrócił się i poszedł sobie. Przez resztę dnia zastanawiałem się nad jego zachowaniem. Pojąłem, że to on zrobił okucie, ale nie mogłem zrozumieć, dlaczego chce pomóc Grimowi. O tym, co się wydarzyło, nie powiedziałem ani słowa Sigrid ani nikomu innemu w gospodarstwie.

Byłem jednak bardzo zdecydowany, żeby rozwikłać zagadkę dziwnego zachowania Hutta i jeszcze nie świtało, kiedy ponownie zepchnąłem łódź na wodę i pożeglowałem do jego zatoki.

Tego ranka wiał słaby wiatr i musiałem wysunąć wiosła. Po drodze widziałem ciemne chmury napływające z zachodu, a zaraz potem zaczęło padać. Ja i Fenre byliśmy kompletnie przemoczeni, dopłynąwszy do celu.

Deszcz mi nie przeszkadzał, o ile trwało lato i było ciepło. Powodowany przede wszystkim ciekawością, poszedłem za Huttem, gdy ten najpierw pojawił się wśród stosów torfu, a potem odwrócił się do mnie plecami i ruszył pod górę.

Okazało się, że Hutt miał kiedyś duże gospodarstwo. Ja i Fenre weszliśmy między stosy torfu, tutaj teren tworzył wzniesienie chroniące przed wiatrem to, co leżało za nim. Wyraźnie widziałem fundamenty pozostałe po trzech długich domach i dwóch mniejszych budynkach. Nadal wystawało tam kilka słupów, ale zrozumiałem, że budynki strawił pożar wiele lat temu.

Na skraju dawnego podwórza stały dwie chaty z torfu. Przypominały bardziej dwa wzniesienia w terenie, ściany i dach porastała trawa. Z otworu jednej z nich dobywał się dym i to stamtąd dochodziły znajome dźwięki.

Znalazłem Hutta wewnątrz pochylonego nad kowadłem, półnagiego, z kroplami potu na owłosionych plecach. Nie spojrzawszy w moim kierunku, zamruczał, że mam poruszać miechem. W palenisku było kilka kawałków żelaza wielkości palca, a kiedy uchwycił jeden z nich szczypcami i zaczął młotem wykuwać ostrze i główkę, od razu pojąłem, co to jest.

Przez chwilę stałem, poruszając miechem, aż palenisko tak się rozgrzało, że ze stali posypały się iskry. Wtedy Hutt powiedział, że mogę usiąść i odpocząć, więc tak zrobiłem. Kuźnia nie była duża, żar z paleniska bił na torfowe ściany. Dym odprowadzany był glinianym kominem, mimo to gryzł mnie w oczy tam, gdzie siedziałem. Hutt wykuł cztery nity, wetknął je do beczki z wodą, a potem położył na kamiennej płycie. Następnie zaczął obrabiać kolejne kawałki żelaza, wetknął je do paleniska szczypcami, po czym posypał kawałkami węgla i poruszył miechem, ale zrobił to ostrożnie, ze wzrokiem cały czas utkwionym w palenisku.

– Popatrz – wymamrotał. – Ostrożnie, ostrożnie... Nie za mocno. Nie za słabo.



Kiedy wykuł cztery kolejne nity, zabraliśmy je nad wodę. Wystarczyły do przymocowania najniższej klepki poszycia do nowo wyciosanych wręg. Wtedy Hutt ruszył do domu, lecz po kilku krokach się odwrócił.

– Jutro, chłopcze, wykujemy ich więcej!

Również tego wieczoru nie powiedziałem nikomu o nagłej uczynności Hutta. Kiedy Grim zapytał mnie, jak idzie praca, odrzekłem tylko, że się posuwa, ale że jest jeszcze dużo do zrobienia. Wyliczyłem, że jeśli Hutt będzie mi pomagał wykuwać nity, mogę wszystko skończyć w ciągu kilku dni. Chciałem zrobić staremu niespodziankę.

Następnego dnia Hutt pozwolił mi stanąć przy kowadle, podczas gdy on poruszał miechem i wyjaśniał mi, że z żelazem należy obchodzić się niemal jak z żywą istotą, stworzeniem obdarzonym życiem i własną wolą. Mogło pęknąć, jeśli nie byłbym ostrożny. Mogło się spalić, jeśli podgrzałbym je zbyt mocno. I mogło osłabnąć, o ile nie kułbym go wystarczająco długo młotem. To właśnie, zdaniem Hutta, przypominało w żelazie człowieka.

W środku dnia nie mogłem już dłużej się powstrzymać, żeby nie zapytać. Musiałem się dowiedzieć, dlaczego mi pomaga. Wiedział przecież, że leżąca nad wodą knara jest własnością Grima.

– Chcę pojednania – odpowiedział krótko, a potem kiwnął głową i dorzucił: – Od dawna tego chcę. Kiedy byliśmy chłopcami, przyjaźniliśmy się.

– Ale biłeś się z nim – powiedziałem. – Tamtej nocy, w drodze do domu z portu.

Hutt wydał z siebie głębokie westchnienie, dotknął karku i popatrzył ponuro w palenisko.

– Jak się napiję... wpadam we wściekłość, Torsteinie. Zawsze tak ze mną było.

Spojrzałem na niego. Nie był wielkoludem. Ale kark miał masywny i zwarty jak u byka, ramiona grube, a na okrągłym, wystającym brzuchu pod skórą rysowały się mięśnie.

– Patrzysz na mnie – powiedział. – Widzisz, że nie jestem taki jak ty. To prawda. Nie jestem Norwegiem z pochodzenia. Jestem Szkotem. Te wyspy... – Spojrzał zmrużonymi oczami na drzwi, w których leżał i dyszał Fenre. – One nie zawsze były norweskie. To było wtedy... przed wami.

W tych ostatnich słowach nie było wyrzutu, tylko jakby ból, który towarzyszył mu, kiedy ponownie zaczął poruszać miechem. Odwróciłem kawałki żelaza w palenisku, żaden z nas nic nie mówił przez dłuższą chwilę.

W ciągu następnych dni Hutt nauczył mnie, jak formować żelazo i stal za pomocą ognia i młota. Te umiejętności bardzo mi się przydały w przyszłości. W pełni wyuczonym kowalem oczywiście nie byłem, ale teraz wiedziałem, jak ma wyglądać palenisko i jak pracować, mając do dyspozycji krótką chwilę, zanim metal stężeje i ponownie musi zostać rozgrzany. Hutt nauczył mnie hartowania tego, co wykułem, nie chcieliśmy przecież, żeby nity popękały, kiedy fale morskie będą uderzać o kadłub. Nauczył mnie też, jak wydobywać żelazo z ziemi pod naszymi stopami. Wykopaliśmy torf ze zbocza pewnego wzgórza w głębi wyspy i spaliliśmy go nad ogniskiem, a potem wrzuciliśmy pozostałą po spaleniu brunatną masę do glinianego pieca. W dnie pieca był otwór, w który skierowaliśmy wylot miecha kowalskiego i gdy brunatna masa paliła się już wystarczająco długo, pozwoliliśmy ogniovi się wypalić, a na dnie pieca pozostała gruda żelaza, którą Hutt oczyścił poprzez kucie na kowadle. Nazywał to dymarstwem i według niego każdy mężczyzna powinien nauczyć się tej sztuki.

Hutt pomógł mi też przymocować klepki. Smołę zagotowaliśmy w kotle na plaży i teraz to ja byłem mistrzem, a siwiejący Szkot uważnie się przyglądał, jak smaruję miejsca połączeń lepką masą, zanim naprężyliśmy klepki za pomocą kijów i kamieni i wbiliśmy nity.

Nadszedł w końcu dzień, gdy knara Grima była ponownie zdatna do żeglugi. Było już późne lato, zauważyłem, że dni stały się krótsze i ciągle wiało. Wokół długiego stołu w gospodarstwie Grima rozmawiano o jesiennych połowach, kiedy to mężczyźni wypływają na zachód i nie wracają, dopóki nie zapełnią rybami łodzi po ławeczki. Złowione ryby umieszczano w słonej zalewie albo w serwatce, a ponieważ niewiele było pól uprawnych na wyspach, głód czekał tego, kto nie wróci do domu z wystarczająco dużą zdobyczą. Powtarzano to w nieskończoność przy stole, po czym Grim zapytał, jak się mają sprawy z knarą.

Hutt nie towarzyszył mi podczas odprowadzania knary. Niemal oczekiwałem, że popłynie ze mną do zagrody Grima i obydwaj starzy pogodzą się i zapomną o dawnej

wrogości. Ale Hutt został. Stał między stosami torfu, kiedy wypływałem, a gdy podniosłem żagiel, zniknął mi z oczu. Więc tylko ja z Fenrem pożeglowaliśmy wzdłuż postrzępionej linii brzegowej, tym razem holując knarę Grima. Ku mojej wielkiej uldze nie wyglądało na to, żeby nabierała wody.

Doholowanie knary do zagrody Grima zajęło cały dzień i wieczór. Kiedy dotarłem na miejsce, była już noc i nie chcąc budzić ludzi śpiących w głównym budynku, ja i Fenre spędziliśmy noc w byrdingu. Noce jeszcze nie były zimne, poza tym miałem zawsze ze sobą kilka baranic.

Tej nocy znowu śnił mi się Bjørn. Płynęliśmy moim byrdingiem. On siedział na ławeczce na rufie, w ręku trzymał wiosło sterujące, a wzrok miał utkwiony w dziobie łodzi. Leżałem teraz, tak jakby to była jawa, z ciepłym ciałem Fenrego pod ramieniem i bolesnym odczuciem, że zawiodłem brata. Powinienem popłynąć na południe. Powinienem go szukać, zamiast spędzać całe lato u obcego gospodarza. Bjørn spuścił wzrok, spojrzał na mnie, a potem wskazał na morze. Obudziłem się, ale nadal przeżywałem sen. Najpierw usłyszałem przyciszone głosy i kroki na piasku, Fenre skoczył na ławeczkę.

– Ciiicho... on śpi.

Podniosłem się i zobaczyłem, że nad wodę przyszły Sigrid i Astrid. Stały przy naprawionej łodzi, szczupłe dłonie Sigrid gładziły naprawione miejsca w burcie. Spozrzegła, że nie śpię. Uśmiechnęła się, a wiatr targał jej bujne rude włosy. Puściła się biegiem w górę wzniesienia.

– Ojczy! Ojczy!

Grim wyszedł na zewnątrz w samej tunice, a kiedy zobaczył knarę, pobiegł boso w dół wzniesienia. Dobiegł do łodzi i najpierw szybko przejechał dłonią po nowych klepkach, a potem wdrapał się do wnętrza. Wiatr podniósł tunikę, obnażając gołe pośladki, ale Grim wydawał się tym nie przejmować. Chodził na czworakach po pokładzie knary prawie z dziecięcym zapachem.

– I zesztukowałaś stępkę? – dobiegł mnie jego zachwycony głos, aż w końcu rozczochrana głowa znowu wychynęła nad burtą. – Torsteinie Szkutniku, jestem twoim dłużnikiem. Powinniśmy zaprosić całą wyspę na ucztę, gdyby nie to, że jesień się

zbliza. Ale i tak to uczymy!

Tego wieczoru świętowaliśmy. Grim odszpuntował beczkę piwa schowaną na zimową ucztę ofiarną, bo nadal składał ofiary, chociaż Białemu Chrystowi i jego krzyżowi przydzielono miejsce w kamiennym kopcu. Napełnił kufle po brzegi i wszyscy wypiliśmy.

Na zawsze zapamiętam ten wieczór. Z piwem byłem ostrożny, bo nie chciałem się upić ani poczuć źle w obecności Sigrid. Ona sama nie była chyba przyzwyczajona do fermentowanych napojów, bo kiedy przesiedzieliśmy przy stole jakiś czas, a Grim wlał w siebie całe cztery kufle i znowu zaczął opowiadać Hårekowi i Håkonowi o wszystkich rybach, które złowią, Sigrid wzięła mnie za rękę i wyszliśmy na zewnątrz. Poszliśmy w dół nad wodę, tam stanęliśmy, nie mówiąc do siebie ani słowa. Szczupłe dziewczęce ciało było tuż obok mnie i najchętniej objąłbym ją ramionami, ale nie miałem odwagi. Trójnogi Fenre ciągał kłęb wodorostów tam i z powrotem po plaży, księżyc świecił nad zatoką.

Nagle poczułem rękę Sigrid na karku. Pogładziła mnie po bliznach po niewolniczej obręczy, po czym położyła mi rękę na policzku i spojrzała na mnie. Później wydała z siebie jakby szloch; jakby chciała coś powiedzieć o bolesnych przeżyciach, które mnie tak naznaczyły. Nagle przechyliła się i pocałowała mnie w policzek, a potem pobiegła z powrotem do głównego budynku.

Pozostałem nad wodą, a jej zapach nadal przy mnie był. Jestem szczęśliwy, pomyślałem. I jeśli Norny przędą razem nasze nici życia, niczego więcej mi nie trzeba. Czułem zapach ognia z budynku, słyszałem głosy i śmiechy i pomyślałem, że zostanę na tej wyspie. Jestem tu bezpieczny. Jestem wolny.

Ale nie trwało to długo.



## 8

### Na południe

**Z**bliżała się jesień i każde gospodarstwo bez wyjątku wysyłało mężczyzn na jesienne połowy ryb. Modlono się do Białego Chrysta i do Njorda, bo tę zagrodę, której nie udało się połowić, czekał głód. Łodzie miały najpierw pozełgować na zachód i spróbować szczęścia na łowiskach wokół Hebrydów, a gdyby tam się nie poszczęściło, należało wypłynąć dalej na otwarte morze. Tu zagrożenie stanowiły nie tylko sztormy, lecz także włóczący się piraci morscy. Niektórzy mogli pochodzić z bardzo daleka, mówiono, że nawet niebiescy ludzie<sup>14</sup> potrafili przyzełgować tu na rabunek i połowić niewolników. Dlatego mężczyźni zabierali na pokład dużo broni; uważali, że lepiej jest walczyć i zginąć, niż dać się zakuć w kajdany. Grim i jego synowie zakupili wcześniej tej wiosny cisowe łuki ze Szkocji, ale ponieważ leżały nieużywane przez lato, wypaczyły się, więc musiałem je ponownie ostrugać i przygotować do użytku przed wypłynięciem łodzi.

Jeszcze nie wiedziałem, czy pozwolą mi pozostać w gospodarstwie. Grim udzielił mi schronienia na czas naprawy knary, nie wiedziałem jednak, gdzie się podzieję po ich powrocie z połowów. Ziemi do wzięcia było wystarczająco dużo, jeszcze nie wszystko było zajęte. Mógłbym wybudować chatę albo ziemiankę jak Hutt. Jeśli inni wyspiarze zleciliby mi pracę, mógłbym poprosić o barana i kilka owiec jako zapłatę. Gdyby udało mi się utrzymać zwierzęta bezpieczne i odkarmione przez zimę, owce na wiosnę urodziłyby jagnięta. Po zimie knary potrzebują nasmołowania, zardzewiałe nity wymagają wymiany, więc mieszkańcy innych gospodarstw pewnie prosiłoby mnie o pomoc. Byłem raczej pewny, że znajdzie się dla mnie praca, bo Hutt mówił, że ludzie w porcie ciepło się o mnie wyrażają, według nich praca, którą wykonałem nad łodzią

Grima, była lepsza, niż można się było spodziewać po tak młodym chłopaku. Hutt, który nie wypływał na jesienne połowy, uważał, że jest dla mnie przyszłość na wyspie.

Latem często rozmawiałem z Huttem o Bjørnie. Rozłąka z krewniakami jest bolesna, on to dobrze rozumiał. Ale młodzi mężczyźni trudniący się wikingiem... Hutt zawsze splotał na ziemię, wymawiając to słowo. Jego zdaniem młodzi mężczyźni wyruszający na wiking nie zawsze z niego wracają. Przeczuwałem, że stary nie ma zbyt wygórowanego mniemania o moim bracie. Pozwalałem mu jednak mruzczyć, co chce, i nie przejmowałem się tym.

W tym czasie bywałem u Hutta codziennie. Wziął mnie na czeladnika do kuźni i chciał nauczyć wykuwania nie tylko nitów, ale także kling mieczy i grotów strzał. Pytałem go o kraje leżące na południu, bo w mojej głowie układał się pewien plan: chciałem odnaleźć Bjørna i zabrać go tutaj. Kiedy się dowie, co się wydarzyło w Norwegii, zrozumie, że powrót tam nie byłby najmądrzejszą rzeczą. Dlatego pomyślałem, że powinienem ruszyć na południe i poszukać go przed następną pełnią księżyca, kiedy jeszcze trwa jesień. Gdy zaczną się zimowe sztormy, będzie za późno.

To niemądre plany, których powinienem jak najszybciej zaniechać, mówił Hutt. Norwegowie nie zawsze są mile widziani w Anglii. Według niego to wina Danów. Duński król Sven Widłobrody pożąda złota i srebra, tak jak inni mężczyźni pożądają kobiet, zdaje się, że jego grabieżom nigdy nie będzie końca. Ale to kalandria własnego gniazda, twierdził Hutt, bo Danowie zdobyli już przed rządami Widłobrodego połowę Mercii. Teraz Widłobrody grabił zarówno Anglików, jak i własny naród, takie przynajmniej krążyły słuchy. Więc jeśli mój brat wyruszył do Anglii zeszłego roku, jest duża szansa, że uznano go za Dana i przegoniono. Mógł też wyruszyć do Irlandii, bo tam potomkowie Norwegów nadal dzierżą władzę, a Ethelred jest w powszechnej pogardzie. A może pożegłował przez kanał do Vallandii. Mówią, że tamtejszy król ma kłopoty z odpieraniem duńskich ataków i potrzebuje wojowników, może mój brat zaciągnął się tam na służbę.

Nie miałem pojęcia, skąd Hutt tak dużo wie o tym, co się dzieje na południu. Siódmego ranka po tym, jak mężczyźni wyruszyli na połowy, stał nad wodą i czekał już na mnie, kiedy przyplłynąłem. Miał ze sobą dwie skrzynie. W jednej leżało kilka skór zwierzęcych i zimowa opończa, w drugiej młot i cęgi. Wiał wiatr z północy i było

zimno.

– Przewieź mnie do Suderlandu – powiedział, gdy łódź dotknęła plaży. Chwycił byrding za dziób i obrócił tak, że ponownie zwrócił się ku morzu. Wdrapał się do środka, pogłaskał Fenrego i usiadł na środkowej ławeczce, dodając zaraz, że zima tutaj nie dla niego, wieczory są zbyt długie i ciemne. A w Suderlandzie ma jakichś krewniaków.

Dowiedziałem się, że północna Szkocja jest podzielona na dwie części. Suderland leży na zachodzie. Na wschód od Suderlandu i na południowy wschód od Orkadów jest przylądek Katanes. To wschodnie wybrzeże Katanesu doprowadziło mnie do Orkadów i dopłynięcie tam nie zajmowało dużo czasu. Hutt poprosił, żebym popłynął do zagrody Grima, spakował się i powiedział kobietom, że nie będzie mnie przez kilka dni.

Siwobrody pozostał w byrdingu, podczas gdy ja zbierałem swoje rzeczy przy głównym budynku. Miałem już ze sobą topór i swoje wierne ciosło, rzadko wypuszczałem się dalej bez nich, ale potrzebowałem jedzenia i wody, wędę na ryby, na wypadek gdyby zła pogoda gdzieś mnie zatrzymała, no i kilka baranic.

Sigrid stała w drzwiach, przyglądając się, jak się pakowałem. Jej siostra siedziała w chacie, naprawiała jakiś but. Zapytałem ją, czy mogę wziąć ze sobą garść zboża i trochę suszonej ryby. Kiwnęła tylko głową.

Kiedy wychodziłem, Sigrid pozostała za ścianą domu.

– Co Hutt tutaj robi? – zapytała.

– Mam go zawieźć do Suderlandu – odpowiedziałem. – Wrócę za dwa dni.

Sigrid zrobiła kilka kroków w moim kierunku, wiatr pochwycił jej włosy. Wiało coraz mocniej.

– Wyruszasz na poszukiwanie brata. Tak się sprawy mają.

– Nie – odparłem, ale sam usłyszałem w swoim głosie wahanie.

– Nie wrócisz już, prawda?

Chciałem powiedzieć, że nie musi się martwić, że oddalam się tylko o dzień żeglugi i że wkrótce wrócę do domu, ale mój wzrok skierował się na morze i znowu zacząłem myśleć o bracie. Byłem jeszcze młody, a myśli młodego chłopca mogą być ulotne. Chciałem być z Sigrid. Ale chciałem też odnaleźć Bjørna. Może sam tego ranka do końca nie wiedziałem, czego chcę. Nie wiedziałem też, co mam powiedzieć Sigrid, więc

obróciłem się do niej plecami i poszedłem nad wodę; tam Hutt pomógł mi zepchnąć byrding na morze i pożeglowaliśmy.

Przez cały dzień wiał północny wiatr. Podróż przebiegała szybko, Hutt wymamrotał ze swojego siedziska na środkowej ławeczce, że o ile taka pogoda się utrzyma, dotrzemy do celu, zanim się ściemni. Na południu krajobraz przesunął się przed oczami; były tu skały pionowo wystające z morza, przypominające bardzo stare, zmurszałe mury obronne. Między nimi pojawiały się pokryte trawą równiny. W niektórych miejscach wąskie zatoczki wcinały się w ląd, były tu białe piaszczyste plaże, na których wylegiwały się w słońcu foki. Tuż koło jednej z nich Fenre nagle zaczął szczekać, stanął przednimi łapami na krawędzi burty, chyba zobaczył coś w wodzie. To były dwie foki. Patrzyły na mnie wielkimi czarnymi oczami, kiedy przepływaliśmy obok, według mnie przypominały niemal ludzi; były wojownikami z sal bogini Ran, którzy przybyli na powierzchnię, żeby mnie obserwować, i niemal czekałem, aż poczuję zimną sieć wokół siebie, a potem zostaną ściągnięty z pokładu w morską głębinę.

Dopłynęliśmy do Suderlandu przed zapadnięciem ciemności. Hutt milczał przez większą część żeglugi, ale kiedy tylko spostrzegł jedną z zatok, zerwał się, wskazał na nią palcem. Tam mamy dotrzeć. To były rodzinne strony Hutta. Tę zatokę nazywano Jęzorem, a tam... Hutt stał, trzymając się mocno masztu i pokazując palcem na ląd. Tam, na tej piaszczystej plaży, spotkał Niam.

Ledwo to powiedział, opadł z powrotem na ławeczkę. Owładnęło nim coś ponurego i tak pozostał osowiały na swoim siedzisku, podczas gdy ja kierowałem łódź do lądu.

Kiedy wpłynęliśmy do zatoki, Hutt znowu podniósł głowę. Po jej wschodniej stronie stało kilka budynków z torfu. Hutt wymamrotał, że tam się udajemy, to gospodarstwo jego brata. Mogę przenocować. I nie potrzebuję kłopotać się odebraniem go stąd. Brat przywiezie go z powrotem na wiosnę.

Ta noc stała się dla mnie dziwacznym przeżyciem, którego najchętniej bym uniknął. Główny budynek był całkiem duży, ale w środku było ciemno i panowała wilgoć. Owalne domostwo podzielono na pół przegrodą z pali. Ludzie mieszkali w jednej części, a krowy i kozy w drugiej. Okazało się, że oczekiwano przybycia Hutta, brat



nawarzył mocnego piwa, prawdopodobnie jak co roku z tej okazji. Usiedli przy palenisku, każdy z kuflem, mieszkańcy gospodarstwa zebrali się wokół nich, a bracia mruzcili coś do siebie w języku, którego nie rozumiałem. Pozostałem na uboczu, tuż przy drzwiach była ława, na której usiadłem razem z Fenrem. Musiało być z tuzin osób w tym budynku z torfu, wszyscy byli niscy i krępej budowy, jak Hutt, odziani we włochate kaftany. Ciągłe spojrzenia kobiet, nienawiść świecąca w ich brązowych oczach dawały mi poczucie, że trafiłem do jakichś podziemnych stworów i że nie jestem tu mile widziany. Hutt szybko się upił, po czym przewalił na bok i zasnął. Gdy jeden z mężczyzn zaczął uderzać w mały bębenek, a któraś z kobiet dziwnie zawodzić, przestraszyłem się i wyszedłem na zewnątrz.

Noc spędziłem w byrdingu. Nie spałem. Jak tylko zaczęło się rozwidniać, wypłynąłem na morze. Padał deszcz. Wiatr północny wiał mi prosto w twarz, fale uderzały o burtę.

Wiosłowałem przez cały dzień, a kiedy zapadła noc, ramiona bolały i palce krwawiły. Ale byłem młody i przypomniałem sobie, że Sigrid na mnie czeka. Wiosłowałem więc jeszcze wieczorem i w nocy, aż w końcu musiałem przestać. Moje ciało było zupełnie wyczerpane. Palcami, którymi ledwo mogłem poruszać, rozluźniłem więzy wokół zwiniętego żagla, wciągnąłem reję na maszt i popłynąłem w ciemność. Musiało być zachmurzenie tej nocy, bo nie pamiętam księżyca ani gwiazd, tylko wielką ciemność otaczającą mnie, siedzącego z wiosłem sterowym w zakrwawionej dłoni i z Fenrem między nogami.

W ciemności znów dopadło mnie przygnębienie. Przez większość czasu podczas naprawiania knary Grima dawało mi spokój, ale teraz wróciło. Nie miałem już wpływu na to, jakie myśli mnie nawiedzają, a w tej całkowitej samotności na morzu nie mogłem nigdzie się schronić. Śmierć ojca, krew niewolnika na moich stopach, Ros gwałcący Hildę, wszystkie te wspomnienia nieustannie mnie nawiedzały. Przeklinałem ciemność i tęskniłem za światłem dnia.

Później, kiedy już dojrzałem i zmądrzałem, pojąłem, że wszyscy ludzie mają jakiś problem, coś, co ich dręczy. Ta skłonność do pogrążania się w ponurych myślach była moim problemem. Jeszcze tego nie rozumiałem, bo nadal byłem chłopcem, chociaż

moje ciało zaczynało przybierać postać dorosłego mężczyzny. Skończyłem już czternaście lat, byłem więc w wieku, gdy chłopca można uważać za mężczyznę. Moje ciało gwałtownie się zmieniało, tak było przez całe lato. Zauważyłem to najpierw po ramionach, stały się mocniejsze i większe. Jakby cienkie gałęzie stały się grubymi konarami. Tak naprawdę moje ramiona były już niezwykle muskularne i miały jeszcze rosnąć, aż stałem się zupełnie dorosłym mężczyzną. Gruba żyła uwidoczniła się na barkach, wiła się wzdłuż ramion do dłoni, które też urosły i zrobiły się twarde i pokryte zgrubiałą skórą. Jednocześnie na moim ciele rosło coraz więcej włosów, a delikatny meszek nad górną wargą stawał się gęstszy i sztywniejszy. Włosy rosły też na brodzie i policzkach, obramowały moją twarz, która też się zmieniała, stając się bardziej kanciasta. Oczy zapadły się nieco, kości policzkowe się uwydatniły, a podbródek mocniej zarysował. Najpierw były to tylko drobne zmiany i z dnia na dzień trudno pewnie było zobaczyć jakąś różnicę, ale nie oglądałem siebie zbyt często, tylko wtedy, gdy woda była zupełnie spokojna i mogła odbijać moje oblicze.

Niestety nie wszystko w tym rozwoju przebiegało bezproblemowo. Czarne myśli, które miały mi towarzyszyć jak przekleństwo do końca życia, nigdy nie dręczyły mnie w dzieciństwie. Pojawiły się dopiero z wiekiem męskim. Noga uszkodzona w osadzie kupieckiej nadal nie była taka jak druga i nie chciała nadążyć w rozwoju za resztą ciała. Rosła na szerokość i długość, ale nie tyle, ile lewa. Jednak kuśtykanie nie było już tak widoczne, teraz tylko odrobinę nią powłóczyłem. Pomogły mi pewnie siły przesycające moją krew. Ale dobrym biegaczem już nigdy się nie stanę.

Kiedy wzeszło słońce, odkryłem, że zdryfowałem daleko na wschód. Znajdowałem się w cieśninie między stałym lądem a Orkadami, wkrótce miałem dotrzeć do domu. Opuściłem żagiel i już miałem chwycić za wiosła, ale się zawahałem. Czy te wyspy naprawdę są moim domem? Czy nie jest nim półwysep w Vingulmorku, gdzie ja i Bjørn dorastaliśmy przy ojcu i Ulfhamie? A kiedy podniosłem żagiel i wyruszyłem w podróż z Huttem, to czy nie po to, żeby odnaleźć brata? Stałem długo, przyglądając się poszarpanemu, skalistemu wybrzeżu. Stąd pewnie niewiele dni by mi zajęło dotarcie do ujścia rzeki Osen, tej, która prowadziła do Jorviku. To tam trafiała większość Norwegów, tak przynajmniej twierdził Hårek. W Jorviku mieszkało tysiące Norwegów

i Danów, wielu z nich to młodzi mężczyźni, którzy wyruszyli na szlak północny, lecz nie znaleźli bogactwa ani niezamieszkaną ziemi. Odnalezienie Bjørna będzie trudne, ale zdradziłbym zarówno jego, jak i pamięć ojca, gdybym nie spróbował. A teraz nic nie stało mi na przeszkodzie. Byłem wolny. Uderzyło mnie, że raczej nie pozostałbym przez całe lato na wyspie, gdyby nie Sigrid, i to spowodowało, że poczułem się źle. Czy zdradziłem swój ród z powodu dziewczyny?

Wkrótce jednak mój wzrok znowu powędrował w stronę wysp. Ona tam na mnie czeka. Może byliśmy bardzo młodzi, ale gdybym pokazał Grimowi, że jestem mężczyzną, gdyby udało mi się pozyskać parę owiec i gdybym wybudował dom i wziął trochę ziemi dla siebie... Może za kilka lat Sigrid byłaby moja.

Ale gdybym teraz popłynął na południe, powinienem zdążyć z powrotem przed nastaniem zimy. Nie opuszczam przecież wyspy na zawsze.

Pamiętam, że zdecydowanym ruchem wciągnąłem żagiel i obrałem kurs na południe. Fenre szczechnął krótko, jakby chcąc mi powiedzieć, że jest ze mną i że wspiera mnie w tej decyzji, a kiedy usiadłem przy wiosle sterowym, położył się między moimi stopami.

Lecz bogowie zadecydowali inaczej. Może to Odyn zobaczył mnie tam, w byrdingu, i sprawił, że znad Morza Północnego zaczęły napływać chmury. A może to Tyr, ten, który mnie uzbroi i poprowadzi do boju, kiedy znajdę się wśród wojowników Odyna, wyciągnął swą jedyną rękę w kierunku chłopaka i małego pieska wśród fal i sprawił, że siła wiatru wzrosła. Bo po chwili miałem prąd i wiatr przeciwko sobie. Woda tryskała do wnętrza łodzi nad krawędzią burty, fale stawały się coraz gwałtowniejsze. Na szczęście wcześniej tego lata zrobiłem bloczek na linę i nowe wiosło sterowe z zamocowaniem z prawej strony, bo bez dobrego sterowania i pewnego zamocowania dla rei i żagla nie udałoby mi się utrzymać łodzi stabilnie na wodzie. Przez pewien czas utrzymywałem kurs, ale wkrótce musiałem uznać, że dłużej mi się nie uda, a ponieważ wiatr był coraz silniejszy, po chwili byłem zmuszony zawrócić na zachód. Do wysp nie mogłem dotrzeć, bo wtedy musiałbym ustawić łódź równolegle do fal, co spowodowałoby jej wywrócenie. Jedyne kursy, jakie mogłem utrzymywać, prowadziły z powrotem wzdłuż północnego przyłądka Szkocji.

Wiało coraz mocniej i wkrótce wyspy znikły mi z oczu. Ciemne chmury wypełniały nieboskłon, wiatr był coraz silniejszy. Zrzuciłem żagiel, ale odkryłem, że łodzią jeszcze bardziej wtedy rzuca, więc wciągnąłem go ponownie i oparłem się mocno plecami o stewę rufową i stopami o tylną wręgę, a Fenre wcisnął się pod ławeczkę na rufie.

Tak przepłynąłem dzień i wpłynąłem w noc. Żadne gwiazdy nie wskazywały mi drogi, wokół panowała gęsta jak smoła ciemność. Podzieliłem się resztką wody z Fenrem i wyszeptałem modlitwę, żeby wiatr wreszcie osłabł. Bogowie musieli mnie wysłuchać, bo o świcie wiatr zaczął słabnąć. Znajdowałem się dokładnie na zachód od zatoki, nad którą był teraz Hutt i jego rodzina. Przepłynąłem obok i wkrótce znalazłem mniejszą zatoczkę, gdzie mogłem dobić do brzegu. Między skałami dostrzegłem strumyk i napełniłem naczynie wodą. Potem usiadłem na dłużej, przyglądając się morzu i pomyślałem, że skoro morze i wiatr mnie tu przywiały, musiał być w tym jakiś zamysł. Do Anglii można było też dotrzeć od strony zachodniej i może miałem pożeglować właśnie tą drogą. Słyszałem, że szlak po tej stronie jest bardziej osłonięty, łatwiej było dobijać do brzegu, kiedy kończyła się woda. Jeśli nie znalazłbym Bjørna w Anglii, mógłbym pożeglować dalej do Irlandii. Równie dobrze mógł przebywać tam.

W następne dni płynąłem wzdłuż wybrzeża dalej na zachód, a kiedy ląd odchylił się w kierunku południowym, podążyłem wzdłuż niego. Znalazłem się na szlaku morskim między Hebrydami, które wydawały się jedną wielką wyspą. Tworzyły barierę przed szalejącym morzem na zachodzie, czyniąc żeglugę na południe od Morza Irlandzkiego bezpieczniejszą. Ale na Hebrydach mieszkaly wrogie klany, twierdził Hutt. Więc nie schodziłem tam na ląd.

Na południe od Hebrydów prowadziła poszarpana linia brzegowa pełna zatoczek i fiordów, w które ciągle niechcący wpływałem i gdzie często napotykałem zbiorowiska domów. Mieszkańcy stali na plaży, żeby zobaczyć, kto przybył. Za każdym razem zawracałem i wypływałem z powrotem w morze, bo jeślibym otworzył usta, zrozumieliby, że jestem Norwegiem, a nie wiedziałem, czy Norwegowie są tu przyjaciółmi, czy wrogami. Tutejszy krajobraz był piękny, były tu wzgórza i sosnowe zagajniki, a woda tak przejrzysta, że widziałem polujące na ławice ryb foki głęboko pod mną. W niektórych miejscach widziałem łodzie, knary podobne do tych, na

których mieszkańcy Orkadów wypływali na połów ryb. Od czasu do czasu krzyczeli do mnie jakieś słowa, których nie rozumiałem. Pozdrawiałem ich wtedy otwartą dłonią i płynąłem dalej.

Dni mijały jeden po drugim. Podczas żeglugi łowiłem ryby, przybijałem do lądu na bezludnych plażach i spałem w łodzi, a o świcie byłem z powrotem na morzu. Linia brzegowa, choć tak poszarpana, kierowała mnie na południe i po sześciu dniach pod żaglem ujrzałem w oddali na południowym zachodzie ląd. Podczas gdy szkockie wybrzeże było w większości koloru szarobrązowego, widoczna w oddali linia brzegowa była całkowicie zielona. Zarówno Hutt, jak i Grim nazywali Irlandię „zieloną wyspą”, więc pomyślałem, że to musi być ona. Wkrótce przepływałem już przez cieśninę tak wąską, że można było zobaczyć obydwie jej brzegi, o ile powietrze było wystarczająco przejrzyste. Dalej droga wiodła na południe od cieśniny, bo teraz wpłynąłem na Morze Irlandzkie. Na samym środku morza leżała wyspa Man. Grim był całkowicie pewien, że to Norwegowie nadal dzierżą tam władzę.

Nie wiem, czy to prądy morskie, czy moja ciekawość pchała mnie coraz dalej na stronę irlandzką. Wkrótce znajdowałem się niedaleko zielonej linii brzegowej, a to, co się wydarzyło, musiało być jakoś wplecione w tkanę mego życia, bo zadecydowało o moim dalszym losie. Sprawa ma się tak, że jest skalisty półwysep wychodzący w cieśninę w jej najwęższym miejscu, który nazywają „głową Thora”. Kiedy znajduję się tuż przy tym półwyspie, dostrzegam mężczyznę stojącego nad wodą. Nie jest sam. Czterech innych wdrapuje się między skałami z łukami w ręku. Wtedy mężczyzna dostrzega mnie, rzuca się do wody i długo go nie widać, dłużej niż pomyślałbym, że ktokolwiek może wstrzymać oddech. W końcu wśród fal pojawia się głowa. Mężczyzna ma w zębach coś, co przypomina sakiewkę na monety i płynie co sił w moim kierunku. Jego ramiona poruszają się jak wiosła, teraz zostaje trafiony, strzała tkwi w jego ramieniu, ale nie wydaje on z siebie żadnego krzyku. Płynie dalej i Odyn osłania go tarczą, bo już żadna strzała go nie trafia i wkrótce jest poza ich zasięgiem.

Oddalałem się od płynącego mężczyzny, miałem sprzyjający wiatr i szybko przemykałem ponad falami. Tak wydawało mi się najbezpieczniej. Bo co, jeśli ci mężczyźni mają łódź między skałami i ruszą za mną w pogoń? A może ten człowiek

zrobił coś złego? Może dlatego go ścigali?

Jednak coś kazało mi poluzować szoty. Mężczyzna nie płynął już tak szybko i zrozumiałem, że trudno mu będzie mnie dogonić. Więc kiedy ponownie naciągnąłem szoty, zrobiłem to nie po to, żeby odpłynąć. Zbliżyłem się, cały czas nie spuszczać oka z mężczyzną na brzegu. Krzyczeli do mnie, i to po norwesku. Jeśli zabiorę go na pokład, będę nikczemnikiem, znajdą mnie i utną mi głowę.

Kiedy podpłynąłem bardzo blisko mężczyzny, ten chwycił się ręką burty. Potem przełożył kolano i głowę przez nadburcie, w zębach nadal trzymał sakiewkę. Chwyciłem go za tunikę i przerzuciłem na pokład, a potem skierowałem łódź na morze i popłynąłem na południe. Po chwili miałem już za sobą „głowę Thora”, a groźby mężczyzny za mną utonęły w szumie fal.

Pływak długo leżał na dnie łodzi, usiłując złapać oddech. Był ubrany w luźne, brudnobiałe lniane spodnie i niebieską długą tunikę z rozcięciem na piersiach. Wokół rozcięcia wyszyto kwiaty, które zupełnie nie pasowały do tego masywnego mężczyzny. Był bosy, zwróciłem uwagę, że u jednej stopy brakowało dwóch palców. Kasztanowa, kędzierzawa broda otaczała kanciastą twarz, która zapewne widziała więcej walk niż większość ludzi. Miał blizny: jedna biegła w poprzek czoła, druga pionowo po policzku, a jeszcze inna wydawała się przecinać dolną wargę na dwie części, tuż przy kąciku ust. Oczy były niebieskie, dlatego nie zaskoczyło mnie, że przemówił do mnie w moim języku.

– Skąd jesteś?

– Pochodzę z Norwegii – powiedziałem.

– No to masz za sobą długą żeglugę.

Fenre siedział dotąd pod tylną ławeczką, ale teraz, kiedy zamieniliśmy kilka słów, zrozumiał zapewne, że bezpiecznie może wyjść. Wydał z siebie krótkie szczeknięcie, jakby dla zaznaczenia, że ta łódź stanowi jego rewir, a potem wyciągnął się i zbliżył do mężczyzny najpierw sam pysk.

– To twój pies? – zapytał obcy.

– Tak – odrzekłem.

– Jak się wabi?

– Fenre.

– A ty? Jak się nazywasz?

– Torstein.

– Brzmisz tak, jakbyś pochodził z Viken – rzekł obcy. – Bywałem często w Viken, kiedy byłem młodszy. – Zamknął oczy i odetchnął. – Ci ludzie... Widzisz ich?

– Nie... Odpłynęliśmy.

Coś na kształt uśmiechu pojawiło się na jego ustach. Uśmiechał się tylko jedną częścią ust, co sprawiało wrażenie, jakby strona, gdzie miał rozszczepioną wargę, była zeszywniała.

– Mam na imię Halvor. Potrzebuję twojej pomocy, Torsteinie.

Sakiewka z monetami upadła na dno łodzi, ale Halvor pomacał wokół ręką i znalazł ją. Strzała nadal tkwiła w jego ramieniu, to było lewe ramię, które zwisało bezwładnie wzdłuż ciała. Drugie ramię na pierwszy rzut oka nie było zranione, ale kiedy chwycił sakiewkę, zobaczyłem, że jest rozerwane po zewnętrznej stronie powyżej łokcia. Woda musiała zmyć krew, która teraz znowu zaczęła sączyć się przy końcu rękawa i po palcach.

– Krwawisz – powiedziałem.

– Tak. – Halvor wydał z siebie głębokie westchnienie. – Wiem. Płyn dalej.

W jednej chwili poczułem dziwną ulgę z powodu obecności tego mężczyzny na pokładzie. Fenre był przy nim, próbując zlizywać krew z jego ręki. Halvor nie odepchnął go. Zwrócił głowę w moim kierunku i mierzył mnie wzrokiem. W końcu dostrzegł też topór i ciosło, które przywiązałem do ławeczki przed sobą. Sam Halvor nie wyglądał na uzbrojonego.

– Mam srebro w tej sakiewce. – Wzrok miał nadal utkwiony w toporze. – Możesz mnie zabić i wziąć srebro. Ale to byłby haniebny czyn. Nie wyglądasz mi na nikczemnika.

– Nie, nie będę...

– Jeśli mi pomożesz, nie pożalujesz. Dostaniesz srebro za fatygę, choć nadal będę twoim dłużnikiem, bo uratowałeś mi życie.

Te słowa oznaczały więcej, niż mi się wtedy wydawało.

Większość dnia poświęciłem na dopłynięcie z powrotem do wybrzeża Szkocji. Pod wieczór wiatr północny przywiał nas do długiej zatoki. Wyglądało na to, że na jej końcu znajdowały się budynki gospodarskie, więc dobiłem do brzegu niedaleko wejścia do zatoki. Nazbierałem zdryfowanych kawałków drewna i rozpałem ogień w zaciszu za kilkoma kamiennymi blokami. Halvor był już na nogach, opatrzyliśmy ranę na jego prawym ramieniu. W lewym nadal tkwiła strzała.

Podejrzewałem, że Halvor jest wikingiem. Miał blizny po ranach kłutych i ciętych, a skórzany pas był wytarty z boku, prawdopodobnie nosił tam topór. Ojciec zawsze mnie przed takimi ostrzegał, mówiąc, że to źli ludzie. Ale nie bez fascynacji ja i Bjørn siedzieliśmy, słuchając historii syna gospodarza o ich krewnych, z których wielu ruszyło na szlak zachodni i powróciło z opowieściami o wielkich dokonaniach w dalekich krajach. O tym, że rabowali złoto i srebro i zabijali ludzi, kiedy im przyszła ochota, jakoś wtedy za bardzo nie myśleliśmy. Teraz prawdopodobnie miałem przed sobą takiego rabusia i nie wiedziałem do końca, co mam o tym sądzić.

Halvor wyjaśnił mi, że muszę precyzyjnie strzelać do przodu przez ramię. Miała zadziory, więc wyciągnięcie jej do tyłu nic by nie dało. Położył się płasko między dwoma kamieniami na plaży zwrócony do mnie ramieniem, w którym tkwiła strzała. Drugą ręką odpiął pas, złożył go podwójnie i wetknął sobie między zęby.

Nigdy przedtem i rzadko potem widziałem kogoś tak panującego nad bólem jak Halvor wtedy na plaży. Strzała tkwiła po zewnętrznej stronie kości ramieniowej, pod mięśniami rysował się zarys grota. Te mięśnie drżały pod moimi rękami, kiedy chwyciłem strzałę i precyzyjnie ją do przodu, obok kości i na zewnątrz. Halvor nic nie powiedział, tylko cicho powarkiwał, prawie jak jakieś zwierzę. A kiedy ostrze strzały wyszło na zewnątrz, wypluł pas i zerknął na nią, po czym powiedział, że bym odciął lotki, ale samego promienia nie łamał, mam wyciągnąć ją w jednym kawałku. Jeśli Odyn zechce, Halvor wystrzeli ją pewnego dnia z powrotem w kierunku swoich wrogów. Chwyciłem więc strzałę tuż za grotem i długim, mocnym pociągnięciem przeciągnąłem w całości przez jego ramię.

Resztę wieczoru Halvor siedział z zamkniętymi oczyma. Nie wiedziałem, czy śpi, czy tylko odpoczywa. Trzymał strzałę w jednej ręce, a sakiewkę w drugiej, od czasu do czasu jego stopy drgały. Siedzieliśmy z Fenrem, chroniąc się za łodzią. Nie spuszczałem



wzroku z Halvora. Sam zdjął z siebie tunikę, pociął materiał na pasy i owinął nimi ramiona. Teraz siedział półnagi i pokryty bliznami, a wokół nas zapadała ciemność.

Przez chwilę myślałem, żeby go zostawić, lecz odrzuciłem od siebie tę myśl. Nie tylko dlatego, że haniebnym czynem byłoby porzucenie rannego człowieka, ale też dlatego, że bałem się, iż nagle może się zerwać. Był przecież uzbrojony, tą strzałą mógłby mnie pewnie zabić, gdyby zechciał. Chociaż wyglądał na takiego, który z łatwością mógłby zabić i bez broni.

Było już ciemno, kiedy wstał. Nie widziałem go, bo niebo było zachmurzone, a wokół nas zrobiło się zupełnie czarno. Ale usłyszałem kroki na piasku. A potem strumień moczu tryskający do wody.

– Jestem z Jomsborga – powiedział nagle. – Słyszałeś o nim, Jostein?

Nie zareagowałem na to, że nazwał mnie innym imieniem. Nie sprawiał wrażenia kogoś lubiącego słuchać, był raczej typem lubiącym przemawiać. Słyszałem – jak wszyscy w tamtych czasach – wiele historii o jomswikingach wyruszających na dalekie wyprawy i toczących wojny w obcych krajach. Wiedziałem, że mają swą siedzibę w kraju Wendów, w niezdobytej twierdzy otaczającej port z trzystoma statkami i że mieli nieśmiertelnego wodza, którego ojcem był sam Odyn. Nie mogłem sobie przypomnieć jego imienia. Być może dlatego, że nigdy właściwie nie wierzyłem, że historie o dzikich jomswikingach są czymś innym niż podaniami i baśniami.

– Szukam kilku moich braci – usłyszałem od Halvora. – Zostali wzięci w niewolę po pewnej... waśni. – Znowu kroki na piasku. Halvor usiadł.

Wiatr właśnie się wzmagił. Podniosłem się i znalazłem jedną z baranic, które wziąłem ze sobą. Miałem dwie. Jedną zaniósłem Halvorowi. Podziękował, kiedy go nią okrywałem.

– Dobry z ciebie chłopak – dodał. – A może raczej powinienem cię nazwać mężczyzną. Żeglujesz własną łodzią, psa też masz. Ile masz lat?

– Czternaście.

– Kiedy byłem w tym wieku, walczyłem już w swojej pierwszej bitwie. Gdzieś w Rogalandzie. Razem z ojcem.

Nic nie odpowiedziałem. Nie zaskoczyłoby mnie, gdyby Halvor powiedział, że jest wojownikiem od dnia swoich urodzin.

– Czy zabiłeś już kogoś, Jostein?

Te słowa towarzyszyły mi z powrotem do łodzi, gdzie położyłem się owinięty drugą baranicą z Fenrem między nogami. Nie chciałem odpowiadać. Czułem, że najlepiej o tym nie mówić.

– Twoje milczenie wystarczy za odpowiedź – powiedział Halvor. – Gdzie to się stało? W Norwegii?

– Tak.

– W jakiejś bitwie?

– Zostaliśmy napadnięci.

– Czy to wtedy zostałeś zraniony? – Halvor odchrząknął. – Nie żeby ci dokuczać chłopcze, ale widzę, że powłóczysz nogą.

– Tak. To stało się wtedy.

– A blizny na twojej szyi to od obręczy niewolniczej?

– Tak.

Halvor umilkł. Słyszałem, że się trochę zbiera w sobie, jakby musiał to wszystko dokładnie przemyśleć.

– Jestem głodny – powiedział nagle, a potem wstał i zaczął chodzić po plaży.

Usłyszałem plusk, jęczenie i... odgłos jedzenia.

– Gdybyśmy tylko mogli dopłynąć do tego gospodarstwa w głębi... Nie, chyba lepiej nie. Płyniemy dalej jutro. Masz w łodzi wędę?

– Tak.

– Będziemy łowić ryby po drodze.

– Dokąd...

– Jorvik. Tam jest duży targ niewolników.

Moja pierwsza myśl była taka, że nie mogło pasować mi lepiej, bo przecież sam planowałem udać się do Jorviku.

– Dostaniesz srebro za fatygę.

Nie odpowiedziałem. Uderzyło mnie, że Halvor prawdopodobnie jest człowiekiem, z którym niebezpiecznie jest podróżować. Ktoś mógłby go rozpoznać. Musiał przecież być powód, że ci mężczyźni go gonili aż na brzeg. Musiał coś im zrobić.

– Miałeś może inne plany?

– Nie...

– Więc tak sobie żeglujesz bez żadnego celu?

– Nie, ja... szukam brata.

– Norwega z Viken? Jest starszy od ciebie?

– Tak. O pięć lat.

– No to jest w wieku, w którym młodzi mężczyźni lubią nosić broń. Może wyruszył na wiking? I przyplynałeś, żeby go znaleźć?

Skinąłem głową, chociaż było ciemno i mężczyzna nad wodą nie mógł mnie widzieć.

– Może spotkasz go w Jorviku. To tam ci młodzi jadą.

Halvor mlasnął, splunął i zaklął, potem znowu zaskrzypiał piasek. Podeszedł i usiadł.

– Wodorosty – zamruczał. – To nie jest strawa dla mężczyzny.

Próbował pewnie wygodniej ułożyć się przy kamieniach, bo jęczał, skarżąc się na bolące ramię. W końcu zrobiło się cicho, a ja wdrapałem się do łodzi i usiadłem z głową opartą o burtę. Nie zasnę, dopóki nie nabiorę pewności co do tego człowieka. Może była to niemądra myśl, bo gdyby chciał mnie zabić, już by to zrobił. Nadszedł sen, ciało zrobiło się ociężałe, oczy musiały się zamknąć.



## 9

### Jorvik

Okazało się, że żegluga wokół Anglii trwała dłużej, niż przypuszczałem. W niektórych miejscach przyływ był tak gwałtowny, że wielokrotnie byliśmy spychani do tyłu pod pełnym żaglem. Ale była dobra pogoda, wcale nie było zimno, a w miarę jak poruszaliśmy się na południe, zatoczki, do których wpływaliśmy na nocleg, były coraz cieplejsze. Na północy krajobraz był nagi i surowy i tylko na dole między skałami blisko brzegu znajdowaliśmy miejsca osłonięte od wiatru, ale tutaj, na południu, wewnątrz lądu wydawało się pokryte lasem liściastym. Tam gdzie przepływaliśmy, otaczał nas piękny krajobraz; ląd złocił się od jesiennego listowia. Wieczorem, po wciągnięciu łodzi na ląd i rozpaleniu ogniska, siedzieliśmy często i patrzyliśmy na wodę, na mewy zrywające się z miejsca i o ile wiał wiatr, na liście wirującym ruchem spadające na wodę. Zazwyczaj niewiele słów wtedy wymienialiśmy. Zdziorności nie wystarczyło Halvorowi więcej niż na pierwszy wieczór, a po tym jak wdrapaliśmy się do łodzi następnego ranka, okazał się cichym i zamyślonym człowiekiem. W sakiewce miał srebrne monety, teraz mi je pokazał. Miałem dostać dwie, jedną za to, że zawiozę go do Jorviku, a drugą za uratowanie mu życia. Dlatego miałem już jedną monetę w sakiewce, cały czas ją wyjmowałem i przyglądałem się jej. Po jednej stronie wybito na niej coś, co przypominało głowę, wokół której, zdaniem Halvora, był napis – dziwaczne runy, jakich nigdy przedtem nie widziałem. Halvor twierdził, że moneta pochodzi z południa, z Miklagardu. Inne jego monety też tak wyglądały. Halvor znał ludzi, którzy przybywali tam na handel, z takimi monetami wracali do domu. Był chyba w wielu miejscach na świecie, bo miał taki wyraz oczu, patrząc na morze, jakby widział już cały świat. Chciał się dowiedzieć, w jaki sposób

dotarłem na Morze Irlandzkie, bo chyba nie popłynąłem tam prosto ze starej Norwegii? Wtedy opowiedziałem mu, zgodnie z prawdą, że spędziłem trochę czasu na wyspie Rossøy na północy, naprawiając pewną knarę, i że tamtejsi ludzie czekają na mnie. Halvor nic nie powiedział. Wzruszył tylko ramionami i siedział nadal ze wzrokiem utkwionym w horyzont. Często tak siedział.

Opłynęliśmy królestwo Walii i wkrótce dotarliśmy do zachodniego przylądka Kornwalii. Tutaj zaskoczył nas silny wiatr, co zmusiło mnie do spędzenia przy sterze całej doby i jeszcze kolejnej nocy. Kiedy wreszcie mogliśmy dobić do lądu, Halvor zaczął wychwalać moje umiejętności żeglarskie. Według niego miałem w żyłach słoń krew Njorda, bo nawet siwobrodzi szyprowie, którzy płynęli na Grenlandię i z powrotem, nie mogliby lepiej pokierować byrdingiem.

W drodze na południe odległości między poszczególnymi gospodarstwami stawały się coraz mniejsze, ale ludzi widzieliśmy niewiele. To mnie zdziwiło. Wiele gospodarstw, koło których przepływaliśmy, wyglądało na opustoszałe. Nie widzieliśmy też bydła.

Halvor najpierw nic o tym nie mówił, ale wkrótce zobaczyliśmy kilka spalonych budynków i wtedy skinął głową, wyjaśniając, że to „dzieło dużego wojska”, które składało się głównie z Danów, a przewodził im Sven Widłobrody. Ale nie byli sami. Byli wśród nich również Norwegowie. Toczą wojnę z Ethelredem już od dłuższego czasu, a gdzie walczą wikingowie, tam ludzie uciekają. To się właśnie przydarzyło gospodarstwom, obok których przepływaliśmy. Ethelred to zły człowiek, dodał. Mówiono, że potrafił dostać ataku wściekłości. Wtedy jego wojowie wyjeżdżali konno i chwyтали wszystkich Danów, na których się natknęli. Mężczyzn, kobiety i dzieci uprowadzano i wieszano bez litości.

Wieczorami dobijaliśmy do brzegu, czasami rozbijaliśmy obozowisko tylko o kilka rzutów kamieniem od opustoszałych gospodarstw. Cisza zalegała nad tymi miejscami, a pewnego dnia znalazłem w krzakach trupa. Niewiele z niego zostało oprócz szkieletu; czaszka była oczyszczona do cna. Szukałem materiału na łuki dla mnie i Halvora, bo rósł tutaj cis, ładne, proste pnie. Ściąłem jedno z drzew, a kiedy wróciłem do obozowiska, wyciosałem z niego dwa bloki drewna na łuki, które położyłem koło ogniska, żeby się wysuszyły. Halvor chwalił moje rzemiosło i obiecał kupić mi dobrą

cięciwę, gdy dotrzemy do Jorviku. O trupie mu nie wspomniałem.

Kanał między Anglią i Vallandią był strasznie długi. Przez wiele dni nie mieliśmy wiatru i dlatego musieliśmy chwycić za wiosła. Halvor wydawał się niemal nie przejmować swoimi ranami, od czasu do czasu przemywał je wodą morską, a kilka razy nakłuł miejsca, gdzie przeszło ostrze strzały, wycisnął ropę i krew i przypalił żarzącym się węglem z ogniska. Musiał być niezwykle zahartowanym mężczyzną.

Siedzieliśmy ramię w ramię na środkowej ławeczce, każdy z wiosłem w rękach, i tak przepłynęliśmy większość zachodniej części kanału. Kiedy na południu pojawiło się wybrzeże, zrozumiałem, że kanał się zwęża. Według Halvora był to niebezpieczny szlak. Tutaj na wodę mogli wypływać rabusie. Królestwo, które kiedyś zostało założone przez skazanego na wygnanie wodza Gange-Rolfa, właśnie minęliśmy. Na południe od nas leżała kraina Franków, Frankowie są okrutni i bezlitośni. Z wielkim uczuciem opowiadał o krzyżu Białego Chrysta, podnoszonym do nieba, kiedy Frankowie dokonywali egzekucji swoich jeńców. Uważali, że ludzi, którzy wierzą w innych bogów niż oni sami, trzeba oczyścić męczarniami. Dlatego lubili palić jeńców żywcem albo odrywać im ręce i nogi, gdy jeszcze żyli.

Nie zeszliśmy więc na ląd na południu. W Anglii ludzie bardziej przypominają ludzi, twierdził Halvor. Można się z nimi dogadać. I to właśnie chciał zrobić, jak tylko dotrzemy do Jorviku.

Ze wschodniego przylądka Wessex popłynęliśmy prosto na północ. Minęło już szesnaście dni, weszliśmy w nowy księżyc. Łagodna pogoda, która powitała nas, kiedy płynęliśmy na południe na Morzu Irlandzkim, rozwiała się w ciągu jednej sztormowej nocy, a kiedy się obudziliśmy, zobaczyliśmy na ziemi szron. To wydawało się ciężkim ciosem dla Halvora. Coś mamrotał do siebie, a gdy zepchnęliśmy byrding na wodę, strasznie się mu spieszyło z wejściem na pokład.

– Musimy działać szybko – powiedział. – Niewiele dni mi zostało.

Nie rozumiałem, co ma na myśli, ale tak jak przedtem, nie pytałem. Miał zapewne swoje powody. Mnie też zależało, żebyśmy dotarli do celu jak najszybciej. Ostatnie słowa, jakie powiedziałem do Sigrid przed wypłynięciem, były takie, że wrócę po kilku dniach. Nie wierzyła mi. Teraz zacząłem myśleć, że ona wcale nie chce, żebym wrócił.

Nie do końca wiedziałem, dlaczego tak myślę, ale może mój zamiar, żeby osiąść tam na stałe z nią jako moją kobietą, był tylko głupim marzeniem. Tak czy owak, tęskniłem za nią. I miałem nadzieję, że ona tęskni za mną i że chce, bym wkrótce wrócił.

Ze wschodniego przylądka Wessex płynęliśmy przez dwie doby bez przerwy, zawijaliśmy do brzegu tylko, aby nabrać wody, a Fenre mógł trochę pobiegać. Halvor pozwolił mi spać w ostatnią noc, a kiedy się ocknąłem, znajdowaliśmy się w korycie rzeki. Halvor siedział na tylnej ławeczce z wiosłem sterowym w garści, jego tunika była pokryta szronem.

– To jest Osen – powiedział, wskazując na szeroką, intensywnie niebieską rzekę. – Następnego dnia będziemy w Jorviku.

Wiedziałem już, że Osen to rzeka, która łączy Jorvik z morzem, lecz nie przypuszczałem, że jest tak długa. Nigdy przedtem nie znajdowałem się w miejscu bardziej oddalonym od morza niż pół dnia wędrówki, a teraz szybko posuwaliśmy się w lekkim wschodnim wiatku, wybrzeże już nam zniknęło z oczu. Krajobraz wokół był płaski i pokryty lasem, przetykanym poletkami, na których migotała poranna rosa. Gdzieś widzieliśmy pasące się owce i krowy, były tu skupiska domów i stogi siana. Minęliśmy rybaka wyciągającego z rzeki sieci. Wkrótce zobaczyliśmy więcej jemu podobnych mężczyzn w wąskich łodziach wiosłowych, wyciągających sieci i żaki na ryby wśród sitowia przy brzegu rzeki. Musieli być przyzwyczajeni do widoku obcych, bo kiedy przepływaliśmy obok byrdingiem, ledwo podnosili wzrok.

Dobiliśmy do brzegu na cyplu, gdzie rzeka wyrzuciła na brzeg sporo drewna i gałązek. W ciągu dnia wiatr zmienił kierunek i znowu byliśmy zmuszeni zasiąść do wiosła. Byliśmy głodni i zmęczeni, nie mieliśmy nic do zjedzenia. Halvor odradzał mi łowienie ryb. Według niego znajdowaliśmy się zbyt blisko miasta. A w miastach takich jak Jorvik w mięsie i w rybach są robaki. Jeśli chcę zachować zdrowie, powinienem jeść tylko jabłka i jagody albo długo gotowaną kaszę. On sam znał pewnego człowieka, który zachorował z powodu robaków, jeden taki robak wypełził mu z nosa, kiedy spał, a potem jego stan się pogarszał, aż umarł w konwulsjach kilka tygodni później.

Posłuchałem rady Halvora. Obiecał, że kupi nam owoce, jak dotrzemy do miasta. Miałem dostać zapłatę za podróż, a gdybym zaczekał na niego z żaglem i wiosłami

w pogotowiu, dostałbym jeszcze jedną monetę. O tym ostatnim nie wspominał przedtem, ale spodobała mi się myśl o powrocie na Orkady z trzema srebrnymi monetami. Pokazałbym je Grimowi. Wtedy zrozumiałby, że jestem mężczyzną, który potrafi zadbać o siebie, a kiedy nadejdzie właściwy czas, również o jego córkę.

Następnego dnia rzeka zaczęła zmieniać kolor. Intensywna niebieska barwa stawała się coraz bardziej szara, im dalej się posuwaliśmy, a nieco później również zapach zaczął się zmieniać. Nad polami wokół nas unosił się smród gnoju i moczu. Ale nie był to taki smród, jaki unosi się wokół obory albo nad osadą kupiecką w Skiringssalen. Było coś skisłego w tym zapachu, jakby coś przed nami leżało i gniło.

Znajdowałem się teraz w głębi łądu, o dzień podróży do morza, i to mnie niepokoiło. Przedtem zawsze miałem w pobliżu morze. Morze było w centrum mojej egzystencji, a każde miejsce, w którym byłem, zawsze leżało nad morzem. „Morze nas łączy”, powiedział ojciec. Narysował linie w popiele koło paleniska i pokazał mnie i Bjørnowi, jak wygląda królestwo Norwegii. Był Viken i Vestland, było wybrzeże Trøndelagu. Były też wyspy na Morzu Północnym i norweskie terytoria na Morzu Irlandzkim i w Irlandii, była Islandia na północy na lodowatym morzu i Grenlandia daleko na zachodzie. Wszystkie te miejsca, do których mężczyzna mógł dotrzeć statkiem, były norweskie. Ale wewnątrz Norwegii było niemal niedostępne. Dlatego mieli tam własnych wodzów i ledwo mogliśmy je nazywać częścią kraju zjednoczonego kiedyś przez Pięknowłosego.

Im bardziej posuwaliśmy się w górę rzeki, tym więcej ludzi widzieliśmy. Byli tu mężczyźni zastawiający żaki na ryby przy brzegu, byli pasterze z dużymi stadami owiec, większymi, niż kiedykolwiek widziałem, były skupiska domów ze spiczastymi dachami z belek. Słyszeliśmy kucie młotów w kuźniach i widzieliśmy dzieci biegające i bawiące się między domami. Z lasu liściastego niemal nic nie zostało, poletka uprawne zajmowały całą powierzchnię. Czułem się uwięziony, wszędzie tu była ziemia i ludzie.

– Nie bój się – powiedział Halvor. Chyba widział, że mi się to nie podoba. – Pozwól, że ja będę mówił.

Skinąłem głową. Gdzieś daleko z przodu dostrzegłem dym, ale nie był to pojedynczy słup dymu, bardziej jak mgła unosząca się nad polami.



– Wiem, gdzie jest targ niewolników. Pójdziemy prosto tam. A ty trzymasz się mnie, Jostein. Wtedy jesteś bezpieczny.

– Torstein – rzekłem. – Mam na imię Torstein.

Halvor nazywał mnie Josteinem cały czas od chwili, kiedy wyciągnąłem strzałę z jego ramienia, ale nie chciało mi się wyprowadzać go z błędu. Aż do teraz. Dlaczego nagle stało się dla mnie ważne, nie wiem. Możliwe, że był we mnie lęk. Jeśli coś by mi się stało tam, dokąd zmierzaliśmy, chciałem, żeby zapamiętano mnie pod moim prawdziwym imieniem.

– Torstein, powiadasz? – Halvor zastanowił się przez chwilę, spoglądając na pastwisko położone na lewo od nas, gdzie pasło się kilka wyrosniętych koni. – Myślałem, że masz na imię Jostein. Jeden z moich przyjaciół nazywa się Jostein.

Nic nie odrzekłem, a Halvor wyciągnął rękę po ciosło. Już przedtem ustaliliśmy, że pożyczę je, kiedy dotrzemy na miejsce, bo nie chciał wchodzić do Jorviku bez broni.

Ja miałem mieć topór i nóż u pasa. Chciałem wziąć kawałek szotu od żagła i prowadzić na nim Fenrego. Według Halvora byli w Jorviku ludzie, którzy chętnie łapali psy i zjadali je, przebywali tam przybysze ze wszystkich stron świata. W Jorviku było wszystko, czego mężczyzna może pożądać, i wszystko, czego się może obawiać. Tak, Halvor po drodze dużo mi opowiadał o tym mieście. O Rzymianach, którzy wzniesli twierdzę, tę twierdzę, która teraz górowała nad okoliczną zabudową, o targu niewolników i o żywych zwierzętach przywiezionych tu z krajów tak odległych jak Bizancjum i kalifaty, gdzie mieszkali czarownicy z ogniem w sercu i wojownicy z zakrzywionymi mieczami.

Po drodze opowiadał mi też, jak to potężni możnowładcy walczyli w minionych czasach o wodzowską siedzibę w Jorviku. Można tu było zdobyć niezmiernie bogactwa, gdyż tutejsi kupcy byli przyzwyczajeni do płacenia daniny i robili to bez szemrania. Angielscy, duńscy i norwescy wodzowie rozlewali krew swoich wojów, żeby zdobyć władzę w tym mieście, a sam Eirik Krwawy Topór padł gdzieś tutaj, z monetami pochodzącymi z danin w jednej ręce i mieczem w drugiej.

Jorvik leżał u zbiegu rzek, a na północ od miasta górowała stara rzymska twierdza. Halvor dziwnie umilkł, kiedy zbliżaliśmy się do zabudowań. Mieliśmy lekki południowy wiatr w żaglu i powoli sunęliśmy do drewnianych pomostów, które

wystawały ponad brzegami rzeki. Teraz smród był naprawdę dokuczliwy, a powietrze wypełniały głosy zmieszane z gdakaniem, porykiwaniem i dźwiękami dobiegającymi z niezliczonych kuźni. Nie widziałem z początku całego miasta, bo żagiel zasłaniał mi widok. Ale Halvor wkrótce opuścił reję, tak że przez jakiś czas tylko dryfowaliśmy; teraz mieliśmy rzekę Fosen tuż na prawo od nas, podczas gdy Osen kontynuowała swój bieg na odległość kilku strzałów z łuku na północ, a potem odchyłała się na zachód. Siedziałem w milczeniu na tylnej ławeczce. Halvor odwrócił się do mnie z uśmiechem.

– Tak – powiedział. – Wiem. Dużo domów, prawda?

Nigdy przedtem nie widziałem tylu budynków naraz. Pokrywały obydwa brzegi rzeki; zabudowania wydawały się ciągnąć na północ, nie mogłem dojrzeć ich końca. Było tam co najmniej trzydzieści pomostów, przy których zacumowano jedna obok drugiej knary rybackie i statki. Niektóre wciągnięto na gliniasty brzeg, skąd prowadziły drewniane ulice wzdłuż i wszerz między budynkami.

Jorvik został założony na cyplu utworzonym przez rzeki Osen i Fosen, a mniej więcej w środku tego cypla leżała twierdza. Nigdy przedtem nie widziałem twierdzy, więc nie od razu zrozumiałem, co to takiego. Ledwo dostrzegałem mury nad dachami domów, stali na nich wojownicy z długimi włóczniami. Były tam też wysokie żerdzie, na których powiewały białe flagi.

Zacumowaliśmy łódź tam, gdzie rzeka skręca na zachód, tuż na południe od rzymskiego mostu. Przepłynęliśmy już pod trzema starymi mostami z drewna, ale ten stary most przed nami był z kamienia, a filary porośnięte były trawą rzeczną i algami. Stąd widzieliśmy również zachodnią część twierdzy: kamienny mur dochodził aż do brzegu rzeki i kiedyś chyba stanowił całość z mostem, ale później rozebrano jego fragment i wybito otwór między murem miejskim i mostem, żeby zrobić miejsce na ulicę.

Ponieważ przy pomostach było tłoczno, musieliśmy wciągnąć byrding na gliniasty brzeg rzeki. Był tutaj pał, do którego go przycumowaliśmy. Smród był obrzydliwy, teraz odkryłem, że glina, w której staliśmy, pełna była rybich ości i kości zwierzęcych. Pełno było też odchodów, a kiedy przygotowywaliśmy się do pójścia do miasta, na najbliższym pomoście pojawiła się młoda dziewczyna i wylała do rzeki zawartość cebrzyka tuż za naszą burtą. Kwaśny odór moczu uderzył nas w nozdrza.

Zwinąłem jeden z szotów żagla, przewiesiłem sobie przez ramię, a na drugim końcu zrobiłem pętlę i zawiesiłem na szyi Fenrego po zejściu na ląd. Halvor miał u pasa ciosło, a ja topór i nóż. W rękach trzymaliśmy łuki, te, które zrobiłem po drodze, u pasa sakiewki i ledwo opuściliśmy brzeg rzeki, kiedy spośród domów wybiegł mały chłopiec. Halvor potrząsnął sakiewką i kiwnął głową w stronę byrdinga, a chłopiec wskoczył na pokład. Będzie pilnował, wyjaśnił Halvor. Teraz mogliśmy iść.

Jorvik w pełni odpowiadał moim wcześniejszym wyobrażeniom, a nawet je przerastał. Tutaj po raz pierwszy zobaczyłem niebieskiego człowieka, tuż po drugiej stronie zabudowań przy brzegu rzeki. Za nimi była nieco szersza ulica i tutaj siedł niebieski człowiek z szerokim uśmiechem na ustach i niewolnikiem na sznurze. Poczułem natychmiast strach i nienawiść, ale głównie to drugie. Później przekonałem się, że niebiescy ludzie z zamiłowaniem zajmują się handlem niewolnikami, wydaje się, że jest to jedyna rzecz, którą chcą się zajmować. Są czarni jak noc, ale ich ubrania, długie szaty i szale, którymi owijają głowy, są niebieskie, dlatego nazywamy ich niebieskimi ludźmi. Tutaj po raz pierwszy zobaczyłem też mężczyznę z opiłowanymi zębami, to było później tego wieczoru, kiedy usłyszałem o waśniach pustoszących zachodnią Anglię.

Zabudowa przypominała zabudowę w osadzie kupieckiej. Większość tutejszych domów była zrobiona z popękanych klepek statków. Spiczaste dachy były pokryte deskami, korą albo rzeczonym sitowiem. Wyglądało to tak, jakby ludzie wrzucali na górę wszystko, co mogło ich chronić przed deszczem. Domy stały blisko siebie, a przestrzeń między nimi była tak wąska, że ledwo jeden człowiek mógł się przecisnąć. W tych przesmykach leżały stosy gnoju, rybich ości i rozbite muszle omułków. To stąd pochodził smród. Dodatkowo spod tych hałd odpadków wypływała na ulice brunatna ciecz.

Halvor wyjaśnił mi, że dobiliśmy do brzegu niedaleko targu niewolników, więc od razu mieliśmy tam iść. Trzymałem się za nim, kiedy szliśmy, bo z naprzeciwka szło mnóstwo ludzi, było ich tu więcej, niż kiedykolwiek widziałem. Byli pokryci bliznami wojownicy z mieczami u pasa i srebrnymi naramiennikami, kupcy z wydatnymi brzuchami i ciężkimi sakiewkami, kobiety niosące kury i kosze z kapustą, cebulą i rzepą. Wszyscy przechodzili obok mnie i Halvora, jakbyśmy nie istnieli. I my też

zaczęliśmy się tak zachowywać. Przechodziliśmy obok ludzi, jakby byli drzewami w lesie. Nie podnosiliśmy ręki na powitanie, nie pytaliśmy, jak się nazywają albo z jakiego rodu pochodzą. Niektórzy zatrzymywali na mnie wzrok, ale tylko przez krótką chwilę, a potem mijali nas i szli dalej ulicą.

Poszliśmy jedną z drewnianych ulic, która wkrótce doprowadziła nas do muru. Fenre ciągnął za sznur. Nieustannie odwracał łebek za dźwiękami: jakiś głos w przesmyku, gdakanie kur w klatce, śmiech kobiet. Wszędzie rozlegały się dźwięki i unosiły się zapachy i może było to zbyt wiele dla małego pieska, bo po chwili położył się i nie chciał iść dalej. Wtedy wziąłem go na rękę.

Od pomostów nadbrzeżnych do targu niewolników nie było daleko. Skręciliśmy w lewo, gdzie drewniana ulica przylegała do wyłożonej kamieniami drogi, która prowadziła obok kuźni. Wieszano w niej na gwoździach wbitych w ścianę niewolnicze obręcze różnych rozmiarów, jedne szerokie, inne wąskie. Nagle chwycił mnie lęk, odwróciłem się i pobiegłem z powrotem do łodzi, gdyby Halvor nie chwycił mnie za ramię.

– Tam. – Wskazał ręką.

Stali na końcu ulicy. Mężczyźni. Kobiety. Trochę dzieci. Wydawało się, że mają ręce skrepowane z tyłu, wprowadzano ich na podest przylegający do muru.

Dzieliła nas od nich odległość rzutu kamieniem. Opierałem się, kiedy Halvor ciągnął mnie ze sobą. Gdyby stojący tam ludzie zobaczyli blizny na mojej szyi, zrozumieliby, że uciekłem. Pamiętam, że ubzdurało mi się, że Halvor chce mnie sprzedać, że to wszystko jest oszustwem, że wcale nie przybył tutaj, by szukać swoich towarzyszy broni, tylko by zarobić jeszcze więcej srebra. Ale Halvor chwycił mnie za ramiona i wysyczał:

– Na Odyna, chłopcze! Muszę tam iść. A ty trzymasz się mnie, rozumiesz? – Skinął głową w stronę przesmyku kilka domów od nas, gdzie stało dwóch mężczyzn, patrząc na nas. – Oni widzieli nasze sakiewki z pieniędzmi. Jeśli odejdiesz stąd sam, zadżgają cię.

Był to rok 994 według chrześcijańskiej rachuby czasu, angielski król zadbał o stworzenie dobrych warunków dla handlu niewolnikami w miastach takich jak to. Wtedy jeszcze tego nie wiedziałem, ale to kalifaty daleko na południu wywindowały

popyt i zrobiły z niewolników najbardziej opłacalny towar. Wolni mężczyźni na południu byli we własnych oczach narodem panów, a ich egzystencja zależała od pracujących na nich niewolników. To podbijało cenę, co z kolei zwiększało Ethelredowi dochody z danin. Uczeni mnisi szeptali mu zapewne, że jest to złe, że wszyscy mężczyźni i kobiety są równi wobec boga, ale najwyraźniej ich nie słuchał. Kiedy zbliżaliśmy się do podestu, zobaczyłem, że jest ich więcej wzdłuż muru. Przy każdym stali mężczyźni i po kilka kobiet i przyglądali się wystawionym na pokaz skrepowanym ludziom.

Nie pamiętam już, ilu niewolników stało na tamtych podestach. Może pięćdziesięciu albo stu, a może więcej. Podesty podniesiono na wysokość chłopca ponad wyłożony kamieniami plac, na którym się znajdowaliśmy. Ja i Halvor zaczęliśmy przedzierać się przez tłum. Nie spuszczaaliśmy oka z niewolników. Halvor miał nadzieję znaleźć tam swoich towarzyszy broni, a ja ubzdurałem sobie, że również Bjørn mógł tam trafić.

Kiedy doszliśmy do końca podestów, Halvor położył ciężką rękę na moim ramieniu. Potem westchnął głęboko i szedł dalej kamienną ulicą. Minęliśmy kilka straganów, gdzie oferowano kury w klatkach, suszone mięso, ryby i skrzynie pełne jabłek z tegorocznych zbiorów. Ale chociaż byliśmy głodni, Halvor nie rzucił na to wszystko nawet okiem. Szliśmy dalej i wkrótce znaleźliśmy się na końcu kamiennej ulicy. W tym miejscu mur miejski tworzył róg, który zmusił nas do skręcenia w prawo. Domy wyglądały tutaj inaczej. Były z kamienia i sprawiały wrażenie bardzo starych. Wciśnięty w róg pod murem stał drewniany podest, całkiem podobny do tych, które właśnie minęliśmy, ale szybko pojąłem, że to nie plac targowy. Wzniesiono tu szubienicę, wokół której zebrał się duży tłum. Ręka Halvora znów spoczęła na moim ramieniu, nagle mocno mnie uszczypnął.

– Na Hel! – zaklął, bo teraz wprowadzono na podest trzech mężczyzn ze związanymi na plecach rękami. Ich nagie ciała pokryte były ranami po razach i palącym żelazie. – Stój tutaj, powiedział. – Nigdzie nie odchodź.

Potem zaczął przedzierać się między ludźmi w stronę podestu.

Nigdy przedtem nie widziałem egzekucji przez powieszenie i lepiej by było, gdybym wtedy odwrócił wzrok. Halvor zniknął w tłumie na przedzie. Mężczyzna w opończy z kapturem podszedł do brzegu podestu i zaczął coś odczytywać z kawałka skóry. Było

z nim dwóch innych mężczyzn: łysy mnich i kat, potężny chłop odziany w brudny skórzany kaftan. Zacisnął pętlę wokół szyi pierwszego skazańca i wprowadził go na stołek. Napreżono sznur, po czym mnich pochylił się i zabrał stołek.

Ze wszystkich sposobów zabijania człowieka powieszenie jest jednym z najgorszych. Człowiek traci kontrolę nad ciałem. Wierzga nogami, ale te kopnięcia wkrótce przechodzą w konwulsyjne skurcze i zaczyna się „wisielczy taniec”. Mięśnie nóg i przepona stawiają opór; każdy najmniejszy mięsień aż do palców u nóg nierytmicznie napina się i rozluźnia. Jelito często się opróżnia, skazaniec otwiera szeroko usta jak ryba na łądzie, źrenice uciekają do tyłu głowy, aż wreszcie pochwyci go śmierć, a całe ciało zwisa i kołysze się jak kawał mięsa na sznurze.

Kat i mnich powiesili wszystkich trzech na szafocie, za każdym razem ku okrzykom radości gapiów. Ostatni nie mógł być wiele starszy ode mnie, gwałtownie szarpał się, kiedy zakładano mu pętlę na szyję. Po egzekucji głowy zostały odcięte i zatknięte na pale. Zakładam, że miano je ponieść i pokazywać na ulicach. Halvor nagle znowu znalazł się przy mnie. Była w nim ponura wściekłość, nie chwycił jednak za ciosło, stał tylko tyłem do szafotu, spoglądając posepnie.

– Oby ich wszystkich porwała Hel – warknął, po czym splunął na ziemię i ruszył w stronę domów.

Tuż przy targu niewolników znaleźliśmy wyszynk. W środku siedziało wielu mężczyzn pokroju Halvora. Wielcy, pokryci bliznami wojownicy ze spaloną słońcem skórą i bujnymi brodami.

Halvor i ja zajęliśmy miejsce przy jednym z dwóch wolnych stołów. Inni mężczyźni zajmowali pozostałe cztery długie stoły. Wyglądało na to, że stanowią jedną grupę. Byli ubrani w takie same spłowiałe od słońca rdzawoczerwone długie tuniki. Kiedy usiedliśmy, a oni odwrócili od nas wzrok, zdało mi się, że rozmawiają między sobą po norwesku.

Halvor położył przed sobą na stole sztukę srebra. Nie była to jedna z jego monet, tylko wyklepany na płasko kawałek metalu bez wzoru. Nie minęło dużo czasu, zanim wylądował obok niego kufel z piwem. Halvor opróżnił go trzema potężnymi łykami. Usługujący chłopak stał przy końcu stołu z beczułką pod pachą i natychmiast nalał mu

ponownie. Halvor wychylił szybko również ten kufel i chłopak nalał mu jeszcze raz. Dopiero teraz wydawał się nieco uspokojony. Upił jeszcze parę łyków ze stojącego przed nim kufła, a potem zapatrzył się tępo przed siebie.

Nadal miałem Fenrego na rękach. Służący podszedł z misą ze skrawkami mięsa i wskazał na nie.

– Nie – powiedziałem, pamiętając słowa Halvora, że wszystko tu jest zarżone robakami i pasożytami.

Halvor mruknął, że mogą nam przynieść jabłek. Ale nowo zebranych i bez robaków. Potem dopił piwo.

Jeden z mężczyzn podniósł się i podszedł do nas. Stał przy końcu stołu, przyglądając się nam z uśmiechem na ustach. Rzadko kiedy widziałem mężczyznę o tak budzącym strach wyglądzie. Broda była zapleciona w warkocz, w przednich zębach wypłowiano poprzeczne bruzdy, a na całkowicie łysej głowie widniała brzydka blizna. Wyglądało to tak, jakby skóra na czubku głowy została rozerwana, a potem pośpiesznie pozszywana.

– Norwegowie? – zapytał.

Halvor odczepił ciosło od pasa i położył na stole przed sobą.

– Kto pyta?

– Nazywam się Orm. Przyjechaliście tu po niewolników? – zapytał, kiwając głową w kierunku otwartych drzwi.

Halvor splunął na podłogę.

– Chodź do nas, napijmy się razem.

Halvor wzruszył ramionami i ciężko westchnął, a potem podniósł się i podszedł do Orma i jego towarzyszy.

Rozmowa, która się potoczyła, nie była zbyt serdeczna. Halvor miał już porządnie w czubie, a Orm i jego ludzie dolewali mu z beczułki stojącej na stole. Halvor zapomniał swojej sztuki srebra, przenosząc się do nich, ale ja trzymałem ją w garści i nie miałem zamiaru pozwolić, żeby ją nam podstępnie zabrali. Bo że nie mieli uczciwych zamiarów, było dla mnie jasne. Napoili Halvora niejednym kuflem, a potem zapytali jeszcze raz, co go sprowadza do Jorviku. Halvor odrzekł, że przybył tu w poszukiwaniu kilku ludzi, swoich przyjaciół. Potem uderzył pięścią w stół,

opanovała go gwałtowna wściekłość i wysyczał, że śmierć na szubienicy to śmierć bez honoru. Te słowa wywarły wrażenie na Ormie i innych mężczyznach, bo umilkli i wymienili spojrzenia, stali się niespokojni. Widziałem, że niektórzy położyli rękę na nożach przy pasie.

– Jeśli taniec wisielczy to śmierć niehonorowa – zapytał Orm – to może ty i tobie podobni wolicie, kiedy kat w rękach ma topór, a wy patrzycie mu w oczy, kiedy topór się zbliża?

– Tak – odparł Halvor i skierował palec wskazujący na mężczyzn siedzących wokół stołu.

– Więc teraz... Teraz wiecie, kim jestem.

To były ostatnie sensowne słowa, które Halvor wypowiedział tego wieczoru. Odpowiedziawszy w ten sposób na pytanie mężczyzn w wyszynku, dał im do zrozumienia, że jest jomswikingiem. Było powszechnie wiadomo, że ci domagali się egzekucji w pozycji siedzącej, żeby mogli hardo patrzeć katu w oczy. W tych czasach ciągle istniały bractwa wojowników, którzy nie służyli żadnemu krajowi czy królowi. Jomswikingowie byli z nich wszystkich najbardziej osławieni. Dlatego Orm i jego towarzysze przestali pić, podczas gdy Halvor pił nadal. Nie wiedziałem, czy to z powodu rozczarowania, że nie znalazł swoich towarzyszy broni na targu niewolników, czy po prostu lubił wypić, ale nigdy przedtem nie widziałem mężczyzny wlewającego w siebie tak olbrzymią ilość piwa w takim tempie.

Halvorowi udało się przekazać mi sakiewkę z monetami mniej więcej przy szóstym kuflu, z nakazem, żebym dobrze na nią uważał. Kiedy kufel napełniono po raz siódmy, pociągnął z niego kilka łyków, położył się na stole i oparł głowę na przedramieniu. Teraz mężczyźni zwrócili się w moim kierunku, a Orm zerknął na sakiewkę na stole. Ale Halvor znowu się podniósł i nagle siedział zadziwiająco wyprostowany.

– Wy. – Wskazał palcem wokół siebie. – Ja... wiem, kim wy jesteście. To wy... splądrowaliście całe Wessex!

– Jesteśmy wojownikami – odrzekł Orm. – Sven Widłobrody i Olaf, nasz wódz...

– Jak bracia – przerwał mu Halvor. – Słyszałem, że... są jak bracia.

– Już nie. – Orm sięgnął po beczkę i znowu napełnił kufel Halvorowi.

Zastanawiałem się, ile Halvor może wypić. To piwo było mocne. Ja sam wypilem



dopiero połowę pierwszego kufła, ale już szumiało mi w głowie. Na stole stała olbrzymia taca z podpłomykami i jabłkami. Potrzebowałem pożywienia, nie piwa.

– Jedz – dobiegło mnie od mężczyzny siedzącego obok. Podsunął mi tacę.

– Tak – powiedział Orm. – Jedz. Bylibyśmy kiepami, gdybyśmy nie poczęstowali jomswikingów jedzeniem. Ale ty chyba nie jesteś jomswikingiem? Ile masz lat?

– Czternaście.

Orm napełnił mój kufel i uśmiechnął się, ukazując spiłowane zęby.

– Jak masz na imię?

– Torstein.

– Czy kiedykolwiek zabiłeś człowieka, Torsteinie?

Nie miałem ochoty odpowiadać, kiedy Halvor o to pytał, nie miałem i teraz. Ale skinąłem głową. Wtedy Orm znowu zwrócił się do Halvora.

– Kim jest ten chłopak?

– On... – Halvor otarł piwo z wąsów. – On jest skutnikiem.

– Skutnikiem? – Orm usiadł z powrotem na ławie i podniósł swój kufel. – No to pijemy twoje zdrowie, Torsteinie.

Wzniesiono toast i wypito. Halvor wypił jeszcze kilka łyków. Nie mogłem pojąć, dlaczego musi tyle pić, i bardzo mi się nie podobało, kiedy Orm znowu bez żenady utkwiał wzrok w sakiewce. Zabrałem ją ze stołu i przytroczyłem sobie do pasa, a potem wziąłem jabłko z tacy i zacząłem je żuć.

Orm opowiadał teraz, jak to on i jego towarzysze zjechali i splądrowali całą Walię, Wessex i Mercię tego lata. Mężczyźni ciągle podnosili kufle i wznosili toasty, wyglądali na bardzo dumnych z tej wyprawy. Ich wódz, Olaf Tryggvason, zawarł pakt z królem Ethelredem, a Sven Widłobrody pożegłował z powrotem do ojczystej Jutlandii. Król Danii był rozżalony, bo kiedy Olaf zawarł pakt z Ethelredem, musiał również zwrócić się przeciwko Danom i obiecać walczyć przeciwko nim, gdyby powrócili, żeby znowu pustoszyć i rabować.

Zastanawiałem się nad tym, co Orm opowiadał. Jeśli splądrowali Walię, Wessex i Mercię, toby wyjaśniało, dlaczego nie widzieliśmy więcej łodzi na morzu i dlaczego gospodarstwa wyglądały na opuszczone. Brali walijskich niewolników, chwalił się Orm, a niektórych z nich sprzedali na targu tuż obok wyszynku. Wyjął kilka srebrnych

monet z torby przy pasie i nam pokazał. To były „dinary”, monety z kraju niebieskich ludzi. To niebieski człowiek kupił niewolników, ci na południu nigdy nie mieli ich dość.

Później dowiedziałem się, że inne ludy uważają nas za okrutnych, że my, tu, na północy, mamy wewnętrzną żądzę zabijania innych, żeby zabierać ich bogactwa i kobiety. Zapominano, że jesteśmy ludem takim samym jak inne, że są wśród nas i dobrzy, i źli ludzie. Nie wspomniano prawie o tym, że nie byliśmy jednym narodem, tylko różnymi ludami. Ludziom na południu byliśmy znani tylko jako wikingowie, byliśmy dla nich karą zesłaną przez ich wielkiego wszechwładnego boga. Ale może to nie takie dziwne, bo jeśli napotykałbym jedynie takich ludzi jak Orm i inni siedzący w wyszynku, też bym uważał, że w mieszkańcach Północy jest coś nieodrodnie złego. Halvor był tak pijany, że nie mógł się utrzymać w pozycji siedzącej, leżał z obydwoma ramionami wyciągniętymi na stole i zdałem sobie sprawę, że gdyby Orm i jego ludzie chcieli zabrać mi srebro, mogliby to zrobić teraz. Chwyciłem więc Halvora za plecy i postawiłem na nogi. Orm chciał się dowiedzieć, dlaczego nagle musimy iść. Powiedziałem mu, że kogoś szukamy. Wzruszył tylko ramionami i wymamrotał, że wszyscy chyba kogoś szukamy.

Doprowadziłem Halvora do łodzi i schowałem sakiewkę z monetami pod skórą w tylnej części. Zdjąłem żagiel z rei, którymu dało mi się całkowicie przykryć pijanego. Włożyłem mu pod pachę ciosło, na wypadek gdyby ktoś jednak go wypatrzył i chciał skorzystać z okazji, żeby go obrabować. Pomyślałem, że Halvor by się wtedy pewnie obudził i wpadł w szal bojowy, a z rabusiów zostałyby strzępy. Nie wyglądał mi na takiego, co da się obrabować, nieważne, jak byłby pijany.

Może sam też byłem trochę pijany. Wlałem w siebie cały kufel piwa, byłem młody, a piwo warzone w Jorviku mocne. I może to piwo dało mi odwagę, której potrzebowałem, żeby wejść między domy tylko w towarzystwie Fenrego.

Poszedłem na targ niewolników, stałem tam przez chwilę i udawałem, że patrzę na kilka kóz, podczas gdy ciągle zerkąłem na podesty, na których wystawiono niewolników. Kiedy ktoś został sprzedany i odprowadzany wśród gapiów, natychmiast wprowadzano nowego. Jakaś kobieta krzyczała, gdy odprowadzano małą dziewczynkę, może jej córkę. Handlarz niewolników uderzył ją w brzuch, a ona się skuliła i już nie wydała z siebie żadnego dźwięku.

Nie stałem tam długo. Zbyt wiele cierpienia, a i wspomnienia mojego czasu w kajdanach niewolnika były nadal świeże. Wskoczyłem w jedną z uliczek. Po drugiej stronie był targ, gdzie oferowano najpiękniejsze towary w Jorviku. O niektórych, jak szafran i inne przyprawy, tylko słyszałem, był też jedwab i futra z gronostajów, i perły, i handlarze zgięci w pół przy swoich małych wagach. Większość kupców nie pochodziła z mojej części świata. Mieli czarne włosy, brązową skórę i potężne nosy przypominające dziób. Tam gdzie kończyły się stragany, znajdowała się jeszcze jedna drewniana ulica, na którą wszedłem. Wkrótce znowu byłem przy murach miejskich. Udałem się wzdłuż muru, aż do miejsca, gdzie się kończył przy węższej rzece. To musi być Fosen, pomyślałem. Do pomostów na palach przycumowanych było kilka szerokich karwów. Na pokładzie jednego z nich stało dwóch barczystych mężczyzn o brodach blond i wyplatało żaki na ryby.

Zapytałem ich, czy widzieli niespełna dwudziestoletniego mężczyznę imieniem Bjørn.

– Jest podobny do mnie – dodałem.

Odpowiedzieli z twardym akcentem charakterystycznym dla mieszkańców Ryfylke, że nie widzieli takiego. Ale obiecali, że będą się rozglądać.

– To twój brat? – zapytał jeden z nich. Potwierdziłem. – Może jest na dziwkach – powiedział i wskazał na rzekę niżej.

Nie poczułem się dotknięty tą oczywistą zniewagą. Nawet gdybym znalazł go w objęciach najbrudniejszej dziwki w mieście, dziękowałbym Odynowi i jego synom, a także Nornom za to, że znowu splotły nici naszego życia.

Poszedłem wąską drewnianą ulicą wzdłuż rzeki i wkrótce usłyszałem kobiecy śmiech, któremu towarzyszył męski głos. Ten ktoś brzmiał jak Dan. Skręciłem między dwa domy i wszedłem na mały plac, było to właściwie skrzyżowanie ulic z kilkoma ławami ustawionymi wokół. Na ławach siedzieli mężczyźni i kobiety ubrane w długie do kostek koszule z wycięciami na szyję tak szerokimi, że piersi niemal z nich wypadły. Przy rogu domu, tuż obok mnie, stała beczka, przy której znajdowało się dwóch mężczyzn. Jeden zanurzał w beczce kufel. Pewnie jest w niej piwo, pomyślałem. Drugi schylił się do Fenrego i próbował go do siebie przywołać, pstrykając palcami.

Znowu wypatrzyłem sobie kogoś o blond włosach i brodzie, bo pomyślałem, że

pochodzi z moich stron i mówi moim językiem. Tym razem był to mężczyzna, który siedział z kuflem w jednej ręce, a drugą miał schowaną pod koszulą dziewczyny siedzącej obok niego.

– Szukam mężczyzny – powiedziałem. – Bjørna. Wygląda tak jak ja.

Mężczyzna postawił kufel obok siebie.

– Bjørn, powiadasz?

– Tak.

– Jest tu jakiś Bjørn?! – krzyknął na cały placyk.

Jeden z mężczyzn, brzuchaty i z brązową brodą, wychynął z domu, obok którego stała beczka z piwem, i zapytał mrukliwie, kto pyta.

– Jego brat – powiedziałem.

Brodacz wyszedł na placyk, przytrzymując spodnie wielkim łapskiem, stanął i rzucił mi krzywe spojrzenie.

– Ty nie jesteś moim bratem.

Nie odpowiedziałem. Poszedłem dalej. Co sobie właściwie wyobrażałem? Mój brat nie poszedłby do takich kobiet. Ojciec nauczył nas, że sypianie z zepsutymi kobietami jest haniebne. Taki mężczyzna traci siły i bogowie nim pogardzają. A żeby tego jeszcze było mało, te kobiety przenosiły zaraźliwe choroby, okropne schorzenia, od którychgniło męskie przyrodzenie, a mózg się kurczył.

Chodziłem po mieście na oślep i skłamałbym, twierdząc, że nie zabłądziłem. Domy wydawały mi się takie same. Znowu znalazłem się przy targu niewolników. Tutaj Fenre się zgubił, ale wkrótce go odnalazłem w jednej z uliczek, gdzie stał i obgryzał świńskie kości.

Kiedy wreszcie wróciłem do łodzi, zapadał zmierzch. Halvor już nie spał, tylko leżał, patrząc pustym wzrokiem przed siebie. Nad rzekę nadpłynęła mgła. Pozostała nad wodą. Kadłuby zniknęły, wystawały tylko maszty. Niebo nade mną roiło się od gwiazd. Była pełnia księżyca. Owinąłem się baranicą, bo wraz z ciemnościami przyszedł chłód. Na rzece widziałem zarys statku, słyszałem skrzyp wiosł w dulkach. Na dziobie i na rufie przymocowane były pochodnie. Nagle dobiegł stamtąd ryk, z mgły nad rzeką wyłonił się niedźwiedź i wyciągnął przednie łapy w kierunku nocnego nieba. Zarzucił

łbem; teraz dostrzegłem, że jest przykuty do masztu. Jeden łańcuch szedł od jednej łapy, drugi od żelaznej obręczy na karku. Zwierzę ponownie opadło w mgłę, słyszałem tylko pełne skargi porykiwanie. Statek popłynął dalej i zniknął w ciemnościach nocy.



Kiedy się obudziłem, padał śnieg. Grube płatki spadały w dół w szary, cichy od wiatru poranek. Halvora nie było. Stałem przez chwilę, rozglądając się między domami, i pomyślałem, że powinienem pójść go poszukać, ale nagle dojrzałem go na rzymskim moście. Początkowo go nie poznałem, bo był owinięty wełnianą opończą, a na głowie miał futrzaną czapkę. Przy końcu mostu zniknął na schodach prowadzących w dół, lecz zaraz znowu się pojawił między domami. Podeszedł do łodzi, położył rękę na dziobie i spojrzał zmrużonymi oczami w dół rzeki. Potem wysmarkał się w palce, odchrząknął i wyjął srebrną monetę z sakiewki przy pasie.

– Masz – powiedział, podając mi ją. – Zapłata, którą ci obiecałem. – A tutaj... – Podał mi cięciwę do łuku.

Wziąłem monetę i cięciwę. Halvor zerknął na statek przycumowany do drewnianego pomostu po drugiej stronie rzeki, o rzut kamieniem w dół.

– Ten statek tam – kiwnął głową – płynie do Estonii. Zabiorę się z nimi. Obiecali wysadzić mnie koło Jom <sup>15</sup>.

– Myślałem, że masz szukać...

– Znalazłem ich. – Halvor splunął w śnieg. – Więc teraz wracam do domu.

Chciałem o to zapytać, ale nagle pojąłem, co ma na myśli.

– Tak – powiedział Halvor. – Moi bracia siedzą teraz przy stole Odyna. – Naciągnął kaptur opończy na głowę. – A ja muszę wracać do Jomsborga. Ale będę rozglądał się za twoim bratem.

Wyciągnąłem łuk, który zrobiłem dla niego, i mu podałem. Halvor wziął go.

– Torsteinie – powiedział – jeśli pewnego razu przybędziesz do Jomsborga, wstawię się za tobą.

– Nie jestem wojownikiem.

– A właśnie, że jesteś. – Halvor opuścił koniec łuku w śnieg. – Tylko jesteś młody.

Młodzi mężczyźni nie wiedzą, kim są. Albo czym są. Za kilka lat przekonasz się, że miałem rację.

Nic nie odpowiedziałem. Spojrzałem na rzekę, na domy po drugiej stronie. Śnieg pokrył dachy. Miasto było teraz cichsze, śnieg wyłumił wszystkie dźwięki.

Halvor odwrócił się i ruszył przed siebie, ale zatrzymał się po kilku krokach.

– Żyj i umrzyj bez lęku, Torsteinie. – Rzucił mi do tyłu spojrzenie. – Bez lęku.

Wszedł między budynki i zniknął mi z oczu.



## 10

### Zamążpójście

**U**rodziłem się w czasach przełomowych. Kraje na północ od Danevirke nigdy nie były niepokojone przez władców z kontynentu europejskiego, podobnie było z norweskimi wyspami na Morzu Północnym. Nazywano nas poganami, a ludy na południu bały się nas i nazywały złymi ludźmi. A ze wszystkich mieszkańców Północy my, Norwegowie, uchodziliśmy za najgorszych. Rzeczywiście było w nas coś szczególnego. Żadnemu królowi nie udało się kiedykolwiek nas ujarzmić. Nawet Pięknowłosa nie mógł tego dokonać. Papież w Rzymie nauczał swoich mnichów, że nie można nas odwieść od pogaństwa i nawrócić, bo nie jesteśmy ludźmi, tylko dzikimi zwierzętami. Ale dzikie zwierzęta nie potrafią przemierzać otwartego morza tak jak my, a nikt chyba dalej od nas nie dopłynął. Głupcami są ci, którzy myślą wolną wolę i odwagę z brakiem cech ludzkich i ze złem!

Są okresy, kiedy siedzę w ciemności i wspominam te czasy. Mówią, że człowiek z wiekiem staje się bardziej pobożny, lecz ja nie obawiam się swoich bogów. Dali mi siłę, kiedy byłem młody, i byli zawsze ze mną, w czasach pokoju i w czasie wojny. Teraz jestem starym człowiekiem, a świat nie wygląda już tak jak za mojej młodości. Starzy bogowie już dawno zostali wypędzeni z krajów Północy, na miejscach świątynnych, gdzie wodzowie składali ofiary, żeby wyjednać obfitość plonów i powodzenie w wojnie, pobudowano kościoły.

– Norwegowie zostali ujarzmieni! – chwalą się w Rzymie. – Te przekorne i uparte klany, których bogowie byli sługusami Szatana, ugięli się przed władzą królewską i dały się ochrzcić!

Tak, wielu się w końcu ugięło. Ale inni wybrali śmierć. A jeszcze inni opuścili kraj,

tak jak ja. Czasy hovdingów minęły, potężni królowie panują nad dużymi obszarami, ich wojska liczą tysiące wojowników. Tam gdzie władza takich jak Harald Rudy opierała się na dobrej woli wolnych ludzi, zasiadają teraz tyrani z żelaznymi ostrogami. Kiedyś obawialiśmy się tylko strachu, teraz strach jest obecny w sercu każdego mężczyzny i każdej kobiety i wygląda na to, że ludzie zapomnieli, że nade wszystko ceniliśmy sobie śmiałość. Pojawiło się w nas coś żalosego.

Oby Hel porwała każdego człowieka, który chce dogodzić władzy królewskiej. Bo to królowie odebrali nam wolność. Pożądanie władzy i bogactwa u pretendentów do tronu. Może z początku tego nie dostrzegaliśmy, może daliśmy się zaślepić. Jednak wkrótce poczuliśmy wojowniczą krew naszych przodków w żyłach i podnieśliśmy topory i miecze, aby walczyć przeciwko tym nowym władcom i nowym czasom.

Z Jorviku pożeglowałem z Fenrem wzdłuż wybrzeża na północ. Sprzyjający, wiejący w kierunku lądu wiatr zaniósł mnie do miejsca, z którego widziałem w oddali Orkady na północ od krańca Szkocji. Dotarłem do celu pod wieczór. Knara Grima leżała na plaży, więc założyłem, że mężczyźni wrócili już z połowów. Ale było późno i nie chciałem budzić mieszkańców gospodarstwa. Zdecydowałem, że prześpię się w łodzi. Wycie wiatru w nocy w pewnym momencie ustało, a kiedy się obudziłem, całe zbocze aż do domu pokryte było szronem.

Następne, co pamiętam z tego ranka, to Hårek schodzący w dół zbocza. Jest bosy, stopy zostawiają zielone ślady w szronie na ziemi. Stoi na plaży, zaledwie kilka kroków ode mnie. Siedzę na środkowej ławeczce i zastanawiam się, czy coś powie, musi mnie przecież widzieć. Ale on tylko stoi, patrzy na zatokę i milczy.

W domu zastaję Sigrid i Astrid, Håkon siedzi przy palenisku i grzebie w rozżarzonych węglach. Sigrid szybko wymyka się z domu razem z siostrą, jakbym je wystraszył. Håkon podnosi wzrok i obdarza mnie zmęczonym uśmiechem. Potem mówi, że Grim nie żyje. Wypadł za burtę podczas połowów i zniknął w falach. Teraz to Hårek kieruje gospodarstwem.

Norny przecinają nić życia wszystkich mężczyzn i kobiet. Zbyt długa żałoba jest bezcelowa. Grim był starym człowiekiem, zginął na morzu i nie musiał cierpieć na łożu boleści. Dlatego nie rozumiałem, dlaczego Sigrid ze mną nie rozmawia, i nie mogłem



pojąć, dlaczego Hårek już pierwszego wieczoru przyszedł do mnie, mówiąc, że odtąd mam spać w swojej łodzi albo w oborze. Najpierw pomyślałem, że to dlatego, że wyjechałem na tak długo bez uprzedzenia, lecz wkrótce dowiedziałem się, że powód był zupełnie inny.



Zbliżała się najciemniejsza pora roku. Na Orkadach nie jest tak zimno, jak wyobrażają sobie ludzie na południu, bo cały czas napływa łagodne powietrze z południowego zachodu. Ale jeśli wiatr z północy wieje przez całą noc, zamieć śnieżna może przeobrazić wyspy w opustoszałe kry lodu i wtedy ma się poczucie, że człowiek obudził się w krainie jotunów. W jeden z owych poranków, kiedy zamieć wyła w rogach domów, zobaczyłem takiego olbrzyma w zatoce. Stał z nogami osadzonymi na dnie, zniekształcone ciało z jednym ramieniem wzniesionym jakby na przekór ku niebu. W ciągu dnia zaczął topnieć, aż upadł i podryfował niesiony przez fale odpływu.

Jak gdyby mało było tego, że Grim zginął, połowy okazały się słabe i mieszkańców zagrody czekała chuda zima. Co ranka sam wypływałem na połów ryb, ale miało się wrażenie, że zimno wyгнаło ryby na głębsze wody, bo nieczęsto płynąłem do domu z jakąś zdobyczą. Owce były teraz kotne i zabijanie ich uważano za wielką hańbę. Natomiast barany raczej nie miały szans na przeżycie zimy. Wyspiarze zbierali przy brzegu wodorosty i wieszali do wysuszenia w domach, bo można je było potem zmielić i dodawać do kaszy.

Ponieważ było mało żywności i nie czułem się już mile widziany w zagrodzie Grima, przebywałem głównie między wyspami. Łowiłem ryby i zbierałem skorupiaki, jadłem wodorosty i trawę morską. Hutta miało nie być do wiosny, więc pomyślałem, że równie dobrze mogę utrzymywać porządek w jego kuźni. Ziemne ściany dawały wystarczająco dużo ciepła, miał pełno wysuszonego torfu, nie marzłem w środku. Wkrótce zacząłem tam spędzać również noce i nikt w zagrodzie Grima nie wydawał się za mną tęsknić. Dni były krótkie, a wieczory długie i w tym miesiącu, kiedy hovdingowie w ojczystej Norwegii urządzali ucztę ofiarną, znowu pochwycił mnie ponury nastrój. Tym razem był gorszy niż kiedykolwiek. Przeleżałem dwa dni i dwie

noce w kuźni bez jedzenia, potrafiłem się zdobyć jedynie na dokładanie torfu do paleniska i wypuszczanie Fenrego na zewnątrz, kiedy musiał się załatwić. Najbardziej dokuczała mi samotność, może miałem nadzieję, że Sigrid zatekni za mną i mnie odwiedzi, wiedziała przecież, dokąd się wyprowadziłem. Ale nikt nie przyszedł. Wreszcie głód zmusił mnie do podniesienia się spod baranic, wytoczyłem się na światło dnia, a potem dowlokłem na brzeg, skąd zepchnąłem byrding na wodę.

Pamiętam jeszcze tę podróż. Morze było całkowicie spokojne, byrding tak równo sunął po wodzie, że nawet nie musiałem trzymać steru. Zimowe słońce stało nisko na południowym niebie i ledwo czułem ciepło na policzkach. Z biegiem lat zrozumiałem, że z moim umysłem jest tak jak z łodziami: nie znoszę bezwietrznej ciszy na morzu, muszę czuć powiew wiatru na twarzy i widzieć, jak morze przesuwa się za burtą. Może tak jest z całym moim ludem, może dlatego podróżowaliśmy przez morze do tak odległych miejsc. Teraz byrding płynął i mój ponury nastrój jakby zdmuchnęło. Poczułem się pewniej i pomyślałem, że kiedy dotrę do gospodarstwa, pokażę zarobione srebro. Byłem głupcem myślącym tylko o sobie, nie o innych, teraz to zrozumiałem. To żałoba po stracie ojca musiała sprawić, że Sigrid wydawała się taka niedostępna.

Minęło wiele dziesięcioleci od czasu, kiedy mieszkałem na Orkadach, ale pamiętam je jako jedno z najpiękniejszych miejsc, jakie widziałem. A tego ranka niebo i morze było tak blisko mnie, że słyszałem niemal szepty przodków, bogów i duchów. Bo wszystkie rzeczy mają duszę, a każda dusza ma głos. Chrześcijanie tego nie rozumieją, wydaje im się, że wszystko jest stworzone przez jakiegoś wszechmogącego boskiego króla i że wszystko istnieje dla człowieka. Chociaż z głodu ssą mnie w żołądku, nawet nie pomyślałem o polowaniu, przepływając obok szkierów, na których foki wylegiwały się w zimowym słońcu. Nie widziałem jedynie niemych stworzeń, które można zabić i zjeść. Widziałem i odczuwałem żywe istoty, takie jak ja. Byłoby nikczemnością zakłócanie spokoju tego poranka.

Kiedy dzielę się dziś takimi myślami z młodymi ludźmi, zdarza się, że się ze mnie śmieją. Może nie zapomnieli bogów swoich ojców i matek, ale nie mogą pojąć, jak myśleliśmy i jak czuliśmy w tych czasach przed wtargnięciem tu chrześcijańskich królów na wojennych wyprawach. Dla nich to jakieś niemądre myśli, coś, co wywołuje drwiący uśmieszek na ustach. „Zwierzęta zostały umieszczone na ziemi po to, żeby

służyły ludziom, powiedzieliby. One tylko po to istnieją”.

Jeszcze nie ugiąłem kolan przed jakimkolwiek chrześcijańskim królem i pozostanę nieochrzczony do końca swoich dni. Nie boję się „bożego gniewu” i opowieści mnichów o morzu ognia, w którym będą cierpieć męki tacy jak ja. Ojciec mówił mi, że wolny człowiek powinien spotykać każdy dzień bez lęku. I w taki sam sposób powinien wyjść na spotkanie śmierci.

Nie myślałem jednak o śmierci ani o lęku tego zimowego poranka, płynąc wzdłuż skał i białych jak śnieg piaszczystych plaż. Czas spędzony w niewoli chyba sprawił, że rozkoszowałem się wolnością bardziej niż inni, a żaden człowiek nie może być bardziej wolny niż wtedy, kiedy płynie po morzu własną łodzią. Gdybym mieszkał w głębi lądu w kraju Franków albo gdzieś w Gardarike <sup>16</sup>, byłbym uważany za mniej wartościowego od innych mężczyzn, bo powłóczyłem nogą i nie mogłem dobrze biegać. Ale tutaj, na północy, zawsze tak było, że ten, co radził sobie na morzu, decydował o własnym życiu. Wiedziałem też, że zyskałem sobie pewne uznanie na wyspach po naprawieniu knary Grima. Może byłem młodym chłopakiem, ale udowodniłem, że jestem użyteczny. Tak, Grim sam przecież mówił, że wyspiarze potrzebowali ludzi z moimi umiejętnościami. To, że nie żył, nie mogło tego zmienić.

Postanowiłem, że przypomnę o tym mieszkańcom jego zagrody. Czyżby zapomnieli, że naprawiłem łódź starego Grima? Bez niej nie mogliby wrócić do domu i skarżyć się na nieudany połów, bo w ogóle nie mogliby wyruszyć na połów. Nie domagałem się za to zapłaty, spałem na skórze przy palenisku i aż tak strasznie ich nie objadłem. Chciałem pokazać im monety, które dostałem od Halvora, żeby mogli zobaczyć, że są ludzie, którzy doceniają mnie i to, co robię.

Kiedy zbliżałem się do gospodarstwa, coś mnie tknęło. Przecież gdybym nie naprawił łodzi, nie popłynęliby na połów, a Grim nadal by żył. Może dlatego nie byłem już mile widziany. Może według nich ten wypadek wydarzył się z mojej winy?

Zszedłem na ląd, stanąłem na plaży i pomyślałem, że powinienem znowu wypłynąć na połów. Nie przy pływałem tutaj bez ryb, a i tak ledwo słyszałem jakieś dziękuję. Musiałem pokazać im srebro. Zobaczywszy je, Sigrid zrozumie, że jestem więcej wart, niż myślała. Powiem Hårekowi, że mogę popłynąć z tym srebrem na południe i kupić za

nie zboże. Oddałbym im je, co pewnie uchroniłoby ich przed głodowaniem aż do wiosny.

Fenre pokuśtykał w górę wzniesienia i dotarł do gospodarstwa na długo przede mną. Gard, klęcząc przy oborze, obdzierał ze skóry barana. Zakrwawioną ręką wskazał mi port. Było w nim coś dziwnego, milczał i jakby bał się na mnie spojrzeć. Postąpiłem chwilę na podwórzu, milcząc podobnie jak on, a potem poszedłem po śladach w świeżym śniegu. Było dużo odcisków stóp zostawionych przez grupę ludzi. Ślady zawiodły mnie do kopca z kamieni, wokół którego najwyraźniej się zgromadziła cała świta, w pewnych miejscach były ślady po kolanach, chyba tu klęczeli. W środku obok krzyża leżał mały młot Thora zrobiony z oszlifowanej muszli omułka i sucha gałązka wrzosu. Fenre obsikał kopiec, potem poszliśmy dalej.

Do brzegu przybił jakiś obcy statek, zobaczyłem go, będąc w połowie drogi między gospodarstwem a portem. Wyglądał na taki statek handlowy, jaki przewozi towary przez Morze Północne. Ale na pokładzie było dużo ludzi, a jeszcze więcej na nabrzeżu.

Kiedy dotarłem do portu, spostrzegłem Sigrid, Håkona i ich siostrę, stali tuż przy krawędzi nabrzeża. Hårek stał na pokładzie z dłonią na ramieniu siwobrodego mężczyzny i wyglądał na pogrążonego w poważnej rozmowie, siwobrody wolno kiwał głową.

Fenre i ja stanęliśmy w porcie. Nagle Sigrid mnie zauważyła. Podniosła rękę, ale nie po to, żeby mnie przywołać. Machnęła nią, jakby chcąc mnie odpędzić, kręcąc przy tym głową. Potem schowała się za bratem.

Tak mnie to zniechęciło, że odwróciłem się i ruszyłem z powrotem do gospodarstwa. Zatrzymałem się na podwórzu i spojrzałem na zatokę. Gard zdjął już skórę z barana i był w trakcie rozbierania tuszy. Odciął trzy kawałki mięsa i podszedł z nimi do mnie.

– Musisz zniknąć na parę dni – powiedział, wkładając mi mięso do rąk. – Tak będzie najlepiej dla wszystkich.

– Kto tutaj przyplłynął? – zapytałem.

– Krewni z Irlandii, Torsteinie. Sigrid ma być wydana za mąż.

Te słowa towarzyszyły mi do plaży. Zepchnąłem byrding na wodę i zacząłem wiosłować długimi, mocnymi pociągnięciami. Wiosłowałem, aż dotarłem na otwarte

morze, słońce stało już nisko.

Nie wiem, czy spędziłem noc na morzu. Może wpłynąłem do jakiejś zatoczki. Nie przypominam sobie, gdzie się wtedy podziałem. Pamiętam jednak, że stoję na plaży poniżej zagrody Grima. Zrobiło się już widno, widzę, jak słońce wznosi się nad pokrytym śniegiem cyplem na południowym wschodzie. Nagle pojawia się Sigrid. Początkowo milczy. Nie patrzę na nią, ale słyszę oddech i czuję ciepły, senny zapach jej ciała.

– Znalazłeś brata?

Słyszę jej głos, ale odbieram ją właściwie tak, jakby była snem. A może była snem, może mi się tylko śniło, że przyszła do mnie nad wodę tego ranka.

– Wiedziałam, że popłyniesz, żeby go odszukać.

– Nie znalazłem go.

Krok na piasku, potem jeszcze jeden. Jej zapach jest bliżej. Chcę się odwrócić i przytulić ją do siebie. Zamiast tego ręka kładzie się na toporze przy pasie. Wtedy ona się zatrzymuje.

– Ojciec miał kuzyna w Irlandii. Jego syn... Hårek mówi, że są dosyć bogaci. Mają gospodarstwo...

Chwytam sakiewkę przy pasie, już mam ją otworzyć i pokazać jej srebrne monety, ale ona nagle chwyta mnie za ramię.

– Nie rozumiesz, Torsteinie? Nie mogę za ciebie wyjść.

– Ale ja też... Ja też potrafię o ciebie zadbać.

Patrzy w inną stronę. W jej oczach widać łzy.

– Nie, Torsteinie. Nie potrafisz.

Puszcza moje ramię. Stoję, nic nie mówiąc.

– Ta twoja noga, Torsteinie. I nie masz rodziny. Jak dasz radę prowadzić gospodarstwo z taką nogą, bez pomocy rodziny? Hårek mówi, że... musisz wyjechać.

Nie pada więcej słów. Sigrid znów kładzie mi rękę na ramieniu, pośpiesznie chwyta mnie po raz ostatni, a potem wydaje z siebie stłumiony szloch i idzie do gospodarstwa.

Tak to zapamiętałem. Ale może to był tylko sen.



## 11

### Morski król

**N**igdy samotność nie była tak blisko mnie jak tej zimy. Trzymałem się gospodarstwa Hutta i pod każdym względem coraz bardziej upodabniałem się do niego. Tak jak on byłem teraz sam. Łowiłem ryby i zbierałem wodorosty między wyspami i jakoś dawałem sobie radę. Nikt nie przychodził, żeby zamienić ze mną kilka słów albo posiedzieć przy ogniu, ja też nikogo nie odwiedzałem. Gdyby nie to, że dni stawały się dłuższe i słońce coraz wyżej wzbijało się na nieboskłon, mógłbym równie dobrze znajdować się w otchłani Ginnungagap, gdzie czas nie istnieje. Wiedziałem, że Hutt wróci wraz z nadejściem wiosny. Gdzie miałbym wtedy się podziać? Pewnie mógłbym pozostać w jego gospodarstwie, ale nie wydawało się to właściwe. Sigrid miała rację, mówiąc, że nic tu po mnie. I teraz, będąc jeszcze młodym chłopakiem, zrobiłem się zgorzkniały, pełen złości i żalu.

Wieczorami siedziałem zazwyczaj w kuźni, gapiąc się w ogień. Potrafiłem trzymać srebrne monety w blasku ognia, ważyłem je w dłoni i czasami niemal ruszałem w podróż na południe, może powinienem próbować odnaleźć Halvora i Jomsborg, ale innymi razy niemal rzucałem monety w ogień ze złości, bo na co mi było srebro tu, gdzie się teraz znajdowałem? Nie można było kupić za nie jedzenia. Zimą wyspiarzom ledwo wystarczało pożywienia dla nich samych.

Czasami zimowe ciemności potrafią zawładnąć umysłem mężczyzny. Tak było ze mną tej zimy i dopiero w trzecim miesiącu roku mroczny nastrój zaczął tracić nade mną władzę. Udało mi się utrzymać ciało przy życiu przez ten ponury okres, a połów ryb być może nie wyżywiłby całego gospodarstwa, ale wystarczył, żebyśmy z Fenrem nie

głodowali. Wtedy chyba nie rozmyślałem nad tym, ale potem zrozumiałem, że ten mały psiak być może uratował mi życie tamtej zimy. Bo kto inny jak nie Fenre sprawiał, że podnosiłem się z baranic, kiedy nawet głód nie mógł mnie do tego skłonić? Kto przytulał się do mnie, kiedy tęskniłem za ojcem? Tej zimy dane mi było wejrzeć długo i głęboko w najczarniejsze pokłady mojej osobowości i może dopiero w te wieczory spędzone w kuźni, gdy zimowe sztormy szalały w zatoce, a szum fal był tak gwałtowny, że wydawało mi się, iż cała wyspa zostanie zmyta przez morze, pojąłem do końca, jak straszne rzeczy mnie spotkały. Ale Fenre był przy mnie. Dla niego życie było proste. Chodziło w nim o to, żeby jeść i spać. Niczego więcej nie potrzebował. Może zacząłem się upodabniać do niego pod tym względem i może to właśnie uratowało mnie przed pogrążeniem się w szaleństwie, jak to się przydarza samotnym duszom.

Wprawdzie Sigrid nie obiecała mi swojej ręki, lecz pocałunek tego dnia na plaży był jak obietnica w mojej głowie. Byłem młody, nie rozumiałem kobiet i może nie rozumiałem też zbyt dobrze samego siebie. Jednak my, którzy mamy skłonności do czarnowidztwa, posiadamy pewną dziwną cechę; głęboko w otchłani jest mądrość, którą tylko my potrafimy wydobyć na powierzchnię. Powiedziała, że to z powodu nogi, że nie jestem zdolny do prowadzenia gospodarstwa. To bardzo mnie dotknęło i w najczarniejszych chwilach nienawidziłem siebie za tę nogę. Minęła zima i osunąłem się głęboko w przepaść wiele razy, zanim pewnego ranka nagle się obudziłem i wszystko zrozumiałem. Nie chodziło o moją nogę. Mówiła o nodze tylko po to, żebym nie chwycił za broń. Była młoda tak jak ja i nawet jeśli Grim nie powiedział jej, że zabiłem człowieka w ojczystej Norwegii, widziała przecież topór u mojego pasa, a nie była to zwykła siekiera skutnika. Musiała obawiać się, że zażądam możliwości walki o nią. Doszłoby do rozlewu krwi, mojej i innych. Nadal odczuwałem gorycz, lecz teraz, kiedy smutek ustępował, poczułem straszliwą wściekłość. Była jak głownia, której żar utrzymał się przez całą zimę, a teraz buchnął płomieniem. Poczułem, że ramiona i nogi zyskały w czasie zimy męską krzepę, nawet ta kulawa noga. I pewnego wieczoru, kiedy zbierałem przy brzegu omułki, zepchnąłem z rykiem byrding na wodę i powiosłowałem pod pełnym żaglem do zagrody Grima. Było już ciemno, gdy dotarłem do celu, domownicy kładli się spać. Håkon wyszedł mi na spotkanie na podwórzu. Chyba widział, że jestem wściekły, bo wpadł do środka i zaraz wyszedł z oszczepem do

połowu fok w ręce. Nie przypominam sobie, bym rzekł mu choć słowo. Potem wyszedł Hårek z toporem w ręku.

– Sigrid już tu nie ma – powiedział. – Idź sobie stąd, chłopcze!

Kiedy dotknąłem pasa, obydwaj bracia rzucili się ku mnie, myśląc pewnie, że chcę chwycić za topór. Ale ja chwyciłem sakiewkę, w której były monety. Bez słowa cisnąłem ją w ich kierunku i odszedłem.

Potem nie miałem żadnych wieści od synów Grima. Jednak wkrótce ich zobaczyłem. Zaledwie kilka dni po moich odwiedzinach w ich zagrodzie znajdowałem się w odległości kilku strzałów z łuku na południe od wyspy Ragnvaldsøy. Często trafiały mi się tam dobre połowy i tak było również tego dnia. Wyciągnąłem dwa dorsze i miałem już wyciągnąć trzeciego, kiedy Fenre wydał z siebie krótkie szczeknięcie. Pomyślałem, że nie może się już doczekać zejścia na ląd. Trochę nasikał na dziobie, a teraz stał z łapami na krawędzi burty, próbując utrzymać równowagę na tylnej łapie, i węszył w powietrzu. Jego ciemne oczy wpatrywały się w stronę południa. Chyba znał zapach tamtych wzgórz. Wiatr właśnie zmieniał kierunek, lekka południowa bryza nadleciała nad morze. Usiadłem na tylnej ławeczce. Z wędą w jednej ręce otworzyłem bukłak z wodą i nalałem Fenremu do miseczki, a potem sam wypilem kilka łyków i zacząłem wpatrywać się w miejsce, gdzie stało gospodarstwo Grima. Widziałem w oddali plażę poniżej domów i knarę w odległości kilku rzutów kamieniem. Oni chyba też byli w drodze na połów. Nie żałowałem, że rzuciłem im srebro, bo teraz wiedzieli, z kim mają do czynienia. Nie byłem już im też nic winien – ani za jedzenie, ani za noc, które spędziłem pod ich dachem.

Ponownie dobiegło mnie krótkie szczeknięcie Fenrego. Znowu stał z przednimi łapami na krawędzi burty. Sprawiał wrażenie, jakby spoglądał na południe w kierunku Szkocji.

Wtedy ja też zobaczyłem statki. Cztery wielkie langskipy. Podążały na północ z żaglami mocno napiętymi na wietrze wiejącym od tyłu. To nie byli rybacy. Ogarnęło mnie przeczucie, że nie są to też kupcy.

Wyciągnąłem wędę i wysunąłem wiosła, ale statki też miały wysunięte wiosła, a ponadto sprzyjający prąd i wiatr. Ledwo udało mi się obrócić byrding, kiedy byli już



tak blisko, że mogłem zobaczyć smocze głowy na dziobach i mężczyzn za nadburciem. To były drakkary <sup>17</sup>: potężne, długie okręty wojenne. Obrwały kurs na wyspy.

To, że długie łodzie płynęły na północ wzdłuż wybrzeża, nie było niczym nadzwyczajnym. Mimo to pochwycił mnie niemal obezwładniający strach. Podniosłem żagiel, naciągnąłem szoty i zasiadłem do wiosł. Pojawiła się myśl, że te łodzie przybyły tu na rabunek i że będą brać niewolników.

Wyprzedziły mnie tuż koło południowego cypla wyspy Ragnvaldsøy. Były w odległości mniejszej niż o strzał z łuku, doliczyłem się dwudziestu dwóch wioślarzy z każdej strony. Tak długich łodzi nigdy przedtem nie widziałem. Kiedy mnie mijaly, jeden z mężczyzn, który płynął przodem, podniósł rękę na powitanie. Widziałem futrzany kołnierz na jego niebieskim płaszczu i rękojeść miecza połyskującą przy pasie. Odwzajemniłem powitanie, nie mając odwagi tego nie zrobić.

Kiedy tylko okręty zniknęły za Ragnvaldsøy, naciągnąłem żagiel i ruszyłem z miejsca. Najpierw miałem zamiar popłynąć do zagrody Grima i ich ostrzec, ale się bałem. Pomyślałem też, że nic im nie jestem winien, tutaj każdy musi radzić sobie sam. Dlatego też obrałem kurs w kierunku domu. Chciałem szybko zebrać kilka baranic, topór i łuk i znowu wskoczyć na pokład łodzi. Mógłbym przepłynąć cieśninę między wyspą Håøya i główną wyspą, o tej porze był tam silny sprzyjający prąd.

W drodze do domu mój strach zelżał. Czy ktoś, kto planuje atak, przywitałby mnie tak jak mężczyzna w niebieskim płaszczu? Gdyby obecni na pokładzie wojownicy mieli złe zamiary wobec wyspiarzy, czy nie przeszyliby mnie strzałą z łuku, przepływając obok?

Spędziłem resztę dnia w kuźni. Przez chwilę siedziałem, myśląc, że nie powinienem rozniecać ognia, bo jeśli są to rabusie, zobaczą dym i przyjdą tutaj. Ale do portu było daleko, więc rozpałem ogień i upiekłem dorsze. Po posiłku ja i Fenre stanęliśmy na zewnątrz, nasłuchując. Nie słyszeliśmy żadnych krzyków, wieczór był cichy, tak jak zwykle. Oprócz jednej nie widzieliśmy żadnych knar rybackich na morzu; żadni wyspiarze nie zostali zmuszeni do ucieczki. Mimo to, kiedy wszedłem do kuźni, żeby udać się na spoczynek, zaryglowałem drzwi.

Sen nie chciał do mnie przyjść tego wieczoru. Wypełniło mnie dziwne uczucie.

Leżałem i patrzyłem na żarzące się węgle w palenisku. Zrobiłem sobie ławę przy ścianie i okryłem dwoma baranicami. Było to dobre miejsce do spania, ale tego wieczoru nie mogłem się uspokoić. Kładłem się na boku, potem odwracałem się na plecy, jednak ciało nie mogło zaznać wypoczynku. Co więcej, teraz kuźnia nie wydawała się już domem. Wiedziałem, że Hutt wróci i chociaż pewnie chętnie zgodziłby się, żebym tu został, to miejsce znowu byłoby jego. Ale po tej historii z Sigrid stało się również moim miejscem; aż do tego wieczoru. Aż do momentu, kiedy zobaczyłem te łodzie. Wkrótce znowu usiadłem, byłem bardzo udręczony. Jakież to duchy sprowadzały na mnie takie myśli? Teraz miałem poczucie, że spędzona tutaj zima była tylko snem, jakby nic nie było rzeczywiste. Wyspy i ludzie mieszkający tutaj i historia z Sigrid były tylko snem. Gdybym teraz się obudził, znikłyby.

Nagle ktoś zastukał do drzwi. Chwyciłem topór, zerwałem się i stanąłem, mając między mną a drzwiami palenisko i czekając, aż dzicy mężczyźni z toporami i włóczniami wedrą się do środka. Wtedy znowu rozległo się pukanie.

– Torstein?

To był Gard. Poznałem go po głosie. Miał dosyć ochryply głos, mówiono, że to po kaszlu, na który chorował w dzieciństwie.

– Torsteinie Szkutniku, jesteś tam?

Język mu się trochę plątał tego wieczoru, jakby był pijany.

– Na Hel! Otwórz, jeśli mnie słyszysz!

Podniosłem skobel i uchyliłem drzwi. Gard zajrzał do środka z głupim uśmiechem pod wąsem.

– Wiedziałem, że tu jesteś, chłopcze. Chłopak ze srebrnymi monetami... – Poglądził się pod nosem i chrząknął. – Otwórz drzwi, jeśli chcesz usłyszeć, co mam ci do powiedzenia.

Wpuściłem go do środka. Gard rozejrzał się, a potem klapnął na moją ławę.

– Masz piwo?

– Nie.

Podrapał się w brodę. Był lekko ubrany, w skórzany kaftan i wytarte wełniane portki, których nogawki i kolana były pobrudzone. Jakby się potknął i upadł.

– Nieważne – powiedział. – W porcie jest więcej piwa. Musisz tam ze mną pójść.

Ale nie chce mi się iść całej drogi z powrotem. Masz przecież łódź. Możemy popłynąć.

Położyłem kilka kawałków torfu na żarzące się węgle i wznieciłem pogrzebaczem płomień.

– Widziałem cztery łodzie.

– Tak. – Gard kiwnął głową. – Stoją przy nabrzeżu. Dlatego tu przyszedłem. Mają dla ciebie pracę, jeśli jesteś zainteresowany. Wpłynęli na jakiś szkier.

Gard wstał, zaczął gmerać przy pasie i przez chwilę myślałem, że wysika się w środku, ale zdążył wytoczyć się z domu, zanim puścił strumień moczu.

– Ich wódz jest bogaty, Torsteinie! Mówią, że jego statki wypełnione są srebrem. – Gard, sikając, krzychał do mnie z zewnątrz. – Wynieśli jedną skrzynię i pokazali nam, sam to widziałem. Była pełna srebra!

– Co mi tam srebro – burknąłem. Nie była to do końca prawda, ale po historii z Sigrid nadal odczuwałem gorycz i o niczym nie miałem dobrego zdania.

Gard uśmiechnął się szyderczo.

– A ja jestem trzeźwy jak niemowlę. Chodź, idziemy.

Mówiąc to, wciągnął na powrót spodnie i zataczając się, ruszył do przodu. Słyszałem, jak się potyka. Zaklął brzydko, wzywając Hel i wszystkich jej nieboszczyków, a potem jeszcze raz na mnie zawołał. Musimy płynąć. Tak będzie szybciej.

Tak więc ja, Fenre i Gard pożeglowaliśmy tej nocy do zagrody Grima. Po drodze Gard mówił mi, że już pora wyjść ze smutku, bo od zamążpójścia Sigrid minęła cała zima, ona jest teraz w Irlandii i nic na to nie można poradzić. Czy wszyscy nie mieliśmy w przeszłości kobiet, które kochaliśmy, a z którymi musieliśmy się rozstać, bo życie nas do tego zmusiło? Gard był kiedyś zakochany w trzech czy czterech kobietach, a gdyby był trzeźwy, to nawet pamiętałby ich imiona.

Tej nocy była pełnia księżyca. Na niebie świeciły gwiazdy, a wiatr wcale nie był zimny. Utrzymałem Gwiazdę Polarną nad lewym ramieniem, bardzo uważając na szkiery blisko lądu, i już wkrótce wciągaliśmy byrding na plażę. Piwo nieco wywietrzało Gardowi z głowy, ale na to szybko znalazła się rada, gdy tylko dotarliśmy do gospodarstwa. Zniknął w głównym budynku, a po chwili wyszedł z dużym kuflem

w ręku. Wlał jego zawartość w siebie, opierając się jedną ręką o ścianę domu. Stałem tam i zaglądałem do wnętrza przez uchylone drzwi, być może mając nadzieję, że zobaczę Sigrid; szczupłą dziewczęcą postać z bujnymi rudymi włosami.

Kiedy Gard wśliznął się do środka, żeby ponownie napełnić kufel, ja zacząłem już iść przodem. Doszedłem do kamiennego kopca, we wnęce widziałem z daleka mały krzyż i młot Thora. Zerknąłem w dół w kierunku portu. Nad wodą rozpalono ognisko, cztery długie łodzie były przycumowane równolegle do nabrzeża, na dziobach i rufach płonęły pochodnie.

Wszędzie widziałem ludzi, jakby cała ludność wyspy się tam zebrała. Słysząc było śmiechy, śpiewy intonowane pijackimi głosami, brzmiało to jak wesołe przyjęcie.

Wreszcie nadszedł Gard. Kiedy dotarł do kopca, padł na kolana, klepiąc się po barkach i brzuchu. Sprawiał wrażenie, jakby się żegnał. Potem oparł się o kopiec i próbował wstać, ale był to dla niego chyba zbyt duży wysiłek, bo nagle z jego portek dobiegł głośny dźwięk. Tak go to rozbawiło, że padł ze śmiechu i nie mógł się podnieść, więc objąłem go ramieniem i pomogłem mu wstać.

W porcie znajdowało się mnóstwo ludzi i łatwo można było się przekonać, że nowo przybyli nie są kolejną grupą kupców. Mieli pięknie uszyte długie tuniki i kaftany do kolan, wiele z nich wyszywanych, wielu miało też miecz u pasa. Błyszczały łańcuchy na szyjach i obręcze na ramionach, nigdy przedtem nie widziałem mężczyzn tak obwieszonych złotem i srebrem. Na nadbrzeżu stali wartownicy z włóczyniami, co najmniej kilku przy każdym trapie prowadzącym do każdego z czterech drakkarów.

Spostrzegłem mężczyznę, który przywitał mnie podniesioną ręką na morzu. Stał na dziobie jednego ze statków. Wspiął się na krawędź burty i przyglądał się płaskim wyspom na północy i wschodzie. Stał całkowicie bez ruchu i gdyby nie niebieski płaszcz falujący wokół jego postaci i długie włosy powiewające na wietrze, wyglądałby na wykutego w kamieniu. Był wysoki i miał dumną postawę, przywodził mi na myśl jednego z synów Odyna.

– Tak – powiedział Gard. – To on. Olaf Wronia Kość.

Znajdowaliśmy się niedaleko miejsca na ognisko, gdzie pijaństwo trwało w najlepsze. Usiadło tam wielu przybyłych, między innymi ten, który był tu już rok

temu, jasnowłosy żeglarz z blizną na nosie, który wtedy przyplłynął z Norwegii i opowiadał o buncie przeciwko jarlowi z Lade. Ktoś skinieniem ręki przywołał Garda do ogniska, wzniesiono kufle, a Gard ryknął, że teraz będziemy pić jak sam Thor, który wypił do cna całe morze; potem podszedł chwiejnym krokiem do mężczyzny i chwycił czekający na niego kufel. Znowu zwróciłem się w stronę łodzi i nieporuszonego mężczyzny stojącego na dziobie. Nagle na nabrzeże wbiegł olbrzymi czarny pies. Psów było na wyspie dużo, włóczyły się wszędzie. Ale tego nigdy przedtem nie widziałem. Musiał mieć trochę krwi charta, bo odznaczał się długim grzbietem i mocnymi, długimi łapami. Jednak łeb był szerszy niż u charta, uszy stojące, a grzbiet dobrze umięśniony.

Mężczyzna na dziobie łodzi się ożywił. Kiedy dojrzał psa, zeskoczył z krawędzi burty. Stewę dziobową dzieliła od nabrzeża odległość wzrostu mężczyzny, a ponieważ był przyplływ, więc w dół była mniej więcej taka sama odległość. Przez krótką chwilę przybysz leciał w powietrzu przez ciemność, płaszcz uniósł się, odsłaniając muskularne ciało, aż mężczyzna wylądował miękko na nabrzeżu. Pies podszedł do niego i przylgnął grzbietem. Przybysz położył psu rękę na karku i ruszył w głąb nabrzeża. Białobrody mężczyzna ubrany w ciemnoniebieską tunikę ze srebrnymi kłamrami podszedł i podał mu kufel. Obaj znajdowali się tak blisko mnie, że słyszałem ich rozmowę.

– Mówią, że są chrześcijanami – dobiegło od siwobrodego. – Ale jarl tych wysp jest poganinem.

Olaf Wronia Kość upił nieco z kufła, po czym odgarnął włosy z czoła.

– Porozmawiam z jarlem. Mnie wysłucha.

Białobrody coś odpowiedział, ale nie słyszałem co, bo kilka kobiet przy ognisku zaczęło tańczyć, przeraźliwie głośno się przy tym śmiejąc. Tych dwóch stało i przyglądało się harcom, aż białobrody rzekł:

– Wszyscy ci ludzie są w głębi duszy poganami, Olafie.

Nawet gdyby Gard by mi go nie wskazał, i tak bym zrozumiał, że ten mężczyzna przewodzi pozostałym. Było coś w sposobie, w jaki się nosił, w każdym jego ruchu była siła. Co więcej, cała postać wydawała się całkowicie pozbawiona skazy. Każdy człowiek ma jakąś skazę. Jedni mają krzywe plecy albo chodzą przygarbieni, inni błędzą wzrokiem, kiedy rozmawiają, jeszcze inni mają braki w uzębieniu albo zezują. Jeśli się tylko dobrze przyjrzeć, każdy ma jakiś brak. Ja sam miałem tę nogę, która nie

do końca nadążała za resztą. Ale ten człowiek nie był taki jak inni. Nawet dzisiaj, gdybym miał znaleźć jedno słowo, żeby go opisać, powiedziałbym „doskonały”. Takiego mężczyzny jak on nigdy przedtem nie widziałem, dlatego przeszył mnie lęk, kiedy zobaczyłem, że Fenre znajduje się przy tym ogromnym czarnym psie. Fenre był jak większość małych psów, niezdolny do zobaczenia własnych ograniczeń. Teraz jakiś obcy pies wszedł na ląd, więc Fenre pokuśtykał do niego i zaczął warczeć. Myślałem, że ten o wiele większy pies rozerwie małego, trójnogiego Fenrego na strzępy, ale kiedy uszy bestii położyły się do tyłu, a wargi odsłoniły zęby, ręka Olafa znowu znalazła się na jego karku. Białobrody przykucnął, chwycił Fenrego i ze śmiechem podniósł do góry.

– Wojownik! A tylko trzy łapy! – Rozejrzał się dookoła. – Kto jest właścicielem tego odważnego psa?

Stałem w milczeniu, ale białobrody wiedział, jak postąpić. Postawił Fenrego z powrotem na ziemi i odgonił od siebie, a Fenre zrobił to, co robią wszystkie psy, czyli pobiegł do swojego właściciela. Białobrody zbliżył usta do ucha Olafa i wskazał na mnie. Olaf skinął głową i mocniej owinął się płaszczem. Potem obydwaj podeszli do mnie, obok niego posłusznie kroczył czarny pies.

– To twój pies? – zapytał białobrody, idąc w moim kierunku, a jego palec wskazujący był wycelowany w Fenrego, który schował się między moimi nogami. Zrozumiałem, że nie ma sensu kłamać, a nawet nie chciałem kłamać, bo bałem się, że zabiją Fenrego, myśląc, że jest bezpańskim psem.

Skinąłem głową.

– Ma tylko trzy łapy – rzekł białobrody.

– Wiem o tym – odpowiedziałem. Zabrzmiało hardo, chociaż wcale nie miałem takiego zamiaru. Słowa wyszły po prostu w niewłaściwy sposób. Olaf uśmiechnął się, odsłaniając dwa rzędy białych, zdrowych zębów. Wyglądał na mniej więcej trzydzieści lat, światło księżyca padało na jego długie, proste włosy i połyskiwało w wysadzonym klejnotami łańcuchu na szyi.

– Jesteś tak samo bezczelny jak twój kundel – rzekł białobrody, ale również on miał uśmiezek na ustach.

– Nie miałem takiego zamiaru.

– Ile masz lat? – chciał wiedzieć białobrody.

– Czternaście – odpowiedziałem.

Teraz wtrącił się Olaf.

– Więc jesteś wystarczająco dorosły, żeby kasać zarówno mieczem, jak i słowem. Ale nigdy nie przyjmuj zniewagi, bo to uczyni cię słabym.

Olaf miał niski, przyjemny głos, mówił z wyraźnym akcentem. Coś takiego już kiedyś słyszałem. Handlarz niewolników Ros też mówił w ten sposób.

Białobrody zrobił nagle krok do przodu i odgarnął mi włosy z szyi, ale Olaf chwycił go za ramię i pokręcił głową, a potem znowu zwrócił się do mnie.

– Nie mówisz tak, jak mieszkańcy Orkadów. Jesteś z Norwegii?

– Tak.

Olaf zerknął w dół na Fenrego, który opuścił bezpieczne miejsce między moimi nogami i węszył w kierunku dużego czarnego psa.

– Masz tu na wyspach jakichś krewnych?

– Nie.

– Jak masz na imię?

– Torstein.

Białobrody odchrząknął.

– A twój ojciec? Jak się nazywa?

– Nazywał się Tormod – odparłem. – Już nie żyje.

To ostatnie nie zrobiło raczej wrażenia na białobrodym, jakby tego nie słyszał.

– Z jakiego rodu pochodzisz? Jak nazywają twój ród?

Olaf podniósł nagle wzrok, wyglądał na zmęczonego tym wszystkim, bo westchnął i wzruszył zrezygnowany ramionami.

– Daj chłopakowi spokój, Sigurdzie. Myślisz, że jarl Trøndelagu jego też nasłał? Ponownie zwrócił się do mnie. – Powiedz nam, jak się wabi twój pies. Słyszałem, że można wiele dowiedzieć się o człowieku z imienia, jakie nadał swojemu psu.

W tamtych czasach wielu ludzi nazywało swoje psy imionami istot występujących w opowieściach o bogach i ich Asgardzie, a imię Fenre było dość pospolitym imieniem nadawanym psom. Ale było to pogańskie imię, a ja słyszałem, jak rozmawiają o jarlu wysp w drodze ze statku, więc przeczuwałem, że ci dwaj stojący przede mną mężczyźni

są chrześcijanami. Zrozumiałem, że muszę skłamać.

– Ulfham – powiedziałem. – Nazywa się Ulfham.

– Dobre imię. – Olaf kiwnął głową. – Ulfham? Ulfham? Wyciągnął rękę, ale Fenre nie zareagował.

Na tym się skończyło, bo chwiejnym krokiem zbliżył się do nas Gard. Miał w ręku kufel z piwem, połowa koszuli wetknięta była w spodnie; zaśmierdziało moczem, kiedy do mnie przywarł.

– To on... Ten chłopak tutaj. – Chwycił mnie za ramię. – Ten, o którym mówiłem...

– Budowniczy łodzi? – Olaf przechylił głowę i spojrzał na mnie. – To on? Ale przecież jest młody.

– On... jest zręczny. Te ręce... – Gard złapał mnie za rękę. – To zręczne ręce. Jego głowa...

Gard uderzył mnie w głowę kostkami.

– To mądra głowa.

Olaf pogładził się po starannie utrzymanej brodzie. W świetle księżyca trudno było zobaczyć kolory, wszystko było skąpane w tym samym srebrzystym blasku, ale wyglądało na to, że ma jasne albo rude włosy i brodę.

– Torsteinie – powiedział – twój przyjaciel mówił mi, że naprawiłeś rozbitą łódź. To prawda?

– Tak. Knarę rybacką.

Olaf zerknął na białobrodego. Ten skinął szybko głową.

– Mamy uszkodzoną burtę. – Olaf wskazał do tyłu na statki. – Potrzebuję kogoś, kto to obejrzy, zanim wyruszymy dalej.

Zerknąłem na potężne łodzie. Sama myśl o wejściu na pokład jednej z nich była obezwładniająca. A co, jeśli zrobię jakiś błąd? To są wojownicy. Może nie puszczą mi tego płazem? Ręka Olafa spoczęła na wysadzanej klejnotami rękojeści miecza. Paznokcie były obcięte, palce czyste. Ale na tej ręce były blizny, blade szramy na skórze. Jeśli wściekłość pochwyliłaby tego człowieka... Jeden cios mieczem i byłoby po wszystkim.

– Patrzysz na mój miecz. – Olaf wyjął go z pochwy i podniósł ku gwiaźdzystemu niebu nad nami. Był to dość długi miecz z podwójnym zbroczem. – Dał mi go król



Ethelred. Tym mieczem pokonamy jarla Håkona i jego złoczyńców.

Gard, który dotąd stał, tuląc się do mojego ramienia, nie zniósł chyba widoku tej potężnej broni, a może słowa morskiego króla to było już dla niego zbyt wiele, bo teraz jakby zakrztusił się i upadł na kolana. Wylał przy tym piwo, które Fenre natychmiast zaczął zlizywać.

– Przyjdź jutro na mój statek, Torsteinie. Weź ze sobą narzędzia. Dostaniesz srebro, jeśli tylko dobrze się spiszesz.

Białobrody i Olaf poszli w kierunku ogniska. Ja nadal stałem, podczas gdy Gard próbował zagarnąć z powrotem do kufla rozlane na ziemi piwo, jakby nie chciał dopuścić, żeby Fenre wszystko zliział. Pozwoliłem obydwu zajmować się piwem. Ogarnęło mnie przecucie czegoś wielkiego, potężnego i gwałtownego. Olaf stał wśród pijanych mężczyzn i kobiet przy ognisku, wszystkie oczy zwrócone były na niego. Przemawiał do nich i chociaż nie słyszałem, co mówi, widziałem, jak ludzie zwracają się ku niemu, jak opuszczają kufle, słuchając go, a potem podnoszą je nagle w toaście.

Przechadzałem się z Fenrem i Gardem, aż Gard w końcu upadł na plaży i zapadł w sen. Położył się na boku i zgiął w pół, tworząc ciepły zakątek, w którym położył się Fenre i tak człowiek, jak i pies, obydwaj spici orkadzkim piwem, pozostali leżąc na ziemi.

Olaf długo stał przy ognisku i przemawiał, po czym poszedł na nadbrzeże ze swoim psem, wszedł na pokład statku i znowu zajął miejsce na dziobie. Tym razem nie wdrapał się na krawędź burty, stanął tylko, opierając się o stewę, podczas gdy jego wzrok błędził to po wyspach i zatoce, to po ludziach zebranych w porcie.

Później ta noc stała się znana jako noc przyjęcia chrztu przez Orkady, a uczeni w piśmie mnisi na południu przypisali zaszczyt ochrzczenia wysp Olafowi Wronia Kość. Tym, że nie mógł w ciągu jednej nocy ochrzcić wszystkich wysp, niewiele się przejmowali. To, że Biały Chryst już został przyjęty i że ludzie już wcześniej stawiali tu swego rodzaju kościoły, jak kopiec kamieni koło zagrody Grima, też im nie mąciło tej wizji. Wódz, który przybył na Orkady ze swoimi ludźmi i który tej nocy przechadzał się wśród nas, zwykłych śmiertelników, miał się stać znany potomności jako bohaterski król i człowiek święty.

Ta historia z przyjęciem chrześcijaństwa miała przede wszystkim związek

z późniejszymi wydarzeniami tej nocy. Zbierałem się już do domu, stałem obok śpiącego Garda, próbując obudzić swojego małego pijanego pieska. Wtedy spostrzegłem Valpa. Pojawił się nagle, na skraju placu, na którym płonęło ognisko, i zerkał spode łba na nowo przybyłe statki. Nie był sam. Niepostrzeżenie ludzie jarla Orkadów zmieszali się z tłumem w porcie. Valp odsunął się nieco od blasku ogniska, a teraz zamajaczyła tam postać Sigurda Lodvesona. Nieprzyjemny grymas na ustach, narośl na szyi, nie było wątpliwości, że to on.

Nie byłem jedynym, który przeczuwał, że zanoszą się na awanturę. Tylko najbardziej pijani pozostali przy ognisku, reszta przezornie się wycofała. Ja znajdowałem się na plaży, tuż przy Gardzie i Fenrem, stąd było tylko kilka kroków do końca kamiennego nabrzeża. Jarl musiał wziąć ze sobą wszystkich swoich ludzi, było ich tam co najmniej trzydziestu, a może nawet czterdziestu. Zostawili konie przy budynkach, byli uzbrojeni we włócznie i topory, a sam Sigurd miał miecz przypięty na dużym brzuchu tak, że kiwał się, kiedy Sigurd szedł.

Na placu portowym ucichły śmiechy i rozmowy. Jarl trącił Valpa, który wziął płonąca głównię z ogniska i wręczył ojcu; ten najpierw podniósł ją wysoko w górę, a potem wskazał nią w kierunku statków.

Ludzie Olafa nie próbowali ich zatrzymać. Sigurd i jego ludzie nie napotkali żadnego oporu, kiedy wylegli na nadbrzeże. Olaf, który przez cały czas stał na dziobie i przyglądał się im, nadal się nie poruszał. Nie przywitał ich, ale nie zdradzał żadnych oznak złości czy strachu, kiedy Valp, na wpół ukryty za zwałistą postacią ojca, wskazał na niego.

Sigurd Lodveson podparł się pod boki.

– Czy to ty jesteś Olaf, wódz tych ludzi?

– Nazywam się Olaf – odparł przybysz, a jego głos donośnie zabrzmiał w całym porcie. – A ci ludzie... – zatoczył koło ramieniem, jak gdybyśmy wszyscy, nie tylko załogi statków, byli jego ludźmi – zdecydowali się za mną podążać!

Sigurd przesunął się na skraj nabrzeża.

– Jest zwyczaj tu, na Orkadach, że wszyscy wolni mężczyźni płacą daninę jarlowi, dziesiątą część tego, co zarobią lub zdobędą.

– Słyszałem o takiej daninie! – Olaf wdrapał się na krawędź burty i stanął w takiej

pozycji, w jakiej zobaczyłem go po raz pierwszy. – To jest danina kościelna, czyli dziesięcina. Ale z tego, co słyszę, to nie chrześcijanin teraz do mnie przemawia!

Nie lubiłem jarla Orkadów, nikt go nie lubił. Lecz to, co wtedy powiedział, sprawiło, że zapamiętałem go jako człowieka niepozbawionego odwagi. Ludzie Olafa otoczyli go i jego towarzyszy. Niektórzy zeszli po trapach na ląd, inni zgromadzili się przy końcu nabrzeża. Sigurd musiał widzieć, że tamci mają przewagę liczebną, i przeczuwał, że w tym przybyśzu, który wpłynął do jego portu aż czterema wielkimi okrętami wojennymi, jest coś szczególnego. Mimo to wykrzyczał kilka słów, na pewno wiedząc, że sprowokują Olafa.

– Jestem Sigurd, syn Lodvego! Żyłem bez lęku i bez lęku umrę. Zasiądę przy stole Odyna!

Jedno skinienie ręki Olafa wystarczyłoby, żeby Sigurd i wszyscy jego ludzie zginęli, ale tej nocy nikt nie poległ. Zamiast tego Olaf ruszył wzdłuż burty. Sigurd wskazał na niego palcem i uśmiechnął się szyderczo do swoich towarzyszy. Zaiste dziwny był to widok. Podeszedłem bliżej z plaży, żeby wszystko lepiej widzieć. Olaf nadal szedł wzdłuż burty, całkowicie bez wysiłku, z jedną ręką na rękojeści miecza. Sigurd Lodveson pokręcił głową i wybuchnął śmiechem razem ze swoimi ludźmi. Ale Olaf błyskawicznie zeskoczył na nabrzeże. Teraz przypominał wielkiego zwierza ze zgiętym grzbietem i oczami wbitymi w jarla, który nagle przestał się śmiać. Ludzie Sigurda wyciągnęli topory, ci, co mieli włócznie, skierowali je w stronę Olafa. Olaf spokojnym ruchem wyciągnął miecz z pochwy. Ale nie podniósł go. Wręczył go jednemu ze swoich ludzi, a potem odgarnął do tyłu płaszcz, pokazując, że nie ma przy sobie innej broni. Wtedy ludzie Sigurda opuścili topory i włócznie.

– Dziesiąta część ładunku – powiedział Sigurd, skinąwszy głową w kierunku statku.  
– Takie jest tutaj prawo. Musisz...

Olaf skoczył do przodu i uderzył go w szczękę. Musiał to być potężny cios, bo obrócił jarla, strumień śliny albo krwi trysnął z jego ust. Przez chwilę stał, chwiejąc się, po czym Olaf chwycił go za koszulę i zrzucił z nadbrzeża do wody. Ludzie jarla wydawali się przerażeni, nikt z nich nie podniósł broni. Ale uczynili to ludzie Olafa. W jednej chwili wbiegli między świtę jarla i zabrali im topory i włócznie. Olaf spokojnym krokiem szedł w głąb nadbrzeża, przyglądając się jarlowi, który gramolił się

na brzeg.

To, co się wydarzyło, przeszło do historii jako „chrzest jarla Sigurda”, ale nie wolno było o tym wspominać, jeśli istniało ryzyko, że jarl albo ktoś z jego rodziny może to usłyszeć. Ponieważ jarl był nie lubiany, Olaf Wronia Kość stał się popularny na Orkadach za to, co wtedy zrobił, i pamiętam, że chociaż brutalność czynu przeraziła mnie i przypomniła mi okropności, jakich doznałem, przyglądałem się temu nie bez podziwu dla tego morskiego króla.

Olaf wszedł do wody, chwycił jarla i uderzył go jeszcze kilka razy pięścią w twarz. To zamieniło jarla w żalony i jęczący tłumok, a Olaf zwrócił się do gapiów, mówiąc głośno i wyraźnie:

– Nikt nie będzie tu płacił daniny jarlowi, który orężem nie ochrania swego ludu. Nikt tu nie będzie nazywał się jarlem, o ile najpierw nie zostanie ochrzczony!

Potem wcisnął jarla pod wodę.

– Stare czasy minęły! – zawołał, nadal trzymając jarla pod wodą. – Pogańscy władcy nie będą odtąd panować nad wolnymi ludźmi! Odtąd to Biały Chryst jest waszym Bogiem!

Podniósł jarla do góry. Myślałem, że ten nie żyje, bo się nie ruszał. Ale nagle się poderwał, zaczął strasznie jęczeć i przywoływać syna. Olaf wszedł z powrotem na nadbrzeże, po to tylko, by zatrzymać się i popatrzeć do tyłu, kiedy Valp z jeszcze jednym mężczyzną podnosili jarla. Białobrody stał obok Olafa, widziałem, że wymienili parę słów, a potem Olaf wrócił na swój statek.

Kontynuowano picie, kiedy jarl i jego ludzie odjechali, zaraz po tym, jak jarla z wielkim wysiłkiem posadzono na koniu. To, że Olaf przywołał Białego Chrysta, nie wystraszyło wyspiarzy. Większość z nich znała to bóstwo z południa i chyba wielu z czystej przekory już go przyjęło, skoro jarl trzymał się starych wierzeń i nie chciał słyszeć o żadnych innych.

Gard przespał całe zajście, a Fenrego nie sposób było dobudzić, więc skończyło się na tym, że zostawiłem człowieka, a psa wzięłem na ręce i ruszyłem w drogę powrotną do gospodarstwa.



## 12

### Ludzie Olafa

**K**iedy następnego dnia szedłem do portu, z zachodu napływały ciężkie chmury. Fenre i ja przenocowaliśmy w łodzi na plaży, a ponieważ nie wziąłem ze sobą jedzenia ani nie chciałem prosić o nic mieszkańców gospodarstwa, byłem bardzo głodny, kiedy szedłem ścieżką. Zatrzymałem się przy kopcu kamieni, żeby opróżnić pęcherz. Nie było już małego młota Thora obok krzyża. Ktoś musiał go zabrać w nocy.

Wchodziłem na plac portowy, gdy zaczął padać deszcz. Plac był zupełnie opustoszały, nie licząc mężczyzny śpiącego pod odwróconą łodzią na plaży i wartowników na nadbrzeżu, nadal po dwóch przy każdym trapie. Przy świetle dziennym statki wydawały się jeszcze większe i zrozumiałem, dlaczego langskipy tego typu nazywane są drakkarami, czyli smokami. Rzeczywiście przypominały żywe istoty; szarpały cumy i wydawały się niecierpliwie wyczekiwać momentu, kiedy znowu wyruszą na morze. Widziałem je już, jak płynęły pod żaglami, ale teraz były bliżej mnie i miało się poczucie, jakby smocza głowa na stewie dziobowej chciała rzucić się do przodu i kłapnąć paszczą, żeby mnie połknąć. Później dowiedziałem się, że takie statki budowano nie tylko po to, żeby przewozić wielu mężczyzn, ale również po to, żeby zademonstrować siłę i wystraszyć wroga. W świetle księżyca było w nich coś nierzeczywistego, niemal jak ze snu, teraz jednak były przede mną, równie rzeczywiste jak ziemia pod moimi stopami. Otaczał je zapach smoły, tłuszczu i dymu. Nagle przez port przeszedł podmuch wiatru i jakbym słyszał, że się wiją, jakby te cztery istoty przede mną pomrukiwały z niezadowolenia, że są związane, po czym wiatr ucichł, a one na powrót zapadły w drzemkę.

Kiedy wszedłem na nadbrzeże, czarna bestia, czyli pies Olafa, pokazała się na samej górze trapu. Zwierzę stało, przyglądając mi się. Miałem wrażenie, że Olaf wysłał je na spotkanie ze mną, a kiedy nagle usłyszałem głos, wydawało mi się, że pies mówił do mnie, ale w języku, z którego nie rozumiałem ani słowa. Potem nad burtą pojawiła się łysa głowa. Brązowy habit i pozbawiona zarostu twarz uświadomiły mi, że to mnich, i chociaż wiedziałem, że ci ludzie są chrześcijanami, nagle się wystraszyłem. Ros też miał mnicha na pokładzie i był chrześcijaninem, tak jak Olaf i jego ludzie. Zawahałem się. Może powinienem biegiem puścić się do ucieczki, odpłynąć i schować się gdzieś, aż popłyną sobie dalej?

Mnich zszedł trapem na ląd i pewnie zauważył mój strach, bo uśmiechnął się i skinął na mnie ręką, żebym podszedł. Miał łagodną twarz i znowu do mnie coś powiedział, ale nie rozumiałem, co mówi.

Wtedy na statku pojawiła się jeszcze jedna głowa. To był Olaf. Odgarnął długie jasne włosy z twarzy i przez chwilę stał, mrużąc oczy na deszczu. Miał nagi tors; nigdy przedtem nie widziałem tak wytrenowanego i pełnego krzepy mężczyzny. Ramiona i barki miał bardzo umięśnione, ale nie był taki, jak inni potężni mężczyźni, którzy często mieli pokaźne brzuszyska. Olaf był szczupły w talii. Jego brzuch, podobnie jak reszta doskonałego ciała, był umięśniony.

– Alfred! – Zszedł trapem i chwycił mnicha za ramię, a potem obrócił się do mnie. – Boisz się go, chłopcze?

Podszedł do mnie. Dochodził od niego lekki zapach potu, ale nie brudu.

– Torstein, zgadza się?

– Tak.

– Chodź ze mną.

Wszedłem za nim na pokład. Nad całym pokładem rozpięte były skórzane płachty, zamocowane tuż pod krawędzią burty, a pod nimi leżeli mężczyźni, jeden obok drugiego. Większość jeszcze spała, ale niektórzy już się obudzili i usiedli, wodząc za mną zaspanymi oczyma, inni drapali się po brodzie i ziewali. Olaf z psem przy boku poprowadził mnie do luku znajdującego się o kilka długości człowieka za masztem. Tam zeszliśmy pod pokład. To, że statek miał pokład, wystarczyło, żeby zaimponować młodemu chłopakowi, którym wtedy byłem. Tylko największe statki budowano z tak

wysoką burtą, że można w nich było położyć pokład z ładownią pod spodem. Olaf zniknął na dole, wystawił rękę przez luk i przywołał mnie do siebie.

Z Fenrem pod pachą zszedłem po drabinie. Było ciemno, nie mogłem dostrzec Olafa. Ale zobaczyłem skrzynie. Ustawiono je w rzędach, zarówno w kierunku burty, jak i dziobu. Wyglądały na zrobione z grubych desek dębowych, miały żelazne okucia, na wszystkich były zamki.

– Tu, w środku – dobiegł mnie głos Olafa. – Nie, poczekaj...

Ustawił się w smudze światła padającego przez luk i spojrzał na mnie z uśmiechem w kąciку ust, potem zmierzwił Fenremu sierść na karku i zawołał:

– Pochodnię!

Okrzyk powtórzono na górze. Słysząc było stąpanie mężczyzn po pokładzie, a Olaf znowu utkwiał wzrok we mnie. Uważnie mi się przyglądał, patrzył na moje barki, ramiona i na nogi. To mi się nie spodobało. Zrobiłem krok do tyłu i najchętniej zapadłbym się w ciemność, ale Olaf mnie zatrzymał.

– Nie – powiedział. – Nie bój się chłopcze. Nie chcę ci zrobić nic złego. Powiedz mi, gdzie cię trzymali?

Zawahałem się. Po co mu to było potrzebne? Chciał mnie pochwycić i założyć mi obręcz niewolnika na szyję?

– Chcę wiedzieć. – Olaf podszedł o krok bliżej, pochylił głowę i odgarnął brodę. Na jego szyi widniały stare blizny, blizny po obręczy. – Zobacz, chłopcze. Tych dorobiłem się w Gardarike. Schwytali mnie i moją matkę. Byłem zaledwie oseskiem. Dorastałem jako niewolnik.

Zaniemówiłem, stałem tam, usiłując coś wyjąkać. To było prawie niewyobrażalne, że taki wódz jak on był kiedyś niewolnikiem.

Olaf uśmiechnął się i zmierzwił mi włosy.

– Wyglądasz, jakby Thor raził cię piorunem, chłopcze.

Zdziwiło mnie, że użył takiego wyrażenia. Czyżby nie był chrześcijaninem? Wiele rzeczy mnie w nim dziwiło, a wkrótce miałem się dowiedzieć, że Olaf Tryggvason, jak brzmiało jego prawdziwe imię, był godnym uwagi człowiekiem.

Wreszcie podano przez luk pochodnię. Olaf chwycił ją.

– Chodź – powiedział i ruszył na dziób statku. Idąc, mówił, że należało jak

najszybciej naprawić uszkodzenie, bo teraz czekali tylko na ostatni statek. Kiedy przybędzie, natychmiast poześlą do Norwegii. Poszedłem z Fenrem za nim. Było tu zupełnie ciemno, ale pochodnia rzucała krąg światła wokół mnie i na potężne, pokryte bliznami plecy Olafa.

– Wpłynęliśmy na szkieł – powiedział nagle i przelazł przez jedną ze skrzyń. – Tutaj. – Pokazał na jedną z klepek poszycia. Zobaczyłem małą szparę, przez którą ledwo przenikało światło dzienne. – Nie przecieka, kiedy stoimy w porcie, ale kiedy płyniemy przy postawionym żaglu, kilku ludzi musi wylewać wodę.

Przykucnąłem przy szparze i pomacałem ją palcami. Przy użyciu jednej czy dwóch klepek, nitów i porządnej ilości smoły powinienem ją uszczelnić.

– Dasz radę to naprawić?

– Mogę spróbować – odrzekłem.

– Spróbować to za mało. Dasz radę to naprawić czy nie?

– Tak.

Nawet gdyby to była ziejąca dziura, przez którą wlewa się woda, odpowiedziałbym twierdząco, bałem się zaprzeczyć. Olaf miał tę zadziwiającą cechę, że przerażał i przyciągał ludzi równocześnie. Podobał mi się, choć jednocześnie obawiałem się go, wyglądał na człowieka przyzwyczajonego do stawiania na swoim.

– Mamy ważne sprawy do załatwienia w Norwegii, Torsteinie. Nie mogę mieć statku, który przecieka.

Przeciągnąłem znowu kciukiem po szczelinie, głównie po to, żeby nie patrzeć Olafowi w oczy. Te oczy usidlały mnie w pewien sposób.

– Muszę iść do domu po narzędzia – powiedziałem. – Muszę zagotować smołę i...

– Uporasz się z tym dzisiaj?

– Nie wiem. Muszę wykuć nity i...

– Nity mamy.

– A więc dam radę zrobić to dzisiaj.

– Dobrze. – Olaf odkaslnął i przelazł znowu nad skrzyniami, po czym obaj ruszyliśmy z powrotem w kierunku drabiny.

– Co ci się stało w nogę? – zapytał.

– Zostałem zraniony.



– W jaki sposób?

Gdyby to był ktoś inny, pewnie skłamałbym, zarówno o czasach, kiedy byłem niewolnikiem, jak i o samym zabójstwie w osadzie kupieckiej. Ale było coś takiego w tym człowieku, że nie mogłem skłamać.

– To było w Norwegii – powiedziałem. – Osada kupiecka w Skiringssalen. Napadli na nas.

– Kiedy?

– W zeszłym roku.

Byliśmy już przy drabinie. Olaf mrużył oczy w świetle dnia, zastanawiając się nad tym, co usłyszał.

– To musieli być ludzie jarla Håkona. Słyszałem, że pustoszą osady kupieckie na wybrzeżu. Powiedz mi, Torsteinie, czy zabiłeś kiedykolwiek człowieka?

Przykucnął przy jednej ze skrzyń i zerkał na mnie.

– Tak.

Otworzył wieko skrzyni i podniósł się. Skrzynia była pełna srebrnych monet.

– Nie zamykam swoich skrzyń, Torsteinie. Moi ludzie są lojalni wobec mnie i nigdy niczego by mi nie ukradli.

Milczałem. Stałem jak głupiec, gapiąc się na srebro.

Olaf wyjął jedną monetę i podniósł ją do światła, tak żebym zobaczył twarz wybitą w srebrze.

– To jest Ethelred. To on mi to wszystko dał. Kiedy przypłynę do Norwegii, będę najbogatszym człowiekiem, jaki kiedykolwiek tam żył. Płyn z nami, Torsteinie. Potrzebuję ludzi z twoimi umiejętnościami. – Wcisnął mi w rękę monetę. – Jest twoja. Dostaniesz takich więcej, jeśli popłyniesz z nami i będziesz mi dobrze służył.

Nadal milczałem. Olaf zaśmiał się i zamknął wieko skrzyni.

– Idź na pokład. Zjedz trochę kaszy. Jesteś chudy, musimy cię trochę podtuczyć.

Wspiąłem się po drabinie z Fenrem pod pachą. Olaf wszedł zaraz po mnie i dopilnował, żeby zrobiono mi miejsce pod jedną z płacht, gdzie usiadłem obok rudobrodego mężczyzny o małych oczkach, który z zaangażowaniem dłużał w nosie.

Mniej więcej w połowie drogi między masztem a stewą rufową znajdowała się żelazna misa, w której rozpalono ogień i nad którą powieszono olbrzymi kocioł. Obok

zobaczyłem Olafa. Stał i rozmawiał z białobrodym. Do kotła wsypano cały worek kaszy jęczmiennej i nalano wody z beczki. Wielki czarny pies Olafa i kilka innych psów krążyło wokół paleniska, aż kucharz wyciągnął pęk suszonych ryb i rzucił im po jednej. Kiedy Fenre to zobaczył, też szybko tam podszedł, dostał kawałek suszonej ryby, położył się i zaczął ją skubać.

Wkrótce rozdano miski z kaszą. Siedziałem ramię w ramię z ludźmi Olafa i jadłem. Miałem jeszcze w pamięci to, co ja i Halvor słyszeliśmy w Jorviku – o pustoszeniu i rabowaniu wschodniej Anglii. Ale Olaf nie wyglądał na zwykłego rabusia, a mężczyźni na pokładzie nie byli głośni i ordynarni, jak sobie wyobrażałem bandę zbójów. Nie dostrzegłem też żadnego z tych, których widziałem w wyszynku. Zarówno członkowie załogi, jak i inni, których widziałem poprzedniego wieczoru, nosili się ze swego rodzaju godnością. Nie byli brudni, chociaż musieli przebywać w drodze już od wielu dni; broń i odzież były utrzymane w dobrym stanie. Olaf przeszedł obok mnie z miską kaszy w ręku i chyba zauważył, że przyglądam się mężczyznom, bo pochylił się do mnie.

– To moi najlepsi ludzie – szepnął. – Ale brakuje nam skutnika.

Po posiłku poszedłem do zagrody Grima, a stamtąd popłynąłem do zatoki Hutta. Miałem jeszcze beczułkę smoły od czasu, kiedy naprawiałem knarę Grima, nie miałem natomiast klepek. Przez chwilę chodziłem po plaży, szukając odpowiednich kłód wśród wyrzuconego na brzeg drewna, ale nic nie znalazłem. Kierunek przyływu się zmieniał, więc musiałem się pospieszyć, jeśli chciałem wrócić przed wieczorem. Ale znalazła się rada. Szybko odłamałem deski od stołu w kuźni. Załadowałem je na pokład byrdinga i popłynąłem z powrotem.

Rzadko dzieje się tyle, ile wydarzyło się tamtego dnia. Kiedy tylko dotarłem na statek Olafa, wskazano mi drogę pod pokład, gdzie zająłem się przycinaniem i struganiem przyniesionych desek. Potem należało wywiercić w burcie otwory, bo bałem się wbić młotkiem nity bezpośrednio w deski. Mogły popękać. Na pokładzie nie było wiertła, ale miałem do dyspozycji długi, szpiczasty sztylet. Potem wyszedłem na pokład i zdjąłem z siebie wszystko oprócz spodni. Uszkodzona noga była trochę cieńsza od zdrowej i nie chciałem, żeby ktoś to zobaczył. Ściągnięto płachty chroniące pokład przed deszczem.

Ludzie stali na pokładzie i przyglądali się temu, co robię.

Olafa nie widziałem, ale rudobrody, który przedtem z takim zaangażowaniem dłużył w nosie, dostał chyba polecenie, żeby mi pomagać. Przewiesił sznur przez nadburcie, żebym miał się czego trzymać podczas robienia otworów. Woda była zimna, a klepki poszycia grube, ale wiedziałem, że muszę wbić nity z zewnętrznej strony i zagiąć je od wewnątrz, bo w ten właśnie sposób przytwierdzaliśmy klepki poszycia.

Kilkakrotnie musiałem wchodzić na górę ogrzać się przy ogniu. Wtedy rudowłose wycierał mi włosy swoją przepoconą koszulą, ubolewając, że dostałem takie zadanie do wykonania; nie jest to zapewne praca dla wojownika. Najwyraźniej uważał mnie już za jednego z ludzi Olafa.

Sam Olaf też przyszedł, aby zobaczyć mnie przy pracy. Stał przy nadburciu tuż nade mną i opisał mi całą sytuację.

– W Norwegii trwa bunt – mówił. – Potrzebują króla. Kogoś takiego jak ja.

Wisiałem na linie, trzęsąc się z zimna, kątem oka widziałem bark i ramię Olafa opierającego się o nadburcie.

– Twardy jesteś, Torstein. Znam wielu ludzi, wśród nich są wikingowie i wojownicy, którzy nie wytrzymaliby czegoś takiego.

Skłamałbym, twierdząc, że to mi nie pochlebiło. Olaf był jedynym oprócz ojca człowiekiem, który chwalił mnie w taki sposób. A może widziałem w nim trochę z ojca, takiego jakim był, gdy jako młody mężczyzna wyruszył na szlak zachodni, zanim otrzymał cios toporem, który uszkodził mu kręgosłup. Olaf stał na górze wyprostowany i dumny. To, co właśnie powiedział, że Norwegia potrzebuje go jako króla, wydawało się słuszne i rozsądne. Ale Olaf tak działał na ludzi. Dla mnie już był królem, wisiałbym na linie, latając setkę takich szczelin, gdyby mnie o to poprosił. W pewien sposób czułem się jednym z jego ludzi i popłynąłbym z nim do Norwegii, nawet gdyby to, co się miało stać, nigdy się nie wydarzyło. Olaf skierował wzrok na zatokę; chyba coś zauważył. Mężczyźni zaczęli wołać, a kiedy się obróciłem, dostrzegłem maszt. Zbliżał się do nas statek.

Chyba popłynąłem do plaży, bo następną rzeczą, jaką pamiętam, jest to, że stoję na piasku z Fenrem, obejmuję swoje wychudzone ciało ramionami i jest mi zimno. Statek przypomina pozostałe, jest długi i ma wysoką burtę, wpływa do zatoki, załoga opuszcza

reję. Wiosła nadal są wysunięte, na rufie mającą sylwetki dwóch mężczyzn: jeden jest łyśy i ma skórzany płaszcz, drugi o szerokich barach siedzi obok niego, trzyma wiosło sterowe, a łyśy wskazuje na nabrzeże. Na dziobie też stoją mężczyźni, podobni do załóg statków, które przyplłynęły wcześniej; ogorzałe od słońca twarze z gęstymi brodami. Niektórzy wołają coś w kierunku zacumowanych statków i machają rękami. Widać, że ci mężczyźni się znają.

Jeden z nich, młodzieniec z długimi, opadającymi na ramiona włosami, zauważył mnie. Statek sunie do nabrzeża, wiosła po prawej stronie zostają mocno osadzone w wodzie i cały statek obraca się, ustawiając równolegle, w odległości wzrostu kilku mężczyzn do statku stojącego za statkiem Olafa. Z dziobu i z rufy zostają rzucone liny, a statek zostaje wciągnięty tak, że staje rufą w kierunku lądu i dziobem w kierunku zatoki, ale młody mężczyzna w ogóle nie zwraca na to uwagi. Wchodzi na stewartę rufową i wspina się na nadburcie.

– Torsteinie!

Nie zdążam odpowiedzieć. Rzuci się do wody, idealnie głową w dół. Stoję na plaży i to wszystko zdaje się snem; zaraz obudzę się w kuźni Hutta i będę jak zwykle sam. Lecz jeśli to jest sen, musi zostać zesłany przez samego Odyna, bo chyba naprawdę płynie do mnie Bjørn. Fenre dobiega do wody, szczeka na mężczyznę, który już ma grunt pod nogami i brodzi w moim kierunku.

– Torsteinie!

Biegnie, woda tryska wokół niego. I już jest przy mnie. Obejmuje mnie ramionami i mocno ściska. Stoimy tak, podczas gdy Fenre, szczekając, tańczy wokół nas.

Kiedy Bjørn w końcu mnie puścił, w jego oczach lśniły łzy. Zrobił krok do tyłu i przyjrzał się mi. Równocześnie ja przyglądałem się jemu. Nie był podrostkiem, którego pamiętałem. Miał umięśniony kark, potężne barki, a ramiona wydawały się emanować siłą. Ciemną brodę miał już, kiedy nas opuszczał, ale teraz była gęstsza i sięgała mu do piersi. Mokre włosy zwisały na ramiona, były długie i niemal czarne. Bjørn zawsze miał włosy ciemniejsze od moich.

Przy pasie tkwił topór całkiem podobny do mojego. Bjørn wyjął wodę z brody i zerknął na Fenrego.

– A to kto?

– Fenre – odrzekłem. – Przyplłynął ze mną z Norwegii.

Bjørn przykucnął i wyciągnął rękę. Więcej Fenremu nie było trzeba, w takich wypadkach sprawa była prosta. Małe, trójnogie psie ciało przycisnęło pysk do dłoni Bjørna i ustawiło się równolegle, żeby je podrapać.

– Od jak dawna tu jesteś? – Bjørn rzucił mi szybkie spojrzenie. – Jak... Dlaczego tu jesteś?

Chciałem zapytać go o to samo, choć właściwie było to oczywiste. Musiał należeć do ludzi Olafa.

– Ojciec też tutaj jest? – Bjørn podniósł się i rozejrzał po placu portowym.

– Nie – powiedziałem. Odwróciłem od niego wzrok, bo nie miałem odwagi patrzeć mu w oczy, mówiąc dalej. – Przyplłynęli jacyś ludzie... i zabili ojca.

Następne, co pamiętam, to Bjørna stojącego nad wodą z toporem. Stoi do mnie tyłem, spojrzenie ma utkwione na wschód i ryczy jak dzikie zwierzę. Potem nadbrzeżem i dalej plażą idzie Olaf. Podchodzi do Bjørna i kładzie mu rękę na ramieniu. Bjørn opuszcza topór i się uspokaja; głowę ma zwieszoną, broda mu się trzęsie i zaczyna płakać. Nie było to nic wstydliwego, nawet w obecności potężnego Olafa Tryggvasona. To mnisi później nauczyli mężczyzn, że płacz należy ukrywać, ale Bjørn i ja nie byliśmy jeszcze wtedy skrupowani takimi przekonaniem.

Olaf odwrócił Bjørna w moim kierunku, chwycił również mnie za ramię i tak staliśmy wszyscy trzej w milczeniu, po czym Olaf zwrócił się do mnie.

– Znasz tego młodego człowieka?

– To mój brat.

– To dobrze. Wśród moich ludzi są też inni bracia. – Obrócił się do Bjørna. – Dlaczego płaczesz?

Bjørn chlipnął tylko, nie mógł wydobyć z siebie słowa.

– Powiedziałem mu o ojcu – odrzekłem.

– Twój ojciec. – Olaf kiwnął głową. – Mówiłeś, że został zabity. A ja ci chyba powiedziałem, że musieli to być ludzie jarla Håkona. Kiedy przyplłyniemy do Norwegii, będziemy z nimi walczyć.

Położył rękę na karku Bjørna, było w tym niemal coś pieszczotliwego.

– Pomścisz swojego ojca, Bjørnie. Obiecuję ci to. – Skierował wzrok na mnie. – I ty

też, Torsteinie, jeśli chcesz popłynąć z nami.

– Tak – powiedziałem. – Tak, chcę.

W ten sposób stałem się jednym z ludzi Olafa.

Bjørn i ja poświęciliśmy resztę dnia na naprawę uszkodzenia w poszyciu statku. Mój brat był przytłoczony żałobą i mówił niewiele, ale pomagał mi, tak jak potrafił. Wisiał ze mną za burtą i robił otwory na nity, a potem trzymał klepkę po wewnętrznej stronie, podczas gdy ja przybijałem drugą klepkę od zewnątrz. Chyba mu imponowało, że zostałem skutnikiem. Później w ciągu dnia powiedział mi, że rzemieślnicy z moimi umiejętnościami cieszą się wielkim szacunkiem i są wśród najbardziej poważanych ludzi Olafa. Wydawało się, że otrząsnął się już z najgorszego smutku, który wrócił dopiero wieczorem, kiedy skończyliśmy naprawę, płachty zostały rozpięte nad pokładem, a my usiedliśmy wśród pozostałych mężczyzn. Wtedy kąciki ust nagle mu się wykrzywiły, a następnie popłynęły łzy. Położył się na boku, podciągnął kolana do piersi i płakał jak dziecko. Na to szybko znalazła się rada. Napełniono piwem duży kufel, posadzono Bjørna i musiał wlać w siebie napój. Siedział tak, chlipiąc przez chwilę, a potem szczęka mu opadła i pozostał z pustką w oczach. Opowiedziałem mu, że byłem niewolnikiem, że uciekłem i sam przepłynąłem Morze Północne; opowiedziałem mu o Grimie i Hutcie, o jomswikingu Halvorze i żegludze wokół Anglii, ale nie powiedziałem, w jaki sposób zginął ojciec.

Siedział jakiś czas w milczeniu, a potem wyciągnął rękę z kuflem w bok. Potężny mężczyzna z zaplecioną brodą podszedł i go napełnił, Bjørn pociągnął długi, głęboki łyk. Kiedy znowu opuścił kufel, był wystarczająco pijany, żeby usłyszeć o śmierci ojca.

– Powiedz mi, że ojciec zmarł z honorem – rzekł. – Powiedz mi, że zasłużył na to, żeby siedzieć przy stole Odyna w Valhalli.

Wobec powyższego pomyślałem sobie, że nie ma większego problemu w tym, że ludzie Olafa nadal trzymają się starych bogów, bo nikt z obecnych nie robił wrażenia, że powiedziane zostało coś niewłaściwego albo dziwnego. Po ataku płaczu Bjørna ludzie zebrali się wokół nas i teraz wszyscy chcieli usłyszeć, co się stało z naszym ojcem.

Opowiedziałem więc o tym dniu, kiedy przybył Ros. Opowiedziałem, jak rozcięto

ojcu brzuch i jak musiał iść krok za krokiem, aż wypadły mu jelita, jak w końcu upadł. Mężczyźni wokół nas pokiwali głowami. Słysząc było szepty, że to honorowa śmierć, że powinniśmy być dumni z ojca.

Tego wieczoru padło wiele słów. Po tym jak opowiedziałem o podróży z rodzinnego półwyspu w Vingulmorku, a Bjørn opłakał ojca i psa i już porządnie się upił, przyszedł Olaf trochę z nami posiedzieć. Ja także dostałem piwa, zjedliśmy świeżo ugotowaną kaszę, nasze ramiona zostały okryte miękkimi, grubymi wełnianymi kocami. Olaf powiedział, że Bjørn jest jednym z jego najwierniejszych ludzi, cieszył się, że popłynie z nim do Norwegii teraz, kiedy mamy zmusić jarla Trøndelagu do uległości. Bjørn skinął głową, a potem w jego oczach pojawił się dziki błysk, szczęka stężała i pokazał mi pięść. Upokorzymy jarla i pomścimy śmierć ojca!

Nie znałem takiego Bjørna. Nie chodziło tylko o to, że nigdy wcześniej nie widziałem go pijanego, ale wściekłość, która teraz w nim wybuchła, widziałem przedtem tylko raz. Gdy byłem mały, synowie gospodarza wpadli na pomysł takiej oto zabawy: ja miałem być zbiegłym niewolnikiem, a oni jarlami. Przywiązali mnie więc do drzewa w lesie i właśnie mieli wymierzyć mi chłostę kawałkiem liny, kiedy nakrył nas Bjørn. Wściekły rzucił się na nich z gołymi pięściami i posłał do domu z rozbitymi nosami.

Tamtego razu zobaczyłem w jego oczach to samo co teraz. I uderzyło mnie, że może wcale nie jesteśmy tacy różni. Bo czy mnie też nie chwycił szal bojowy, kiedy zabiłem wojownika w osadzie? Może obydwaj tacy byliśmy.

Olaf podniósł się i skinął na mnicha Alfreda, tego, który spotkał mnie na nabrzeżu. Alfred odbił wieko jednej z beczek koło masztu i zanurzył w niej kufle, a te zostały posłane wśród mężczyzn na pokładzie. Olaf podniósł swój kufel.

– Wypijmy za Torsteina i Bjørna, synów Tormoda! – Wszyscy przyłączyli się do toastu i wypili, po czym Olaf dodał: – Powitajmy ich wśród nas! Są dla siebie braćmi, a my będziemy braćmi dla nich!

Znowu wypito. Bjørn nie żałował sobie trunku. Wśród ludzi Olafa często dochodziło do pijaństwa, ale nigdy nie widziałem, żeby Olaf się upił. Potem byłem świadkiem, jak przed bitwami kazał przybijać wieka beczek z piwem gwoździami, ale teraz, kiedy

zbliżał się wieczór, a statki stały bezpiecznie zacumowane, pozwolił nam pić. Skłamałbym, twierdząc, że tego wieczoru porządnie sobie nie podpiłem i nie podjadłem.

Bjørn i ja siedzieliśmy, rozmawiając przez cały wieczór i podczas gdy załogi statków piekły prosięta na placu portowym i tego piły, brat opowiedział mi o swoich losach. Były zupełnie różne od moich. Wyruszył z synami gospodarza rok przede mną. Popłynęli w świat dobrym statkiem, najpierw na Zelandię. Tutaj szyper wymienił przywiezione z Norwegii skóry na bursztyn, po czym pożegłował na Wyspy Fryzyjskie, gdzie bursztyn został wymieniony na perły, wino i cisowe łuki pochodzące z południowego kraju zwanego przez nich Tracją. Te drogocenne towary zabrano do Dublinu, gdzie szyper poszedł na targ niewolników. Bjørn, mówiąc o tym, spuścił oczy i widziałem, że sprawia mu to przykrość. On i synowie gospodarza pożegnali się z szyprem i jego załogą w Dublinie, bo miał teraz płynąć na południe na Morze Śródziemne i aż do Miklagardu, żeby sprzedać tam niewolników niebieskim ludziom. W Dublinie synowie gospodarza usłyszeli pogłoski o jakimś Olafie Wronia Kość, możnowładcy, który werbował wojowników do swojej armii. Mówiono, że prowadził wyprawę wojenną razem z królem Danów Svenem Widłobrodym i że ci dwaj chcieli zbrojnie podbić Mercję. Ten, który dobrze dla nich walczył, miał w nagrodę dostać bogactwa i ziemię uprawną.

Bjørn nie mówił wiele na temat samej wyprawy wojennej. Ale zrozumiałem, że jest wojownikiem w służbie Olafa już od prawie dwóch lat. Pewna knara rybacka zabrała jego i synów gospodarza do wybrzeża Anglii, gdzie zamustrowali się na drakkar kotwiczący w jakiejś ukrytej zatoce. Na pokładzie byli kartografowie, którzy płynęli wzdłuż wybrzeża, a czasami jechali konno w głąb lądu, żeby zdobyć informacje o ustawieniach Anglików.

Statek odpłynął z Anglii późną jesienią i wkrótce Bjørn znalazł się we Fryzji, gdzie przebywał Olaf ze swoją flotą. Był już morskim królem. We Fryzji poznał kobietę pochodzenia norweskiego imieniem Gyda. Była piękna, ale i wymagająca. Zanim dała Olafowi potomka i dziedzica, zażądała głowy Ethelreda, na której miała być korona Anglii.

Bjørn spędził zimę we Fryzji razem z resztą wojska i tam miał możliwość trenowania



walki na topory i tarcze. Dobrze go karmili i poili, niczego mu nie brakowało. Wiosną przybył Sven Widłobrody i jego flota, a Olaf wraz ze wszystkimi swoimi statkami dołączył do niego. Potężne wojsko zeszło na ląd na południu Anglii, w żyznym Wessex. Stamtąd podążyli w głąb lądu.

Synowie gospodarza polegli w bitwie przeciwko walijskim najemnikom. Deszcz strzał przygwoździł ich i wielu innych do ziemi. Tylko szczęście sprawiło, że Bjørn uniknął takiego samego losu. Ale Olaf i Sven byli dobrymi dowódcami, zaszli Walińczyków od tyłu i wszystkich wysiekli.

Gdybym był starszy i mądrzejszy, zrozumiałbym, że wyprawa, w której uczestniczył mój brat tego roku, była podbojem ziem nigdy nienależących do naszego ludu. Zdałbym sobie sprawę, że Olaf jest żądny władzy i bogactw, a co więcej, zdradził swojego starego sojusznika, Svena Widłobrodego. Bo to Ethelred dał Olafowi tę wielką ilość srebra, którym załadowane były jego statki. Spotkali się w Andover, jesienią, na rok przed tym, jak wyruszył do Norwegii; tam Ethelred zaproponował Olafowi, że uczyni go najbogatszym człowiekiem, jakiego Norwegowie kiedykolwiek widzieli, a po Ethelredzie – najbogatszym również w Mercii i Wessex. W zamian Olaf miał zerwać sojusz z Danami, musiał obiecać, że nigdy już nie będzie atakował i plądrował królestwa Ethelreda i musiał dać się ochrzcić.

To były dla mnie wielkie słowa. Słowa o potężnych ludziach i bogactwach przekraczających moje pojęcie, a to, że siedziałem teraz na jednym ze statków Olafa, tylko o cal od ładowni pełnej srebra, było niemal nierzeczywiste. Oczywiście piwo szumiało mi w głowie, kiedy słuchałem brata, ale słowa były równie upajające. Bjørn pokazał mi swój topór i zrobione na jego drzewcu nacięcia. Jedno nacięcie oznaczało jednego zabitego. Cztery nacięcia. Czterech ludzi. Odyn uczynił jego rękę silną, a serce odważnym.

Opowiedział mi też o losach Olafa. To prawda, że został wzięty w niewolę jako małe dziecko. Mówiono, że został wyrwany z ramion matki. Potem sprzedano go jakiemuś rolnikowi w Estonii i był niewolnikiem do dziesiątego roku życia. Bjørn wskazał na białobrodego, który stał z Olafem na rufie i pił piwo. To Sigurd, wuj Olafa, który wykupił z niewoli zaginionego syna swojej siostry. Sigurd był wojownikiem na służbie u księcia Vladimira w Gardarike i Olaf też musiał się u niego zaciągnąć na służbę.

Wytrenowali go tam, zrobili z niego wojownika.

Słyszałem o wikingach, którzy służyli u książąt na południu. Nazywaliśmy ich waregami i tak samo jak jomswikingowie owiani byli mitami i legendami. To zrozumiałe, że jeśli Olaf był waregiem, Ethelred się przestraszył i kupił sobie pokój z nim.

Olaf dostał statek i załogę, kiedy skończył dwanaście lat, mówił dalej Bjørn. Został jednak w drużynie Vladimira do ukończenia osiemnastego roku życia. Potem wypłynął w świat i zaczął pustoszyć i grabić. Zdobywał statki i bogactwa, a ci, którzy słyszeli o jego odwadze, przyłączali się do niego.

Wyraźnie było widać, że Bjørn jest pełen podziwu dla Olafa. Siedział ze skrzyżowanymi nogami, z toporem na kolanach, i za każdym razem, kiedy mówił o dokonaniach Olafa, z zachwytu groźnie wymachiwał toporem. Czasami robił przerwę na kilka łyków piwa. Kiedy kufel był pusty, wystarczyło tylko postawić go obok siebie na deskach pokładu, a mnich natychmiast się do nas zbliżał i go napełniał.

Stary człowiek, którym dzisiaj jestem, kręci tylko głową na myśl o dwóch braciach siedzących wtedy na pokładzie statku Olafa. Jeden z nich, mój brat, tak zaślepiiony wielkością Olafa, że nie potrafił uświadomić sobie, jak krwawe ślady zostawiał, dokądkolwiek się udał. Drugi, uwiedziony słowami o możnowładcach i wojnach, o odwadze i bogactwie; był gotów stanąć do walki nieważne z kim, byleby tylko mógł iść ramię w ramię ze swoim bratem. Gdybym wtedy był mądrzejszy! Gdybym poprosił brata, żeby wrócił razem ze mną do kuźni Hutta i pozwolił Olafowi pożegłować do Norwegii bez nas!

Ale przydarzyło się nam to samo, co tak wielu innym, których drogi zeszyły się z drogami Olafa. Byliśmy zaślepieni jego blaskiem. Miał dar i przez całe życie w pełni go wykorzystywał.

Byłoby kłamstwem twierdzić, że wszystko zapamiętałem z tamtego wieczoru spędzonego na pokładzie statku. Bjørn i ja wychyliliśmy wiele kufli piwa i upiliśmy się. Wcale tego nie chcieliśmy, przynajmniej ja. Ale mnich cały czas do nas podchodził i nalewał i wkrótce opuścił mnie lęk i zażenowanie, bo a to tańczyłem z innymi wojownikami po pokładzie, a to stałem tak jak oni z toporem w garści, wyjąc jak wilk.

Wyspiarze uznali zapewne, że jest to odpowiedni moment na wycofanie się, bo kiedy później siedliśmy na placu portowym, a ludzie Olafa piekli na ogniu prosiaki, byliśmy tam tylko my, załogi statków.

Jedliśmy pieczone mięso razem z innymi mężczyznami, wypiliśmy jeszcze kilka kufla piwa, beczki Olafa były chyba pozbawione dna. Pamiętam, że on sam stał na stewie dziobowej swojego statku, wysoko na krawędzi burty i stamtąd mówił nam, jaki splendor zdobędziemy, przy płynąwszy do ojczyznej Norwegii. Nasze imiona na zawsze zostaną zapamiętane z powodu czynów, których tam dokonamy. Odpowiedzieliśmy dzikim, pijackim rykiem.

Ostatnie, co pamiętam z tego wieczoru, to moment, kiedy pomagam Bjørnowi wejść na pokład. Jego ramię obejmuje moje barki, Bjørn bełkocze, że odnajdzie krewnych tego, który mnie okulił ciosem w nogę, pomści mnie, odrąbując nogi im wszystkim. Potem obydwaj osuwamy się na baranice pod rozpiętymi skórzanymi płachtami, w powietrzu czuje się deszcz. Fenre kładzie się między nami, w pysku ma świńską kość. Najchętniej zamknąłbym oczy i zasnął, ale muszę opróżnić pęcherz. Idę więc chwiejnym krokiem do trapu i schodzę na nabrzeże. Podczas gdy stoję tam, kiwając się i sikając do wody, jarl wysp z synem podjeżdżają konno do placu portowego. Białobrody przyjmuje ich na końcu nabrzeża. Valp odwiązuje od siodła wór ze spakowanymi rzeczami i staje przy ojcu, chyba zamieniają kilka słów. Potem Valp go opuszcza, idzie z białobrodym nabrzeżem i zostaje mu wskazane miejsce na pokładzie statku cumującego obok statku Olafa.



## 13

### Msza

**D**wa dni po przybyciu piątej łodzi Olafa wyruszyliśmy w morze. Zostałem członkiem załogi na statku, który przypłynął ostatni i razem z Bjørnem byłem teraz odpowiedzialny za lewą połowę jednego z przedziałów na dziobie; jeden przedział liczono jako przestrzeń między dwiema wręgami. Każdy przedział miał dwie pary wiosel, a każde wiosło obsługiwane było przez dwóch mężczyzn wiosłujących na zmianę. Nie było tu ławek, wiosłując, każdy mężczyzna siedział na skrzyni, w której trzymał broń i pozostały dobytek. Takiej skrzyni jeszcze nie dostałem, ale też nie miałem ze sobą zbyt wielu rzeczy.

Było bezwietrznie i padał deszcz, kiedy opuszczaliśmy wyspę Rossøy; dobrze pamiętam, że siedziałem z długim wiosłem w rękach, patrząc, jak wyspy znikają za pozostawionym przez statek śladem w wodzie. Statek był nieco mniejszy niż statek Olafa, ale i tak był to potężny drakkar; kiedy wypłynęliśmy na otwarte morze, reja, która dotychczas leżała wzdłuż kadłuba na wysokich na chłopa podporach, została odwrócona w poprzek i wciągnięta na maszt, a żagiel spuszczone w dół. Natychmiast poczuliśmy, jak kadłub zaczyna drżeć i wibrować, jakby to rzeczywiście było smocze cielsko, zbudzone teraz do życia przez przewalający się nad falami wiatr.

Wiatr miał nas przenieść aż do zachodniego wybrzeża Norwegii, ale nikt nie wiedział, co nas tam czeka. Mówiono, że Olaf ma liczącą sto statków flotę schowaną w jakimś fiordzie, lecz inni mruździ, że to tylko pogłoski i że nie ma więcej statków niż te pięć. Wydawało mi się to dziwne, bo skoro Olaf z wielkim wojskiem plądrował Anglię, musiał chyba mieć więcej ludzi i statków? Bjørn niewiele miał do powiedzenia na ten temat. Do Anglii popłynęło wiele statków, ale Olaf utracił ponoć większość swej

floty, kiedy zerwał ze Svenem Widłobrodym; krążyły pogłoski, że całe załogi przyłączały się do Danów, zabierając ze sobą statki i broń. Jednak na pięciu statkach Olafa było prawie trzystu mężczyzn. I byli to jego najlepsi ludzie, wojownicy, z których każdy zabił w walce co najmniej czterech mężczyzn. Gdybym nie był bratem Bjørna, a na dodatek skutnikiem, nie zostałbym zabrany na pokład. Według mojego brata z trzystoma wojownikami tej klasy można było rzucać na kolana królów i podbijać kraje.

Kiedy wiatr nas w końcu znalazł, a wiosła zostały wciągnięte do środka, długo chodziłem po pokładzie, przyglądając się statkowi. Nie myślałem zbyt wiele o tym, co nas czeka w Norwegii. Teraz, razem z Bjørnem, czułbym się bezpiecznie, nawet gdyby z morza wynurzył się wąż Midgardu. Stałem długo i patrzyłem na żagiel, który prawdopodobnie był natarty smołą. Za każdym razem, kiedy dziób uderzał w falę, krople wody odbijały się od żagla i spadały na pokład. Tutaj już dawno rozsiedli się mężczyźni, część z nich rozpięła płachty przeciwdeszczowe między burtą i podporami na reję, które jak skrzyżowane ramiona stały przed i za masztem. Pod płachtami siedziała załoga; jedni korzystali z wolnego czasu, żeby naostrzyć broń, inni grali w kości. Na pokładzie było około sześćdziesięciu mężczyzn, więc chociaż statek był wielki, czasami robiło się tu ciasno. Nikt nie wchodził do ładowni pod pokładem, a Bjørn powiedział mi, że tak było na wszystkich czterech statkach, które przypłynęły najpierw. Pod ich pokładami było pełno skrzyń ze srebrem, jakie miało posłużyć do kupienia lojalności norweskich hovdingów.

Dziwiłem się temu, bo Olaf nie wyglądał na kogoś, kto musi przekupywać ludzi. Mógł przecież pożegłować swoimi statkami na spotkanie wrogowi i kazać nam wyc i wymachiwać toporami; to by chyba wystarczyło, żeby do cna przerazić samego jarla Håkona i wszystkich jego synów? Powiedziałem o tym Bjørnowi, ale ten wzruszył ramionami, mówiąc, że nie zna się na tych sprawach. Wątpił, żeby jarl Trøndelagu złożył broń i dał się przekupić. Prawdopodobnie należy go zabić, to chyba konieczne, żeby mieszkańcy Trøndelagu stracili odwagę. Mówiono, że to twardzi ludzie, od dawien dawna pobierający daninę na szlakach handlowych będących źródłem ich bogactwa.

Podejrzewałem, że Bjørn wysłuchał wielu przemów Olafa Wronia Kość, bo to, co

powiedział o mieszkańcach Trøndelagu, brzmiało jak słowa Olafa. Przecież Bjørn, tak jak ja, był tylko prostym chłopakiem z Vingulmorku, chociaż niewiele już w nim pozostało z chłopca. Obserwowałem jego plecy, kiedy wiosłował, mięśnie pod lnianą koszulą i szerokie bary. Kiedy stał razem z innymi mężczyznami na pokładzie, pod każdym względem był jednym z nich. Nie chodziło tylko o brodę i koszulę, szeroki pas z mieczem i płaszcz, który teraz na siebie zarzucił. Ale również o sposób, w jaki się nosił, mocarne ramiona i spokojny, choć zawsze badawczy wzrok. Z chłopca, który wyruszył z domu razem z synami gospodarza, nic już nie zostało. Był teraz mężczyzną i wojownikiem. A ja, jak zwykle, go naśladowałem. Nosił topór bardziej z przodu na biodrze niż ja, więc przesunąłem mocowanie topora, upodabniając się do brata. Jego nóż, długi saks, tkwił w skórzanej pochwie tuż przed toporem tak, że mógł go wyciągnąć lewą ręką, więc i ja zamocowałem swój nóż w takim samym miejscu. Oczywiście martwiłem się swoją kulawą nogą, ale Bjørn mnie uspokoił, mówiąc, że kiedy w bitwie jest najgoręcej i nie ma czasu na ucieczkę, wtedy trzeba wytrzymać i nie ustępować. Ważna jest siła ramion, a tę miałem, pomacał mnie po bicepsach, zmierzył siłę uścisku i stwierdził, że mam krzepę dorosłego mężczyzny. Wkrótce miałem się nauczyć walczyć tak jak ludzie Olafa: sposobem wargów z toporem w prawej ręce i saksem albo nożem w lewej. W Norwegii nie byli do tego przyzwyczajeni. Tam bitwy nadal rozgrywano, ustawiając formację zwaną „ścianą tarcz”, a za nią szereg mężczyzn z włóczniami, co zawsze dawało przewagę bardziej liczebnemu wojsku. Olaf uczył się od Sigurda – białobrodego, który służył u księcia Wladimira w Gardarike i który wykupił go z niewoli. Wargowie często nie mieli przewagi liczebnej, dlatego wypracowali o wiele agresywniejszą formę prowadzenia wojny niż ta, do której przyzwyczajeni byli wodzowie na północy i na zachodzie.

Pierwszego dnia na pokładzie mężczyźni byli jeszcze pewnie przepici i niewyspani i kiedy tylko zwolniono nas z wiosłowania, większość poszła spać. Ja dobrą chwilę siedziałem, przyglądając się statkowi Olafa. Przez dłuższy czas płynął w odległości zaledwie kilku strzałów z łuku na prawo od nas. Białobrody, o którym już wiedziałem, że jest wujem Olafa o imieniu Sigurd, i sam Olaf przebywali na dziobie statku i dostrzegłem, że czymś się tam zajmują. Sigurd raz po raz upuszczał coś na pokład,

a potem on i Olaf klękali. Znikali wtedy za nadburciem i nie mogłem ich zobaczyć, ale zaraz potem wstawali, po czym Sigurd znowu coś rzucał na pokład.

– Wronie kości – powiedział Bjørn później tego wieczoru, kiedy siedzieliśmy, jedząc kaszę. – Też ich widziałem. Wróżą z wronich kości. Może w ten sposób wyznaczają kurs. Nie wiem. To jakieś czary z Gardarike.

Wkrótce na pokładzie statku Olafa w ostatnich promieniach wieczornego słońca podniesiono dwie białe flagi, sternicy przesunęli drążki wiosel sterowych, szoty żagli zostały dociągnięte. Obrano kurs bardziej na północ i tak wpłynęliśmy w pierwszą noc naszej podróży do rodzimej Norwegii.

Mówi się o Olafie, że nie znał się na lądzie. Chodzi o to, że po spędzeniu większej części życia na morzu nie bardzo potrafił zajmować się ziemią. Nigdy nie założył wodzowskiej siedziby na lądzie, podróżował przez cały okres swojego panowania w Norwegii, a tam gdzie wyruszał swoimi statkami, ruszała z nim cała potęga, bogactwo i siła militarna. Żeglował teraz na wschód, do kraju, który opuścił, będąc niemowlęciem, i długo nie mogłem zrozumieć, dlaczego po prostu nie pozostał w Anglii. Był bogatszy, niż można to sobie wyobrazić, mógłby żyć pod opieką króla Ethelreda. Miał też przecież żonę, Gydę z Wysp Fryzyjskich, ale ją również opuścił, żeby wyruszyć na podbój kraju przodków.

Może to wronie kości podpowiedziały mu, że ma tak zrobić. Może była to żądza jeszcze większych bogactw albo pragnienie zapanowania nad ludźmi i rodami, które niegdyś wyгнаły jego matkę i prawie wytępiły cały jego ród. Może chciał tylko pomścić wyrządzoną mu krzywdę. Nawet dzisiaj nie wiem, co nim powodowało. Ale wiem, że kłamstwem jest to, co twierdzą skrybowie Ethelreda, że Olaf podbił Norwęgę, żeby przynieść Białego Chrysta tamtejszym poganom. Duszą i ciałem Olaf nadal był poganinem. Dla niego Biały Chryst był tylko jeszcze jedną bronią, której mógł użyć, żeby rzucić ludzi na kolana.

Lecz owej nocy jeszcze tego nie widziałem. Nadal byłem zaślepiony. Leżąc w ciemności, z Bjørnem obok siebie, czułem się bezpieczny i myślałem, że moje miejsce jest wśród tych mężczyzn. I nie była to tylko pewność, że Bjørn i pozostali mężczyźni w wojsku Olafa będą walczyć ramię w ramię ze mną, tak jak ja bym walczył

u ich boku. To sam Olaf był źródłem tego silnego poczucia bezpieczeństwa. To jego pewność siebie sprawiała, że gdyby rozkazał nam płynąć prosto w otchłań Ginnungagap, zrobilibyśmy to bez wahania.

Wszystkie drakkary płynące do Norwegii zostały zbudowane według wskazówek Olafa; po dwudziestu latach spędzonych jako morski wojownik dokładnie wiedział, jak mają wyglądać jego statki. Najważniejsza była szybkość, statki Olafa musiały być w stanie szybko dogonić wroga, a także każdemu uciec. Dlatego były długie, co czyniło je szybszymi na morzu i dawało miejsce dla większej liczby wiosł, niż to było powszechne w tamtych czasach. Maszty były wyższe niż na innych statkach, a konstrukcja takielunku była wynikiem wielu mądrych przemyśleń. Pod pokładem tkwił potężny korzeń sosny, który służył jako cokół dla masztu, dobrze wysmołowanego pnia świerka. Jeśli dochodziło do walki na otwartym morzu, najpierw chwymano za łuki, ponieważ maszt był podatny na uszkodzenia i przewróciłby się, gdyby podtrzymujące go liny zostały przecięte. Ale gdyby nadarzyła się okazja zdobycia obcego statku, Olaf nie zawahałby się. Wtedy natychmiast dostalibyśmy rozkaz chwycenia za broń przyczepioną po wewnętrznej stronie nadburcia. Za nadburciem byliśmy dobrze chronieni, sięgało nam niemal do piersi, a kiedy siedzieliśmy na skrzyniach i wiosłowaliśmy, byliśmy całkowicie schowani. Żeby dać załodze swojego statku jeszcze jedną przewagę w bitwie morskiej, Olaf zadbał też o to, aby wolna burta była wysoka. To sprawiało, że wojownicy na statku stali prawie o pół człowieka wyżej niż wrogowie, mogąc posyłać w dół strzały i włócznie. Dodatkowo pod pokładem znajdowało się tyle przestrzeni, że można się było wyprostować. Miały tam też swoje miejsce Olafowe skrzynie ze srebrem. Pokład w części dziobowej i rufowej był wypiętrzony. Stojąc tam, miało się dobry widok na cały statek i na szlak morski. W tym miejscu krawędzie wyginały się mocno w stewy, tworząc przestrzeń, w którą mógł wcisnąć się mężczyzna, mając plecy i boki osłonięte.

Chociaż Bjørn jeszcze nie walczył na morzu, mówili mu, że gdyby zanosilo się na bitwę, statki przez cały czas muszą być w ruchu albo podpłynąć blisko statku wroga i szepić się z nim burta, żeby można było wskoczyć na pokład i wybić całą załogę. Podczas bitwy należało też opuścić reję, zwinąć razem z nią żagiel, a całość położyć na kozłach. Żagiel, oprócz bogactw w ładowni, był najcenniejszą rzeczą na pokładzie.



Kiedy przyplłyniemy do Norwegii, Olaf zadba o to, żebyśmy pomścili ojca, tego Bjørn był pewien. To by nam obydwu przyniosło ukojenie. A kiedy rzucimy na kolana jarla i Olaf zostanie królem całej Norwegii, my, najlepsi z jego ludzi, dostaniemy srebro i ziemię i będziemy jako hovdingowie rządzić krajem, którego on jest władcą. Bjørn rozmawiał ze mną o tym pierwszego ranka na morzu. Poprosiłby o nasz rodzimy półwysep ze znajdującymi się na nim lasami i polami. Ziemia gospodarza stałaby się nasza. Trzymalibyśmy krowy i owce, a także sprowadzili ludzi potrafiących uprawiać zboże. Snuł takie plany od momentu, kiedy wybrano go na wyprawę do Norwegii. Ze zboża chciał warzyć piwo i sprzedawać je kupcom z południa z dużym zyskiem.

Po południu drugiego dnia żeglugi mężczyzna znany jako Øystein Łapsko podszedł do mnie i do Bjørna i wyjął nożyce. Øystein był jednym z tych, którzy przybyli z Olafem z Gardarike i podobnie jak jego pobratymcy słabo mówił po norwesku. Bjørn uśmiechał się tylko, więc zrozumiałem, że Øystein nie chce mi zrobić nic złego, chociaż przedstawiał sobą przeraźliwy widok. Miał przydomek Łapsko, bo jego prawa ręka była o wiele większa od lewej. W dodatku to wielkie łapsko było trochę zniekształcone, kostki wystawały, a paznokcie były całkowicie płaskie.

– Musisz zdjąć tunikę – powiedział mój brat. – W przeciwnym razie cała będzie we włosach.

Øystein Łapsko skinął głową i wskazał nożycami na moją tunikę. Był szpetnym mężczyzną, inaczej nie da się tego powiedzieć. Prawy bark zwisał trochę bardziej niż lewy, kark był dziwnie cienki, a głowa okrągła jak jabłko. Miał szeroki nos, zrosnięte brwi i prawie bezbarwne oczy. O dziwo Øystein Łapsko najlepiej spośród ludzi Olafa przycinał włosy i brodę i to w tej sprawie został wysłany do mnie. Bjørn też miał długie włosy, które opadały mu na plecy. Ale moje nie były obcinane ani czesane, odkąd opuściłem osadę, a broda była może rzadka, za to równie długa jak u Bjørna.

Øystein położył mi swoje zniekształcone łapsko na czubku głowy, a lewą ręką obciął włosy mniej więcej do ramion. Brodę przyciął krótko. Potem przyniósł wiadro z wodą morską i wtarł mi we włosy coś w rodzaju oliwy, wreszcie wziął kościany grzebień i rozczesał wszystkie kołtuny. Olaf nie pozwala, żeby jego ludzie wyglądali niechlujnie, wyjaśnił Bjørn. Nie jesteśmy zwykłymi morskimi zbójami.

Po ostrzyżeniu mnie Øystein Łapsko zmiótł włosy i wyrzucił za burtę. Pozostałem z Bjørnem, siedząc na skrzyni. Był piękny dzień i żadnej chmurki na niebie; wiatr napinał żagiel, a statki nadal płynęły dość blisko siebie. Statek Olafa znajdował się tuż po naszej prawej stronie, widziałem na nim Valpa, stał na dziobie i spoglądał na wschód. Bjørn wyjaśnił mi jego sytuację. Chcąc związać jarla Orkadów ze sobą, Olaf zażądał, żeby syn jarla popłynął z nami. Żaden ojciec nie będzie wspierał wrogów władcy, któremu służy jego syn.

Bjørn wymienił imiona mężczyzn na pokładzie, cztery z nich byłem zmuszony zapamiętać. Jeśli dojdzie do bitwy po przybyciu do Norwegii, flota najpierw spróbuje trzymać się razem i się nie rozpraszać. Wtedy mamy słuchać rozkazów Olafa, przekazywanych za pomocą podnoszonych na jego statku flag. Jeśli szyk floty zostanie złamany, co łatwo może się przydarzyć, każdy statek ma operować na własną rękę i wtedy obowiązują rozkazy wydawane przez szypra. Szyper stał teraz na rufie razem ze sternikiem. Był wysokim, chudym mężczyzną z płomiennorudą brodą i rzadkimi kosmykami zamiast włosów. Nazywał się Asgeir Portki, co sprawiało bardzo dziwne wrażenie, bo nie miał na sobie spodni, tylko kilt. Sternik był szerokim w barach niedźwiedziem z krzaczastą, szatynową brodą i zwał się po prostu Koń, ale kiedy mężczyźni sobie podpili, nazywali go często Kobyłą. Bjørn nie wiedział, dlaczego ma taki przydomek, ale wiedział, że Konia nigdy nie wolno nazywać Kobyłą w jego obecności, bo wtedy wpada we wściekłość i bije wszystkich dookoła.

W bitwie morskiej szyper zawsze będzie próbował dokonać abordażu wrogiego statku i będzie chciał wybić jego załogę, tłumaczył Bjørn. Lecz gdyby się zdarzyło, że to nasz pokład zostanie zajęty i zarówno Asgeir Portki, jak i Koń zginą, mężczyźni z jednego przedziału mają walczyć razem. Przedział, jak już wspomniałem, był odległością między dwiema wręgami albo bandami – tak nazywamy je my, Norwegowie – a między każdą parą wręg było po jednym wiosle z każdej strony. Bjørn i ja siedzieliśmy w trzecim przedziale od dziobu, po lewej stronie. Podczas bitwy mieliśmy się trzymać z dwoma mężczyznami siedzącymi po prawej stronie. Nazywali się Valdemar i Ragnar Młot. Pochodzący z Gardarike Valdemar miał falowane, kruczoczarne włosy. Kiedy patrzyło się na niego z prawej strony, był bardzo przystojny, ale po lewej stronie twarzy miał wgłębienie po ciosie pałką, wokół lewego oka

mimowolne skurcze. Ragnar Młot nie nosił, o ile mi wiadomo, żadnego młota przy sobie, ale trochę przypominał młot swoim wyglądem. Wszystko w nim było grube, szerokie i ciężkie, a włosy zarastały mu nie tylko kark, lecz również barki, czegoś podobnego nigdy przedtem nie widziałem.

Jak większość mężczyzn na pokładzie, także mój brat miał przydomek. Na co dzień wołano na niego po prostu Bjørn, ale kiedy trochę wypito i robiło się wesoło, mężczyźni nazywali go Bjørn Rębacz Brzuchów. Domyślałem się, skąd się ten przydomek wziął, i nie mogę powiedzieć, żeby napełniało mnie to czymś innym niż swego rodzaju podziwem. Mój brat był wojownikiem, jednym z najlepszych ludzi Olafa. I w pewien sposób to sprawiało, że wszystko było jak dawniej. Bjørn zawsze, nawet gdy byliśmy mali, czuwał nade mną. To on nauczył mnie pływać i pilnował, żebym nie wspinał się na najbardziej strome zbocza w rodzinnych stronach i nie połamał się, spadając. Bronił mnie przed synami gospodarza – gdyby nie on, porządnie by mną poniewierali. A teraz Bjørn Rębacz Brzuchów znowu był gotów mnie bronić.

Zostałem przyjęty na pokład jako budowniczy łodzi i dlatego nazywano mnie Torsteinem Szkutnikiem, przydomek nadany na Orkadach nadal mi towarzyszył. Cały drugi dzień pobytu na statku poświęciłem na przegląd takielunku i poszycia, bo Asgeir mnie o to poprosił. Pozwolono mi zejść na dół, stałem długo za skrzyniami Olafa z pochodnią w ręku i niemal już podniosłem wieko jednej z nich, ale zabrakło mi odwagi. Nie miałem zamiaru niczego ukraść, nigdy nie byłem złodziejem. Chciałem tylko popatrzeć. Domyślałem się jednak, że gdyby ktoś zszedł na dół i zobaczył mnie przy skrzyniach, zaczęto by mnie podejrzewać, a widziałem, że Olaf potrafi być surowym człowiekiem.

Ani pod pokładem, ani na jego powierzchni nie znalazłem niczego, co wymagałoby naprawy. Statek wyglądał na całkiem nowy. Jedyne, co należało naprawić, to zamocowanie drążka od wiosła sterowego. Na dużych drakkarach takich jak statki Olafa wiosło sterowe składało się z długiego drzewca zakończonego szerokim piórem tuż pod powierzchnią wody. Było ono przymocowane do zewnętrznej burty na drewnianym kłocu. Żeby poruszać wiosłem sterowym, należało przytwierdzić do niego drążek sterowy pod kątem prostym tak, żeby sternik, stojąc, miał ów drążek przed sobą. Ciągłe poruszanie drążkiem mogło spowodować jego poluzowanie i tak właśnie się stało.

Zagotowałem tłuszcz, posmarowałem nim górny koniec wiosła sterowego i obwiązałem drążek od góry i od dołu. Dzięki temu był luźny, ale nie odpadał. Asgeir Portki był tym rozwiązaniem zachwycony i chciał je pokazać Olafowi, jak tylko dobijemy do lądu. Twierdził, że na wszystkich statkach jest ten sam problem.



Żeglowaliśmy z wiatrem południowym jeszcze jedną noc i wieczorem trzeciego dnia zobaczyliśmy na wschodzie ląd. Statek Olafa skręcił na północ, a my popłynęliśmy za nim. Bjørn wyjaśnił, że Olaf nie chce dobijać do lądu w ciemności, najpierw musi się zorientować, dokąd dopłynęliśmy. Chociaż na pokładach statków byli dobrzy żeglarze, nikt nie mógł wiedzieć, jak daleko podczas przeprawy przez morze przesunęły nas wiatr i prądy.

Kiedy nad morzem zaczęła zapadać ciemność, poczułem zupełnie inną atmosferę na pokładzie. Rozmowy ucichły. Niektórzy przypięli pasy z bronią i przeglądali strzały, inni zbierali baranice, koce i kufle i pakowali do wora. Tej nocy po pokładzie nie toczyły się żadne kości do gry, zamiast tego rozlegał się dźwięk ostrzenia mieczy i toporów. Fenre też to zauważył. Przez większość czasu po opuszczeniu Orkadów kręcił się po pokładzie, bo mógł dostać suszoną rybę i solone mięso, a wielu mężczyzn przyciągało go do siebie i mierzwiło pieszczotliwie sierść. Teraz mężczyźni jakby zamknęli się w sobie, a twarze, które widziałem, zanim wygaszono ogień, miały ponury wyraz.

Spędziłem noc koło Bjørna. Leżeliśmy ramię w ramię pod kocem i chyba żaden z nas nie spał. Rankiem Bjørn nagle odchrząknął, a potem powiedział:

– Jeśli dojdzie do bitwy, trzymaj się mojej lewej strony. Jeśli wejdą na pokład, masz ciąć ich w nogi. Mówią, że ludzie jarla nie umieją osłaniać nóg.

Milczałem. Bjørn wiedział pewnie, jak to trzeba robić. Ale możliwe, że aż do teraz nie do końca rozumiałem, w czym bierzemy udział. Podniosłem rękę, żeby osłonić twarz przed wschodzącym słońcem, zobaczyłem przybrzeżne wyspy i wzgórza w głębi lądu. Poczułem ukłucie żalu, kiedy tak stałem. Bjørn i ja powinniśmy pozostać na Orkadach, zamiast wracać do Norwegii. Teraz każe mi odrąbywać ludziom nogi. Czy

nie przepłynąłem morza, uciekając właśnie od czegoś takiego?

Ale może pamiętam żal, którego wtedy wcale nie było. Nadal byłem chłopcem, a ponowne spotkanie Bjørna było tak wspaniałe, że podążyłbym za nim prosto w gardziel wilka Fenrisa. Może stałem tam przy nadburciu i czułem napięcie, które czują wszyscy mężczyźni, wiedząc, że zanosi się na śpiew miecza. Może wyobrażałem sobie, że Bjørn i ja będziemy rządzić w Vingulmorku, kiedy tylko Olaf da nam naszą część srebra i mianuje nas hovdingami.

Tak czy inaczej, nie dane mi było stać tam zbyt długo. Wszyscy ludzie Olafa byli gotowi, a ponieważ wiedzieli niewiele więcej ode mnie, byli gotowi niemal na wszystko. Każdy wojownik żeglujący z Olafem miał być armią sam w sobie. Nawet jeśli wszyscy inni by zginęli, on nadal miał walczyć. Dlatego każdy uzbrojony był w topór w jednej ręce i saks w drugiej. Miał też tarczę, łuk i co najmniej trzydzieści strzał, a Olaf zadbał o to, żeby zdecydowana większość dostała kolczugę ze skóry lub z żelaza, wielu miało również hełmy. Hełmy, tarcze i kolczugi trzymano na dole aż do momentu, kiedy mieliśmy zejść na ląd, choć większość mężczyzn już zebrała swoją broń i gdybyśmy natknęli się teraz na flotę nieprzyjaciela, bylibyśmy gotowi do walki. Również ja zostałem uzbrojony tak jak reszta mężczyzn. Asgeir Portki przyszedł do mnie tego ranka z kołczanem strzał i z saksem. Łuk już miałem, ale Asgeir chciał wiedzieć, czy jest wystarczająco mocny, i poprosił mnie o założenie cięciwy. Potem ją naciągnął, lecz nie do policzka, bo miał dłuższe ręce ode mnie i rozumiał, że łuk może pęknąć, jeśli swoimi długimi rękami maksymalnie go naciągnie.

– Jest mocny jak trzeba – zamruczał, oddając mi go. – A umiesz w ogóle strzelać?

– On trafia chudą wiewiórkę z odległości stu kroków – wtrącił Bjørn.

To było kłamstwo. Nigdy nie strzelałem do wiewiórek, bo ojciec nie chciał, żebyśmy zabijali w innym celu niż zdobycie pożywienia, a z wiewiórki marny byłby posiłek.

– Nigdy nie strzelałem do wiewiórki – powiedziałem, wywołując śmiech Asgeira.

– Twój brat nie to miał na myśli, Torsteinie. Mówi tylko, że dobrze posługujesz się łukiem. – Asgeir poklepał mnie po ramieniu i nagle uśmiech na jego ustach zniknął. –

Będziesz łucznikiem w twoim przedziale. Zobaczymy, jak ci pójdzie. – Wcisnął mi rękojeść saksa do ręki i poszedł z powrotem do sternika.

Bjørn powiedział mi, że Asgeir zawsze wyznacza nowych na łuczników. Był zdania,

że bitwę najlepiej wygrać, kiedy burta statku nie zetknie się z burtą wroga, a klingi mieczów nigdy się nie skrzyżują. Nie był w tym poglądzie odosobniony.

– Mężczyźni tutaj – rzekł Bjørn, wskazując ludzi na pokładzie – nie są tacy jak w historiach opowiadanych przez ojca. Nikt taki nie jest. Kiedy ruszamy do bitwy... niektórzy wpadają w szal jak berserkowie. Inni dygocą na całym ciele. Niektórzy sikają w spodnie, Torsteinie. A potem, kiedy jest już po wszystkim... – Bjørn spuścił wzrok i w jednej chwili to ojciec tam siedział, a w jego słowach słychać było życiowe doświadczenie: – Ludzie umierają, Torsteinie. Są ranni... wykrwawiają się na śmierć. Więc gdybyśmy mogli wygrać bitwę bez walki wręcz... Tak byłoby najlepiej.

Te słowa sprawiły, że mocniej ścisnąłem łuk w garści i nagle zrozumiałem, jaką odpowiedzialność Asgeir złożył na moje barki.

– Ale muszą być inni, lepsi ode mnie – rzekłem. – Ci tam... – Skinąłem w kierunku Valdemara i Ragnara Młota. Valdemar siedział, ostrząc swój topór, a Ragnar Młot przyglądał się temu.

– Powiedziałem Asgeirowi, że jesteś najlepszym łucznikiem, jakiego znam. Jako łucznik będziesz stał za mną. – Bjørn pochylił się i położył mi rękę na karku. – Nie chcę, żeby coś ci się stało, Torsteinie. Musisz mi obiecać, że będziesz dobrze celował.

Jeśli chodzi o Bjørna i mnie, Bjørn był zawsze najlepszy w zapasach i walce na pięści, co nie wynikało tylko z różnicy wieku. Bjørn był silniejszy i bardziej gibki niż większość ludzi i wiem, że ojca napawało to dumą. Ja lepiej strzelałem z łuku. Nie trafiłbym może wiewiórki z odległości stu kroków, ale w pień drzewa pewnie tak i nie musiałby być specjalnie gruby.

– Kiedy zejdziemy na ląd, poćwiczysz, jeśli będziesz miał czas – powiedział Bjørn, a potem kiwnął głową w kierunku saksy, który dał mi Asgeir. – Pokażę ci, jak się nim posługiwać.

Jak już mówiłem, wszyscy ludzie Olafa byli nauczeni, że saks albo sztylet trzyma się w jednej ręce, a topór w drugiej i mój brat nie był wyjątkiem. Poprosił mnie, żebym chwycił saks lewą ręką. Żeleźce miało mniej więcej długość mojego przedramienia. Było zakrzywione po tępej stronie, natomiast po ostrej całkowicie proste, co nadawało całości wygląd podobny do dzioba. Miałem trzymać saks ostrą stroną zwróconą do góry i do siebie, tłumaczył Bjørn. Toporem miałem spychać wroga, ale gdybym zobaczył

gdzieś lukę, miałem wepchnąć w nią saks, a wróg, cofając się czy padając do tyłu, sam by się zranił. To samo byłoby, gdybym ja został zepchnięty do tyłu; saksem zaczepionym za kolanem przeciwnika, za karkiem albo w kroczu zadałbym mu poważną ranę, robiąc tylko krok do tyłu. W bitwie będę miał też tarczę, mówił Bjørn. Najczęściej wdzieramy się w szeregi wroga dwoma ruchami: najpierw schowani za tarczą zadajemy potężny cios toporem, później trzeba zrobić krok lub dwa do przodu, otworzyć ramię z tarczą i wczepić saks we wroga, po czym znowu zadać cios toporem albo cofnąć się i jednocześnie ranić wroga. To były dwa podstawowe ruchy walczących wargów i jak dotąd ani Frankowie, ani Anglicy czy niebiescy ludzie nie mogli się im oprzeć. Było to wystarczająco proste do zapamiętania nawet dla kogoś oszalałego od bólu lub zapachu krwi i wystarczająco efektywne, żeby przełamać każdą linię obrony.

Stojąc z saksem w jednej ręce i toporem w drugiej, zobaczyłem, że Olaf wspiął się na dziób swojego statku. Stał tam tak samo jak wtedy, gdy zobaczyłem go po raz pierwszy, z jedną ręką na stewie i obydwoma stopami na krawędzi burty. Na morzu były fale i dość silna południowa bryza. Wprawdzie zwróciliśmy się na północ, mając fale i wiatr od tyłu, ale nie mogłem pojąć, że ma odwagę tak stać. Jego statek był tylko o kilka długości statku od naszego i wyglądało to tak, jakby pochwyciła go jakaś magiczna siła, bo zamknął oczy i twarz zwrócił ku niebu. Mnich Alfred też był na dziobie, żarliwie przypatrując się Olafowi, który znowu otworzył oczy. Wyciągnął ramię ku lądowi, była tam zatoczka. Potem poluzowano szoty po prawej stronie i podciągnięto po lewej, a statek Olafa skierował się do lądu. Pozostałe statki podążyły za nim.

Jeszcze nie wiedziałem, gdzie się znajdujemy, chyba nikt nie wiedział. Olaf Tryggvason zdążył w stronę obcego lądu, na którym nigdy przedtem nie postawił stopy. Nie mieliśmy pojęcia, że znajdujemy się w pobliżu fiordów potężnych wodzów. Pięcioma statkami wpłynęliśmy tego dnia w długi fiord za wyspami Stord i Bømlo i tylko dzięki szczęściu nie natknęliśmy się na wrogie statki. Ani rybaków, ani kupców nie było tego dnia w fiordzie, możliwe, że grasujący synowie jarla wystraszyli ludzi na morzu i skłonili do ucieczki w głąb lądu. Olaf poprowadził nas wschodnią stroną Bømlo, gdzie byliśmy osłonięci od otwartego morza i tu znaleźliśmy bardzo wąską zatoczkę z lasem po obydwu stronach. Ta zatoczka wdzierała się głęboko w wyspę Moster i stała się

pierwszym portem Olafa w Norwegii.

Wieczorem zesliśmy na ląd, ale mogliśmy odejść na taką odległość, żeby cały czas widzieć statki. Wyspa, do której dopłynęliśmy, była podobna do wysp w naszym rodzimym Vingulmorku. Między płaskimi skałami i niewielkimi okrągłymi wzniesieniami rosły krzywe sosny, a także gęste, małe zagajniki z osiką i brzożami. Wiosna dopiero się zaczynała, ale na brzożach były już pączki, lada chwila gotowe się rozwinąć. Ragnar Młot uciął taką gałązkę i wziął ze sobą na pokład, a później tego wieczoru, kiedy pączki pod wpływem ciepła z paleniska wypuściły liście, westchnął głośno i podziękował zarówno Białemu Chrystowi, jak i Odynowi za to, że dane mu było przeżyć jeszcze jedną zimę.

Statki zostały przycumowane rufami do lądu, żeby w razie czego łatwo było wypłynąć. Z tego samego powodu nie mogliśmy odchodzić zbyt daleko. Olaf wysłał zwiadowców, a ci nie znaleźli śladów bytności człowieka. Byliśmy na wyspie sami. Olaf zapewne czuł się w tej zatoczce bezpieczny, bo tego wieczoru zszedł pod pokład ze swoim psem i ułożył się do snu między skrzyniami pełnymi skarbów. Beczki z piwem zostały otwarte, bo załogi miały uczcić dotarcie do lądu.

Bjørn, Ragnar Młot, Øystein Łapsko i ja siedzieliśmy sami tego wieczoru. Øystein szybko się upił, miał dość słabą głowę. My byliśmy bardziej wstrzeźliwi, nie wiedzieliśmy przecież, gdzie wylądowaliśmy. Równie dobrze ludzie jarla mogli się czaić gdzieś w pobliżu.

– Trzymajcie broń przy sobie – powiedział Ragnar Młot i rzucił mi ponure spojrzenie. – Śpijcie tylko jednym okiem. W snach widziałem, chłopcze... Widziałem twoją krew... Na mieczu jarla Trøndelagu!

Po ostatnim słowie zapadła cisza, po czym Ragnar wskazał na mnie i wybuchnął śmiechem. Lubił sobie trochę pozartować, o ile nie odbywało się to jego własnym kosztem.

Resztę wieczora słabo pamiętam. Byłem młody i może nie tylko Øysteinowi piwo szybko uderzyło do głowy. Cały wieczór spędziliśmy, siedząc na skrzyniach i rozmawiając, a Fenre leżał między moimi stopami i obgryzał kawał suszonej ryby. Pamiętam, że potem położyłem się na pokładzie, ale Bjørn nadal siedział. Teraz



rozwodził się nad jakąś frankijską kobietą. Miała miękkie w dotyku ciało, proste i długie włosy sięgały jej aż do pośladków. Była bardzo smukła. Kiedy stał za nią i obejmował jej kibić rękami, kciuki stykały się z tyłu na jej krzyżu. Następnie zrobiło się cicho, bo mężczyźni wypili, a potem Ragnar Młot zaczął opowiadać o pewnej duńskiej dziewczynie, którą kiedyś poznał, jednak z tej historii nic nie pamiętam, musiałem już wtedy zasnąć.

Następnego ranka przyszedł do mnie mnich Alfred. Byłem chory z przepicia i niewyspany, ale udało mi się przynajmniej zrozumieć tyle, że mam wziąć ze sobą kilku ludzi i zejść z nim na ląd.

Okazało się, że Alfred chciał dostąpić zaszczytu wybudowania pierwszego kościoła w Norwegii, chociaż to ja miałem go zbudować dla niego. W czasie przeprawy przez morze rozmawiał z Olafem i przypomniał mu życzenie Ethelreda, żeby w pogańskiej Norwegii wszędzie pobudować kościoły, a Olaf pokiwał głową, odpowiadając, że dotrzyma obietnicy. Tylko jak te kościoły mają wyglądać, na ten temat Ethelred nic nie mówił. Dlatego wykluczone było poświęcanie na to zbyt wiele czasu, Alfred musiał się zadowolić szalasem. To, że Olaf nie jest zbyt gorliwym chrześcijaninem, całkiem dobrze wiedzieli wszyscy jego ludzie. Niektórzy szeptali, że w ogóle nie wierzy w tego Białego Chrysta, ale dał się ochrzcić, żeby podstępem skłonić Ethelreda do zawarcia z nim sojuszu.

Alfred powiódł nas do końca zatoczki, gdzie rozejrzał się wokół, a potem precyzyjnie między kilkoma sosnami i poszedł dalej na południe. Byłem z Bjørnem, Ragnarem Młotem i Valdemarem, nieśliśmy topory, sznur do związania drągów i kawałek starego żagla.

Nie wiedzieliśmy, gdzie jesteśmy, ale widzieliśmy, że jest tu pięknie. Alfred uważał zapewne, że Bóg go prowadzi, ale to raczej krajobraz go prowadził. Na południe od zatoczki był dość płaski i otwarty teren, więc poszliśmy w tym kierunku. W odległości kilku rzutów kamieniem od statków wyszliśmy na łąkę, na której trzy sarny skubały wschodzącą trawę. Tu się zatrzymaliśmy; Valdemar zdjął łuk i położył strzałę na cięciwie, lecz Alfred pokręcił głową. Może mnich dostrzegł jakiś znak w tych trzech sarnach, to pewnie święta trójca stała tam, na pastwisku.

Przyglądaliśmy się Alfredowi, który chodził po łące jak odurzony. Zmrużonymi oczami patrzył w słońce, wznosił do nieba złożone ręce, kilka razy upadł na kolana i przeżegnał się. Wyglądał, jakby ogarnęło go jakieś szaleństwo. Bjørn trącił mnie w ramię, a potem popukał się w głowę ze zrezygnowaną miną.

Jednak Alfred, szalony czy nie, został wysłany z Olafem przez samego Ethelreda i wreszcie doszedł chyba do porozumienia z samym sobą i ze swoim bogiem, bo przywołał nas skinieniem ręki i wymamrotał coś do Ragnara, który najwyraźniej znał trochę angielski.

– Wokół niego – powiedział Ragnar. – Ten głupek chce, żebyśmy zbudowali kościół wokół niego.

I tak się stało. Weszliśmy między drzewa i wycięliśmy kilka prostych brzóz, których końce związaliśmy tak, że utworzyły spiczasty kształt. Na nich położyliśmy długi drąg, na którym rozpostarliśmy płachtę z kawałka żagla. Potem podparliśmy to wszystko drągami i umocniliśmy sznurowymi odciągami, podczas gdy Alfred cały czas siedział ze złożonymi rękami i zamkniętymi oczami. Wydał z siebie tylko jeden dźwięk, kiedy po postawieniu szałasu zbieraliśmy się do odejścia. Wtedy zawołał głośno:

– *Crux sacra! Crux sacra!*

Ścięliśmy więc jeszcze jedną brzozę i zgodnie ze wskazówkami Alfreda przywiązaliśmy w poprzek drąg, a potem wetknęliśmy pień brzozy w ziemię. Alfred najwyraźniej był zadowolony, bo przyłożył czoło do ziemi i coś do siebie mamrotał, a Ragnar powiedział, że możemy już iść.

Kiedy wróciliśmy na statki, zacząłem obrabiać pień jałowca, który ścięliśmy i wzięliśmy ze sobą w drodze powrotnej. Podzieliłem go na pół, z tych połówek wystrugałem drzewca toporów, jedno dla mnie i jedno dla Bjørna na wypadek, gdyby te, które mieliśmy, się złamały.

Dotąd Bjørn niewiele mówił na temat ojca, ale teraz nagle usłyszałem:

– Pomścimy go, Torsteinie. Wkrótce, kiedy spotkamy ludzi jarla... – Podniósł swój topór do góry i pogładził kciukiem nacięcia. – Będę miał tutaj więcej nacięć, bracie. A każde z nich będzie zemstą za ojca.

Pamiętam, że przyłapałem się wtedy na myśli, że jedyną zemstą, która by mnie

zadowolila, bylyby zabicie Rosa i jego ludzi.

Później tego samego dnia Alfred odprawił mszę. Olaf i Sigurd przebywali w szałasie razem z mnichem, podczas gdy załogi statków musiały stać na zewnątrz. Alfred przemawiał głośno w środku, chciał pewnie, żebyśmy wszyscy go słyszeli. Ale jego słowa padały w języku, którego ani ja, ani pozostali nie rozumieliśmy i jeśli mam być szczerzy, nie wiedzieliśmy z Bjørnem, co się dzieje. Rozumieliśmy, że ma to coś wspólnego z Białym Chrystem, lecz nie mieliśmy pojęcia, że ta wyspa zostanie uznana za pierwszy w Norwegii skrawek ochrzczonej ziemi. Pamiętam, że Sigurd od czasu do czasu wyglądał i warczał wściekle do tych, którzy usiedli, że mają wstać, a pozostałym groził, że każdy, kto opuści to miejsce, zostanie obity kijem i naznaczony gorącym żelazem. Kiedy tylko zniknął z powrotem w namiocie, Ragnar Młot rozluźnił pas i przekornie wysikał się tam, gdzie stał. Nie lubił dusić w sobie ani płynów, ani gazów. Zaraz potem z namiotu wyszedł Alfred, z dłońmi schowanymi w rękawy habitu i ze wzrokiem skierowanym w bezchmurne niebo. Olaf i Sigurd wyszli za nim i cała trójka bez słowa ruszyła w kierunku statków. My staliśmy w miejscu, bo tylko nieliczni byli kiedykolwiek świadkami czegoś takiego i nie wiedzieliśmy, czy mamy pozostać, czy pójść za tymi trzema. Alfred, Sigurd i Olaf doszli niemal do skraju lasu, kiedy Olaf odwrócił się i skinął na nas ze śmiechem.



## 14

### Bitwa morska

**N**astępnego ranka ćwiczyłem strzelanie z łuku. Poszedłem na łąkę, na której wznieśliśmy szałas; tu mogłem być sam. Wetknąłem w ziemię kij jako cel, jednak okazało się, że potrzeba było wielu strzałów, żeby odzyskać to szczególne „wyczucie” celu niezbędne każdemu dobremu łucznikowi. Minał rok, odkąd opuściłem kupiecką osadę; potem rzadko używałem łuku. Ale ze strzelaniem z łuku jest tak samo jak z pływaniem. Ten, kto się tego nauczył, już nie zapomni. Wkrótce mogłem odejść na wiele kroków i chociaż nie strzelałem jeszcze tak celnie jak przedtem, większością strzał trafiałem bardzo blisko kija.

Było dosyć wcześnie, kiedy wypływaliśmy. Poprzedniego dnia szyprowie kazali napełnić beczki wodą ze strumienia. Alfred, najwyraźniej zadowolony ze swojego duchowego wyczynu, zasiadł do picia piwa na statku Olafa. Dla nas pozostałych piwa nie było. Wieka beczulek zostały zabite gwoździami, a my, którym wyznaczono funkcję łuczników, dostaliśmy rozkaz, żeby zawiesić kołczany ze strzałami za górną listwą nadburcia. Następnie zasiedliśmy do wiosł. Tego ranka nie wiał nawet najmniejszy wietrzyk. Woda w zatoczce była spokojna i gładka jak lustro.

My, członkowie załóg, niewiele wiedzieliśmy o planach Olafa, ale potem dotarło do moich uszu, że wcale nie miał zamiaru przybyć do jarla z podniesionym mieczem. Olaf gruntownie się przygotował i wysłał do Norwegii ludzi, których zadaniem było podburzanie chłopów i rozsiewanie pogłosek, że ma sto statków ukrytych gdzieś w fiordach. Żeglarz, który przybył na Orkady poprzedniego lata z pogłoskami o jarlu Håkonie, jego pożądlivości wobec kobiet i niezadowoleniu wśród Norwegów, był

jednym z takich wysłanników. Informowali oni Olafa o położeniu wojsk jarla, gdzie miał swoje statki, iloma wojownikami dysponował i które rody nadal były wobec niego lojalne. Biorąc to wszystko pod uwagę, Olaf, w porozumieniu ze swym wujem Sigurdem, doszedł do wniosku, że najpierw uda się do jarla, żeby z nim porozmawiać. W zamian za pokój chciał zażądać wystarczająco dużo ziemi, najchętniej w Viken, skąd pochodził ród Olafa, żeby wyżywić siebie i swoich ludzi. Mając stabilny norweski grunt pod nogami, Olaf prowadziłby grę na zwłokę i srebrem płacił za lojalność hovdingów, aż do chwili, kiedy uznaliby się za wystarczająco potężnego, żeby zająć Trøndelag i zabić jarla i jego synów.

W sadze, którą Alfred napisał o Olafie, nie ma o tym choćby jednego słowa. Nie ma tam nic o chytrłości Olafa, za to jest dużo o jego bohaterstwie i bogobożności.

Kiedy wypłynęliśmy z Moster, Asgeir Portki powiedział nam, że jesteśmy w drodze do Trondheimsfiordu. Wśród wiosłarzy przeszedł szept, wiedzieliśmy przecież, że to rodzimy fiord jarla z Lade i że jest tu pewnie cała jego flota. Nie mieliśmy pojęcia, że jarl w tym czasie już uciekał i że tylko syn Erlend został w Trondheim z kilkoma statkami. Pamiętam, że to ja wiosłowałem tego ranka, a Bjørn stał obok, ostrząc mój saks. W trakcie tej czynności cały czas zerkał na mnie i na moją kulawą nogę. Od dawna o niej nie myślałem, pewnie dlatego, że głównie przebywałem na pokładzie statku, gdzie nie było okazji do biegania. Ale teraz spostrzegłem, że Bjørn myśli o niej, i zrozumiałem, że zrobiono ze mnie łucznika nie z powodu tego, że dobrze strzelam, tylko dlatego, że nie jestem tak zdolny do walki jak inni.

Znaleźliśmy się wkrótce przy południowym krańcu wyspy Bømlo, tutaj statki obrały znowu kurs na otwarte morze, co mnie wprawiało w lepszy nastrój. Siedząc i wiosłując, poczułem jednak ukłucie strachu i chyba najbardziej życzyłem sobie, żebyśmy przez morze powrócili na Orkady. Na otwartym morzu łatwo było o odwagę, ale kiedy Bjørn tak stał obok mnie z oselką i saksem, wszystko zaczynało stawać się zbyt rzeczywiste.

Utrzymaliśmy ten sam kurs aż do chwili, gdy zniknął nam z oczu ląd. Wtedy zrobiliśmy zwrot na północ i płynęliśmy tak przez resztę dnia aż do nocy. Wieczorem zaczął wiać silny wiatr od lądu, miało się wrażenie, że Norwegia nie chce nas przyjąć z powrotem. Ale żagle były podniesione przez całą noc, a statki były szybkie, więc kiedy nastał

ranek, na statku Olafa płynącym z przodu zdjęto reję z żaglem, wysunięto wiosła i obrano kurs na wschód.

Ludziom z innych krajów trudno zrozumieć, z jaką prędkością potrafimy przemieszczać się dobrymi statkami. Z Moster do Trondheimsfiordu jest mnie więcej tak samo daleko, jak przez morze do Szkocji, ale dla nas nie była to wcale długa podróż. Taka odległość odpowiadała zaledwie jednej wachcie przy wiosłach i jednej nocy spędzonej pod baranicą. Zanim się obejrzelśmy, już byliśmy u celu.

Jednak ostatni odcinek przed wpłynięciem do Trondheimsfiordu był trudny. Mieliśmy przeciwko sobie gwałtowne fale. Padł rozkaz, że przy jednym wiosle ma siedzieć dwóch mężczyzn. Panowała wczesna wiosna, więc woda była lodowata, a przez dziób cały dzień przelewały się fale. Bjørn i ja siedzieliśmy dość daleko z przodu i wkrótce byliśmy przemoczeni do suchej nitki i przemarznięci do szpiku kości, a mieliśmy tak siedzieć do późnego popołudnia.

Tutaj Olaf popełnił swój pierwszy błąd, który niemal kosztował życie jego i nas wszystkich. Wpływając do fiordu pod wiatr, z dwoma mężczyznami przy każdym wiosle, wyczerpał fizycznie swoich wojowników. Drugim błędem było popłynięcie wszystkimi pięcioma statkami. Powinien zostawić cztery statki na wyspie Moster, bo pięć stanowiło małą flotę, czyli jawne zagrożenie, a w fiordzie Erlend Håkonsen stał na pokładzie swego statku, mając ze sobą najlepszych wojów. Kilka dni wcześniej przybyli potężni hovdingowie, każdy z hærpilem<sup>18</sup> w rękę, bez żenady wkroczyli do halli jarła, żądając od Erlenda, żeby zdradził miejsce ukrycia ojca. Buntowi przewodził mężczyzna imieniem Orm, pełen wściekłości i nienawiści za to, że jarl zagiął parol na jego żonę; mówiło się, że nie złoży broni, dopóki nie pozbawi jarła głowy i przyrodzenia.

Erlenda Håkonsona zapamiętano jako odważnego męża, ale z tego co mi wiadomo, to nie odwaga spowodowała, że podniósł kotwicę i opuścił Trondheim tego popołudnia. Wcześniej tego dnia przybyli do niego ludzie ojca i poprosili, żeby poześlował do Møre. Ojciec, który uciekał razem z niewolnikiem o imieniu Kark, chciał tam się przedostać i spotkać syna, a potem obydwaj mieli odpłynąć i zostawić Trøndelag zbuntowanym rodom; chłopci zwrócili się przeciwko nim, władza została utracona. Erlend wypłynął najszybszym statkiem, jaki miał, i ponoć, kiedy załoga rozwinęła żagiel, chłopci już stali na lądzie, posyłając strzały w jego kierunku.

Szlak, którym wpływa się do Trondheim, jest dobrze osłonięty, ale wieczorem nadal mieliśmy wschodni wiatr. Dlatego wciąż siedzieliśmy przy wiosłach plecami do dziobu, podczas gdy sternicy utrzymywali statki na szlaku. Ten szlak przebiega najpierw cieśniną w kierunku północno-wschodnim, po czym za cyplem otwiera się nowa, biegnąca prosto na południe cieśnina schowana za kilkoma wystawionymi na wiatr okrągłymi skałami.

I to za te okrągłe skały wpłynął Erlend swoim statkiem. Usłyszeliśmy okrzyki mężczyzn na płynącym przodem statku Olafa, nawet jego pies szczekał; oczy Asgeira przy wiosle sterowym zrobiły się wielkie ze strachu. Ryknął, że musimy nadal wiosłować, to jedyna rzecz, o której mamy myśleć, i żeby nikt nie ważył się teraz odwrócić.

Wszyscy się odwróciliśmy. Byliśmy tuż przy końcu cypla i widzieliśmy maszt i żagiel wystające nad skałę. Statek Olafa wyprzedzał nas o kilka długości i usłyszałem, jak Sigurd ryczy do mężczyzn na przedzie, żeby zahamowali wiosłami; tak zrobiono i statek zwolnił. Teraz również Asgeir krzyknął, że mamy zdecydowanie włożyć wiosła w wodę.

Wtedy niewiele rozumiałem z tego, co się dzieje, pewnie niewielu z nas to rozumiało. Kiedy przesunęliśmy się obok cypla, zobaczyliśmy ciągnącą się na południe cieśninę. Tędy przebiegał szlak wiodący do Trondheim. Ale statek, którego fragment zobaczyliśmy nad cyplem, pruł prosto na nas pod pełnym żaglem i z pracującymi wiosłami. Na pokładzie znajdowali się Erlend i jego najwierniejsi ludzie, najlepsi wojowie jarla, zaprawieni w bojach i zahartowani. Erlend sam uchodził za okrutnika, palił i ścinał, próbując odstraszyć ludzi od wystąpienia przeciwko ojcu. Płynął prosto na nas i sądząc po prędkości, miał nadzieję natychmiast przełamać linię statków, którą utworzyliśmy w poprzek cieśniny.

Asgeir ryknął do łuczników, żeby byli w gotowości. Bjørn trącił mnie łokciem i pobiegł do środkowego luku, gdzie spod pokładu podawano tarcze. Trzęsącymi się rękami założyłem ciężką na łuk, po czym chwyciłem kołczan ze strzałami i przyczepiłem do pasa. Ustawiłem się na środku pokładu, tak jak inni łucznicy, a Bjørn z tarczą zajął miejsce przede mną.

– Strzelać! – Okrzyk zabrzmiał z przodu na statku Olafa, gdzie mężczyźni z tarczami

przykucnęli, umożliwiając łucznikom posłanie strzał w kierunku statku Erlenda.

– Strzelać! – usłyszałem krzyk Asgeira. – Na Odyna, strzelać!

Bjørn przykucnął, ja założyłem strzałę na cięciwę i napiąłem łuk. Ręka mi drżała, widziałem mężczyzn tłoczących się na dziobie tamtego statku, grozili podniesionymi w górę toporami i ryczeli jak dzikie zwierzęta. Byli o rzut kamieniem od nas. Utkwiłem wzrok w jednej z brodatych twarzy i wypuściłem strzałę. Zobaczyłem, jak leci, a potem wbija się dokładnie w czoło mężczyzny. Bjørn szybko odwrócił się do mnie, zaśmiał się zdumiony, a potem wyciągnął jednoręczny topór przytroczony do pasa i znowu obrócił się w kierunku wroga.

– Strzelać! – zabrzmiał znowu głos Asgeira. – Strzelać! Strzelać!

Posłałem kolejną strzałę. Tym razem poszła za wysoko, przeleciała nad głowami mężczyzn i utkwiała w żaglu. Nakładając na cięciwę trzecią strzałę, zobaczyłem Fenrego – stał na środku pokładu i pisał. Pamiętam, że Asgeir z wściekłością ryczał moje imię, kiedy rzuciłem łuk i skoczyłem w kierunku psa. Bjørn pobiegł za mną z tarczą, osłaniając mnie, gdy brałem Fenrego na ręce. I już byłem przy łuku, ale ponieważ Fenre miał tylko trzy łapy, nie był wystarczająco silny, żebym mógł go opuścić w dół. Kiedy schodziłem po drabinie, Asgeir znowu do mnie zaryczał, że własnoręcznie mnie zarąbie, jeśli natychmiast nie wrócę na swoje stanowisko.

Pod pokładem panowała dziwna cisza. Stałem pośród skrzyń Olafa, mając poczucie, jakby czas się zatrzymał. Nie mogłem tam długo stać, pewnie nie trwało to dłużej niż jeden wdech, bo nagle zobaczyłem w łuku twarz Bjørna. Krzyczał do mnie, że muszę wrócić na pokład, muszę walczyć!

Pamiętam, że znowu stoję na pokładzie. Trzymam napięty łuk, ręka z cięciwą jest przy policzku, wzrokiem podążam za statkiem jarła. Stoi przed dziobem statku Olafa, próbując się przebić.

Strzelam w kierunku jednego z mężczyzn na pokładzie. Na morzu rzadko jest tak jak na polu bitwy, gdzie łucznicy posyłają w kierunku wrogiego wojska chmary strzał. Dla każdej musisz znaleźć jakąś twarz, jakieś ciało, żywego człowieka jak ty sam, a wypuszczając ją, wiesz, że jeśli trafisz, oczy, które właśnie zobaczyłeś, wkrótce zgasną.

Tego wieczoru położyłem trupem trzech wojów tylko czterema strzałami. Statkowi



Erlenda nie udało się przedrzeć obok dziobu statku Olafa, bo Sigurd ponownie wydał rozkaz, żeby mocno hamować wiosłami. O wiele większy i cięższy statek Olafa trafił statek Erlenda w sam środek burty. Rzucono haki i statek wroga nie mógł już odpłynąć. Olaf grasował po morzu od dwudziestu lat i prawdopodobnie nie było w tym czasie lepszego wojownika morskiego niż on. Teraz miał pięć statków, a ten obcy, który tak szybko płynął z Trondheim, miał tylko jeden. Olaf był chyba pewny zwycięstwa, licząc na wyrżnięcie wrogów własnoręcznie, zanim dopłyną tam pozostałe statki.

Ale kiedy statek Erlenda został uderzony przez dziób statku Olafa, zaczęła się do niego wlewać woda. Dlatego Erlend rozkazał swoim wojom przedostać się na statek wroga. Ich jedyną szansą było wycięcie w pień załogi Olafa i odpłynięcie jego statkiem.

Olaf musiał być zaskoczony, zobaczywszy, że wojowie ze statku Erlenda przyciągają do siebie liny abordażowe. Wkrótce obydwie statki leżały obok siebie burta w burte, a ludzie Erlenda wskakiwali na pokład.

To był straszny widok. Wyczerpani wiosłowaniem towarzysze Olafa w ogóle nie byli na to przygotowani. Wojowie jarla wdarli się tłumnie przed maszt i wkrótce wyrżnęli wszystkich na dziobie, a resztę zepchnęli na rufę. Niedobitki załogi Olafa nie miały innego wyjścia jak pośpiesznie utworzyć mur tarcz w poprzek pokładu, a Olaf i Sigurd wycofali się na pokład rufowy.

– Do wiosła! – krzyknął Asgeir.

Pamiętam, że siadając na skrzyni, miałem nadzieję, że stchórzył i każe nam stamtąd odpłynąć. Ale on ręką wskazał w przód.

– Wiosłować! Wiosłować!

Statek Olafa zdryfował na północ i oddalił się od nas, był przecież przycumowany do statku Erlenda, a tam żagiel nadal stał napięty na wietrze. Za nami płynęły trzy pozostałe statki. Wiosła uderzały o wodę. Ci, którzy nie wiosłowali, stali przy nadburciu gotowi przyjść z odsieczą Olafowi.

Jest we mnie dziwne uczucie, kiedy myślę o tamtym wieczorze. Nie jest to strach, bo strach opuścił mnie w chwili, gdy Asgeir skierował nas do prawej burty statku Erlenda i gdy przerzucono haki. Pamiętam, że puszczam wiosło i wstaję. Bjørn stoi na środku pokładu z tarczą. W lewej ręce trzyma schowany za tarczą saks. W prawej ma topór gotowy do zadania ciosu. Ja wyciągam zza pasa swoją broń i podchodzę do niego. On

trąca mnie łokciem i rzuca mi szybki uśmiech.

Żadnego strachu. Raczej jakaś gorączka, która mnie ogarnia, kiedy przeskakuję za bratem nad krawędziami burt. Wpadamy na statek Erlenda i chwilę później, gdyby nie Bjørn, wszystko mogło się dla mnie skończyć, bo nisko z boku leci na mnie żeleźce topora, który odrąbałby mi nogę. Ten cios kieruje we mnie ogromny, łysy mężczyzna. Ma wielki brzuch i potężne barki, obydwoma rękami ściska długie drzewce topora. Ale Bjørn napiera na niego tarczą tak, że ostrze topora tylko lekko kaleczy moją łydkę. Brat staje z tarczą przeciwko temu potężnemu mężczyźnie, który puszcza topór i uderza Bjørna w kark pięścią. Bjørn krzyczy do mnie:

– Bij go, Torstein! Zabij!

Nie pamiętam, żebym się zawahał. Gdybym się wahał tego wieczoru, nie mógłbym teraz o tym opowiadać. Mam topór w garści, zadaję cios wyprostowanym ramieniem i trafiam woja jarla prosto w środek czaszki. Stoi chwilę, oczy uciekają w tył głowy, z nosa płynie krew. Potem pada na kolana i przewraca się do przodu. Topór zaklinował się w czaszce, drzewce wyslizguje mi się z rąk i muszę oprzeć stopę o jego głowę, żeby je uwolnić.

Przebiliśmy się na środek pokładu, gdzie rzuciło się na nas dwóch mężczyzn. Wbiłem topór w pierś jednego z nich. Ani my, ani wojowie Erlenda nie mieliśmy na sobie kolczug, wszystkie trafione ciosy lub pchnięcia przebijały skórę i mięśnie. Ten, którego uderzyłem, potyka się i pada na kolana tuż przede mną. Widzę sztylet w jego ręce, mój kolejny cios odcina mu przedramię. Z kikuta tryska strumień krwi, trafia mnie w udo, czuję ciepło, mam wrażenie, jakbym zsiąkał się w spodnie. Wtedy nieszczęśnik wstaje i chwiejąc się, oddala ode mnie. Trzyma się za kikut, nie wydając z siebie żadnego dźwięku. Bjørn, który stoi plecami do moich pleców, krzyczy:

– Musimy do Olafa! Dawaj!

Ludzie Asgeira oczyścili już z wojów cały pokład Erlenda. Dwa z naszych pozostałych statków dobijały właśnie do burty statku Olafa po drugiej stronie, Erlend zrozumiał, że to już koniec. Kiedy Bjørn i ja wdrapywaliśmy się na statek Olafa, Erlend rozkrzyżował ręce i wydał z siebie straszliwy ryk, który nagle umilkł, gdy w bok wbiła mu się strzała. Skulił się nieco, ale nadal stał.

Olaf, Sigurd i zaledwie dziesięciu ocalałych mężczyzn zebrało się na pokładzie

rufowym. Pomyślałem, że temu trafionemu strzałą mężczyźnie tam na ławce prawie się poszczęściło. Gdyby jemu i załodze udało się zabić Olafa i pozostałych na rufie, mogliby zasiąść do wiosł i umknąć, ale teraz było już na to za późno.

Nie brałem udziału w dorzynaniu ostatnich wojów jarla. Bjørn i ja staliśmy tylko, kiedy mężczyźni z pozostałych statków wpadali na pokład i włóczniami przebijali broniących się. Wkrótce został jedynie Erlend. Olaf podszedł do niego z mieczem, ale wtedy Erlend odwrócił się i wyskoczył za burtę.

Mówią, że Olaf zabił syna jarla, rzucając w niego drążkiem od steru, choć nie sądzę, żeby Erlend zdołał dopłynąć do lądu, nawet gdybyśmy mu na to pozwolili. Kiedy rzucił się do wody, Olaf wpadł w szal, podniósł zaciśnięte pięści nad głowę i wściekle krzyczał. Następnie podbiegł do nadburcia i spojrzał w dół. Mógł rzucić w Erlenda włócznią albo toporem, ale on wyłamał drążek u steru – to był mankament tych statków, że drążki łatwo się obluźowywały – i rzucił nim w wodę. Potem stał przez chwilę, wpatrując się w to miejsce, a my, członkowie załóg, milczeliśmy. Ranni wokół nas jęczeli, niektórzy wyli z bólu. Olaf się śmiał. Spojrzał na nas, wskazał palcem na wodę, zaczął się śmiać na całe gardło, po czym wykrzyknął:

– Dajcie mi nowy drążek! Ty tam, szkutniku! – Wskazał na mnie palcem. – Wystrugaj mi nowy drążek, bo ten stary chyba się złamał!

Ze śmiechem podniósł miecz nad głowę. Sigurd zrobił to samo, nie uśmiechając się. Tym samym my, członkowie załóg, musieliśmy podnieść w górę broń i na pokładach wybuchł szal radości.

Olaf kazał wciągnąć trupa Erlenda na pokład. Nie wiedzieliśmy jeszcze, że to on, ale ponieważ był jednym z ostatnich, którzy zginęli i ponieważ jego ludzie bronili go do końca, przeczuwaliśmy, że jest kimś wysoko urodzonym. Jeden z mężczyzn z naszego statku imieniem Styrbjørn, prawdopodobnie pochodzący znanad tego fiordu, podszedł do zwłok i dobrze się im przyjrzał, a potem szepnął coś na ucho Sigurdowi. Ten z powagą skinął głową, a potem przyciągnął Olafa do siebie i cicho przekazał mu słowa Styrbjørna. Olaf przybrał poważny wyraz twarzy, po czym podniósł wzrok na nas wojowników i wykrzyknął, że zabiliśmy Erlenda, jednego z synów jarla.

Pamiętam, że to jedno słowo przeraziło mnie. Zabiliśmy go, my go zabiliśmy, nie Olaf. Wszyscy byliśmy za to odpowiedzialni.

Słońce chyliło się ku zachodowi. Wolałbym, żeby był to środek nocy, bo wtedy nie widziałbym twarzy rannych. Każdy ma wspomnienia, które go dręczą, a to jest jedno z moich. Olaf kazał nam dobić rannych wojów jarla. Pchnięcie włóczni albo cios topora rzadko zabija od razu. Sprawia, że człowiek upada na ziemię, zamienia się w jęczący, krwawiący tłumok, ale często potrzeba czasu, żeby wykrwawił się na śmierć, a Olaf nie chciał czekać. Bjørn chwycił mnie mocno za ramię i spojrzał mi twardo w oczy, mówiąc: „Ty też, Torsteinie”. Potem popatrzył na leżącego koło masztu i wijącego się z bólu mężczyznę, który obiema rękami trzymał się za brzuch.

Pamiętam szeroko otwarte oczy w zarośniętej twarzy. Przez chwilę patrzyliśmy na siebie, po czym mężczyzna zamknął oczy i odwrócił głowę. Podniosłem topór i pomyślałem, że jeśli tylko pozwolę mu opaść na czoło mężczyzny, będzie po wszystkim. Wahałem się. W trakcie bitwy opanował mnie szal, po którym teraz nie było śladu. Podniosłem topór, szykując się do ciosu, ale nie potrafiłem go zadać.

Nagle Bjørn usiadł obok rannego mężczyzny i szybkim ruchem podciął mu gardło. Buchnęła krew. Bjørn pozostał tak z ręką na ramieniu konającego mężczyzny, który patrzył na mnie, jakby myśląc, że ja to zrobiłem.

Chwilę później skonał. Oczy się zamknęły, głowa opadła. Wtedy Bjørn zerknął na mnie.

– Nie wolno ci się wahać. Nie wtedy, gdy Olaf patrzy.

Nie dobiłem żadnego rannego tego wieczoru. Następne, co pamiętam, to że jestem znowu na statku Asgeira. Siedzę na skrzyni wioślarskiej, a Bjørn przy palenisku. Nad ogniem wisi kocioł, para unosi się nad wrzącą wodą. Wokół leży dziesięciu mężczyzn, niektórzy ciężko ranni. Valdemar stracił jedną dłoń, kawałki kości wystają spomiędzy mięśni i ścięgien. Pomyślałem, że dziwnie wyglądają te kości, przypominają drzazgi suchego drewna jesionu.

Umarł tej nocy, a oprócz niego jeszcze trzech mężczyzn. Statki Olafa wróciły na szlak, spędziliśmy noc, kotwicząc w zaciszu wyspy Hitra. Olaf przyholował statek Erlenda i gruntownie go splądrował, a potem pozwolił mu podryfować na otwarte morze na wietrze wiejącym od lądu. Na pokładzie nie było wielkich bogactw, a srebra Olaf miał już wystarczająco dużo. Znajdowały się tam jednak wiązki strzał, baranice, kilka sztuk żelaza, wiosła, no i żagiel. Zostały przeniesione na inne statki przez załogi,

które nie zdążyły dołączyć do Olafa przed zakończeniem bitwy. Wszystko odbyło się szybko, chociaż nie tak to zapamiętałem.

Załogi niebiorące udziału w walce zajęły się przenoszeniem zdobyczy, bo niewielu z walczących uniknęło ran i okaleczeń. Bjørn się rozebrał i położył nago na pokładzie, a Ragnar Młot i ja oblaliśmy go kilkoma cebrażkami wody morskiej. Potem podszedł do nas Øystein Łapsko z wygotowaną nicią jedwabną i igłą tak cienką, że przypominała źdźbło trawy. Bjørn miał skaleczenie w górnej części barku. To jedyna rana, jaką na nim znaleźliśmy, ale była długa na trzy palce; Øystein odchylił jej brzegi, a kilku innych przemyło ją ciepłą wodą. Bjørn wił się, kiedy Øystein zszywał ranę, ale nie wydał z siebie żadnego dźwięku.

Kiedy przyszła na mnie kolej, znaleźliśmy siniaki na rękach i nogach, a z tyłu prawej łydki dwie rany cięte. Nie zaskoczyło mnie, że właśnie tam zostałem trafiony. Ta noga nie była tak szybka jak druga.

– Nic nie poczułeś? – zapytał Øystein, kiedy mnie położył i obmywał.

– Nie.

– Prawdziwy berserk z ciebie!

Øystein umilkł, a potem odchrząknął i mruknął do pozostałych, żeby mnie przytrzymali. Bjørn, Ragnar Młot i inni zaczęli chyba od tego wieczoru uważać mnie nie tylko za mężczyznę, ale też za kogoś, kogo dobrze jest mieć na pokładzie. Bo nie jęczałem. Nie wiłem się. Od Ragnara Młota przytrzymującego mnie za ramiona dobiegło parę słów zdradzających, że jest człowiekiem starej wiary.

– Jesteś odważny jak Tyr, Torsteinie.

Ale to strach, nie odwaga sprawił, że leżałem tak spokojnie. Myślałem, że jeśli w rany wda się zakażenie, noga będzie jeszcze słabsza. Dlatego nie śmiałem się poruszyć, kiedy otwierali rany i przemywali je wodą, leżałem też całkowicie spokojnie, kiedy Øystein Łapsko zszywał mnie jedwabną nicią. Nie miałem odwagi zachować się inaczej.

Po tym jak rannych opatrzone, pozszywano i ponownie ubrano, na pokładzie pojawiły się beczki z piwem. Ale tylko ranni mogli pić tego wieczoru, żeby złagodzić ból. Pozostali musieli zachować trzeźwość, bo nadal nie wiedzieliśmy, czy ludzie jarla nie

obserwowali bitwy i czy zniecacka nas nie zaatakują. Dostaliśmy rozkaz, żeby trzymać broń w pogotowiu i nie zdejmować cięciw z łuków.

Bjørn, Ragnar Młot i ja trzymaliśmy się razem tego wieczoru. Ragnar, jeden z niewielu, którzy nie zostali nawet zadraśnięci, obiecał, że będzie nad nami czuwał, jeśli zechcemy się przespać. Lecz ani Bjørn, ani ja nie zazналиśmy wytchnienia tej nocy. Po bitwie często tak jest; niepokój siedzi w człowieku jeszcze długo potem. Położyłem się na plecach ze zranioną łydką opartą o udo Bjørna i zwiniętą skórą pod głową, żeby móc pić. Na niebie nie było gwiazd ani księżycy, może Olaf powinien nakazać szyprom wygasić ogniska, wtedy bylibyśmy całkowicie ukryci. Nie zrobił tego. Statki zakotwiczone tak, że każdy zwrócony był w inną stronę świata, a statek Olafa stał w środku. Gdyby ludzie jarla zaatakowali, miałyby dzięki temu pewną ochronę.

Wkrótce Bjørn i Ragnar Młot zwrócili twarze w kierunku statku wodza, wielu mężczyzn podniosło się i podeszło do nadburcia. Je też się podniosłem. Bjørn nalegał, bym leżał, tu nie ma nic do oglądania, stwierdził. Ale ja pokuśtykałem do nadburcia i zobaczyłem mężczyznę wiszącego pod reją na statku Olafa.

– Myślałem, że zabiliśmy wszystkich – dobiegł mnie głos Konia, po czym ten splunął w wodę.

Wyglądało na to, że Olaf i załoga obwiązali sznurem kostki u nóg jeńca, bo wisiał ze stopami w górze i głową na wysokości głowy Olafa. Ręce miał związane z tyłu i był całkowicie nagi.

Bjørn wiedział chyba, na co się zanosi, bo chwycił mnie za ramię i nalegał, żebyśmy poszli się położyć. Zostałem. Olaf podszedł do jeńca z nożem w ręku i zrobił nim długie nacięcie w poprzek jego klatki piersiowej. W ciemności rozległ się krzyk bólu. Następnie cofnął się o krok i wymierzył cios, który trafił nieszczęśnika prosto w twarz.

Po tym, co zobaczyłem tej nocy, Olaf nigdy nie był już dla mnie tym samym człowiekiem. Przedtem podziwiałem go, było w nim coś wielkiego, niemal boskiego. Ale kiedy stałem, patrząc, jak zamęcza woja jarla na śmierć, widziałem tylko zwykłego herszta zbójów. Raczej nie było trudno zmusić tego człowieka do mówienia, myślę, że powiedział wszystko, zanim powieszono go głową w dół. Czy Olaf miał zamiar pokazać nam, jak strasznym człowiekiem potrafi być, czy dlatego zabił tego woja w tak okrutny sposób? Sigurd podał Olafowi włócznię, a ten wepchnął ją siłą w usta jeńca. Sigurd

i jeszcze jeden mężczyzna podszedł i przytrzymał jeńca za ramiona. Olaf wpychał włócznię, aż jej ostrze wyszło z brzucha jeńca. Jeszcze nie skonał, ale Olaf jakby stracił nim zainteresowanie, bo podszedł do swojego psa i pogłaskał go po karku. Jeniec został spuszczonej na pokład, włócznię wyjęto. Sigurd przechylił go przez burzę, poderżnął mu gardło, po czym wrzucono ciało do wody.

Bjørn milczał przez resztę wieczoru i nie pił już więcej. Ja siedziałem z plecami opartymi o nadburcie. Fenre zrozumiał pewnie, że okropnie się czuję, bo podszedł i położył się mi na kolanach. Bjørn musiał wiedzieć, jakim człowiekiem jest Olaf, zapewne nie pierwszy raz uczynił coś takiego. Mimo to wybrał służbę u niego. Co powiedziałby na to ojciec? Nie podobałoby mu się, że służymy zbójowi. Pamiętam, że Bjørn siedział, patrząc przed siebie, a ja chciałem, żeby coś powiedział, choć kilka słów, które świadczyłyby o tym, że nie podoba mu się czyn Olafa. Ale o ile sobie przypominam, siedział w milczeniu przez całą noc.

Musiałem zasnąć gdzieś nad ranem, bo pamiętam, że się budzę, kiedy Bjørn lekko trąca mnie nogą w ramię. Kręci głową, a ja czuję, że płaczę. Potem znowu zapadam w sen, jestem na pokładzie statku, Bjørn i ja przeskakujemy przez nadburcie na pokład statku Erlenda Håkonsona. Teraz wszystko widzę wyraźniej: błyskają groty włóczni i ostrza toporów, wojowie wbijają w siebie nawzajem sztylety i saksy, a mężczyzna przy nadburciu przytrzymuje wylewające się wnętrzności. Widzę swoją stopę na głowie woja jarla i słyszę zgrzyt przy oswoadzeniu ostrza topora.

Odebranie życia drugiemu człowiekowi jest czymś bardzo brutalnym.

Padło, gdy się obudziłem. Szarzało. Mężczyźni na pokładzie wysuwali na zewnątrz wiosła. Bjørn skinął na mnie, siedział już z wiosłem w rękach. Ledwo zdążyłem się podnieść, kiedy usłyszałem głos Sigurda dobiegający ze statku Olafa:

– Wiosłować!

W jednej chwili wiosła zanurzyły się w wodzie, a sternicy ponownie skierowali statki w głąb fiordu.

Od jeńca Olaf dowiedział się, że chłopci przejęli wszystkie gospodarstwa w regionie, do którego teraz płynęliśmy, a Erlend został zmuszony do ucieczki. Dlatego Olaf pewnie myślał, że udając się tam, nic nie ryzykuje. Jeszcze tego nie wiedzieliśmy, ale

wielu z jego najwierniejszych ludzi od dawna już krążyło wśród chłopów, podburzając ich.

Słyszałem, jak ludzie opowiadali, że Olaf płynął w głąb Trondheimsfiordu z trupem syna jarla powieszonym na maszcie i że my, jego ludzie, staliśmy za burtą z mieczami i toporami, rycząc jak dzikie zwierzęta. Na plaży poniżej budynków gospodarskich walczyliśmy rzekomo przeciwko pogańskiej hordzie ludzi jarla, ale Biały Chryst był z nami i wyrzneliśmy ich, sami nie odnosząc ani jednej rany. To było kłamstwo, nie tak się to odbyło. Tego ranka nie napotkaliśmy żadnego oporu, dwór w Lade został już przechwycony przez ludzi lojalnych wobec Olafa. Ponieważ to Bjørn siedział teraz przy wiośle, stałem przy nadburciu, spoglądając na ląd. Ragnar Młot poprosił mnie, żebym był w gotowości. Znajdowały się tu zatoczki i cieśniny, w których mogły się czać statki jarla. Pamiętam, że zerknąłem na swój topór, na rękę trzymającą drzewce. Deszcz zmył krew z żeleźca, ale moja ręka nosiła ślady walki z poprzedniego dnia. Miałem zdartą skórę na dwóch kostkach i podrapany wierzch dłoni.

Wkrótce dotarliśmy do końca ciągnącej się na południe cieśniny, w której natknęliśmy się na statek Erlenda. Tutaj otworzyła się przed nami wewnętrzna część fiordu. Może żaden był ze mnie rolnik, ale i ja spostrzegłem, że tutejsza ziemia jest bardzo żyzna. Na drzewach nie rosły jeszcze liście, nisko nad polami zalegała mgła. Fiord był bardzo długi. Z cieśniny, z której właśnie wypłynęliśmy, ciągnął się w kierunku północno-wschodnim między niskimi wzgórzami i polami uprawnymi. Tutejsze plony z pewnością wystarczały, żeby wyżywić jarla i wszystkich jego ludzi, dlatego uderzyło mnie, że był tak strasznie chciwy. Co w ogóle robił na południu? Jeśli to jego ludzie przybyli do osady kupieckiej i jeśli to oni zabili ojca, co robili aż w Viken?

Podczas gdy statki płynęły w głąb fiordu, Asgeir Portki przemówił do nas.

– Walczyliście wczoraj, mężowie! Walczyliście jak synowie Odyna! Bądźcie w gotowości! Jeśli są tu ludzie jarla, to czają się w tym dworzyszczu! A Olaf chce je właśnie zdobyć.

Zostawiłem swój łuk za nadburciem, cięciwę zdjąłem poprzedniego wieczoru. Teraz ponownie ją założyłem. Kołczan przyczepiłem do pasa.



Dwór w Lade leżał dość daleko na południe w Trondheimsfiordzie, na wschód od dużego, pokrytego lasem cypla. Statek Olafa płynął jak zwykle z przodu, my płynęliśmy za nim i wkrótce zobaczyliśmy, że kieruje się tam, gdzie do fiordu uchodzi szeroka rzeka o nazwie Niden. Tuż przy ujściu znajduje się plaża, do której można dopłynąć statkami przy użyciu wiosł. Tak zrobiliśmy i wkrótce staliśmy na lądzie, czując jeszcze kołysanie morza w nogach. Sigurd krzyknął wściekle, ustawiając nas w dwuszereg, i zaraz ruszyliśmy drogą pod górę, a potem przez gliniaste pole. W głębi, między drzewami i kępami trawy, widoczne były resztki śniegu, bo zima w Trøndelagu jeszcze się nie skończyła.

Znajdowaliśmy się w środku terenu, który później stał się ośrodkiem handlu znanym jako Trondheim. Jeszcze nie założono tu miasta; Olaf i jego namiestnicy uczynili to kilka lat później. We mgle majaczyły budynki gospodarstwa i stajnie i niemal spodziewałem się wypadających stamtąd wojowników biegnących prosto na nas. Słysząc było jakby wydobywający się spod ziemi szept. Może byliśmy w drodze do królestwa podziemnych istot, którego nie miała się żelazna broń i gdzie wszyscy zostalibyśmy zakłęci na wieczność. Bjørn trącił mnie łokciem, surowym spojrzeniem nakazując, żebym wziął się w garść, więc ścisnąłem mocniej łuk jedną ręką, drugą przytrzymałem strzałę za lotki, żeby nie hałasowały w kołczanie. W trakcie naszego marszu chmury odpłynęły, a słońce rozpędziło mgłę.

Okazało się, że znajdujemy się tylko o kilka strzałów z łuku od dworu w Lade. Byliśmy na środku pola, które ciągnęło się aż do budynków gospodarstwa. Znajdowała się tam halla z wysokim, łukowato sklepionym dachem – najwspanialszy budynek, jaki kiedykolwiek widziałem. W masywnych słupach narożnych z daleka można było dostrzec wyrzeźbione sylwetki bestii i wojowników zastygłych w wiecznej walce. Kalenice zwieńczono smoczymi głowami, dach pokryto starannie przyciętymi drewnianymi płytami. Wokół halli stały stajnie, obory i domy dla niewolników, również pięknie zdobione. Nie rosły tu drzewa, a pola ciągnące się od gospodarstwa były oczyszczone z kamieni i nierówności. Nigdy przedtem nie widziałem tak wspaniale utrzymanych pól. Martwiło mnie, że gdyby teraz wyszli nam naprzeciw jacyś ludzie, byliśmy zupełnie odsłonięci. Powiedziałem o tym Bjørnowi, który odparł, że zacząłem myśleć jak wojownik, muszę jednak polegać na Olafie, bo on zawsze wie, co robi.

Sigurd kazał nam się rozproszyć i ledwo zdążyliśmy zająć pozycje, z głównego budynku wyszli mężczyźni. Nie było ich wielu, chyba nie więcej niż dwudziestu. Jeden wystąpił naprzód i podniósł nad głową coś jakby strzałę. Wtedy Olaf wystąpił nieco przed szereg i podniósł do góry pięść.

– Hærpil – powiedział Bjørn. – Ten człowiek chce wiedzieć, czy przyjmujemy jego wezwanie. Wygląda na to, że Olaf przyjmuje.

Później dowiedziałem się, że to sam Orm Lyrgja wyszedł nam naprzeciw. Orm pierwszy sprzeciwił się jarlowi. Kilku niewolników z dworu jarla przybyło raz do jego gospodarstwa, mieli wrócić z żoną Orma; jarl słyszał o jej urodzie i chciał spędzić z nią noc. Orm wygonił niewolników i posłał hærpil z gospodarstwa do gospodarstwa, a ci, którzy przyjęli wezwanie, zobowiązywali się do buntu przeciwko jarlowi i jego synom. Tak to się zaczęło.

Olaf i Sigurd ruszyli w stronę mężczyzn. Spotkali się w połowie drogi między nami a hallą. Widzieliśmy, jak Olaf bierze strzałę wręczoną mu przez Orma, doszło chyba do wymiany kilku słów, ale byli zbyt daleko, żebyśmy mogli usłyszeć, o czym mówią. W każdym razie Olaf i Sigurd poszli z mężczyznami do halli, a my pozostaliśmy na zewnątrz.

Sporo czasu minęło, zanim Olaf i Sigurd pojawili się ponownie na zewnątrz. Każdy z nich miał w ręku połączony róg pitny, Olaf wyglądał na bardzo zadowolonego. Stanął przed nami, pociągnął solidny łyk i podniósł róg.

– Wszystko gotowe, mężowie! Gotowe!

Zrazu nie zrozumiałem, co ma na myśli. Zaśmiał się i znowu popił, a potem kontynuował:

– Chłopi wypędzili jarla i wszystkich jego ludzi. Popatrzcie na ziemię pod waszymi stopami, mężowie! Popatrzcie na nią!

Zrobiliśmy, co nam kazał, popatrzyliśmy na ziemię pod naszymi stopami. Według mnie nie odznaczała się niczym szczególnym. Była dosyć gliniasta, ale poza tym wyglądała całkiem zwyczajnie.

– To wasza ziemia, mężowie! Bo wszystko, co zwą Norwegią, od tej pory będzie nasze! Wracajcie na statki i czekajcie tam na mnie!

Olaf miał pewnie wiele do powiedzenia Ormowi i pozostałym buntownikom, bo po

powrocie na statki musieliśmy na niego czekać cały dzień i dużą część wieczoru.

Mówi się, że świętowaliśmy zejście na ląd przez trzy dni. Tak zrelacjonowali to skrybowie z południa. W rzeczywistości nie wolno nam było skosztować piwa ani miodu, a kiedy Olaf wrócił z Lade, nie ruszał się ze swojego statku. Chyba nigdy nie czuł się całkowicie bezpiecznie, mając ląd pod stopami.

Wkrótce miał zostać uznany za króla Norwegii, a Orm Lyrgja i inni wpływowi chłopci stali się jego sprzymierzeńcami. Floty liczącej sto statków i rzekomo czekającej na Olafa nie było. Ale Olaf miał srebro i tym srebrem przekupił owego wieczoru Orma i innych możnych. Kiedy w końcu wrócił na statek, nie był sam. Towarzyszył mu Orm i reszta mężczyzn, którzy wyszli mu naprzeciw na podwórku, a ci mieli ze sobą służbę. Olaf kazał wydobyć spod pokładu sześć skrzyń, opuszczono je na linach z dziobu statku. Bjørn i ja staliśmy przy nadburciu, widzieliśmy, jak Orm i pozostali otwierają skrzynie w świetle pochodni, jak grzebią w srebrnych monetach chciwymi rękami. Potem wieka skrzyń zamknięto, a skrzynie poniesiono w głąb lądu.

Następnego dnia dostaliśmy rozkaz spalenia naszych poległych. Najpierw była mowa o tym, żebyśmy przeprawili ich łodziami na wyspę zwaną później Munkholmen, czyli wyspą mnichów, chociaż wtedy nie było tam żadnych mnichów. My, członkowie załóg, uznaliśmy ją za dobre miejsce spoczynku dla naszych wojowników, ale Olaf, zastanowiwszy się przez chwilę, zdecydował, że zwłoki zostaną spalone na plaży. Asgeir posłał mnie, Bjørna i kilku innych na ląd, żebyśmy narąbali drewna, a ponieważ potrzebowaliśmy suchych pni, musieliśmy pójść daleko w głąb lądu. Las wokół Lade od dawna był kompletnie oczyszczony z suszu. Wzięliśmy z dworu kilka szkap, a prowadzący konie Trøndelagczycy nie spuszczały z nas oka. Chyba bali się, że toporami rozbijemy im czaszki, kiedy tylko odwrócą się do nas plecami.

Po powrocie na plażę wieczorem zobaczyliśmy, że statków przybyło. Większość z nich zakotwiczono w zatoczce, niektóre wciągnięto na plażę. Natychmiast zabraliśmy się do rąbania drewna, bo było jeszcze jasno, a według Bjørna zwłoki mogły wkrótce zacząć cuchnąć.

Po jakimś czasie podszedł do nas Sigurd. Opuściliśmy topory, białobrody przyglądał się nam. Był człowiekiem, którego nigdy nie widziałem uśmiechniętego; teraz jego

skwaszone spojrzenie padło najpierw na mnie, a potem na Fenrego obgryzającego jakąś gałązkę.

– Musisz naprawić jeden ze statków – rzekł ze wzrokiem utkwionym w Fenrem.

– Te statki... – Bjørn pojawił się obok mnie. – Należą do Olafa?

Sigurd przeniósł wzrok na niego.

– Olaf ma wielu przyjaciół. To tylko niektórzy z nich. Pomagali mu w czasie buntu, przygotowując nasze przybycie. Odtąd będą płynąć razem z nami. – Kiwnął na mnie. – Chodź ze mną, skutniku. Wy pracujecie dalej.

Poszedłem z Sigurdem plażą, Fenre nie ruszył się od swojej gałązki. Był piękny wieczór, słońce stało nisko nad kamienistymi wzniesieniami na zachód od fiordu. Woda była niemal całkowicie spokojna tego wieczoru, pachniało wodorostami i wysmołowanymi kadłubami.

Pomyślałem, że chociaż Olaf okazał się okrutnikiem, nie wolno mi zapomnieć całego dobra, jakie mi się przydarzyło, odkąd poprosił mnie, żebym z nim popłynął.

– Tam za drakkarem – powiedział Sigurd. – Widzisz? W poszyciu z przodu obluzowała się klepka.

Wskazał palcem. Zobaczyłem wystający zza jednego ze statków Olafa dziób mniejszego statku. Jedna z klepek odpadła ze stewy. Ponieważ ten mniejszy statek leżał schowany za dużo większym drakkarem, nie rozpoznałem go, dopóki nie obesłiśmy dziobu drakkara. Nagle poczułem, jak niewolnicza obroża znowu zaciska się na moim karku. Był to statek, w którym kiedyś siedziałem skuty. Statek Rosa.

Wiele się wydarzyło, odkąd Ros i jego ludzie mnie schwytali. Wtedy byłem dzieckiem. Teraz stawałem się mężczyzną. Jednak widok wysmołowanego na czarno statku leżącego na plaży szybko przeniósł mnie z powrotem w czasie. Poczułem, że nogi się pode mną uginają, owładnął mną paralizujący strach. Rozejrzałem się, szukając Rosa. Na pokładzie nikogo nie było. Wtedy pomyślałem, że ludzie Olafa pewnie zabili Rosa i jego załogę i przejęli statek, dlatego się tu znalazł.

– Dobrze się czujesz, chłopcze? – Sigurd dziwnie spojrzał na mnie, a potem na topór, który wyciągnąłem z zamocowania u pasa i mocno ścisnąłem w garści. – Wyglądasz, jakby ugryzł cię wściekły pies.

Wetknąłem topór z powrotem na miejsce i się wyprostowałem. Potem podszedłem do statku i przyjrzałem się poluzowanej klepce.

– Mogę wbić parę nitów – powiedziałem.

– To dobrze – odrzekł Sigurd. – I zrób to starannie. Właściciel tego statku jest dobrym przyjacielem Olafa.

Czasami życie przyjmuje nieoczekiwany obrót, kiedy bogowie bezlitośnie odcinają cię od tego, co było, pozwalając światu dookoła zmienić się tak szybko, że ledwo możesz nadążyć. Sigurd zauważył kogoś w oddali na plaży i uniósł rękę w geście pozdrowienia.

Podniosłem wzrok. W naszym kierunku szli Ros i Olaf. Chyba zeszli ze wzniesienia prowadzącego w stronę pól uprawnych. Zatrzymali się, Olaf pokazał ręką na morze, drugą położył na ramieniu Rosa, a Ros się zaśmiał.

Może powinienem był uciec. Musiałem wyglądać jak wystraszone zwierzę, oddech przyspieszył, a serce biło tak szybko, że aż boleśnie. Olaf zrobił szybki ruch przedramieniem, jakby trzymał w ręku włócznię i wpychał ją od góry. Pewnie chełpił się tym, jak zabił jeńca poprzedniego wieczoru. Potem ruszyli dalej, a Sigurd położył mi rękę na karku i tak pozostaliśmy, dopóki obydwaj mężczyźni nie podeszli do nas.

– Nasz skutnik – rzekł Olaf do Rosa, po czym podszedł do statku i dotknął obluzowanej klepki. – Obejrzałeś to, skutniku? Potrafisz naprawić?

Nie odpowiedziałem. Ros stał, przyglądając mi się z ukosa, kiwnął powoli głową, na ustach pojawił mu się uśmiezek. Podobnie jak inni ważni ludzie Olafa, miał na sobie długą niebieską tunikę, a na obydwu przedramionach srebrne obręcze. Urosła mu długa broda, włosy miał odgarnięte z twarzy i związane z tyłu. Na czole widniała dość świeża szrama.

Olaf spojrział na Rosa, a potem na mnie. Zatkanął palce za pas i odchrząknął.

– Wygląda na to, że się znacie?

– Ale nie jako przyjaciele – dodał Sigurd. – Widzę to wyraźnie. – Wyciągnął miecz i włożył między nas. – Dowiedzmy się zatem, co to za wrogość.

Ros nosił miecz, tak jak Olaf i Sigurd, jedna ręka już spoczywała na rękojeści.

– Niech chłopak gada – mruknął.

Olaf i Sigurd zwrócili się do mnie.

– Spotkałeś już kiedyś tego człowieka? – zapytał Olaf.

– Tak.

– Więc opowiedz mi, jak do tego doszło.

Nagle wybuchła we mnie wściekłość tak gwałtowna, że na chwilę zapomniałem o strachu; stałem z toporem w ręku, gotów rzucić się na człowieka, który mnie skulił i odebrał wolność, a przedtem zabił mi ojca i psa.

– Radzę ci opuścić topór, chłopcze. – Olaf dobył miecza. – Ros jest moim przyjacielem. Jeśli rzucisz się na niego, będziesz miał ze mną do czynienia. Zrozumiano?

Nie odpowiedziałem. Ale topór opuściłem.

– Chłopak jest wściekły – powiedział Ros. – Rozumiem go, bo wziąłem go jako niewolnika. To było gospodarstwo w Vingulmorku, Olafie. Tamtejsi ludzie powiedzieli mi, że ojciec chłopaka walczył dla jarla z Lade, więc zabiliśmy go, tak jak kazałeś. A chłopak był tylko dzieciakiem... Co mieliśmy z nim zrobić? Wzięliśmy go na pokład. Dostawał jedzenie, niczego mu nie brakowało.

Olaf pogładził się w zamyśleniu po brodzie, po czym schował miecz do pochwy i długo mi się przyglądał.

– Torsteinie, musisz wiedzieć, że Ros jest moim przyjacielem jeszcze z Gardarike. Spędziliśmy razem młodość. Dlatego obiecasz, że nie będziesz mścił się za ojca.

– Nie ma w tym żadnej hańby – rzekł Sigurd. – Nie ma hańby, jeśli nakazuje ci to twój król.

Nie ruszałem się z miejsca. Zabrakło mi tchu w piersi. Czułem, że jedyne, co może wyrwać mnie z tego stanu, to zaatakowanie Rosa.

– Olafie. – Sigurd puścił mnie i zrobił krok do tyłu.

– Tak. – Olaf skinął głową. – Widzę to. Poznaję. Pamiętam, jaki sam byłem. Też tak kiedyś stałem z toporem w garści.

– Targ w Holmgard. – Sigurd kiwnął głową.

– Więc nie będziemy surowo osądzać tego chłopaka. – Olaf rzucił Rosowi szybkie spojrzenie. – Ale nie mogę też pozwolić, żeby moi ludzie gryźli się między sobą jak psy.

Ros spojrział w ziemię i puścił rękojeść miecza.

Olaf dobył miecza i podszedł do mnie. To wyrwało mnie z niemocy, chwiejnym krokiem cofnąłem się, a on stanął przede mną.

– Idź do brata, chłopcze. Opowiedz mu o tym.

Poszedłem. Najpierw szedłem kilka kroków tyłem, a potem obróciłem się i pobiegłem tak szybko, jak pozwoliła mi na to kulawa noga.



## 15

### Holmgang, czyli pojedynek na wyspie

**K**iedy wróciłem, Bjørn nadal rąbał drewno. Zarówno on, jak i pozostali mężczyźni chyba zrozumieli, że coś jest nie tak, bo odłożyli siekiery i spojrzeli na mnie, a Bjørn podszedł i chwycił mnie za ramię.

– Bracie, co się stało? – zapytał.

Powiedziałem mu, kogo właśnie spotkałem. Wtedy Bjørn puścił mnie i podniósł wzrok na plażę, szeroko otwarte oczy wypełniła wściekłość. Pozostali mężczyźni szeptali między sobą, jeden z nich pobiegł do najbliższego ogniska i przekazał wiadomość dalej. Wkrótce wszyscy już wiedzieli, że jest wśród nas zabójca mojego ojca.

Ragnar Młot zaprowadził nas z powrotem na statek, wdrapaliśmy się do środka i usiedliśmy na skrzyniach wioślarskich. Ragnar nalał piwa do dwóch kufli. Zacząłem pić, Bjørn zaś tylko patrzył przed siebie. Ragnar powiedział, że rozumie nasz ból, ale musimy zrozumieć, że Olaf długo przygotowywał swoje przybycie. Już od kilku lat miał w Norwegii ludzi, którym kazał zabijać wszystkich lojalnych wobec jarla Håkona. Ros jest przyjacielem Olafa z dzieciństwa, chodzą słuchy, że jest wielkim wojownikiem. Jeśli go zaatakujemy, prawdopodobnie zabije nas obu.

Wypiłem cały kufel piwa, podczas gdy Ragnar mówił. To zmniejszyło największy strach i nieco osłabiło wściekłość. Fenre położył się między moimi stopami. Ragnar wziął mój kufel i znowu go napełnił, tym razem przyniósł kufel również sobie. Poklepał mnie po plecach, prosząc, żebym wypił, bo to najrozsądniejsza rzecz, jaką teraz mogę zrobić. Potem dodał, że pewnie niedługo Olaf znowu poprowadzi nas do bitwy, a gdyby jedna z moich strzał omsknęła się i trafiła Rosa... Nic więcej nie powiedział, tylko



pociągnął solidny łyk z kufła.

Wkrótce na pokład weszli Asgeir i Koń. Asgeir przyjrzał się nam, a następnie odchrząknął, mówiąc, że wie już, co się wydarzyło.

– Znam Rosa – dodał. – Żaden dobry z niego człowiek. Ale to przyjaciel Olafa, więc wam, braciom Tormodsonom... – Przysunął się o kilka kroków. Bjørn nadal nic nie mówił, siedział tępo zapatrzonej przed siebie. Asgeir podszedł do niego – nie wolno go zabić. Zrozumiano?

Nie odpowiedzieliśmy. Piwo nieco osłabiło moją wściekłość, lecz Bjørn zaczął ciężko oddychać, a z każdym wydechem ciałem wstrząsał dreszcz. Nie rozmawiałem z nim o śmierci ojca od czasu, kiedy opowiedziałem mu, jak zginął. Myślałem, że widział już tyle krwi i śmierci, że jakoś się zahartował, a czas spędzony na wikingu stworzył pewnego rodzaju dystans do okresu dorastania w rodzinnym domu. Jednak teraz narastała w nim wściekłość, widziałem, że zaraz wybuchnie.

– Ros był wojownikiem w drużynie Vladimira – powiedział Asgeir. – Służył tam razem ze swoim bratem, ale podążył za Olafem, kiedy ten wyruszył na wiking. Był z nim w kraju Wendów i walczył przeciwko jomswikingom. Mówią, że Ros uratował tam Olafowi życie.

– Tak. – Koń kiwnął głową. – Tak mówią.

– Wiemy, że Ros brał niewolników. Twierdzi, że sprzedał ich, kiedy przysłała wiadomość, że ludzie Olafa mają płynąć do Trøndelagu i podburzać chłopów do buntu. Że był dobrym panem dla swoich niewolników.

– Nie. – Odstawiłem kufel z piwem. – Nie był.

– Tak słyszałem – powiedział Asgeir. – I tak pewnie powiedział Olafowi.

– Olaf sam był w niewoli – dodał Koń. – Ros nie ośmieliłby się źle traktować swoich niewolników.

Te słowa wywołały we mnie gwałtowną wściekłość. Dlatego to nie Bjørn pierwszy się zerwał, tylko ja. Nie przychodziły mi do głowy żadne słowa, więc wydałem z siebie ryk. Mężczyźni zrobili krok do tyłu. Ragnar Młot podał mi swój kufel z piwem, jakby myśląc, że to mnie trochę uspokoi, ale teraz i Bjørn był już wstał.

– Chodź! – powiedział tylko.

Zeszliśmy po linie z dziobu statku i szybko ruszyliśmy plażą. Asgeir, Ragnar Młot, Koń i kilku innych szli parę kroków za nami. Bjørn chciał udać się na statek Rosa, ale tam już nie było ani jego, ani Olafa. I dobrze się stało, bo teraz obaj ściskaliśmy w garści topory; byliśmy jak dwa złe psy, jeden podburzony wściekłością drugiego. Mówi się, że prawdziwą odwagę zobaczysz w człowieku tylko wtedy, gdy stoi sam, i jest to prawda. Bjørn i ja moglibyśmy rzucić się tego wieczoru na całe wojsko Olafa, ale każdy z osobna nie byłby pewnie taki odważny. Przynajmniej tak było ze mną.

– Gdzie on jest? – warknął Bjørn i popatrzył z ukosa na statki leżące dziobem na plaży i na te, które kotwiczyły w zatoczce. – Widzisz go?

Widziałem Rosa, ale nie odpowiedziałem od razu. On i drugi, równie ciemnobrody mężczyzna z podobnymi, blisko osadzonymi oczami stał na dziobie statku Olafa. Olaf i Sigurd byli tam razem z nimi. Tych czterech po prostu przyglądało się nam. Teraz Bjørn ich zauważył.

– To jeden z nich, tak?

Wskazał toporem, a Ragnar Młot rzucił się do przodu i uwiesił jego ramienia. Wskazywać bronią w kierunku samego Olafa Wronia Kość, czegoś takiego nie robi się bezkarnie. Olaf był królem morskim, na razie nie miał królestwa, które mógłby nazwać swoim. Jego potęga tkwiła nie w posiadanej ziemi, pastwiskach i polach uprawnych, ale w lojalności, którą okazywali mu jego ludzie. Wyzwania, które Bjørn mimowolnie mu rzucił tego wieczoru, nie mógł zbagatelizować.

Ale Bjørn i ja byliśmy młodzi, czuliśmy się niezwyciężeni, stojąc ramię w ramię na plaży przed statkiem Olafa. Bjørn zawołał w tamtym kierunku:

– Który z was zwie się Ros?!

Wtedy Ros podszedł do nadburcia. Ponurym wzrokiem spoglądał na mojego brata. Bjørn wskazał na niego.

– Ten człowiek zabił naszego ojca! Żądam zemsty!

Olaf rozejrzał się po plaży, gdzie załogi gromadziły się teraz ciekawe tego, co się dzieje, a potem zerknął na Bjørna.

– Opuść topór, chłopcze! Ros zapłaci wam grzywnę za zabójstwo!

– Nie! Żadnej grzywny! Chcę zemsty!

– Pięćdziesiąt sztuk srebra! Przyjmij je, chłopcze, jeśli wiesz, co jest najlepsze dla

ciebie!

Bjørn odpowiedział rykiem i skierował topór w stronę statku.

Olaf przeniósł wzrok z mojego brata na mnie.

– A co ty na to, szkutniku? Wspierasz brata w tym żądaniu?

Widok mężczyzn na górze sprawił, że poczułem się niepewnie, odwróciłem oczy, gardząc za to samym sobą. Dlaczego nie potrafiłem być tak zuchwały i silny jak Bjørn?

Olaf zerknął znowu na mojego brata.

– Chyba jesteś w tym odosobniony, Bjørnie Tormodsonie!

Bjørn odwrócił się i spojrzał na mnie.

– Dostaniecie grzywnę za zabójstwo – powtórzył Olaf. – Dosyć tego.

Byłem pewnie tylko kulawym chłopcem, nie tak odważnym jak mój brat. Ale przyjąć srebra za zabójstwo ojca nie mogłem.

– Żadnej grzywny! – Skierowałem wzrok na tych czterech i w porywie śmiałości też podniosłem topór w ich kierunku. – Żadnej grzywny!

Olaf pogładził się po brodzie, a potem popatrzył na zatoczkę i wskazał ręką.

– Tamta wysepka. O świcie.

Ragnar Młot i Asgeir towarzyszyli mi i Bjørnowi z powrotem na statek. Usiedliśmy na skrzyniach.

– Wypocznij – powiedział Asgeir, uprzątając kufle po piwie. – Spróbuj zasnąć. Nie myśl o drewnie, my się tym zajmiemy.

Ja i Bjørn zostaliśmy sami, a Ragnar i pozostali spuścili się po linie na plażę i dalej rozłupywali kłody drewna. Bjørn usiadł z głową w rękach, westchnął głęboko i milczał.

Siedziałem, czuwając przez cały wieczór. Po jakimś czasie pozostali wrócili na pokład, lecz trzymali się na dystans, zostawiając mnie i Bjørna w spokoju. Tylko Ragnar Młot podszedł do nas z pieczoną wieprzowiną z dworu Lade. Po długim czasie żywienia się kaszą, suszonym mięsem i rybami obaj z bratem błyskawicznie połknęlibyśmy takie soczyste kąski, jednak tego wieczoru nie byliśmy głodni. Bjørn siedział ze wzrokiem utkwionym w deski pokładu między swoimi stopami. Ragnar położył kawałek mięsa na deseczce obok niego i odszedł.

Bjørn położył się po pewnym czasie pod swoją baranicą, choć przypuszczam, że nie

zmrużył oka tej nocy. Ja zapatrzyłem się na stosy pogrzebowe płonące do późna. W blasku ognia widziałem twarze mężczyzn. Stali w milczeniu, nie wolno im było uronić ani jednej łzy nad poległymi przyjaciółmi. Przy jednym ze stosów stał Ragnar Młot, bo Valdemar przecież zginął i został spalony tej nocy.

Żadnych łez. Żadnych słów. Chociaż na wyspie Moster staliśmy obok szałasów, w którym Alfred odprawiał mszę i chociaż Olaf odtąd nazywał swoich wojów chrześcijanami, stara wiara nadal silnie w nich tkwiła. Dlatego nie było słyhać słów ani płaczu; gdybyśmy płakali, czyż nie oznaczałoby to, że polegli nie zasłużyli na miejsce w Valhali? Tak więc mężczyźni stali w milczeniu pewni, że walkirie uznają, iż spopielane są ciała odważnych mężczyzn.

Może niewiele rozumiałem z tego, co miało się wydarzyć. Pamiętam, że siedziałem, wpatrując się w ciemność, dopóki stosy pogrzebowe nie stały się jedynie plamami żarzących się węgli. Chyba nie myślałem o ucieczce, ale minęło już tak wiele zim, całe życie prawie. Bjørn i ja moglibyśmy opuścić wojsko Olafa tej nocy i udać się w góry. Była wiosna, przed nadejściem jesieni zdążylibyśmy wybudować ziemiankę, razem dalibyśmy sobie radę przez zimę. Następnej wiosny moglibyśmy powędrować dalej, może na wschód aż do morza ze słonawą wodą, nad którym leżała kraina Finów.

Tylko co by to było za życie, gdybyśmy uciekli? Zhańbiliśmy pamięć po naszym ojcu, jego synowie zostaliby uznani za nikczemnych tchórze. Pewnie, że się wtedy bałem, ale strach nie trwa wiecznie, a hańba tak.

Musiałem zasnąć, bo następne, co pamiętam, to dźwięk metalu pocieranego o kamień. Był to dobrze znany dźwięk na pokładzie, bo większość mężczyzn miała przy pasie małą osełkę i nie było dnia, żeby ktoś nie siedział i nie ostrzył noża albo topora.

Bjørn nie siedział. Stał na środku pokładu rozebrany do pasa. Tego ranka nad fiordem wiał lodowaty wiatr, ale Bjørn wydawał się tym nie przejmować. Trzymał topór przed sobą i prowadził osełkę powoli w dół wzdłuż ostrza. Nie patrzył na topór, tylko na statek Olafa. Kiedy wstałem, też zobaczyłem tam mężczyzn. Byli to Olaf, Sigurd i kilku innych oraz Ros i ten drugi mężczyzna o identycznych, blisko osadzonych oczach. Ros także był rozebrany do pasa. Stał nieruchomo, patrząc na nas. Pojąłem, że on i Bjørn mierzą się wzajemnie wzrokiem.

Bjørn nadal stał, nie odwracając się. Opuścił topór do zawieszenia przy pasie, wyciągnął saks i zaczął go ostrzyć, nadal nie spuszczając wzroku z Rosa. Wielokrotnie widziałem już Rosa bez koszuli, ale kiedy stał obok Olafa i Sigurda i innych wojowników na statku, zauważyłem, że był jednym z najwyższych, bary miał szersze niż Olaf, chociaż nie był tak doskonałej budowy ciała jak on. Jak na wojownika miał niewiele blizn; nie zastanawiałem się nad tym wcześniej, jednak teraz mnie to wystraszyło. Mężczyzna prawie bez blizn musi przecież być dobrym wojownikiem.

Wkrótce Sigurd spuścił się po linie na plażę. Podszedł do nas niespiesznym krokiem, stanął i popatrzył zmrużonymi oczami, podczas gdy wiatr mocniej zawinał na nim płaszcz. Chciał wiedzieć, który z nas będzie walczył i kto mu będzie towarzyszył. Każdy z pojedynkujących się może wziąć ze sobą jednego człowieka. Ros miał wziąć brata, który teraz stał obok niego, przeglądając jego broń.

Bjørn odparł, że to jego topór uśmierci zabójcę ojca. Potem jego wzrok spoczął na mnie, a ja zwróciłem się do Sigurda, mówiąc, że będę mu towarzyszył. Sigurd kazał mi wziąć swój topór w przypadku, gdyby Ros przeciął drzewce topora Bjørna. Potem wrócił na statek Olafa, gdzie Ros próbował teraz ostrze swego miecza. Jego brat pokazał mu tarczę z rantem okutym żelazem, Ros skinął głową, po czym brat zawiesił sobie tarczę na ramieniu.

Na wysepkę zostaliśmy przeprowadzeni dwoma łodziami, każdy swoją. Była bardzo mała, strzała wystrzelona z jednego brzegu z łatwością wpadłaby do morza po drugiej stronie. Z tej racji często wykorzystywano ją do pojedynków. Ponieważ panował obyczaj, żeby obydwu przeciwników przeprowadzić łodzią na wysepkę (holme), to, co teraz się miało wydarzyć, nazywano holmgangiem, czyli „pójściem na wysepkę” i istniały ścisłe reguły takiego pojedynku. Sigurd wyłożył nam je podczas przeprawy. Każdy przeciwnik może mieć człowieka niosącego broń. Ten też może być uzbrojony, ale nie wolno mu wtrącić się do walki. Kiedy pierwsza kropla krwi spadnie na ziemię, walkę należy przerwać, a ten, którego krew została przelana, przegrywa. To dawało zwycięzcy rację w spornej kwestii. Sigurd powtórzył, że jedna kropla krwi wystarczy i że zadraśnięcie liczy się tak samo jak śmiertelna rana. Olaf zapewne chciał uniknąć utraty jeszcze jednego wojownika, zwłaszcza mając świeżo w pamięci bitwę z Erlendem.

Wysepka była dosyć niska, od małej, kamienistej łączki ciągnęła się na północ długa i wąska piaszczysta łacha. Był odpływ i łacha ledwo wystawała nad powierzchnię wody. Bjørna, Sigurda i mnie wysadzono między kilkoma kamieniami przy brzegu, stamtąd mieliśmy sami dojść do lądu. Ros i jego brat zostali przeprowieni na stronę północną, tuż przy łasze. Następnie ja i Bjørn poszliśmy za Sigurdem na łączkę. Ros, jego brat i Olaf już byli. Po drodze Sigurd mówił, jak wszystko ma przebiegać: ja i brat Rosa, Bor, mieliśmy się trzymać z dala od walczących i podbiec do nich tylko w przypadku, gdyby potrzebowali nowej broni. Poza tym walczącym nie wolno było przeszkadzać; każda pomoc zostałaby uznana za próbę zabójstwa i jako próba zabójstwa osądzona.

Podczas gdy Sigurd mówił, Olaf podał Rosowi tarczę. Bor przeciągnął osełką wzdłuż ostrza jego miecza, poklepał go po piersi i policzkach, a Ros obnażył zęby i uderzył rękojeścią miecza o tarczę.

Bjørn miał już topór w jednej ręce i saks w drugiej. Ponieważ weszliśmy na ląd z dwóch przeciwnych stron wysepki, między przeciwnikami była pewna odległość. Sigurd kazał mi się zatrzymać, znajdowaliśmy się na skraju małej łączki. Nagle przyszło mi na myśl, żeby rzucić się do morza i odpłynąć, chciałem uciec od tego wszystkiego. Ale Bjørn stał tam pełen siły; trzymał broń w pewnej odległości od ciała i nie zdradzał żadnych oznak strachu. Spojrzenie miał nieugięte, pewnie stąpał w kierunku środka łączki. Ros zatrzymał się, splunął na ziemię i przeniósł ciężar ciała z jednej stopy na drugą, obserwując mojego brata. Chociaż wyglądał na o wiele cięższego od Bjørna, sprawiał wrażenie mniej stabilnego niż on. Jakby zaniepokojony, chwycił inaczej miecz i zrobił krok do przodu, ale zawahał się i znowu się cofnął.

Bjørn musiał to zauważyć, bo kiedy dotarł do środka, wypowiedział kilka, według mnie nadzwyczaj zuchwałych słów:

– Mam dwóch ojców, siedzą przy paradnym stole w Valhalli, patrzą na nas i dziwią się, co to za parszywy tchórz tam stoi.

Wskazał saksem na Rosa, a Ros rzucił spojrzenie na Olafa. Nie rozumiałem, dlaczego się waha, naprawdę sprawiał wrażenie tchórza, stojąc tak, co mi się zupełnie nie zgadzało. Bjørn podszedł bliżej, Ros nadal stał wpatrzony w Olafa, aż ten krótko skinął głową.

Teraz Ros wysunął się do przodu, ale wciąż wyglądał na przestraszonego. Najpierw trzymał tarczę wysoko, pod nosem, potem opuścił ją do kolan. Bjørn cały czas zbliżał się do niego, aż dzielił ich tylko skok.

W momencie, kiedy Ros znowu robił krok do tyłu, zobaczyłem, że odciąga w tył prawy bark. Całe jego ciało zebrało się do ciosu, lecz Bjørn myślał, że Ros ustępuje i pełen wściekłości i żądz zemsty rzucił się w zasadzkę przeciwnika. Skoczył do przodu, próbując zadać cios w przednią nogę Rosa, ale Ros, widząc nadlatujący topór, przesunął się w bok. Równocześnie jego miecz opadł na kark mojego brata. Na tym pojedynek mógłby się zakończyć, jednak Bjørn nadstawił saks, odparowując cios. Teraz Ros przestał udawać i objawił się jako dziki wojownik. Zaczął spychać Bjørna do tyłu potężnymi ciosami. Kiedy Bjørn trafił piętą w jakiś kamień i zachwiał się, Ros rzucił się do przodu i uderzył go tarczą w twarz. Bjørn upadł na plecy, a Ros usiłował go natychmiast pchnąć w brzuch, ale mój brat okręcił się i zadał cios w łydkę Rosa. Zobaczyłem strużkę krwi na ziemi i zawołałem, że to koniec, że Bjørn wygrał, jednak Sigurd spojrział na Olafa, a ten pokręcił głową.

Zachęcony utoczeniem krwi Rosowi, Bjørn rzucił się do ataku, a Ros natarł na niego tarczą i uderzył w głowę końcem rękojeści. Stało się to tak szybko, że ledwo udało mi się to zarejestrować. Musiało to być mocne uderzenie, bo Bjørn omal nie upadł. Ros usiłował uderzyć go w kark, lecz Bjørnowi znów udało się odparować cios saksem. Następne cięcie przyszło szybko i nie było wymierzone w Bjørna. Ros skierował ostrze miecza w drzewce topora i oto nagle Bjørn stał z odciętym kawałem drewna w ręce. Sigurd zawołał:

– Nowa broń! Nowa broń!

Jednak Ros nie miał zamiaru czekać. Pchnął mieczem w nagi tors Bjørna. Zobaczyłem, jak miecz wbija się w bok klatki piersiowej. Żebra musiały powstrzymać szerokie ostrze, gdyż wyszło z tyłu za ramieniem Bjørna, a kiedy Ros wyszarpnął miecz, Bjørn nadal był na nogach. Pamiętam swój głos, kiedy do niego biegłem. Nie udało mi się chyba nic wypowiedzieć, to był tylko krzyk, tak jakbym to ja został trafiony. Bjørn milczał, stał tylko z odciętym drzewcem topora w jednej dłoni i saksem w drugiej. Wtedy Ros ponownie skoczył do przodu i tym razem miecz zagłębił się w barku tuż obok karku Bjørna, wychodząc na wylot.

Może Olaf widział samego siebie jako młodego chłopaka tego ranka, może pamiętał własną wściekłość i żądzę zemsty popychającą go do zabicia człowieka, który zniewolił go jako dziecko, bo nie słyszałem ani jego, ani Sigurda, nie padło z ich strony choćby jedno słowo, żeby mnie powstrzymać. Może pomyśleli, że zbyt wiele złej krwi było między nami a Rosem i że najlepiej będzie, jeśli zabije nas obu, ponieważ dobiegłem do walczących nie po to, żeby podać nowy topór Bjørnowi. W szale godnym prawdziwego berserka sam rzuciłem się na Rosa.

Zepchnąłem go do tyłu dwoma potężnymi ciosami i to musiało go zaskoczyć, bo zachwiał się i wydawało się, że upadnie, jednak zaraz stanął pewniej na nogach i teraz to on się na mnie rzucił. Pierwsze uderzenie było skierowane z góry w moją głowę, ale nadstawiłem głowicę topora, żeby je odparować. Mimo to siła uderzenia była tak potężna, że omal nie upadłem. Drugie uderzenie przyszło z boku, odparowałem je toporem i pchnąłem szybko saksem w kierunku ramienia rywala. Zobaczyłem, jak ostrze tnie go w łokieć, ale Ros nie wydał z siebie żadnego dźwięku. Zrobił kilka kroków w tył i skulił się za tarczą, obserwując mnie. Jego brat już miał się rzucić do walki, trzymając w ręce długi saks, lecz Ros wrzasnął coś do niego w swoim wschodnim narzeczu, po czym brat warknął jak zwierzę i schował saks do pochwy. Równocześnie Bjørn się podniósł. Obficie krwawił z karku i długiej rany w boku.

Nagle Ros rzucił się na nas. Tym razem nie zadał ciosu mieczem, tylko natarł na mnie tarczą, równocześnie podstawiając mi nogę. Nagle znalazłem się na plecach. Ros stanął nade mną, próbowałem ciąć go w nogi. Ale podskoczył, topór przeszedł pod nim, a kiedy wylądował, usiadł na mnie okrakiem, kolanami przyciskając oba ramiona. Przyłożył mi ostrze miecza do gardła.

– Niewolniku – szepnął. – Teraz umrzesz.

Pamiętam, że jedną ręką zakrył mi oczy i że poczułem zimny dotyk ostrza miecza na skórze. Pomyślałem o ojcu i o paradnej sali u Odyna. Nie wolno mi się bać. Kiedy otworzę oczy, ojciec będzie siedział obok mnie, a Odyn podniesie puchar i powita mnie w królestwie bogów.

W jednej chwili ciężar Rosa zelżał, jakby ktoś go ze mnie zdjął. Otworzyłem oczy i zobaczyłem, że Bjørn go dusi. Łokieć miał na jego gardle, a bark przy tyle głowy i jednym ruchem zwałił Rosa ze mnie na ziemię. Bjørn nie zwolnił uścisku, tylko



uwiesił się na Rosie i zaplótł nogi w jego pasie, po czym przyłożył drugie ramię do jego karku tak, że nacisk na krtań był jeszcze większy. Ros wydał gulgoący dźwięk i ciął Bjørna w ramię mieczem, lecz nawet wtedy mój brat nie zwolnił uścisku, tylko obrócił się tak, że teraz Ros leżał twarzą do ziemi. Pokrwawione ciało Bjørna napięło się, mięśnie na plecach dygotały, a Ros wypuścił miecz i wił się pod nim jak robak.

Bjørn udusiłby go tego dnia, gdyby brat nie pospieszył mu z pomocą. W jednej chwili przyskoczył z saksem podniesionym do zadania ciosu, ale ja zagroziłem mu drogę z toporem w rękach. Sigurd miał chyba dosyć, bo krzyknął, że to już koniec, a temu, kto natychmiast nie puści broni lub przeciwnika, własnoręcznie utnie głowę. Bjørn nie chciał puścić, więc Sigurd podszedł z saksem zabranym Borowi i przyłożył go Bjørnowi do gardła. Wtedy ten puścił, a Bor szybko odciągnął od niego swojego brata.

Olaf ogłosił Rosę zwycięzcą i kazał szyptom przekazać załogom, że spór został zażegnany. Ponieważ nie byłem ranny, nie wspomniano o tym, że wmieszałem się w pojedynek. Pamiętałem słowa Sigurda, że takie wmieszanie się jest uważane za próbę zabójstwa, dlatego nic nie powiedziałem ludziom na statku. Bjørna położono na pokładzie i obmyto przegotowaną wodą morską, a mężczyźni zebrali się wokół nas. Øystein Łapsko ukląkł przy długiej ciętej ranie w boku i pokiwał głową. Bjørn był poważnie ranny; rana była głębsza, niż myślałem. Dostałem kubek najmocniejszego piwa, jakie mieliśmy na pokładzie, pomogłem też napić się Bjørnowi, podczas gdy Øystein nawlókł wygotowaną jedwabną nić na igłę. Miecz trafił Bjørna w żebra i otarł się obok, rozrywając mięśnie i skórę. Øystein zszył ranę najlepiej jak potrafił, po czym wziął się do opatrywania rany klutej w karku. Tutaj miecz przeszedł przez mięsień łączący kark z łopatką, który był u Bjørna dosyć potężny. Øystein poprosił, żebyśmy przytrzymali Bjørna, bo musiał otworzyć i przemyć ranę. Trzymaliśmy więc, podczas gdy Øystein wetknął długi, spiczasty nóż w ranę i przeciągnął nim na wylot. Potem ścisnął mięsień zdeformowaną ręką tak, że rana się rozeszła i mogliśmy przez nią patrzeć. Na koniec wlał wodę, która wypłynęła z tyłu rany, po czym ją zaszył.

Po zszyciu ran przenieśliśmy Bjørna pod burtę i okryliśmy pledem. Ten pled Øystein wygotował, usłyszawszy, że Bjørn ma iść na holmgang, a potem wysuszył nad ogniskiem. Na pledzie położyliśmy dwie baranice. Ragnar Młot i ja usiedliśmy, żeby

czuwać nad Bjørnem, ale nie tylko jego mieliśmy pilnować. Ragnar wiedział, że Ros i jego brat mają duże poparcie wśród ludzi z Gardarike. Teraz pewnie im powiedział, że wmieszałem się w walkę i wielu z nich będzie próbowało pchnąć nożem mnie i Bjørna. Kiedy odparłem, że wcale się nie wmieszałem, Ragnar wskazał na moje czoło, a potem na szyję.

– Skąd w takim razie te ślady? – Potem położył dłoń na karku Fenrego i pogłaskał go. – Kłamstwo źle brzmi w twoich ustach, Torsteinie. Nie kłam mi więcej.

Obiecałem mu to; czułem się paskudnie. Przyłożyłem rękę do gardła, na skórze znajdowała się szrama. Nie była głęboka, a krew już zakrzepła. Guz na czole był całkiem solidny i bolesny w dotyku. Nawet nie pamiętałem, jak się go dorobiłem.

Ragnar i ja spędziliśmy przy Bjørnie resztę dnia. Nie mówił nic aż do wieczoru, dopiero wtedy otworzył oczy i poprosił o piwo. Daliśmy mu kufel i podparliśmy głowę, żeby mógł się napić. Ledwo wypił, zajęczał i poprosił o pomoc. Pomogliśmy mu wstać, a Ragnar przyniósł cebrzyk, który postawił przed nami na pokładzie. Bjørn sam rozpiął pas, ale nie udało mu się zbyt dobrze trafić do cebrzyka. Kładąc go, pas zostawiliśmy rozpięty. Odetchnął ciężko, zamknął oczy i nie wyrzekł już tego wieczoru ani słowa.



## 16

### Nowy król

**B**jørn był w bardzo złym stanie z powodu ran odniesionych w pojedynku. Już pierwszej nocy zapadł w coś w rodzaju maligny, leżał i wił się na pościeli. Rana w boku szybko wypełniła się krwią, więc Øystein Łapsko musiał rozciąć kilka szwów i dać się jej wykrwawić. Zaraz potem złapały Bjørna drgawki, które prawie go zabiły. Zaczęło się od dygotania stóp, ale wkrótce każdy mięsień jego ciała skręcał się i dygotał. Asgeir Portki podszedł do niego, widział już coś takiego przedtem, nic nie da się na to poradzić.

Skurcze nie ustępowały przez cały dzień, siedziałem przy Bjørnie, próbując go uspokoić. Ale chyba mnie nie słyszał. Od czasu do czasu otwierał oczy i patrzył w niebo, lecz zaraz źrenice zapadały się w tył głowy, charczał, a ciało dygotało, jakby chwytały go jakieś niewidzialne ręce.

Podczas jednego z takich ataków Bjørn zaczął mieć problemy z zaczerpnięciem oddechu. Z ust wydobywała się biała piana, przewrócił się na bok, ręce i nogi dygotały. Asgeir podszedł do niego, uderzył go w plecy i powiedział, że skurcze poraziły już płuca. Pamiętam, że zacząłem krzyczeć, upadłem na kolana i podtrzymując głowę brata rękami, wołałem, że ma oddychać, że nie wolno mu umrzeć! I może usłyszał mnie w swojej gorączce i konwulsjach, bo nagle otworzył szeroko usta i zaczerpnął powietrza. Wtedy Asgeir położył go z powrotem na plecach. Kilka dreszczy przeszło przez palce i stopy, a potem leżał spokojnie. Skurcze już nie wróciły.

Olaf nie dawał znaku życia, ale obawiałem się, że chce zobaczyć, czy Bjørn wyżyje, po czym ogłosić na plaży wyrok śmierci i kazać ludziom nas pochwycić. Zerkąłem od czasu do czasu na jego statek, lecz nie widziałem ani jego, ani Sigurda. Rosa widziałem

raz, stał na plaży, opierając się na kij, łydkę miał owiniętą jakimiś gałganami. Towarzyszył mu brat i kilku innych mężczyzn, wskazywał na nasz statek i coś mówił. Podejrzewałem, że każe im zgładzić mnie i Bjørna, kiedy tylko nadarzy się okazja.

Czuwałem przy bracie. Ragnar Młot siedział ze mną. Poprosił mnie, żebym położył się obok Bjørna i ogrzewał go. Kiedy się ściemniło, zapadłem w niespokojny sen, podczas gdy Ragnar siedział ze swoim toporem wpatrzony w mrok. Wtedy jeszcze tego nie wiedziałem, ale Ragnar był osławionym wojownikiem, doskonale posługującym się szablami bojowymi. Gdyby wtedy z nami nie siedział, Ros i jego ludzie prawdopodobnie wdrapałoby się na pokład i nas zabili. Kiedy Ragnar czuwał, nie mieli odwagi tego zrobić.

Siedziałem z Bjørnem przez dwa dni i trzy noce. Olafa i Sigurda nie widziałem, przesiadywali we dworze Lade. Olaf, siedząc na tronie jarla Håkona, prowadził długie rozmowy z chłopami z Trøndelagu. Orm Lyrgja już się uważał za nowego jarla panującego nad całym Trøndelagiem, ale ponoć Olaf przekupstwem nie tylko odwiódł go od tych planów, ale skłonił też do przekonania swych najbardziej zaufanych ludzi, że Norwegia potrzebuje teraz króla. W tym czasie Sigurd krążył między chłopami z Trøndelagu, mówiąc, że Olaf pochodzi od samego Haralda Pięknowłosego. Mieszkańcy Trøndelagu mniej się interesowali pochodzeniem Olafa, a bardziej srebrem, które ze sobą przywiózł. Dlatego poświęcał większą część dni spędzanych w dworze na kupowanie ich przychylności i był podobno bardzo hojny. Na tym nie koniec. Obiecał też, że ten, kto przyniesie mu głowę jarla, nieważne mężczyzna czy kobieta, otrzyma tyle srebra, ile sam waży.

Czwartego dnia znowu wypłynęliśmy, ale podróż nie trwała długo. Chodziły pogłoski, że Olaf we śnie widział, jak jego pies leży na płaskiej skale i skomle, a ponieważ była taka skała tuż przy dworze Lade, obawiał się, że coś złego mu się przydarzy, jeśli tam pozostanie. Wypłynęliśmy więc, podążając wzdłuż wybrzeża na południe i w zatoce, do której uchodzi rzeka Gaula, dobiliśmy do brzegu przy plaży. Ledwo zdążyliśmy rozwinąć żagiel, a już musieliśmy go zrzucić; tylko mały kawałek lądu dzielił nas od leżącego dalej na północ Lade.

Tuż przy plaży leżało gospodarstwo Rimol, uchodzące za najbogatsze w Trøndelagu po dworze w Lade. Tutaj obiecano nam zarówno jedzenie, jak i picie, bo tamtejszy gospodarz długo stał w cieniu jarla Håkona, a jego ród nienawdził rodu Lade od pokoleń. Nigdy się nie dowiedziałem, jak nazywa się ów gospodarz, my, ludzie na pokładzie, nazywaliśmy go po prostu gospodarzem z Rimol. On i jego synowie stali na plaży, witając nas.

Gospodarz przygotował wszystko do uczty, a Olaf wysłał ludzi do statków z poleceniem, kto ma w niej uczestniczyć. Z naszego statku mieli pójść Asgeir Portki i Koń; ku mojemu wielkiemu zdumieniu również ja zostałem wybrany. Nie miałem pojęcia dlaczego, ale Asgeir wyjaśnił, że Valp ma przyjść na ucztę jako syn jarla Orkadów, a każdy mężczyzna jego stanu ma prawo wziąć ze sobą jednego woja i Valp wybrał mnie.

Najpierw odmówiłem, nie chciałem zostawiać Bjørna. Lecz Ragnar usiadł przy nim i powiedział, żebym poszedł.

– Mądrze zrobisz, okazując Olafowi dobrą wolę – powiedział. – Jeśli nie posłuchasz i zostaniesz tutaj, nie będzie gridu <sup>19</sup> dla ciebie ani dla Bjørna.

Pamiętam, że tego dnia było ciepło. Od plaży ciągnęło się pole ze świeżo zaoraną, parującą w słońcu ziemią. Samo gospodarstwo można było zobaczyć z pokładu statków, leżało o kilka strzałów z łuku od plaży, na wzgórzu ledwo co wznoszącym się nad przyległymi polami. Śnieg całkowicie zniknął, ziemia była mokra i gliniasta. Kiedy szliśmy w stronę gospodarstwa, wiatr północny przyniósł zapach dymu z ogniska i pieczonego mięsa. Valp i ja podążaliśmy obok siebie, ale to chyba nie podobało się zbyt synowi jarla, bo szedł coraz szybciej, aż moja kulawa noga nie mogła nadążyć i zostałem w tyle. Wtedy odwrócił się z szerokim uśmiechem na swojej głupawej, dziecinnej twarzy.

Mówiono, że Valp schował się pod pokład, kiedy Erlend zaatakował statek. Dlatego uważano go za tchórza, a ludzie Olafa gardzili nim. To pewnie go dręczyło, więc przybycie na ucztę w Rimol z młodym chłopakiem idącym za nim było dla niego korzystne; mieszkańcy gospodarstwa z łatwością mogli przypuścić, że jestem jego niewolnikiem.

Gospodarstwo Rimol nie było zbyt okazałe, jego położenie zaś powodowało, że ziemia rzadko kiedy wysychała; była mokra i gliniasta. Ród chłopski w Rimol nie posiadał dużej halli i nie było tu domów z pięknie rzeźbionymi kalenicami. Pół tuzina budynków leżało rozrzuconych po wzgórzu w nieregularnym kręgu, były tu dwa długie domy, stajnia, obora, chlew i potężna spiżarnia na palach. Przed zachodnim domem płonęło ognisko, rozżarzone węgle leżały w podłużnej rynnie; nad nią wisały na rożnie cztery tusze wieprzowe. Wystawiono też na zewnątrz długi stół. U szczytu postawiono krzesło z ozdobnym, rzeźbionym w drzewie oparciem, a po bokach stołu ławy. Innych miejsc do siedzenia nie było, a ponieważ razem z Olafem przybyło co najmniej stu mężczyzn, większość stała.

Kiedy ja i Valp weszliśmy na podwórze gospodarstwa, Olaf już tam był, razem z Sigurdem stali z kufłami w rękach obok paleniska. Towarzyszył im opasły mężczyzna z krzaczastą brodą w futrzanej czapce chyba z gronostajów. Był to gospodarz Rimol, który próbował przypodobać się Olafowi. Dostał już nieco srebra w Lade i pewnie miał nadzieję, że Olaf również tego dnia okaże się hojny. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że Olaf właśnie wyznacza swoich hersirów, którzy mieli rządzić poszczególnymi regionami, kiedy on popłynie dalej. Gospodarz Rimol chciał zostać namiestnikiem Trøndelagu, było tu wiele bogatych gospodarstw, a on chciałby pewnie postawić jeszcze jedną spiżarnię i wypełnić ją mięsem i zbożem, wziętymi jako danina w imieniu króla.

Olaf zajął miejsce przy długim stole, włodarz Rimol zajął miejsce po przeciwnej stronie stołu, napełniono kufle i wzniesiono toast. Mężczyźni, którzy dostali kufle, dołączyli do toastu. Valp i ja nic jeszcze nie dostaliśmy, bo kufli nie wystarczyło dla wszystkich.

Przez chwilę przyglądałem się wzgórzu za polami. Było dosyć strome i gęsto porośnięte lasem iglastym. Gospodarstwo Rimol bardzo przypominało mi osadę kupiecką w Skiringssalen i ogarnęło mnie przecucie, że zaczyna się dziać coś złego. Spojrzałem na mężczyzn, na topory przy pasach, na oczy ciągle obserwujące budynki i pola. Nikt nie chciał się upić tego dnia, nie byliśmy jeszcze bezpieczni.

Pamiętam, że wiatr osłabł. Dym z paleniska wzbił się do góry, a smród świńskiego gnoju rozszedł się po całym placu. Świnie chodziły po wybiegu przylegającym do zrobionego z desek chlewa. Ciągle któraś z nich wchodziła do chlewa przez otwór

w ścianie. Pomyślałem, że mają tam jedzenie, ale świnie wchodziły, a potem wychodziły, niektóre zaś głośno kwiczały, jakby usiłowały nas o czymś ostrzec. Widziałem już nieraz świnie szlachtowane w obecności całego stada, zdumiewało mnie, że pozostawiane przy życiu wieprze rzadko przejmowały się losem szlachtowanych pobratymców. Gospodarz w Vingulmorku karmił je nawet odpadami z uboju, które łapczywie zjadały. Dlatego raczej to nie widok tusz na roźnie niepokoił tutejsze świnie.

Znowu wzniesiono toast. My, którzy nie mieliśmy z czego pić, wznosiliśmy tylko rękę.

– Za Olafa! Za Olafa, naszego króla!

Wołałem jak pozostali, nie miałem odwagi uczynić inaczej. Znowu zacząłem myśleć o Bjørnie. Wśród mężczyzn, którzy przyszli do gospodarstwa, nie widziałem Rosa i to mnie martwiło. Z Ragnarem Młotem nie było żartów, ale co jeśli Ros wziął ze sobą całą bandę i wdrapali się na statek? Jeśli będzie ich wystarczająco wielu, nawet Ragnar nie da rady stawić im oporu. Czy inni na pokładzie próbowaliby bronić jego i Bjørna, czy tylko odwróciliby wzrok?

Dwie kobiety z gospodarstwa zaczęły odkrawać mięso upieczonych prosiąt. Położyły kilka kawałków mięsa na tacy i zniosły Olafowi, który ugryzł kilka kęsów i starannie przeżuł. Stałem niedaleko stołu, widziałem, jak tłuszcz spływa mu z kącików ust i w dół po brodzie. Jedząc, przyglądał się zgromadzonym wokół mężczyznom. Byliśmy nie tylko my, członkowie załóg, przybyło też więcej mieszkańców Trøndelagu. Może to dlatego Olaf podniósł się z kuflem w garści i podszedł do wielkiego głazu. Kamień leżał w połowie drogi między mną i długim stołem, były na nim brunatne plamy; pewnie składano tutaj ofiary.

Olaf wszedł na kamień i wytarł usta.

– Znamienitych mężów tu widzę! Samych znamienitych!

Wypito za to.

– Czy któryś z tych dobrych ludzi może mi powiedzieć, gdzie się podział jarl? – Olaf się rozejrzał. – Mówią, że uciekł jak wystraszona baba!

Na podwórzu rozległ się śmiech.

Olaf pociągnął łyk z kufla, mężczyźni nadal się śmiali. Wkrótce śmiech był coraz bardziej wymuszony, bo nikt nie miał odwagi być pierwszym, który przestanie. Sigurd

podszedł do kamienia i podniósł rękę, dając znak, że już można przestać.

Gospodarz Rimol wstał od stołu.

– Mówią, że zapłacisz srebrem temu, kto znajdzie jarla. Ile dasz srebra?

– Tyle, ile wazysz – odparł Olaf. – Więc jeśli to ty go znajdziesz, staniesz się bogaty. Rzekłbym, że bogatszy od innych!

Ta oczywista zniewaga nie zrobiła wrażenia na gospodarzu, który poklepał się po brzuszysku i podniósł kufel do kolejnego toastu. Jego rodzina przyłączyła się do niego. Ale Olaf nie wypił. Wyglądał na zajętego czymś innym; jego wzrok padł na pewnego mężczyznę z gospodarstwa. Człowiek ten wyszedł z budynku głównego, na ramieniu siedział mu kruk. Nie było rzadkością w tamtych czasach, że ludzie chwyтали kruki i je oswajali. Mężczyzna chciał pewnie pokazać ptaka przyjezdnym. Krukowi przycinano pióra na skrzydłach, żeby nie mogły latać, tak też było z tym ptakiem. Olaf wskazał ręką, a Sigurd szybko podszedł do mężczyzny, który bał się nie oddać ptaka. Sigurd skręcił krukowi kark i zaniósł go Olafowi. Potem rozciął mu brzuch i wyciągnął wnętrzności. Zrobił to na kamieniu tuż między stopami Olafa, a ten cały czas stał i patrzył na niego ze zmarszczonym czołem.

Gdyby Sigurd zdążył wtedy ogłosić wróżbę, czy skłoniłaby ona Olafa do postąpienia inaczej? Nie wiem. Już się przekonałem, że był człowiekiem nieznanym litości. Chrześcijanie twierdzą, że nie wiedzieliśmy, czym jest litość, dopóki oni nie nastali, że nawet nie mieliśmy na nią słowa. Ale to kłamstwo. Mój ojciec nauczył mnie, że niektórzy ludzie zostają sprowadzeni na złą drogę i takim ludziom należy okazać łaskę. Pragnąłbym, żeby Olaf miał takiego ojca jak ja, bo tego, co się potem wydarzyło, nawet skrybowie Olafa nie potrafili przedstawić jako sprawiedliwego postępku.

Sigurd stał z rękami pomazanymi kruczą krwią, a nad podwórzem zaległa cisza. Wróżenie z wnętrzności nie było niczym nowym dla mieszkańców Trøndelagu, również tutaj potrafili zawitać podróżni wróżbici oferujący swoje usługi w zamian za jedzenie i schronienie; teraz wszyscy czekaliśmy, że Sigurd powie kilka słów o przyszłości nowego króla. Ale Sigurd nie zdążył nic powiedzieć, bo gdy tak stał, a wszyscy wokół w milczeniu czekali na przepowiednię, z chlewa wyczołgała się jakaś postać. Byłem być może pierwszym, który ją zauważył, bo inni stali ze wzrokiem utkwionym w zakrwawionych rękach Sigurda. Postać wyszła jak zwierzę na czworakach z chlewa



do zagrody. Całe ciało było pokryte gnojem, oprócz przedramion, czerwonych od świeżej, parującej krwi. Postać wstała, był to wysoki, chudy mężczyzna z brodą utyłaną w gnoju. W jednej ręce miał nóż. W drugiej wisiła ludzka głowa.

Przez podwórze przebiegł szept. Mężczyźni ustępowali mu miejsca, kiedy szedł w kierunku Olafa i Sigurda. Zgiął kark, zbliżając się do kamienia; mężczyzna wydawał się przygięty niewidzialnym ciężarem. Ukląkł w odległości kilku włóczni od tych dwóch i położył głowę przed sobą.

– Mój królu – powiedział. Nie mówił zbyt głośno, ale ponieważ na placu panowała całkowita cisza, wszyscy słyszeliśmy jego słowa. – Przynoszę ci głowę jarla.

Olaf nadal stał na kamieniu. Widziałem, że ręka szuka rękojeści miecza. Sigurd podszedł do klęczącego mężczyzny, chwycił głowę za włosy, a potem wziął od jednego z mężczyzn kufel z piwem i użył go do spłukania z niej krwi i gnoju. Potem podszedł do Olafa. Olaf wziął głowę i pokazał ją wszystkim.

– Czy to jest jarl? Czy to Håkon, jarl Lade?

Niektórzy skinęli głową.

– Jak cię zwą? – Olaf zerknął na klęczącego mężczyznę.

– Jestem Kark, królu. Uciekając, jarl wziął mnie ze sobą. Schowaliśmy się w tamtym chlewie. Jestem... Byłem jego niewolnikiem.

Wzrok Olafa skierował się na gospodarza Rimol, który wrzasnął jak przerażone zwierzę i rzucił się do ucieczki. Nie był dobrym biegaczem, kilku mężczyzn ze statku Olafa szybko go dogoniło i powlokło z powrotem do kamienia. Gospodarz zaczął szlochać, że nie wie, że nie rozumie, jak to się stało, byli przecież dzisiaj w chlewie, karmili świnie i nikogo tam nie widzieli.

– Czy to prawda, niewolniku? – Olaf zwrócił się do Karka.

– On nie kłamie. Jarl i ja przybyliśmy nocą po tym, jak wypłynął Erlend. Wykopałem dół pod deskami podłogi. Leżeliśmy w nim. Mogę ci pokazać... – Niewolnik pokazał do tyłu na chlew.

Olaf splunął na ziemię.

– Nie wejdę do żadnego chlewa, niewolniku. Ale jeśli mówisz, że gospodarz nic o tym nie wiedział, dam mu odejść wolno.

Sigurd skinął krótko głową, po czym ludzie, którzy pochwycili gospodarza, puścili

go i zeszli na bok. Gospodarz wyciągnął natychmiast nóż i zaczął iść w kierunku niewolnika, ale Sigurd wydał rozkaz i mężczyźni ponownie go pochwycili.

– Niewolniku – Olaf zszedł z kamienia i podszedł do brudnego, klęczącego mężczyzny – mówisz, że zabiłeś jarla Håkona, twojego własnego pana. Czy to się stało tam... – Olaf zerknął na chlew. – Czy to tam go zabiłeś?

– Tak, królu. Zrobiłem to, kiedy usłyszałem, jak przemawiasz. Dotknij jego skóry. Jest nadal ciepła.

Olaf przyłożył rękę do czoła głowy.

– Masz rację.

Niewolnik odchrząknął. Wzrok miał nadal utkwiony w ziemi, nie miał odwagi spojrzeć na Olafa, który stał przed nim z głową w ręku.

– Mówiłeś o nagrodzie, królu. O srebrze dla tego, który przyniesie ci głowę jarla.

Olaf spojrział na niego. W kąciку ust pojawił się grymas, oczy się zwężyły. Odszedł krok do tyłu, po czym nagle kopnął niewolnika w twarz. Kopnięcie było tak potężne, że uniosło górną część ciała Karka. Ten zawył przerażony i próbował uciec na czworakach, ale podbiegli mężczyźni i przytrzymali go.

– Nagrodę otrzymasz! Ale będzie nią stal, nie srebro! – Olaf podniósł głowę do góry i obrócił się, przemawiając do nas wszystkich zgromadzonych na podwórzu: – Niewolnik, który zdradza własnego pana, nie zasługuje na żadną łaskę. Kto zetnie mu głowę w moim imieniu?

Jeden z mężczyzn ze statku Olafa miał przy sobie duński topór, teraz tę broń na długim drzewcu podawano sobie z rąk do rąk, aż dotarła do Sigurda. Gospodarz wyrwał się z rąk mężczyzn i gorliwie chciał dowieść swej niewinności, bo ledwo topór trafił do rąk Sigurda, grubas, przepychając się, już był przy nim.

– Ja mu zetnę głowę – powiedział. – Bo jestem wierny Olafowi, mojemu królowi.

Sigurd wręczył mu topór, gospodarz zrobił kilka kroków do tyłu. Duńskie topory miały w tamtych czasach drzewce sięgające dorosłemu wojownikowi do brody i służyły z tego, że potrafiły przepołowić człowieka. Mężczyźni puścili wyjącego niewolnika, który natychmiast próbował się podnieść. Równocześnie spadła głowica topora, ale ponieważ niewolnik się szarpnął i nie został trafiony w kark, ostrze topora odcięło mu czubek głowy. Pozostał na czworakach, jęknął, wpatrując się w czubek czaszki leżący

teraz tuż przed nim i wyglądający jak miska z szarą kaszą w środku.

Gospodarz uniósł topór jeszcze raz i tym razem trafił lepiej. Głowa Karka odłączyła się od tułowia, a Sigurd podszedł i podniósł ją do góry.

– Taka kara czeka zdrajcę! – Chwycił głowę za brodę i pokazał wszystkim wokół. – Znajcie swoje miejsce, mężowie. Wiedźcie, kto jest waszym królem!

– To Olaf! – powiedział gospodarz, podnosząc topór do góry. – Olaf! Olaf!

– Olaf! Olaf! Olaf!

Mężczyźni powtarzali to raz za razem, ja też. Nikt ze zgromadzonych na podwórzu tego dnia nie śmiał nie uznać Olafa za króla, a ponieważ nikt nie miał też odwagi być pierwszym, który przestanie wykrzykiwać jego imię, Sigurd musiał nas w końcu uciszyć; teraz mieliśmy jeść i pić, świętować, że Trøndelag jest nasz. Ciało Karka wyniesiono, a obydwie głowy zatknięto na pale i wystawiono na wstyd i pośmiewisko, niewolnika i jarla tuż obok siebie.



## 17

### Wyjęty spod prawa

**W**róciliśmy z uczyty wieczorem. Zaczęło padać, mężczyźni na statkach rozpięli płachty. Siedziałem z Bjørnem i Fenrem, gryzący dym z palenisk unosił się nad plażą. Wszędzie panował spokój, słychać było tylko stłumione głosy. Kiedy spadł deszcz, Olaf, Sigurd i kilku innych schronili się w gospodarstwie, a ci, dla których nie wystarczyło miejsca u gospodarza, poszli z powrotem. Bjørn spał, gdy wszedłem na pokład, według Ragnara Młota przespał większą część dnia. Ale był to niespokojny sen. Cały czas zrzucał z siebie baranicę, którą go okryłem, kręcił głową i jakby się z czymś zmagał. Czy to złe wspomnienia męczyły go w snach? Mogłem tylko się domyślać, czego był świadkiem, służąc w wojsku Olafa. O tym, co sam robił, wolałem nie wiedzieć.

Przez całą noc czuwałem nad Bjørnem. Rankiem przestało padać. Nad ujściem rzeki Gaula zebrała się mgła; kusilo mnie, żeby wziąć Bjørna na plecy i pójść brzegiem rzeki w głąb lądu, daleko od Olafa i Rosa, i wyroku, który niechybnie nas czekał. Ale doszedłem do wniosku, że lepiej pozostać, bo raczej nie zaszedłbym daleko. A kara za opuszczenie wojska była zapewne gorsza od tej, która czekała mnie teraz. Jaka to będzie kara, nie miałem pojęcia. Chociaż Olaf okazał się okrutny i bezlitosny, nadal myślałem, że nie jest pozbawiony pewnego poczucia sprawiedliwości. Ros zabił nam ojca i nic go to nie kosztowało. Ja wtrąciłem się w pojedynek, próbując go zabić, więc może według Olafa wyrównało to brak grzywny i przynajmniej zachowam życie. Może Ros będzie chciał mnie wychłostać albo naznaczyć rozpalonym żelazem. To bym zniósł, byleby tylko nie zostać trwale okaleczonym.

Może nie byłem wtedy taki śmiały. Może to znowu życzeniowe myślenie starego

człowieka. Możliwe, że licząc sobie zaledwie czternaście zim, siedziałem, jęcząc ze strachu. Żaden był ze mnie wojownik, chociaż prawdopodobnie za takiego się uważałem. Jedno jest pewne: wyżej oceniałem swoje szanse na przeżycie w wypadku pozostania na miejscu niż ucieczki z bratem na plecach. Kiedy Sigurd zjawiał się na pokładzie, mówiąc, że Olaf chce się ze mną zobaczyć i że mam zostawić broń, nie stawiałem oporu. Wstałem i rzuciłem spojrzenie na mojego brata, nadal spał. Potem poszedłem z Sigurdem na statek Olafa.

Gdy wchodziłem na pokład, Olaf stał przy maszcie i jadł podpłomyki. Nie miał na sobie tuniki, tylko wełniany płaszcz na ramionach. Na obydwu przedramionach znajdowały się złote obręcze, wiły się ku łokciom jak dwa węże, ale jeden miał odłamany czubek ogona.

– Co mam zrobić? – zapytał Olaf, kiedy Sigurd doprowadził go do mnie. – Powiedz mi, Torsteinie Tormodsonie.

Nie byłem zbyt mocny w gębie i nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Olaf odłamał kawałek podpłomyka, spojrzał na niego, a potem dał swemu wielkiemu, czarnemu psu.

– Przecież tam na wysepce nie obcięli ci języka. Mów, chłopcze.

Zrobiłem krok do przodu, Olaf utkwiał we mnie wzrok.

– Bronilem tylko swojego brata. Jeśli to był błąd...

– To wbrew prawu! – dobiegło od Sigurda.

Olaf podniósł rękę.

– On o tym wie, Sigurdzie. Wie, że źle postąpił. Teraz chcę, żeby mi powiedział, co mam zrobić. – Olaf podszedł do burty, pokruszył resztki podpłomyka i wrzucił do wody. – Ros domaga się sprawiedliwości, Torsteinie. Mówi, że złamaliście zasady holmgangu. Chce, żebym cię powiesił albo ściął. Co ty na to?

Pokręciłem głową, poczułem głęboko w piersi ukłucie strachu.

– Twój brat. Zrobił się z niego wielki wojownik. Ale teraz jest ranny. Ponoć może umrzeć z odniesionych ran.

– Nie – powiedziałem. – Wyżyje. Ja... ja pomogę mu wydobrzeć.

Olaf kiwnął głową.

– Tak. Ale jak długo to potrwa? – Wskazał ręką w kierunku lądu. – Mieszkańcy

Trøndelagu uznali mnie za króla. Jednak nie jestem jeszcze królem całej Norwegii. Muszę pokonać mieszkańców Ryfylke, potem mieszkańców Nordlandu. Muszę popłynąć do Viken i wdać się w walkę z tamtejszymi hovdingami. Zajmie nam to całe lato, może nawet jesień. Wkrótce wyruszamy, nie mogę brać ze sobą rannych.

– Więc pozwól nam tu pozostać. Bjørn i ja dołączymy później...

Dobiegł nas cichy śmiech Sigurda. Było coś złowieszczonego w tym śmiechu, Olaf kiwnął głową w zamyśleniu i podszedł do mnie.

– Torsteinie, synu Tormoda. – Położył mi rękę na ramieniu. – Jesteś moim wojownikiem. A moi wojownicy płyną za mną na statkach. Nie zostają w portach. Twój brat... Z ranami, które odniósł... Z nim sprawa wygląda inaczej. On jest teraz dla mnie ciężarem.

– Powiedz mu o tym. – Sigurd obszedł mnie i stanął z boku.

– Powiedzieć mi o czym? – Odsunąłem się na parę kroków, nie podobał mi się sposób, w jaki białobrody teraz na mnie patrzył; Olaf spuścił wzrok i położył rękę na karku, jakby to wszystko było dla niego torturą.

– Z prawami jest tak – zaczął – że ten, kto je łamie, musi zostać ukarany. W przeciwnym wypadku nie byłyby prawami. Mam u siebie Danów, Sweów, Wendów i Gardamanów, takich jak Ros. Czasami tylko dzięki prawom, które im narzuciłem, nie skaczą sobie do gardeł jak wściekłe psy. Więc jeśli ktoś łamie reguły holmgangu, jako król muszę wydać wyrok i zadbać o to, by został wykonany. Jeśli tego nie zrobię, Gardamani opuszczą moje wojsko. A zanim to zrobią, zabiją tylu ludzi, ilu im się uda. Podpalą statki, jak tylko nadarzy się okazja.

– Ros chce twojej śmierci – wtrącił Sigurd.

– Ale Ros nie jest twoim królem.

Olaf wciągnął powietrze, wbił wzrok w morze. Stojąc obok niego, widziałem, jak jego naga pierś podnosi się i opada.

– To ja jestem królem. I nie mam nic przeciwko tobie, Torsteinie. Jednak prawo stanowi, że ten, kto wtrąci się do uczciwego pojedynku, musi zostać skazany. I to ten, kto został zaatakowany, decyduje, czy zadowoli się grzywną, czy nie.

– Mogę zapłacić – powiedziałem. – Nie mam złota, ale mogę pracować. Mogę...

Olaf spojrzał na mnie.

– Ros nie chce grzywny. Chce twojej głowy.

Sigurd chwycił mnie za ramię, ale się wykręciłem.

– Spokojnie, Torsteinie. – Olaf znowu podszedł do mnie. – Obiecałem Rosowi jedno życie jako zadośćuczynienie, ale... Rany twojego brata są groźne. Ponoć jest bardzo osłabiony.

– Nie – odparłem, domyślając się, co chce zaproponować. – On wydobrzeje!

– Musisz wybrać, Torsteinie.

Sigurd odchrząknął.

– Życie twojego brata albo twoje własne.

– Daję ci czas do namysłu. – Olaf znowu odwrócił się w kierunku morza. – O zmroku przyślę na wasz statek kilku ludzi. Przyprawdzą tu jednego z was.

Nie pamiętam, żebym coś odpowiedział.

– Twój brat nie wyżyje – rzekł Olaf. – Jest martwy, tak czy inaczej. Ratuję ci życie, chłopcze. Rozumiesz?

Milczałem. Sigurd pociągnął mnie w stronę burty, a Olaf nadal stał i patrzył na morze.

Kiedy wróciłem, Bjørn nadal spał. Siedzieli przy nim Ragnar Młot i Øystein Łapsko. To gorączka spowodowana ranami, powiedział Øystein i położył mu na czole zdeformowaną łapę. Potem ci dwaj się podnieśli. Ragnar skinął w milczeniu głową, już miał mi położyć rękę na ramieniu, ale cofnął ją i odszedł. Usiadłem przy Bjørnie, a Fenre położył się przy mnie.

Przesiedziałem tak większą część dnia. Byłem dziwnie odrętwiały. Słowa Olafa brzmiały w mojej głowie, cały czas widziałem Bjørna klęczącego na plaży i Rosa podnoszącego topór i pozwalającego mu opaść. Przez chwilę Bjørn stoi na czworakach, głowa toczy się w kierunku wody, aż ręce i nogi ustępują pod ciężarem bezgłowego ciała. Obok niego stoi ojciec, ale nie patrzy na Bjørna. Patrzy na mnie, a ja stoję za burtą, pochylając głowę w żałobie i hańbie.

Nikt do mnie nie podchodził. Miałem ze sobą broń: saks, topór, łuk i ciosło leżały pod moją ławą. Kołczan wisiał po wewnętrznej stronie burty, było w nim dwanaście strzał. Przeliczyłem je wielokrotnie i cały czas patrzyłem w kierunku zatoki, gdzie

słońce wisiało coraz niżej nad zachodnimi cyplami. Pomyślałem, że kiedy ludzie Olafa przyjdą, pytając, który z nas braci przyjmie na siebie karę, podniosę się z toporem w rękę i powiem, że synowie Tormoda będą walczyć aż do śmierci. To wydawało mi się o wiele lepsze niż świadomość, że oddałem życie Bjørna w zamian za własne.

Być może wszystko zakończyłoby się tego dnia, gdyby bogowie mnie nie ujrzeli. Bo kiedy słońce wisiało tak nisko, że malowało złocistą ścieżkę na wodach zatoki, znad morza zaczęła napływać mgła. Przyszła szybko i wkrótce zgęstniała; ledwo dostrzegaliśmy jeden statek z pokładu drugiego.

W tamtych czasach mawialiśmy, że mgła to oddech zmarłych. Gdy wpływa nad ląd, to Hel wypuszcza niektóre z potępionych dusz, żeby mogły przez chwilę powędrować po świecie, który znały za życia. Jeśli to prawda, to nieboszczycy Hel uratowali mnie tego dnia. Bo kiedy ludzie Olafa przyszli na statek Asgeira, mnie już tam nie było. Pod osłoną mgły opuściłem na linie siebie i Bjørna na plażę, zarzuciłem go sobie na plecy i poszedłem wzdłuż rzeki w głąb lądu. Zrobioną z pasa pętlę założyłem Fenremu na szyję i teraz szliśmy razem po wodzie tuż przy brzegu, nie zostawiając śladów.

Szedłem całą noc, prawie nie zatrzymując się na odpoczynek, wzdłuż rzeki Gaula wijącej się pośród gór i wzniesień Trøndelagu. Rzeka płynie przeważnie w kierunku południowym, mając po obydwu stronach las liściasty i poletka uprawne, ponieważ tutaj, na rzecznych łąkach, ziemia jest żyzna. Tę ziemię Olaf właśnie sobie podporządkował, bo chociaż właściciele gospodarstw, którzy przysięgli mu wierność, zachowali swoją własność i władzę, musieli odtąd płacić dziesięcinę namiestnikom Olafa. Trøndelag miał przynieść Olafowi wielkie bogactwo. Oprócz Viken i otaczających go ziem to tutaj były dające najwięcej zboża pola w całej Norwegii. Ale mieszkańcy Trøndelagu uchodzili za lud krnąbrny i nieposłuszny, więc Olaf nie mógł sobie pozwolić na patrzenie przez palce na zdradę. A ja go niewątpliwie zdradziłem. Nie tylko złamałem reguły holmgangu, ale też zabrałem broń i opuściłem wojsko, i to z bratem na plecach. Kiedy Olaf o świecie opowiadał swoim ludziom o moich zbrodniach, powiedział, że uciekłem jak podły tchórz, zasługując tym samym na śmierć. Byłem więc podwójnie skazany na śmierć, a Olaf obiecał jak zwykle wielką nagrodę temu, kto wróci z moją głową. To, że obydwaj byliśmy kiedyś niewolnikami



i posmakowaliśmy niewolniczej obroży, nie miało teraz znaczenia. Odwróciłem się od niego, a on nie mógł pozwolić, żeby mi to uszło płazem.

Olafowi przyprowadzono z dworu w Lade dwanaście koni i tylu jeźdźców wysłał za nami w pogoń. Czterech pogalopowało na wschód w kierunku doliny Stjørdalen, czterech na zachód w kierunku Orkanger. Czterech ostatnich ruszyło wzdłuż rzeki Gaula.

Byłem przy jednym z zakoli rzeki, kiedy ich usłyszałem. Nocą mgła się ulotniła, teraz w górę rzeki wiał zimny północny wiatr. Na wschodzie wznosiło się porośnięte lasem wzgórze. Po drugiej stronie rzeki krajobraz był bardziej płaski. Rzeka była w tym miejscu szeroka, co najmniej kilka strzałów z łuku dzieliło jeden brzeg od drugiego. Znajdowałem się w samym środku łachy po wschodniej stronie rzeki i dopiero co położyłem tam Bjørna. Przez całą noc zwisał z mojego ramienia i myślałbym, że nie żyje, gdyby od czasu do czasu nie zajęczał i nie poruszył się. Szwy w boku rozstąpiły się i ocierały o mój kark. Krwawił też z kłutej rany w karku, a tuż przed nastaniem świtu nieświadomie oddał mocz, który spłynął mi po plecach. Teraz otworzył nagle oczy, popatrzył na niebo, a potem na mnie.

– Nie jesteśmy na statku – powiedział. – Gdzie jesteśmy?

– Musieliśmy uciekać – odparłem. Usłyszałem chlupot końskich kopyt w wodzie. Jeszcze nikogo nie widziałem, zakręt rzeki, który właśnie minęliśmy, na razie nas zasłaniał.

– Słyszę konie. – Bjørn znowu zamknął oczy. – Czy to walkirie przybywają po mnie?

– Nie. – Założyłem pas i obróciłem się w stronę zakola rzeki. – To nie walkirie.

Bjørn nic już więcej nie powiedział. Najpierw chwyciłem topór, ale ręka tak mi się trzęsła, że musiałem go umieścić przy pasie. Przycisnąłem łuk łydką i założyłem cięciwę, po czym przyczepiłem kołczan do pasa. Wkrótce wyłonią się zza zakola. Jeśli trafię wszystkich, zanim tu dotrą, uda mi się przeżyć. Świadomość tego uczyniła mnie osobliwie spokojnym, potem wielokrotnie się temu dziwiłem. Miałem tylko czternaście lat, byłem dzieciakiem. Jednak miałem też silne ramiona i twardy cisowy łuk, a cięciwa, którą Halvor dał mi w Jorviku, była dobrze skręcona i nasmarowana woskiem. Strzały

w kołczanie zostały zrobione tak, żeby przebijały kolczugi, groty miały ostre jak igły.

Stałem okrakiem nad Bjørnem z łukiem w ręku. Fenre schował się za mną. Jedynym dźwiękiem, jaki teraz słyszałem, był tętent kopyt; chyba myślałem, że zaraz będzie koniec, że jedyne, co pozostało, to mężnie walczyć, tak żebyśmy Bjørn i ja mogli udać się do Gladsheimu, warowni Odyna i zasiąść obok ojca w Valhalli. Wtedy ich zobaczyłem. Czterech jeźdźców. Jechali brzegiem rzeki, nogi koni pokryte były piachem i błotem. Mężczyźni nie mieli na sobie kolczug ani hełmów. Pomyśleli pewnie, że ich ciężar opóźniłby pościg. Dwóch jechało z obnażonymi mieczami. Trzeci miał krótką jeździecką włócznię, a czwarty topór. Mieli czarne brody, a kiedy wyszczekali kilka słów w języku, którego używał Ros, zrozumiałem, że pochodzą z Gardarike.

Gdyby Olaf nie obiecał temu, kto przywiezie moją głowę, tak sowitej zapłaty, zaatakowałyby mnie może rozsądniej. Trzymaliby się na dystans, posyłając strzały w moim kierunku. Ale srebro Olafa kusilo, a nagroda czekała tylko tego, który wróci z moją głową. Może myśleli, że stanowią łatwy łup, że łatwo zdjąć mi głowę z karku, chodzi tylko o to, żeby dopaść mnie pierwszemu.

Że też się nie trząsałem, przyciągając rękę do policzka, że też, mierząc do nich, stabilnie trzymałem łuk... Nie wszyscy ludzie to potrafią. Pierwsza strzała przeleciała tuż nad łbem konia na przedzie i wbiła się głęboko w pierś jeźdźcy. Wtedy coś się we mnie obudziło. Nie była to nadzieja, tylko coś głębszego. Widok strzały w piersi Gardamana dał mi niesamowite poczucie, które najlepiej można przyrównać do pożądania, z jakim mężczyzna myśli o kobiecym łonie. Położyłem na cięciwie nową strzałę, przyciągnąłem rękę do policzka i ujrzałem jeźdźcę z toporem, chudą postać z długą, zaplecioną brodą. Widziałem tę brodę i chociaż mężczyźni byli oddaleni o dobry rzut kamieniem, rozróżniałem w niej poszczególne warkoczyki, wybrałem jeden z nich i posłałem strzałę, która trafiła jeźdźcę w krtań. Kolejna strzała na cięciwie, słyszałem własny oddech, świszczący i chrapliwy. Wycelowałem w tego z włócznią i wypuściłem strzałę, ale tym razem trafiła nie jeźdźca, tylko konia. Przednie nogi załamały się pod wielkim zwierzęciem, które upadło i przewróciło się na bok. Usłyszałem trzask łamanych kości, ale mój wzrok utkwiony był już w ostatnim z czterech jeźdźców. Ten gwałtownie ściągnął uzdę, zatrzymując konia, a potem zsiadł i użył konia jako osłony; zaczął go teraz prowadzić w moją stronę, cały czas trzymając

się tak, że nie mogłem go trafić. Powinienem od razu ustrzelić konia, ale zawahałem się, a mężczyzna nagle rzucił się w moim kierunku ze wzniesionym mieczem. Puściłem łuk i odczepiłem kołczan, ledwo zdążyłem wyciągnąć topór z pasa i saks z pochwy, a już był przy mnie.

Zaatakował mnie potężnymi ciosami miecza. Parowałem je toporem, lecz przeciwnik był o wiele silniejszy ode mnie. Nagle wyprowadził cios w bok mojej szyi, ale rzuciłem się do tyłu i zobaczyłem, jak miecz zatacza łuk tuż przed twarzą, jego czubek ominął krtań o szerokość dłoni. Teraz Gardaman znowu zebrał się w sobie, najpierw zrobił kilka kroków w tył i podniósł miecz, trzymając go z boku, gotowy do cięcia. Był wyszkolonym wojownikiem, a ja nie. Jednak to młodzieńcza głupota uratowała mnie i Bjørna tego dnia. Bo w momencie, kiedy Gardaman zrobił wdech, chcąc znowu skoczyć na mnie, rzuciłem w niego toporem. Gdybym chybił, byłby to koniec. Lecz trafiłem. Żelźce topora wbiło się głęboko w pierś napastnika, który wypuścił miecz i chwycił za drzewce. Topór trafił go prosto w mostek, który czasami może zadziałać jak kolczuga, zatrzymując ciosy i pchnięcia. Ale kiedy Gardaman wypuścił z ręki miecz, usłyszałem głos Bjørna:

– Pchnij go nożem, Torsteinie! Zadźgaj go!

Bardzo szczególne i okrutne jest zabicie przeciwnika w walce wręcz. Położenie kogoś trupem strzałem z łuku to nie to samo, nie ma tego poczucia bliskości. Zatluc kogoś pałką albo zarąbać toporem jest gorzej, ale dopiero kiedy wbija się żelazo w ciało drugiego człowieka, naprawdę ma się poczucie, że życie z niego uchodzi. Rzuciłem się na Gardamana z saksem, najpierw dźgnąłem go głęboko w brzuch, a potem w ramię, wtedy puścił drzewce topora i próbował uciekać, nadal z toporem w piersi. Dobiłem do niego i dźgnąłem go w plecy, wtedy upadł na kolana i zaczął się wić. Próbował osłaniać się rękami, zrobiłem w nich głębokie rany, po czym wbiłem mu saks w oko. Pamiętam, że wtedy zastygłem, saks wszedł dziwnie głęboko w oczodół, musiał być w środku czaszki; Bjørn coś krzyczał, ale nie pojmowałem, co mi próbuje przekazać. Nagle w ramię trafia mnie strzała, dostrzegam tego, który upadł razem z koniem. Dopiero teraz widzę, że to Bor, brat Rosa. Leży przygnieciony, jedna noga zakleszczyła się pod koniem, ale zwierzę się podnosi; Bor zrywa z siodła kołczan i znowu napina łuk.

Wtedy zostaje trafiony, strzała wbija mu się w bark. Widzę, że Bjørnowi udało się uklęknąć, trzyma mój łuk. Wyciąga nową strzałę z kołczanu, ale ręce mu dygocą, jest osłabiony. Znowu krzyczy:

– Zabij go, Torsteinie! Zabij!

Jak zwierzę rzuciłem się na rannego Gardamana. Dźgałem go saksem w pierś i w gardło, skąd ciepła krew tryskała mi rytmicznymi strumieniami w twarz. Jak długo tak stałem, wbijając w niego nóż, nie pamiętam. Ale w końcu musiałem zrozumieć, że nie żyje i wypuścić saks z ręki, bo następną rzeczą, jaką sobie przypominam, jest to, że stoję po kolana w wodzie. Woda zmywa krew z moich rąk, spuszcza jeszcze jedno ciało z prądem rzeki i pozwalam mu odpłynąć.

O tym, co się wydarzyło po zabójstwach na rzecznej łasze, nie ma nic więcej do powiedzenia. Związałem nosze z kilku młodziutkich brzoź i przymocowałem je do siodła jednego z koni. Konie odbiegły, ale niezbyt daleko. Znalazłem je nieco w głębi łądu wśród drzew. To biała kobyła upadła, przygniatając brata Rosa, ale łamane kości, których trzask usłyszałem, musiały należeć do Gardamana, bo kobyła znowu była na nogach. Przykro mi było, że ją zraniłem. Strzała tkwiła nadal między pierśią a jedną z przednich nóg, ale nie udało mi się zbliżyć do zwierzęcia, które uciekło z pianą na pysku. Tylko jednego konia udało mi się złapać. Był to włochaty ogier z brzydką, starą blizną na boku, który zaplątał się w zarośla. Zarzuciłem mu pętlę na szyję i przyciągnąłem do siebie.

Jeszcze kawałek szliśmy wzdłuż rzeki, potem zaczęliśmy wchodzić coraz wyżej. Przeszukałem rzeczy zabitych i wziąłem ze sobą kilka koców i baranic, trochę srebrnych monet, zwój liny i mieszek z krzesiwem, hubką i krzemieniem, zabrałem broń, łuki i kołczany ze strzałami, kilka wiązek suszonej ryby i mięsa. Dwa pięknie utkane płaszcze też im zabrałem, wszyscy mieli również srebrne naramienniki, które owijają się trzy- i czterokrotnie wokół przedramienia.

Przypuszczałem, że będziemy z Bjørnem najbezpieczniejsi w głębi łądu, bo Olaf, mówiąc o przejmowaniu władzy w Norwegii, miał na myśli tereny nadbrzeżne. Środek kraju był zbyt niedostępny, a zamieszkujący go ludzie nigdy nie zaznali władzy królewskiej.

Bjørn i ja zostaliśmy wyjęci spod prawa przez Olafa; zanim wyruszył z Rimol, zebrał wszystkich chłopów i powiedział, że skrzynia srebra czeka na tego, kto przyniesie mu głowę moją i Bjørna. Sam nie mógł tam dłużej pozostać. Na północy były niepokorne rody, a na południu mieszkańcy Ryfylke; tych ludzi chciał teraz przymuszać siłą militarną lub kusić srebrem. Wkrótce miał zawrzeć przymierze z potężnym Horda-Kåre, wydając siostrę Astrid za towarzysza broni Kårego, Erlinga Skjalgsona. W ten sposób Olaf chciał kontynuować budowanie nowych sojuszy, żeby całe wybrzeże Norwegii od Lofotów na północy do Viken na południu oraz obszary aż do Ranrike były rządzone przez ludzi, którzy przysięgli mu wierność.

Ale dla mnie i dla Bjørna nie miało to już znaczenia. Po czterodniowej wędrówce, podczas której Bjørn leżał na noszach z Fenrem przytulonym do siebie, a ja szedłem z przodu, trzymając uzdę, znaleźliśmy się na kamienistych, górskich równinach południowego Trøndelagu. Tutaj było tak pusto i bezludnie, że odważyliśmy się rozbić obóz i wypocząć nad górskim stawem. Wystrugałem wędkę, wyszlifowałem haczyk ze znalezionej kości zajaca i zacząłem łowić ryby z robakami na przynętę. Mieliśmy szczęście, to był staw obfitujący w ryby. Pamiętam dobrze wieczór, który tam spędziliśmy. Jedliśmy i piliśmy, ja leżałem z głową na kępie trawy, a wieczorne słońce było już za załomem górskim, zamieniając chmury na zachodzie w morze ognia. Bjørn przewrócił się na bok i podciągnął tunikę, a ja odkryłem, że jego rany spuchły. Opatrywałem je po drodze, wyglądały brzydko, nabrzmiały i były niebieskozielonego koloru, a teraz, kiedy Bjørn położył rękę na ranie w boku, wyciekła z niej ropa i poczułem smród. Wtedy chlipnął, niemal jak dziecko, że muszę wyciąć zgniłe części, a potem przypalić ranę.

Zrobiłem, jak mi kazał. Zanim zacząłem, Bjørn wyjaśnił, jak to wszystko zrobić, poprosił, żebym nie przestawał, aż cała zgnilizna zostanie usunięta, nawet gdyby żałował w trakcie zabiegu i stawiał opór. Umyłem saks w wodzie i pottrzymałem nad ogniem, żeby oczyścić stal. Bjørn powiedział mi przed oczyszczeniem rany, że ojciec patrzy z góry na nas i jest ze mnie dumny.

Kiedy wyruszaliśmy w drogę następnego ranka, myślałem, że Bjørn umiera. Pamiętam żal, że zadałem mu tyle bólu poprzedniego wieczoru. Pamiętam, że płakałem, idąc

górkim płaskowyżem z noszami za sobą i nie wstydziłem się tego. Dlaczego miałbym się wstydzić? Tutaj nikt mnie nie widział, nikt oprócz konia i Fenrego. Przez chwilę mamrotałem imię Wszechojca, raz za razem. „Odyn... Odyn... Odyn...” Z każdym krokiem wymawiałem jego imię i miałem nadzieję, że mnie wysłucha i pozwoli Bjørnowi przejść przez złotą bramę do Valhalli.



## 18

### Topór i młot

**M**ówi się, że człowiek jest albo z morza, albo z lądu i że nie znajdzie szczęścia tam, gdzie nie jest jego miejsce. Sam zawsze byłem człowiekiem morza. Morze było pierwszą rzeczą, którą ujrzałem, kiedy ojciec wyniósł mnie tuż po urodzeniu z chaty w rodzinnym Vingulmorku, i mam nadzieję, że będzie ostatnią rzeczą, jaką zobaczę, zanim moje oczy zamkną się po raz ostatni. Ale w trakcie ucieczki przed Olafem przez dłuższy czas myślałem, że zostanę człowiekiem gór. Wędrując przez górskie równiny z koniem z blizną ciągnącym mego rannego brata, odkryłem krajobraz pozbawiony śladów bytności człowieka i myślałem, że tu możemy żyć, nie obawiając się ludzi Olafa. Wieczorami siedziałem przy ognisku i patrzyłem, jak wzgórza i głązy przybierają niemal ludzkie kształty, to musiały być olbrzymie jotuny, o których opowiadał ojciec. Niemal słyszałem ich szept, kiedy się ściemniało, a czasami również za dnia. Wiatr niósł ich słowa daleko w świat.

Bjørn przeleżał pięć dni trawiony gorączką, a ja ledwo sobie przypominam tę wędrówkę przez górskie równiny. Musiałem iść w jakimś półśnie, bo pamiętam dopiero czas po przebudzeniu się brata. Miał straszną ranę w boku pokrytą pęcherzami i strupami, przez niemal przezroczystą błonę prześwitywało żebro. Ale jego stan się poprawił, w oczach pojawiło się trzeźwe spojrzenie i chociaż niewiele mówił, wiedziałem, że przeżyje.

Teraz jakby niebo nad nami się rozjaśniło, ciemność w moim umyśle znikła, góry nie wydawały się już tak opustoszałe. Można tu było znaleźć pożywienie i schronienie. W stawach łowiłem pstrągi i sieje, czasami zauważałem kruki krążące nad jakimś

miejszem, szedłem tam i znajdowałem zabitego przez rosomaka renifera.

Pewnego wieczoru w górach Bjørn zapytał mnie o coś, nad czym potem długo się zastanawiałem. Rozbiliśmy obóz pod skalną półką, ledwo osłaniającą Bjørna, mnie i Fenrego, a konia okryłem baranicami i kocami. Nie miał schronienia, stał w deszczu z pochylonym łbem, a ja pomyślałem, że wkrótce musimy zejść niżej, bo występującymi tutaj z rzadka kępami trawy trudno mu było się nasycić. Bjørn leżał na boku, myślałem, że śpi, ale on nagle zapytał:

– Jaki masz cel, Torsteinie?

Nie odpowiedziałem od razu. Słowa Bjørna wydały mi się dziwne, nie całkiem pojmowałem, co ma na myśli.

– Co chcesz zrobić ze swoim życiem? – Bjørn odchrząknął. – Każdy człowiek ma jakiś cel, Torsteinie. Powód, żeby żyć.

– Musimy uciec Olafowi i Rosowi – powiedziałem. – Oto nasz cel.

– A potem? Co potem się z nami stanie?

Zastanowiłem się nad tym, spoglądając na deszczowe chmury dryfujące w dolinie pod nami. Wydawało się, że wielkie głazy w dole dygoczą, zamiast leżeć spokojnie. To były jotuny i risy ciśnięte na ziemię przez potężnego Thora; przeczuwając, że już wkrótce zapadną ciemności, chciały się podnieść i ruszyć z miejsca.

– Nie... – Zawahałem się, bo rozumiejąc, że to dla mojego brata ważne pytanie, nie chciałem powiedzieć czegoś niewłaściwego. – Nie zastanawiałem się nad tym.

– Jesteś młody, Torsteinie. Ja też nie zastanawiałem się nad tym, kiedy byłem w twoim wieku. Ale...

– Chcę zemsty – powiedziałem, mając wrażenie, jakby te słowa mówił ktoś inny. Mimo to wydawały się właściwe. Jeśli moje życie miało mieć jakiś cel, co mogło być lepszym celem niż pomszczenie ojca i niewolniczego jarzma na mojej szyi?

– Zemsty... Próbowaliśmy zemsty tam na wysepce. Popatrz, jak na tym wyszliśmy.

Nic nie odpowiedziałem. Wiatr zmieniał właśnie kierunek, deszcz zaczął zacinać prosto w nas. Głazy na dole w dolinie były teraz ledwo widoczne. Za chwilę miało się zrobić zupełnie ciemno.

Bjørn wsunął się głębiej pod półkę.



– Teraz są nowe czasy, Torsteinie. Przedtem w Norwegii rządili jarlowie i hersirzy. Jeśli człowiek popadł z kimś w zatarg pod jednym wodzem, mógł pożeglować przez dzień lub dwa, osiąść na terytorium innego możnowładcy i być wolny. A teraz... – Bjørn umilkł. Słyszałem, jak wdychał powietrze i wydychał je z westchnieniem. – Teraz rządzą królowie, bracie. Na południu, na wschodzie, na zachodzie... Wszystkie ziemie są poddane władzy królów. Norwegia była ostatnim wolnym krajem. A Olaf... Nie sądzę, żeby Ethelred dał mu tyle srebra tylko za to, żebyśmy złożyli broń i zostawili jego królestwo w spokoju. Według mnie chce, żeby Olaf przejął Norwęgę i związał ją przymierzem z Mercią.

Wziąłem Fenrego na kolana. W ciągu ostatnich dni leżał dużo na noszach, bo trudno było mu się poruszać w tym terenie. Dziwna sprawa z tym Ethelredem i Olafem. Dlaczego właściwie króla Mercii obchodziła Norwegia?

Ale Bjørn dostrzegł chyba moje zamyślenie, bo wszystko mi wyjaśnił.

– Kiedy Norwegia stanie się chrześcijańska, Olaf może żądać daniny. Jednej dziesiątej zboża, mięsa, srebra i złota. Część z tego trafi do Ethelreda. Srebro, które otrzymał Olaf, nie było podarunkiem, Torsteinie. To była pożyczka. Sven Widłobrody zabrał większość statków, wziął również większość ludzi. Olaf nie ma więcej statków w Norwegii oprócz tych, które dołączyły do nas na plaży w Rimol. Jest ich wystarczająco wiele, żeby splądrować wybrzeże, zastraszyć hovdingów i zmusić ich do uległości. Ale Olaf musi wypełnić swoją część umowy z Ethelredem. Musi wprowadzić chrześcijaństwo w Norwegii.

– Wiele słów tu padło – powiedziałem, od razu słysząc, że zabrzmiało to lekceważąco. – Mądrych słów – dodałem.

– Nie możemy zostać w Norwegii, Torsteinie. Wcześniej czy później znajdą nas, ktoś nas rozpozna, a wtedy czeka nas topór albo szubieniczna pętla.

– Wiem o tym – odparłem, bo miałem w ciągu ostatnich dni wystarczająco dużo czasu, żeby to przemyśleć. Najpierw uważałem, że powinniśmy zniknąć w górach, ale było to pustkowie bardziej nieurodzajne, niż myślałem; nie miałem pojęcia, jak daleko musielibyśmy wędrować, żeby znaleźć lasy, w których można utrzymać się przy życiu po nadejściu zimy, polując. Nie przypuszczałem wcześniej, że góry mogą być tak rozległe; myślałem, że góra to góra, a za nią leżą zaciszne doliny osłonięte od wiatru

i niepogody. Ale tu kamieniste równiny wydawały się ciągnąć przez całą wieczność.

– Nie możemy popłynąć na Orkady. – Bjørn zakaszłał i znowu się poruszył. – Znają cię tam. Jarlowi Orkadów mogłoby przyjść do głowy zakuć nas w kajdany, żeby przypadobać się Olafowi.

Koń stąpał mocno kopytami. Nie lubił tak stać samotnie, kiedy zapadała ciemność. Bjørn cmoknął na niego, ale to chyba nie pomogło. Zwierzę zarżało i szarpnęło sznur. Zdejmowałem mu co wieczór wędzidło, ale pamiętałem o założeniu pętli na szyję. Drugim końcem sznura obwiązywałem kamień, cumowałem zwierzę jak łódź. I chyba rzeczywiście lepiej się znałem na łodziach i morzu niż na koniach i lądzie. Gdybyśmy tylko mogli ponownie znaleźć się na morzu! Moglibyśmy odpłynąć od wybrzeża Norwegii, może nawet dotrzeć do Islandii. Ale na taką podróż potrzebna była dobra łódź, a najlepiej statek. Po zejściu na niziny może dałbym radę zbudować łódź, ale nie statek. Jednakże nawet łodzią wiosłową moglibyśmy dotrzeć całkiem daleko, trzymając się wybrzeża i nie próbując przebyć otwartego morza.

Nagle stało się dla mnie jasne, co powinniśmy zrobić. Zobaczyłem przed sobą linie wybrzeży, które ojciec rysował w popiele przy palenisku. Na północy leżała Norwegia, z naszym rodzimym Vingulmorkiem na wschodzie Viken. Na południe od nas były Ranrike, Gotalandia i Skania leżące nad płytkim morzem zwanym Kattegat. Gdybyśmy popłynęli wzdłuż wybrzeża na południe, trafilibyśmy na duńską wyspę Zelandię, a stamtąd niedaleko już do kraju Wendów.

– Opowiadałem ci o Halvorze – zacząłem. – Halvorze, jomswikingu. Powiedział, że jeśli przybędę do Jomsborga, wstawi się za mną.

– Jomsborg? Nie, Torsteinie. Jomswikingowie są... – Bjørn zakaszłał. – Wszyscy zwolennicy władzy królewskiej na północ i na zachód od Miklagardu wyznaczyli nagrodę za głowę każdego jomswikinga. Oni są wyjęci spod prawa.

– My też.

Bjørn znowu umilkł, a ja nie odzywałem się przez dłuższą chwilę, bo uświadomiłem sobie, że właśnie to powinniśmy zrobić. Gdzie indziej mieliśmy się podziąć?

– Mają ponoć siedzibę w kraju Wendów – powiedział nagle. – Ale słyszałem, że zabijają każdego, kto się zbliży.

– Halvor mi obiecał...

– Nie obchodzi mnie, co ci obiecał, braciszku. Musisz zrozumieć, że nawet jeśli by nas wpuścili do środka, wszystko by się zmieniło. Stalibyśmy się wrogami wszystkich królów. I mówią, że odmawiają klękania przed Białym Chrystem. Wolą topór na karku.

– Na szyi – powiedziałem. – Halvor mówił, że żądają egzekucji na siedząco, żeby patrzeć na tego, kto ich ścina toporem. Powiedział, że...

– Cokolwiek powiedział, to i tak zbyt wiele. Wolałbym, żebyś go nigdy nie spotkał. – Bjørn zrobił wdech. Kiedy wydychał powietrze, słyszałem, że dygoce. – Ponoć jomswikingowie są sprzymierzeni ze Svenem Widłobrodym. Spotkałem go raz i mogę ci przysiąc, że nie ma na tym świecie większego zbrodniarza. Mówią, że to największy okrutnik ze wszystkich królów duńskich, jacy kiedykolwiek panowali.

Poruszyłem się trochę, niewygodnie się siedziało pod skalną półką. Nie podobało mi się, że Bjørn był aż tak przeciwny. Jeśli Jomsborg był azylem, grodem, w którym mogliśmy znaleźć schronienie u takich jak my, powinien chyba mnie wspierać?

– Nie, Torsteinie. Musimy popłynąć na zachód. Może do Irlandii. Albo na wyspę Man. Mówią, że tamtejszy król nie słucha niczyich rozkazów. Tacy ludzie zawsze potrzebują wojowników.

– Pytałeś, jaki mam cel. – Odwróciłem się do niego. Zrobiło się tak ciemno, że ledwo go widziałem. Bardziej widoczna była głowica topora u jego pasa. Żelazo lśniło, jakby pochwycona w nim została resztką światła dziennego. – Może moim celem jest walka przeciwko Olafowi i jego ludziom. A jeśli jomswikingowie są wrogami wszystkich królów oprócz króla Danów... to musimy zostać jomswikingami.

– Ja też chcę zemsty, Torsteinie. Ale to nie Olaf zabił ojca i wziął cię w niewolę.

Milczałem. Miał rację. Lecz każdy, kto zwał przyjacielem zabójcę mojego ojca, był moim wrogiem. Nie mogłem pojąć, dlaczego Bjørn też tak tego nie postrzega.

Z miejsca noclegu pod skalną półką w ciągu pół dnia dotarliśmy do punktu, gdzie mogliśmy zejść w dół stromej doliny. Bjørn brzydtko kaszłał, byliśmy przemoczeni do suchej nitki, weszliśmy między drzewa i rozbiliśmy obóz przy przewróconym przez wiatr świerku. Miałem nadzieję, że najgorsze ma już za sobą, ale przez cały wieczór siedział owinięty kocem i dygotał. Rozpaliłem ognisko krzesiwem i krzemieniem, które zabrałem Gardamanom, i podtrzymałem ogień przez całą noc. Jednak po nastaniu

ranka Bjørn znowu miał gorączkę. To było ponad moje siły. Kiedy kładłem go na noszach, znowu pojawiło się aż nadto dobrze znane uczucie. Było jak ciężar na ramionach i ciemność wokół mnie. Świerki wydawały się pochylać w moim kierunku, znikło światło słońca; znowu był we mnie potworny smutek. Oddech Bjørna był teraz chorobliwie świszczący i bolesny. Znowu zacząłem myśleć o jego pytaniu i usłyszałem swój własny, dziecinnie i głupiutko brzmiący głos. „Chcę zemsty...” Kim właściwie myślałem, że jestem? Ros i pozostali byli dorosłymi mężczyznami. Ja byłem zaledwie chłopcem. Odyn musiał osłaniać mnie swoją dłonią i kierować moimi strzałami tam na rzecznej łasze, w przeciwnym razie ja i Bjørn bylibyśmy już martwi. Ale dlaczego to robił, nie mogłem pojąć. Nie zasłużyłem na to. Nie byłem wojownikiem. Wojownicy są nieustraszeni, a mnie przepełniał strach.

Spędziliśmy cały dzień, schodząc w dół ze zbocza, trudno było się tam poruszać. Kiedy się ściemniło, byłem wyczerpany, ledwo miałem siłę, żeby oganiać się od komarów i much. Niewiele ich widzieliśmy na górskim płaskowyżu, lecz w dolinie nie dawały nam spokoju. Próbowałem szczelnie naciągnąć tunikę na głowę, ale w końcu musiałem zapaść w sen, bo nie pamiętam, żebym tego wieczoru rozpałał ognisko albo pomagał bratu. Kiedy się obudziłem, byłem przemoczony i zmarznięty, Bjørn schronił się pod noszami razem z Fenrem, leżał tam i dygotał. Konia nie było.

Bogowie byli ze mną tego ranka, bo znalazłem go zaledwie o rzut kamieniem od miejsca noclegu. Stał nad jakąś rzeką, skubiąc kępę trawy. Poszedłem po Bjørna, ponownie przymocowałem nosze do końskiego grzbietu i ruszyłem w stronę rzeki, a potem wzdłuż brzegu; przez cały dzień szliśmy w górę i w dół, nie znajdując miejsca, w którym moglibyśmy przejść na drugą stronę. Wreszcie rozbiliśmy obóz między kilkoma brzożami.

Kiedy dorosłem, przekonałem się, że przygnębienie samo w sobie jest niegroźne. Niebezpieczne są decyzje, które podejmuję, czując to niewidzialne jarzmo na moich ramionach. Tego ranka, siedząc w deszczu i gapiąc się na prąd rzeki, nie wiedziałem nawet, że znów pochwycił mnie smutek. Miałem jeszcze świeżo w pamięci walkę z Gardamanami i byłem straszliwie zmęczony. Nie byłem świadomy, że to Gaula, ta sama rzeka, wzdłuż której uciekaliśmy przed Olafem. Widziałem tylko rzekę, musieliśmy się przez nią przeprawić, chcąc ruszyć na południe. Pamiętam, że wiązę ze

sobą liny zabrane Gardamanom, a leżący na noszach Bjørn mówi, że nie wolno mi tego robić, to niebezpieczne, mogę utonąć. Ale go nie słucham. Owijam jednym końcem liny krzew jałowca na brzegu rzeki. Drugim końcem obwiązuję się w pasie, a potem wchodzę do wody. Rzeka jest tego dnia zdradliwa. Na powierzchni wody nie ma prawie wirów. Mimo to płynie tak szybko, że od razu po wejściu do wody czuję prąd wokół łydek. Tutaj nagle robi się głęboko, tracę grunt pod nogami, rozrzucam ręce i nogi, płynę z całych sił, ale coś ciągnie mnie w dół i w tym momencie uświadamiam sobie, że nie uda mi się przeprowić na drugi brzeg. Nagle lina chwyta mnie i jak wahadło zostaję odrzucony z powrotem w kierunku brzegu. Słyszę krzyk Bjørna, odwracam się i widzę płynący prosto na mnie pień drzewa. Trafia mnie w głowę. Chyba tracę przytomność, bo kiedy wracam do siebie, znajduję się pod tym pniem, utknąłem między gałęziami, lina się zaplątała. Wykręcam się, próbując się uwolnić, ale jestem uwięziony jak ryba w sieci.

Poczułem wtedy w piersi najgorszy ból, jakiego kiedykolwiek doświadczyłem. Dotyk palców bogini Ran na ciele boli o wiele bardziej niż wbicie stalowego ostrza. To trwa dłużej, niżbyś przypuszczał, i jest tak bolesne, że jedyne, czego pragniesz, to wciągnąć w siebie wodę, żeby położyć temu kres.

Nie byłaby to dobra śmierć. Utonąć to żaden honor. Dobrze, że Bjørn doszedł do siebie i zobaczył, co się dzieje. Uratował mnie tego dnia. Pamiętam, że stoi po pas w wodzie, podnosząc mnie i pień drzewa, łapie powietrze i znowu żyję. Potem wyswobadza mnie, tnąc gałęzie, i przenosi na brzeg; tam padamy obydwoj wyczerpani. Fenre tańczy wokół nas na swoich trzech łapach i liże mnie po twarzy.

Bjørn poczołgał się z powrotem do swoich noszy, gdzie zdjął z siebie ubranie i wsunął się ponownie pod koce. Ja pozostałem na brzegu. Zerwał się wiatr, spychając przelotne opady deszczu w górę rzeki. Nie przejmowałem się deszczem, to zimno wytrąciło mnie z odrętwienia. Wreszcie jasno zrozumiałem, co mam zrobić. Podniosłem się i podszedłem do wody, wzrokiem podążając w dół rzeki. Wiła się jak wąż. Z prądem dryfowały gałęzie i kępy trawy, gdzieś powyżej woda musiała porwać ze sobą część brzegu. Po obydwu stronach rósł gęsty świerkowy las. Za nami była dolina, z której zeszliśmy, a po południowej stronie kolejne wzgórze wznosiło się do szarego od

deszczu nieba. Podeszedłem do Bjørna i wziąłem swój topór. Spojrzał na mnie bez słowa. Czując ciężar topora w garści, podeszedłem do najbliższego drzewa, w pełni wyrosniętego świerku. Teren w głębi łądu nie był dla mnie i Bjørna. Nie rozumieliśmy gór. Nie mieliśmy tam nic do roboty.

Tego dnia ściąłem osiem drzew. Gałęzi użyłem do zrobienia zadaszenia nad brzegiem rzeki. Kiedy nadszedł wieczór, miałem już zrobione palenisko w odległości ramienia przed zadaszeniem. Nosze, koce, skóry i całą broń wniosłem pod daszek. Rozpaliłem ognisko i powiedziałem Bjørnowi, że zamierzam zbudować łódź.

Jedzenie znalezione przy siodłach Gardamanów prawie się skończyło, a wiedziałem, że czekająca mnie praca potrwa wiele dni. Wcześniej następnego ranka ustawiałem wzdłuż brzegu rzeki pułapki na ryby. Ich budowania nauczył mnie ojciec. Odciąłem rozwidloną gałąź i rozszczepiłem w miejscu rozwidlenia. Wystrugałem zadziory, a w rozcięcie włożyłem mały patyczek. Do patyczka przymocowałem kawałek suszonego mięsa. Kiedy ryba chwyci mięso, patyczek obluzuje się i wypadnie, a rozcięte części gałęzi zamkną się jak pysk zwierzęcia. Wetknąłem sześć takich pułapek w dno rzeki, po czym zabrałem się do pracy. Już sobie wszystko obmyśliłem. Wyciosanie klepek i wygięcie ich nad ogniskiem to tylko niewielka część pracy, która mnie czekała. Potrzebowałem nitów do przytwierdzenia klepek, a żeby zrobić nity, potrzebowałem paleniska i kuźni.

Bjørn leżał i obserwował mnie, kiedy brodziłem w rzece, badając dno stopami. Na łądzie nie było wystarczająco wiele dużych kamieni, ale w rzece było ich sporo. Żeby je wydobyć, musiałem zanurkować. Świadomość, że woda znowu się zamyka wokół mnie, dawała się boleśnie odczuć w całym ciele. Wyniosłem jednak na brzeg potrzebne mi kamienie, a z końskiego łajna, gliny i trawy zrobiłem spoiwo. I tak oto na brzegu rzeki powstało palenisko podobne do tego, które miał Hutt. Z owczej skóry i kilku kijów skleciłem miech, a za pomocą długich drągów udało mi się wytoczyć z rzeki wielki kamień. Odwróciłem go płaską stroną do góry. Miał mi posłużyć za kowadło.

Potem lepiej uszczelniłem nasze schronienie. Nadal padało, ale wołałem deszcz od much i komarów. Choć byłem przemoczony i zmarznięty do szpiku kości, nie przejmowałem się tym. Nie zwracałem uwagi ani na zimno, ani na głód, który ssał

w żołądku. Zaczęło się ściemniać, Bjørn się podniósł i zajrzał do pułapek, ale jeszcze były puste. W zapadającym mroku zjedliśmy ostatnie kawałki suszonego mięsa i już nic nie powiedzieliśmy tego wieczoru.

Może to dziwne, że mój brat i ja nie wymieniliśmy więcej słów o tym, co się nam przydarzyło. Moi synowie pytają mnie, czy trudno mi było znieść świadomość, że zabiłem tak wielu ludzi. Według ich kobiet, mądrych przecież i roztropnych, musiało to być dla mnie trudne. Miałem tylko czternaście lat. Wielu chłopców w tym wieku to nadal dzieci. A ja kiwam głową i robię poważną minę, wzrok wędruje gdzieś w półmrok między belkami dachowymi, jakbym wspominał bolesny okres. Ale prawda jest taka, że łatwiej mi było wtedy zabijać i tak jest w wypadku większości tych, którzy dostali broń do ręki w młodym wieku. Nie rozmyślałem zbyt wiele nad tym, co zrobiłem. Nie widziałem oczami wyobraźni żon i dzieci opłakujących zmarłych. Tego rodzaju refleksje zajmują umysły dorosłych mężczyzn.

Ale śniłem tej nocy pewien sen i nie był on przyjemny. Jeszcze pamiętam wizje, które mnie wtedy nawiedziły pod daszkiem z igliwia. Widzę siebie na brzegu rzeki. Stoję nad Bjørnem okrakiem, w naszym kierunku jadą konno Gardamanowie. Woda rozpryskuje się pod końskimi brzuchami. Czuję cięciwę łuku pod palcami, jest tak twarda i ostra, że niemal mi je odcina. We śnie nie widzę wbijających się strzał. Czuję tylko dotyk cięciwy na palcach i lotki przecinające skórę na ręce trzymającej łuk. Następnie widzę brata Rosa. „Pchnij go nożem, Torsteinie. Zadźgaj go!” – brzmi nad rzeką głos Bjørna. Mam w ręce długi nóż. Gardaman wzdryga się, kiedy dźgam go tym nożem, ale we śnie nie stawia oporu, patrzy na mnie, na jego ustach pojawia się smutny uśmiech. A ja dźgam go raz po raz, aż broda jest czerwona od krwi, lecz on nadal patrzy na mnie bez gniewu, bez strachu przed śmiercią, która zamyka mu oczy. Podnoszę wzrok; nie jestem już na brzegu rzeki. Stoję na jakiejś równinie. Przedemną leży wysoki na chłopca głaz, niebo nade mną jest czerwone. Słyszę hałas czyniony przez niezliczonych wojowników, szczęk mieczy i tarcz, jęki i skargi rannych. Nagle całe ciało przeszywa ból i oto staje przede mną wróżbita z osady kupieckiej w Skirigssalen. I słyszę jego słowa: „Krew dwóch królów... na twoich rękach”.

Poświęciłem dziewięć dni na wyciosanie i przycięcie klepek do łodzi i trzy kolejne dni

na znalezienie naturalnie wygiętego dębu, z którego zrobiłem stępkę. Obciosywałem go obok kuźni, a Bjørn, którego stan wreszcie się poprawił, pomógł mi zanurzyć klepki w rzece. Miały leżeć i nasiąkać wodą, a ja zająłem się kuciem. Bjørn bardzo się dziwił, że nauczyłem się wycinania klepek i kucia żelaza, chłopcy czeladnikują przez wiele lat, żeby przyswoić sobie takie umiejętności. Odpowiedziałem, że może nie jestem wyuczonym do końca skutnikiem, ale jeśli będzie poruszał miechem, rozgrzejemy piec na tyle, by pociąć na kawałki zabraną Gardamanom broń i przekuć ją na nity. Żeby sobie z tym poradzić, potrzebowałem młota. Rozpaliłem ogień, pozwalając mu pochłaniać jedną gałąź za drugą, aż w końcu dno pieca pokryte było żarzącymi się węglami. Wyciąłem krzewy jałowca rosnące na brzegu rzeki i poobcinałem im gałęzie, wiedząc, że żadne inne drewno nie daje tyle ciepła; z piecem pełnym jałowca i Bjørnem przy miechu udało mi się w końcu wytworzyć niebieskawy żar, który pamiętałem z kuźni Hutta. Zdjąłem z trzonka głównię jednego z toporów zabranych Gardamanom i włożyłem do paleniska, aż rozżarzyła się do czerwoności. Kiedy ją wyciągnąłem, Bjørn przycisnął głównię do kamienia dwoma patykami, a ja zacząłem kuć obuchem drugiego topora zabranego Gardamanom, bo nie chciałem niszczyć swojego.

W ten sposób zrobiłem mój pierwszy młot kowalski. Schłodziłem go w rzece, a gdy stanąłem wieczorem, wsłuchując się w wiatr szumiący w szczytach świerków, poczułem spokój. Zrozumiałem, że to właśnie muszę robić, że do tego zostałem stworzony. Jeśli tylko mogłem formować żelazo i drewno własnymi siłami, jeśli tylko dane mi było widzieć, jak pod moją ręką wyrasta łódź, nie mogły mnie pochwyć ani smutek, ani czarne myśli. Najchętniej wrzuciłbym całą broń Gardamanów do pieca i poświęcił noc na wykuwanie nitów, ale byłem głodny, a kiedy ciężko opadłem obok ogniska, poczułem, jak bardzo jestem zmęczony. Bjørn piekł pstrąga na dwóch płaskich kamieniach wsuniętych do ogniska, wreszcie w pułapkach pojawiła się jakaś zdobycz.

Nie rozmawialiśmy jeszcze o tym, dokąd popłyniemy po zepchnięciu łodzi na wodę. Tego wieczoru Bjørn długo siedział z dymiącą rybą przed sobą, a potem podsunął kilka kawałków Fenremu i odchrząknął.

– Rozmawialiśmy o Irlandii – powiedział. – I wyspie Man. Ale na zachodzie nie jest może zbyt bezpiecznie. Olaf ma lojalnych ludzi na wszystkich tamtejszych wyspach. A jeśli ktoś usłyszy o dwóch braciach przybyłych z Norwegii... – Wybierał ości



z rybiego mięsa. – Olaf wysłał już pewnie posłańca do Ethelreda z wiadomością, że zajął Trøndelag. Może poprosi o więcej statków. I możesz być pewien, że ten posłaniec również wie o nas. Olaf nie jest głupi. Domyśla się pewnie, że będziemy próbowali przepłynąć się z powrotem przez morze. Sam jest żeglarzem. Wie, że nie poradzimy sobie w głębi lądu.

Spojrzałem na niego. Siedział w szarym płaszczu naciągniętym na ramiona, a blask ognia migotał na jego brodatej twarzy.

– Gdyby udało się nam dotrzeć na południe, tak jak mówiłeś... – Trzasnął komara na skroni. – Król Danów będzie potrzebował ludzi. Jeśli ci jomswikingowie walczą teraz po jego stronie, tak jak słyszałem, to jest może najbezpieczniejsze dla nas miejsce. Więc chyba masz rację. Chyba powinniśmy tam popłynąć. Do Jomsborga.

– Nie chciałeś przecież tam płynąć.

– Zmieniłem zdanie. Widziałem, jak wyciosałeś klepki i wykułeś młot. Bałem się, Torsteinie. Bałem się, że uznają cię za zbyt młodego, że nas wyśmieją. I stalibyśmy tam, daleko stąd, na obcym morzu, nie mając dokąd pójść. Ale nikt nie będzie się z ciebie śmiał, Torsteinie. Nikt nie będzie się śmiał, jeśli przypłyniemy łodzią, którą ty sam zbudowałeś.

Skinąłem głową.

– Więc poześlujemy do kraju Wendów. Do Jomsborga.

– Żagla nie widzę. Więc raczej powiosłujemy.

Oderwałem kawałek pieczonej ryby i podałem Fenremu. Potem sypnąłem świerkowego igliwia do ogniska i przesunąłem się bliżej dymu, żeby komary zostawiły mnie w spokoju.



Zanim wreszcie zepchnęliśmy łódź na wodę, minęło kolejne trzydzieści dni. Całą broń Gardamanów przetopiłem na nity, do pieca wrzuciłem nawet kłamry ich pasów i zapinki płaszczy. Ale i tak żelaza wystarczyło tylko na przytwierdzenie pięciu klepek z każdej strony, więc łódź była wąska i miała niskie burty. Obciąłem krótko włosy i brodę sobie i Bjørnowi, koniowi obciąłem ogon i grzywę, a włosy zmieszałem z popiołem

i tłuszcem ryb złowionych w rzece, a także z sadłem dzika, którego Bjørnowi udało się ustrzelić nieco powyżej rzeki. Z tego wszystkiego przyrządziłem masę uszczelniającą, więc kiedy weszliśmy do łodzi i wysunęliśmy wiosła, poszycie było całkowicie szczelne. Zrobiłem w łodzi cztery ławeczki, po jednej z przodu i z tyłu i dwie pośrodku; te środkowe dzieliła odległość ramienia, bo kadłub był zbyt wąski, byśmy obaj mogli siedzieć obok siebie. Wyciosałem też wiosła na tyle długie, żeby łatwo było utrzymywać łódź stabilnie na morzu.

Postawiłem w łodzi maszt, utrzymywany w pozycji pionowej przez liny zabrane Gardamanom. Nadal mieliśmy ich dobrej jakości ubrania, a także srebrne naramienniki. Myślałem, że może uda nam się kupić za nie żagiel, ale według Bjørna nie powinniśmy dobijać do lądu, dopóki nie opuścimy Trøndelagu.

Ostatnią rzeczą, którą zrobiliśmy przed odpłynięciem z obozu, było wypuszczenie na wolność konia. Został, stojąc na brzegu rzeki, kiedy zaczęliśmy wiosłować, przez chwilę miałem niemal poczucie, jakbyśmy opuszczali człowieka, starego przyjaciela stojącego tam i spoglądającego za nami. Ale prąd wkrótce nas pochwycił i poniósł dalej i już nigdy więcej nie zobaczyliśmy obozu ani konia.

Nie musieliśmy ciężko wiosłować tego dnia. Prąd był silny, a wiosła używaliśmy głównie do sterowania. Fenre znalazł sobie miejsce pod ławeczką na rufie, gdzie leżał zwinięty na kocu, który mu tam wsunął Bjørn. Na drzewach pokazały się już liście, a ja niemal nie zwróciłem na to uwagi. Bjørn obrócił się na ławeczce wioślarskiej, siedział za mną. Potem podał mi rękę, ja ją chwyciłem i siedzieliśmy tak, ściskając sobie wzajemnie ręce i śmiejąc się. Była to na pewno radość, że wreszcie znowu mamy wodę pod stępką, i przeczucie, że przy końcu rzeki czeka morze. Jeśli tylko uda nam się tam dotrzeć, nie zwracając na siebie uwagi ludzi Olafa, będziemy wolni.

Okazało się, że rozбитą przez nas obóz leżał tylko o pół dnia podróży rzeką od najbliższych zabudowań. Zbliżał się wieczór, minęliśmy zakręt rzeki, a tuż po drugiej stronie znajdowało się skupisko kilku ziemianek. Były ustawione w półkole, tworząc wał, za którym był las. Przy drewnianym nabrzeżu zacumowane były dwa byrdingi. Widzieliśmy reje opuszczone na ławeczki. Do obydwu przytwierdzono żagle.

Pomyśleliśmy zapewne to samo tego wieczoru. Spojrzeliśmy na siebie. Ponieważ

mieliśmy teraz krótkie włosy, nie było nas tak łatwo rozpoznać. Ale po naszej mowie można było usłyszeć, że jesteśmy z Viken.

– Ja będę mówił – rzucił Bjørn. – Ty nie odzywaj się ani słowem.

Powiosłowaliśmy do pomostu. Tam przycumowaliśmy dziobem w kierunku rzeki tak, żeby było łatwo odpłynąć, a potem zeszliliśmy na ląd.

Trzech mężczyzn z wielkimi brodami wyszło na podwórko, przed nimi stał, szczekając, kudłaty pies. Dwóch z nich miało łuki i strzały założone na cięciwy. Mieli na sobie skórzane kubraki i brudne wełniane portki, byli bosy, grubo ciosani i rozczochrani. Dwóch łuczników miało rude brody. Ten, który stał w środku, był starszy, miał siwą brodę i pooraną zmarszczkami twarz.

– Czego tutaj chcecie? – Siwobrody podparł się pod boki.

Bjørn odchrząknął i zaczął mówić. Słowa, które wyszły z jego ust, nie były norweskie. Brzmiało to jak język, którym mówili ludzie w Jorviku, ale jąkał się i ta maskarada była mało przekonująca. Pies ruszył w naszym kierunku z położonymi uszami, szczyrzył zęby i warczał.

Jeden z mężczyzn podniósł łuk. Nie zdążyliśmy nawet rzucić się w bok, kiedy strzała utkwiała w ziemi dokładnie między stopami Bjørna.

– Do mnie! – krzyknął siwobrody, ale nie miał na myśli nas. Pies natychmiast wycofał się, nadal warcząc. Siwobrody wskazał na nas. – Jesteście z pretendentem do tronu, tym co zabił Håkona? I gadać mi tu po norwesku!

Wystąpiłem przed Bjørna.

– Z nikim nie jesteśmy... Chcemy tylko...

Bjørn odepchnął mnie na bok.

– Chcemy tylko jedzenia i schronienia na noc! Zapłacimy!

– Zapłacicie? Czym?

– Srebrem – odparł Bjørn.

– Nie chcemy tu ludzi Olafa – powiedział rudobrody. – Jesteście ludźmi Olafa?

– Nie – odparł Bjørn, a ja pokręciłem głową.

– To dobrze – rzekł rudobrody. – Bo tu na gospodarstwie nie ugniemy się przed żadnym chrześcijańskim królem.

Nie trzeba było więcej słów. Bjørn i ja zostaliśmy przyjęci w największej ziemiance,

która okazała się wystarczająco duża, żeby pomieścić palenisko i ławy do spania. Siwobrody wyjaśnił nam, że nazywa się Styrbjørn i jest synem Styrbjørna, ale wszyscy nazywają go rzeczonym hovdingiem, bo to on rządzi w rejonie rzeki Gaula. Kiedy to powiedział, poczułem na sobie wzrok Bjørna. Wiedziałem, że rzeka płynąca niedaleko gospodarstwa Rimol nazywa się Gaula. Przeczuwałem, że prawdopodobnie będziemy zmuszeni płynąć do morza przez tereny zamieszkiwane przez ludzi lojalnych wobec Olafa. Ale miałem nadzieję, że dotarliśmy bardziej na południe. Kiedy dotrzemy do ujścia rzeki, zobaczą nas tam z Rimol. A co, jeśli Olaf, Ros i reszta floty nadal przebywają na plaży przy ujściu rzeki?

Reczny wódz powiedział nam, że nas obserwowali. Przyszliby nawet do nas z jedzeniem, gdyby wiedzieli, że nie jesteśmy ludźmi Olafa. Widzieli przecież, że Bjørn jest chory, złożyli ofiary Idun i Odynowi i wtedy mu się polepszyło.

W ziemiance znajdowały się też siwowłosa kobieta i dwie młode dziewczyny. Córki natychmiast przyciągnęły wzrok mój i Bjørna. Były bardzo urodziwe, młodsza przypominała Sigrid z Orkadów. Zastanawiałem się, jak jej się powodzi, i spędziłem chyba w milczeniu większość wieczoru, podczas gdy Bjørn rozmawiał z wodzem i jego rodziną.

Trzeba stwierdzić, że w tamtych czasach Norwegowie byli bardziej gościnni niż teraz. To wraz z nastaniem chrześcijańskich królów nieufność, strach i chciwość zaczęły się wkradać w serca mojego ludu. Widzieliśmy to już na przykładzie rzeczego wodza. Pomógłby nam, kiedy Bjørn leżał chory, gdyby nie obawa, że jesteśmy ludźmi Olafa. A teraz kłamaliśmy, bo kiedy zapytał, czy słyszeliśmy o śmierci Erlenda Håkonsona, udaliśmy, że nic nie wiemy.

Dostaliśmy do jedzenia wędzonego szczupaka i pieczonego pstrąga, a do picia długo leżakowane piwo. Bjørn powiedział, że uciekamy przed Olafem i jego ludźmi, że chcemy popłynąć na południe i spróbować znaleźć kraj, gdzie moglibyśmy służyć jako wojownicy. Wódz rzeczny i jego synowie wzniesli za to toast, a kiedy tak siedzieliśmy i piliśmy, Fenre leżał na kolanach młodszej rudowłosej córki. Długo głaskała go po przykurczonej łapie, jakby to miało przywrócić mięśniom siłę i poprzednią wielkość.

U rzeczego wodza usłyszeliśmy o wydarzeniach, które doprowadziły do smutnego końca jarla Håkona. Jarl uciekł, kiedy tylko rozpoczął się bunt, mówiono, że udał się na

południe, według niektórych pogodził się ze Svenem Widłobrodym i przebywał u niego. Lecz to nieprawda, mówił rzeczny wódz. Jarl nie żyje, a jemu samemu opowiedziano, jak to się stało. Uciekał razem z niewolnikiem Karkiem, ale jarl był stary i zmęczony i przez noc nie uszli daleko. Reczny wódz kołysał smętnie głową, opowiadając, jak Kark wykopał dół pod podłogą chlewa w Rimol i tam, w brudzie i gnoju, jarl i niewolnik się schowali. Reczny wódz miał kuzyna w tym gospodarstwie, który przyplłynął tutaj i wszystko opowiedział. Ponoć gospodarz Rimol nie miał z tym nic wspólnego, nic nie widział. Czy to prawda, tylko sam Odyn wie. Według kuzyna było tak, że ten niewolnik Kark usłyszał, jak Olaf obiecuje wielką ilość srebra temu, kto przyniesie mu głowę Håkona. Dlatego zabił jarla, odciął mu głowę i wyczołgał się z nią. Ale Olaf najwyraźniej nie jest z tych, co dotrzymują słowa. Wódz rzeczny spojrział na nas z powagą i przeciągnął palcami po gardle. Zamiast srebra, niewolnika czekał cios toporem w kark.

Bjørn powiedział, że to wszystko prawda, on też słyszał, że tak się to odbyło. Ja się nie odzywałem.

Spędziliśmy noc w ziemiance. Znad gór nadciągnęła niepogoda. Kiedy się zbudziliśmy, brzozy ugiwały się na wietrze. W ciągu nocy podniósł się poziom wody, teraz sięgała prawie do pomostu.

Bjørn i ja zjedliśmy kaszę i zaczęliśmy przygotowywać się do dalszej drogi. Reczny wódz i jeden z jego synów przyglądali się nam, siedząc przy palenisku, a my zwijaliśmy koce i skóry. Srebro schowane było w łodzi, zawinięte w jeden z płaszczy zabranych Gardamanom.

Pomyślałem, że postąpiliśmy lekkomyślnie, zostawiając je tam. Byłem niemal pewny, że ludzie znad rzeki ukradli je w nocy, ale Bjørn poszedł na pomost i wrócił z zawiniątkiem.

Nie było trudno pertraktować z wodzem rzeczny. Ponieważ chcieliśmy wyruszyć na morze i dalej na południe, domyślał się, że będziemy chcieli kupić żagiel. Już zdecydował, że przekaże nam jeden ze swoich żagli, ale srebro mamy mu oddać co do kawałeczka. Konia, którego pozostawiliśmy, też odszukają i złapią i wtedy już będzie jego, nie nasz.

Kiwnęliśmy głowami. Bjørn przesunął zawiniątko ze srebrem po stole, przy którym siedzieliśmy; rzeczny wódz otworzył je, podniósł jedną z monet w świetle padającym z paleniska, a potem założył sobie jeden naramiennik. Ale chciał od nas nie tylko srebra; dobrze pamiętam ostatnie słowa, które wyrzekł do nas.

– Przetopimy to srebro, tak żeby nikt go nie rozpoznał. Kupimy za nie zboże na jesień. Ale skoro macie zabrać żagiel, musicie mi obiecać, że będziecie pamiętać ludzi znad rzeki i oszczędzicie nas, jeśli jakieś waśnie przywiodą was tutaj z powrotem jako wojowników.

Bjørn odpowiedział, że płyniemy na południe i raczej nigdy już tu się nie pojawimy, jednak nawet gdybyśmy wrócili, ani ogień, ani złoczyńcy nie zrobią krzywdy rzecznemu wodzowi i jego rodzinie.

Gdybyśmy z Bjørnem wiedzieli, jak blisko Rimol się znajdujemy, nie mielibyśmy odwagi tak długo obozować nad rzeką. Już następnego dnia dotarliśmy do rzecznej łachy, gdzie zabiliśmy Gardamanów. Tu dobiliśmy do lądu i wciągnęliśmy łódź w brzezinę. Był wieczór, ale chcieliśmy pozostać w ukryciu, aż zrobi się zupełnie ciemno. Wtedy zamierzaliśmy powiosłować dalej, a jeśli Odyn dobrze nam życzy, żaden z ludzi Olafa nas nie zauważy.

Zapadał mrok. Pogrążyłem się w rozmyślaniach. Zastanawiałem się, czy nie powinniśmy raczej porzucić łodzi i iść na południe piechotą. Mógłbym wybudować nową łódź po dotarciu nad morze albo nad inną rzekę. Wtedy jednak znowu musielibyśmy ruszyć w pieszą wędrówkę. A wszystkie te góry i wzgórza w pewien sposób nas oszukały, bo wędrowaliśmy przecież całymi dniami i nie posunęliśmy się zbyt daleko, nie licząc krótkiej podróży rzeką. Tęskniłem za morzem. Im bardziej o tym myślałem, tym większa stawała się tęsknota. Z czasem pragnienie znalezienia się na morzu przyćmiło strach przed Olafem.

Tylko ludzie morza mogą zrozumieć, jak morze przyzywa nas do siebie. Myślę, że Bjørn też to czuł, wchodząc do łodzi tego wieczoru. Odyn musiał nas widzieć, bo wezwał swojego syna, żeby pozwolił zabrzmieć gromom gdzieś na zachodzie. Znikły gwiazdy i księżyc, nadpłynęły chmury i zaczął padać deszcz tak gwałtowny, że musieliśmy wybierać wodę z łodzi.

Dopłynęliśmy do końca rzeki w całkowitych ciemnościach i dopiero gdy poczuliśmy pod sobą fale, zrozumieliśmy, że jesteśmy w fiordzie. Statków Olafa nie widzieliśmy, ale nawet gdyby znajdowały się na plaży koło Rimol, i tak byśmy ich nie zobaczyli.

Kiedy zaczęło się rozjaśniać, znajdowaliśmy się na środku Trondheimsfiordu. Byliśmy przemoczeni do cna, ludzie i pies, lecz nie ma większego szczęścia niż to, które czuliśmy, podnosząc reję. Szoty żagla przymocowaliśmy do knag, które zrobiłem z boku w rufowej części kadłuba, a przy wiejącym od strony lądu wietrze i sprzyjającym prądzie szybko prześliznęliśmy się obok cypla, gdzie walczyliśmy przeciwko Erlendowi Håkonsonowi. Stąd pożeglowaliśmy tym samym szlakiem, którym przypłynęliśmy razem z Olafem. Kiedy słońce przedarło się przez pokrywę chmur, nieco później tego ranka, byliśmy na otwartym morzu.



## 19

### Tylko najodważniejsi

**N**iewiele mam wspomnień z naszej podróży na południe. Gdy było to możliwe, trzymaliśmy się osłoniętych szlaków, a gdy morze było zbyt wzburzone, rozbijaliśmy obóz na lądzie. Statków Olafa nie widzieliśmy, spostrzegłszy zaś z daleka jakieś gospodarstwa, omijaliśmy je szerokim łukiem. Nikt nie mógł się dowiedzieć, dokąd pożeglowali synowie Tormoda.

Podróż z Trøndelagu do południowego krańca Norwegii zajęła nam dwanaście dni. Tutaj stanęliśmy przed decydującym wyborem: czy płyniemy do Viken, przeprawiamy się przez fiord w jego wąskim miejscu i płyniemy wzdłuż wybrzeża na południe, obok rodzinnego Vingulmorku i stamtąd w dół do Ranrike, Gotalandii i Skanii, czy może prosto przez otwarte morze w nadziei, że trafimy na Jutlandię? Sporo czasu zajęło nam dotarcie tutaj, ponieważ byrding był wąski i niezbyt nadawał się do pełnomorskiej żeglugi, dlatego żeglowaliśmy po wewnętrznej stronie szkierów i wysp, jeśli tylko było to możliwe. Gdyby spotkał nas sztorm na otwartym morzu, raczej nie dalibyśmy sobie rady. Ale w Viken mogliśmy natknąć się na ludzi lojalnych wobec Olafa albo i na samego Olafa.

Rozmyślaliśmy nad tym przez cały wieczór i całą noc. Pamiętam, że wpłynęliśmy między kilka szkierów na otwartym morzu i znaleźliśmy osłonięte od wiatru miejsce w zagłębieniu powstałym w przybrzeżnej skale. Tam spędziliśmy noc. Bjørn spał głęboko i wierzgał we śnie jak pies. Fenre był niespokojny tej nocy, cały czas podbiegał do wody i piszczął. Zmagalem się z przecuciem, że czeka nas niewolnicza obroza, jeśli natychmiast nie opuścimy Norwegii. I może to szept Odyna słyszałem, bo o świcie byłem już na nogach, przygotowując byrding do wypłynięcia w morze. Prawie nie było



fal, wiatr wiejący od morza tworzył na wodzie zaledwie zmarszczki. Odwijając żagiel, zauważyłem na zachodzie dwa okręty, a trzeci pojawił się, kiedy wnosiłem Fenrego na pokład. Obudziłem Bjørna, zepchnęliśmy byrding na wodę i wciągnęliśmy reję z żaglem.

Nie wiem, czy to statki Olafa widzieliśmy tego ranka. Popłynęliśmy szybko na południe i wkrótce zniknęliśmy z zasięgu wzroku ludzi na statkach i na lądzie; stwierdziliśmy, że najlepiej jest po prostu płynąć dalej, kiedy wiatr jest sprzyjający. Gdyby osłabł, wysunęlibyśmy wiosła, bo łatwo było wiosłować naszą wąską łodzią, która szybko poruszała się po morzu. Według Bjørna powinniśmy zobaczyć ląd, zanim się ściemni.

Okazało się, że miał rację. Nie tylko zobaczyliśmy ląd przed zapadnięciem zmroku, ale też zdążyliśmy do niego dopłynąć i znaleźć zaciszne miejsce. Dobiliśmy do plaży ciągnącej się wzdłuż morza jak okiem sięgnąć, woda była tu tak płytka, że musieliśmy brodzić na odległość kilku strzałów z łuku, zanim wciągnęliśmy byrding na suchy grunt. Głębiej znajdował się pas porośniętych trawą piaszczystych wydm, między kilkoma z nich znaleźliśmy ustronne miejsce na nocleg. Ledwo ułożyliśmy się wygodnie do snu, kiedy wzmógł się wiatr. Najpierw usłyszeliśmy jakby wycie daleko na morzu, brzmiało to niemal jak żywa istota. Potem przyszedł szemrzący dźwięk piasku i trawy przyginanej ku ziemi. Miało się wrażenie, że ląd pod nami jest tak kruchy, że dygocze ze strachu przed pochłonięciem przez fale, które wkrótce zaczęły uderzać o wydmy. Te fale rosły coraz bardziej na morzu, jak wojsko berserków podburzały się wzajemnie do walki, a potem rzucały na ziemię króla Danów.

Bjørn i ja pomyśleliśmy, że musimy zabrać byrding z plaży i dobrze, że z tym nie czekaliśmy. Kiedy zeszliśmy do wody, poziom morza był już wyższy, a byrding zaczął dryfować. Wciągnęliśmy go między wydmy. Potem weszliśmy do niego razem z psem; nawet gdyby sztorm porwał piasek pod nami, przynajmniej znajdowaliśmy się w łodzi.

Jeśli przeprawialibyśmy się przez morze pół dnia później, zginęlibyśmy. Zatopiłby nas tej nocy sztorm, który nadciągnął z północnego zachodu. Bjørn, Fenre i ja leżeliśmy płasko na dnie byrdingu, ulokowanego w zaciszu za wydumą, a mimo to cały kadłub trzął się w gwałtownych podmuchach wiatru. W nocy Bjørn zawołał do mnie, że Odyn jest z nami. Musiał przecież być, skoro udało nam się umknąć nie tylko okrętom, ale

i sztormowi.

Może i tak było, a może mieliśmy tylko szczęście. Mój brat więcej chyba rozmyślał o Wszechojcu i jego złocistej halli niż ja. Mam nadzieję, że do śmierci zachował swoją wiarę. Wielu wtedy zwątpiło, bo królowie i możnowładcy wszędzie przyjmowali Białego Chrysta, a ich mnisi twierdzili, że wiara naszych przodków jest fałszywa. Nie ma żadnego Asgardu, mówili. Odyn i jego synowie to tylko stare historyjki, a odwaga wojownika nie przywiedzie go do stołu w Valhalli. Należy okazywać pokorę i wyrzec się samego siebie, karki ludzi mają być zgięte na znak posłuszeństwa. Mamy bać się i kochać naszego króla i Boga. Tylko co to za życie? I co to za bóg chce, żebyśmy się go bali? To musi być jakiś zły bóg. Odyn nigdy nie domagał się pokory. Nigdy nie oczekiwał wyrzeczenia się samego siebie. W czasie walki stał po naszej stronie, a jego syn gnał po niebie, ciskając błyskawice w naszych wrogów.

Myślałem tej nocy, że może zesłany sztorm miał zatopić flotę Olafa. Oczami wyobraźni widziałem okręty na poczerniałym morzu pochłaniane przez spienione fale. Ale tak się nie stało, Olaf kontynuował wyprawę wzdłuż wybrzeży Norwegii, aż srebrem i mieczem podporządkował sobie cały kraj.

W najciemniejszej porze nocy usłyszałem jakby wycie od strony morza. Byłem pewien, że to nie wiatr. Bjørn owinął się kocami razem z Fenrem, człowiek i pies zasnęli kamiennym snem. Dlatego sam wyczołgałem się z łodzi, bo znowu usłyszałem wycie. Dobiegało od strony plaży, ale było tak ciemno, że nie widziałem nawet ręki wyciągniętej przed sobą. Stałem na czworakach jak pies między wydrami smagany wiatrem i bryzgami wody morskiej i wtedy po raz trzeci usłyszałem to wycie. Było w nim coś nieskończenie smutnego, później często myślałem, że jeśli samotność ma dźwięk, to właśnie tak on brzmi.

O świcie wiatr osłabł. Bjørn, Fenre i ja zeszliśmy w dół między wydrami i oniemieliśmy. Leżał tam, otoczony potężnymi kłębami wodorostów i przewrócony na bok, największy wieloryb, jakiego kiedykolwiek widziałem. Odór był silny, wydobywał się z półotwartej paszczy. Uderzył płetwą ogonową i z otworu nosowego na szczycie głowy dobiegło bulgotanie. Otwór już prawie nie wystawał ponad powierzchnię wody, a ponieważ potężny ciężar wciskał zwierzę coraz bardziej w piasek, wieloryb się dusił.

– Jest przypływ czy odpływ? – Bjørn podszedł do zwierzęcia i położył rękę tuż obok wielkiego czarnego oka.

Stałem i patrzyłem na linię wody na ciele wieloryba. Nie wiedziałem, czy to ciężar wciskał go coraz bardziej w dół, czy poziom wody się podnosił, czy może obydwie rzeczy naraz. Po chwili otwór nosowy znalazł się pod wodą.

– I tak by zdechł – powiedział Bjørn. – Tak będzie szybciej.

Umilkliśmy. Staliśmy jak przy umierającym towarzyszu broni, podczas gdy poziom wody się podnosił; Bjørn rzekł cicho, że nie wie, jak długo takie zwierzę może wstrzymać oddech. Okazało się, że nie tak długo, jak myśleliśmy. Wkrótce zaczął bić ogonem. Otworzył paszczę, ale nie potrafił chyba zaczerpnąć powietrza. Może został ranny podczas sztormu, może płuca zostały zmiażdżone ciężarem, kiedy znalazł się na płyciźnie. Znowu usłyszeliśmy to pełne bólu wycie, wieloryb podniósł jeszcze raz ogon i znieruchomiał. Podszedłem bliżej i stanąłem obok Bjørna. Umierający wieloryb patrzył na nas wielkim czarnym okiem.

Mogliśmy wykroić z niego tłuszcz i mięso. Ale nie zrobiliśmy tego. Ruszyliśmy stamtąd w milczeniu i dopiero kiedy ciało wieloryba zniknęło za horyzontem, Bjørn odłożył wiosło.

– Nie mogłeś go uratować, Torsteinie. To sztorm... musiał go zranić.

Te słowa coś mi przypomniały. Pewnego razu w domu znalazłem pisklę sroki ze złamanym skrzydłem. Nie byłem duży, miałem co najwyżej sześć, siedem lat. Zabrałem pisklę, żeby pokazać ojcu i Bjørnowi, którzy rąbali drewno. Ojciec wziął pisklę w swoje sękaty dłonie, westchnął, pokręcił głową i powiedział, że najlepiej skrócić mu kark, żeby zaoszczędzić mu cierpienia. Ale ja pobiegłem do lasu z powrotem do miejsca, gdzie je znalazłem, i wysoko na sośnie nade mną zobaczyłem gniazdo. Wspiąłem się do niego z pisklęciem w garści. W gnieździe było dwoje innych małych. Położyłem ranne pisklę razem z nimi, myśląc, że rodzice będą je karmić i utrzymywać przy życiu i może skrzydło się zrośnie. Ledwo jednak zszedłem z drzewa, pisklę znowu upadło na ziemię. Mała istotka nadal żyła, trzepotała jednym skrzydłem, żałośnie popiskując. Gdy tak stałem, zbierając się na odwagę, żeby zrobić tak, jak poradził ojciec, nadszedł Bjørn. Bez wahania chwycił pisklę za łebek i skrócił mu kark. Potem zwrócił się do mnie, a na

jego chłopięcej twarzy malowała się wielka powaga.

– Nie mogłeś go uratować, Torsteinie.

Chrześcijanie dziwią się być może, słysząc, jak wtedy myśleliśmy o takich rzeczach. O nas, poganach, powiada się, że nie znaliśmy litości i zmiłowania. Może byliśmy czasem bezlitośni, kłamstwem byłoby twierdzić coś innego. Ale nie byliśmy pozbawieni serca.

Opłynęliśmy północny kraniec Jutlandii i ruszyliśmy na południe szlakiem osłoniętym jutlandzkimi wydmami, gdzie woda była spokojna i tak płytka, że widać było dno pod nami. Wkrótce znaleźliśmy się w Kattegat, wiedzieliśmy, że rządzi tu król Danów. Danowie nie byli wolnym narodem jak Norwegowie, już od dłuższego czasu mieli nad sobą władzę królewską. Bjørn mówił o tym pierwszego wieczoru, kiedy dobiliśmy do lądu na wschodnim wybrzeżu Jutlandii; rozpaliliśmy tu ognisko z wyrzuconego przez fale drewna, znaleźliśmy schronienie wśród kilku trawiastych wydm. Mój brat twierdził, że Danowie bardzo lubią grabieże. Wszyscy Danowie, których spotkał, łaknęli złota i krwi. Byli jak dzikie zwierzęta, gdy pod wodzą Olafa i Svena Widłobrodego weszli do Wessex; nawet zahartowani w bojach siwobrodzi, którzy widzieli już niemal wszystko, byli przerażeni ich zbrodniami. Nie bez powodu Ethelred wybrał Olafa, a nie Svena, kiedy wyciągnął rękę i kupił sobie przymierze srebrem. Ale według Bjørna to własny kraj uczynił ich takimi. Jak się obydwaj przekonaliśmy, krajobraz był tu zupełnie płaski. Bjørn słyszał, że tak samo jest w kraju Wendów. I w Gardarike. Zgadza się, ląd na południe i na wschód od nas był płaski jak tarcza. Nie było tu gór oddzielających od siebie poszczególne rody, dlatego od samego początku Danowie walczyli ze sobą. Całe pokolenia waśni i zabójstw ukształtowały tutejsze ludy.

Jeszcze nie widzieliśmy ani jednego Dana, na morzu też byliśmy sami. Czyżby wszyscy byli na zachodzie i oddawali się grabieżom? Następnego dnia pożeglowaliśmy dalej, a ja siedziałem, sterując wiosłami, i myślałem, że może zrobiliśmy błąd, żeglując na południe. Jeśli wszyscy tutaj są wojownikami, jeśli nie znają pokoju i żyją tylko po to, żeby grabić i wojować... Czy takiego życia pragnąłem?

Powiedziałem o tym Bjørnowi. Chyba oczekiwałem, że ponieważ najpierw nie chciał płynąć tą drogą, myśli podobnie jak ja. Ale Bjørn siedział, głaszcząc Fenrego

i przyglądając się przesuwającym się obok nas piaszczystym wydmom, aż wreszcie spytał, ilu ludzi już zabiłem. Musiałem się zastanowić, bo było ich więcej, niż chciałem przyznać. Najpierw ten, którego zabiłem w osadzie kupieckiej, potem bitwa z synem jarła. A później brat Rosa i pozostali, którzy puścili się za nami w pogoń.

Są tacy, którzy byliby z tego dumni. Chełpiliby się swoimi czynami i domagali pochwał za odwagę i męską siłę. Nie ja. Najchętniej zapomniałbym każde z tych zabójstw.

Pożeglowaliśmy na południe i dobijaliśmy do brzegu tylko wtedy, kiedy wiatr stawał się zbyt silny, albo po to, żeby napełnić bukłaki wodą. Żywiliśmy się złowionymi w morzu rybami, a gdy wpłynęliśmy między duńskie wyspy i po raz pierwszy zobaczyliśmy wielkie gospodarstwa Danów i ich statki wciągnięte na plaże z płytką wodą, nie schodziliśmy na ląd, tylko kontynuowaliśmy żeglugę na południe z podniesionym żaglem i wysuniętymi wiosłami.

Temu, kto tamtędy nie żeglował, trzeba wiedzieć, że Kattegat nie jest dużym morzem. Doba sprzyjającego wiatru zabierze cię z morskich szlaków wokół Danii w głąb szerokiej zatoki tuż na południe od Zelandii. Do tej zatoki uchodzi kilka rzek, przy ujściu jednej z nich zobaczyliśmy skupisko długich domów i dwa byrdingi. Zeszliśmy na ląd, naprzeciw wyszło nam dwóch mężczyzn z łukami w garści. Bjørn zapytał o drogę do Jom, ale jedyną odpowiedzią była strzała, która wbiła się w piasek tuż przed naszymi stopami.

Popłynęliśmy dalej wzdłuż wybrzeża, najpierw na południe, a potem nieco na wschód. Było tu trochę piaszczystych wydmi i ziem będących w tamtych czasach częścią duńskiego terytorium. Czasami widać tutaj tuż pod powierzchnią wody prąd, linię tak wyraźną, jakby była wryta nożem. Tę linię właśnie przekroczyliśmy. Przed sobą mieliśmy kolejne morze rozpościerające się pod stalowoszarym niebem. Domyślaliśmy się, że to Bałtyk; wiedzieliśmy, że kraina Wendów leży na południowym brzegu tego morza. Jednak nadal nie wiedzieliśmy, w którym kierunku mamy płynąć.

Nie próbowaliśmy już zawijać do żadnych gospodarstw, ale tego dnia zobaczyliśmy na południe od nas płynący byrding. Powiosłowaliśmy w jego kierunku. Będąc na odległość niewiele większą niż strzał z łuku, wyhamowaliśmy wiosłami i zatrzymaliśmy

się.

– Gdzie jest Jom?! – zawołał Bjørn i tym razem otrzymaliśmy swego rodzaju odpowiedź.

Dwóch mężczyzn w łodzi wymieniło ze sobą parę słów, po czym jeden z nich wyciągnął rękę na wschód, podniósł ją do góry i coś do nas zawołał. Wydawało mi się, że pokazał nam dwa palce. Czy miał na myśli dwa dni?

Popłynęliśmy na wschód, z bryzą z południowego zachodu w żaglu opłynęliśmy kolejny cypel. Po jego wschodniej stronie linia brzegowa wydawała się skręcać na południe. Ponieważ wiatr właśnie się wzmaczał, a fale były już i tak duże, nie mieliśmy innego wyjścia, jak podążać linią brzegową w zaciszu lądu.

Ten, kto dziś siedzi przy stole chrześcijańskich królów i słucha ich skaldów, może usłyszeć, że jomswikingowie byli prostymi ludźmi, wyjętymi spod prawa rozbójnikami morskimi, zjednoczonymi w szeregach jakiegoś pogańskiego bractwa. Mówi się, że łasil się do Widłobrodego jak psy, a historie o ich odwadze i nieustraszoneści należy włożyć między bajki. Nas, którzy twierdzimy coś przeciwnego, nazywa się kłamcami.

Niech mnie nazywają kłamcą. Sam wiem, co widziałem, i pamiętam, kim byłem. Kiedy kładę rękę na toporze zawieszonym u pasa i dotykam run wyrytych w drzewcu, słyszę okrzyk moich towarzyszy walki, czuję fale pod poszyciem statku i tęsknię za tamtymi czasami.

Dałem się trochę ponieść myślom. Jeszcze nie opowiedziałem, jak znaleźliśmy Jomsborg, i jak to się stało, że Bjørnowi i mnie pozwolono tam służyć. Płynąc wzdłuż wendyjskiego wybrzeża, dziwiliśmy się, że jest tak opustoszałe. Wydawało się, że kraj tworzyły piaszczyste łąchy i wydmy z uczezionymi do nich kurczowo kępami trawy, nie było tu ani wysp, ani szkieletów. W kilku miejscach widzieliśmy byrdingi z ludźmi na pokładzie, do wszystkich wołaliśmy to samo: „Gdzie jest Jom?”. Ale odpowiedzi były w języku, którego nie rozumieliśmy. Minęliśmy bardzo szeroką zatokę, dalej leżała mała wyspa, jedyna, którą dostrzegliśmy na wendyjskim wybrzeżu. Piaszczyste wydmy skręcały na wschód. Wkrótce znaleźliśmy się w zatoce, skąd wybrzeże znowu odchyłało się na północ. Tutaj do morza uchodziła szeroka rzeka, a przy jej ujściu usypany był potężny kopiec kamieni. Bjørn twierdził, że musimy podpłynąć bliżej, bo to pewnie jakiś znak graniczny.

Przy ujściu rzeki zdjęliśmy reję i żagiel i zaczęliśmy wiosłować. Rzeka była szeroka i bardzo spokojna, skręcała najpierw na wschód, a następnie znów na południe. Wydmy były wyższe niż te, które przedtem widzieliśmy, między nimi rosły małe krzewy i duże skupiska modraka. Rzeka ponownie skręcała na wschód, a potem dzieliła się na kilka mniejszych rzeczek. Minęliśmy piaszczyste wydmy tworzące naturalną barierę dla wód Bałtyku, przed nami leżało rozległe jezioro. Odłożyliśmy wiosła, bo obydwaj dostrzegliśmy warownię, leżącą jakby na półwyspie wzdłuż północnej strony jeziora.

Podpłynęliśmy bliżej. Wkrótce poczuliśmy zapach gnoju, a potem w naszym kierunku zaczęły również napływać dźwięki. Najpierw usłyszeliśmy odgłosy kucia żelaza, następnie niezbyt głośny dźwięk młotów uderzających w drewno i wreszcie czyjś głos. Mężczyzna wołał chyba po norwesku, chociaż nie podpłynęliśmy jeszcze tak blisko, żeby rozróżniać słowa.

W miarę jak wiosłowaliśmy, odkryłem, że nad jeziorem stoi więcej domów. Od nich dochodziły do wody długie drewniane pomosty, w oddali majaczyły łodzie wiosłowe. Wkrótce przepłynęliśmy obok skupiska kłoców drewna kołyszących się na wodzie, każdy był obwiązany w połowie długości sznurem. To były żaki i pułapki na ryby. Wkrótce ujrzeliśmy więcej takich boi, układały się w nieregularną linię w pewnej odległości od lądu.

Im bliżej podpływaliśmy, tym większa zdawała się warownia. Nie można było jeszcze określić, jak daleko od niej jesteśmy, bo w wendyjskim terenie nadbrzeżnym trudno jest ocenić odległość. Znajdują się tam tylko wydmy i plaże z płytką wodą, a to, co z daleka wydawało się otaczać dwa czy trzy długie domy, stało się teraz częstokołem z drewnianych bali długości wielu strzałów z łuku. Warownię zbudowano na półwyspie Jom i z biegiem lat powiększano, aż w końcu zajęła cały teren. Bjørn i ja podpłynęliśmy do południowego krańca warowni; tam zobaczyliśmy koryto rzeki ciągnące się na północ. Tuż przy ujściu rzeki częstokół wchodził dobry kawał w wodę.

– I co robimy? – zapytał Bjørn. – Po prostu ich spytamy?

Nieczęsto pytał mnie o zdanie, ale skoro to ja nalegałem, żeby tutaj przybyć, chciał pewnie, żebym zdecydował, jak to wszystko rozegrać. Obydwaj myśleliśmy, że albo to jest Jomsborg, albo mieszka tu jakiś potężny król. Nagle się przestraszyłem, że to sam Sven Widłobrody i jego duńskie wojsko tutaj stacjonuje, bo dobiegały nas stamtąd

duńskie głosy. Ale wkrótce zabrzmiał również głos Norwega, chyba z Ryfylke, a odpowiadał mu ktoś prawdopodobnie ze Skanii.

Podpłynęliśmy bliżej i wkrótce odkryliśmy, że wejście do rzeki zagrodzone jest ostro zakończonymi palami, które teraz, w czasie przyływu, ledwo wystawały nad wodę. Bjørn zaczął więc wiosłować wzdłuż ujścia rzeki, podczas gdy ja siedziałem na dziobie, wypatrując jakiegoś otworu. Wreszcie go znalazłem – wąska rynna skręcała pod ostrym kątem na północny zachód, a potem na północny wschód. Wydawała się tylko odrobinę szersza niż langskip, więc ci, którzy poruszali się takimi jednostkami w jedną lub drugą stronę, musieli dobrze wiedzieć, co robią.

Kiedy przedostaliśmy się przez zaporę, znaleźliśmy się tuż przed częstokołem okalającym port Jomsborg. Wbite w dno rzeki nasmołowane pale stanowiły wschodnią połowę warowni. Widzieliśmy czubki najwyższych masztów wystające ponad przedpiersie, widzieliśmy mężczyzn wskazujących na nas. Była tutaj potężna, obita żelazem brama, której drzwi sięgały aż do powierzchni wody; nikt nie mógł dostać się do portu, dopóki brama nie została otwarta.

Bjørn i ja uważaliśmy się może za bardzo śmiałych tego dnia, ale nie byliśmy jedynymi, którzy przybyli do Jomsborga w ten sposób. To były niespokojne czasy, rzadko toczyło się tyle konfliktów co wtedy. Wodzowie i namiestnicy, jarlowie i królowie; wszyscy walczyli teraz o ziemię i o władzę, niektórzy po to, żeby utrzymać to, co mają, co było własnością ich rodu od niezliczonych pokoleń. Ale w każdej bitwie i w każdej wojnie są zarówno zwycięzcy, jak i przegrani. A kiedy jakiś możnowładca musi się poddać, jego wojownicy rzadko otrzymują grid. Więc ci, co mogą, uciekają. Niektórzy znikają w lesie lub w górach, inni płyną może na zachód i nigdy nie wracają. Jeszcze inni szukają miejsc, w których lokalny wódz nie pyta, skąd przybywają i co wcześniej robili, jeśli tylko potrafią dobrze posługiwać się mieczem lub toporem. Takim miejscem był właśnie Jomsborg.

Staliśmy, kołysząc się na wodzie przed bramą, aż jeden z mężczyzn stojących na palisadzie zapytał nas:

– Jesteście od Svena?

Nie znaleźliśmy żadnego Svena. Czy chodziło o Widłobrodego? Wydało się nam dziwne, że nazywają go po prostu po imieniu.



Mężczyzna na częstokole nie czekał na odpowiedź.

– Skąd jesteście?

– Z Norwegii – zawołał Bjørn.

– Czego tutaj chcecie?

– Zostaliśmy przysłani. Przez człowieka imieniem Halvor.

Strażnik jakby się zastanawiał, a potem zawołał:

– Mówiłeś, że skąd jesteście?!

– Z Norwegii! Z Vingulmorku!

Ponieważ Olaf nie stał się jeszcze znany jako król Norwegii, nasz kraj nie był złym miejscem pochodzenia, jeśli chciało się zostać przyjętym w miejscu takim jak Jomsborg. Mówiono o nas, że mamy „sztywne kolana”, co oznaczało, że nie tak łatwo przed kimś klękamy. Ani przed królem, ani przed jarlem czy hersirem. A my z Vingulmorku uchodziliśmy za szczególnie niepokornych. Tego jeszcze nie wiedzieliśmy, ale ludzie tak jak my niezwiązani z rodzimym królem byli preferowanymi kandydatami na wojowników w Jom.

Mężczyzna na częstokole odwrócił się i zawołał do kogoś w środku:

– Torgunn! Idź po ojca!

W Jomsborgu były dwie bramy. Jedna w ścianie północnej, od której prowadził biegnący między wydrami ubity trakt. Druga była bramą morską. Po jej przekroczeniu trzeba było płynąć rynną między drewnianymi ścianami. Statki można było unieruchomić łańcuchami i długimi drągami zrzucanymi z przedpiersia po obydwu stronach, a załogę wybić strzałami z łuku, nie niszcząc przy tym statku. Bjørn i ja widzieliśmy te drągi, wpływając do środka, i zastanawialiśmy się, do czego służą; po chwili wpłynęliśmy do basenu portowego i rozdziawiliśmy usta ze zdumienia. Nigdy przedtem nie widzieliśmy tylu statków. Była ich co najmniej setka, a może nawet dwie. Po drugiej stronie palisady i wzdłuż plaży pobudowano pomosty, do których zacumowano statki dziobem przy pomoście i rufą na kotwicy. Panował tu rzadko spotykany porządek i nie dotyczyło to tylko portu. Podniosłem się w łodzi, oparłem o maszt i zobaczyłem dziesiątki krytych słomą domów, między którymi przebiegały szerokie ulice. Wszędzie kręcili się mężczyźni, dalej zobaczyłem kuźnię, tuż przy skraju nabrzeża, czułem zapach końskiego łajna i dymu z ogniska, ale nie panował tu taki

smród jak w Jorviku. Z jednego miejsca dobiegały odgłosy rąbania siekierą, gdzie indziej zaśmiał się mężczyzna. Wkrótce zobaczyłem dwóch mężczyzn i kobietę wchodzących na pomost; jeden z mężczyzn odrzucił poły lamowanego futrem płaszcza na plecy i kiwnął, żebyśmy się zbliżyli.

Ten, kto czyta te słowa, zapewne słyszał o Vagnie Åkesonie i jego córce; saga o Vagnie i jego rodzie została spisana, więc pamięć o nim się zachowała. Pisano, że był ostatnim z wolnych pogańskich wodzów, że pogłoski o jego dzikości dotarły do całego znanego świata, nawet kalifowie niebieskich ludzi o nim słyszeli. Powiadano, że był o głowę wyższy od najwyższych mężczyzn, a bary miał tak szerokie, że przez drzwi musiał wchodzić bokiem; dzięki sile i dzikiemu usposobieniu sam jeden potrafił ponoć uśmiercić całą załogę okrętu. Ale Vagn, który wyszedł nam na spotkanie tego wieczoru na skraju nabrzeża, nie był ani wysoki, ani specjalnie szeroki w barach. Stał z kciukami zatkniętymi za zdobiony srebrem pas, a kiedy zahamowaliśmy wiosłami, zatrzymując byrding o kilka łokci od pomostu, spojrzał na nas mądrymi oczami i objął ramieniem młodą kobietę, która przyszła razem z nim.

Spotkałem już wielu możnowładców i w nim też rozpoznałem władczość, z jaką tacy ludzie się noszą. Było coś w ich zdolności przyciągania uwagi otoczenia, w nieustępliwym spojrzeniu i w głosie, którego nie musieli podnosić, bo nawykli do posłuchu. Vagn był właśnie takim człowiekiem. Nosił niebieski płaszcz lamowany futrem, długą do kolan tunikę i wysokie skórzane buty z rogowymi guzami. W długiej kasztanowej brodzie dostrzegłem siwe pasmo. Blizna na skroni niemal zamykała jego prawe oko, ale miał delikatne rysy i nie był brzydkim mężczyzną.

Stojąca obok niego kobieta była mniej więcej w wieku Bjørna. Jej podobieństwo do ojca tak rzucało się w oczy, że chociaż jeszcze nie wiedzieliśmy, kim są, domyślaliśmy się, że to ojciec i córka. Z rysów podobna do ojca, ale miała szczuplejszą twarz, a skórę delikatną jak u dziecka. Miała wielkie niebieskie oczy i długie, gęste włosy koloru blond. Ubrana była w zieloną suknię podobną do tych, jakie później widywałem u szlachetnie urodzonych: ściśle przylegającą do górnej części ciała i sznurowaną na boku. Szczupłą talię zdobił pas ze złotą klamrą. Na szyi połyskiwał złoty łańcuszek, na którym wisiąco wiele różnobarwnych pereł.

To nie Vagn, tylko ten, który przyszedł razem z nim, pierwszy do nas przemówił.

Był dostojnym mężczyzną o białej brodzie. Dotychczas stał z jednym ramieniem schowanym pod brązowym wełnianym płaszczem, ale teraz odrzucił połę płaszcza na plecy i zobaczyliśmy, że nie ma prawego ramienia, tylko ledwo wystający kikut.

– Powiedzcie mi swoje imiona – rzekł, kładąc jedyną dłoń na rękojeści miecza. Miał szeroki, pięknie wytłaczany pas i spodnie ze skórzanymi łatami na kolanach.

– Bjørn – odparł Bjørn i skinął w moim kierunku. – To jest Torstein.

– Skąd pochodzicie?

– Z Vingulmorku – odpowiedział Bjørn.

Białobrody przechylił głowę i przyjrzał się nam, a potem zerknął na młodszego mężczyznę. Nie wiedzieliśmy jeszcze, kim są; pomyślałem, że to ojciec i syn albo w inny sposób spokrewnieni i że jednoręki jest tutaj wodzem. Dlatego zdziwiłem się, kiedy to młodszy mężczyzna teraz do nas przemówił.

– Powiedzcie mi imiona waszych ojców.

– Tormod – odrzekł Bjørn. – Jesteśmy obaj synami Tormoda, który był synem Ulfa.

– Czy kogoś zabiliście? – chciał wiedzieć białobrody.

Bjørn zastanowił się chwilę, po czym skinął głową. Wtedy spojrzenie białobrodego skierowało się na mnie, a ja odchrząknąłem i wymamrotałem, że ja też.

– Jestem Aslak Potężny – przedstawił się białobrody i położył rękę na ramieniu drugiego mężczyzny. – To jest Vagn, wódz Jomsborga. Bo chyba wiecie, że trafiliście do Jomsborga?

– Tak. – Ponownie odchrząknąłem. – My... pytaliśmy jakichś rybaków po drodze.

– Zejdźcie na ląd – powiedział Aslak. – Wyjaśnimy wam, co i jak.

Chwyciłem kawałek liny zwisający z pomostu i przywiązałem do stewy dziobowej. Potem wdrapaliśmy się na pomost, gdzie Fenre natychmiast obsikał jeden z pachołków do cumowania. Kobieta zmierzyła mnie wzrokiem.

– Jesteś młody – rzekła. – Ile masz lat?

– Czternaście – odparłem.

Spojrzała na ojca.

– Tamten jest chyba wystarczająco dorosły, ale ten... – Skinęła w moim kierunku.

Vagn stał, przyglądając się mi, a Aslak podszedł bliżej i zmrużonymi oczami popatrzył na moje barki.

– Krzepę ma – zamruczał. – Ale ta noga... Coś z nią jest nie tak. Przebiegnij się no chłopcze po pomoście. Pokaż, czy utykasz.

– Daj mu spokój – usłyszałem Vagna. – Nie potrzebuję biegaczy. Bieganie zostawmy wrogom. Daj im coś do zjedzenia. I wykąp ich, bo śmierdzą. Psa też.

Po tych słowach ruszył z powrotem w kierunku domów. Kobieta obrzuciła nas spojrzeniem, jej wzrok jakby dłużej zatrzymał się na Bjørnie, ale potem odwróciła się i poszła za ojcem.

Jednoręki zaprowadził nas do centrum osady, na otwarty plac, skąd szedł trakt do bramy północnej. Po drodze z portu widzieliśmy, że domy ustawione są wzdłuż linii prostych, które spotykały się na placu. Jeśli rzędy domów były szprychami koła, tutaj znajdowała się piasta. Nie byliśmy sami. Na ulicach było dosyć spokojnie, za to plac kipiał życiem. Jedni mężczyźni ćwiczyli walkę tępymi klingami i drewnianymi kijami, inni próbowali zapasów i ćwiczyli się w rzucaniu. Na placu stała też największa kuźnia, jaką kiedykolwiek widziałem: potężny kamienny piec był jednocześnie filarem podpierającym dach, a pod dachem dostrzegłem aż trzy kowadła, na dwóch z nich leżała rozżarzona stal. Po całym placu rozlegał się dźwięk młotów kowalskich, który słyszeliśmy już z morza. Zapamiętałem go jako dźwięk Jomsborga.

Zostaliśmy zabrani do miejsca, gdzie znajdowało się kilka balii do kąpieli. Stały na drewnianym podeście, od którego odchodziła wykopana w ziemi głęboka rynna. Zapewne stamtąd woda spływała między domy i potem do jeziora. Musieliśmy się rozebrać i usiąść każdy w swojej balii. Aslak zamruczał, że pójdzie po ludzi, którzy nam pomogą.

Siedzieliśmy więc; ja z Fenrem na kolanach. Cały czas przechodzili koło nas mężczyźni. Niektórzy pokazywali nas palcami i uśmiechali się drwiąco. Kobiet nie widzieliśmy, co Bjørn uznał za dziwne. Gdzie podziały się wszystkie ich kobiety? Milczałem. Halvor nic nie mówił na ten temat, w ogóle niewiele mówił o tym miejscu. Ale cieszyłem się, że to Norwegowie nas przyjęli na nabrzeżu, bo tutaj słyszałem głównie Danów. Dobiegało nas też kilka norweskich głosów, ten i ów z mieszkańców był Gotalandczykiem.

Po drodze Bjørn i ja niewiele mówiliśmy o głodzie. Myśleliśmy może, że jeśli nie

będziemy o nim mówić, nie będzie nam tak doskwierał. Ale przed przybyciem do Jomsborga od dłuższego czasu jedliśmy wyłącznie ryby, a teraz poczuliśmy zapach smażonego boczku i kaszy jęczmiennej. Do dzisiaj pamiętam, że zapach ten napłynął z jednego z okien za nami, Fenre też go poczuł, bo zaczął węszyć w powietrzu i chciał wyskoczyć z balii. Bjørn zapewne też go czuł, ale zupełnie inny głód mu doskwierał, tylko że ja wtedy tego nie rozumiałem. Podczas gdy ja z Fenrem chłoniliśmy zapach jedzenia, Bjørn rozglądał się uważnie po placu. Zapytał mnie, czy uważam, że dziewczyna na pomoście jest spokrewniona z Vagnem albo ze starym. Odpowiedziałem, zgodnie z prawdą, że nie wiem, zdziwiło mnie, że mojego brata tak to interesowało. Gdybym był o parę lat starszy, zrozumiałbym. A może nawet to ja popadłbym w niełaskę w Jomsborgu.

W Jomsborgu nie było niewolników. Sigvalde, który był wodzem przed Vagnem, postanowił, że żaden jomswiking nie może posiadać więcej niż to, co jest w stanie unieść przy swoim pasie; dzięki temu chciano uniknąć waśni i sporów. Dlatego białobrody wrócił do nas, prowadząc dwóch wolnych mężczyzn, a każdy z nich niósł dwa cebrzyki wody. Wodę wiano do balii. Była zimna. Bjørn, ja i Fenre zostaliśmy wyszorowani i wyczesano nam wszy. Potem staliśmy nadzy w północnej bryzie wiejącej znad morza. Teraz podeszło więcej mężczyzn, żeby rozerwać się kosztem nowo przybyłych. Staliśmy zmarznięci, a Aslak gmerał kijem w naszych ubraniach. Prawdopodobnie doszedł do wniosku, że są zbyt brudne, bo kopniakiem zebrał je w tłumok i wrzasnął do jednego z mężczyzn, że mają nam przynieść nowe ubrania. Ponieważ byłem młody i miałem nie w pełni rozwinięte ciało, czułem się nieswojo pod ostrzałem spojrzeń mężczyzn. Dlatego podniosłem Fenrego i trzymałem tak, że mokry, puszysty ogon zwisał tuż przed moim kroczem. Zauważył to natychmiast pewien Dan z dużą rudą brodą, wskazał na mnie palcem i ryknął śmiechem, a całe zgromadzenie mu zawtórowało. Dobrze, że położono w końcu przed nami nowe ubrania, które naciągnęliśmy na siebie w pośpiechu. Były to lniane spodnie bardzo szerokie u góry i dość wąskie na dole wokół łydek, lekkie skórzane buty, długie lniane tuniki z prostym wycięciem na piersi; dostaliśmy też po długim do kolan kaftanie z rogowymi guzikami. Potem Aslak skinął na nas, więc poszliśmy za nim między domami w kierunku zachodnim. Zaprowadzono nas do wnętrza jednego z nich i usadzono przy palenisku.

Tu właśnie ugotowano kaszę. Domowy zapach uderzył nas w nozdrza, gdy tylko przekroczyliśmy próg i zobaczyliśmy gar wiszący nad paleniskiem. Kiedy Aslak wymamrotał, że możemy się posilić, Bjørn i ja podbiegliśmy do gara i zaczęliśmy jeść rękami.

Zostaliśmy w domu przez resztę dnia. Aslak już nie wrócił, ale przyszedł inny mężczyzna; niska postać z trzema kołczanami strzał pod pachą. Kiwnął nam krótko głową, a potem usiadł przy długim stole, rozłożył strzały i sprawdzał każdą z osobna, czy są proste. Zapytaliśmy go, gdzie się podział jednoręki, lecz odpowiedział w niezrozumiałym dla nas języku, nie przerywając sprawdzania strzał. Niektóre zabrał nad palenisko, trzymał pojedynczo nad ogniem, prostował i znowu sprawdzał.

Wkrótce wyszedł, a my zostaliśmy przy ogniu.

– Powiniennem wyjść – powiedziałem po chwili – i poszukać Halvora.

– Zostań tutaj – poprosił Bjørn. – Trzymajmy się razem.

Zostałem. I pomyślałem, że może Halvor w ogóle nie wrócił do Jomsborga. Może nawet już nie żył. A może wcale nie był stąd, tylko skłamał.

– Kiedy wrócą tutaj wieczorem... – Bjørn popatrzył zmrużonymi oczami na drzwi. Dochodziło stamtąd przytłumione światło. Słyszałem dźwięk padającego deszczu. Bjørn popatrzył na mnie. Miał kaszę na wąsach i na brodzie. – Kiedy nas będą pytać, skąd pochodzimy i czym się przedtem zajmowaliśmy, nie wolno ci wspomnieć, że służyliśmy pod Olafem. W młodości grasował na tutejszych szlakach.

Niewiele się już odzywaliśmy tego dnia. Ja siedziałem, studiując wycięte w drewnie motywy na najbliższym słupie, pełnym zgrubień okorowanym pniu drzewa, który podpierał łukowato sklepiony sufit. Żłocisty blask żarzących się węgli rzucał cienie na przedstawioną w drewnie wielką bitwę. Na dole wiło się ciało węża oplatające wielokrotnie słup, głowa wynurzała się z ostrych fal. Na falach płynęła otwarta łódź, na której dziobie stał mężczyzna o szerokich barach i ciągnął linę. To był chyba wąż Midgardu, a mężczyzna w łodzi musiał być Thorem. Ojciec opowiadał nam tę historię i chociaż nigdy nie był szczególnie zainteresowany składaniem ofiar i zjednywaniem sobie Odyna i jego synów, wcześniej nas nauczył, że są potężnymi wojownikami, zawsze stającymi po stronie odważnych i sprawiedliwych. Tchórze, tacy jak olbrzym

Hyme siedzący z tyłu łodzi i bojący się fal i potężnego węża, nigdy nie zasłużą na łaskę bogów.

Bjørn i ja spędziliśmy w budynku cały dzień. Dopiero kiedy się ściemniło, do domu zaczęli schodzić się mieszkańcy. Dzień spędzali jomswikingowie poza domem, bo wszyscy mieli swoje obowiązki i zadania. Tutaj nikt nie był zbyt dostoyny na wykonywanie jakichś czynności, cebrzyki z nieczystościami mógł zbierać równie dobrze szacowny, stary wojownik, jak i młody żółtodziób. Załoga Jomsborga była podzielona według domów, a mnie i Bjørna skierowano akurat do tego domu, bo znajdowały się tam wolne miejsca na ławach. Wtedy jeszcze tego nie wiedzieliśmy, ale miejsca do spania przydzielone nam tego wieczoru należały do dwóch mężczyzn, których egzekucję widziałem w Jorviku.

Kiedy mężczyźni weszli do środka, mięso nadziano na rożny, a gar napełniono kaszą jęczmienną i wodą, podszedł do nas mężczyzna o imieniu Sidtrygg i wręczył każdemu gliniany kubek z wodą. Zamruczał, że Oracz mówił mu o nas, a potem klapnął na ławę obok Bjørna i zaczął drapać się po kroczu. Sidtrygg nie był właściwie grubym mężczyzną, ale miał okrągłą twarz okoloną miękką i rzadką brodą, a niewielkie ciało sprawiało wrażenie pulchnego. Ktoś mu chyba kiedyś złamał nos, bo był jakby wciśnięty w twarz i skrzywiony. Pił z glinianego kubka, takiego samego jak te, które dał nam, i znowu drapał się po kroczu, tym razem wsadził całą rękę za pas i spodnie. Potem wymamrotał, że jest odpowiedzialny za ten dom i z nim mamy rozmawiać, gdyby nam było czegoś trzeba. Mamy się najeść, o ile jeszcze tego nie zrobiliśmy, a potem udać się na spoczynek. Wskazał na ławy, które, jak to było w zwyczaju, ustawiono wzdłuż wszystkich ścian domu. Mężczyźni są zmęczeni, bo układali ziemię na zewnętrznym wale wschodniej ściany, więc nikt nie będzie siedział do późnej nocy. Wyśpimy się, a to ważne, bo o świcie ma nas zaprowadzić do Vagna.

Te ostatnie słowa wywołały u mnie ukłucie strachu. Mężczyźni, którzy wchodzili teraz do domu, byli wojownikami, co dało się łatwo zauważyć. Większość z nich miała topór u pasa, ale nosili się też charakterystycznie dla wojowników: każdy ruch wydawał się dokładniejszy, bardziej przemyślany. Nawet sposób, w jaki brali do ręki kubek, świadczył o tym, że nawykli do trzymania broni. Była w nich jakaś siła, czuło się

krzepę w każdej części ciała.

Sidtrygg powiedział nam, że mieszkańcy budynku należą do tej samej załogi statku. Nasz statek był jednym ze stojących na skraju, załoga każdego z nich składała się z mieszkańców dwóch domów. Jeśli zostaniemy jomswikingami, Sidtrygg zadba, żeby nas posadzono w tym samym przedziale na statku; słyszał, że jesteśmy braćmi.

Kiedy mówił, poczułem niepokój w żołądku. To nie strach ani oczekiwanie tego, co się miało wydarzyć następnego dnia, spowodowało problem. Po tak długim czasie żywienia się wyłącznie rybami mój żołądek odzwyczaił się od kaszy. Poczułem parcie, wiedziałem, że muszę znaleźć miejsce, gdzie mogę się załatwić. Sidtrygg zobaczył, że trzymam się za brzuch i wskazał na drzwi.

– Po drugiej stronie ulicy, chłopcze. Są tam dwie chatki. Wejdz do mniejszej. Druga to drewnia. Nie nafajdaj do drewni.

Znalazłem chatki, wymacałem w ciemności ławę z otworem i ledwo zdążyłem zdjęć spodnie. Siedząc w smrodzie, przypomniałem sobie, jak to jarl Håkon i jego niewolnik schowali się w chlewie w Rimol, zobaczyłem przed sobą niewolnika z odciętym czubkiem głowy i poczułem głęboko w sobie strach. To, że ja i Bjørn znajdowaliśmy się tutaj, u osławionych jomswikingów, o których słyszeliśmy podania i opowieści, było niemal nierzeczywiste.

Kiedy wróciłem do domu, Bjørn był pogrążony w rozmowie z Sidtryggiem. Chciał dowiedzieć się czegoś więcej o kobiecie, którą poznaliśmy na nabrzeżu.

– To córka Vagna – wyjaśnił Sidtrygg. – Ma na imię Torgunn. Nie ma tu innych kobiet. Nie wolno.

– Ma dzieci? – zapytał Bjørn.

Sidtrygg pokręcił głową, a potem wyciągnął kozi róg i wiszący u pasa nóż. W rogu wyrzeźbił już kilka figur, zobaczyłem konia i coś, co przypominało mężczyznę trzymającego oszczep. Teraz kontynuował pracę.

– A męża. Ma męża?

Sidtrygg nie przerywał rzeźbienia.

– Miała. Ale już nie żyje.

Bjørn wstał. Dotknął karku, spojrzał na drzwi, a potem poszedł do naszego miejsca



na ławach i się położył. Fenre już tam leżał, z głową na zwiniętych kocach. Ja odwróciłem się znowu do Sidtrygga.

– Czy jest tu ktoś o imieniu Halvor? – zapytałem.

– Tak – odpowiedział Sidtrygg. – Wielu tutaj ma na imię Halvor. Sam znam czterech. Jeden z mieszkańców tego domu tak się nazywa, ale teraz go nie ma. Jest u kobiety w którymś z gospodarstw. – Głupi uśmieszek pojawił się na jego ustach. Nie było mu z tym ładnie, bo uśmiechając się, podciągał zbyt wysoko górną wargę, a jego śmiech brzmiał jak pochrząkiwanie.

– Mężczyzna, o którym mówię, twierdził, że jest stąd. Z Jomsborga. Spotkałem go... Uratowałem go. Na morzu, w pobliżu Irlandii.

Sidtrygg otarł usta wierzchem dłoni, jednocześnie ścierając z nich uśmiech.

– Mówił, że wstawi się za mną, jeśli się tu pojawię.

Sidtrygg odchrząknął.

– Jeśli uratowałeś mu życie, może to coś da. A może nie. Według mnie uznają cię za zbyt młodego.

Tego wieczoru ja i Sidtrygg nie zamieniliśmy już więcej słów. Wstał i podrapał się w tyłek, a potem poszedł kołyszącym się krokiem do swojej ławy, zrzucił tunikę i spodnie i wczółgał się pod koce.

Ja jeszcze siedziałem tej nocy. Rozwazałem to, co powiedział Sidtrygg i zastanawiałem się, gdzie się podzieję, jeśli nie będę mógł tu zostać. A co, jeśli Bjørnowi pozwolą tu służyć, a mnie nie? Teraz była wiosna, wkrótce nadejdzie lato. Mógłbym chyba tu przeżyć, łowiąc ryby, wybudowałbym chatę gdzieś wśród wydm, ale wraz z nastaniem zimy nie mógłbym zostać. Musiałbym pożeglować na północ, w miejsce, gdzie jest las dający schronienie przed wiatrem i gdzie jest dziczyzna, którą mógłbym się żywić, kiedy lód skuje wodę.

Chyba zasnąłem na ławie, bo nagle poczułem czyjąś rękę na swoim ramieniu. Obudziłem się. Obok mnie stał Bjørn z bardzo poważną twarzą.

– Musimy iść – powiedział. Skinął głową w kierunku drzwi, gdzie jednoręki Aslak czekał już na nas z dwoma innymi mężczyznami. Białobrody trzymał w ręku cebrzyk. Tych dwóch miało ze sobą po dwie tarcze, dwa topory, łuk i kilka strzał.

Poszliśmy ulicą za nimi trzema. Fenre został z Sidtryggiem. Aslak mruknął, że tam,

gdzie idziemy, nie możemy zabrać ze sobą psa. Było jeszcze wcześniej rano, rosa parowała z mokrych desek ulicy i ze słomianych dachów. Najpierw zabrali nas na duży plac, gdzie poprzedniego dnia się kąpaliśmy. Teraz był prawie pusty. Przyjechało kilka wozów ciągniętych przez konie, kupcy właśnie rozstawiali swoje kramy. Aslak podszedł do jednego z nich. Jakiś mężczyzna wykładał pęczki zieleniny. Aslak wybrał zieloną łądogę z jednego z pęczków i wymamrotał kilka słów do handlarza. Ten popatrzył na mnie i Bjørna znad przetykanej siwizną brody. Jego wzrok spoczął na mnie, potem wymamrotał coś do Aslaka i zakołysał głową. Aslak wymruczał odpowiedź, potem wetknął kilka łądog pod kikut i wskazał na północ.

– Tam – powiedział. – Idziemy na wydmy.

Od placu prowadził trakt na północ do bramy lądowej, jak ją nazywano. Tak samo jak brama morska składała się z potężnych wrót, wysokich na czterech mężczyzn i szerokich na dwóch. Za dnia była zazwyczaj otwarta, żeby handlarze, myśliwi, rybacy i inni ludzie mogli wjeżdżać i wyjeżdżać. Jeśli wdrapałbyś się tam na przedpiersie i spojrzał na północ, chcąc zobaczyć morze, spotkałoby cię rozczarowanie. Dzieliła nas od morza jedna czwarta dnia marszu, a między półwyspem, na którym leżał Jomsborg, i wybrzeżem na północy rósł w tamtych czasach bujny las. Okoliczna ludność dobrze jednak wiedziała, że musi polować gdzie indziej, bo my, jomswikingowie, uważaliśmy ten teren za nasz i chcieliśmy zachować dziczyznę dla siebie.

Aslak i jego dwaj towarzysze zabrali nas na łąkę trochę na północ od półwyspu. Żeby tam dotrzeć, musieliśmy przejść przez most nad rzeką na wschód od częstokołu. Był to szeroki i piękny most, na słupach wyrzeźbiono bogów i wojowników walczących z węzami morskimi i potężnymi jotunami; niektóre słupy pomalowane były na żółto i czerwono.

Na łące Aslak i jego towarzysze rzucili broń na ziemię, a Bjørnowi i mnie kazali wziąć po tarczy i toporze. Zrobiliśmy, co nam kazali. Tarcze miały wąski uchwyt, żeby wojownik mógł chwycić sztylet albo saks, jednocześnie trzymając tarczę. Miały również skórzany rzemień, który można było zarzucić na ramię, ale dla mnie był za ciasny, już wtedy miałem potężniejsze bary niż większość dorosłych mężczyzn. Aslak chyba to dostrzegł, bo wskazał na mnie, mówiąc, że moje ramiona raczej wytrzymają, bardziej martwi się moją niesprawną nogą. Potem włożył kciuk i palec wskazujący do

ust i głośno gwizdnął. Ledwo zdążyłem podnieść topór, kiedy jego dwóch towarzyszy nas zaatakowało. Nie używali toporów ani mieczy, tylko pałek wyciętych ze zgrubiałych korzeni dębu. Bjørn i ja osłanialiśmy się tarczami, ale szybko zostaliśmy rozdzieleni i żadnemu z nas nie udało się zadać choćby jednego celnego ciosu, za to nasze tarcze zostały rozbite na drzazgi. Wtedy ci dwaj wycofali się kilka kroków, a ich oczy, przed chwilą dzikie od szału bojowego, znowu były spokojne.

Zaczął się pierwszy etap egzaminu wstępnego na jomswikinga: ten, który zaatakowany tylko stał, ewentualnie wycofywał się, nie zostałby wpuszczony ponownie do Jomsborga. W walce często zdarzało się, że byliśmy spychani do tyłu, Vagn potrzebował jedynie takich wojów, którzy energicznie rzucają się do ataku. Ani ja, ani Bjørn nie mieliśmy o tym pojęcia i jeśli mam być szczery, wyglądało to niemal tak, jakby chcieli nas zabić. Z boku dobiegał mnie ryk Bjørna:

– Idź do przodu, Torsteinie! Na nich!

Zaatakowaliśmy obydwu jomswikingów toporami. Nie podejmowali próby odpowiedzenia atakiem na atak, wycofywali się krok po kroku, unikając naszych ciosów i odparowując niektóre za pomocą dębowych kijów, aż Aslak znowu zagwizdał na palcach. Wielki czarnobrody chłop przede mną zmierzył mnie spojrzeniem od stóp do głów, kiwnął głową i się uśmiechnął. Czy w tym uśmiechu była drwina, czy może uznanie, trudno powiedzieć, bo Aslak wszedł między nas, podając mi strzałę i jesionowy łuk. Cebrzyk, który przyniósł ze sobą, wręczył Bjørnowi.

Bjørn podniósł go do oczu.

– Cebrzyk?

– Tak. – Aslak wziął jedną z zielonych łodyg, które miał zatknięte za pasem. Ugryzł kawałek i zaczął przeżuwać.

– Dobrze rąbiesz toporem. Ale to nawet tchórze potrafią.

– Nie jestem tchórzem – powiedział Bjørn, oczy mu pociemniały.

– Widzisz ten krzew tam dalej? – Aslak wskazał palcem na młodziutką brzozę rosnącą na łące o dobry rzut kamieniem na północ.

– Tak – odrzekł Bjørn.

– Skoro nie jesteś tchórzem, idź tam.

Bjørn spojrzał na niego, potem na łuk w mojej garści. Zrozumiał chyba, na co się

zanosi, i nie spodobało mu się to.

– Mogę walczyć – powiedział. – Wiem, jak zabijać.

– Nie potrzebujemy ludzi umiających walczyć. – Aslak znowu odgryzł kawałek zielonej łydy.

– Tego możemy ich nauczyć – dobiegł nas głos czarnobrodego, z którym przed chwilą się biłem.

– Tak jest – podjął Aslak. – Możemy nauczyć ludzi zadawać ciosy toporem i nożem. Ale nie możemy nauczyć ich odwagi. – Podłubał sobie w zębach i zerknął najpierw na mnie, a potem na Bjørna. – Często przybywają do nas ludzie, którzy są braćmi, przyjaciółmi albo którzy służyli w tym samym wojsku. Mówią, że są odważni i dobrze się spisują, kiedy słyszą szcęk mieczy i świst latających strzał. Ale z odwagą jest tak, że łatwiej o niej mówić, niż ją zademonstrować.

– Mogę wam pokazać – rzekł Bjørn. Puścił cebrzyk i skierował topór w stronę tych dwóch z dębowymi kijami. – Biorę was obydwu.

Aslak westchnął, a potem wypluł kawałek przeżutej łydy.

– Kiedy przybywają do nas bracia albo przyjaciele, wypróbujemy ich zawsze tak, że jeden strzela z łuku w kierunku drugiego. – Podeszedł do Bjørna i kopnął cebrzyk. – Podnieś go, chłopcze. I idź do tamtego krzaka. Jeśli będziesz się uchylał, nie masz tu nic do roboty. Tylko odważni zasługują na miejsce wśród jomswikingów.

Bjørn podniósł cebrzyk i ruszył. Był osowiały, szedł ze wzrokiem utkwionym w ziemię.

– A ty? – Aslak wbił we mnie swoje szare oczy. – Dobrze strzelasz z łuku?

– Nie – odpowiedziałem, bo nie chciałem strzelać do Bjørna.

– No to biedny ten twój brat. – Chwycił mnie za ramię i postawił przed sobą. – Musisz starać się najlepiej jak potrafisz. I nie próbuj strzelać w bok. Od razu zauważę, jeśli nie będziesz próbował trafić w cebrzyk.

– Najchętniej bym tego uniknął.

– Jeśli chcesz, inni mogą strzelić za ciebie. Ale musisz zadać sobie pytanie, czy naprawdę chcesz złożyć życie brata w ręce kogoś nieznanego.

Bjørn dotarł już do krzaka. Tam ustawił się przodem do nas, a czarnobrody z dębowym kijem krzyknął do niego, że ma wyciągnąć rękę z cebrzykiem w bok

i trzymać go na wyprostowanym ramieniu. Bjørn zrobił, co mu kazano. Teraz zrozumiałem, że testowana jest odwaga mojego brata, a nie moja umiejętność strzelania z łuku. Bjørn znajdował się jakieś czterdzieści kroków ode mnie, niezbyt daleko jak na tak duży cel. Ale łuk ciężko się naciągało, z największym wysiłkiem udawało mi się nieruchomo trzymać rękę z cięciwą. Sprawę utrudniał fakt, że nigdy przedtem nie strzelałem z tego łuku i nie wiedziałem, jak wyrzuci z siebie strzałę. Wycelowałem jak umiałem, najpierw zobaczyłem cel – cebrzyk kiwający się na końcu ramienia mojego brata. Potem zobaczyłem środkową klepkę w cebrzyku. Zrobiłem wdech i powolny wydech, a potem puściłem cięciwę. W oddali rozległ się trzask, opuściłem łuk. Strzała tkwiła w cebrzyku.

– Strzelaj jeszcze raz! – zawołał Bjørn. – Cebrzyk i tak jest już do niczego.

Nadmierna pewność siebie mojego brata musiała i mnie się udzielić, bo wyciągnąłem rękę w kierunku Aslaka po kolejną strzałę. To mu się nie spodobało. Wypluł przeżuwaną w ustach zieloną masę i spojrzał na mnie kwaśno.

– Powiedz bratu, żeby tu wrócił.

Zawołałem na Bjørna i ten wrócił do nas z cebrzykiem. Wręczył go Aslakowi, który wyciągnął strzałę i postawił cebrzyk na ziemi.

– Ty zdałeś – powiedział, podając strzałę Bjørnowi. – Zanieś ją Vagnowi. Zapisze cię na jeden ze statków.

– A Torstein?

Aslak naciągnął płaszcz na swój kikut.

– Jest za młody.

Bjørn podszedł do mnie.

– Mój brat jest młody – rzekł – ale ma więcej odwagi niż większość dorosłych mężczyzn, których znam. Uratował mi życie w pojedynku. I jest skutnikiem. Łódź, którą przypłynęliśmy, zbudował własnymi rękami.

– To nie czyni go starszym – odparł Aslak.

– Dajcie mu cebrzyk. Zobaczycie, że nie stchórzy.

Poczuliśmy podmuch wiatru z północy. Usłyszałem szum liści na drzewach uginających się na wietrze, zobaczyłem poranną rosę zdmuchniętą z kęp trawy. Pachniało mokrą ziemią i słonym morzem.

– Są tu w pobliżu gospodarstwa, może się tam nająć na służbę. Za kilka lat, kiedy osiągnie odpowiedni wiek, może spróbować. Obiecuję ci.

Bjørn powtórzył, że jestem odważny, że nie stchórzę i że walczyliśmy ramię w ramię. Zabiłem dziesięciu mężczyzn, na co jednoręki parsknął pogardliwie, że to kłamstwo. To wprawiło Bjørna we wściekłość, kopnął kępę trawy i sfrustrowany wydał z siebie ryk. Widziałem, jak zaciskają mu się pięści, widziałem w nim dzikość, która, jak się okazało, była i we mnie. Potem obrócił się do mnie.

Kiedy wspominam tamte czasy, odczuwam tęsknotę. Jest coś pociągającego w zapalczywości młodego człowieka, nawet jeśli wygląda to na głupotę. Z czasem życie zmusza mężczyznę do przyjmowania na siebie odpowiedzialności, pojawiają się kobiety, później dzieci. Są posiadłości i statki, których trzeba doglądać, a jeśli twoje życie podobne jest do mojego, ziemia, którą nazywasz swoją, jest otoczona wzburzonym morzem, gdzie ciągle walczą królowie i wodzowie i gdzie starannie musisz dobierać sobie sojuszników. Ale kiedy stałem tam na łące tego ranka, o żadnej z tych rzeczy nie miałem pojęcia. Zrozumiałem, że decyzja zapadła i że nie wolno mi będzie pozostać w Jomsborgu. Musiałem się dowiedzieć, czy Bjørn tu zostanie, czy będzie mi dalej towarzyszył. Widziałem, że otworzył usta, żeby coś powiedzieć, wściekłość nieco ustąpiła. Lecz nigdy się nie dowiem, co miał zamiar mi wtedy powiedzieć, bo nagle usłyszałem za sobą jakiś dźwięk, niesiony przez wiatr rytmiczny odgłos uderzeń o ziemię. To były uderzenia końskich kopyt.

Gdy się odwróciłem, zobaczyłem go jadącego konno między wydmami. Jeździec miał na sobie tylko brudne spodnie, był bosy i jechał na oklep.

– Torstein! – zawołał i teraz go rozpoznałem. Ten krzywy, dziwny uśmiezek, blizna biegnąca w poprzek czoła i druga w dół twarzy. To był Halvor. Zwolnił chód konia do stępa i skierował się ku nam. Nie miał wędzidła, ale trzymał się mocno końskiej grzywy. W kasztanowej, kędzierzawej brodzie były źdźbła słomy, a oczy przypominały wąskie szparki wycięte w pokrytej bliznami twarzy. – Torstein! – powtórzył, patrząc na mnie z góry. Potem odwrócił się do Aslaka. – To jest ten chłopak, o którym mówiłem. Chyba nie zapomniałeś? Ten, co mnie uratował na Morzu Irlandzkim.

Aslak podszedł do niego i poklepał konia po karku.

– Nie powinieneś jeździć konno po pijanemu, Halvorze.

– Dlaczego nikt mi nie powiedział, że on tu jest? – Halvor wytarł się pod nosem, odchrząknął, splunął na ziemię, a potem zeskoczył z konia dokładnie tam, gdzie splunął.

– Nie było cię od dnia kąpieli – zamruczał Aslak i przekrzywił nieco głowę, przyglądając się półnagiemu mężczyźnie. – A czuję, że przydałaby ci się kąpiel.

– Gdzieś ty był? – Halvor podszedł do mnie. Położył mi rękę na ramieniu i uśmiechnął się, a potem skinął głową Bjørnowi. – Podobny do ciebie. To ten, o którym mi opowiadałeś? Twój brat?

– Tak – odrzekłem.

– Zapomniałem, jak ma na imię.

– Bjørn.

Halvor puścił moje ramię.

– Twój brat uratował mi życie, Bjørnie. Więc powiedziałem mu, że potrzebujemy ludzi takich jak on tutaj, w Jomsborgu.

Teraz Aslak się wtrącił.

– On jest za młody, Halvorze. Ale jego brat zdał.

– Za młody? – Halvor spojrzał nagle na twarz Aslaka. – Za młody? Vagn był młodszy, kiedy został tutaj przyjęty!

W szarych oczach Aslaka pojawiła się błyskawica, przystawił kikut do piersi Halvora.

– Ale on nie jest Vagnem. A ty powinieneś iść do domu i odespać pijaństwo.

Nagle Halvor wyrwał mi łuk z rąk.

– Strzała! Da mi ktoś strzałę?

– Chcesz go zabić? – Aslak naciągnął płaszcz na kikut. – Tego właśnie próbujesz?

Halvor zobaczył strzałę w rękę Bjørna. Podskoczył do niego i wyjął mu ją z ręki, ale wtedy opadły mu spodnie, potknął się i klęczał z rękami na ziemi i z bladym tyłkiem w górze. Mozolnie się podniósł, pozwalając jednak, żeby spodnie pozostały wokół kostek.

– Torsteinie, idź tam. – Założył strzałę na cięciwę. – Czterdzieści kroków w tę stronę. I trzymaj cebrzyk.

Nie ruszyłem się z miejsca. Nie chciałem, żeby mierzył do cebrzyka w mojej ręce, przecież ledwo trzymał się na nogach. Wiatr zwiął ponownie płaszcz z ramion Aslaka,

kikut ohydnie wystawał z jego barku. Nie chciałem skończyć tak jak on. Ale nie chciałem też rozstawać się z Bjørnem. Zobaczyłem, że mój brat pogrążony jest w głębokich rozważaniach. Miał zmarszczkę między brwiami, która pojawiała się tylko wtedy, gdy zmagał się z myślami. Kiedy nagle podszedł do pijanego jomswikinga i położył rękę na łuku, odwróciłem się do nich plecami i ruszyłem z kierunku brzoźki.

Tylko ten, kto miał starszego brata, zrozumie zaufanie, jakim obdarza się tego, kto jest starszy i kogo przez całe życie chciało się naśladować, jakby był synem samego Odyna. Jest, tak samo jak ojciec, bohaterem. Nie widzisz w nim żadnych wad, do czasu kiedy sam dorośniesz. Dlatego nie bałem się, ustawiając się koło brzoźki, chociaż wiedziałem, że jestem lepszym łucznikiem od niego. Wyciągnąłem rękę z cebrzykiem, widziałem Bjørna obok pozostałych mężczyzn, miał już łuk i strzałę, a Halvor stał w pobliżu, ściskając spodnie w garści. Jeszcze pamiętam, jak Bjørn napina łuk, jak przyciąga rękę z cięciwą do policzka i stoi całkowicie spokojnie, głowa jest lekko przechylona, bo celuje wzdłuż cięciwy i promienia strzały. I oto strzała leci w moim kierunku, słyszę świst lotek. Może domyślam się, że będzie źle, ale stoję bez ruchu, chcę być twardy i nieustraszony. Nagle czuję i widzę, że strzała przebija moje ramię na wylot. Nie krzyczę. Nadal stoję z cebrzykiem w wyprostowanej ręce. Słyszę swój głos wołający trzy słowa, które w wieku czternastu lat dały mi miejsce wśród jomswikingów:

– Spróbuj jeszcze raz!

Nie bardzo pamiętam, co było potem. Może ucieczka przed Olafem, długa wędrówka przez góry, a potem żegluga do Jomsborga osłabiła mnie bardziej, niż byłbym skłonny przyznać. Ledwo pamiętam Bjørna stojącego nade mną. Czuję silne ręce chwytające moje zranione ramię. A potem przygniata mnie ciemność.





## 20

### Braterstwo

**D**otarliśmy z Bjørnem do Jomsborga wygłodzeni; nie dojadaliśmy od dawna. Po ugodzeniu strzałą mój wyczerpany organizm osiągnął kres wytrzymałości i straciłem przytomność. Aslak nieraz widział takie rzeczy, był więc przy mnie, gdy się ocknąłem, i wyjaśnił, jak się sprawy ze mną mają. Należało mnie podtuczyć, rzadko bowiem miał sposobność widzieć takie męstwo u takiego młokosa, o czym nie omieszkał porozmawiać z Vagnem. Postanowiono, że będzie mnie szkolił jeden z najzdolniejszych mistrzów w twierdzy. Gdy tylko wyciągnięto strzałę, krwawienie oczyściło ranę, zatem nie istniało niebezpieczeństwo, że wda się zakażenie. Aslak jednak chciał, bym przynajmniej przez tydzień wypoczywał i jadł dużo tłustego mięsa z kaszą.

Przez następne dni wylegiwałem się z Fenrem na ławie. Halvor często u mnie przesiadywał, był jednym z mieszkańców długiego domu, w którym nas zakwaterowano, i uważał, że skoro swego czasu ja mu pomogłem, to on, nie wahając się, pomoże mi teraz. Dzięki temu, że po przybyciu powołaliśmy się na Halvora, dostaliśmy przydział właśnie do tego domu. Gdy się zjawiliśmy, Halvora w domu nie było, bo musiał coś – jak to ujął – załatwić; domyśliłem się, że ma nałożnicę gdzieś w pobliskim gospodarstwie i lubi spędzać tam czas.

To Halvor opowiedział mi o obowiązkach jomswikingów i o pełnym niebezpieczeństwie życia, które wiedli, to dzięki niemu dowiadywałem się o niełatwych decyzjach podejmowanych przez Vagna Åkesona; decyzjach, które wpływały na losy nas wszystkich. Bjørn był zajęty całymi dniami, jego szkolenie już się zaczęło. Jomsborg istniał od dwustu lat, a w czasach, gdy pomniejsi wodzowie powoli ulegali

żądny władzy królom, zachowywał niezależność. Byliśmy jednak na łasce władców i pozostawiano nas w spokoju tylko dlatego, że lepszych od nas wojowników świat nie widział, twierdził Halvor. Ci sami królowie, którzy z chęcią zajęliby tutejsze tereny i opodatkowaliby wymianę handlową u ujścia Odry, potrzebowali takich wojów jak my i wiedzieli, że mogliśmy wygrywać bitwy i zdobywać królestwa dla tego, kto był dość bogatym, by nam zapłacić.

Bo kosztujemy sporo, mówił Halvor. Wszystko, co widziałem wokół siebie, dach nad głową i deski na ławę do spania pode mną, żelazo, z którego wykuto naszą broń, i jedzenie na stole, kupiono za złoto i srebro, jakimi płacili nam królowie i możnowładcy.

Przeważnie milczałem, gdy Halvor snuł swą opowieść. Podczas morskiej podróży do Jorviku nie zdradzał ochoty do rozmów, ale miało się wrażenie, że tu, wśród swoich, czuł się swobodniej. W ciągu dnia, gdy Bjørn i pozostali rozchodzili się do swoich zajęć, przesiadywał u mnie, opowiadając o podróżach, o kobietach, które posiadał, i o bitwach, w których walczył. Według niego Vagn był najwspanialszym wojownikiem, jakiego widział świat; na polu bitwy jawił się tak potężny, że zdaniem niektórych został spłodzony przez samego Odyna, kiedy ten, przybywszy z Asgardu, uczynił jego matkę brzemienną. Władał każdą bronią, wyprowadzał ciosy toporem i mieczem z taką siłą, że Halvor widział kiedyś, jak przepołowił człowieka, od czaszki do krocza, jednym uderzeniem. Ale był nie tylko potężnym wojem. Miał też ponadprzeciętny dar języka<sup>20</sup>. Trzymał w swym otoczeniu skaldów, nauczył się czytać i pisać, a jakby tego było mało, potrafił mówić w większości języków używanych w krajach leżących na północ od naszego. Dlatego, gdy przybyliśmy, sądziłem, że jest Norwegiem, przecież stojąc na pomoście, odezwał się do nas w naszym języku. Norwegiem jednak nie był, jak rzekł Halvor. Skąd pochodził, tego nikt nie wiedział. Niektórzy powiadali, że wychował go Harald Sinozęby, ojciec Svena Widłobrodego, zdaniem innych był wnukiem hovdiga z Fionii, nazywanego Tokem, jednego z najzagorzalszych wrogów Sinozębego. Byli też tacy, którzy uważali go za zbiegłego syna niewolnika ze Skanii.

Halvor został jomswikingiem, gdy skończył osiemnaście zim. Od tego czasu, jak twierdził, minął już dziesiąty rok, choć podejrzewałem, że co najmniej dwudziesty. Znał

imiona większości jomswikingów, wiedział, kto w okolicznych gospodarstwach ma nałożnice, a kto tam jeździ, by sobie popić, jako że sam się do takowych zaliczał. Jego najlepszym kompanem do bitki i do wypitki był Jostein z Ryfylke, człek tak niskiego wzrostu, że otrzymał przydomek Karzeł, choć karłem w zasadzie nie był. Jostein przyniósł mi suszone mięso wołowe i cebulę z zeszłej jesieni. Wpierw stał tylko, wpatrując się we mnie, z tą swoją dziwną twarzą o zbyt blisko osadzonych oczach, wysuniętej dolnej szczęce i ustach ledwie widocznych w krzaczastej brodzie. Potem wymamrotał, że słyszał, co zaszło podczas próby, że się nie ugiąłem, nawet wtedy, gdy brat przestrzelił mi ramię. Krążyły o tym opowieści po domach i spodziewano się po mnie wielkich czynów. Poklepał mnie, potem Fenrego, oczyścił cebulę z pędów i zachęcił, bym ją zjadł.

Od Halvora dowiedziałem się, że Vagn i Aslak byli zajęci i nie mieli czasu, by mnie odwiedzić. Lecz byli dobrymi i prawymi mężami, co Bjørn potwierdził skinieniem głowy, gdy zajrzał do mnie pod wieczór. To Aslak czuwał nad jego treningiem, tkwił tam, okrywając kikut płaszczem, a nic nie umknęło jego uwadze. Wojów Olafa szkolono do walki z chłopami, mówił Bjørn, lecz jomswikingów najmowano najczęściej, kiedy przeciwnik był trudny, co oznaczało, że zawsze spodziewaliśmy się starcia z zahartowanymi w boju wojownikami. To była zupełnie inna sprawa. Bjørn większą część dnia ćwiczył obronę, przez pierwsze pięć dni tylko przed ciosami w nogi. Nogi były łatwym celem i gdy ściany tarcz ścierały się ze sobą, to zawsze uderzano w nogi przeciwnika. Brat pokazał mi siniaki na nogach. Wciąż był zbyt powolny, czekało go jeszcze wiele godzin ćwiczeń.

Martwiło mnie to, bo jeśli Bjørn był za mało ruchliwy, to jakie ja miałem szanse? Moja kulawa noga nigdy nie będzie taka sprawna, jak kiedyś, stała się nieco wolniejsza, a biegnąc, powłóczyłem nią. Halvor poklepał mnie po kolanie i mruknął, żebym się nie martwił. Nie każdy walczył tak samo, znajdzie się więc broń i miejsce w szyku odpowiednie dla mnie. Nawet Aslak brał udział w walkach, a przecież miał tylko jedną rękę. Nie było dla nikogo tajemnicą, w jakich okolicznościach ją stracił. Zdarzyło się to przed dziewięciu laty, rzekł Halvor, w bitwie pod Hjørungavåg.

Pamiętam, że w chwili gdy Halvor wypowiedział tę nazwę, rozmowy ucichły. Był wieczór, właśnie wszedł Bjørn, miał podbite oko i tak zmęczone ręce, że mu dygotały,

gdy wzniosł kubek. Lecz i on zauważył ciężką atmosferę, którą najwyraźniej to jedno słowo sprowadziło na zebranych. Hjørungavåg... Halvor, który do tej pory siedział na brzegu ławy, przy moich stopach, stanął na środku klepiska, przykładając dłoń do czoła, jakby wspomnienia sprawiały mu dotkliwy ból. Tego wieczoru miałem również się przekonać, że Halvor jest skaldem, a właśnie nastał czas, by opowiedzieć historię o bitwie stoczonej na północy, bitwie pod Hjørungavåg.

Halvor, wyjąwszy z paleniska płonąca żagiew, wskazywał nią na każdego z nas.

– Pamiętacie Sigvaldego? – zapytał, a zebrani skinęli głowami.

To od jarla Sigvaldego, poprzedniego hovdinga Jomsborga, wszystko się zaczęło, oznajmił Halvor i poklepał się po brzuchu. Siglvade bowiem miał zamiłowanie do trunków i wojaczki, więc gdy Sven Widłobrody urządził stypę na cześć jarla Skanii, Strutharalda, Sigvalde się upił i przyrzekł, że nie miną trzy lata, gdy on powiedzie jomswikingów na Norwegię i pozbawi władzy jarla Håkona z Trøndelagu. Wokół na pogrążonych w półmroku ławach pokiwano głowami, a z miejsca zajmowanego przez Josteina Karła dobiegło mamrotanie, że Sigvalde nie był jedynym, który złożył obietnicę tamtego dnia, mocne piwo wypełniało wtedy rogi. Halvor przytaknął, prawdę mówi Jostein, niejeden mąż zbyt wiele obiecał podczas tamtej uczy. Najbardziej skorym do składania obietnic był Vagn, który zawsze próbował prześcignąć Sigvaldego. Wdrapał się na stół i przyrzekł zabić Torkjella Leirę, z którym miał porachunki, i pójść do łoża z jego córką.

– Vagn był wtedy młody – dodał Halvor i spojrzał przepaszająco na mnie i Bjørna.  
– Młodzi nie zawsze są mądrzy.

Zauważyłem, że na te słowa brat mój się zmieszał. Prychnąwszy, usunął się w mrok pod ścianę, gdzie usiadł, opierając o kolana zmęczone ręce. Chciałem zapytać, o co chodzi, ale wtedy Halvor podniósł głos. Wymachiwał płonącym polanem i toczył dookoła szeroko otwartymi oczyma. Sześćdziesiąt okrętów z ludźmi Svena Widłobrodego na pokładzie i równie wiele z Jomsborga; przez morze pozęglowali i wzdłuż zachodniego wybrzeża Norwegii popłynęli. Jednak ludzie lojalni wobec jarla Håkona zapalili ostrzegawcze ogniska, a Håkon zgromadził flotę tak liczną, że gdyby ustawić jeden statek za drugim, to nie dostrzegłoby się końca. A towarzyszył jarlowi, któż by inny, jego syn Eirik Ofiarnik, biegły w czarach. Przed bitwą Eirik złożył

w ofierze swego brata, a ojciec posłał niewolnika Karka, by ten dzierżył nóż. Pomazano krwią chłopca kamień runiczny i wezwano walkirię Torgerdę Holgebrud. I zmieniły się losy bitwy na korzyść Trøndelagczyków.

W tym momencie Halvor przesunął płonącą żagwią pod powałą.

– Niebo nad nami zasnuło się ciemnymi chmurami – ciągnął. – Wtem dostrzegam nadjeżdżającą konno walkirię. Naga, pokryta krwią Håkonowego syna. Krzyczy i ciska włócznią prosto w pierś Buego Digrego, ten pada martwy tuż obok mnie.

Halvor stał ze wzrokiem utkwionym w ziemi, a w całym domu panowała taka cisza, że było słyhać, jak jeden z psów leżących przy drzwiach wierzga we śnie. Jostein Karzeł wyszedł na środek i położył dłoń na plecach Halvora, który uniósł głowę. Błyszczą mu oczy i był wyraźnie poruszony.

– Wielkie niczym dłoń dorosłego mężczyzny... – Halvor pokazał zaciśniętą pięść. – Takich kul gradowych nie widziałem nigdy, ani przedtem, ani potem. Siłą czarów Eirik Ofiarnik podburzył niebo przeciwko nam. Jotunowie musieli pochwycić naszego Thora i skępować mu ręce, bo nie uczynił niczego, by zapobiec nawałnicy, która na nas spadła. Widziałem mężczyzn padających trupem z głowami roztrzaskanymi bryłami lodu! A mnie... – Halvor pokazał dłonie – mnie połamało obie ręce. Jednak walczyłem! I wy wszyscy, którzy dziś wieczorem tu siedzicie, a słyszeliście śpiew miecza tamtego pamiętnego dnia!

Niektórzy kiwali głowami, dookoła rozlegały się szepty, że tam byli i pamiętają poległych braci. Halvor podszedł do mnie i Bjørna, jedną stopę oparł o brzeg ławy. Oparł rękę na kolanie i obrzucił nas ponurym spojrzeniem.

– Musicie wiedzieć, chłopcy, że choć nie wygraliśmy w Norwegii, to Vagn odniósł zwycięstwo. Sigvalde okazał się nędznym nikczemnikiem i uciekł. Nas, którzy walczyliśmy dalej, wzięto do niewoli. Lecz jarl Håkon potrafił dostrzec odwagę. Gdy ją spostrzegł, stać go było na to, by przyznać grid człowiekowi, który na niego zasłużył.

Teraz głos zabrał Jostein Karzeł i podczas gdy Halvor przyszpilał wzrokiem mnie i Bjørna, ten niewielkiego wzrostu człowiek opowiadał, jak razem z Halvorem, Vagnem i wieloma innymi zostali posadzeni na pniakach, tak by kat, ścinając głowy, stawał przed nimi twarzą w twarz; doszło bowiem do uszu Eirika, że taki sposób im milszy. Jeden po drugim wojowie patrzyli katu w oczy i umierali bez strachu. Tak też by się

stało z Halvorem, Josteinem, Vagnem i ich towarzyszami, gdyby nie pewien wiking o imieniu Sigurd, syn Buego Digrego, który postanowił pozbyć się jeszcze jednego Trøndelangczyka, zanim sam umrze. Sigurd Bueson miał długie jasne włosy i nie chciał, by poplamiła je krew. Poprosił więc jednego z ludzi Eirika, by je podtrzymał i odsłonił mu kark. Jednak w chwili, gdy ostrze topora spadało na jego szyję, Sigurd szarpnął się w przód i nieszczęśnik, który trzymał jego włosy, stracił obie dłonie. Do siedzącego na pniaku Sigurda podszedł Eirik Ofiarnik, bo takiej sztuczki jeszcze nigdy nie widział. Gdy zapytał jeńca o imię, ten mu odpowiedział słowami wypełnionymi duchem jomswikingów: „Zwą mnie Sigurdem i uważam się za syna Buego. Jeszcze nie wszyscy jomswikingowie zginęli”.

Wtedy Bjørn najwyraźniej otrząsnął się nieco ze smutku, ponieważ wychylił się z mroku pod ścianą i chciał się dowiedzieć, jak im się udało ocalić głowy. Bo choć Eirika być może rozbawił podstęp owego Sigurda, to raczej było to za mało, by pozostałym przy życiu jomswikingom dać grid.

Halvor wziął się pod boki i obrzucił nas spojrzeniem. O synu jarla Håkona trzeba wiedzieć, że to ulfhednar, a jeśli nie mamy pojęcia, co to oznacza, to powinniśmy sobie wyobrazić dzikiego wilka w ludzkiej skórze. We krwi miał szaleństwo i ci, którzy tego dnia uszli z życiem, pamiętają jego śmiech, podczas gdy człowiek z odrąbanymi dłońmi wiał się z bólu. Być może Eirik Ofiarnik z zemsty lub dla rozrywki kazałby odrąbać dłonie pozostałym jomswikingom, lecz pojawił się ojciec, jarl Håkon, który pojął, że siedzący tu jeńcy nie mieli w sobie nienawiści, że to toast na stypie u Svena Widłobrodego przywiódł ich na północ, na norweskie wybrzeże.

– Jarl Håkon darował nam życie – wszedł Halvorowi w słowo Jostein Karzeł i poklepał go po ramieniu. – Okazał się człowiekiem honoru, uraczył nas tego wieczoru piwem i pieczonym mięsiwem. Czyż nie tak było, Halvorze?

Halvor skinął głową.

– W głębi było gospodarstwo, z rozpiętych żagli przygotowano zadaszanie. Podano dobre piwo i nikt go sobie nie żałował.

– Vagn i jarl zawarli braterstwo – dodał Jostein. – I zaiste spełniła się obietnica złożona u Widłobrodego.

Mężczyźni spojrzeli na siebie, Halvor pokiwał głową i się roześmiał.

– Nie rozumiem – rzekł Bjørn. – Obietnica?  
– Jarl dał mu córkę Torkjella Leiry – wyjaśnił Halvor.  
– A wcześniej Vagn zabił Torkjella – dorzucił Jostein.  
– Więc ta kobieta, o której mówicie... – Bjørn ruchem głowy wskazał drzwi. – Jest matką Torgunn, córki Vagna?

– Nie. – Halvor podszedł do najbliższego długiego stołu i pochwycił swój kubek. – Wy młodzi powinniście słuchać, kiedy ja mówię. Hjørungavåg było dziewięć lat temu. On ma Torgunn z inną kobietą. Tamta już nie żyje. Torgunn ma... – Zerknął na Josteina. – Może mieć teraz dwadzieścia?

Jostein przytaknął.

– W ciążę zaszła, gdy miała czternaście. Dwadzieścia lat. Może dwadzieścia jeden. Ale nie więcej.

Halvor usiadł na ławie.

– O tym przecież chłopaki też nie mają pojęcia.

– Powiadają, że to był gwałt – mruknął Jostein i spojrzał na nas spod krzaczastych brwi.

– Gwałt albo i nie gwałt... – Halvor wziął ze stołu kawałek podpłomyka i zaczął przeżuwać. – Tego nigdy do końca nie wyjaśniono. Ale jedno, chłopaki, mogę powiedzieć... Gdy Vagn się dowiedział... – Halvor lekko pokręcił głową. – Zabił go. Rozerwał na strzępy niczym wściekły pies. Kiedy skończył, to, co zostało, nie było już człowiekiem. Leżały tylko.... wióry.

Przytłaczająca cisza ponownie ogarnęła zebranych w długim domu, aż Jostein, chrząknąwszy, dorzucił:

– Dziecko zmarło. Coś poszło nie tak w czasie porodu. Torgunn była za młoda. Ona... Nie wiemy, co się stało. W każdym razie dziecko nie przeżyło nawet jednego dnia.

Halvor, odwróciwszy się do nas plecami, siedział nad kubkiem z wodą, a Bjørn znowu wycofał się w mrok pod ścianą. Resztę wieczoru przesiedziałem sam z Fenrem.

Spędziłem tydzień w długim domu, nie żałując sobie jadła. Rana była czysta i szybko się zablizniała, a Halvor był zdania, że brat starał się wyrządzić mi jak najmniejszą

krzywdę. Mieliśmy poczekać parę tygodni, zanim rozpocznę trening, ale z wykonywaniem obowiązków nie musiałem już dłużej zwlekać. Skoro miałem prawo nazywać się Jomsborgczykiem, musiałem również wykonywać przypadającą na mnie część prac. Bjørnowi także przydzielono obowiązki, ale nic na ten temat nie mówił. Przyczynę poznałem, gdy Halvor poszedł ze mną na główny podwórzec. Zauważyłem Bjørna, kiedy ładował na wóz wiadro z odchodami. Robił to każdego poranka; należał do tych, którzy wywozili wiadra z nieczystościami poza wały Jomsborga i opróżniali je przy ujściu rzeki opływającej gród od wschodniej strony. Zaklął na mój widok, po czym obrócił wszystko w żart, wołając, żebym się przyłączył, bo gównianej roboty wystarczy i dla mnie. Jednak Halvor przeszedł ze mną na północną stronę dziedzińca, gdzie zastaliśmy Aslaka przeliczającego składowane w skrzyniach główki cebuli. Cebula była jedynym płodem ziemi, którym mogliśmy się pożywić o tej porze roku; jedynym nadającym się do tak długiego przechowywania. Wkrótce okoliczni chłopcy zaczną zbiory różnych jadalnych roślin, ale mieliśmy ledwie początek lata, a Aslak, który zajmował się prowiantem, doskonale wiedział, że ludzie się pochorują, jedząc wyłącznie ryby i mięso.

Dlatego pierwszym obowiązkiem, który został mi przydzielony w Jomsborgu, stało się roznoszenie cebuli do domów. Pół główki dla każdego mężczyzny zdolnego do noszenia broni, cała główka dla każdego starca. W Jomsborgu, jeśli komuś udało się przeżyć tak wiele bitew, że zdążył się postarzeć i zniedołężnieć, to nabierał prawa do bezpiecznego dożywania swych dni, bez konieczności zabiegania o jedzenie i picie. Tych godnych szacunku posiwiiałych brodaczy dotyczyły inne zasady; nie musieli wykonywać żadnych prac ani brać udziału w treningach, wolno im też było raczyć się miodem i piwem. Widziałem ich często przesiadujących na ławach przy domostwach. Obserwowali mężczyzn ćwiczących się w walce na miecze i topory, strzelających z łuków do wypchanych sianem worków. Niektórzy z weteranów mieli przerażające blizny, palce innych poskręcał artretyzm. Siedzieli, trzęsąc się ze starości, a mnie nieraz nawiedzała myśl, że nigdy nie chciałbym się zestarzeć. Śmierć na polu walki wydawała się znacznie lepszym losem.

Jomsborgczycy zajadali cebulę, jak inni raczą się jabłkami; zwyczaj, który przyjąłem, mieszkając w twierdzy. A nie były to małe cebulki, z gatunku takich, które



mieliśmy w domu, w Vingulmorku, tylko wielkie jak rzepy. My, rozwożący cebulę, byliśmy bardzo wyczekiwani w domach i w ciągu tych pierwszych dni poznałem wielu starych przyjaciół Halvora, bo zdążył już opowiedzieć o mnie i Bjørnie. Sigurd Bueson, ten który rozbawił Eirika Ofiarnika, sprawiając, że pomocnik kata w Hjørungavåg stracił obie dłonie, mieszkał w długim domu nieopodal portu i był znany jako wielki wojownik, podobnie jak jego ojciec. Był też wypróbowanym towarzyszem Halvora i Josteina, zarówno w boju, jak i w opróżnianiu kufli. Nieczęsto miałem okazję widzieć kogoś bardziej wzbudzającego strach niż on. Przynajmniej o głowę wyższy od innych mężczyzn i z najszerszymi barami, jakie kiedykolwiek widziałem. Pierwszego ranka, podczas którego rozwożiłem cebulę, czekał na mnie na ulicy kompletnie nagi, drapiąc się po kroczu. Miał długą zwichrzoną brodę i włosy koloru pszenicy, związane w śmieszny koczek. Bez słowa sięgnął do jednej ze skrzyń, odrzucił kilka główek ze zbyt wieloma pędami, a wybrawszy taką, na którą miał ochotę, wbił w nią ostre zęby, które miał opiłowane. Powiedział mi o tym Halvor, ale gdyby ktoś utrzymywał, że Sigurd Bueson z takimi się urodził, nikogo by to nie zdziwiło. W tym człowieku było coś zwierzęcego. Kolana i łokcie miał za grube. Nogi długie i szczupłe, ale plecy i kark niesamowicie umięśnione. Całe ciało pokrywały blizny, jakby codziennie był kładziony trupem, a potem ożywał na nowo, na podobieństwo einherjerów Odyna. W pierwszych dniach nie odzywał się do mnie, wolał rozmawiać z Fenrem, poszczekując i popiskując, a psiak zdawał się go rozumieć, bo odpowiadał szczeknięciem i kładł się na boku, by go czochrąć, co Sigurd czynił z szerokim uśmiechem na kanciastej twarzy.

Dziesięć dni po naszym przybyciu do Jomsborga Sigurd Bueson stanął na czele opuszczających port czterech statków, a Bjørn i ja byliśmy wśród licznych, którzy zjawili się na nabrzeżu, by ich pożegnać. Powiadano, że mają zabić syna hovdinga ze Skanii i że Sven Widłobrody przysłał Vagnowi dwie skrzynie pełne srebra jako zapłatę. Jednak Halvor był zdania, że wyruszyli do twierdzy Svena, by się układać w sprawie rocznej daniny, którą władca Danów ponoć miał uiszczać, by zachować przyjaźń jomswikingów. To, że z taką misją posłano Sigurda Buesona, dziwiło mnie. Wspomniałem o tym Halvorowi, który wybuchnął śmiechem i kiwnąwszy głową, przyznał mi rację. Sigurd sprawdzał się świetnie na polu bitwy, ale poza tym w niewielu

innych miejscach. Mimo to Vagn wyprawił go z listem, w którym wymieniał swoje warunki. Nie omieszkał pewnie przypomnieć Svenowi, że to my, jomswikingowie, pomogliśmy mu, gdy wystąpił przeciwko ojcu, Haraldowi Sinozębemu, i przyczynił się do jego śmierci. Ponadto mógłby z nami panować nad Norwegią, gdyby Eirik Ofiarnik nie przywołał w Hjørungavåg burzy i walkirii.

Nigdy nie przypuszczałem, że Jomsborgczycy brali udział w tak wielu wydarzeniach i że można ich było traktować niemal jak naród wolnych mężów. Usiłowałem porozmawiać o tym z Bjørnem, gdy wrócił wieczorem do domu, ale sprawiał wrażenie nieobecnego. Zjadł, po czym wyciągnął się na ławie. Czasami potrafił tak leżeć i bezmyślnie gapić się w powałę lub na drzwi. Sprawiał wrażenie głuchego, nie odpowiadał ani mnie, ani innym.

Przy rozwożeniu cebuli pracowałem nie dłużej niż pierwsze dwadzieścia dni. Gdy jeszcze leżałem ranny, Halvor wspomniał Vagnowi i Aslakowi, że jestem rzemieślnikiem. Tylko dlatego, by dać mojemu ramieniu możliwość wydobrzenia, kazano mi rozwozić ludziom cebulę. Po upływie trzech tygodni Aslak zabrał mnie do portu i wszedł ze mną na jeden ze statków. Pod pokładem pokazał mi szczelinę w kadłubie, prawie dokładnie w tym samym miejscu, w jakim był uszkodzony kadłub na statku Olafa na Rossøy.

– Musisz to uszczelnić – powiedział. – Rozwożeniem cebuli zajmą się inni. – Wróciliśmy na pokład, a Aslak szerokim ruchem ręki pokazał portową zatokę. – Musisz wiedzieć, że Jomsborg nie jest tylko z gliny i piasku. Gdyby sprawy tak się potoczyły, że bylibyśmy zmuszeni opuścić to miejsce, Jomsborg wciąż będzie istniał. Te statki są naszą twierdzą. One są Jomsborgiem.

Odparłem, że rozumiem. I była to prawda. Na morzu zawsze czułem się wolny, myślałem. To na lądzie schwymano mnie, zrobiono ze mnie niewolnika, ścigano mnie jak zwierzę. Aslak położył rękę na moim ramieniu i je pomacał. Pokiwał głową w zadumie, przesunął spojrzenie ku mojej prawej nodze. Nagle odwrócił się do mnie tyłem i ponownie wbił wzrok w morze.

– Trening zacznie się jutro rano – oznajmił. – Po śniadaniu przyjdź na wydmy. Zastaniesz tam mężczyznę, który będzie cię szkolił. – Splunął do wody i zszedł na ląd.

Resztę dnia spędziłem, snując się po Jomsborgu razem z Fenrem. Nie natknąłem się ani na Halvora, ani na Josteina Karła, ani na innych, z którymi zdążyłem się zapoznać. Bjørna też nie widziałem, ale spod północnej części wałów dobiegały mnie okrzyki i głuchoe odgłosy uderzeń kijem. Zbliżywszy się, ujrzałem brata, bosego, z wypełnionym kamieniami koszem na plecach, w jednej ręce dzierżył drąg, a w drugiej topór z drewnianą głowicą. Okrężało go trzech wojów uzbrojonych w długie żerdzie. Widziałem strugi potu ciekące po nagim torsie Bjørna i ślady po uderzeniach pokrywające całe jego ciało.

Tego wieczoru nie dziwiłem się Bjørnowi, że nie jest zbyt rozmowny; już mi się nie wydawało dziwne, że ledwo przełknie swoją porcję mięsa, schrupie cebulę, zagryzie kawałkiem podpłomyka i pada na ławę. Musiał być wykończony. Było jednak coś jeszcze, co go męczyło bardziej niż ciosy drągami. Gdybym był starszy, pewnie bym to spostrzegł. Porozmawiałbym z nim i może sprawy nie zaszłyby aż tak daleko.

Na razie Bjørn pozostawał sam ze swymi strapieniami i nie wydawało się, by ktokolwiek dostrzegł w jego zachowaniu coś niepokojącego. Halvor snuł opowieści o przygodach, które spotkały go na zachodnim szlaku. Był dobrym skaldem i nikomu nie przeszkadzało, że niektóre opowiadania nieraz już słyszano. Niekiedy Jostein Karzeł wyciągał flet, który kiedyś sobie zrobił z kości. Jednak zawsze prosiliśmy, by odłożył instrument, bo od jego grania uszy bolą. Tego wieczoru Halvor opowiadał, w jakich okolicznościach Aslak stracił rękę, i znowu cofnęliśmy się w czasie do wydarzeń pod Hjørungavåg. Podczas owej potwornej burzy Vagna zmyło z pokładu. Aslak był na tym samym statku, walczył jak berserk. Od razu zauważył Vagna za burtą. Chwycił potężną dębową pałkę i przechylając się za burtę, podał ją Vagnowi. Okręty stały jeden przy drugim. W chwili gdy Vagn uchwycił się pałki, fala uniosła najbliższy statek i z olbrzymią siłą rzuciła go w stronę Aslaka trwającego z ręką wysuniętą nad nadburciem. Vagn dostał się między dwa okręty, lecz ponieważ kadłuby są łukowane i najszersze przy nadburciu, w jego przypadku skończyło się na zadrapaniach. Gorzej było z Aslakiem. W chwili gdy fale znowu unoszą statki, odpychając je od siebie, Aslak stoi z ręką zmienioną w krwawy kawał mięsa. Wciąż jednak nie wypuszcza pałki, po której Vagn wdrapuje się na górę, przełazi przez nadburcie i ustawia się tak, by chronić

rannego towarzysza. Aslak jest twardy, nawet jak na jomswikinga. Przekłada pałkę do drugiej ręki i rzuca się w wir walki; jest w nim taka dzikość, jakby sam Odyn zesłał na niego szal.

Dzikość pozostała w nim aż do wieczoru, gdy jarl Håkon wezwał swego najlepszego medyka i kazał mu odciąć zmiążdżone ramię.

Myślałem o Aslaku i jego ramieniu, stojąc następnego ranka w strugach deszczu i czekając na rozpoczęcie treningu. Bjørn już ćwiczył ciosy i pchnięcia; zauważyłem, że porusza się zupełnie inaczej niż kiedyś. Stał na szerzej rozstawionych nogach, ramiona trzymał bliżej ciała, cięcia i sztychy wyprowadzał tak szybko, że wzrok ledwo za nimi nadążał. Tego ranka nie spotkałem tam Aslaka, natomiast wezwano człowieka zwanego Ulfarem Oraczem i to on miał się mną zająć. Ulfar był mężczyzną o niespotykane długich rękach, sięgały mu prawie do kolan. W życiu nie widziałem nikogo bardziej budzącego grozę, nie licząc, rzecz jasna, Sigurda Buesona. Pojawił się wśród piaszczystych wydm, dzierząc w każdej ręce duński topór, a ponieważ padało, zrzucił z siebie górną część ubrania. Silnie utykał, ale nie zdradzał za grosz słabości, ociekająca deszczem opalona skóra opinała mięśnie i ścięgna. Podszedł do mnie i stał przez chwilę, wpatrując się w chmury. Pamiętam, że w całej postaci było coś gwałtownego, a upstrzona bliznami skóra przypominała korę. Stojący przede mną mężczyzna przypominał drzewo, dąb. Wciąż ze wzrokiem wbitym w niebo, zagadnął:

– Ty jesteś Torstein, brat Bjørna?

– Tak – potwierdziłem.

– Jestem Ulfar Oracz – przedstawił się. – Nie mam pola. Jednak nazywają mnie Oraczem.

W tym momencie skierował na mnie spojrzenie i zauważyłem, że jedno oko ma zielone, a drugie niebieskie. Podał mi jeden z toporów z najdziwniejszym uśmiechem, jaki kiedykolwiek widziałem. Otrzymał kiedyś cios, który zmiążdżył mu szczękę, a mięśnie twarzy zrosły się krzywo. Gdy chciał się uśmiechnąć, najpierw rozdziawiał usta niczym wyrzucona na brzeg ryba, po czym uśmiechał się całą twarzą, tak że oczy ginęły w zmarszczkach i fałdkach. Z takim właśnie wyrazem na twarzy stał dopóty, dopóki nie miał pewności, że zauważyłem jego uśmiech. Sądził pewnie, że tak trzeba,

bym zrozumiał, że chce mego dobra. Następnie zamknął usta i cała wesołość natychmiast ulotniła się z jego twarzy.

– Powiadają, że położyłeś trupem dziesięciu chłopca – odezwał się cicho. – A usłyszałem to od takich, którzy nie zwykli kłamać.

– Więc to pewnie prawda – odparłem.

– I ci sami powiedzieli mi też, że utykasz, podobnie jak ja.

– I to pewnie jest prawda – zgodziłem się, choć w połowie nie utykałem tak silnie jak on.

Ulfar wbił koniec drzewca w ziemię i oparł dłoń na brzegu głowni sięgającej mu do szyi.

– Nie mam uprawnego pola – powtórzył. – Więc nazywają mnie Oraczem. Taki żart, rozumiesz? – Ponownie rozdziawił usta, lecz tym razem uśmiechowi towarzyszył dziwny rechot brzmiący niczym schrypnięte poszczekiwanie. – Będziemy się tu codziennie nieźle bawić – zapewnił mnie. – I zostaniemy przyjaciółmi.

Zabrzmiało to nieomal ciepło, pomyślałem, choć jednocześnie ogarnęło mnie przeczucie, że z tym człowiekiem jest coś nie tak. Nagle uśmiech zniknął z jego twarzy, a w spojrzeniu, którym mnie obrzucił, pojawił się nowy odcień. Powinienem przewidzieć, co knuje, lecz był to mój pierwszy dzień treningu i nie miałem pojęcia, na czym miał polegać. Znienacka zarobiłem cios w brzuch, Oracz walnął mnie końcem drzewca.

– Broń się – rzucił, uderzając mnie w ramię.

Zanim uniosłem topór, Ulfar zdążył skierować ostrze w moje czoło. Zasłoniłem się trzonkiem, a on jednym szarpnięciem wyrwał mi topór z garści i zakasłał tym swoim szczekliwym rechotem.

Tak się rozpoczął mój trening. Ulfarowi większa część przedpołudnia zeszła na ganianiu mnie wśród wydm; zbijał mnie z nóg i wymierzył mi więcej uderzeń w ramiona i przedramiona, niż byłem w stanie policzyć. Za każdym razem, gdy wydawało się, że przyjąłem dobrą pozycję do walki i gdy nawet udawało mi się sparować atak, demonstrował sztuczkę, dzięki której wyszarpywał mi topór z dłoni albo obalał mnie na ziemię, lub też całkowicie odsłaniał na cios. Tego dnia nauczyłem się, że

duński topór – broń, którą miałem walczyć – nie jest prostackim orężem, jak czasami powiadają ludzie. Duński topór jest najznamienitszą bronią i to Ulfarowi zawdzięczam, że potrafię nią się posługiwać. Stary Oracz przekonał do tego Vagna i Aslaka, bo miał mnie na oku od dnia, w którym przybyłem do twierdzy. A chciał, by topór stał się moją bronią nie tylko dlatego, że zabiłem dziesięciu ludzi w wieku zaledwie czternastu lat. Równie ważne było, że podobnie jak on, miałem niesprawną jedną nogę. Wojownik walczący duńskim toporem może zachować większy dystans do przeciwników, nogi nie są tak narażone jak w przypadku wojów tworzących ścianę tarcz. Jednak ten, kto posługuje się toporem, musi mieć odwagę synów Odyńa. Często bowiem walczy w pojedynkę; to on idzie na czele oddziału, by przerwać linię wroga. Być może Vagn, Aslak i pozostali wyszli z założenia, że dzięki męstwu udało mi się zgładzić tylu ludzi w tak młodym wieku. Być może byli zdania, że do niczego innego się nie nadaję. W każdym razie dość szybko postanowiono, że duński topór będzie moim orężem, i to w Jomsborgu nauczyłem się nim władać.

Dzisiaj niewiele tego typu broni znajdziemy na bitewnych polach. Używane teraz topory mają krótsze drzewce i smuklejsze główce. I gdzie się podzieli berserkowie, którzy samotnie robią wyrwę w szeregu przeciwnika? Czyżby Biały Chryst ujarzmił wszystkich mężczyzn i zabił w nas dzikość? W Jomsborgu było inaczej. Dzikość była cechą wysoce poważaną, zwłaszcza wśród nas, walczących dunem. W ciągu pierwszych tygodni treningu dźwigałem topór ze sobą wszędzie i spałem z nim u boku.

– Ten oręż masz znać nie gorzej niż swą męskość – mawiał Ulfar Oracz, chwytając się za klejnoty i uśmiechając, tak jak tylko on potrafił.

Ćwiczyłem toporem przystosowanym do dorosłego woja. Miałem jeszcze podrosnąć kilka cali, więc teraz broń sięgała mi do czubka nosa i w zasadzie była za długa. Porządny duński topór sięga do górnej części mostka albo do brody i ma stylisko o przekroju w kształcie kropli. Ostry koniec kropli jest zwrócony na zewnątrz, ku wrogowi. To zapewnia ci dobrą kontrolę nad kierunkiem obranym przez ostrze. Główicę wykonuje się z dobrej jakości żelaza, które zagina się, a następnie wykuwa tak długo, aż osiągnie pożądaną dla wojownika wagę i formę, ale topór zawsze będzie miał brodę, a trzonek powinna otaczać gruba, żelazna osada, tak by tylną część głowni można było używać jak obucha. Główica nie może być zbyt gruba ani zbyt ciężka, nie

służy przecież do rozłupywania pniaków. Powinna wchodzić głęboko w ciało i bez problemu rozrąbać kości. Ostra krawędź tworzy wraz z brodą łuk, aby topornik mógł nią ciąć, jak to czynią „niebiescy ludzie” swymi zakrzywionymi klingami. Nie zapominajmy o trzonku, który formuje się z równą starannością, jak głownię. O długości i kształcie wspomniałem, lecz istotną kwestią jest także grubość. Trzeba ją ustalić, biorąc pod uwagę długość palców wojownika. Widząc wojów, którym na polu walki wytrącano oręż z ręki, byłem pewien, że przyczyną był zbyt duży obwód styliska. Wytrzymałość trzonka zależała nie tyle od jego grubości, ile od kunsztu rzemieślnika. Wykonanie trzonka wymaga takiej samej staranności jak wykonanie najlepszego długiego łuku. Do tego celu najlepiej nadaje się wiąz. Zawsze starałem się szukać prostych kawałków, bez sęków, najchętniej z drzew, które rosły w Norwegii, bo w nich słoje układają się gęściej, a drewno jest twardsze.

Już pierwszego dnia, między kolejnymi atakami, Oracz powiedział mi, że na opanowanie posługiwania się dunem zejdzie mi jakieś pół roku. Żaden inny oręż nie wymagał od jomswikingów dłuższego treningu, gdyż topór sam w sobie stwarzał różne możliwości ataku i obrony. W wypadku miecza lub niewielkiego toporka dużo zależy od rąk i nóg, oręż staje się przedłużeniem człowieka, z całą jego wściekłością lub strachem. Dzierżąc duna, musisz poruszać się inaczej; czasami idziesz prosto na przeciwnika, wchodząc w pole zasięgu jego miecza, kiedy indziej trzymasz się na odległość sześciu stóp.

Odległość sześciu stóp! Gdybym dostawał sztukę srebra za każdym razem, kiedy Oracz wykrzykiwał do mnie te słowa, to już w bardzo młodym wieku zostałbym bogaczem. Zasięg topora duńskiego wynosi mniej więcej sześć stóp i na polu bitwy Vagn będzie oczekiwał ode mnie, że w takim właśnie promieniu wykoszę wszystko wokół siebie. Ponieważ miałem walczyć w pojedynkę, bez tarczownika u boku, musiałem się liczyć z tym, że ktoś nieustannie będzie starał się zająć mnie od tyłu. Jednym z pierwszych sposobów ataku, którego nauczył mnie Ulfar, było coś, co on nazywał „ręka nad ręką”. Zaczynasz, trzymając za dolny koniec trzonka i ustawiając bokiem głownię, którą łukiem kierujesz w stronę wroga, tak że ostrze mija jego twarz, a topór zatacza pełny krąg wokół ciebie. W momencie, gdy topór zatoczył krąg i ponownie zmierza w stronę przeciwnika, zmieniasz chwyt; jedna ręka nad drugą,

skracasz dystans i trafiasz w szyję nieprzyjaciela. Gdyby zdążył osłonić się tarczą, wymierzasz mu kopniaka w kolano i go podcinasz.

Bo topór brodę ma nie od parady. Oracz pokazał mi, jak jej używać do odciągania tarczy, jak wprowadzić ją między nogi przeciwnika, by zaatakować jego kolano, lub w jaki sposób przyjść z pomocą towarzyszowi broni, zahaczając brodą o szyję przeciwnika.

Ulfar powiadał, że duńczyk to trzy oręża w jednym: oprócz topora i haka to także pałka. Widywałem wojowników walczących pałką i wiem, że w sprawnych rękach może to być broń groźniejsza od miecza. Ulfar pokazał mi, jak używać z brutalną siłą i morderczą precyzją długiego wiązowego styliska. Nauczyłem się, jak zmiażdżyć człowiekowi krtań lub oślepić go dwoma błyskawicznymi dźgnięciami. Trzymając za głownię, mogłem najpierw pchnąć przeciwnika w twarz, po czym zmieniawszy płynnie chwyt, zadać cięcie. Drzewcem w szeroko rozstawionych dłoniach potrafiłem parować ciosy toporów i pałek, a w razie gdyby mojemu dunowi odrąbano głownię, wciąż mogłem walczyć trzonkiem.

Powiadano, że Ulfar rozplątał człowieka od czaszki do krocza, ale takie opowieści krążyły o wielu Jomsborgczykach. Dopiero kiedy przyszedł ze mną na podwórzec, gdzie wisiał ubity wół, dostarczony przez okolicznych chłopów, mogłem przekonać się o sile drzemiącej w duńskim toporze. Wołu podwieszono za tylne nogi, tak by można go było oskórować, jednak Oracz nie bardzo się przejął tym, że uszkodzi wartościową skórę. Pierwszym cięciem oddzielił głowę od tułowia. Do drugiego musiał się przygotować; widziałem, jak nabrzmiewają mu żyły na czole, a zielone oko stało się znacznie większe od niebieskiego, jakby miało wypaść z oczodołu. Wziął zamach, wznosząc topór wysoko nad głową, i ciął między tylnymi nogami zwierzęcia. Ostrze, przeszedłszy przez brzuch, zatrzymało się dopiero na klatce piersiowej.

Mieliśmy ćwiczyć w ten sposób przy każdej dostawie tusz do twierdzy. Większość z nich była już bez skóry, bo ubój i skórowanie odbywało się w gospodarstwach. Pamiętam, jak chłopci oddalali się, widząc, że nadchodzimy z Ulfarem uzbrojeni w topory; niektórzy kręcili głową z dezaprobatą. Oracz mawiał, że nie mają pojęcia, nigdy nie byli wikingami. Nie powinienem słuchać rad innych mężczyzn, tylko wojowników, dodawał. Takie rady mogą zabić.



Treningi z Ulfarem trwały zazwyczaj do obiadu, który spożywano w domach. W Jomsborgu posiłki wydawano nie tylko rano i wieczorem, do czego ja i Bjørn byliśmy przyzwyczajeni, lecz również w środku dnia. Na śniadanie i obiad jedliśmy kaszę, za to wieczorem dostawaliśmy mięso lub ryby, które piekliśmy nad paleniskiem, a osoba odpowiedzialna za posiłki danego dnia rozdelała też warzywa lub owoce. W Jomsborgu nigdy nie głodowaliśmy. Jeśli słyszałeś, że jakiś król czy wielmoża nazywa nas wynędzniałymi lub wychudzonymi, to najordynarniejsze kłamstwo. Teraz, gdy dobrze jadłem i ani jednego dnia nie głodowałem, udało mi się zrzucić skórę podrostka. Codzienne treningi topornika wzmocniły moje ramiona na tyle, że nie tylko mogłem siłować się na rękę z Halvorem i innymi, ale także stałem się jednym z lepszych w tej dyscyplinie wśród mieszkańców naszego długiego domu. Nikomu już nie przeszkadzało, że miałem nie do końca sprawną jedną nogę. Jostein Karzeł stwierdził pewnego wieczoru:

– Niech umykają przekłeci nędznicy. My, jomswikingowie, stoimy na swoim miejscu i walczymy.

Ale życie w Jomsborgu nie toczyło się jedynie wokół walki. Po południowym posiłku szedłem do portu, bo trenowaliśmy tylko przez pierwszą część dnia. Byłem jednym z piętnastu skutników w twierdzy i pracy nigdy nie brakowało. Po tym jak załatałem pęknięcie, które pokazał mi Aslak, w Jomsborgu pojawił się pewien łowca z południa z wozem pełnym suchego drewna wiązowego na łuki, za które Vagn zapłacił mu sownie srebrem. Były to idealnie proste klocki drewna z zagajnika, o którym wiedział tylko tamten myśliwy; nie chciał powiedzieć, gdzie ów zagajnik rośnie. Z tego drewna zacząłem robić łuki płaskie. Vagn chciał, żeby były tak twarde, by wystrzelona z nich strzała mogła przebić najlepszą kolczugę, a takie łuki trudniej jest zrobić niż zwykłą broń myśliwską. Pamiętam, że tego dnia zabrałem pierwszy kawałek do domu i do późna w nocy siedziałem, skrawając z niego nożem cieniutkie wiórki. To zajęcie tak wciąga, że niełatwo się od niego oderwać. Gdy w końcu odłożyłem łuk i nóż, wyszedłem przed dom. Powietrze było ciepłe, więc zdjąłem tunikę, żeby ochłodziła mnie nocna bryza. Nad leżącym w dole portem wisiał księżyc w pełni, otaczała go czerwona poświata. Zauważyłem, że od strony nabrzeża nadchodził jakiś człowiek. Otulający go płaszcz trzepotał na wietrze, rozpoznałem Aslaka. Zatrzymał się przy

mnie, na wpół obracając się w moją stronę, zerknął w górę.

– Krwawy księżyc – powiedział. – A Sigurd Bueson wciąż nie wraca.



## 21

### Odpowiednia kara

Często powtarzam, że Jomsborg to ostatnie miejsce na ziemi, gdzie człowiek może być wolny. Nie rządził nami żaden król ani bóstwo. Jeśli byłeś odważny i pragnąłeś polec na polu bitwy, mogłeś znaleźć miejsce dla siebie. I chociaż codzienny trening mógł dać ci w kość i nierzadko wychodziłeś z niego pokiereszowany, życie tam nie było cięższe niż to, które byś pędził w gospodarstwie. Niektórzy pytali, czy trudno było radzić sobie bez niewolników. Takie pytanie pada najczęściej ze strony osób, które nie wiedzą, że ja sam byłem niewolnikiem. Czy jako młody wojownik nie czułem się upokorzony, przerzucając beczki z cebulą i roznosząc wodę? Czy nie powinno mieć się przynajmniej niewolników do wynoszenia gnoju i do porannego rozpalania ognia w izbie? Ci ludzie nigdy w pełni nie pojęli, czym jest wolność. W Jomsborgu nauczyłem się, że wszyscy mają równe prawa do ziemi pod stopami, jak mawiał Halvor. Była to dziwna zasada i słysząc ją, początkowo kręciliśmy z Bjørnem głowami. Wiedzieliśmy, że istniały trzy warstwy społeczne: władcy, ludzie wolni i niewolnicy. Nie mogło być przecież tak, że niewolnik miał takie samo prawo do ziemi pod stopami jak inni ludzie? Halvor wyjaśnił mi to pewnego wieczoru. Vagn Åkeson pogardzał władcami; szanował jedynie tego, kto zasłużył się na polu bitwy. Dlatego nie uważał, by ktokolwiek miał większe prawo od innych. W jego oczach niewolnik, który wywalczył sobie wolność, był większym mężem niż król, który odziedziczył tron po ojcu. Z takiej właśnie przyczyny nie darzył zbyt wielkim szacunkiem Svena Widłobrodego, znacznie bardziej poważał Olafa Tryggvasona, który jako młody chłopak rozpoczął drogę do szczytów od wyrwania się z niewoli. Vagn uważał jednak, że zarówno Sven, jak i Olaf byli tak pazerni, że ucieliby człowiekowi dłoń, gdyby sądzili, że ścisła w niej

sztukę srebra.

Pamiętam wieczór, kiedy Halvor mi to opowiadał. Siedzieliśmy przy palenisku razem z Bjørnem i Fenrem. Mnie i bratu, którego też przydzielono do prac stoczniowych, popołudnie zeszło na ciosaniu desek i byliśmy wykończeni. Cały dzień dął silny wiatr; tak silny, że zrywał z głów dziergane igłą czapki, którymi kobiety z okolicznych gospodarstw obdarowywały swoich Jomsborgczyków. Na dodatek po południu lunął deszcz, więc w izbie z każdej belki zwisały płaszcze, spodnie, tuniki. Powietrze było gęste od pary, czuć było ludzki pot i mokrą sierść psa. Fenre nie wyściubił nosa przez cały dzień i był jedynym suchym stworzeniem w domu. Leżał sobie teraz zwinięty w kłębek na moich kolanach i pochrapywał.

Nie było dla mnie tajemnicą, że Sven Widłobrody i Olaf dobrze się znają. Ramię w ramię plądrowali Anglię i pewnie do tej pory byłiby sojusznikami, gdyby Ethelred nie zapłacił sownie Olafowi, by ten zerwał układ ze Svenem i zajął się zdobywaniem władzy królewskiej w Norwegii. Obu królów łączyło jednak znacznie więcej, powiedział mi Halvor. Ojciec Svena, Harald Sinozęby, przyjął chrzest i nakazał, by dwór nazywał małego Svena Ottonem, na cześć słynnego cesarza. Ale Sven nigdy na to imię nie reagował. Powiadają, że jako dziecko był samowolny, a jako młodzieniec wręcz nieokiełznany; wcześniej opuścił ojca i dwór, udając się na wyprawy łupieżcze. W tym czasie jomswikingowie mieli wroga w Haraldzie Sinozębym, jako że zawarli układ z królem Wendów, Burysławem, w myśl którego mieli stanąć po jego stronie, gdyby zjawili się Danowie, żądając podatków. W zamian za to jarl Sigvalde, który był wtedy hovingiem w Jomsborgu, miał otrzymać rękę Astrid, córki Burysława. Dzięki tym zaślubinom doszłoby do połączenia jomswikingów i Wendów. To nie spodobało się Sinozębnemu, który mając w dalszym ciągu pewną władzę nad synem, posłał go, by spalił Jomsborg. Lecz młody Sven został zwabiony na okręt Sigvaldego i wzięty do niewoli, do ojca zaś wysłano posłańca z żądaniem okupu. Jednak nie tylko o pieniądze chodziło. Sven miał się ożenić z Gunhild, córką Burysława, który tego zażądał, zauważywszy, że młody Sven chętnie pozbawiłby ojca władzy i że był dobrym kandydatem do zawarcia popartego umową małżeńską sojuszu.

Używanie córek w takim celu wydawało mi się czymś podłym. Zerknąłem na Bjørna, który pokręcił głową z dezaprobatą. Może ci ludzie byli królami

i możnowładcami, lecz nikczemni byli mimo wszystko, skoro tak się lękali walki, że woleli oddać swe córki.

– Wieść niesie, że Svena wzięto do niewoli. – Halvor wsunął gałązkę w palenisko i wysmarkał nos w palce. – Ale to niezupełnie tak, że Sven był w Jomsborgu kompletnie nieznany. Tutejszym hovdingiem w czasach dzieciństwa Svena, jeszcze zanim nastął Sigvalde...

– Był Palna-Toke – wtrącił Jostein Karzeł, który rozsiadł się przy palenisku.

Halvor skinął głową.

– Palna-Toke, jomsborgski hovding, poprzednik jarla Sigvaldego, był przybranym ojcem Svena Widłobrodego, bo król Danów nie chciał mieć nic wspólnego ze swoim synem, nawet gdy ten był mały, i wysłał go na wychowanie do Jomsborga. Może sądził, że Jomsborg zwiąże się mocniej z Danią i pewnie by tak było, gdyby Sven nie dorastał w niechęci wobec ojca.

– W Jomsborgu Sven był przygotowywany do walki od wczesnych lat – opowiadał Halvor – i rzadko można było zobaczyć taką wolę walki u tak młodego chłopca. Szkolił go sam Toke i wieść niesie, że kiedy Sven skończył czternaście lat, potrafił pokonać dorosłego woja. – Powiedziawszy to, Halvor zamilkł i zerknął na mnie. W jego spojrzeniu było coś dziwnego. Potem jego wzrok powędrował ku płomieniom. Piekliśmy właśnie nad paleniskiem słoninę, z której skapywał tłuszcz. Płomień wystrzeliwał od czasu do czasu w powietrze, a tłuszcz palił się, głośno skwiercząc. –

Niejednen uważał, że syn Sinozębego padnie w boju, zanim skończy dwadzieścia lat. Był niczym dzikie zwierzę. Aż w końcu... – Halvor chwycił jeden z kijków i pomacał słoninę kciukiem. – Aż w końcu stał się zbyt nieokiełznany, nawet jak dla Tokego. Dano mu okręt i poproszono, by wrócił do tatusia.

– Ale nie posłuchał – wtrącił Jostein. – Został wikingiem i popłynął na rozbój. Grabił nawet własny lud.

– Owszem, na początku – zgodził się Halvor. – Lecz, jak mówią, Sinozęby wysłał ludzi, by go zabili.

– Własnego syna. – Jostein zakołysał skołtunioną głową.

– Kto tam wie. Niektórzy gadają, że...

– Ludzie w ogóle dużo gadają – wpadł mu w słowo Jostein.  
– ...że nie jest synem Sinozębego, tylko Tokego.  
– Nigdy w to nie wierzyłem. – Jostein dłubał w nosie dość krótkim palcem wskazującym, wyłuszczając swe zdanie. – Gdyby nie był synem Haralda, to czy ten zapłaciłby za chłopaka okup? Nie, synem Sinozębego pewnie jest, ale coś jest nie tak w tej rodzinie. Pragną władzy tak jak zwykli mężczyźni pragną kobiet. Ich umysły toczy choroba.

Wokół paleniska zapanowała cisza. Byli tam też inni, którzy się przysiedli, by posłuchać opowieści. Siedzieliśmy w milczeniu, zastanawiając się nad szaleństwem, które najwyraźniej panuje w rodzie Sinozębego, po czym zdjęliśmy żerdki znad paleniska i zaczęliśmy chrupać przypieczoną słoninę. Bjørn był ponury i milczący przez cały wieczór, od dawna tak się zachowywał. Próbowałem z nim rozmawiać, ale za każdym razem, gdy pytałem, co go gnębi, wychodził albo kładł się spać. Chrupałem więc słoninę, zagryzając cebulą, tak jak pozostali, dopóki Halvor nie przysunął się znowu do płomieni i nie kontynuował opowieści. Jego zdaniem to były tylko plotki, że Sven nie był synem Haralda Sinozębego. A ten, komu nieobca była młodość Sinozębego, nie miał wątpliwości. Jaki ojciec, taki syn. Harald też był nieokiełznanym chłopakiem, też jeździł na wiking, rabując złoto i srebro, łapiąc niewolników. Syn nie robił niczego innego, jak tylko szedł śladami ojca albo ściśle rzecz biorąc, płynął śladem jego stępki. Doszło do tego, że Sven zażądał połowy Danii, lecz ojciec nie dał mu ziemi ani prawa ścigania podatków, bo został chrześcijaninem, podczas gdy Widłobrody trwał w dawnej wierze. Sinozęby się zestarzał i – jak wieść niesie – osłabł. Wtedy przyżegłował Sven ze swoją flotą i zastawszy okręty ojca zakotwiczone w głębi Isefiordu<sup>21</sup>, zażądał nie połowy, tylko całego królestwa, klnąc się, że zgładzi Haralda, jeśli ten nie ustąpi. W odpowiedzi Sinozęby obiecał grid ludziom Svena, którzy przejdą na jego stronę, i wielu go posłuchało, toteż Widłobrodemu przyszło zmierzyć się ze znacznie liczniejszym przeciwnikiem. Jednak, jak powiadają, udało mu się trafić ojca strzałą w brzuch, choć niektórzy byli zdania, że to Toke wypuścił strzałę, która wbiła się w tył głowy i wyszła ustami. Jakkolwiek by było, Harald zmarł na skutek ran odniesionych w bitwie, a Svena wybrano królem Jutlandii i Zelandii i wszystkich wysp, które wcześniej znalazły się pod rządami jego ojca. Nie posiedział jednak długo na

tronie, wstał i wyruszył ponownie w drogę. Podczas stypy po Strutharaldzie zawarto sojusz z Jomsborgczykami i postanowiono, że Norwegię należy podbić.

Znowu siedzący wokół paleniska pograżyli się w milczeniu. Jedni spuścili wzrok, jakby się wstydzili, inni mamrotali coś pod nosem. Nie słyszałem, co mówili. Może wspominali poległych towarzyszy broni, a może to było kilka słów do Odyna albo do Thora. Ubolewanie, że wciąż są przy życiu i nie było im dane paść w bitwie w Hjørungavåg, z bronią w ręku.

Jostein chrząknął.

– Psu, który zbyt wielki kęs chce pyskiem uchwycić, szczeka z zawiasów wypadnie.  
– Racja – przytaknął Halvor. – Jednakowoż Vagn mądrzejszy jest od Sigvaldego.  
– Wiesz, że Sigvalde czmychnął z Hjørungavåg? – Jostein zerknął na mnie. – Siedzi teraz na dworze Widłobrodego. Wciąż jest naszym hovdingiem, choć tylko z nazwy. Nie ma w Jomsborgu nikogo, kto by wolał pójść za nim, a nie za Vagnem Åkesonem.

Gdy wypowiadał te słowa, podmuch wiatru otworzył drzwi.

– Walkirie galopują dziś wieczorem – mruknął Jostein. – Jak wtedy. W Hjørungavåg. Piękne jak najpiękniejsze z kobiet. Lecz ostre są groty ich włóczni.

Halvor wskazał dłonią na mnie i Bjørna.

– Chłopaki, nie szarżujcie z kobietami. Są niebezpieczniejsze od najdzikszego berserka. Kobiety... Trzymam się od nich z daleka.

– Akurat – mruknął Jostein. – A co z tą nałożnicą w gospodarstwie Ulvara Hunda i tymi dwiema nad rzeką. Siostrzyczki, prawda?

Halvor nie odpowiedział na zaczepkę. Zamiast tego zaczął opowiadać, jak to mądre kobiety wykorzystują mężczyzn do zdobycia władzy i jak ogłupiali mężczyźni dają się nabierać i podjudzać przeciwko tym, którzy kiedyś byli ich przyjaciółmi, a nawet braćmi. Królowie i jarlowie używają córek i sióstr, by wiązać się z innymi możnowładcami więzami pokrewieństwa. Dla wielkopaństwa małżeństwo niewiele miało wspólnego z namiętnością i pożądaniem, oznaczało budowanie przymierzy. Dlatego wszyscy władcy, którzy mieli ze sobą konflikty o panowanie na lądzie i morzu, zawierali małżeństwa nawet z kilkoma kobietami. Jarl Sigvalde wziął za żonę Astrid, córkę Burysława, króla Wendów. Dostał ją w nagrodę za uwolnienie Wendów od duńskiego jarzma. Po objęciu duńskiego tronu Sven Widłobrody pojął za żonę Gunhild,

drugą córkę Burysława, a ten ożenił się z Tyrą, siostrą Svena. Nie spodobało jej się to i mówiono, że Burysław ani razu z nią nie spał. Nie brakło mu, rzecz jasna, kobiet, z którymi się zabawiał, ale miał nadzieję, że Tyra da mu następcę, który po kilku latach zostanie władcą wielkiego duńsko-wendyjskiego państwa. Jednak jak dotychczas nie zanosilo się na to.

– Nie opowiedziałeś jeszcze o Vagnie – wtrącił Jostein Karzeł i podrapał się pod pachą. – Skoro już mówisz o kobietach...

– Skoro mówimy o kobietach – zgodził się Halvor – musimy również wspomnieć o Vagnie. Wy, chłopaki – wskazał na nas dłonią, w której trzymał parującą wieprzowinę – jesteście młodzi. W każdym razie ty, Torsteinie. Nie poznałeś jeszcze żadnej kobiety, prawda?

– Pyta, czy z jakąś spałeś – odpowiedział Jostein i wykonał znaczący ruch tym swoim krótkim palcem wskazującym.

Halvor nie czekał na moją odpowiedź, tylko chrząknawszy, kontynuował. Po bitwie w Hjørungavåg wypito sporo piwa, a jarłowi Håkonowi tak przypadło do gustu towarzystwo Vagna, że mu obiecał Ingebjørg, córkę Torkjella, z którą Jomsborgczyk swego czasu poprzysiągł pójść do łóżnicy. Nie dość, że Vagn zabił jej ojca, to jeszcze w bitwie padł mąż kobiety. Ingebjørg mogła być jego, ale Vagn nie z tych, którzy gwałtem biorą kobiety. Co prawda, przysięgał, że weźmie ją do łóża, ale był wtedy pijany.

– Położył się z nią na pryczy – opowiadał Jostein. – I zawołał nas, byśmy przyszli popatrzeć.

– Prawdę mówi. – Halvor skinął głową. – Położyli się na pryczy, na poddaszu. A my mogliśmy się przekonać, że poszedł z nią do łóża, tak jak przysięgał. Była cała rozdygotana. Przerazona jak postrzelony zając.

– Vagn jej nie ruszył. – Jostein podniósł się i mrużąc oczy, spojrzał na otwór w dachu nad paleniskiem. – Ale wziął ją do łóżnicy, tak jak przysięgał. On zawsze dotrzymuje danego słowa.

W tym momencie Bjørn pochylił się w stronę paleniska. Przez cały czas nie odezwał się ani słowem, ale teraz było najwyraźniej coś, o czym chciał pomówić.

– Jego córka – zaczął. – Ta...



- Torgunn. – Halvor kiwnął głową. – Co z nią?
- Ona... Vagn musiał być bardzo młody, gdy został ojcem – rzekł Bjørn.
- Owszem – potwierdził Halvor. – Był niewiele starszy od twojego brata.
- Kiedy matka Torgunn umarła... – Jostein ponownie zajął swoje miejsce – wywiązała się gorączka. Vagn bardzo to przeżył. Kochał tę kobietę.
- Przysiągł jej, że zaopiekuje się córką. A Vagn, jak mówiłem, nie rzuca słów na wiatr. – Halvor dołożył polana do ognia.
- Żadnemu mężczyźnie nie wolno się do niej zbliżyć. – Jostein pokiwał głową. – Obawiam się jednak, że Vagn nie całkiem pojmuje, że stała się dorosła.
- Bjørn pogładził się szybko po brodzie, wbił wzrok w Josteina, potem przeniósł spojrzenie na Halvora.
- Ale przecież urodziła dziecko.
- Gwałt, jak już wspomniałem. Tak przynajmniej utrzymuje Vagn. I poprzysięga zabić każdego, kto spróbowałby ją pojąć.
- Nagle otworzyły się drzwi i do izby wbiegł jakiś mężczyzna.
- Okręty! – wysapał. – Nadpływają okręty!
- Zebrani spojrzeli na mężczyznę, który usiłował złapać oddech. Stał pod pochodnią przytwierdzoną do deski przy drzwiach, jego przepocona lniana tunika parowała.
- To Sigvalde! – rzucił, po czym wypadł za drzwi.

Nie minęło dużo czasu, zanim tłoczyliśmy się w pobliżu nabrzeża. Pewnie nie zabrakło tam żadnego jomswikinga. Razem z Bjørnem podążyliśmy za Halvorem, Josteinem, Oraczem i jeszcze kilkoma wojami, mijając łukiem port i pokonując wzniesienie. Ustawiliśmy się za przedpiersiem. Stamtąd dostrzegliśmy sześć okrętów kotwiczących na odległość strzału z łuku od bramy. Vagn stał koło bramy, a wokół niego było jasno od pochodni. Zobaczyliśmy, że ze statku spuszczają łódkę wiosłową. Weszło do niej trzech ludzi, dwóch zajęło miejsca przy wiosłach, a trzeci, niespotykane wysoki wojownik, stanął na dziobie i trwał w takiej pozycji, podczas gdy łódka zbliżała się do bramy.

– Vagnie Åkesonie! Wpuść nas!

Vagn odpowiedział natychmiast.

– Statki, które widzę, należą do jarla Sigvaldego! Ale głos do niego nie należy!

– Jam jest Torkjell, jego brat! – dobiegło z łodzi. – Wpuść nas!

Jomswikingowie sądzili, że to sam Sigvalde rzucił opodal kotwicę, co wynikało z tego, że Torkjell ruszył w morze okrętem Sigvaldego. Statek był łatwy do rozpoznania, bo na wantach wisiały ludzkie kości, więc gdy wiało, wiatr nimi grzechotał i na nich pogwizdywał.

– Torkjellu Wysoki! – krzyknął Vagn. – A więc to ty. Odpowiedz zatem, jeśli potrafisz, Torkjellu: gdzie jest Sigurd Bueson? Wysłałem go do twego króla, lecz od tej pory go nie widziałem!

– Sigurd jest u Svena! Wpuść nas, to wszystko ci opowiem.

Vagn przez chwilę się zastanawiał nad słowami Torkjella.

– A jak się miewa twój brat? Słyszałem, że Sigvalde je teraz ze stołu Widłobrodego i sypia z jego nałożnicami!

Torkjell puścił to mimo uszu i ponownie zażądał otwarcia bramy. Ledwo powtórzył żądanie, a łódką tak zakołysało, że o mało nie wypadł. To wywołało śmiech, który niósł się wzdłuż częstokołu, aż Vagn ryknął, że mamy się zamknąć, po czym zawołał, by otworzyć bramę.

Sześć okrętów Torkjella Wysokiego rzuciło kotwicę w środku basenu portowego, ale on sam nie powążył się opuścić łodzi. Otrzymaliśmy rozkaz powrotu do domów, choć zdaniem Josteina Vagn obawiał się, że może dojść do niezłej awantury, gdy ludzie Torkjella zejną na ląd. My, jomswikingowie, walczyliśmy za duńskiego króla nieraz i jak opowiadał Halvor, Sven Widłobrody tu dorastał. Jednak po Hjørungavåg, gdy Sigvalde uciekł, a Vagna wybrano nowym hovdingiem, stosunki się popsuły. Jostein uważał, że powinniśmy trwać w gotowości, bo zabijakom, których wpuszczono do twierdzy, nie można ufać.

Przez resztę wieczoru leżeliśmy na ławach w gotowości, jak przyczajone zwierzęta, każdy z toporem lub mieczem w zasięgu ręki. Lecz nikt nie wezwał nas do boju, jedyne, co słyszeliśmy, to pogwizdywanie wiatru w ludzkich kościach.



O świcie poszliśmy z Bjørnem do portu. Zaczynało szarzeć. Wiatr ucichł, a nowo przybyłe łodzie stały na luźnych linach kotwicznych. Przystanęliśmy za przedpiersiem, skąd mogliśmy obserwować zakotwiczone w dole statki. Ten, z którego wantów zwisały ludzkie kości, był potężniejszy od pozostałych, miał większą wolną burłę, a także pokład, podobnie jak okręty Olafa. Towarzyszyły mu zwinne skeidy<sup>22</sup>; węższe i niższe, bez pokładu. Załogi spały, jeden mężczyzna obok drugiego, owinięci w skóry i koce, a ich łuki i topory leżały porozrzucane dookoła.

Zauważyliśmy nagle, że na pokład statku wszedł jakiś człowiek. Miał na sobie habit, taki, w jakim widuje się mnichów, więc nie można było dostrzec jego twarzy. Zbliżywszy się do nadburcia, uczynił coś, co poraziło zarówno Bjørna, jak i mnie. Przełożył lewą rękę przez nadburcie i mocno ją uchwycił prawą dłonią, po czym wydał przeraźliwy okrzyk i jednym szarpnięciem oderwał lewą rękę. Tkwił tak, z kikutem sterczącym z rękawa habitu, a jego głośny rechot niósł się po całym basenie portowym.

Później tego ranka zagadnąłem Ulfara Oracza o jednorękiego. Staliśmy właśnie na wydmach, ćwicząc pchnięcia trzonkiem topora. Oracz wyjaśnił, że człowiek, którego widzieliśmy, to Glime i najlepiej byłoby, gdybyśmy się od tego typu trzymali jak najdalej. Torvar Bezbożnik, jeden ze starych kompanów Oracza, który przyglądał się treningowi, dorzucił, że Glime należał kiedyś do najbliższych ludzi Sigvaldego, ale przypadkiem zabił wendyjskiego wodza. Przydarzyło się to w pobliżu fortu Burysława. Glime był pijany i bez towarzyszy. Został złapany i zawisł na miejskim rynku, a zgromadzeni Wendowie obrzucali go łajnem. Potem kat przypiekl go żelazem, odrąbał mu rękę i pewnie głowę też by mu odrąbali, gdyby wieści nie dotarły do Sigvaldego, który wysłał taki okup w srebrze, że wystarczyłoby na zadośćuczynienie za trzy lub cztery zabójstwa. Jednak Glime wyratowany od katowskich noży i rozżarzonego żelaza nie był już tym Glimem, którego wcześniej znał Sigvalde. Przepęłniała go niepohamowana nienawiść i miało się wrażenie, że była wymierzona nie tylko w Wendów, lecz w każdego, kto stanął mu na drodze. Powinniśmy zatem trzymać się z daleka od Glimego, ale gdyby ponownie przy nas oderwał swoją drewnianą rękę, mamy się śmiać. Inaczej wpadnie we wściekłość.

Ćwiczyliśmy walkę na topory do południa, pory głównego posiłku. Podczas obiadu

panowała niespotykana cisza; Halvor podszedł i szepnął, że Torkjell gości u Vagna i Aslaka i że rozmowy trwały całą noc.

Po posiłku zabraliśmy się z Bjørnem do obciosowywania świerkowego pnia dostarczonego do twierdzy kilka dni wcześniej; miał być z niego maszt do jednego z naszych okrętów. Powtórnie zagadnąłem go, dlaczego stał się taki małomówny, ale zbył mnie, stwierdzając, że martwi go, tak jak i resztę ludzi, nieznana misja, z którą przybył ten cały Torkjell. Tyle że Bjørn był przygnębiony od dawna i najwyraźniej powyżej uszu miałem jego pochmurnej gęby, bo wpadłem w złość, rzuciłem ciosłem, aż przeleciało przez cały placyk, a wióry wzbiły się w powietrze. Odwróciwszy się ku Bjørnowi, zażądałem wyjaśnień. Byliśmy sami przy świerkowym pniu. Bjørn odłożył swój toporek i w końcu wyznał, jak się rzeczy mają.

– Dziewczyna – mruknął. – Piękna jak Freja.

– Kto to?

Bjørn otarł ręką spocone czoło.

– To już moja sprawa. Ale wiedz jedno, bracie: nie dostanę jej, dopóki jestem w Jomsborgu.

Chwycił ciosło i przesunąwszy się w stronę grubszego końca pnia, wrócił do obrabiania drewna.

Więcej na ten temat nie padło ani słowo, jednak przez resztę dnia nie mogłem uwolnić się od myśli, o jaką dziewczynę chodzi. Jediną kobietą w twierdzy była Torgunn, ale przecież Bjørn słyszał, jaki los spotkał tego, który zrobił jej dziecko. Jeśli to w niej się zakochał, chyba postradał rozum. A może jednak to nie o nią chodzi, może była jakaś dziewczyna w Anglii, którą musiał zostawić i o której mi nie wspomniał. Kiedy tak dumałem, przyszła mi na myśl Sigrid i poczułem ukłucie tęsknoty. Pamiętam, że obróciłem wzrok ku północy, ku morzu rozciągającemu się za częstokołem i piaszczystymi wydmami. Nie było mi jednak dane zbyt długo rozczulać się nad swoją tęsknotą, bo nagle podjechał konno Ragnvald, jeden z mieszkańców naszego domu. Ogłoszono zbiórkę we wszystkich długich domach, rzucił. Mają nam coś do przekazania.

Porzuciliśmy obrabiany pień i wróciliśmy do domu. Zasiadłem na ławie, a Fenre

umościł się na moich kolanach. Od Ragnvalda dowiedzieliśmy się, że Vagn wydaje ucztę u Halfdana Halli i że biesiada zacznie się lada moment. O Halfdanie Halli słyszałem wcześniej, był właścicielem najbliższego gospodarstwa. Vagn zarządził, że z każdego domu ma pójść dziesięciu ludzi. Mówiąc to, Ragnvald ustawił nas wokół siebie w szerokim okręgu, po czym wyciągnął szczapkę z paleniska i podrzucił ją w górę. Ten, przed którym spadła na ziemię osmolonym końcem, miał wziąć udział w uczcie. Tym sposobem wybrał dziesięciu z naszego domu i zapewne w pozostałych domach postąpiono podobnie. Byłem wśród tej dziesiątki, ale Bjørn nie. Pozostałych dziewięciu ledwo znałem, z wyjątkiem Josteina Karła. Zostawiłem Fenrego pod opieką brata i poszedłem z innymi. Dotarliśmy na plac, gdzie zbierały się delegacje z poszczególnych domów. Zjawił się też Torkjell Wysoki, u boku miał Glimego i kilku z załogi. Vagn i Aslak stali w wozie, Vagn trzymał lejce, rozglądając się dookoła, i moim zdaniem wyglądał na zatroskanego. Byliśmy uzbrojeni i być może obawiał się, że jeśli padnie jedno nieprzyjazne słowo, ludzie chwycą za broń, rzucą się sobie do gardeł i się nawzajem poszatkują. Pewnie dlatego spieszyło mu się z wymarszem, bo gdy tylko dostrzegł ostatnich ludzi zbliżających się między budynkami, usiadł i cmoknął na konie. My, jomswikingowie, ruszyliśmy za nim długim szeregiem, wyprzedzając o rzut kamieniem Torkjella Wysokiego maszerującego w otoczeniu swoich ludzi.

Do gospodarstwa było niedaleko. Można je było dostrzec z miejsca, w którym ćwiczeliśmy z Ulfarem walkę na topory. Po przejściu mostu wchodziło się na ubitą drogę biegnącą prosto na wschód, która kończyła się przy sadybie Halfdana Halli. Pochodził z Norwegii i nieźle żył z zaopatrywania nas w mięso i zboże. Dużą część bogactwa spożytkował na wybudowanie halli, tak wielkiej i imponującej, że dała mu przydomek. Halfdan był niezwykle opasłym mężczyzną o długiej, splecionej w warkoczyki brodzie. Czekał na nas ubrany w futrzany płaszcz i łańcuch ze złota i bursztynu niczym jakiś król. Do pasa miał przytroczone dwa piękne rogi, każdy o innym przeznaczeniu, o czym wkrótce się przekonałem. To była moja pierwsza wizyta w gospodarstwie Halfdana i nie wiedziałem, że wstrzeźliwość panująca w Jomsborgu tu nie miała najmniejszego znaczenia.

Halla mogła, jak wieść niosła, pomieścić trzysta osób i tylu nas mniej więcej było, wliczając załogi statków Torkjella. Przydzielono nam miejsce przy jednym z grubo ciosanych długich stołów. Usiadłem obok Josteina Karła i odkryłem, że przy skierowanych na północ końcach stołów umieszczono beczki. Vagn, Aslak, Torkjell, Glime i kilku innych wojów zajęło miejsca przy stole znajdującym się na usypanym w centrum halli podwyższeniu, Vagn i Torkjell naprzeciwko siebie, u szczytów stołu. Wokół podwyższenia stało trzynaście żelaznych żerdzi. Na ostrze każdej nadziano czaszkę dzika. Gdy wszyscy zajęliśmy miejsca, Halfdan Halla wdrapał się na podwyższenie, po czym oparty o ramiona Vagna stał dłuższą chwilę, kaszląc i sapiąc. Wreszcie wyprostował się i wykrzyknął na całą hallę w łamanej duńszczyźnie, że oto nastał czas picia i ucztowania. I żebyśmy sobie nie żalowali ani piwa, ani jedzenia, ani kobiet. Następnie odpiął od pasa jeden z rogów, wbił go w beczkę przy wodzowskim stole, a potem, trzymając nad głową, wznosił toast na cześć Odyna.

Kufle zaczęły żwawo krążyć, podawane z rąk do rąk, a siedzący na końcu stołów napełniali je piwem z beczki i odsyłali z powrotem. Kiedy wypiliśmy na cześć Freja, brata Frei, boga płodności i urodzajów, Halfdan odpiął od pasa drugi róg i przytknął do ust. Donośny dźwięk wypełnił hallę. Gdy gospodarz opuścił róg, wokół stołów zapadła cisza, bo spodziewaliśmy się kolejnych wielkich słów, ale grubas tylko chwycił róg i wykrzyknął po duńsku i gotalandzku, że chce nas zobaczyć pijących jak mężczyźni, po czym wznosił kolejny toast.

Zjeździłem kawał świata i w różnych krajach widywałem upijających się ludzi, ale rzadko miałem okazję widzieć, by robiono to z takim zacięciem, jak na ucztach u Halfdana. Jedzenia jeszcze nie wniesiono, ledwo rozpalono ogień w paleniskach, a już pito w najlepsze. Umiłający czas lirnik krążył między stołami. Postawiono przed każdym miskę i kufel. Pamiętam, że kufle były znacznie większe od misek. Mężczyźni wlewali w siebie piwo, jakby od tego zależało ich życie, i nieustannie posyłali kufle na koniec stołu, gdzie zanurzano je w beczce, po czym odsyłano z powrotem. Siedzący obok mnie Jostein Karzeł zebrał się w sobie, westchnął ciężko i wziął się do picia. Wszystko to sprawiało dziwne wrażenie; nie pojmowałem, dlaczego Vagn zezwala na takie opilstwo, podczas gdy w murach Jomsborga nikomu nie wolno posmakować nawet kropli. Siedzieliśmy z bronią u pasa, a przy takim tempie nie trzeba będzie długo

czekać, by ludzie wzięli się za łby. Załoga Torkjella usadowiła się przy samym wyjściu, podczas gdy jomswikingowie zajęli miejsca w głębi halli. Jeśli dojdzie do walki, jak mi się uda wydostać na zewnątrz? Pod ścianami było ciemno, nie mogłem dostrzec innych otworów niż drzwi, przez które weszliśmy do środka.

– Pij – rzucił Jostein. – Piwo jest słabe, czujesz chyba? Dla ludzi Torkjella pewnie przygotowano mocniejsze.

Olśniło mnie. To była pułapka i chociaż Torkjell, ucztujący przy wodzowskim stole, raczej nie ufał Vagnowi ani całej naszej reszcie, nie był przecież kpem, który nie wypiłby wznoszonego toastu. Z mojego miejsca mogłem obserwować Vagna, Asłaka, Torkjella i Glimego; siedzieli z kufkami, przyszpilając się nawzajem wzrokiem, i za każdym razem, gdy jeden z nich wznosił kufel, drugi robił to samo.

– Mądry to on nie jest – szepnęła Jostein. – Ten cały Torkjell. Waleczny jak mało kto, ale ma słabą głowę. Już prawie ma dosyć.

Siedzieliśmy, opróżniając kufki; ja także pociągałem zdrowo. Wciąż jednak dotykałem topora przytroczonego u pasa; nie podobał mi się plan Vagna. A co, jeśli piwo pomiesza zmysły ludziom Torkjella? Spojrzałem na Glimego, który sprawiał wrażenie, jakby nie mógł usiedzieć na miejscu; wiercił się, dygotał na całym ciele. Zrzucił z siebie kolejno płaszcz i długą tunikę, siedział półnagi za stołem. Wychyliwszy kolejny kufel, zawył niczym zwierzę, na co podbiegł jeden ze służących, którzy czuwali nad zapasami piwa, wziął naczynie i napełnił je, zanurzając w beczce stojącej u szczytu stołu. Glime opróżnił kufel jednym potężnym haustem, co go najwyraźniej od razu uspokoiło, bo osunął się na ławę z brodą opartą o pierś i pustym wyrazem twarzy.

Wypiłem trzy piwa. Za każdym razem, gdy słyszałem, że ktoś wykrzykiwał *skål*, wznosiłem kufel i popijałem. Może to i prawda, że jomswikingom podawano słabe piwo, ale kufki były szerokie i głębokie i gdzieś w połowie drugiego zaczęło mi się kręcić w głowie. Nagle poczułem na ramieniu dotknięcie wąskiej, lekkiej dłoni. Odwróciwszy się, zobaczyłem kobietę, która śmiała się do mnie. Miała długie czarne warkocze, po cztery z każdej strony uśmiechniętej twarzy, i lnianą sukienkę z tak głębokim wycięciem, że niemal całkowicie obnażał piersi. Zagadnęła, ale gapiłem się tylko w jej dekolt i nie mogłem zrozumieć ani słowa z tego, co mówiła.

– Ma dość – przejął inicjatywę Jostein, podając jej swój kufel. – Ale ja nie odmówię.

– Potem szturchnął mnie łokciem, wskazując ogarniętą mrokiem długą ścianę. – Tam w głębi są drzwi. Wyjdź i zaczerpnij świeżego powietrza.

Pamiętam gromkie śmiechy przy kolejno mijanych stołach, następną kobietę o czarnych warkoczach, która przemknęła obok mnie. Stałem przy słupie wspierającym strop; migocący płomień pochodni rzucał cienie na wyrzeźbione na filarze figury: brzuchatego mężczyznę z mieczem w garści, nagą kobietę z rozchylonymi udami i stojącego nad nią potężnego wilka z rozwartą paszczą, szykującego się do połknięcia kobiety. Wokół tej trójki wił się wąż, a czubek jego ogona znikał pod zadkiem grubasa. Głowa jednak musiała być gdzieś na suficie, cielsko oplatało podporę stropu, ginąc w zalegającym pod pułapem półmroku, wśród jaskółczych gniazd i pajęczyn.

Drzwi znajdowały się tuż obok. Wytoczyłem się na dwór i mrugając, powoli przyzwyczajałem oczy do dziennego światła, po czym powlokłem się wzdłuż długiej ściany halli. Zaczęło wiać, miałem wrażenie, że wiatr z poprzedniego dnia właśnie się ocknął. Oparłem się o jedną z belek umocowanych na ścianie; biegły skosem, wzmacniając konstrukcję. Nie usiadłem, zbyt niepokoiło mnie to, do czego mogło dojść w halli. Sterczałem więc, z plecami przytulonymi do ściany, mrużąc oczy pod wpływem światła, i czułem smagnięcia wiatru na twarzy. Piwo uderzyło mi do głowy, ale nie mocniej niż potrzeba, by osiągnąć stan pozwalający mężczyźnie spojrzeć na siebie z całkowitą szczerością, na którą rzadko się zdobywa na trzeźwo. Zacząłem rozmyślać nad swoim życiem, nad tym, kim się stałem: jomswikingiem, wojownikiem. Mimo że dni w Jomsborgu wciąż toczyły się spokojnie, wiedziałem, że to tylko kwestia czasu. Nie produkowaliśmy żywności. Nie wypływaliśmy na połów ryb, rzadko też widziałem, żeby ktoś wyjeżdżał na polowanie. Złota i srebra jednak nam nie brakowało, dlatego kupcy zajeżdżali do nas swoimi wozami, zaopatrując nas we wszystko, czego potrzebowaliśmy. Ale złoto i srebro pochodziło od władców i innych możnych, którzy płacili za nasze usługi, albo z dóbr zagrabionych przez Vagna i jego wojów. Kiedy dostaniemy z Bjørnem wezwanie na wyprawę? Jeśli dostaniemy, nie będziemy mogli odmówić. Nie na darmo nas karmią i szkolą. Gdyby mi kazano zabić człowieka, który nie uczynił mi nic złego, czy posłuchałbym? Pewnie tak. Już to zrobiłem, wtedy w Trondheimsfiordzie, kiedy syn jarla próbował nam się wymknąć. A gdyby kazano



nam zabić kobiety i dzieci? A gdyby kazano nam zrobić z nich niewolników? A gdybym skończył jako ktoś, kto robi takie rzeczy, jakie Ros wyrządził mnie i mojemu ojcu, czy miałbym wówczas prawo sądzić go za to, co uczynił, i życzyć mu śmierci?

Powiadają, że zemsta tylko sytemu w głowie, i pewnie jest w tym trochę racji. Po pojedynku i ucieczce próbowałem o wszystkim zapomnieć i cieszyłem się z treningów, pracy przy statkach, wszystkich zadań wykonywanych tu, w Jomsborgu, bo dzięki nim moje myśli nie krążyły wokół przeszłości. Miałem świadomość, że nic więcej nie mogę uczynić, by pomścić ojca, jako że Ros przyjaźnił się z Olafem, był pod jego skrzydłami. Próbowaliśmy wspólnie z Bjørnem, lecz się nie udało. Uderzyłem grzbietem dłoni o czoło, pragnąc przegnać z głowy nachodzące mnie myśli, i spostrzegłem parobka pchającego taczkę pełną koniczyny i świeżej trawy. Przechodząc obok, obrzucił mnie spojrzeniem i pewnie pokiwałby głową z politowaniem, gdybym nie miał topora u pasa i nie zjawił się tu jako jomswiking.

Odprowadziłem go wzrokiem przez cały podwórzec. Był to duży plac, szeroki na dwa rzuty kamieniem. Hallę wybudowano na środku, pozostałe budynki tworzyły dookoła niej nieregularny krąg. Człowiek z taczkami przecinał plac, mijając hallę od wschodniej strony. Przeszedł obok ofiarnego kamienia, podobnego do tego, jaki znajdował się u hersira w Skiringssalen i skierował się ku stajni. Zrozumiałem, że tam musi być stajnia, bo przed drzwiami stał wóz Vagna, a gdy mężczyzna wwiózł koniczynę do środka, przywitało go parskanie.

Koniarz ze mnie był żaden, ale piwo dodało mi animuszu, więc na chwiejnych nogach skierowałem się w tamtą stronę i po chwili stałem między boksami. Człowiek z taczkami mamrotał coś po wendyjsku, rzucając koniom trawę z koniczyną. Boksów było dwanaście po każdej stronie. Tutejsze konie były znacznie większe od tych, jakie przedtem widziałem, niektóre tak wysokie, że głową ledwo sięgałem im karku. Mieli tu konie robocze o skołtunionych grzywach i parę pięknych wysmukłych ogierów o tak błyszczącej sierści, że widać było każdy mięsień i każdą żyłę.

Doszedłem prawie do końca pomieszczenia, do boksów, w których stały konie Vagna. Zobaczyłem tam jakiegoś mężczyznę. Był rudowłosy i rudobrody, odziany w poplamioną długą tunikę, w średnim wieku, bo twarz miał jeszcze gładką, bez zmarszczek, a brodę niezbyt gęstą. Za nim stał koń, na którym Vagn pewnego razu

przejechał uliczkami twierdzy; masywna, srokata klacz o długiej grzywie. Zwierzę zapewne miało nadzieję na jedzenie, bo wysunęło łeb nad ramieniem rudobrodego w moim kierunku i wachało.

– Gorąco w halli? – zapytał rudzielec.

Skinąłem głową.

– Dużo piwa?

Znowu przytaknąłem. Rudobrody zrobił krok w moim kierunku i zmrużył oczy.

– Jesteś tym chłopakiem, prawda? Z przestrzelonym ramieniem?

– Tak – potwierdziłem. – To ja.

– Spróbuj jeszcze raz! – Rudobrody się zaśmiał.

– Tak – mruknąłem. – Chyba coś takiego powiedziałem.

Rudobrody przyglądał mi się uważnie.

– Trochę się wstawieś?

– Nie...

Uśmiechnął się szeroko.

– To co to ma być, jak nie wędrówka po pijaku?

– Chciałem tylko popatrzeć na konie.

– I popatrzyłeś.

Zrobiłem półobrót, chcąc się oddalić, ale na jego twarzy znowu pojawił się uśmiech.

– Możesz zostać, jeśli chcesz. Sterczeć tu, gdy reszta korzysta z piwa i dziewczek... To dość nudnawe.

Nie ruszyłem się.

– Słyszałem, że Oracz uczy cię walczyć.

– Owszem, uczy.

– Dunem?

– Tak.

– To broń berserków.

Skinąłem głową.

– Jak się nazywasz?

Obrzuciłem go spojrzeniem.

– Torstein. Zwań mnie Szkutnikiem, ale nazywam się Tormodson. Torstein

Tormodson.

Rudobrody podszedł do drzwi boksu i położył łokieć na górnej krawędzi.

– Jestem Eystein – przedstawił się. – Eystein Pierdziuch. To ja opiekuję się końmi.

– Że jak? – Wydawało mi się, że się przesłyszałem.

– Opiekuję się końmi. U nas, w Jomsborgu. Odpowiadam za stajnie.

– Chodzi mi o twój przydomek.

– Eystein Pierdziuch? – Rudzielec po raz kolejny się wyszczerzył. – Zgadza się.

Pierdziuch.

– Dlaczego tak cię nazywają?

– Bo pierdnąłem w obecności Svena Widłobrodego. Na jego dworze, tak że wszyscy słyszeli.

Wyobraziłem sobie całą scenę: ów budzący strach duński król w otoczeniu swoich najpotężniejszych wojowników; staje przed nim ten oto człowiek z puszystą bródką, zapada ponure milczenie i wtedy ciszę przerywa nieprzystojny dźwięk...

– Wpadł w złość? – byłem ciekaw.

– Nie – zaprzeczył Eystein. – Śmiał się. Ale nie daj się zwieść. To okrutnik.

Milczałem. Rudobrody nadal stał w boksie, a klacz Vagna wysuwała głowę nad jego ramieniem, wyczuwając pewnie zapach koniczyny.

– Lepiej wracaj na ucztę – rzucił Eystein.

Nie miałem ochoty wracać. Zrobiłem kilka kroków, ale potknąłem się o własne nogi. Zbierając się z ziemi, nagle zauważyłem żrebaka. Stał dwa boksy dalej od klaczy Vagna i chociaż nie miałem zbytniego pojęcia o koniach, gołym okiem widziałem, że coś z nim jest nie tak. Opierał się o ścianę stajni, miał opuszczony łeb. Gdy podszedłem, zauważyłem obrzęk na prawej przedniej nodze tuż poniżej piersi.

– Lubisz końskie mięso? – zapytał Eystein.

– Nie – odparłem.

– Szkoda. Bo przyglądasz się właśnie kolacji.

W Viken nie jadaliśmy koni. Wiem, że wielu, zwłaszcza z południa, uważa, że konina jest źródłem siły i męskości, ale ojciec mawiał, że Odyn i jego synowie nie jadal trzech gatunków zwierząt: wilków, koni i psów. Dlatego i my nie mieliśmy smakować takiego mięsa. Teraz jednak to nie myśl o końskim mięsie w misce skłoniła mnie do

zrobienia tego, co zrobiłem. Odezwały się raczej resztki dziecka, no i oczywiście piwo.

– Co robisz? – zdziwił się Eystein, gdy otworzyłem boks i wszedłem do żrebaka. Zatrzymałem się pośrodku boksu, a żreback przyglądał mi się czarnymi, okrągłymi oczyma.

– Zostaw – rzekł Eystein. – Złamał nogę.

Zbliżyłem się do zwierzęcia i położyłem dłoń na jego piersi. Gładząc go, wyczułem drżenie mięśni; żreback wierzgnął tylną nogą i znieruchomiał, łeb ponownie zwiesił ku ziemi, a całe ciało przylgnęło do ściany. Żrebię było maści białozłocistej, lecz zad i ogon miało szare, jakby je zanurzyło w błocie. Eystein szepnął, że muszę być ostrożny, bo zwierzę jest obolałe i może mnie kopnąć. Stojąc z dłonią na ciepłym końskim ciele, przypomniałem sobie słowa ojca. Gościliśmy wówczas u gospodarza, posilaliśmy się razem z nim i jego synami. Mieszkał u nich człowiek o imieniu Loth, wyzwoleniec, który w klatce z wierzbowych prętów trzymał łownego sokoła. Gdy mężczyźni byli zajęci jedzeniem, wyjął sokoła z klatki i pozwolił mi go potrzymać. Po chwili nadeszli ojciec z gospodarzem, trzymając w dłoniach kufle z piwem. Spostrzegli mnie. Ojciec odezwał się do gospodarza tak głośno, że wszyscy słyszeli, że mam szczególną rękę do zwierząt. Pamiętam, jaki byłem dumny z tego, że mnie pochwalił w obecności gospodarza.

Nie odstępowałem od żrebaka. Bo chociaż stojący w drugim boksie Eystein cały czas powtarzał, żebym dał spokój, postanowiłem, że żaden rzeźniczy nóż nie dotknie tego konia. Pomacałem obrzęk, potem całą nogę. Nie wyczuwałem złamania, wydawało się raczej, że zwierzę zaliczyło silne uderzenie, podobnie jak ja w osadzie kupieckiej. Jeśli tak się sprawy miały, to przecież i ono mogło wydobrzeć. W swojej chłopięcej naiwności sądziłem, że żrebię miało takie samo prawo do życia jak pozostałe konie w stajni. Jednak Halfdan Halla uważał sprawę za zamkniętą. Nie będzie karmił zwierzęcia, które choruje i być może nigdy do niczego się nie nada.

Najpierw próbowałem wywabić konika z boksu garścią koniczyny; z mizernym skutkiem. Eystein chciał się koniecznie dowiedzieć, co ja wyprawiam, ale właśnie wtedy wrócił stajenny z taczkami. Tym razem nie wiozł koniczyny, tylko zboże, bo Halfdan był tak bogaty, że stać go było na karmienie koni jęczmieniem i owsem.

Stajenny przesypał ziarno do kubłów, które teraz zawieszał w kolejnych boksach. Zbliżając się, traktował nas jak powietrze, nie przerywał pracy, aż w końcu dotarł do końca stajni, po czym odwrócił się i wyjechał z pustymi taczki na zewnątrz.

Żrebak nie dostał zboża. W boksie nie było też siana i wody. Pomyślałem sobie, że gdybym przyniósł mu trochę wody, to poszedłby za mną. Wtedy mógłbym go stąd zabrać i uratować od rzeźnickiego noża. Po czasie zrozumiałem, że byłem bardziej pijany, niż mi się wydawało. Kradzież konia, nawet przeznaczonego na ubój, była poważnym przestępstwem.

Ponieważ koryta z wodą były przytwierdzone do ścian boksów na stałe, wyszedłem na zewnątrz i przecinając plac, wróciłem na ucztę. Wszedłszy do halli, nie zrobiłem wielu kroków, gdy jedna z dziewczek, prześlizgująca się obok, wcisnęła mi w dłoń kufel z piwem. O ile sobie przypominam, Vagn wdrapał się właśnie na stół i wzniosł nie jeden, a trzy toasty. Podniosłem więc kubek do ust i zanim go opuściłem, był do połowy pusty. I wtedy poczułem, że to piwo słabe raczej nie było. Dostał mi się mocny napój.

Przypominam sobie, że udało mi się dotrzeć do stołu, przy którym siedział Jostein. Pociągnął mnie mocno za ramię i usadził na ławie, po czym syknął, bym zwolnił tempo, bo się zataczam. A to przecież nie jomswikingowie mieli się upić, zapomniałem?

Nie ruszałem się zatem z ławy. Jeśli plan polegał na spiciu Torkjella i jego drużyny, wyglądało na to, że się nam powiodło. Wielu przybyszów opuściło swoje miejsca przy stole i zataczając się, łąziło po halli. Jeden z nich stał i sikał tuż obok stołu hovdingów, inny, trzymając w garści długiego saksa, najwyraźniej toczył zaciętą walkę, dźgał i kopał na oślep. Glime biegał goły po halli, wygrażając wszystkim dookoła drewnianą ręką, pewnie coś go rozwścieczyło. Między stołami leżeli pijani w sztok ludzie. Jakiś czarnobrody podszedł do nas na chwiejnych nogach, padł na kolana, po czym zarzygał sobie brodę i przód tuniki.

Torkjell też postanowił wdrapać się na wodzowski stół. Z trudem mu się to udało, bo piwo wyraźnie uderzyło mu do głowy. Stanął na blacie, na szeroko rozstawionych niepewnych nogach i skierował palec w stronę Vagna.

– Złaź! Chcę przemówić!

Vagn nie zamierzał schodzić ze stołu. Zamiast tego wyprostował plecy, wypiął do przodu pierś niczym sprowokowany kogut i zrobił krok w kierunku pijanego. Torkjell

podetknął mu pięść pod nos i ryknął, następnie stracił równowagę i opadł na jedno kolano. Z tej pozycji wymierzył palec w przeciwnika.

– Mój brat jest zły! – wrzasnął.

Vagn odpowiedział mu śmiechem, obrócił się wokół własnej osi, a my, Jomsborgczycy, wtórowaliśmy mu.

Torkjell się podniósł.

– Nie jesteś wodzem jomswikingów. To Sigvalde nim jest!

– Uciekł z Hjerungavåg! – zagrzemiał Vagn, zwracając się głównie do nas. – Ten, kto pozostawia swoich ludzi, nie może być ich wodzem!

– Mam ci przekazać, że Sigvalde chce, byś oddał miecz hovdinga!

Słyszając to, Vagn wyszarpnął miecz z pochwy. Uniósł go nad głowę, byśmy mogli zobaczyć, jaki jest wielki i błyszczący.

– Miecz hovdinga! Jeśli Sigvalde go chce, musi po niego przyjść!

Torkjell w odpowiedzi wydał z siebie ryk i też wy dobył miecz, ale wtedy wbiegł Halfdan Halla. Pokrzykiwał niczym kobieta, wlażł na podwyższenie, a następnie na stół i wcisnął się między obu mężczyzn.

– Niech zagrają flety! Niech dziewczki zatańczą! Pijcie, przyjaciele! Pijcie!

Torkjell i Vagn zeszli niechętnie po swoich stronach stołu, zajęli miejsca, rzucając ku sobie spojrzenia spode łba. Jostein Karzeł, śmiejąc się, wyczyścił swoją miskę palcami, po czym wsadził je do ust, wylizując do czysta. Powiedziałem mu, że potrzebuję wody, na co on beknął i stwierdził, że słusznie prawię, ale wody to raczej w halli nie uświadczę.

Miał rację. Wody w halli Halfdana nie było, za to piwa było więcej niż w izbie gościnnej jotuna. Ledwo się podniosłem, a już w mojej dłoni znalazł się pełny kufel. I stojąc tak, otumaniony piwem, wykoncypowałem plan. Gdyby mi się udało podać żrebackowi trochę piwa, być może nie czułby takiego bólu w chorej nodze. Mógłbym go następnie wyprowadzić.

Dostałem kolejny kufel, wystarczyło tylko wyciągnąć rękę, a już podbiegła jedna z dziewczek. Za chwilę byłem na dziedzińcu i trzymając w każdej dłoni kufel, potruchtałem do stajni.

Niełatwo było wlać żrebackowi piwo do pyska. Choć był mały, to jednak nie nowo

narodzony, zdawało mi się, że mógł mieć już rok, a takie bywają uparte. Najpierw oplotłem mu ramieniem kark, próbując siłą wlać w niego piwo, ale wtedy źrebię potrząsnęło łbem. Stałem więc naprzeciwko, delikatnie odchyliłem w górę pysk zwierzęcia i powoli wlałem piwo między miękkie końskie wargi. Eystein stał przy ścianie boksu z oczami tak wybałuszonymi, że o mały włos nie wyskoczyły mu z czaszki.

Udało mi się wlać w źrebaka prawie cały kufel mocnego piwa, potem siadłem na klepisku w oczekiwaniu na skutki. Długo nie musiałem czekać, zwierzę zaczęło kiwać łbem z boku na bok, po czym przesunęło się na środek boksu, a chorą nogę przebiegło drzenie.

Zarzuciwszy na kark zwierzęcia pętlę zrobioną z pasa, wyprowadziłem je z boksu. Eystein wołał za mną, że chciałby wiedzieć, dokąd to ja idę. Nie pamiętam, co mu odparłem. Wyprowadziłem konia na dziedziniec, a stamtąd na trakt do Jomsborga.

Pokonaliśmy mniej więcej pół drogi, zanim przystanęliśmy. Źrebię trzymało się na nogach, gorzej było ze mną. Zauważyłem, że wciąż mam w ręce kufel z piwem, ale ponieważ musiałem opróżnić pęcherz, postawiłem naczynie na drodze i poluzowałem tasiemkę w spodniach. Stojąc tak i spuszczając z siebie nadmiar płynu, przyglądałem się spod zmrużonych powiek twierdzy i bramie północnej, która niespodziewanie została otwarta. Wyszli przez nią wojowie w bojowym rynsztunku, z tarczami na plecach, toporami i włóczniami w dłoniach. Szli czwórkami. Nie dobiegły mnie żadne nawoływania, mężczyźni zachowywali milczenie, maszerując w całkowitej ciszy.

Chciałbym móc powiedzieć, że ruszyłem się z miejsca i dołączyłem do towarzyszy broni. Gdybym był trzeźwy, pojąłbym, co się święci. Byli w drodze do halli, by pojmać Torkjella i jego ludzi. Teraz, gdy byli już całkiem spici, można ich było rozbroić bez szczególnego rozlewu krwi. Wątpię, żeby tego dnia zagościła w mojej głowie choć jedna rozsądna myśl, więc po chwili znalazłem się wśród wydm, na północ od traktu. Leżałem płasko na ziemi, obok źrebaka, przyczajony niczym ścigane zwierzę, wsłuchując się w odgłos kroków maszerujących opodal Jomsborgczyków. Tkwiałem w bezruchu, nawet gdy już przeszli. Usłyszałem hałasy od strony gospodarstwa, wrzaski, szczęk żelaza. Źrebię poruszyło się niespokojnie, przez ciało zwierzęcia

przebiegły dreszcze, ale przytrzymałem je i po chwili uległo, odetchnęło głośno i dalej leżało, z głową na moich kolanach.

Musiałem się chyba zdrzemnąć wśród tamtych wydm, gdyż następną rzeczą, jaką pamiętam, było to, że leżę i widzę nad sobą zafrasowaną twarz ojca. Ojciec przygląda mi się z góry, trzyma w dłoni kufel z piwem, brodę mą moką, jakby długo wędrował w deszczu.

– Ojcie – mówię, wyciągając ku niemu ramiona.

W odpowiedzi kręci głową, nagle przemienia się w dużo młodszego mężczyznę: to Bjørn. Niebo nad nim pociemniało, nastał wieczór.

– Torsteinie – odzywa się, kucając przy mnie. – Znalazłem na drodze kufel z piwem. Nietrudno było pójść po śladach.

– Tak – zgadzam się. – Pewnie nietrudno.

Podnosi się. Żrebię stoi tuż przy moich stopach. Na piachu zalegają końskie „jabłka”. Bjørn zbliża się do zwierzęcia, chcąc pogłaskać je po pysku, ale źrebak się odsuwa.

– Kulawy koń? Skąd go wzięłeś?

– Z gospodarstwa.

– Ukradłeś?

Nie odpowiadam. Brat chwyta mnie za ramię, pomaga mi wstać.

– O tym trzeba będzie porozmawiać z Vagnem. Powiemy, że nie wiedziałeś, co robisz, że byłeś pijany. Byłeś pijany?

Milczę. Czuję tylko, jak wywracają się mi wnętrzności; wymiotuję, ledwo zdążywszy paść na kolana.

– Byłeś pijany – konstatuje Bjørn. – Wracajmy do Jomsborga.

Zastanawiał się pewnie, co mi tego wieczoru strzeliło do łba; poczłapałem zgięty wpół w kierunku twierdzy, mając za towarzystwo źrebaka. Przekonywał, bym zostawił zwierzę, bo przecież ukradłem je gospodarzowi. W odpowiedzi wymamrotałem, że Vagn i jego drużyna w niczym nie są lepsi, przecież plądrowali i rabowali, gdzie tylko się pojawili. Bjørn po raz kolejny z rezygnacją pokręcił głową. Pozostało mieć nadzieję, że Vagn będzie na tyle zajęty jeńcami, że nie wystarczy mu czasu, by się mną przejmować.





Po uczcie stałem się znany jako ten, który się urznął pospołu z rzeźnym źrebakiem Halfdana Halli. Historia o tym, jak uraczyłem zwierzę piwem, wykradłem je tuż pod nosem grubasa, a potem uciałem sobie drzemkę na wydmach, stała się jedną z ulubionych opowieści jomswikingów i ponoć sam Vagn nieźle się uśmieł, gdy mu o tym powiedziano. Ponieważ byłem młody i nie należało oczekiwać, że będę miał tak mocną głowę jak dorosły mężczyzna, Vagn okazał pobłażliwość i przydzielił źrebakowi boks w jednej ze stajni Jomsborga. Tam mogłem się nim opiekować i nie miało mu braknąć siana i zboża. Kary jednak powinienem się spodziewać. O tym nie omieszkiał mnie zapewnić Eystein Pierdziuch mający pod opieką konie Vagna. Kilka dni pewnie minie, zanim po mnie przyjdą, więc najlepsze, co mogłem w tym czasie robić, to sumiennie pracować i pilnie ćwiczyć sztukę walki. Zapytałem brata, czy iść do Vagna i prosić o grid, ale jego zdaniem to by tylko pogorszyło moją sytuację. Powinienem okazać gotowość poniesienia konsekwencji. Vagn miałby w głębokiej pogardzie przeklętego tchórze, który gniew się w ukłonach i uderza czołem w klepisko.

Gotowałem się zatem na to, co przyniesie mi los. W tych dniach dostarczono nam kilka drewnianych bali, więc Aslak kazał skutnikom, wziąć się do ciosania stępki i klepek i zacząć budowę nowego drakkara. Nie było nikogo, kto by pracował z większym zapalem niż ja. Obrabiałem bale do późnego wieczora, ledwo robiąc sobie krótkie przerwy, by zwilżyć czymś gardło. Mało mnie obchodziło to, że w Jomsborgu pojawiło się półtorej setki nowych mieszkańców. Widywałem ich rano, udając się na wydmy z dunem zarzuconym na ramię, by ćwiczyć pod okiem Oracza, widywałem ich w środku dnia, zjawiając się na posiłek. Rozbili namiot na placu, trzymali się przeważnie w cieniu, leżeli między zniesionymi ze statków skrzyniami, śpiąc albo grając w kości. Byli to Torkjell i jego ludzie, zatrzymani jako zakładnicy. Plan Vagna okazał się prosty, ale skuteczny. Podczas gdy Torkjell i jego zuchy pili na umór, pozostali jomswikingowie otoczyli hallę. Kiedy ludzie Torkjella wytoczyli się na zewnątrz, zostali migiem rozbrojeni i odprowadzeni do twierdzy. Nie mieli prawa postawić nogi ani na swoich statkach, ani za wałami obronnymi. Jedzenie i wodę

dostawali, biedy nie cierpieli, ale jasne dla nas było, że są w niewoli. Dowiedziałem się pewnego wieczoru od Halvara, że Vagn miał nadzieję tym sposobem trzymać Sigvaldego na dystans. Dopóki jego brat był tu więźniem, dopóty stary Sigvalde nie będzie się kwapił do zaatakowania twierdzy.

Cztery dni po uczcie podszedł do mnie Aslak w towarzystwie kilku ludzi. Ciosaliśmy z Bjørnem klepki, lato zbliżało się ku końcowi, lecz wciąż jeszcze było tak ciepło, że łał się z nas pot. Aslak przyglądał się przez dłuższą chwilę naszej pracy. Gdy przerwaliśmy, powiedział, byśmy sobie nie przeszkadzali. Ja i Bjørn, podobnie jak pozostali skutnicy, pracowaliśmy z obnażonymi torsami, a wielu z nas było młodymi ludźmi o silnych ciałach. Nie spuszczałem Aslaka z oczu, wiedziałem, że miał mi zakomunikować, jaka czeka mnie kara. Jego osmagana wichrami twarz przybrała dziwny, bolesny wyraz, wydawało się, że wybuchnie płaczem. Nagle wyprostował się, narzucił płaszcz na ramię, kryjąc kikut, i poprosił, bym odłożył siekiere.

– Vagn wysyła cię do Widłobrodego – rzekł. – Przygotuj się.

Po tym wszystkim, co słyszałem na temat duńskiego króla, słowa te napęłniły mnie obezwładniającym lękiem. Przez resztę dnia nie mogłem wziąć się do pracy, włóczyłem się między zabudowaniami, nie wiedząc, co ze sobą zrobić. W końcu znalazłem się w stajni przy boksie mojego kulawego żrebaka. Towarzyszył mi Fenre. Nie zawsze ze mną chodził, bo w Jomsborgu znalazł sobie psy, z którymi lubił przebywać. Teraz jednak wydawało się, że rozumie, jak mi ciężko, gdyż wszedł mi na kolana i się na nich ułożył. Nie przeszkadzało mi, że śmierdział tak, jakby przed chwilą wytarzał się w łajnie. Dobrze mi było siedzieć tam sobie z psiakiem na kolanach. Żrebię lekko potrząsnęło łbem, jakby się ze mną witało, po czym skubnęło mnie za tunikę, a jego ciepły oddech owionął mi twarz.

Wciąż siedziałem w boksie, gdy zjawił się Bjørn. Najpierw przyglądał mi się ponad drzwiami, na jego nagich ramionach błyszczały kropelki potu. Potem rzucił mi bukłak z wodą. Napilem się, podałem też na dłoni wodę Fenremu. Brat obrzucił mnie spojrzeniem znad swej ciemnej brody. Coraz bardziej przypominał ojca. Zarost na twarzy i włosy wyrosły nam na pięść długie. Lecz włosy Bjørna były bardziej niesforne, co nadawało mu dziki wygląd, a pobyt w Jomsborgu sprawił, że jego barki stały się

potężniejsze, pierś i ręce pełniejsze. Umknęło mojej uwadze to, że już w tym czasie miałem masywniejsze ręce i tors niż mój starszy brat.

– Tu siedzisz – zagadnął.

– Owszem – przytaknąłem. – Siedzę.

– W zasadzie to miałeś szczęście. Mogło być gorzej.

Milczałem. Gdy król Danów dowie się, że Vagn wziął brata Sigvaldego wraz z załogą jako zakładników, wpadnie we wściekłość. A jeśli ten cały Sigvalde przebywa na duńskim dworze, to raczej nie uda się posłańcowi ujść stamtąd cało.

– Zabiją mnie – rzekłem.

– A to niby dlaczego?

Spojrzałem na niego.

– Z zemsty.

Bjørn przyglądał mi się, przechyliwszy lekko głowę na bok, po czym uśmiech rozciągnął kącik jego ust.

– Braciszku... Sądziłeś, że udasz się tam w pojedynkę?

Nie odpowiedziałem. Tak właśnie sądziłem.

Bjørn otworzył drzwi boksu i wszedł do środka.

– Nie będziesz sam, Torsteinie. Szykują statek. Halvor płynie. To, że weźmiesz w tym udział, to tylko... Chodzi o to, by Vagn mógł oznajmić gospodarzowi, że zostałeś ukarany. To wszystko.

Zaszumiało nad dachem stajni. Bjørn spojrzał w górę.

– Rozpadało się.

Zerwałem się.

– Mówisz, że nie płynę sam?

– Słyszałeś przecież. – Bjørn podszedł do źrebaka. – Halvor mówi, że ruszacie jutro.

– Też jedziesz?

– Nie wiem. – Bjørn położył delikatnie dłoń na końskim karku. Znowu pojawiło się znajome drżenie i źrebak, kuśtykając na chorej nodze, odsunął się od niego. – Powinieneś go zostawić, bracie. Masz już trójnogiego psa. Po co ci jeszcze kulawy koń. Nie wystarczy ci problemów z własną nogą?

Widziałem, że natychmiast pożałował tych słów. Przeciągnął szybko dłonią po

brodzie.

– Ja.... nie to miałem na myśli.

Milczałem. Wiedziałem, co ma na myśli. Zarówno Fenre, jak i żrebak byli kulawi, podobnie jak ja. Czy dlatego nie potrafiłem ich zostawić własnemu losowi?

– Chodź! – Bjørn wyszedł z boksu, odwrócił się i skinął na mnie dłonią. – Kolacja już jest. Pewnie zgłodniałeś?

– Nigdzie nie idę – odparłem.

Bjørn oddalił się.

Siedziałem w stajni do zmroku. Zanim w końcu wyszedłem na zewnątrz, niebo otworzyło się na oścież. Lało potwornie, w dół uliczek między długimi domami spływały potoki. Wziąłem Fenrego na ręce i stałem w strugach deszczu. Nie było zimno. Jeślibym teraz wyruszył, przez północną bramę, na wschód wydmami, jeślibym wędrował nocą i nie oglądał się za siebie... Mógłbym zostawić to wszystko, tak jak zostawiłem kupiecką osadę. Tak jak zostawiłem Orkady.

Gdybym nie miał tu brata, być może opuściłbym Jomsborg tej nocy. Przez moment zastanawiałem się, czy nie pójść po niego do domu i nie nakłonić, by mi towarzyszył. Myśl tę jednak porzuciłem. Miałem wrażenie, że Bjørn już dawno zdecydował się tu zostać. Ponadto uciekać niczym przeklęty tchórz nie byłoby najmądrzejszym rozwiązaniem. Vagn miał opinię człowieka prawego, ale gdybym uciekł, nie okazałby mi łaski. Postąpiłby pewnie tak jak Olaf i wysłałby za mną oddział konnych.

Pamiętam, że stojąc pogrążony w myślach, zauważyłem jakiegoś człowieka nadchodzącego od strony portu. Chociaż panował mrok, rozpoznałem go po chodzie; silnie kulał. W Jomsborgu można było napotkać ludzi z wszelkimi ułomnościami i z tego powodu nigdy nie czułem się tam inny. Wiedzieliśmy, że każdemu, kto odniósł w bitwie rany, należy się opieka, będzie miał co wieczór strawę na stole, swoją pryczę i dach nad głową. Ten pokiereszowany weteran z Ranrike mieszkał w tym samym domu co Oracz; widywałem go, jak kuśtykał w pobliżu domu. Zgruchotano mu biodro pałką. Nie potrafił zrobić kroku, nie podpierając się sękatą laską z brzeziny, z którą się nie rozstawał. Nie pamiętałem jego imienia, za to on znał moje.

– Torstein Tormodson? – zapytał, zatrzymując się tuż obok mnie.

Nasunął sobie na oczy kaptur, spod którego mogłem dostrzec tylko szpakowatą brodę z licznymi srebrnymi paciorkami.

– Tak – potwierdziłem, a on chrząknął w odpowiedzi i wysunął dłoń, dając ją Fenremu do obwąchania.

– Twój brat... – szepnął. – Jest starszy od ciebie?

Ponownie przytaknąłem, skinąwszy głową.

– Czuwaj nad nim, Torsteinie Tormodsonie!

– Słucham?

Nie rzekł ani słowa więcej, odwrócił się i odszedł ulicą.

Do czego stary weteran pił tego wieczoru, pozostało dla mnie jeszcze jakiś czas zagadką.

Gdy następnego dnia pomaszerowaliśmy w kierunku portu, deszcz wciąż padał. Spakowaliśmy swoje rzeczy oraz broń i nie mieliśmy wątpliwości, że jako bracia obaj weźmiemy udział w wyprawie do króla Danów. Jostein Karzeł obiecał zaopiekować się Fenrem, bo miał świetny kontakt z psiakiem, co, jak sędzę, miało związek ze szczególną wonią przypominającą zapach sierści, wydzielaną przez ciało Karła. Halvor siedział, czekając, aż będziemy gotowi. Nie wyrzekł ani słowa, dopóki nie zbliżyliśmy się do pomostu i nie odkryliśmy, że setki mężczyzn, w tym Aslak i Vagn, któremu towarzyszyła Torgunn, przyszli nas pożegnać. Nie byliśmy, rzecz jasna, sami, statek miał wypłynąć z pełną obsadą, a do tego trzeba ze trzydziestu chłopów. Aslak wybrał ludzi zaprawionych w wojnach i potyczkach; miejsca na ławkach wioślarzy na jednym ze statków zajmowała gromada poznaczonych bliznami zabijaków. Ludzie byli przeważnie z różnych domów, bo Vagn nie chciał na pokładzie załogi, która znałaby się zbyt dobrze. Przyczynę takiej decyzji poznałem później. Bał się, że jeśli wyśle grupę za mocno ze sobą związaną więzami przyjaźni lub pokrewieństwa, ludzie ci mogą się pokusić o oderwanie się i założenie własnego małego klanu. Jego drugą zmorą była obawa przed zdradą z naszej strony, ze strony tych, którzy służyli w twierdzy; lęk przed utratą dowództwa. Najpoważniejszą zaś zmorą był, jak już od dawna wiedziałem, strach, że córka wpadnie w łapy nieodpowiedniego mężczyzny.

W chwili gdy znaleźliśmy się w pobliżu odprowadzających, na spotkanie wyszedł

nam Aslak.

– Ty! – warknął i pociągnął mnie w stronę statku. Kikutem stuknął w pierś Bjørna. – Ale ty nie!

Bjørn odsunął się o krok od jednorękiego, wyprostował się dumnie, rozszerzył oczy.

– Tam gdzie jedzie mój brat, tam i ja jadę!

– Nie! – Aslak położył dłoń na rękojeści miecza. – Zostaniesz tutaj!

Należy w tym miejscu zaznaczyć, że Aslak był mężczyzną przywykłym okazywać swą władzę. Poza tym coś w jego postawie zniechęcało do sprzeciwu. Vagn był znacznie bardziej ludzki i to on zbliżył się, by wszystko wyjaśnić.

– Bjørnie Tormodsonie – odezwał się. – Pomnij, że nie jesteście tu jedynymi braćmi. Nigdy nie wysyłam rodzeństwa na misję taką jak ta. Nie wysyłam też ojca z synem.

Nagle wydało mi się, że pojmuję, czemu Vagn tak właśnie zdecydował. Podszedłem do brata i chwyciłem go za ramię.

– Zostań. Gdyby coś się stało... Ojciec życzyłby sobie, by jego krew przekazać kolejnemu pokoleniu.

Bjørn obrzucił mnie takim spojrzeniem, jakbym mu właśnie zakomunikował, że nie udajemy się do Svena Widłobrodego, tylko do lodowej halli samej bogini Hel.

– Ale ja przecież muszę... ciebie pilnować.

Po tych słowach zebrani ryknęli śmiechem, a Aslak walnął mnie swoją ogromną pięścią w plecy.

– Ten chłopak sam potrafi się upilnować! – zahuczał.

Bjørn stał w strumieniach deszczu, mokry, zgaszony, aż nagle w jego oczach pojawiły się błyskawice. Położył rękę na przytroczonym u pasa toporze, a śmiech gwałtownie zamarł. Aslak, przechyliwszy głowę nieco w tył, przyglądał się mu.

Bjørn nigdy w życiu nie wydobyłby broni przeciwko tym potężnym mężom, to każdy rozumiał. Lecz Vagn i Aslak chcieli pewnie wybadać, ile jest w nim odwagi, dlatego nie padło żadne pojednawcze słowo. We dwóch wpatrywali się w niego, aż Torgunn zrobiła krok, stając u boku ojca.

– Bjørn. – Wyciągnęła rękę, jakby chciała go dotknąć, ale nie zbliżyła się. Wydawało się, że ten jeden krok, to wszystko, co ojciec może znieść, bo Vagn prześwidrował ją oczami, przeniósł wzrok na Bjørna, po czym nastroszył się jak zwierzę. Odsunął ręce

lekko od tułowia, żyły na szyi i przedramionach nabrzmiały. Bjørn rzucił szybkie spojrzenie na Torgunn, skinął mi nieznacznie głową i oddalił się ulicą.

W takich okolicznościach mój brat został w Jomsborgu. Gdybym mógł zrobić coś inaczej, zabrałbym go ze sobą na statek. Być może nie miałyby to najmniejszego znaczenia. Bjørn nie miał duszy niewolnika. Miał własną wolę.



## 22

### Trelleborg

**V**agn dowiedział się od Torkjella, że Sven Widłobrody przebywał w tym czasie w Trelleborgu na Zelandii. Nazwę dał twierdzy odbywający się tutaj największy duński targ niewolników. Sven z pasją rozwijał ten rodzaj wymiany handlowej i powiadano, że nie ma nikogo na północ od Miklagardu, kto by miał więcej niewolników niż on.

Skierowaliśmy zatem dziobnicę naszego statku w stronę Zelandii, tej żyznej wyspy graniczącej ze Skanią i pozostałą częścią krainy Gotalandczyków. Dowiedziałem się od Halvora, że w Gotalandii panował teraz nowy władca, zwany Olofem Skötkonungiem, czyli Królem Nakładającym Podatki, który połączył Svealandię z Gotalandią. Nie do końca wiadomo, skąd wziął się jego przydomek. Być może stąd, że Olof umożliwił wszystkim wolnym mężczyznom wykupienie się od obowiązku leidangu, czyli zapłacenie podatku, bardzo przypominającego ten, który narzucił wszystkim Olaf Tryggvason. Ponieważ matka Olofa, Sigrid Storråde, była żoną Svena Widłobrodego, tych dwóch władców było spokrewnionych i połączonych sojuszem, a wieść niosła, że obaj planowali wygnanie Olafa Tryggvasona z Norwegii i podzielenie jego ziem między siebie.

Przypominam sobie, że słuchaliśmy Halvora, schroniwszy się pod zadaszeniem ze skór na pokładzie rufowym. W czasie całej przeprawy było bezwietrznie, dniem i nocą padał rześisty deszcz i często napotykalismy przeciwne prądy. Byliśmy zmęczeni, mieliśmy obolałe dłonie, leżeliśmy pokotem pod skórzanym dachem niczym mokre psy, próbując złapać trochę snu, a Halvor siedział pośród nas i wydawało się, że cała sytuacja nie robi na nim najmniejszego wrażenia. Domyślałem się, że często brał udział



w takich misjach jak ta, jako że był mądry, zawsze miał właściwe słowo na podorędziu i nigdy nie wpadał w złość; tak przynajmniej mówiono. To Halvor miał stanąć przed Svenem Widłobrodym i przedłożyć warunki Vagna. Na przeprawę z Jomsborga do zachodnich wybrzeży Zelandii zeszło nam pięć dni i pięć nocy wiosłowania. Sunęliśmy tym samym szlakiem, który pokonaliśmy z Bjørnem, udając się na południe. Zelandię, ową rozległą wyspę, którą od Jutlandii oddziela jedynie wąska cieśnina, opłynęliśmy najpierw od wschodniej strony, później wzdłuż zachodniej wijącej się linii brzegowej, gdzie zimowe sztormy i prądy morskie są w stanie odepchnąć łachę daleko od brzegu i osadzić statek na mieliźnie. Pamiętam, że brakowało mi Fenrego, nie opuszczał mnie ani w dzień, ani w nocy od czasu, gdy byłem niewolnikiem. Po dwóch dniach rejsu wpadłem w ponury nastrój i w mojej głowie zakiełkowała okropne podejrzenie. A co, jeśli wysłano mnie w darze duńskiemu królowi? Jeśli prawdą jest, że tak lubi niewolników, to może Vagn wysłał mnie jako znak dobrej woli? Zakładałem, że zwyczajem było posiadanie podarunku, gdy się staje przed królem, ale na pokładzie nie było ani skrzyń z kosztownościami, ani żadnych tobołków, poza tymi, które każdy z nas miał ze sobą, a jedynymi sakiewkami, jakie widziałem, były te przytroczone do pasów mężczyzn; pewnie znajdowały się w nich tylko krzesiwo, krzemień i być może grzebień do wyczesywania wszy.

Przed południem czwartego dnia załoga zaczęła przygotowywać się do zejścia na ląd. Wydobyli osełki i zabrali się do ostrzenia toporów i mieczy, rozpalono w żelaznym palenisku, by podsuszyć lotki strzał. Wkrótce obraliśmy kurs na coś, co przypominało szczerbę w krajobrazie; było to ujście wpadającej do morza rzeki. Halvor, który właśnie siedział na krawędzi nadburcia i wystawiwszy tyłek na zewnątrz, załatwiał swoje potrzeby, zawołał, że mamy obmyć się z potu, uczesać włosy i brody, bo Sven nie toleruje w swoim otoczeniu ludzkiego smrodu.

Pierwszy raz, odkąd wyruszyliśmy, wiała sprzyjająca nam wschodnia bryza. Wciągnęliśmy wiosła i ułożyliśmy je pośrodku statku. Wiatr wybrzuszał zwisający z rei żagiel, podczas gdy sternik, Dan zwany Haraldem, tak jak ojciec Svena, nieustraszenie poprowadził nas ku ujściu rzeki. Pozrzucaliśmy portki i długie tuniki i z panicznym zapałem wciągaliśmy na pokład cebrzyki morskiej wody. Mycie polegało na tym, że wyciągałeś ręce do góry, po czym chlustano wodą najpierw pod twoją jedną, potem pod

drugą pachę, a resztę wylewano na głowę. Tym sposobem splukiwaliśmy z siebie pot. Dla pasterza, który stał przy ujściu rzeki tego poranka, musiał to być dziwaczny widok. Mijaliśmy go w odległości nie większej niż na rzut kamieniem. Stał ze swoim pasterskim kosturem, rozdziawiając ze zdziwienia gębę. Halvora od rana męczyła biegunka, więc gdy mijaliśmy pastucha, nasz dowódca siedział z tyłkiem wystawionym za burtę, ale obejrzawszy się, pozdrowił stojącego na brzegu, a ten odpowiedział pozdrowieniem. Pewnie nie śmiał zareagować inaczej.

Rzeka zwężała się, lecz wciąż była głęboka. Zwinęliśmy żagiel i ponownie wysunęliśmy wiosła; tym razem nie znalazłem się wśród tych, którzy mieli wiosłować. Zamiast tego stałem na dziobie z Halvorem i kilkoma innymi, podziwiając mijane pola uprawne. Był to niezwykle piękny krajobraz. Dookoła złościły się kłosa i dotarło do mnie, jak wartko mijają dni w Jomsborgu, wkrótce miała nadejść jesień i czas żęcia zboża. Poletka były rozdzielone rzędami drzew owocowych i angeliki<sup>23</sup>, a także wydeptanymi ścieżkami. Wkrótce mogliśmy dostrzec mieszkańców, pojawiali się chłopci z wiklinowymi koszami na plecach, a w sitowiu nad brzegiem rzeki kryli się chłopcy łowiący ryby na wędkę. Wtem Halvor wskazał przed siebie i spostrzegłem statki zacumowane przy przystani z drewnianych bali, biegnącej równoległe do brzegu.

Mijając statki, posuwaliśmy się w górę rzeki, która wkrótce się rozwidliła. Wówczas na półwyspie, w odnogach rozwidlającej się rzeki, spostrzegłem potężny krąg wałów. Halvor znów wskazał ręką.

– Trelleborg – oznajmił.

Trelleborg został założony przez Haralda Sinożębego zaledwie szesnaście lat wcześniej wraz z innymi podobnymi warowniami i powiadano, że w nich właśnie ukrył całe swoje złoto i srebro, obawiając się, że skradnie mu je syn. Warownie nazywano okrągłymi fortami, bo kształtem przypominały koło. Ponieważ wały budowali niewolnicy, często też warownie nazywano trelleborgami<sup>24</sup>; niewolnicy przez długie lata w nich żyli i ciężko pracowali. O tym wszystkim opowiadał mi Halvor, kiedy nasz drakkar mijał zacumowane statki. Było ich tyle, że wkrótce straciłem rachubę, ale przypuszczam, że przynajmniej kilkadziesiąt. W miejscu, w którym rzeka się rozwidlała, wpłynęliśmy w jej północną odnogę i nagle jeden z załogi krzyknął, że widzi statek Sigurda Buesona. Natychmiast rzucono linę za burtę, po czym sternik

wydał polecenie wiosłarzom na sterburcie, by wciągnęli wiosła, i podprowadził naszego drakkara do statku Sigurda, a kilku ludzi z Halvorem na czele przeskoczyło na langskipa i przycumowało nas do jego burty.

Nie zastaliśmy tam nikogo, ale też nie zauważyliśmy żadnych śladów walki, żagle były zwinięte, a wiosła wyciągnięte i porządnie ułożone. Nasza załoga była dziwnie milcząca. Topory przytroczone do pasa, płaszcze szczelnie otulały sylwetki. Być może broni całkowicie nie ukryły, ale nie wyglądaliśmy zbyt wojowniczo. Halvor rzekł nam tylko jedno, gdy schodziliśmy na ląd: kiedy wejdziemy do fortu, nie wolno nam patrzeć w oczy ludziom Svena.

Pamiętam, że dziwiło mnie, że więcej ludzi nie wyszło nam na spotkanie. Czekał na nas tylko jakiś chłopiec w towarzystwie starego mężczyzny, i żaden nie był szczególnie rozmowny. Z nabrzeża wiodło wiele ścieżek, przez równinę, obok pasących się owiec, aż do szczeliny w wale. Była to jedna z czterech bram fortu wychodzących na cztery strony świata.

Przeszliśmy ścieżką przez równinę, aż dotarliśmy do traktu wiodącego do bramy. Olbrzymie dębowe wrota stały otworem, w środku widać było ludzi i długie domy.

Nad bramą zauważyłem umocnienie, rodzaj przedpiersia z pali, opierającego się po obu stronach o wał, niczym most. Na górze stało czterech łuczników i dostrzegłem błysk metalu w momencie, gdy osadzali strzałę na cięciwę. Halvor uniósł rękę i pozdrowił ich otwartą dłonią.

– Niech będzie pozdrowiony Sven, król Jutlandii, Zelandii i wszystkich Danów!

Z przedpiersia nie dobiegła żadna odpowiedź, ale Halvor się jej nie spodziewał. Gdy ruszył, reszta podążyła za nim i wkrótce znaleźliśmy się we wnętrzu okrągłego fortu. Pamiętam, że zrazu oniemiałem na widok okazałych domostw. Wyglądały, moim zdaniem, niczym kadłuby statków obróconych do góry dnem, lekko wygięte ze stępką skierowaną ku niebu. Dach wypuszczony był na dobrą długość oszczepu poza ściany, wspierały go grube bale, tak że między nimi a ścianą biegł zacieniony korytarz. Podobne domy widywałem wcześniej, nawet większe, lecz nie tak piękne. Każdy bal był pokryty płaskorzeźbami, a z kalenic ku niebu wychylały głowy smoków i wilków.

Wtem mężczyźni przede mną się zatrzymali. Halfdan kazał nam zamknąć jadaczki i nigdzie się nie rozłązić. Nie sądzę, by któryś z nas miał inne plany, bo nagle zrobiło

się wokół nas tłoczno. Mieszkańcy grodu nie byli zwykłymi chłopami i rybakami. Byli to potężnie zbudowani, porani bliznami mężczyźni i większość z nich miała u pasa broń. Zaniepokoił się, więc paru naszych wsunęło rękę pod płaszcz, by ją położyć na toporze. Dzięki temu czuli się bezpieczniej. Halvor powtórzył to, co powiedział wcześniej, że mamy trzymać się razem i milczeć, ale byliśmy wojownikami i ogarnęło nas wrażenie, że przywędrowaliśmy prosto do obozu wroga. Jakby tego było mało, krążyły plotki, że lada chwila będą składać ofiarę z niewolnika, by zapewnić sobie siłę i pomyślność w bitwie, co rozgrzewało ludzi Svena i sprawiało, że rwali się do walki. Żałowałem, że nie mam skrzydeł ptaka, na których mógłbym wzbić się w górę i ulecieć. Gdybym tego dokonał, przekonałbym się, że okrągły fort nie był wcale taki wielki, jak mi się wtedy zdawało. Mieścił tylko szesnaście domów mieszkalnych. Tworzyły cztery grupy, po cztery domy w każdej. W centrum każdej grupy domostw były obszerne dziedzińce, na których wojowie Haralda Sinozębego mogli ćwiczyć się w walce, ale teraz tych przestrzeni używano do innych celów, o czym wkrótce się przekonałem.

Ludzie mawiali, że jomswikingowie byli najbardziej krwiożerczymi wojownikami, jacy zostali zrodzeni z kobiety. Być może wówczas niewiele jeszcze wiedziałem o tym, czego dopuszczali się mężczyźni, z którymi dzieliłem stawę i dach nad głową. Ale nawet dzisiaj jestem pewien, że nigdy nie byli tak okrutni, jak wojowie Svena Widłobrodego. Bramy do Trelleborga zawsze stały otworem, bo żaden wróg, ceniący sobie życie, nie ośmieliłby się tu zapuścić. To, żeby wmaszerować tak odważnie i zatrzymać się na placu, było pomysłem Halvora, który wiedział, że Sven każe wyrzynać tchórzy w pień.

– Nie tykać broni! – warknął Halvor, po czym uniósł rękę ponad głowę. – Przybyliśmy, by pomówić ze Svenem, królem Jutlandii, Zelandii i wszystkich Danów!

Mężczyźni zgromadzeni wokół nas stali się bardziej nachalni. Otaczali nas ciasno i mówiąc szczerze, nieczęsto miałem sposobność widzieć bardziej przerażających ludzi. Wszyscy mieli szeroko otwarte oczy i nieustannie poszukujący wzrok; próbowali nas prowokować do odpowiedzi na ich spojrzenie, co byłoby odebrane jako wyzwanie do walki. Ja jednak zachowywałem się tak, jak nakazał Halvor, patrzyłem prosto przed siebie, trzymałem ręce z daleka od noża i topora. Po drodze Halvor opowiadał mi o Svenie i jego ojcu i o zatargach między nimi. Harald Sinozęby był królem, który

budował, podczas gdy jego syn burzył. Ojciec umacniał załogi przy Danevirke, fortyfikacji w południowej Jutlandii, a synowi większość życia upłynęła na płądrowaniu i zdobywaniu bogactw. Powiadano, że Sven potrafił wpaść na pomysł, by zamęczyć człowieka na śmierć, rozrywając go na kawałki i że okazywał się takim okrutnikiem, iż nawet Olaf, jego wieloletni sojusznik i kompan do kielicha, zastanawiał się, jakie to szaleństwo w nim się zagnieździło.

Pojawił się jakiś człowiek. Zrozumiałem od razu, że miał w grodzie wysoką rangę, bo Danowie zrobili mu przejście, rozstępując się wokół Halvora. Siwobrody mężczyzna nosił narzucony na ramiona płaszcz w kolorze głębokiej czerwieni, a kaftan z wyszywanymi rękawami i bursztynowymi guzikami ciasno opinał wydatny brzuch. Miał na sobie także szeroki pas ze srebrną sprzączką i miecz tak długi, że sięgał prawie do ziemi. Zatrzymał się na odległość wzrostu mężczyzny od Halvora, przyjrząwszy mu się, wypuścił powietrze, a następnie wyciągnął szyję i obrzucił spojrzeniem nasz szereg, tak jakby chciał policzyć, ilu nas było.

– Więc Vagn nadal nie chce ze mną rozmawiać – stwierdził. – Wysyła innych, by mówili w jego imieniu. Ktoś mógłby rzec, że to postępowanie godne przeklętego nędznika.

– Jesteśmy tu, by pomówić ze Svenem – rzucił Halvor.

– Najpierw powiedz, gdzie jest mój brat.

– On i załogi są w Jomsborgu. Krzywda im się nie dzieje.

Pojałem, że człowiekiem tym był Sigvalde, brat Torkjella, poprzedni hovding Jomsborga. Stał i przyglądał nam się przez chwilę, potem nagle odwrócił się na pięcie i skinieniem dłoni nakazał nam iść za sobą. Powiódł nas między długimi domami na jeden z dziedzińców. To, co ujrzałem, przeraziło mnie. Po jego jednej stronie wzniesiono podest z desek. Stało tam rzędem wielu nagich ludzi, mężczyzn, kobiet, dzieci. Mieli żelazne obręcze na karkach i skrupowane ręce i prawdopodobnie należeli do kilku mężczyzn znajdujących się za podestem, którzy trzymali ich na powrozach.

Na środku placu stał długi stół, przy którym zasiadał tylko jeden człowiek. Wyglądał mniej więcej na trzydzieści pięć lat i od razu pojałem, że był to Sven Widłobrody, gdyż jego broda i wąsy zebrane były w cztery grube warkocze opadające na nagą pierś. Sądziłem, że był nagi, podobnie jak niewolnicy, lecz gdy Sigvalde przyprowadził

Halvarda do stołu, Sven odsunął nieco w tył krzesło, na którym siedział, i spostrzegłem, że ma na sobie pasiaste szarawary. Na stole przed nim leżał pergamin i stał spory kufel, z którego właśnie pociągnął łyk.

Za stołem stało wielu mężczyzn, kilka kobiet, wszyscy w kolorowych szatach. Połyskiwały srebrne brosze, rękojeści mieczy i bursztynowe ozdoby. Przypuszczałem, że to byli dworzanie.

Wciąż staliśmy na skraju placu. Mężczyźni, którzy obstąpili nasz oddział tuż po tym, jak przybyliśmy do grodu, podążyli za nami i teraz ponownie tłoczyli się dookoła nas.

– Svenie – odezwał się Sigvalde i położył dłoń na ramieniu Halvora. – Vagn wysłała tego człowieka...

Sven mówił po duńsku i początkowo go nie rozumiałem. Nie dlatego, że nie pojmowałem słów, ale dlatego, że miał pełne usta, siedział i przeżuwał udko kurczaka.

– Mnie... – Sven mlasnął, przełknął i otarł wąsy ociekającą tłuszczem dłonią. – Mnie nie musisz mówić, kim on jest – mruknął w końcu. Mówił dialektem typowym dla Danów z Jutlandii. – Halvor Włóczęga – dodał, spoglądając z ukosa na Halvora. –

Halvor Skald, rozpustnik i pijaczyna, i ojciec tysiąca brudnych bękartów. Vagn powinien wysłać ciebie zamiast tego narwańca Sigurda Buesona. Dlaczego tego nie zrobił? Dlaczego od razu nie posłał ciebie? – Sven wsparł się o stół zaciśniętymi w pięść dłońmi i pochylił się, tak że jego okrągły brzuch wylał się ze spodni. Staliśmy na tyle blisko, że widzieliśmy i słyszeliśmy, co się działo przy stole, więc zauważyłem, że Halvor, który zawsze sprawiał wrażenie pewnego siebie i nieustraszonego, teraz miał rozbiegany wzrok. Gdy się odezwał, brzmiał niepewnie, tak jakby nie do końca wiedział, jak się wysłowić.

– Nie wiem – powiedział. – Miał pewnie swoje powody.

Sven zarechotał.

– Pewnie miał. No, co masz mi przekazać? Zażądasz ode mnie srebra, tak jak Sigurd?

Sigvalde stanął naprzeciwko Halvora.

– Siedzący tu król Sven nie będzie więcej płacił daniny! Nie potrzeba mu już opieki Vagna. To raczej Vagn będzie płacił daninę Svenowi! A może wolicie, byśmy przyszli i zajęli waszą twierdzę? Król Sven nie obawia się Burysława i na nic mu się zda opieka

jomswikingów!

Halvor zrobił krok w kierunku stołu.

– Królu Svenie! Przybyłem tu, żeby ci przekazać słowa Vagna Åkesona. Prosił, bym je przekazał dokładnie tak, jak je od niego usłyszałem.

Sven się zaśmiał.

– Mów, jomswikingu!

Halvor odchrząknął.

– Vagn prosi, by Sigvalde obiecał, że będzie się trzymał z daleka od Jomsborga. Prosi, by potężny król Sven, król wszystkich Danów, nie dawał mu więcej statków ani załogi. Prosi, by uwolnić naszego posła Sigurda Buesona i wszystkich ludzi, którzy mu towarzyszyli.

Sven obszedł stół. Zbliżył się najpierw do Halvora, zmierzył go wzrokiem od stóp do głów i splunął mu z pogardą pod nogi, po czym zwrócił się w naszym kierunku. Zauważyłem, że moi towarzysze niepokoili się, przestępowali z nogi na nogę, mieli przyspieszony oddech. Niektórzy wsunęli rękę pod płaszcz i chwycili za topór. Coś było z tą postacią, coś, czego nie widziałem u żadnego innego człowieka. Nie był szczególnie wielki i masywnie zbudowany, nie był bardzo naznaczony bliznami, jak to często bywa z wojownikami. Miał stosunkowo małą głowę, która wydawała się jeszcze mniejsza niż w rzeczywistości z powodu potężnej brody i kędzierzawych, jasnorudych włosów, osadzone głęboko i blisko siebie oczy, a gdy wychylił głowę do przodu, świdrując nas wzrokiem, zdawało mi się, że bardziej jest dzikim zwierzęciem niż człowiekiem, że lada chwila rzuci się i rozszarpie nas na strzępy.

– Zjawiasz się z żądaniami, skaldzie. – Sven, mówiąc do Halvora, przyszpilał nas wzrokiem. – Nie widzę jednak ani złota, ani srebra, ani niewolników. Jeśli spełnię twoje żądania i uwolnię Sigurda Buesona, muszę dostać coś w zamian.

– Torkjell i sześć jego statków z załogami są przetrzymywani w Jomsborgu...

– Wiem, skaldzie. – Sven obrócił się częściowo w jego stronę. – Nie jestem głupi.

Skierował się ku Halvorowi, a ten zrobił kilka kroków do tyłu. Wówczas podeszli do niego Sigvalde z jeszcze jednym drabem i znieacka pochwycili Halvora za ręce z dwóch stron, unieruchamiając go. Sven stanął naprzeciwko niego i wtedy zauważyłem, że był znacznie niższy od Halvora, sięgał mu ledwo do czubka nosa.

Halvor chrząknął.

– Vagn mówi... Prosi, byś zapłacił daninę za... ochronę ze strony Jomsborga... i przyjaźń.

– A jeśli nie?

Halvor chrząknął, spuścił wzrok, jakby nie śmiał spojrzeć Svenowi w oczy, kiedy mówił.

– Wówczas nie będziemy dłużej chronić twojego królestwa.

Sven zaśmiał się i zwrócił w stronę swoich dworzan.

– Czy wyglądam, jakbym potrzebował ochrony?

Dworzanie ryknęli śmiechem, który ucichł jak nożem uciął, w momencie kiedy Sven ponownie odezwał się do Halvora.

– Już mi nie jesteście potrzebni, jomswikingowie. Dlaczego zatem miałbym wam płacić daninę?

Halvor chrząknął, wciąż nie patrzył Svenowi w oczy; mówił tak, jakby powtarzał słowo w słowo to, co rzekł mu Vagn.

– Król Danów musi zapłacić daninę. Sigvalde musi obiecać, że będzie się trzymał z dala od Jomsborga i uzna Vagna Åkesona za hovdinga Jomsborga. Jeśli żądania jomswikingów nie zostaną spełnione, Torkjell i jego załogi... – Halvor chrząknął i szarpnął rękami, próbując się wyswobodzić, po czym wbił spojrzenie w Svena, jakby doszedł do wniosku, że to już nie ma najmniejszego znaczenia, następne słowa i tak przyniosą mu śmierć. – Jeśli żądania jomswikingów nie zostaną spełnione, Torkjell Wysoki i jego załogi zostaną ścięci, a ich głowy posłużą jako oznaczenie szlaku przy ujściu Odry.

Sigvalde wydał z siebie ryk, wyszarpnął zza pasa nóż i przystawił Halvorowi ostrze do grdyki. Sven chwycił go za rękę, po czym pociągnął Halvora ze sobą do stołu. Upił łyk z kufła, odstawił go i położył dłoń na ramieniu Halvora.

– To raczej Vagn powinien mi zapłacić, skaldzie. Sigvalde aż się pali, by odbić Jomsborg, i tylko dlatego, że zabraniam mu popłynąć, wciąż jest tutaj. Ale zaopatrywanie go w dziewczki i piwo kosztuje. Udzielanie mu gościny nie jest tanie.

Halvor skinął głową i wymamrotał, że rozumie, ale słów Vagna cofnąć nie można. Danina w srebrze musi zostać zapłacona, a Sigurd Bueson wypuszczony na wolność.



Słyszając to, Sven wziął kolejny łyk z kufła.

– Teraz odejdz – rzucił. – Zastanowię się i dam ci wieczorem odpowiedź.

Powiedziawszy to, ponownie rozsiadł się za stołem. Skierował spojrzenie na niewolników, krzyknął, że chce się im bliżej przyjrzeć. Wydawało się że zupełnie przestaliśmy go interesować.

Poprowadzono nas z dziedzińca do najbardziej na wschód położonego domu. Przed drzwiami stało dwóch strażników, co skłoniło Halvora do uniesienia ręki i zatrzymania nas, ale pewnie doszedł do wniosku, że skoro wciąż jesteśmy uzbrojeni i niezbyt zmęczeni, powinniśmy w razie potrzeby się stamtąd wyrwać. Poszliśmy zatem do halli, gdzie przy palenisku siedział Sigurd Bueson. Gdy tylko weszliśmy, zerwał się na równe nogi i rzucił:

– Na Odyna! – Podbiegł do Halvora, po czym obaj objęli się niczym bracia.

Od Sigurda dowiedzieliśmy się, że Sigvalde stał się posłusznym psem Svena Widłobrodego, aż przykro patrzeć. Sigurd i jego załoga byli przetrzymywani od chwili, gdy przedłożyli żądania w sprawie daniny.

Usiadłem na jednej z ław biegnących wzdłuż ściany i zastanawiałem się, czy i my zostaliśmy tu uwięzieni, podobnie jak Sigurd. Znowu zapragnąłem zostawić to wszystko, odwrócić się od tego i już nigdy nie spojrzeć wstecz. Wkrótce miała nadejść jesień, a ja kończyłem piętnaście lat. Byłem wystarczająco dorosły, by mieć obowiązki mężczyzny, ale może nie dość dorosły, by pojąć, że znajdowałem się w centrum walki o władzę, w której my, jomswikingowie, mogliśmy przechylić szalę zwycięstwa. Vagn natomiast był bardzo świadomy sytuacji. Obiecał stanąć po stronie Svena przeciwko Olafowi na północy, a także Burysławowi na południu, gdyby wybuchł nowy konflikt z Wendami. Ten układ kosztował Svena mnóstwo srebra, które umożliwiło jomswikingom zaprzestanie wypraw łupieżczych, z jakich do tej pory byli znani.

Opowiadając o szale Svena, Sigurd stał przy palenisku, a jego potężna sylwetka rzucała przerażający cień biegnący ku pułapowi. Ostre, spiłowane zęby nadawały mu zwierzęcy wygląd, co sprawiało, że sytuacja, w której to właśnie on miał opowiadać o szaleńczej reakcji Widłobrodego, była dość niezwykła. Sven wpadł we wściekłość, gdy Sigurd mu przekazał żądania zapłaty daniny i przewróciwszy z ogromną siłą

stojący przed nim stół, już miał się rzucić na Sigurda z nożem do krajania mięsa, gdy zjawiała się jego żona, której udało się go uspokoić. Sigrid Storråde, matka Olafa Skötkonunga, w pewnym sensie była dla Svena zarówno żoną, jak i matką, twierdził Sigurd. Była od niego starsza, tak się przynajmniej zdawało, ponieważ miała długie pasmo siwych włosów i wyraźne bruzdy na twarzy. Objęła go, uspokoiła, uraczyła piwem i mięsem, a w tym czasie stół wrócił na swoje miejsce. Potem Sven mruknął coś Sigvaldemu i wszyscy mężczyźni zgromadzeni w halli podnieśli się z miejsc z bronią w rękę; Sigurd i reszta jomswikingów nie mogli nic więcej zrobić, jak tylko się poddać.

Podczas gdy Sigurd snuł swoją opowieść, wniesiono piwo. Jedzenia nie dostaliśmy, ale piwa najwyraźniej miało nam nie brakować. Jasne było i dla mnie, i dla pozostałych, co knuje Sven. Halvor nakazał nam pić tylko tyle, ile trzeba, by ugasić pragnienie, i ani kropli więcej.

Cały ten dzień spędziliśmy w domu. Nikt głośno nam nie powiedział, że jesteśmy uwięzieni, ale wszyscy zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że nie opuścimy długiego domu, dopóki Sven na to nie pozwoli. Sigurd Bueson i jego załoga siedzieli tu tak długo, a nuda dręczyła ich tak okrutnie, że nieraz rozmawiali o wywalczeniu sobie wyjścia stąd, choćby mieli walczyć gołymi rękami. Oczywiście zostaliby wybici do nogi, zanim dotarliby do bramy, bo nawet jomswikingowie nie są niezniszczalni, ale przynajmniej polegliby w walce i zostaliby zaproszeni do halli Odyna. Fakt, że mimo wszystko wciąż pozostawali w długim domu, wynikał jedynie z tego, że zarówno Sigurd, jak i jego towarzysze złożyli przysięgę wierności Vagnowi i w związku z tym nie bardzo mogli pozwolić sobie na tak bezużyteczną śmierć.

Większość dnia przesiedziałem oparty plecami o jeden z grubych dębowych słupów podtrzymujących sklepienie i przysłuchiwałem się rozmowom. Zastanawiałem się, dlaczego pozwolono nam zachować broń, podczas gdy Sigurda i jego ludzi rozbrojono. Spokoju nie dawał mi Sven, co w nim takiego było, czego ludzie się bali. Bo się bali. Nigdy przedtem nie widziałem Halvora w takim stanie. Sven nie przerażał wyglądem, tak jak Sigurd Bueson i wielu innych Jomsborgczyków. Nie był potężnej postury, ale przecież właśnie usłyszałem, że przewrócił długi stół, a długie stoły do lekkich nie należały. I te oczy... Przypominały rozżarzone węgle. Coś w nim było, coś, na co

w tamtym czasie nie znałem odpowiedniego słowa. Później miałem okazję przysłuchiwać się chrześcijanom, słuchać, jak tłumaczyli świat i ludzi i za każdym razem, gdy opowiadałem im o Widłobrodym, zegnali się znakiem krzyża i mówili, że czcił diabła; to właśnie zło sprawiało, że ja i inni ludzie czuliśmy się przy nim tak niedobrze. Był przepełniony złem niczym wrzód ropną materią.

Był już wieczór, gdy Sigurd Bueson podniósł się, zerkając na dymnik w pułapie. Z zewnątrz dobiegały odgłosy śmiechu mężczyzn i kobiecych pisków, dźwięków fletu i biesiadnych pieśni.

– Ściemniło się – rzucił. – Zaraz się zjawia.

Ledwie zdążył wyrzec te słowa, otworzyły się drzwi i do środka wszedł jakiś mężczyzna. Był odziany odświętnie w długą czerwoną tunikę i płaszcz spięty srebrną zapinką, miał też szerokie skórzane pasy, u jednego z nich wisiał spory saks, na którego kościanej rękojeści spoczywała ręka mężczyzny.

– Halvor Włóczęga i jego ludzie będą dziś pić z królem. Sigurd Bueson też może dołączyć.

Podążając za posłańcem, opuściliśmy hallę i udaliśmy się na podwórzec. Tu usłyszeliśmy, że możemy mieć przy sobie broń, bo jako wolni ludzie mamy do tego prawo. Temu jednak, kto by położył dłoń na rękojeści miecza lub na toporze, tę rękę się odrąbie. Po tym posłaniec dał znak dłonią, byśmy szli dalej. Przecieliśmy dziedziniec, na którym wcześniej tego dnia spotkaliśmy Svena, i zostaliśmy wprowadzeni do jednej z hall. To stąd dochodziły śmiechy i dźwięki fletu, ale w chwili gdy weszliśmy do środka, wszyscy umilkli. Staliśmy w drzwiach, podczas gdy siedzący za stołami goście przyglądali się nam w milczeniu.

Sven siedział za stołem ustawionym u szczytu głównego przejścia. Między nim a nami płonęło palenisko tak długie, że mieściło się nad nim dwanaście roznów. Niczym strzała ognia i żaru wskazywało na tron Svena. Król był ubrany w kaftan w szafirowym kolorze. Stół przed nim zastawiono misami i talerzami, niektóre były wypełnione jabłkami i jagodami, inne parującym mięsiwem. Nad paleniskiem pieczono ptactwo i dziki, tłuszcz skapywał z tusz i skwierczał na żarze.

Sven uniósł błyskawicznie wzrok, zauważył nasze pojawienie się, po czym skupił

uwagę na jakimś pergaminie. Ani słowa, żadnego przywitania. Poślaniec skinieniem ręki wskazał nam kilka stołów. Znaleźliśmy miejsca, cała nasza załoga, do której dołączył Sigurd Bueson. Postawiono przed nami miski i kufle, popłynęło piwo, pojawiły się porcje pieczystego.

Zabraliśmy się do jedzenia. Wszyscy byliśmy wygłodniali i dlatego nie zajmowało nas nic oprócz mięsiwa i piwa, dopóki Halvor nie dał po kuksańcu siedzącym po jego bokach Jomsborgczykowi, polecił ograniczyć picie i przekazać rozkaz dalej. Zostawiliśmy kufle w spokoju. Przedtem udało nam się połknąć kilka kawałków mięsa i teraz wielu z nas skorzystało ze sposobności, by poobserwować pozostałych gości. Większość należała niewątpliwie do hirdu Svena, na co wskazywały ich pokryte bliznami ręce, a także sposób, w jaki bez ustanku na nas patrzyli. Stoły były rozmieszczone tak, jak zwykle w dużych hallach biesiadnych: rząd stołów po obu stronach głównego przejścia, a za nimi jeszcze jeden szereg. Stół Svena stał w odległości kilku wysokości człowieka od podłużnego paleniska. Przysiadł się tam Sigvalde z jakąś kobietą. Nie była jedyna w halli, kobiety siedziały przy wielu stołach i niejedna miała na sobie ozdobne łańcuchy, spinki do sukni mieniące się złotem i bursztynem, ale żadna nie była ubrana z takim przepychem jak ta, która siedziała przy stole Svena. Nosiała purpurową suknię, ciasno opinającą ręce i kibić. Szyję zdobiły trzy złote łańcuchy, szerokie, połyskujące szlachetnymi kamieniami. Miała także przetykane złotem ciemne warkocze okalające twarz, które były tak długie, że sięgały poniżej blatu. Siedziałem na tyle blisko, by zauważyć, że była prawdopodobnie nieco młodsza od Svena. Nie odznaczała się wielką urodą, miała jakby męską, szeroką twarz i zbyt duże brwi. Również dłonie miały w sobie ową męskość, były zaskakująco duże jak na kobietę. Prawą ręką gładziła nieustannie swoje warkocze i łańcuchy, natomiast lewą sięgała po stojący przed nią poślaczany róg.

Sven obiecał, że odpowie na żądania Vagna, ale miało się wrażenie, że kompletnie o tym zapomniał. Popijał gęsto ze swego rogu, jednego z największych, jakie kiedykolwiek widziałem, a służący stale musiał mu dolewać. Halvor zagadnął szeptem do swoich sąsiadów i szept poniósł się dalej: Trzeba być czujnym, bo Sven po pijanemu łatwo wpada w furję.

Siedzieliśmy za stołem już dobrą chwilę, czekając głównie na to, że Halvor wstanie

i zapyta, czy Sven przemyślał żądania jomswikingów. Czy będzie nadal płacił, by mieć nas po swojej stronie i czy Sigvalde uzna w Vagnie nowego hovdinga Jomsborga? Miałem wrażenie, że to wszystko było grą. Przecież z góry zakładaliśmy, że Widłobrody nie zapłaci ani sztuki srebra i że Sigvalde, który siedział tam, patrząc na nas spode łba, najchętniej pościnałby nam wszystkim głowy, gdyby mu tylko pozwolono.

Czas mijał. Nagle wprowadzono grupkę niewolników. Kilku z nich widziałem wcześniej na dziedzińcu; teraz towarzyszyło im dwóch handlarzy. Niewolnicy wciąż byli nadzy, zarówno kobiety, jak i mężczyźni. Byli też brudni, a kobietom skołtunione włosy spadały na twarz. Długi powróż przeciągnięto przez kółka w niewolniczych obręczach, tak że każdy z handlarzy trzymał za jeden koniec; jeden handlarz szedł na przędzie, drugi z tyłu.

Naliczyłem trzech mężczyzn i tyle samo kobiet, wszyscy wyglądali na młodych. Kazano im uklęknąć przed stołem Svena, a Sigvalde wstał i podszedł do kobiet. Odgarnął im z twarzy włosy, pokiwał głową i wrócił na swoje miejsce.

– Halvorze! – zawołał Sven. – Co myślisz o tych niewolnikach?

Halvor chrząknął i odparł, że wyglądają na zdrowych i silnych i że z pewnością dobrze będą służyć Svenowi.

Sven stanął u szczytu stołu.

– Kupiłem ich dzisiaj! Ale nie są dla mnie. Poślę ich wszystkich, z wyjątkiem jednego, mojej siostrze Tyrze! Kocham moją siostrę, Halvorze. A ty masz siostrę?

– Nie – odrzekł Halvor. – Nie mam...

– Twój ojciec zrobił ci pewnie kilka przyrodnych siostrzyczek, o których nie masz pojęcia! – Sven wymierzył palec w Halvora i zaniósł się śmiechem, a wszyscy goście mu wtórowali. Gdy nagle zamilkł i się zamyślił, ucichło również w całej halli.

– Ta tutaj... – Podszedł do jednej z kobiet o bujnych brudnorudych włosach, która klęczała pochyłona. Tyłek miała blady i piegowaty, a plecy poznaczone razami bata.

– Młoda jest. Spodoba się Burysławowi. Dobrze. Bardzo dobrze. – Kiwał głową w zamyśleniu, idąc wzdłuż szeregu niewolników, patrzył na pochylone głowy, potem skinął w kierunku jednego z handlarzy. – Są z Irlandii – rzekł. – Niewolnicy z Irlandii są pracowici. Ale co wy, jomswikingowie, możecie o tym wiedzieć. Wciąż nie wolno wam trzymać niewolników wewnątrz wałów, zgadza się?

– Prawda – odparł Halvor. – To jedno z praw...

Sven splunął na klepisko.

– Takie mam zdanie o waszych prawach.

Halvor zamilkł. Siedział nieruchomo ze wzrokiem wbitym w stół.

Sven rozłożył ramiona i ponownie zwrócił się do wszystkich w halli:

– Kompani! Wy, którzy służyliście pod moim ojcem, pamiętacie, że miał w zwyczaju rozprawiać o „chrześcijańskiej duszy”! I wiecie, że przysiągłem mu szukać jej i ochrzcić się, gdyby udało mi się ją odnaleźć!

Wokół przy stołach kiwano głowami, wołano *skål* i wychylano kufle. Wszyscy wiedzieli, że Sven tak właśnie przysiągł i że złożonych przysiąg zawsze dotrzymywał. Niewolników wyprowadzono, z wyjątkiem tego, który był na końcu powroza. Sigvalde i trzech innych wojów uwiązali rzemienie wokół jego przegubów i kostek u nóg. Położyli go na stole, obróciwszy na plecy, po czym unieruchomili, napinając każdy rzemień.

– Ani słowa! – wyszeptał Halvor. – Ani słowa!

Sven podparł się pod boki.

– Zawsze żyłem w przyjaźni z Odynem. To także wiecie!

– Za Odyna! – rozległo się po halli. Wypito toast.

– Składałem Wszechojcu ofiary, Wszechojciec dawał mi zwycięstwo w bojach i powierzył mi królestwo!

Podczas gdy Sven przemawiał, podeszło kilku służących, którzy dbali o napitek w czasie uczty, i ustawiło przy stole koryta. Sven powrócił na swoje miejsce i teraz miał niewolnika przed sobą; niczym jakiś posiłek. O jomswikingach mówi się, że byli okrutni, że cieszyło ich zadreć na śmierć swoich wrogów, ale nigdy nie widziałem tak mrocznych spojrzeń, jak wówczas u Halvora i reszty załogi.

Sven wyciągnął przytroczony do pasa długi nóż i przystawił go do brzucha niewolnika. Młodzieniec był chudy, widziałem, jak napięły się mięśnie pod skórą w chwili, gdy Sven przytknął nóż. Nagle jednak król zmienił zdanie i ponownie zwrócił się do zebranych w halli.

– Chrześcijańska dusza – zaczął. – Ten Ir jest ochrzczony. Widzicie, jaki jest wąski w barach... – Przesunął nóż wyżej. – Ręce ma chude. Irowie są mniejsi od nas. Jeden

cios w tym miejscu... – Skierował koniec noża ku kości ramieniowej. – Często wystarcza jeden cios, by oddzielić rękę od ciała. Są jednak dobrymi łucznikami. Ten... – Pochylił się nad rozdygotanym nagim ciałem. – Widać, że prawe ramię jest nieco większe od lewego. To za sprawą łuków. Ciężkich cisowych łuków.

Po tych słowach zamilkł i spojrzał na siedzącą obok bogato ubraną kobietę, ale ona wydawała się nieporuszona widokiem leżącego przed nią ciała. Wziąwszy łyk z pitnego rogu, skierowała wzrok na palenisko i wiszące nad nim dziki. To najwyraźniej zirytowało Svena, bo w jego oczach pojawiły się błyskawice, ogarnął wzrokiem wszystkich i przystawił czubek noża do brzucha niewolnika.

– Przyjaciele! Goście! Chcecie sprawdzić, czy znajdziemy tu chrześcijańską duszę? Czy też mamy pozwolić mu żyć? – Omiótł spojrzeniem siedzących przy stołach, odsunął nóż od brzucha niewolnika, po czym znowu go przystawił, jakby nie mógł podjąć decyzji. Usłyszałem, jak Halvor szepce, że nie wolno nam się odezwać, mamy siedzieć cicho, bo król próbuje prowokować. Ja jednak się nie podporządkowałem. Nagle usłyszałem swój krzyk.

– Pozwól mu żyć!

Sven spojrzał na zebranych szeroko otwartymi oczami. Wyglądał na zaskoczonego. Jakby nie wierzył, gdy wzrok wszystkich skierował się na mnie. Podszedł do naszego stołu, wpatrywał się we mnie, ledwo mógł dać temu wiarę.

– To byłeś ty, chłopcze? To ty to powiedziałaś?

Zaniemówiłem, ale Halvor syknął, że mam się odezwać i wziąć odpowiedzialność za swoje słowa.

– To byłem ja – odparłem.

Na ustach Svena pojawił się uśmiezek. Wskazał na mnie nożem i spostrzegłem, że jeszcze chwila, a parsknie śmiechem, lecz nagle przy niewolniku pojawił się Sigvalde. Wbił mu sztylet w przeponę i szybkim ruchem przeciągnął w stronę mostka. Niewolnik był przeraźliwie, dopóki Sigvalde nie poderżnął mu gardła. Potem wepchnął rękę w nacięcie i wyszarpnął jelita. Wszystko działo się tak szybko, że uśmiezek ledwo zdążył zniknąć z twarzy Svena.

– Sprawdźcie – rzekł Sigvalde, pokazując nam okrwawione wnętrza. – Jest tu jakaś chrześcijańska dusza? Ja żadnej nie widzę. Wy jakąś widzicie?

– Nie – odezwał się Halvor zaskakująco odważnym tonem. – Żadnej nie widzę. Widzę tylko mężczyznę, który zginął z ręki przeklętego nędznika.

Sigvalde wypuścił z dłoni jelita i wyszarpnął topór wiszący u pasa. Pewnie rzuciłby się na nas, gdyby Sven nie chwycił go za gardło. Warknąwszy, zmusił Sigvaldego do przyklęknięcia, zanim zwolnił uścisk, i mruknął, że piwo uderzyło mu do głowy. Sigvalde się zerwał, pogroził nam toporem, po czym się wycofał, znikając między stołami.

Sven podszedł i spojrzał na zwłoki, nagle sprawiał wrażenie mocno zafrasowanego.

– Sigvalde może i jest pijany, ale ma rację. Widzę tylko krew i żółć. Może ktoś mi wytłumaczy, dlaczego mój ojciec wiecznie prawił o chrześcijańskiej duszy, skoro w chrześcijanach jej nie ma?

Halla odpowiedziała milczeniem. Sven opadł na tron, wyciągnął rękę i natychmiast podano mu nowy róg, który niezwłocznie napełniono piwem. Król wypił, zwłoki rzucono na derkę i wyniesiono, stół umyto wodą z ługiem. Przyglądając się temu, siedzieliśmy równie cicho jak reszta gości. Poczulem przemożną chęć rzucenia się do ucieczki, ale wiedziałem, że nie wolno mi się ruszyć z miejsca. Wkrótce zagrał jeden z flecistów, a Sven umył dłonie w misce z wodą. Postawiono przed nim pieczeń z dzika, którą zaczął żarłocznie pochłaniać.

Wtedy na środek wyszedł Halvor.

– My, jomswikingowie, musimy znać twoją odpowiedź – zaczął, a mówił tak głośno i wyraźnie, że wszyscy w halli go słyszeli. Stanął przed stołem Svena. – Czy zapłacisz jomswikingom za ochronę? Czy obiecasz, że siedzący tam Sigvalde... – Skinął głową w kierunku Sigvaldego, który znalazł sobie miejsce przy jednym ze stołów. Sigvalde podniósł się z ławy, chwyt za gardło najwyraźniej go nie poskromił. Miał w oczach tyle złości, że nie zdziwiłoby mnie, gdyby padły z nich błyskawice samego Thora.

– Czy obiecasz, że odmówisz mu statków i ludzi i zostawisz Jomsborg w spokoju? I czy pozwolisz nam stąd odpłynąć z Sigurdem Buesonem i jego załogą?

Sven kręcił głową, przeżuwał, wreszcie przełknął tłusty kawał mięsa, wziął potężny łyk piwa, po czym skierował swoje małe, głęboko osadzone oczy na Halvora.

– Nie, tego nie obiecuję. Za to mogę obiecać, Halvorze Włóczęgo, że Sigurd Bueson i jego załoga pozostaną moimi jeńcami dopóty, dopóki Torkjell i jego ludzie nie zostaną



uwolnieni.

Nagle doszło do mnie, że zarówno Vagn, jak i Halvor musieli się spodziewać takiej odpowiedzi. Dlaczego miałyby zgodzić się na takie żądania, samemu mając jeńców do wykorzystania w pertraktacjach.

– Jeśli Sigurd Bueson zostaje, to również nikt z nas się stąd nie ruszy. My, jomswikingowie, nie porzucamy naszych towarzyszy broni... – Halvor skrzyżował ręce na piersi i wbił wzrok w Sigvaldego – u wroga.

Sven napił się z rogu.

– Ciasno wam będzie w tamtym długim domu. Będziecie musieli spać w nogach, z paluchami innego chłopca zaplątanymi w waszą brodę.

Halvor nie odpowiedział, stanął na nieco rozstawionych nogach i sprawiał wrażenie jeszcze bardziej odważnego i nieugiętego. Zauważyłem, że stoi butami we krwi, która spłynęła na klepisko.

– Niech tak zatem będzie – rzekł Sven. – Ale musicie posłać jednego z waszych do Jomsborga z moimi żadaniami: uwolnicie Torkjella. I nie będziecie mnie czynić odpowiedzialnym za postęпки Sigvaldego.

– Możemy posłać jednego z nas – odrzekł Halvor. – Nie więcej.

Gdy Halvor, odwróciwszy się, wskazał na mnie, spadł mi kamień z serca, choć szczególnie mnie tym nie zaskoczył. Byłem najmłodszy z załogi, a Halvor wiedział, że potrafię w pojedynkę poprowadzić łódź.

– Chłopak może płynąć. Zwie się Torstein Tormodsen.

Sven odstawił róg.

– W takim razie zdecydowane. Niech ktoś wyprowadzi dzieciaka i da mu byrding. Jedzenie musi sobie sam zdobyć. Wy, jomswikingowie, żrecie tyle, co konie, i sracie też tyle, co one... – Zarechotał z dowcipu, wziął kolejny łyk z rogu i ponownie skupił uwagę na pieczonej dziczyźnie. – Usiądź na swoim miejscu, Halvorze. Mam was powyżej dziurek w nosie, wszystkich. Zamknąć się, bo was wszystkich poślę bogini Hel.

To były ostatnie słowa, jakie wypowiedział, zanim wpakował sobie do gęby kawał mięsa. Poczułem na ramieniu czyjąś ciężką dłoń. Należała do jednego z członków hirdy, który mruknął, że mam iść za nim. Halvor kiwnął głową, pewnie uważał, że tak musi

być. Wszedłem za drużynnikiem z halli i podążając za nim, opuściłem gród. Gdy zszedłszy nad brzeg rzeki, ruszyliśmy w górę jej biegu, panował już mrok i świerszcze grały tak głośno, że ledwo usłyszałem drużynnika, który wskazując palcem w kierunku rzeki, oznajmił:

– Ten.

To wszystko, co powiedział przed powrotem do fortu. Postąłem przez chwilę na przystani, a potem wszedłem na pokład byrdinga, odzepiłem cumy, wysunąłem wiosła i zacząłem wiosłować.



## 23

### Zima w Jomsborgu

**Z**ulgą zostawiłem za sobą Trelleborg i grozę tamtego miej sca. Wiosłowałem w ciemnościach, ale już o świcie napotkałem zachodni wiatr i pożeglowałem aż na południowy koniec Zelandii. Tam zaskoczył mnie deszcz, zwinąłem więc żagiel i chwyciłem za wiosła, łapiąc przy okazji deszczówkę. Wokół trzonka siekiery okręciłem lniany sznurek, na którego końcu uwiązałem haczyk, niejeden taki wystrugano w Jomsborgu podczas długich wieczorów. Wiosłując, ciągnąłem za sobą rozwinięty na całą długość sznurek z przyczepionym do niego kawałkiem rozgniecionej mały, którą znalazłem na piaszczystej łasze. Tym sposobem unikałem schodzenia na ląd i mogłem po drodze łowić ryby.

Nie odczuwałem potrzeby wyrwania się, jak to było wcześniej. Wiosłowałem z całej siły nie tylko dlatego, że w Jomsborgu miałem brata. Halvor i pozostali uwięzieni w Trelleborgu ufali mi. Ufali, że opowiem o odwadze, jaką się wykazali. Bo jeśli dojdzie do egzekucji, moje słowa sprawią, że zapamięta się ich jako bohaterów.

Podczas tej podróży wiało rzadko, za to często napotykałem niesprzyjające prądy. Pamiętam, że spoglądałem na przepływające nade mną chmury i miałem nadzieję, że uda mi się wypatrzeć Thora, potężnego woja z bujną rudą brodą, uderzającego z hukiem w burzę swego wozu. Ale czy naprawdę wierzyłem w te stare opowieści? Może były to tylko wymyślone historyjki. Wciąż jeszcze niewiele wiedziałem o tym, jak chrześcijanie będą wykorzystywać to zwątpienie, ogarniające każdego z nas, by rozprzestrzeniać wiarę w swego boga i jego syna, Białego Chrysta. Wciąż jeszcze trwałem w błogiej nieświadomości tego, że przyjdzie mi ujrzeć stary świat rozsypujący się na moich

oczach i być świadkiem początków ery Białego Chrysta. Czułem jednak, że moja misja ma znaczenie, i rozumiałem, że znalazłem się w środku bitwy toczonej przez potężnych mężów. Być może myślałem sobie, przypatrując się martwej fali, że nie ma od tego ucieczki, że to jest właśnie los, który uprzedły mi Norny. Nie traciłem zatem czasu na odpoczynek. Spałem tylko przez krótkie chwile, schodziłem na ląd tylko po to, by zaczerpnąć wody z potoków i ujść rzek i tylko wtedy, gdy byłem do tego zmuszony. Nie pozwoliłem, by cokolwiek mnie opóźniało w drodze do domu, do Jomsborga.

– Niech go Hel porwie! – zawołał Vagn, kiedy wpłynąłem do portu. Stał na skraju pomostu z Aslakiem i Torgunn i zanim zdążyłem wyrzec słowo, odwrócił się i odszedł. Został tylko Aslak, więc powiedziałem, że Sven uwięził Halvora i całą załogę, że był tam także Sigurd Bueson. Powiedziałem o oświadczeniu Svena, że niepotrzebna mu ochrona jomswikingów, że Jomsborgowi nie będzie się płacić... Gdy mówiłem, Aslak kręcił głową, po czym także odwrócił się i odszedł.

Nie rozmawiali ze mną więcej. Tego samego wieczoru Vagn wyjechał, zabierając ze sobą psy. Mówiono, że pojechał na polowanie i nieprędko wróci.



Siedem dni później rozszalała się wichura, przygniotła zboże do ziemi i zerwała dach z kurnika na północnym krańcu twierdzy. Po wichurze przez pięć dni i nocy trwała ulewa, zanim mgła otuliła gród, wydmy i okoliczne lasy. Od tych, którzy już wcześniej doświadczyli tutejszych zmieniających się pór roku, dowiedziałem się, że to jesień. Tym razem nadeszła wcześniej, co zawsze zwiastowało mroźną zimą. A zimy w krainie Wendów nie są łagodne, jak to my, Norwegowie, sobie wyobrażamy. Lód może skuć całą Bałtyk, a pokrywa stać się tak gruba, że armia suchą nogą przejdzie na ziemię Olofa Skötkonunga.

Moje obowiązki w Jomsborgu nie uległy zmianie. Ćwiczyłem walkę duńskim toporem codziennie przed posiłkiem w środku dnia, potem szliśmy z Bjørnem na podwórze skutników, gdzie pracowaliśmy przy nowym statku. Aslak dowiedział się, że miałem jakieś pojęcie o sztuce kowalskiej, więc pewnego dnia zaprowadził mnie do

jednej z kuźni płatnerza, gdzie czekał na mnie Ulfar Oracz. Z Oracza był żaden płatnerz, ale uważał, że skoro potrafiłem kuć, to powinienem sobie wykuć własny topór, i miał swoje zdanie na temat, jak ten topór powinien wyglądać. Na kowadle położono kawałek żelaza. Włożyłem go do paleniska i po dłuższej chwili zacząłem nad nim pracować, a Oracz przysiadł na zydlu pod ścianą i nie spuszczał ze mnie wzroku.

Od tego momentu spędzałem większość dnia w kuźni. Vagn miał powrócić lada dzień z polowania, podczas którego gruntownie przemyślał słowa Svena Widłobrodego, jakie mu przekazałem. Przez chwilę myślałem, że każe ściąć Torkjella i jego ludzi, ale przecież wiedział, że duński król odpłaciłby się tym samym. W końcu Vagn postanowił, żeby wszystko zostało tak, jak jest; teraz obie strony trzymały jako zakładników ludzi swojego wroga i musiały ich wykarmić. Bo ci nie mogli cierpieć biedy. Hovding, który głodziłby zakładników, byłby godny pogardy i pozbawiony honoru. Ponadto wśród załóg Torkjella byli dawni jomswikingowie, więc przeniesiono ich do domów, gdzie przedtem mieszkali. Wciąż widywałem Torkjella z Aslakiem i miało się wrażenie, że są starymi przyjaciółmi. Ten zazwyczaj tak poważny Aslak rechotał z opowieści Torkjella bez względu na to, czego dotyczyły.

Na zrobieniu duńskiego topora zeszły mi dwadzieścia dwa dni, osiemnaście na głownię, cztery na drzewce. Jeden z kowali, czarnobrody Wend o dziwnym imieniu Ville Borre, pokazał mi, jak rozkuć żelazo na długość i jak przygiąć je wokół żerdzi, tak by zrobić miejsce na trzonek, zanim ono stężeje. Samo ostrze było trudną do spamiętania liczbę razy rozkuwane na płasko i ponownie składane, zanim udało mi się uzyskać znajomy kształt z brodą i łukowatym ostrzem. Nasadziłem głownię na żerdź i testowałem ją wielokrotnie. Oracz wciąż nie wyglądał na usatysfakcjonowanego, musiałem więc wracać do kuźni i wkładać głownię w żar paleniska. Widział, w jaki sposób się poruszam, a ponieważ utykałem podobnie jak on, topór miał zaradzić temu, że moje nogi były wolniejsze niż u innych mężczyzn. Dlatego ostatecznie wykułem płaską, dość lekką głownię, a brodę zakończyłem ostrym kolcem. Ponadto nasadziłem grot włóczni na koniec trzonka. Wpadł mi taki pomysł do głowy, ale Oracz stwierdził, że nie byłoby to mądre, gdyby komuś udało się uchwycić mój topór i pchnąć mnie trzonkiem w pierś. Krawędź tak naostrzyłem, że mógłbym nią ściąć włosy na męskim przedramieniu, a drzewce wykonałem z gładkiego kawałka wiązu bez sęków. Czubek

drzewca zabezpieczyłem klinem, by głownia nie spadła, całość zaś nasmarowałem olejem lnianym.

Gdy pracowałem nad toporem, dowiedziałem się, że Halfdan Halla postanowił nie żądać zapłaty za ukradzione źrebię. Pewnie uważał, że posłanie mnie do króla Danów było wystarczającą karą. Tym sposobem stałem się właścicielem kulawego źrebaka, a Eystein Pierdziuch dbał, by zwierzę miało dość siana i by niczego mu nie brakowało. Zaglądałem do niego co rano w drodze na trening, a potem z wieczoru. Obrzęk na przedniej nodze zszedł, gdy mnie nie było w twierdzy, a na wybiegu źrebak nie kulał już tak bardzo. Zdaniem Eysteina na wierzchowca nigdy nie będzie się nadawał, ale jeśli dorośnie, może nada się na zwierzę pociągowe. Nazwałem go Vingur, co oznacza „ten, który pochodzi z Vingulmorku”, chociaż źrebak wcale stamtąd nie pochodził. Ja jednak tęskniłem za półwyspem z ojczystych stron. Rozmyślałem o tym, że powrócę do domu, zabiorę ze sobą źrebię i pogalopuję lasem, którym wędrowałem jako dziecko, między dębami i starymi cisami.

Wieczory stopniowo pociemniały, a budząc się pewnego bezwietrznego poranka, zobaczyliśmy świeży śnieg. Stopniał w promieniach wspinającego się nad horyzont słońca, ale oczywiste dla mnie było, że zima jest już blisko. Wkrótce lód skuł basen portowy i unieruchomił statki. Późna jesień była jednak dobrym czasem w Jomsborgu. Ulice i dziedzińce między domami ogarniał spokój, bo jomswikingowie nie ruszali na wyprawy o tej porze roku. Brodate twarze obracały się ku wyblakłemu słońcu i nie było ani jednego męża, który by nie dziękował Odynowi za kolejny przeżyty rok.

Świetnie pamiętam tamte dni. Gdy budził cię rano stukot krzesiwa uderzającego o krzemień, a do nozdrzy dolatywał zapach dymu z paleniska, mogłeś się odwrócić na bok, czując ciepło przylegającego do ciebie psiego ciała, słyszałeś ciche rozmowy, pokaśływanie, odgłos ziaren wsypywanych do kotła. Zazwyczaj wolno nam było wylegiwać się tak długo, aż kasza jęczmienna była gotowa, a mogliśmy jej nabierać i dwie, i trzy porcje. Vagn dbał, by żaden jomswiking nie głodował, i mówiono, że chce nas widzieć tłustszych wiosną niż jesienią.

W tym czasie w Jomsborgu roznosił się specyficzny zapach, którego nie spotkałem w żadnym innym miejscu. W każdym skupisku ludzkim zawsze będzie panował smród,

odór końskich odchodów i moczu, zabijanych przez rzeźnika zwierząt i ludzkiego potu. Tworzy się smród przenikający wszystko, nawet noszone przez ciebie ubranie. Ale w Jomsborgu, po nadejściu mrozów, miało się wrażenie, że woń tę zatrzymuje zmarznięta gleba, a zastępował ją czysty, suchy zapach wyschniętych polan brzozowych, które przynosiliśmy do domów. Pewnego poranka, musiało to być dwie pełnie księżyca po moim powrocie od króla Danów, zamarzył basen portowy i to również dało się wyczuć. Znikł zapach wodorostów, mały, stojącej morskiej wody. Wszystko to przykrywała cienka warstwa lodu, po którym dreptały mewy, krzyżąc i zawodząc.

Myślami biegłem do Halvora i reszty naszych, którzy zostali u Svena. Jomsborgczycy chcieli wiedzieć, co zaszło u szalonego króla, a ja im o tym opowiadałem niezliczoną liczbę razy. Mówiłem o wszystkim, opowiedziałem o niewolniku przywiązany do stołu i o całej reszcie. Jostein Karzeł był zdania, że w Svenie zamieszkało szaleństwo, ominęło ono ojca, Sven odziedziczył je po dziadku. Gorm mu było. Powiadano, że to on zaczął budowę Danevirke, że jego syn, Harald Sinozęby, po prostu zakończył to, co rozpoczął ojciec. Żona Gorma, Tyra, której imię dano siostrze Svena, zobaczyła we śnie Białego Chrysta wędrującego na północ ku bezdrożom Jutlandii, odzianego w splamioną krwią szatę, która wlekła się po ziemi. Wieść niesie, że po tym śnie Gorm nakazał, by wszyscy niewolnicy w kraju zostali użyci przy budowie, a tym wolnym ludziom, którzy nie ofiarowali swoich niewolników na ten cel, zdzierano z pleców skórę, obcinano ręce i wyrywszy na nich imię winowajcy, wysyłano Gormowi.

Ćwiczenia z toporem nie ustawały. Oracz powiedział, że trening potrwa do wiosny, może dłużej. Moim zdaniem byłem w tym już dobry; nie istniał taki manewr, z którym bym sobie nie poradził. I właśnie, gdy stojąc wśród wydm, miałem poinformować Oracza, że już się wyuczyłem, olbrzym skinieniem dłoni kazał mi iść za sobą. Zeszliśmy do portu, weszliśmy do mojego byrdinga, tego, którego zbudowałem, kiedy razem z Bjørnem uciekaliśmy od Olafa. No cóż, na łądzie potrafiłem posłużyć się toporem, ale kiedy fale rozhuśtają pokład pod moimi stopami, a strzały zaśpiewają mi nad uchem... To coś zupełnie innego.

Lód skrzypnął, po czym pękł, gdy Oracz, usadowiwszy się na dziobie, zaczął bujać

kadłubem z boku na bok. Musiałem postawić jedną stopę na środkowej ławeczce, a drugą na krawędzi nadburcia. Po krótkim czasie, wpadając do morza, odkryłem, że nie dość brałem sobie do serca słowa Oracza, gdy przypominał, bym utrzymywał ciężar ciała w nogach. Wywijając rękami, utrzymywałem się na powierzchni między krami, podczas gdy Oracz snuł opowieść o tym, jak morze zabiera więcej ludzkich istnień niż topór i miecz, a ten wiking, który chciałby żyć długo i zdobyć sławę, powinien nauczyć się wyczuwania fal w każdych warunkach. Stojący na brzegu pomostu Jostein Karzeł świetnie się bawił.

Od tego dnia trenowaliśmy na pokładach okrętów i w małych byrdingach. Nauczyłem się, jak za pomocą duna ratować się z morskich odmętów, zahaczając brodę topora o nadburcie, a następnie podciągając się na trzonku. Nauczyłem się też, jak trzymać topór bliżej główki w chwilach, gdy walka staje się coraz bardziej zacięta. Dowiedziałem się, jak podciąć przeciwnikowi nogi, uderzając w okolice kolana, stanąć na nim i w ten sposób znaleźć się na tyle wysoko, by zakręcić toporem nad głowami walczących. Pojąłem, że moja kulawa noga wcale nie była taką wielką wadą, jak wcześniej sądziłem, bo w czasie bitwy toczony na morzu pokłady tak się zapełniały, że gdyby nawet tarcza wysliznęła ci się z ręki, to podtrzymałyby ją tłoczące się wokół ciebie ciała. Nas, toporników, wysyłano często tam, gdzie walczone w największym zagęszczeniu, wyjaśniał Oracz. Do naszych zadań należało oczyszczanie pokładu i robienie miejsca innym jomswikingom. Dźgając saksem, kładliśmy wokół siebie tyłu wrogów, ilu trzeba było, by zrobić sobie dość miejsca na zamach toporem, a następnie oczyszczaliśmy przestrzeń na sześć stóp wokół siebie. Dużą odpowiedzialność złożył Vagn na moje młode barki, uważał Oracz. I będzie to wymagało ode mnie wielkiej odwagi. Vagn jednak nigdy nie mylił się w ocenie ludzi.

Jeśli sądziłem, że trening dobiegał końca, to w większym błędzie być nie mogłem. Teraz polecono mi wziąć ze sobą łuk, napęścić kołczan i po południowym posiłku stawić się przy wale. Tam spotkałem Bjørna i wielu innych. W piasek wetknięto żerdzie, miały wysokość człowieka i umocowany poprzecznie krótki kij. W pierwszych treningach uczestniczył sam Aslak. Większość była dobrymi łucznikami, bo nie znalazłeś tam człowieka, który już jako dziecko nie potrafiłby polować. Lecz gdy Aslak



zaczynał na nas krzyżeć, miało się wrażenie, że strzały uzyskiwały wolną wolę, zbaczały i nie trafiały w poprzeczny kij. I tak to się miało odbywać. Uczyliśmy się celować, kiedy bito nas pałkami po plecach, kiedy mężczyźni wokół nas uderzali klingę o klingę. Kij po jakimś czasie zastąpiono workiem podwieszonym na linie, do którego przyczepiono długi rzemień, tak że worek można było przesuwac. W ten sposób nauczyliśmy się strzelać do ruchomego celu.

Już wcześniej wiedziałem, że jestem całkiem niezłym łucznikiem. Jeszcze jako mały chłopiec usłyszałem to z ust ojca. Wkrótce okazało się, że mam pewniejsze oko niż dużo bardziej doświadczeni jomswikingowie, co nie uszło uwadze Aslaka. Pewnego dnia przyprowadził Vagna i razem przyglądali się, gdy strzelałem do worka.

– Strzelasz niczym sam Vidar<sup>25</sup> – powiedział Vagn. – Zajmiesz pozycję strzelca.

Następnego dnia spadło tyle śniegu, że trudno było się poruszać po ulicach. Odkomenderowano nas do odśnieżania i sporą część śniegu wywieźliśmy taczkami, wysypując go na wydmach. Zanim minął dzień, uprzątnęliśmy śnieg z ulic i dziedzińców oraz wokół każdego statku w porcie. Kolejnego dnia przyszło ocieplenie, śnieg zaczął topnieć, z dachów kapało, a ulice wypełniło błoto. Wieczorem nadpłynęły chmury, wszystko na nowo zamarzło, pokrywając się cienką warstwą lodu. Niosąc z drewnutni polana, pośliznąłem się i uderzyłem w biodro. Być może wstyd mi było z powodu kulawej nogi, bo gdy się w końcu pozbierałem, wolałem nie wracać do domu. Zamiast tego pokuśtykałem z powrotem do drewnutni i tam w mroku przysiadłem na jakimś pniaku w głębi szopy. Fenrego ze mną nie było, wygrzewał się z innymi psami przy palenisku. Pewnie podrzucano mu kawałki słoniny i solonych kości; stał się ulubieńcem całego domu.

Siedząc i rozmasowując biodro, zauważyłem jakąś postać na ulicy. Na drodze jeszcze nie było całkiem ciemno dzięki latarni z żarem wiszącej o jakiś rzut kamieniem od drewnutni. Dlatego udało mi się wypatrzeć przez otwarte drzwi szopy, że tą postacią była Torgunn. Otuliła się płaszczem, na głowie miała kaptur, lecz kobiety chodzą inaczej niż mężczyźni, poruszają biodrami, stawiają lżej stopy. A ponieważ w Jomsborgu nie było innych kobiet, nie miałem wątpliwości. To musiała być ona.

Początkowo się nie zdziwiłem. Torgunn chodziła swobodnie po całej twierdzy, może

miała coś do załatwienia w porcie. Może ojciec posłał ją do spiżarni na palach po solone mięso lub podpłomyki. Zatrzymała się tuż przy naszym domu i uchyliła drzwi. Nie weszła jednak do środka, zostawiła je uchylone i poszła dalej w dół ulicy.

Ani drgnąłem. Odgłos jej kroków dobiegał mnie jeszcze przez chwilę, powoli słabł, aż pochłonął go gwałtowny podmuch wiatru uderzającego o dachy domów. Wtedy pojawiła się inna postać, też ukryta pod płaszczem i kapturem; jakiś mężczyzna wyszedł z naszego domu i podążył w dół ulicy.

Byłem wówczas zbyt młody. Gdybym tylko pojął, wybiegłbym i powstrzymał to wszystko. Zamiast tego siedziałem w drewni jak mysz pod miotłą, aż odgłos kroków podpowiedział mi, że mężczyzna odszedł już na sporą odległość. Wyśliznąłem się na zewnątrz. Zauważyłem człowieka w płaszczu, był przy pomostach w porcie. Kobiety nie widziałem. Mężczyzna wyszedł na lód i ostrożnie skierował kroki ku jednemu z największych statków, gdzie chwycił przerzuconą przez nadburcie linę i wciągnął się na górę. Zamarł na chwilę i rzucił badawcze spojrzenie w stronę długich domów, a następnie ku portowej bramie, po czym opuścił się przez luk pod pokład.

Zszedłem ku nabrzeżu. Ten langskip był typem statku rzadko widywanym na północy, miał ławy dla wiosłarzy pod pokładem. Wiosła wyjęto; od dziobu do rufy biegły dulki w dwóch rzędach. Stojąc na lodzie, miałem je na swojej wysokości, więc mogłem przez otwory na wiosła zajrzeć do środka. Podeszedłem niepewnie do statku i usłyszałem odgłos uderzeń krzesiwa o krzemień, ktoś w środku rozpałał ogień.

Kiedy znalazłem się przy kadłubie, dobiegł mnie jej głos.

– Zimno – szepnęła.

Odpowiedziało jej milczenie, słyhać było jedynie kolejne stuknięcia krzemienia. Potem usłyszałem, że ktoś dmucha. Gdy zajrzałem przez dulkę, miałem kobietę tuż przed sobą. Trzymała w ręku płaszcz, a pod jej stopami leżała wyprawiona barania skóra. Mężczyzna podniósł się z ziemi, był odwrócony plecami. Trochę zgarbiony dmuchał w dłoń, w której trzymał hubkę; zerkając przez jego ramię, widziałem, jak dociska hubkę do łuczywa. Łuczywo zapłonęło, a mężczyzna włożył je do misy paleniskowej. Wyprostował się, zdjął płaszcz z kapturem, ale wciąż stał do mnie tyłem i nie mogłem go rozpoznać. Torgunn była ubrana w brązową suknię ze sznurowaniem na ramionach. Kiedy rozwiązała sznurówki, suknia osunęła się z niej i kobieta stała

naga w migotliwym świetle. Patrzyłem na jej wąskie ramiona, sterczące piersi z pączkami i jej ręce, blade i wąskie, którymi obejmowała brzuch. Wtem stanęła bokiem i wypięła brzuch, wyginając plecy.

– Widzisz?

Mężczyzna milczał.

– Jeszcze dwie pełnie księżyca, może trzy. Wtedy się już tego nie ukryje.

Mężczyzna zdjął tunikę i podszedł do Torgunn. Położył dłoń na jej policzku i przyciągnął ją do siebie. Pocałowali się. On wciąż był odwrócony plecami.

– Co zrobimy, gdy będzie widać? – Torgunn obejmowała nagie plecy mężczyzny i całowała go w szyję. – Co zrobimy, gdy ojciec zauważy?

Nie doczekała się odpowiedzi. Zamiast tego mężczyzna rozluźnił pas, spodnie opadły wokół kostek i oboje stali teraz nadzy naprzeciwko siebie.

– Zimno – powiedziała.

– Ogrzeję cię.

Znałem ten głos. I być może wzdrygnąłem się, bo nagi mężczyzna uniósł głowę, jakby nasłuchiwał. Obrócił się częściowo w moją stronę. To był Bjørn.

– To wiatr. – Torgunn przyłgnęła do niego. Pociągnęła go w dół, na baranicę. Legła na plecach, oplatając nogami jego biodra i szczupłą kobietę zakryły szerokie plecy Bjørna.

Odwróciłem wzrok. Słyszałem jęczenie Torgunn i szelest poruszających się ciał.

Następnego dnia nie odezwałem się do brata. Czułem się tak, jakby to, co widziałem, się nie wydarzyło; to musiało mi się przyśnić. Bo czy Bjørn, mój jedyny brat, mógł być aż tak szalony, żeby sypiać z córką Vagna, a nawet zrobić jej dziecko? Tego było zbyt wiele jak dla mnie.

Dzień rozpoczęliśmy zapasami, odśnieżono obszerny plac pośrodku dziedzińca. Bjørn znów miał to znane mi spojrzenie, widać było, że coś go dręczy, unikał patrzenia ludziom w oczy, a bruzda między brwiami świadczyła o zatroskaniu. Tak wyglądał przez dużą część czasu spędzonego w twierdzy. A ja, głupiec, nie rozumiałem dlaczego. Teraz korciło mnie, by zapytać, od jak dawna to trwa i co zamierzają zrobić, gdy Vagn się dowie, że córka oczekuje dziecka.

Tego poranka treningowi przyglądali się Oracz z Aslakiem i nie musiałem długo czekać, by moim przeciwnikiem został Bjørn. Potykaliśmy się wcześniej, tam skąd pochodzę, wszyscy chłopcy rywalizowali w zapasach. Od najmłodszych lat Bjørn dobrze sobie radził, ponieważ był silny i gibki. Jak dotąd nikomu nie udało się go pokonać. Aslak wytłumaczył nam, że glima, jak nazywaliśmy zapasy, mogła nam uratować życie na polu walki. Jego zdaniem w każdej bitwie można było wyróżnić trzy etapy. Najpierw walczyliśmy z łukiem w ręku, usiłując na odległość zabić tyłu, ilu się tylko dało. Potem szło się na wroga z mieczem, toporem i tarczą. W końcu, gdy na polu walki robiło się tak gęsto, że nie było już miejsca, by zamachnąć się bronią, nasze umiejętności zapaśnicze mogły zadecydować, czy przeżyjemy, czy też zostaniemy wzięci do złotej halli Wszechojca.

Jak wspomniałem, Bjørn był świetnym zapaśnikiem. Swego czasu widziałem, jak wygrywał po kolei ze wszystkimi synami naszego gospodarza. Co więcej, pewnego razu walczył przeciwko dwóm naraz. Jednak tego poranka wydarzyło się coś, co nigdy przedtem nie zaszło. Bjørn został powalony na ziemię, i to przez rodzzonego brata.

Pojedynek zaczęliśmy od chwycenia przeciwnika w pasie, a Bjørn pewnie sądził, że podniesie mnie w górę i rzuci na stertę śniegu usypaną na obrzeżu zapaśniczego ringu, na tyle mocno, by wszystkim pokazać, że to on jest silniejszy. Pewnie bym na to poszedł, jak zwykle, będąc spokojny o to, że dźwignie mnie i rzuci w taki sposób, bym nie ucierpiał. Lecz tego poranka przepełniała mnie złość, miałem ochotę wykrzyknąć mu, że widziałem, że wiem, co wyprawia. Gdy mnie dźwignął, szykując się do rzutu, docisnąłem przedramieniem jego gardło. Bjørn rozluźnił uchwyt, charcząc, zatoczył się do tyłu, a na mnie jakby sam Odyn zesłał opętanie, bo doskoczyłem do niego i chwyciłem go w pasie, by nim rzucić. Zareagował, podcinając mnie uderzeniem pod kolano od tyłu. Upadłem na plecy, pociągając go za sobą. Podnieśliśmy się. Wokół nas zgromadzili się pozostali. Słyszałem: „Tormodsonowie walczą... Patrzcie na nich...”.

– Poddaj się – syknął Bjørn, po czym rzucił się na mnie.

Uskoczyłem w bok, lecz kulawa noga nie zareagowała dość szybko i Bjørn ponownie sięgnął mego kolana od tyłu, przewracając mnie na plecy. Był górą, siadł mi okrakiem na piersi, przydusił szyję łokciem.

– Torstein, poddaj się. Co z tobą?

Walnąłem go w twarz. Cios był silny, z nosa pociekła krew. Bjørn przewrócił się na bok, a ja oswobodziwszy się, przygwoździłem go do ziemi i chciałoby się rzec, że to był koniec, ale brat zrzucił mnie z siebie i znowu się zerwaliśmy. Bjørn splunął krwią i z niedźwiedzią siłą chwycił mnie w pasie, ja zaś odpowiedziałem tym samym, więc staliśmy, zaciskając chwyt coraz mocniej i mocniej. Była to próba siły, znana wszystkim ówczesnym mężczyznom, i brat pewnie sądził, że z nas dwóch to wciąż on ma więcej krzepy. Lecz moje ręce stwardniały i pogrubiały, a tors stał się masywny i umięśniony.

– Koniec – warknąłem. – Koniec z tym.

W odpowiedzi Bjørn zacieśnił chwyt, a z głębi jego piersi wydobył się głęboki pomruk.

Aslak pewnie słusznie postąpił, wpychając pałkę między nas, jakbyśmy byli dwiema zespolonymi deskami, które trzeba rozdzielić.

– Chyba już wystarczy – stwierdził. – Rozluźnijcie uścisk, zanim powyduszącie z siebie bebechy.

Bjørn puścił pierwszy, a ja po czasie uświadomiłem sobie, że tego poranka to on okazał się mądrzejszy.

– Mój brat stał się silny! – krzyknął i wszyscy to usłyszeli. – Szczęściarzem ten, kto stanie z nim ramię w ramię, gdy zaśpiewają miecze i zagwiżdżą strzały!

Używanie takich słów było niepodobne do Bjørna, brzmiał niczym skald. Jednak wszyscy dookoła przytakiwali i szeptali, że to prawda, a Oracz podszedł i huknął mnie w ramię potężnym łapskiem.

Przez kolejne dni prawie nie widywałem brata. Wstawał wcześniej, przydzielono mu pracę u Halfdana Halli. Domyśliłem się, że Aslak postanowił nas rozdzielić, bo my, jomswikingowie, w zasadzie nigdy nie wykonywaliśmy żadnych prac dla okolicznych gospodarzy. Teraz jednak Bjørn obciosywał deski w gospodarstwie, ponieważ wichura zniszczyła jeden z domów zamieszkiwanych przez niewolników, a Halfdan miał już dość widoku służby koczującej w reprezentacyjnej halli. Wieczorami Bjørn był wykończony i milczący. Zjadał posiłek na uboczu, a gdy reszta z nas gromadziła się wokół ognia i nastawał czas ulubionych opowieści o bitwach, w których polegli

przyjaciele, o krajach, gdzie pozostały nałożnice i ukochane, on wślizgiwał się pod koce i zasypiał. Tak było przez osiem dni, ale dziewiątego dnia Bjørn był jakby odmieniony. Pochłonął w pośpiechu kawałek wieprzowiny, nawet nie zdjawszy butów, po czym mruknął, że ma coś do załatwienia i musi wyjść.

Tego wieczoru sypał śnieg. Wymknąłem się na zewnątrz i spostrzegłem brata znikającego w zamieci, szedł spiesznie w stronę portu, stawiając długie kroki. Jeszcze przez chwilę słyszałem ich odgłos, po czym rozplynęły się i wszystko ucichło. Miałem ochotę pobiec za nim. Zamiast tego odgarnąłem śnieg z przydomowej ławki, usiadłem, a Fenre wybiegł z domu i wskoczył mi na kolana.

Znów usłyszałem kroki, skrzypiał śnieg. Nadchodziła Torgunn, zauważyłem długie jasne włosy wymykające się spod kaptura. Być może poszłaby dalej, bo niełatwo było mnie w ciemnościach zauważyć, ale Fenre zeskoczył z kolan i podbiegł do kobiety. Nie pochyliła się, by go pogłaskać, tylko podążyła wzrokiem po jego śladach, ku ławce, gdzie siedziałem.

– Torsteinie Tormodsonie – odezwała się. – Czy to ty?

– Tak – potwierdziłem.

Torgunn otuliła się szczelniej płaszczem.

– To ciebie nazywają Szkutnikiem, prawda?

– Tak, mnie.

Kobieta ukucnęła i pogłaskała Fenrego po grzbiecie.

– Głupi chyba nie jesteś?

– Mam nadzieję, że nie.

– Więc rozumiesz także, o czym można mówić, a o czym trzeba milczeć.

– Tak. – Skinąłem głową i spuściłem wzrok, bo poczułem się jak smarkacz, którego obsztorcowano.

To były sprawy dorosłych, a mnie nic do tego. Torgunn ruszyła dalej i wkrótce zniknęła mi z oczu w śnieżnej zamieci.

Nie znalazłem w sobie dość odwagi, by pomówić o tym z bratem. Przydzielono mi pracę w kuźni; w tym czasie Bjørn zajmował się ociosywaniem desek u Halfdana Halli. Oracz niestrudzenie szkolił mnie w walce na topory, a tego dnia właśnie ćwiczyliśmy na

lodzie, gdzie moja kulawa noga przeszkadzała mi w utrzymywaniu się w pionie. Na dodatek Oracz zaczął na mnie pokrzykiwać, podobnie jak to czynił podczas strzelania z łuku. Wyśmiewał się z mojej nogi, co nie do końca brzmiało szczerze, bo przecież sam także utykał. Znalazł jednak słowa, które sprawiły, że straciłem panowanie nad sobą. Kazał mi odłożyć topór, staliśmy na lodzie, ciężko oddychając, a on zapytał o mego ojca. Jakim był mężczyzną i jak zginął? Wiedział, że mój ojciec nie żyje. Gdy wyjaśniłem, że zginął z rąk ludzi Olafa, tych samych, którzy pojмали mnie i zrobili ze mnie niewolnika, kazał mi ponownie wziąć broń do ręki. Nagle ryknął, że jestem przeklętym nędznikiem, który nie stanął do walki u boku ojca, gdy nadeszli ludzie Olafa. Ogarnęła mnie wściekłość, zaatakowałem go toporem, ale robiłem zbyt duże wymachy i po chwili Oracz uderzył mnie po palcach, a topór wyśliznął mi się z rąk.

– Nie ma nic złego we wściekłości – wyjaśnił. – Przyda ci się. Ale nigdy nie wolno stracić panowania nad sobą, bo wówczas zginiesz.

Wziąłem sobie do serca radę Oracza. Przypuszczałem, że Vagn ma w planach wyprawę, gdy tylko lody puszczą. Nieraz widywałem go w porcie razem z Aslakiem, któremu pewnie dokuczał chłód, bo bywało, że dłonią osłaniał kikut. Niekiedy towarzyszył im Torkjell Wysoki i miało się wrażenie, że z czasem stał się jednym z wiernych ludzi Vagna. Zagadnąłem o to Josteina. Jego zdaniem Torkjell nie miałby nic przeciwko, żeby ponownie znaleźć się w szeregach jomswikingów. Na służbie u Svena nie było najlepiej z łupami, bo Widłobrody zagarniał większość dla siebie. Brat nie był mu zbyt bliski. Jostein nieraz widział na własne oczy, jak rzucali się na siebie z pięściami, zwłaszcza gdy razem popili.

Wstyd mi się zrobiło z powodu tej walki zapaśniczej z Bjørnem i powiedziałbym bratu, że mi głupio, ale nie było go tego wieczoru w domu.



Dni mijały, zbliżał się czas złożenia zimowej ofiary, *vintersblot*. Opowiadano o nas, że jomswikingowie co rok ofiarowują niewolnika na głównym dziedzińcu Jomsborga, ale to kłamstwo. Żaden jomswiking nie ma więcej, niż mógłby przytroczyć sobie do pasa, nie było zatem żadnych niewolników, których moglibyśmy złożyć w ofierze. Halfdan

Halla składał ofiary, wiedziałem o tym dobrze, bo przecież wyratowałem konia z takiej opresji, ale w Jomsborgu nie przypodobywano się bogom ofiarami z mężczyzn, kobiet, dzieci lub ze zwierząt. Jednak tamtejsza zimowa ofiara miała niezwykły przebieg. Wszyscy zebraliśmy się na placu, każdy naciął kciuk mieczem lub toporem, a następnie zrobiliśmy krwawy odcisk na stali, przysięgając, że następną krew, której nasza broń posmakuje, utoczmy z wroga Jomsborga. Mieliśmy także nadać imię swojej broni, jeśli takiego jeszcze nie miała. Ja nazwałem swój topór Ulfhamem, po psie, którego mieliśmy w Vingulmorku. Spodobało się to Ulfarowi Oraczowi, bo przypominało jego imię. Po powrocie do domu dostaliśmy zupę mięsną w kubkach i wznosiliśmy „toasty Bragego”. Każdy mąż podnosił kubek i opowiadał zebrany o śmiałych planach, jakie miał na nadchodzący rok. Większość obiecywała, że będzie pierwsza na nieprzyjacielskim pokładzie i że nie ulęknie się śmierci. Jostein przyrzekł, że wydobędzie Halvora i Sigurda Buesona z niewoli u Widłobrodego, w czym wszyscy obiecali wziąć udział. Gdy przyszła moja kolej, przysięgłem pomścić ojca, a brat kiwnął głową; nie byłem w tym osamotniony. Za to wszystko wznoszono toasty, a Jostein i pozostali potrząsali bronią.

Próbowałem pomówić z Bjørnem tego wieczoru, po tym, jak wszyscy poukładali się do snu pod kocami i skórami. Nawet nie zdążyłem otworzyć ust, gdy nagle wstał, mamrocząc, że boli go brzuch i musi do wychodka. Wyśliznął się z domu, a nie było go tak długo, że chyba spałem, gdy wrócił, bo jak się obudziłem, przez dymnik wpadało światło dzienne, a Jostein dmuchał w żar z poprzedniego dnia, próbując wzbudzić w nim życie. Koce Bjørna były jeszcze ciepłe, musiał dosłownie przed chwilą opuścić posłanie.

Zachowywał się tak przez kilka następnych dni. Za każdym razem, gdy próbowałem z nim porozmawiać, uciekał. Zakładam, że Torgunn powiedziała mu, że wiem, i teraz wstyd mu było z powodu kłopotów, w które się wpakował. Z naszej dwójki to Bjørn zawsze był tym mądrzejszym, przynajmniej tak mawiał ojciec. Być może już wtedy, gdy byłem mały, dostrzegł we mnie dzikość. Tę samą, która skłoniła Vagna i Aslaka do włożenia w moje ręce duńskiego topora i przygotowanie mnie do roli berserka.

W końcu zrezygnowałem. Z pewnych względów rozmowa z nim na ten temat nie



miała sensu. Co się stało, to się nie odstanie. Torgunn już zaszła w ciążę, co można było ukrywać jeszcze przez krótki czas. Kuźnia, w której pracowałem, miała szeroki otwór okienny wychodzący na główny dziedziniec, więc kiedy stałem przy kowadle i kułem głównie toporów, klingi mieczy i groty strzał, nieraz udawało mi się dostrzec Torgunn. Pojawiała się, gdy chłopcy przywozili saniami na sprzedaż cebulę, suszoną angelikę, worki ziarna, które pochowali w nadziei na lepszą cenę, jaką mogli uzyskać teraz, kiedy takich towarów brakowało. Okrywała się starannie płaszczem i szalami, co nikogo nie zastanawiało, bo panował ziąb. Była piękną kobietą i miałem wrażenie, że jej policzki w szczególny sposób promieniały, jak to się dzieje z kobietami oczekującymi dziecka.

Nadeszła druga pełnia księżyca po przesileniu zimowym, gdy Vagn i Torkjell w towarzystwie jeszcze kilku mężczyzn zaprzęgli konie do sań i pojechali na polowanie. Kiedy wyruszyli, stałem na częstokole, bo polecono mi wykuć nowe gwoździe do zawiasów przy północnej bramie i chciałem sprawdzić wymiary. Vagn i Torkjell siedzieli na koźle w pierwszych saniach, odziani w płaszcze z wilczej skóry, ramię przy ramieniu, jak dwaj bracia. Słyszałem uderzenia kopyt o śnieg, widziałem parę buchającą z końskich ciał i przyglądałem się przez jakiś czas, jak znikają za ośnieżonymi wzgórzami. Włócznie do polowania na dziki umocowano do burt sań, sterczały w niebo tak błękitne, że aż raziło w oczy.

Być może to właśnie wyjazd Vagna skłonił Bjørna do rozmowy ze mną. Byłem w stajni i skrobałem Vingurowi kopyta, gdy Bjørn niespodziewanie wszedł do środka. Na wełnianym płaszczu i brodzie osiadły płatki śniegu.

– Tu jesteś – stwierdził takim tonem, jakby mnie wcześniej nie mógł znaleźć. – Pomyślałem, że powinniśmy pogadać, ale jakoś się nie składało. Ale teraz... Teraz tu jesteś. – Majstrował przy pasie, po czym oparł łokcie o drzwi boksu i spojrzał na mnie. Trzymał w dłoni jakiś przedmiot. Zaciskał ją mocno, jakby się bał, że to coś zgubi.

– Widzę, że źrebię ofiarne wyzdrowiało. To dobrze.

– Tak – powiedziałem. – Cieszę się.

– Masz rękę do zwierząt, Torsteinie. Zawsze miałeś.

Położyłem dłoń na grzbiecie Vingura, niepokoił go Bjørn wsparty o drzwi boksu.

– A pamiętasz, jak przyniosłeś do domu młodziutką wiewiórkę? – Bjørn się zaśmiał.

– Biedaku, płakałeś potem przez wiele dni.

– Bjørn, wiem, po co przyszedłeś. Wiem, co się dzieje.

– Młody jesteś. Nie rozumiesz.

– Rozumiem w każdym razie, że Vagn...

Bjørn walnął pięścią w drzwi, zbudziła się w nim nagła złość. Następnie zamknął oczy, wypuścił powietrze i przetarł dłonią twarz.

– Wiem, że... rozmawiałeś z Torgunn.

– Tylko kilka słów. Dawno temu.

– Nie musimy zatem rozmawiać więcej o tym, co obaj wiemy. Musisz jednak wiedzieć, że gdybym mógł postąpić inaczej, tobym postąpił. Ale nie mogłem. Nie mogę. Zależy mi na niej. – Otworzył oczy i spojrzał na mnie. – I ona nosi moje dziecko.

Stałem przy drugim boku Vingura, pochyliłem się i uniosłem mu kopyto.

– Nie jesteś zaskoczony.

Zabrałem się do skrobania kopyta, najpierw wokół krawędzi, później w środku, w zagłębieniu.

– Może i jestem młody – mruknąłem – ale wiem, skąd się biorą dzieci.

Bjørn odchrząknął.

– No tak. Pewnie wiesz.

Powiedziawszy to, otworzył dłoń. Między kciukiem a palcem wskazującym trzymał kryształ. Widziałem przedtem kryształy, ale nigdy tak oszlifowane i gładkie jak ten. – Widzisz, braciszku? Dała mi go Torgunn. Wiesz, co to takiego?

– Nie.

– Kamień słoneczny. Jeśli trzymasz go pod słońce, w taki sposób... – przytknął kryształ do jednego oka, a drugie zmrużył – możesz odnaleźć kurs na morzu.

– Chcesz stąd wyjechać?

– Ty także, Torsteinie. Gdy tylko lody puszczą, weźmiemy jakiś byrding i wypłyniemy stąd.

– A Torgunn?

– Pojedzie z nami.

Opuściłem kopyto Vingura i wyprostowałem się. Bjørn podał mi kryształ, wziąłem go do ręki i ustawiłem pod światło wpadające przez okienka w ścianie. Niczego nie

widziałem, miałem wrażenie, że patrzę przez mętne szkło.

– Uciekłem z Norwegii. Uciekłem od Olafa. Stąd też mam uciekać?

Bjørn otworzył boks i wszedł do środka. Vingur prychnął i przesunął się pod ścianę, nie lubił obcych. Fenre wręcz przeciwnie, tańczył wokół nóg Bjørna w najlepsze, ale Bjørn, który zawsze drapał go po grzbiecie, teraz nie zwracał na niego uwagi.

– Słyszałem o pewnym kraju – powiedział. – Po drugiej stronie morza. Na zachód od Grenlandii. Powiadają, że Islandczycy już tam dopłynęli. Na pewno potrzeba im takich ludzi jak ty. Mógłbyś budować i sprzedawać statki. Mógłbyś być bogaty. A ja i Torgunn...

– Kraj na zachodzie? – Zrobiłem krok w jego stronę. – Na zachód od Grenlandii nic nie ma.

– We Fryzji spotkałem człowieka, który utrzymywał, że tam był. Nazwał tę krainę Winlandią. Pokazał mi topór z głownią zrobioną z czarnego kamienia. Powiedział, że dostał go od tamtejszego mieszkańca, wymalowanego, odzianego w skórę foki. Zbocza wzgórz porasta winorośl, tak jak w południowych krainach. I były tam kobiety. – Brat spojrzał na mnie z ukosa. – Piękne kobiety, Torsteinie.

– No nie wiem. To brzmi jak wymyślona historyjka.

– Torgunn w to wierzy.

Położyłem dłoń na grzbiecie żrebaka i pogładziłem jego sierść. Zrobił się włochaty, kopyta miał pokryte zmierzwionymi szczotkami pęciny, z których wiecznie musiałem wyczesywać łajno.

– A co, jeśli nie pojedzie z nami? Jeśli się rozmyśli?

– Nosi moje dziecko, Torsteinie. Nie może tu zostać. Za jedną, dwie pełnie księżyca brzuch tak urośnie, że nie uda się jej tego ukryć.

– Vagn wpadnie w furję. Jeśli się dowie, że to ty... zabije cię.

– Wiem, braciszku. Nie jestem durniem. Dlatego musimy wyjechać.

– Minie sporo czasu, zanim lody puszczą.

– Żyjmy więc nadzieją na wczesną wiosnę. – Bjørn wyszedł, zamykając za sobą drzwi boksu.

Stałem przy Vingurze, słuchając oddalających się po dziedzińcu kroków. Przez otwór okienny w ścianie widziałem wirujące w powietrzu płatki śniegi i czułem zapach

dymu z ogniska, snującego się nad powierzchnią ziemi. Bjørn był zawsze tym rozsądniejszym z naszej dwójki. Co go podkusiło? Było nam tu dobrze. Mieliśmy dach nad głową, jedzenie na stole. Cisnąłem o ziemię nożem do czyszczenia kopyt. Vingur parsknął i znowu przylgnął do ściany, oczy miał szeroko rozwarte.



## 24

### Ogień i żelazo

**P**ewnego razu Odyn przemówił do nas, ludzi, i nakazał nam chwytać to, czego w życiu pragniemy. Oznajmił, że dzień naszej śmierci jest znany jeszcze przed naszymi narodzinami i nic, co byśmy uczynili, nie zdoła tego zmienić. Możemy jedynie przeżywać dane nam życie w pełni, do ostatniej chwili. Bo żaden przeklęty tchórz nie zostanie wpuszczony do Valhalli. My, starzy ludzie, powiadamy, że w halli Odyna znajdzie się miejsce tylko dla wojowników. Lecz młodzi nie rozumieją słowa „wojownik”. Oczyma wyobraźni widzą męża na polu bitwy, odzianego w kolczugę, z bronią w ręku. Wojownik to jednak coś więcej. To ten, kto sam nadaje kształt swemu przeznaczeniu, nie czekając, aż wszechmocny bóg zrobi to za niego. I gdy spoglądam wstecz na czas spędzony w Jomsborgu, pojmuję, że w moim bracie było znacznie więcej wojownika niż we mnie. Miał kobietę, która nosiła jego dziecko. Mógł wyjść w mroczną noc, przypiąć narty i pójść przed siebie przez wzgórza i nikt by go nigdy nie znalazł. Ale miał inne plany. Codziennie bywał w porcie, widywałem go na częstokole, gdzie stał, wpatrując się w jezioro i rzekę. Ja nic nie zrobiłem. Pozwoliłem płynąć dniom i zbyt nie rozmyślałem nad losem brata. Towarzyszyło mi jednak uczucie przygnębienia. W ciągu dnia byłem przeważnie zajęty swoimi obowiązkami, ale wieczorami, kiedy zbieraliśmy się w domu... Czułem, jakby pochłaniał mnie mrok czający się pod ścianami, a kiedy wiatr wpadał przez dymnik, zdawało się, że chłód wnika prosto w moje serce. Bjørn nie przejmował się mną, w zasadzie nie zwracał uwagi na nikogo, stale zajęty jakąś dłubaniną. Szlifował groty do strzał i wszywał je później w swój pas nicią ze zwierzęcych ścięgien. Wyrzynał kościane haczyki na ryby, skrawał hubę na rozpałkę, szył skórzane mieszki, i wszystko to przytraczał do pasa.

Wiedziałem, co to oznacza. Szykował się do wyjazdu z Jomsborga, nie miał jednak jechać sam. Spoglądał na mnie czasami kątem oka, jakby chciał się upewnić, że rozumiem. Gdy tylko puszcza lody, wypływamy stąd.

Moje treningi topornika dobiegały końca i ostatniego dnia Ulfar zabrał mnie nad morze. Staliśmy tam przez dłuższą chwilę, wsparci o drzewce toporów, ogarniając wzrokiem lodową taflę. Za plecami mieliśmy niskie, zimowe słońce, a nasze cienie były zadziwiająco długie, jakby rzucały je dwa olbrzymy. Oracz był człowiekiem oszczędnym w słowach, ale to, co powiedział, warte było wysłuchania.

– Lato mieliśmy spokojne – zaczął. – I jesień również. Nie wezwano nas do walki. Tak jeszcze nigdy nie było. Każdego lata wypływaliśmy, Torsteinie.

Kiwnąłem głową.

– My, jomswikingowie, tak właśnie żyjemy.

Oracz spojrział na mnie i zaśmiał się charkotliwie, po czym zacisnął potężne łapy na drzewcu topora i ponownie skierował wzrok w stronę krańca lodowej skorupy.

– Czy zabijanie dla złota i srebra przynosi chwałę, Torsteinie? Powiedz, co o tym myślisz?

Nie odezwałem się. Moje milczenie było dla Oracza wystarczającą odpowiedzią.

– Masz rację, chłopcze. Nie ma w tym żadnej chwały. Gdy byłem młody, tak jak ty, sądziłem... – Dźwignął topór i przerzucił go sobie przez ramię. Potem podszedł do brzegu. Wydawało się, że powędruje przed siebie, ale przywołał się do porządku. –

Królowie stali się potężni, Torsteinie. Może już nas nie potrzebują. Pomyślałem, że to na swój sposób dobrze. Że czas, w którym mężowie, tacy jak my, mogli zawitać na każdym królewskim dworze, gdzie przyjmowano nas jak bohaterów, minął... – Zamilkł i odwrócił się w stronę lądu, a jego grubo ciosana, pokryta bliznami twarz nagle się postarzała. – Wracajmy, Torsteinie. Zaraz zapadnie zmrok.

Wspomniałem Josteinowi o słowach Oracza z tamtego wieczoru, ale Karzeł tylko się zaśmiał i stwierdził, że z Oraczem już tak jest; gdy dopadają go ponure myśli, to lepiej go nie słuchać.

– Nie zapominaj, że u Svena Widłobrodego zostali nasi przyjaciele – rzekł, a w jego oczach pojawił się tajemniczy błysk.

Nie wiedziałem, o co mu chodzi, ale okazało się, że Karzeł był przekonany, iż odgadł zamiary Vagna. Udało mu się wszystko rozgryźć. Kiedy Vagn posyłał Sigurda Buesona na dwór Svena Widłobrodego, by ten zażądał daniny za lojalność jomswikingów, wiedział doskonale, jaka będzie odpowiedź duńskiego króla. Sigurd nie był człowiekiem potoczystego słowa, ponadto niewiele trzeba było, żeby wpadł w gniew. W rezultacie Sigurda i jego załogę wzięto do niewoli, a ponieważ Sven był dumny i żądnym władzy człowiekiem, który poczuł się urażony, postanowił wyprawić posłańca o statusie wyższym niż Sigurd, takiego jak Torkjell Wysoki, by zażądać od Vagna zrzeczenia się funkcji hovdinga. I to właśnie było zamiarem Vagna. Mógł teraz wziąć jako zakładników Torkjella i jego ludzi, a z zakładnikami po obu stronach udało mu się zapewnić równowagę sił. Na dodatek wysłał Halvora do Svena Widłobrodego i pewnie dobrze wiedział, że Sven uwięzi go wraz z załogą. Halvor jednak był niewygodnym zakładnikiem, bo nie było nikogo, kto by lepiej potrafił wyłożyć swoje racje niż on. Teraz z pewnością miał zwątpienie co do zdolności przywódczych Widłobrodego, podsycając plotki na temat jego szaleństwa, które sprowadzi na Danów straszliwą klęskę.

Pamiętam, że następnego dnia po tej rozmowie spadło dużo śniegu i znowu zostaliśmy odkomenderowani do odsnieżania. Teraz zasypany śnieżne w Jomsborgu były tak wysokie jak zabudowania, więc musieliśmy wywozić śnieg taczka po taczce i rozsypywać na lodzie. Sprzątając ulice, zauważyliśmy przybywających od strony wzgórz kupców z Gardarike w pięknych saniach zaprzężonych w silne rumaki, po sześć do każdych sań; ich przyjazd wywołał tego dnia wiele zamieszania. Zebraliśmy się na centralnym placu, a przybyszom na spotkanie wyszli Vagn i Aslak. Kupcy mieli na sprzedaż suszoną angelikę i mięso w serwatce, całe beczki. Jakby wiedzieli, że wkrótce skończy nam się angelika; Jostein niedawno wspomniał o tym, twierdząc, że wszystkim zęby powypadają, jeśli zbyt długo będzie jej brakowało. Vagn zapłacił kupcom srebrem i zdaje mi się, że jedynie obawa przed tym, że rozniesiemy ich na mieczach, powstrzymała handlarzy przed zażądaniem, by zapełnić im kruszcem sanie aż po brzegi. Wyjechali tego samego dnia, a ja i Bjørn staliśmy w bramie, patrząc, jak pograżają się w ciemnościach nocy.



Prawie trzy pełnie księżyca minęły od przesilenia zimowego i do przyjścia na świat dziecka Torgunn było coraz bliżej. Wciąż jeszcze było zimno, wciąż jeszcze mogła się opatulać, nie budząc podejrzliwości ojca. Żywiłem nadzieję, że mój brat się pomylił co do Vagna. Może wcale nie wpadnie w złość, gdy się dowie, że córka oczekuje dziecka? Bjørn był wolnym człowiekiem, brał udział w walce i był świetnym wojownikiem, sam przecież widziałem. Może Vagn zaakceptowałby go jako męża swojej córki. Jakbym tylko mógł, zapytałbym o to Josteina. Nie śmiałem jednak. Gdyby ta wieść doszła do Vagna i gdyby się okazało, że trzymano to przed nim w tajemnicy... Jeśli Vagn miał się o tym dowiedzieć, to tylko od samego Bjørna.

Zagadnąłem brata na ten temat kilka dni później, kiedy byliśmy na pokładzie jednego ze statków i smołowaliśmy maszt. Bjørn pokręcił głową i stwierdził, że chyba jestem niemądry. Vagn nigdy nie dałby córki mężczyźnie nieposiadającemu bogactw i ziemi.

Następnego dnia, stojąc nad brzegiem morza, powędrowałem wzrokiem ku krańcom lodowej pokrywy. Zrobiłem kilka kroków po lodzie i zatupałem; wkrótce powinien puścić! Bjørn miał rację, nie mogliśmy zostać. Pozostało nam morze i tym razem musieliśmy popłynąć daleko. Ojciec opowiadał, że gdy ród Pięknowłosego poczynął sobie w najlepsze, ludzie przenosili się na Islandię. Tam mąż mógł żyć wolny, gdyż ani jarl, ani król nie sięgali swą władzą za morze. A jeśli ta ziemia, o której opowiadał Bjørn, kraina winorośli, była czymś więcej niż tylko wymyśloną historyjką? A co, jeśli gdzieś tam jest taka ziemia?

Nagle rozległ się huk, poczułem drżenia lodu pod stopami. Podmuch wiatru uderzył od strony morza. Był to łagodny wiatr, z zachodu. Niósł ciepłą, słoną wodę z cieśniny Skagerrak; ponownie usłyszałem huk. Lód pękał.

Tego samego wieczoru omówiliśmy z Bjørnem plan. Po prawdzie, mówił głównie brat, bo miał już wszystko od dawna przemyślane. Mieliśmy wypłynąć jednym z byrdingów, które cumowały w porcie. Niektóre były wystarczająco duże, żeby sobie poradzić na morzu. Mieliśmy powiedzieć, że płyniemy na ryby i że będziemy łowić całą noc, przyświecając sobie pochodniami. Tu nadeszła ta część, która mnie przeraziła. Torgunn



miała wyśliznąć się pod osłoną nocy, a my mieliśmy czekać na nią na brzegu, zabrać ją na pokład i popłynąć w stronę Skagerraku tak szybko, jak tylko wiatr i wiosła pozwolą. Najpierw zejdziemy na ląd w Norwegii. Trzeba będzie znaleźć wodę pitną, będziemy też musieli zapolować i uwędzić mięso na drogę. A gdy to już zostanie zrobione, popłyniemy dalej. Musimy się udać na zachód, najpierw do Anglii. Tam weźmiemy na pokład kogoś, kto był już na Islandii i wiedział, jak odnaleźć trakt na morzu. Gdy dopłyniemy na Islandię, będziemy wreszcie bezpieczni. Nie zostaniemy tam jednak, nie spoczniemy, dopóki nie znajdziemy krainy daleko na zachodzie, po drugiej stronie morza.

Odwilż trwała całą noc, a o świcie ulice spłynęły wodą. Znowu nas wysłano do odgarniania i wyrzucania śniegu do morza; gdybyśmy się nie pozbyli zasp, Jomsborg zamieniłby się wkrótce w błotnistą jamę. Przez dwa dni machaliśmy łopatom, a Bjørn mrucał, że jeszcze nie udało mu się pomówić z Torgunn, ponieważ łód w porcie przestał być bezpieczny i nie sposób dostać się na statek, gdzie zazwyczaj się spotykali.

Jednak tego wieczoru podniósł się z ławy, na której siedzieliśmy obok siebie, rzucił mi spojrzenie, skinął głową, po czym wyszedł na pogrążoną w ciemnościach ulicę. Siedziałem z psem na kolanach, a gdy Jostein zapytał, czemu nie jem, odparłem, że trochę boli mnie brzuch. Eystein Pierdziuch, który właśnie przyszedł do nas w odwiedzin, uważał, że powinienem się napić kobyłego mleka. Jedna klacz miała się źrebić na dniach, wymiona zrobiły się duże i pełne. Może przynieść, jeśli chcę.

Wziął moje milczenie za zgodę i z miską udał się w kierunku drzwi. Tam zderzył się z Bjørnem. Mój brat miał mroczne spojrzenie i nie odezwał się do mnie ani jednym słowem. Rzucił się na ławę i naciągnął na siebie koce.

Następnego ranka udałem się do kuźni. Bjørn leżał przybity, zresztą i tak w domu nie mogliśmy niczego przegadać. Pojawił się jednak wkrótce, wciąż milczący, chwycił rzemień przy miechu i pociągnął. Miałem w palenisku grot włóczni, jednej z tych, jakich używają jeźdźcy polujący na dzika. Inni kowale jeszcze się nie pojawili, więc mogliśmy bez świadków porozmawiać o tym, co zaszło. Stało się tak, jak przypuszczałem. Torgunn nie chciała wyjeżdżać. Uważała, że Bjørn powinien pójść do Vagna i powiedzieć, jaka jest sytuacja. Nie ma innego wyjścia, rzekła. Jeśli spróbujemy

uciec, puści się za nami w pogoń. Wyśle statki na wszystkie strony świata i nas znajdzie. Jakby tego było mało, Vagn – zdaniem Torgunn – domyślał się, że ona będzie miała dziecko. Nic nie mówił, ale spojrzenie wciąż kierował na jej brzuch, a w dniu, gdy nadeszła odwilż, zapytał, czy ma mu coś do powiedzenia.

Wracając myślami do tamtej zimy, nie mogę pojąć, że byliśmy tacy głupi i wierzyliśmy, że on niczego nie zauważy. Kiedy Bjørn opuszczał kuźnię, nadeszła Torgunn z ojcem. Mój brat przywitał ich skinieniem głowy i poszedł dalej ze wzrokiem wbitym w ziemię.

Później tego samego dnia z południa zaczął dąć wicher. Niósł zimno z wnętrza lądu, ale zabrał ze sobą krę i wypchnął ją dalej w morze. Bjørn nie wrócił tego wieczoru do domu. Pojawił się o świcie i szarpiąc za ramię, wyciągnął mnie z posłania. Sprawdził sytuację na brzegu, łód zniknął. Raz jeszcze porozmawia z Torgunn, opowie jej o ziemi na zachodzie. W tym czasie miałem przygotować jeden z byrdingów.

Woda z topniejącego śniegu zmieniła lód na jeziorze przy Jomsborgu w kaszę, w porcie było podobnie. Wystarczyło kilka uderzeń wiosłem, by oswobodzić przygotowywany przeze mnie byrding. Nagle znad bramy dobiegł mnie dźwięk rogu. Pierwszą myślą było, że to mnie strażnik przywołuje, ale zerknąwszy w górę, zobaczyłem, że zwrócony jest w przeciwnym kierunku. Wówczas strażnik zatrąbił kolejny raz.

Dwa długie sygnały. Wciąż jeszcze pamiętam tamten dźwięk. Na ulicach natychmiast rozległy się nawoływania. Mężczyźni nadbiegli do portu z bronią w rękę, wkrótce zaroilo się od wojów za przedpiersiem. Wdrapałem się na górę najbliższymi schodami, musiałem się przekonać, dlaczego wszyscy są tacy rozgorączkowani. Powinienem od razu pojąć, co się dzieje, i poszukać brata. Zamiast tego stałem za przedpiersiem, wpatrując się w jezioro, na które wpływały obce statki. Ustawiały się w szeregu, dziobami w naszą stronę. Maszty zdjęto, tuż przed masztami ustawiano ścianki z desek, dające dobrą ochronę załodze.

Wkrótce stanęła tam w szyku flota składająca się z dwunastu jednostek. Zrzucano kolejne kotwice, zarówno z dziobów, jak i z ruf. Unieruchomiony w ten sposób szyk statków tworzył coś na kształt pływającej fortecy.

Od razu zauważyłem Sigvaldego. Stał na dziobie środkowego statku, podparł się w pasie rękami. Był odziany w sięgającą kolan kolczugę i czerwony płaszcz, który łopotał na wietrze. Robił wrażenie, ale ponieważ wciąż silnie wiało, ledwo mogliśmy go usłyszeć. Zrozumiałem jedynie, że mówił o Vagnie.

Sam Vagn zjawił się na częstokole i stanął obok głównej bramy. Raczej nie słyszał wyraźniej ode mnie słów Sigvaldego, ale nie było wątpliwości, czego tamten żąda. Ulfar Oracz stał o kilka osób dalej ode mnie razem z Josteinem Karłem. Ogarnął go szaleńczy gniew, cały się trząsał i dygotał. Dobiegały mnie strzępy rozmów, w głosach mężczyźni słychać było podekscytowanie.

– To Sigvalde – odezwał się ktoś tuż obok. – To jego dawne statki?

A potem inny głos:

– Ilu wojów może tam być?

Pierwszy głos odpowiedział:

– Nie wiem. Wielu.

Zakończywszy swoją przemowę, Sigvalde wyciągnął w górę dłoń i machnął nią w przód. Natychmiast na dziób każdego ze statków przyprowadzono nagiego mężczyznę. Wszyscy mieli niewolniczą obręcz na szyi, ale teraz założono im jeszcze pętle i zmuszono, by podeszli do nadburcia. Krzyczeli przeraźliwie, gdy im rozcinano brzuchy. Potem wyrzucono ich za burtę, a pętle zacisnęły im się wokół szyi. Końce lin były umocowane na dziobnicy, więc owych dwunastu mężczyzn wisiało, kołysząc się i wierzgając nogami w śmiertelnych drgawkach. Niektórym wypłynęły wnętrzności; zwisały w krwawych kłębach. Na pokładach dziobowych wzniesiono słupy, do których, jak mi się zdawało, doczepiono kości i kawałki skóry. Ponadto na szczycie każdego z nich zatknięto końską głowę. Sigvalde pogroził mieczem w naszym kierunku.

– Vagnie Ákasonie, wznoszę przeciwko tobie nidstang, pał pogardy. Bo jesteś godnym pogardy nędznikiem, jeśli dziś nie staniesz do walki ze mną. I wy wszyscy jesteście godni pogardy. Jomswikingami nie macie prawa się nazywać!

Przyglądaliśmy się okrutnemu rytuałowi Sigvaldego w milczeniu. Nagle Oracz wychylił się zza przedpiersia, uderzył się płaską stroną topora w czoło, jego ciało przebiegły drgawki, dygotał jak szalony, a z czeluści jego gardzieli wyrwał się ryk, który w niczym nie przypominał ludzkiego głosu. Szaleństwo ogarnęło wszystkich na

częstokole, potrząsano mieczami i toporami, dzikie okrzyki niosły się ponad jeziorem. Też dałbym się porwać szaleństwu, gdyby Jostein mną nie szarpnął.

– Torsteinie! – krzyknął. – Biegnij po łuk! I znajdź swego brata!

Zbiegłem z przedpiersia i po chwili spieszyłem w górę ulicy. Spotkałem Bjørna tuż przy naszym domu, skąd wypadł razem z Fenrem. W jednym ręku trzymał swój jednoręczny topór, a w drugim mój dun.

– Nie odstępuj mnie, Torsteinie! Słyszysz? Zostań blisko mnie!

Ponieważ centrum Jomsborga leżało nieco wyżej niż port, mogliśmy spojrzeć stamtąd ponad częstokołem. Zakotwiczyło tam dwanaście okrętów, więcej ich się nie pojawiło.

– To Sigvalde – wyrzuciłem z siebie.

– Czego chce?

– Chyba odzyskać gród.

Bjørn wszedł za mną do domu, bo musiałem zabrać łuk. Rozejrzał się dookoła, ja w tym czasie nakładałem cięciwę, a gdy zaczepiłem kołczan u pasa, chwycił mnie za ramię i przyciągnął do siebie.

– Jeśli coś pójdzie nie tak, musimy uciekać. Zabierzemy za sobą Torgunn...

Długi sygnał rogu. Wybiegliśmy z domu. Otwarto bramę portową. Jomswikingowie rzucili się pędem na statki, wysunięto wiosła, a łucznicy ustawili się na dziobach. Vagn wreszcie miał przetrącić kark staremu Sigvaldemu. Nikt od czasu bitwy pod Hjørungavåg nie widział Sigvaldego w Jom. Przecież uciekł, podkuliwszy pod siebie ogon. To, że ustawiał teraz statki w szyku bojowym tuż pod bramami Jomsborga, składał w ofierze niewolników i wznosił nidstang, było niczym szturchanie patykiem rozdrażnionego psa myśliwskiego. Vagn obnażył kły i szykował się do ataku.

Zbiegliśmy do portu i wspięliśmy się na częstokół. Zacząłem od razu szyć z łuku w stronę floty Sigvaldego, ale on również miał łuczników. Schowali się za ściankami z desek, strzelając przez otwory w deskach, i nie sądzę, by nam, jomswikingom, udało się kogoś trafić. Vagn znajdował się na statku, który jako pierwszy wypłynął za bramę, widziałem go na pokładzie dziobowym, gotowego, z okrągłą tarczą i mieczem. Podczas gdy ostrzeliwaliśmy wroga, ponad dwadzieścia statków opuściło port i napędzane siłą wioseł otoczyło szerokim kołem formację Sigvaldego. Vagn przytknął róg do ust

i rozległy się trzy krótkie sygnały. Na ten dźwięk wiosłarze wsunęli wiosła do wody, a wojownicy, zgromadziwszy się na dziobach statków, uderzali toporami i włóczniami o tarcze i nadburcia.

Statki Vagna płynęły w stronę floty Sigvaldego niczym mrówki osaczające robaka. Zachrząściło, gdy stewy zetknęły się ze sobą, po czym jomswikingowie wdarli się na łodzie przeciwnika. Zwisające zwłoki odcięto, liny przerzucono i uwiązano tak, by fale nie odepchnęły statków Vagna od wrogiej floty. W tym czasie ludzie Sigvaldego zostali otoczeni przez znacznie liczniejszych Jomsborgczyków. Pamiętam, że Bjørn pociągał mnie za rękę i przykucnęliśmy za przedpiersiem. Uważałem, że to nie potrwa długo. Lada moment wyrzną ludzi Sigvaldego do nogi, ale wciąż jakaś zabłąkana strzała mogła stamtąd nadlecieć, więc najmądrzej będzie przeczekać w ukryciu.

Siedząc za przedpiersiem, słyszeliśmy bitewną wrzawę, okrzyki załóg Vagna, wrzask wojów Sigvaldego. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego Sigvalde przyплыł tu i wyzwał nas do bitwy z tak nielicznym oddziałem. Musiał zdawać sobie sprawę, że to oznacza pewną śmierć. Zerknąłem ku bramie portowej, skąd Aslak obserwował jezioro. Nie chciało mu się szukać jakiegoś bezpieczniejszego miejsca. Nagle doznałem wrażenia, że coś go zaniepokoiło. Uniósł głowę, zwrócił oczy na północ, po czym odpiął zapinkę przytrzymującą połę płaszcza, tak że wiatr zerwał z niego okrycie. Jednym płynnym ruchem wy dobył miecz i wskazał nim w kierunku północnym. Wtedy i my to zauważyliśmy – drabiny wystające nad częstokół w północnej części umocnień, wojów pokonujących przedpiersie. Część z nich już biegła ulicami, podtykając płonące pochodnie pod okapy dachów.

W kronikach sławiących czyny Svena Widłobrodego napisano, że tego dnia Danowie zaatakowali bestie z Jom i że nas wszystkich wycięli w pień. Na własne oczy widziałem te słowa i choć wtedy jeszcze nie potrafiłem czytać, to inni mi je przeczytali. Jednak w tych słowach nie ma cienia prawdy, ponieważ Sven nie miał nic wspólnego z atakiem na Jomsborg i to nie jego ludzie szturmowali nasz gród. Sigvalde sprawił sobie armię Gotalandczyków, obiecując im złoto i srebro, jeśli tylko uda im się nas wypędzić.

Aslak, wykrzykując rozkazy, posłał część z nas na ulice, a pozostałych na przedpiersie, by przewracali drabiny. Byłem wśród tych, którzy biegiem rzucili się w dół po schodach. Przypominam sobie, jak wołałem do brata, że muszę poszukać

Fenrego, i właśnie wtedy Bjørn wyszarpuje przytroczony u pasa saks, bo w naszym kierunku nadbiega czterech ludzi z tarczami i toporami.

Strach może wiele zrobić z mężczyzną, a jeszcze więcej z dzieciakiem, jakim wtedy byłem. Niektórzy porzucają broń i uciekają przed siebie w bezmyślnej panice. Inni stoją porażeni trwogą i pozwalają się zaszlachtować. Obie reakcje widziałem więcej razy, niż miałbym na to chęć. Tego dnia postąpiłem tak, jak postąpiłem, nie dlatego, że już kiedyś walczyłem i zabijałem. Sytuacja, w jakiej się znaleźliśmy z bratem, nie przypominała niczego, co wcześniej widziałem. Tamci przelewali się przez częstokół, to była rzeka ludzi, rozstawiali również drabiny na ulicach. Przyglądałem się temu, podczas gdy czterech Gotalandczyków zmierzało ku nam, a Bjørn ryczał, że muszę ich rozwalić. Mój wzrok dopiero w tym momencie przeniósł się na tamtą czwórkę i zacząłem bezwiednie wykonywać wszystkie ruchy, których Oracz nauczył moje młode ciało. Zrobiłem dwa kroki przed Bjørna, gwałtownie wysunąłem topór przed siebie niczym włócznię i pchnąłem nim prosto w szyję Gotalandczyka będącego na czele atakującej czwórki. To go zatrzymało tak gwałtownie, że aż odrzuciło mu w tył głowę i rozległo się głośne chrupnięcie. Następnie wymierzyłem cios drzewcem w czoło wojownikowi obok, co go częściowo ogłuszyło. Atakujący minęli mnie, dwóch unieszkodliwiłem, ale pozostała dwójka rzuciła się na Bjørna. Uniosłem topór, po czym ciąłem szerokim łukiem w kolano jednego z nich, odrąbując mu nogę. Ostatni odwrócił się w moim kierunku i ten błąd natychmiast wykorzystał Bjørn. Zatopił saks pod pachą Gotalandczyka, który rzygnął krwią na brodę i upadł twarzą w śnieg.

Ta czwórka nie była jednak osamotniona. W naszym kierunku nadciągała taka chmara, że rzuciliśmy się pędem do ucieczki. Nie byłem dość szybki. Po chwili znów musiałem się zatrzymać i obrócić ku atakującym, bo nadbiegali ulicą i ledwo zdążyłem podnieść topór, gdy nas obstąpili. Ogarnęło mnie coś w rodzaju upojenia i kompletnie straciłem świadomość tego, co robię. Tors i ramiona poruszały toporem wokół mnie, momentami zauważałem ostrze tnące kolana i karki, czyjeś odrąbane ramię potoczyło się w dół ulicy, palce wciąż zaciskały się na sztylcie. Słyszę krzyki mężczyzn i widzę twarze, niektóre tak młode jak moja i w jedną z nich uderzam końcówką trzonka, trafiam w usta i czuję, że wybijam zęby. Twarz z dziurą zamiast ust i źrenice znikające w głębi czaszki.

Potem nie słyszę krzyków. Słyszę tylko płomienie i widzę dym wzbijający się ze słomianego dachu po drugiej stronie ulicy. Wokół mnie leżą porzrzucone ciała. Jedno z nich wciąż się rusza. Ma rozcięty bok, z rozcięcia wypływają wnętrzności. Słyszę, że wydaję z siebie skowyt, to dziwny obcy głos, a topór uderza ponownie i trafia mężczyznę w bok szyi, prawie odrąbując mu głowę, która przechylona na bok trzyma się tylko na kawałku skóry.

Gdy mój wzrok pada na Bjørna, myślę w pierwszej chwili, że jest ranny. Stoi pochylony, jakby miał upaść. Nagle spostrzegam, że jego topór utkwiał w piersi jednego z zabitych, zaklinował się między żebrami. Podchodzę, chcąc mu pomóc wyszarpnąć ostrze. W chwili gdy odwraca się w moim kierunku, ugadza go strzała. Trafia w bok podbródka. Bjørn prostuje się i wtedy dosięga go kolejna strzała. Przebija ramię z taką siłą, że przyszpila rękę do tułowia. Bjørn stoi nieruchomo, bez słowa.

Pamiętam, że udało mi się oderwać jego rękę od boku, choć promień strzały był tak gruby, że musiałem go ciąć saksem. Przyparłem go do ściany i wyciągnąłem strzałę ze szczęki; grot był długi i cienki, ale na szczęście nie miał zadziorów. Rana zbytnio nie krwawiła, choć nagle Bjørn zgiął się w pół i zwymiotował, wypluwając krew i zęby. Wyciągnąłbym również grot z ramienia, gdyby nie to, że mieliśmy znowu na karku ludzi Sigvaldego. Ustawiłem się przed bratem i postanowiłem, że nadeszła moja kolej, by go osłonić, tak jak on zawsze osłaniał mnie.

Być może nigdy nie walczyłem lepiej niż tamtego dnia. Mimo że byłem młody, kipiał we mnie szał berserka, nie dopuszczając uczucia lęku i litości. W każdym razie tak chcę to pamiętać. Może jednak Odyn rozpostarł zasłonę nad tym, co sprawia ból i co przedtem budziło mnie nocami, bo gdy zamykam oczy i cofam się w myślach do tego dnia, w którym stałem na ulicy pokrytej zakrwawionym śniegiem, pamiętam tylko ciężar topora w dłoni i czuję krew na twarzy; jest niczym bryzg ciepłego morza. Czuję dziwny spokój, gdy pochylam się, by dźwignąć brata i przerzucić go sobie przez bark. Następną rzeczą, którą pamiętam, jest port, gdzie stoję, wołając Fenrego. Patrzę w górę ulicy, dostrzegam konie i kozy biegające po głównym placu, dochodzi mnie przeraźliwe beczenie i parskanie, a Eystein i paru innych próbują przepędzić je w stronę północnej bramy. Potem jestem na pomoście, skąd wskakuję na jeden ze statków, na którym właśnie przecinają cumy. Na pokładzie jest Jostein. Krzyczy, by wysuwać wiosła,

Jomsborg stracony i musimy się stąd wydostać. Ja jednak wyskakuję ponownie na ląd. Muszę znaleźć Fenrego. Nie mogę go zostawić.

Z toporem w ręku pobiegłem w górę ulicy, tak szybko, jak tylko dałem radę z tą kulawą nogą. Gdybym się obejrzał, zobaczyłbym, że statek, na którego pokładzie zostawiłem brata, właśnie przepływa przez portową bramę. Ze swojego statku Vagn widział płomienie buchające ponad dachy domów i widział walki na przedpiersiu. Nie mógł zawrócić, by ratować Jomsborg, bo gdyby chciał wprowadzić statki z powrotem do portu, zatarasowałyby drogę tym łodziom, które właśnie wypływały z twierdzy. Krzyknął więc do swoich załóg i kazał im zrobić to, za co później długo jeszcze się z jomswikingów natrzęsano – mieli odciąć cumy, odpłynąć od floty Sigvaldego i powiosłować na morze.

Wkrótce znalazłem się przy naszym długim domu. Wciąż jeszcze nikt nie podłożył pod niego ognia i gdy zajrzałem do środka, było tam dziwnie cicho. Niemal wydawało się, że mogę usiąść na ławie, tak jakby na zewnątrz nic się nie działo. Słyszałem szczęk mieczy i toporów, krzyki ludzi, trąbienie rogu od strony jeziora. Ale było to takie nierealne.

– Fenre! – zawołałem, mrużąc w ciemności oczy. – Fenre?

Fenrego tam nie było. Stałem, zastanawiając się, gdzie mógł zniknąć. Czyżby pobiegł do stajni? Często tam chodziliśmy. A może pobiegł do portu, kiedy usłyszał hałasy?

Ludzie twierdzą, że tego dnia, gdy zaatakowano Jomsborg, Torstein Szkutnik zabił dość ludzi, by wypełnić nimi cały statek. I że ten, który zaskoczył mnie w domu, był roslým wojem z hirdu Svena Widłobrodego. Powiadają, że zaatakował mnie mieczem i prawie mi odrąbał ramię, ale mnie udało się go przepołowić toporem. Nic z tego nie jest prawdą. Wydaje mi się, że oślepiła go pochodnia, którą miał w garści, bo mnie nie zauważył. Zdjął hełm, otarł z czoła pot i przytknął pochodnię do słomianej powały. Gdy to zobaczyłem, ogarnął mnie potworny gniew. Jakim prawem wszedł do chaty, która stała się moim domem. Zamachnąłem się na niego toporem, ale musiał dostrzec błysk ostrza, bo uskoczył na bok i ciął mnie mieczem. Zranił mnie w przedramię, choć zwróciłem na to uwagę znacznie później. Wyprowadziłem cios szerokim łukiem, mierząc w głowę. Sparował cios mieczem, lecz zarówno miecz, jak i ręka złamały się,



a ostrze topora wniknęło aż do wargi.

Znalazłem się na ulicy, gdzie było mnóstwo wojowników. Słyszałem, że mówią po gotalandzku. Byli zajęci wywlekaniem sprzętów z domów, wysypywali zawartość skrzyń, rozpruwali tobołki. Nikt mnie nie atakował. Brzmi to może dziwnie, ale Gotalandczycy zajęli cały Jomsborg, z wyjątkiem północnych ulic, i zakładali, że wszyscy, którzy wciąż znajdowali się na południowych krańcach twierdzy, należą do ich oddziałów. Nie odróżniałem się od nich szczególnie; byłem cały we krwi z ran, które mi zadano i które ja zadałem. Miecz zabija pięknie, powiadają. O duńskim toporze takich rzeczy nikt nie mówi.

My, którym jeszcze nie udało się wycofać na statki, posuwaliśmy się w stronę północnej bramy. Gotalandczycy byli zaabsorbowani plądrowaniem i podpalaniem pozostałych długich domów i nieszczególnie przejmowali się pierzchającymi Jomsborgczykami.

Nie potrafiłem biegać tak sprawnie jak pozostali, więc gdy większość jomswikingów była już na wydmach, ja dopiero dotarłem do głównego placu. Mój pośpiech musiał jednak wzbudzić podejrzenia, bo usłyszałem okrzyk. Jeden z Gotalandczyków podniósł łuk i strzelił w moim kierunku. Strzała wbiła się w ziemię tuż obok, więc rzuciłem się za jakieś beczki. Przycupnąłem, a oni ryknęli, że tam jest jeden, siedzi na dziedzińcu z dunem. Ktoś zawołał, że to berserk i żeby nie podchodzić za blisko, tylko przygwoździć go strzałami. Usłyszałem spieszne kroki na śniegu, przemknęło mi przez myśl, że chowam się tu niczym przeklęty tchórz. Jeśli mam zasłużyć na biesiadę u Odyna, muszę zginąć, stojąc z toporem w garści.

Jednak tego dnia nikt więcej nie padł od ciosu mego topora.

Podnoszę się i zauważam Eysteina z Fenrem pod pachą. Idzie przez dziedziniec w dziwaczny sposób, jakby nie do końca wiedział, gdzie stawiać stopy. Kuśtykając, zbliżam się do niego i dostrzegam głęboką ranę u nasady włosów, krew zalewa mu oczy.

Czy to ja wyprowadziłem Eysteina, czy on mnie, wciąż tego nie wiem. Objęci, podpierając się nawzajem, przecięliśmy dziedziniec. Strzały fruwały wokół nas, jednak nie miały nas tego dnia trafić. Eystein mówił, że zaszedł do stajni i wypuścił konie. Tam go zaatakowali i ranili w głowę, ale wszystkich położył. Ledwo to rzekł, zza rogu

wybiegł Vingur i jeden z ogierów należących do Vagna. Eystein zagwizdał. Nie podbiegły, lecz dźwięk powstrzymał je na tyle, że mogliśmy podejść i wdrapać się na ich grzbiety. Może powinienem wybrać sobie rumaka lepszego niż mój konik, bo ledwo był w stanie mnie unieść, ale pewnie pomyślałem, że skoro to mój koń, to go dosiędę.

Ruszyliśmy z Eysteinem. Vingur ugiął się pod ciężarem moim i psa i zrzucił nas, jak tylko dojechaliśmy do północnej bramy. To jednak dało mi czas potrzebny na ucieczkę. Chwilę później znalazłem się na wydmach. Bramę zatrzęsnięto. Jomsborg był stracony, a jeśli w twierdzy wciąż pozostali jacyś jomswikingowie, to właśnie dożynano ich bez litości.



## 25

### Dwunastu mężów z południa

**P**o raz kolejny uciekałem. Za plecami miałem łuny nad Jomsborgiem, a przed sobą wendyjską puszcę. Z pierwszych dni nie pamiętam niczego oprócz chłoszczącego nas wiatru i ssania w pustym żołądku. Zajrzeliśmy do gospodarstwa Halfdana Halli, ale oddziały Sigvaldego nas uprzedziły. Halfdan siedział na dziedzińcu oparty plecami o głaz ofiarny z rozprutym brzuchem, jakby postanowili, że na ofiarę świetnie nadaje się ten, kto sam chętnie składał ofiary. Trupy mieszkańców leżały porozrzucane, nikt nie przeżył. Powędrowaliśmy dalej, nie stawaliśmy na nocleg nawet po zapadnięciu zmroku. W ciemnościach, z Gwiazdą Polarną nad lewym ramieniem, szliśmy na wschód, wzdłuż wendyjskich wybrzeży, żywiąc nadzieję, że Vagn i wojowie, którym udało się wyrwać z portu, uszli z życiem i że żeglując tędy, wezmą nas ze sobą. Pierwszej nocy byliśmy w liczbie ponad stu, lecz wielu tak ciężko rannych, że o świcie zostało nas osiemdziesięciu.

Ile dni wędrowaliśmy przez wendyjskie śniegi? Pamiętam wiatr i to, że szukaliśmy schronienia między wydmami, kuląc się jeden przy drugim, próbując się nawzajem ogrzewać. Pamiętam, że Vingur dygotał i że udało mi się zdobyć podarty płaszcz, który narzuciłem biednemu zwierzakowi na grzbiet, lecz nie na wiele to się zdało. Eystein opatrzył mi ranę na przedramieniu i był ciekaw, czy wiem, co się stało z Bjørnem. Niewiele mogłem powiedzieć, poza tym, że doprowadziłem go na jeden ze statków, ale co się potem działo... Siedząc wśród zasp, rozplakałem się, a Fenre przylgnął do mnie jeszcze bardziej. Eystein chwycił mnie za ramię, bez słowa.

Dziwna się może zdać opowieść o jomswikingu roniącym łzy. Nie byłem jednak jedyny. Opłakiwaliśmy poległych braci i utracony Jomsborg, a niektórzy płakali, bo nie

potrafiliśmy zatamować u nich krwawienia. Choć byli mężami żyjącymi z bronią w rękę i odwagą w sercu, mężami, na których czekało już miejsce za biesiadnym stołem w Valhalli, ciężko im było czekać na śmierć. Nie żal jest umrzeć w boju, ale leżeć, gdy ucichnie bitewny zgiełk, nie jest łatwo, nawet najdzielniejszemu wojownikowi.

Wędrowaliśmy dalej wzdłuż wybrzeża, aż piątego dnia wiatr odpuścił. Głód zaczął nam mocno doskwierać i niektórzy przebąkiwali, że należy zabić te pięć koni zabranych z grodu. Słyszając to, ja i Eystein mocniej zacisnęliśmy dłonie na drzewcach toporów. Eystein stwierdził, że nie będziemy zabijać żadnych koni; tak czynią tylko dzikusy. Raczej należałoby skierować się na południe, w głąb lasów, i tam zapolować. Nikt głośno nie zaprotestował, ale nikt też nie poszedł na południe, posuwaliśmy się dalej brzegiem morza. Wciąż mieliśmy nadzieję, że wypatrzymy statki na horyzoncie. Znaleźliśmy trochę suchego drewna zalegającego na brzegu, które porąbaliśmy i dźwigaliśmy ze sobą; zauważywszy statki, moglibyśmy natychmiast rozpaść ognisko. Obyśmy tylko ściągnęli uwagę jomswikingów, a nie Sigvaldego i jego ludzi.

Pięć dni stało się sześciodni. Wreszcie wróciła odwilż, śnieg na wydmach stopił się i spłynął jeszcze przed zachodem słońca. Tego wieczoru zbudowaliśmy swego rodzaju schronienie na plaży. To było tylko kilka wetkniętych w ziemię włóczni i kijów, na których rozpięliśmy nasze płaszcze. Nacięliśmy gałązek ze skarłałych sosen i przykryliśmy nimi mokry piach. Rozpaliliśmy niewielkie ognisko, ledwo nam się udało rozgrzać w nim noże, które przykładaliśmy do niezamkniętych ran, bo niegojące się rany często ropieją. Wciąż mam odcisnięty kształt noża Eysteina na przedramieniu.

Prosiliśmy w modłach Odyna i Freję, żeby Vagn zjawił się jak najszybciej ze swoją flotą. Żeby nas wypatrzył na tym pustkowiu i zabrał ze sobą. Być może musielibyśmy pociągnąć dalej na wschód, moglibyśmy wznieść nowy gród gdzieś w Estonii. Tych ziem jomswikingowie nie najeżdżali od dziesięcioleci i nie było tam hovdingów na tyle potężnych, by mogli nas przegnać.

Tej nocy śniło mi się, że śpię w domu, w Jomsborgu. Gdy się ocknąłem, wciąż było ciemno i przez chwilę miałem wrażenie, że wyciągnąwszy rękę, wyczuję plecy brata tuż obok siebie. Wtedy zorientowałem się, że nie mam pod sobą skór, tylko gałęzie;

marzłem i bolała mnie rana na przedramieniu. Vingur stał z pochyloną głową, grzbiet okrywał mu obszarpany płaszcz. Fenrego nie było nigdzie widać.

Znalazłem go na plaży. Mój mały, trójnogi psiak stał nad linią wody, a martwa fala opłukiwała piach między jego łapkami. Na horyzoncie jaśniała leciutka poświata, domyślałem się, że lada moment wszędzie słońce. Fenre uważnie wpatrywał się w smugę światła i ja także, stanąwszy obok, gapiłem się na morze, dopóki nie zjawił się Eystein. On także zaczął wpatrywać się w dal, mrużąc oczy, i stwierdził, że chyba coś widzi.

Szybko rozpalono ognisko na pagórku za mną. Wrzuciliśmy w płomień cały zapas drewna, potem stłoczyliśmy się za wzniesieniem. Nie miałem przy sobie łuku, ale w zgrabiących z zimna dłoniach ścisnąłem topór i znów byłem gotów do walki, gdyby się okazało, że ściągnęliśmy sobie na kark wroga.

Najpierw naszym oczom ukazał się jeden statek. Wypłynął z szarej poświaty poranka i przez chwilę stał w miejscu z wiosłami uniesionymi do góry, w odległości kilku strzałów z łuku od plaży. Fala wkrótce obróciła statek bokiem, zobaczyliśmy wioślarzy na ławach i dwóch mężczyzn na dziobie. Jeden wskazywał ręką w stronę lądu, drugi chyba trzymał łuk. Wtedy pojawił się długi rząd łodzi, od pierwszego statku dzielił je pewien dystans.

– Czy to nasze statki? – zapytał ktoś.

– Poznają ten najbliższy – rzekł Eystein. – Ale co, jeśli na pokładzie są ludzie Sigvaldego?

O tym leżący obok mnie za wzgórzem jomswikingowie woleli nie myśleć. Jeśli byłaby to prawda, zdradzenie naszej pozycji równałoby się wyrokowi śmierci. Tamci przybiliby do brzegu, a my, wygłodzeni i zmęczeni, nie dalibyśmy rady opierać się zbyt długo.

– Kto wy?! – dobiegł nas okrzyk ze statku. Jeden z dwójki mężczyzn na dziobie podniósł rękę i pomachał.

Wtedy zerwałem się na równe nogi. Potykając się, zbiegałem plażą nad brzeg z toporem w ręku i Fenrem depczącym mi po piętach, choć kryjący się za wzniesieniem Eystein i pozostali kazali mi natychmiast wracać.

Tamten człowiek ponownie zawołał:

- Ty tam, na plaży! Skąd jesteś!?
- Z Jomsborga! – Uniosłem topór nad głową.
- Tyś Torstein Tormodson, prawda?
- Tak! Czy mój brat jest z wami?

Nie doczekałem się odpowiedzi, jednak wiedzieliśmy, że na statkach są Jomsborgczycy. Wkrótce zebraliśmy się całą grupą na plaży, a trzy jednostki, pokonując fale przyboju, popłynęły w naszą stronę. Zostaliśmy zabrani na statki, również konie udało się wciągnąć na pokład, po czym wioślarze usiedli twarzą w przeciwnym kierunku i popłynęli z powrotem.

Wkrótce wyszliśmy daleko w Bałtyk i już nie widzieliśmy lądu. Łącznie było czternaście statków, ale dowiedzieliśmy się, że wielu ludziom nie udało się przedrzeć przez jezioro. Przy ujściu rzeki stali łucznicy, ostrzeliwując statki; na niektórych jednostkach straty były tak duże, że nie miał kto siadać do wiosł. Rozpytywałem na naszym statku o swojego brata, lecz nikt nie wiedział, co się z nim stało. Wykrzychałem też pytanie do sąsiednich langskipów, ale stamtąd też nie doczekałem się odpowiedzi. Wiedzieliśmy, że skoro tylko czternastu langskipom udało się wymknąć, straty w ludziach były ogromne. Czternaście statków; na wielu z nich nie można było obsadzić wszystkich wiosł. Pewien siwobrody, Fjole mu było, sądził, że Vagn skompletuje pełne obsady, a pozostałym statkom, które nie były potrzebne, pozwoli oddryfować.

Nad ranem wiatr ucichł. Zmarło dwóch rannych. Zostali zawinięci w swoje płaszcze, przytroczyliśmy im topory z tyłu do pasa i opuściliśmy w morskie odmęty. Pomagałem przy przenoszeniu jednego z nich. Był to młody człowiek, nie znałem jego imienia, ale przychodził często do kuźni po groty do strzał. Gdy inni już wypuścili go z rąk, ja nie potrafiłem. Miałem wrażenie, że tylko śpi; że wcale nie umarł. Był jednak martwy, a ja trzymałem go za kubrak, którego szwy stopniowo puszczały. Fjole zapytał, czy to tego mężczyzny szukałem, czy to był mój brat.

Posuwaliśmy się dalej na wschód, trzymając się linii brzegowej na odległość uniemożliwiającą wypatrzenie nas od strony lądu. Płynęliśmy trzy dni, zmagając się

z martwą falą. Od ran doznanych w bitwie zmarło jeszcze kilku wojów i zostali wrzuceni do morza. Nagle zabrzmiał dźwięk rogu Vagna, a jego statek wykonał zwrot i ustawił się w kierunku południowym. Pozostałe jednostki poszły jego śladem. Na pokładach stały beczki na deszczówkę, teraz puste. Jedzenia również nie mieliśmy, więc zakładaliśmy, że Vagn wyśle ludzi na polowanie. Zapewne też zbierze się rada. Eystein uważał, że Vagn i Aslak powiedzą nam, jak będzie wyglądała dalsza część wyprawy, lecz żaden z nas nie zostanie zmuszony, by w niej uczestniczyć.

Tego wieczoru przeprawiliśmy się na płyciznę, skąd, brodząc, dotarliśmy na brzeg. Zabraliśmy ze sobą konie. Na plaży nie było wydm, które dałyby nam schronienie przed wiatrem, ale leżało tam drzewo, prawdopodobnie sosna, którą fale przed laty wyrzuciły na ląd. Kora już dawno została splukana, a drewno wyblakło na słońcu i nabrało barwy starych kości. Vagn wspiął się na pień, tak że górował nieco nad nami i stał w milczeniu wśród kikutów gałęzi, przyglądając się zebranym.

– Na południe! – Wskazał palcem w kierunku wydm. – Tam czeka nas złoto i sława!

Być może inni wiedzieli, co ma na myśli, ja jednak nie miałem pojęcia. Aslak stał obok pnia, obejmując wąskie ramiona Torgunn, jego twarz przybrała zatroskany wygląd i najwyraźniej nie podobało mu się to, co słyszy.

– Południe to przecież w głębi lądu! – rozległ się okrzyk.

Ta oczywistość najwyraźniej przeraziła zebranych.

– Naszym żywiołem jest morze! – zawołał inny głos.

W odpowiedzi Vagn omiół wzrokiem otaczający go tłum.

– Mężowie, nie zapominajcie, kim jesteście! Władcy płacą szczerze za wasze usługi!

Rozległo się aprobujące pomrukiwanie, że to prawda, nie możemy o tym zapominać. Vagn zszedł z pnia, a Aslak wydał rozkazy kilku wojom, którzy natychmiast wskoczyli na przyprowadzone przez nas konie. Vingur został. Bałem się, że też go wyśle z jeźdźcem na grzbiecie, więc przypadłem do Aslaka. Odprowadzał wzrokiem odjeżdżających wojów i nawet na mnie nie spojrzął.

– Nie gorączkuj się, chłopcze. Nie mam w zwyczaju wysyłać z misją mężczyzn na kulejących konikach.

Potem wybrał kilku z nas. Mieliśmy się rozproszyć i przejść między wzgórzami

w kierunku południowym; ciągnął się tam las, w odległości kilku strzałów z łuku od brzegu morza. Tam powinniśmy znaleźć wodę.

Powędrowałem sam. Ogarnęło mnie przygnębienie i gdy Eystein zapytał, czy ma pójść ze mną, tylko pokręciłem głową. Poszedłem między wydmami, tak jak polecił Aslak, i wkrótce miałem przed sobą las. Działo się to przed pozogą, która spustoszyła północne ziemie Wendów; tu stał bukowy las ciągnący się na południe na wiele dni konnej jazdy. Las był chroniony gęstym pasem utworzonym ze skarłałych, przygiętych wiatrem sosen. Szedłem śladami kopyt, które zostawili po sobie nasi jeźdźcy, i po jakimś czasie zrozumiałem, że musieli znać te tereny, bo ślady prowadziły do wydeptanej ścieżki, i zaledwie na odległość rzutu kamieniem w głąb lasu odnalazłem obozowisko. Z kamieni ułożono niewielki krąg, w palenisku wciąż znajdował się popiół, leżał tu nawet bukowy pień ze zdjętą korą. W tym miejscu z pewnością nocowali myśliwi i łowcy.

Przez dłuższą chwilę siedziałem na przewróconym pniu, gapiąc się przed siebie. Nie płakałem. Był we mnie inny rodzaj smutku. Smutku, który niósł ze sobą olbrzymią złość. Pamiętam, że ukląknęłam przy wypalonym ognisku i zacząłem strugać zwęglone gałęzie na drzazgi. Palce mi się trzęsły, ledwo mogłem w nich utrzymać krzesiwo i krzemień. Nie miałem przy sobie hubki, próbowałem więc krzesać iskry prosto na drzazgi, ale nie chciały zająć się ogniem. Z wściekłością cisnąłem krzesiwem o ziemię, to samo zrobiłem z mieszkiem na krzemień i krzesiwo, oderwawszy go uprzednio od pasa. Chwyciłem jeden z kamieni wokół paleniska i rzuciłem nim w stronę gęstwiny, co tak wystraszyło Vingura, że pogalopował z powrotem na plażę. Nie dbałem o to. Pamiętam, że padłem jak podcięty i leżałem, krzycząc, aż ochryłem.

Gdy się w końcu pozbierałem z ziemi, zauważyłem w popiele coś błyszczącego. Podniosłem to. Był to kamień słoneczny, który pokazał mi Bjørn; ten, który miał nam pomóc znaleźć właściwy kurs na morzu. Musiał włożyć go do mego mieszka przed bitwą.

Przeleżałem przy wypalonym ognisku do zmroku. Wtedy odnalazł mnie Eystein z kilkoma towarzyszami. Wypełnił mnie smutek po stracie Bjørna i zanurzyłem się w mrok tak głęboki, że nie sądziłem, bym się mógł z niego kiedykolwiek wydostać.



Przez pierwsze trzy dni pobytu na tamtej plaży niczego nie jadłem. Siedziałem oparty plecami o burtę i gdyby nawet cała flota Sigvaldego szła na nas, ani bym drgnął. Mogliby mnie posiekać, nic mnie już nie obchodziło.

Vagn nie poinformował nas, na co czekamy. Rozmawiał pewnie z Aslakiem i z córką, pozostałych trzymał w niepewności. Czwartego ranka na statku zjawił się sternik o imieniu Lodde i zaczął kopać mnie w stopy. Gdy w końcu jakoś się pozbierałem i wstałem, podbiegł Eystein i stanąwszy za mną, chwycił mnie z całej siły za ramiona.

Tego poranka wmuszono we mnie kaszę i wiano cały garniec piwa. Na szczęście Aslak składował piwo na kilku statkach, robił tak każdej wiosny, gdy ocieplało się na tyle, że napitek nie zamarzał. Dowiedziałem się później, że sam Vagn pozwolił Aslakowi pić piwo, ponieważ piwo uśmierzało bóle. Zadziwiające, że ból tkwił w ręce, której nie było, a na to pomagały tylko spore ilości trunku. Upito mnie zatem piwem Aslaka, co nie było najmądrzejszą rzeczą, jaką mogli zrobić, bo zacząłem wymiotować. Chwycili mnie wówczas za ręce i przechylili głowę za burtę. Następnie obwiązali mnie liną w pasie, której koniec przymocowali do masztu. Zwisiałem tam, rzygając od czasu do czasu w szaroniebieskie fale. Widziałem inne łodzie wokół siebie, statek Vagna stał o rzut kamieniem od naszego. Widziałem Torgunn z ojcem na pokładzie rufowym. Vagn trzymał rękę na jej brzuchu. Teraz był jeszcze większy. Zastanawiałem się, czy powiedziała mu, kto jest ojcem dziecka. Vagn nie mógł już niczego zrobić Bjørnowi. Na tę myśl popłakałem się, więc Eystein przy pomocy innych położył mnie na pokładzie. Wiano we mnie jeszcze więcej piwa i zdaje się, że zasnąłem i spałem nieprzerwanie aż do następnego dnia.

Szesnastego dnia wrócili jeźdźcy wysłani przez Vagna. Nie byli jednak sami. Towarzyszył im wedyjski oddział liczący dwunastu konnych. Byli odziani w skóry i futra i wyglądali dziwacznie z krótko obciętymi włosami i kolczykami w uszach. Staliśmy przy nadburciu, gapiąc się na nich, podczas gdy Vagn i Aslak przeprawili się na brzeg. Wendowie pozostali w siodłach, gdy przemawiał do nich Vagn. Nie słyszałem, co mówił, ponieważ silnie wiało tego dnia. Nie padło jednak zbyt wiele słów, bo po krótkiej chwili Vagn odwrócił się i przywołał nas gestem ręki. Podniesiono

kotwice, a mnie posłano na skrzynię wiosłarską. Silnie pociągając wiosłami, wpłynęliśmy na plażę.

Aslak rzucał rozkazy. Mieliśmy zdjąć żagle i złożyć je w ładowni, wiosła przymocować do nadburcia, szoty i fały ściągnąć i użyć ich jako lin. Ja i kilku innych Jomsborgczyków zostaliśmy odkomenderowani do ścinania buków i sosnowych gałęzi. Z buków zrobiliśmy okrągłaki, złapaliśmy liny zwisające po obu stronach każdego kadłuba i wciągnęliśmy statki po okrągłakach na ląd, jeden po drugim. Wkopywaliśmy w piasek sosnowe gałęzie, by posłużyły jako paliki do zakotwiczenia. Zapakowaliśmy cały sprzęt, broń, koce i skóry; zabraliśmy cały zapas ryb, suszonego mięsa i wody, a następnie stanęliśmy w szyku na plaży. Przemówił do nas jeden z Wendów, ale nie sądzę, by ktokolwiek go rozumiał. Wend sprawiał niecodzienne wrażenie. Miał nie tylko krótkie włosy, ale również kruczoczną małą bródkę w szpic. Nosił skórzaną zbroję i narzucony na nią płaszcz, spięty na ramieniu srebrną zapinką wielkości pięści. Z tyłu siodła zarówno u niego, jak i u pozostałych wendyjskich jeźdźców był przytroczony łuk o dziwnym wyglądzie. O połowę krótszy od naszych długich łuków, z końcówkami zagiętymi w przód. Strzały były zebrane w rzędzie w spłaszczonym kołczanie zrobionym ze skóry, a kołczan, podobnie jak i łuk, był przytroczony do tylnej części siodła.

Gdy jeździec skończył przemawiać, zawrócił konia i ruszył stępa w stronę sosnowego lasu. Aslak ryknął, żebyśmy ruszali za Wendem. I że nie chce słyszeć żadnego narzekania. Czekala nas długa droga.



## 26

### Na służbie u króla Wendów

**O**wędrowce przez ziemie Wendów niewiele mam do powiedzenia. Dla mnie były to mroczne dni i wraz z upływem lat większość zapomniałem. Pamiętam ulewę drugiego dnia wędrówki, którą wiatr przygnał z południa i która splukała ostatnie plamy śniegu. Pamiętam Eysteina Pierdziucha, który pewnego wieczoru, siedząc przy ognisku, zgolił sobie brodę i włosy, co wprowadziło jednego z naszych w zdumienie i chciał koniecznie dowiedzieć się, jakie to szaleństwo go opadło. Jak się okazało, Eystein usłyszał, że Wendom dokuczają wszy, a nie chciał mieć zawszonych włosów i brody. Pamiętam, że Vagn przemówił do nas pewnego wieczoru, nakazał, byśmy nie zapominali, kim jesteśmy, i chociaż mieliśmy teraz służyć królowi, to Vagn wciąż będzie naszym hovdingiem. Na jego słowa wzniesiono miecze i topory, a wojowie wydali z siebie skowyt niczym stado wilków, ja jednak siedziałem na uboczu i nie wtórowałem im.

Wędrowaliśmy przez trzy tygodnie. Dziwnie płaska była to kraina, ledwie jakieś pagórki dało się wypatrzeć. Przedzieraliśmy się przez liściastą puszczy, która zdawała się nie mieć końca, a dwunastu jeźdźców na czele wskazywało nam drogę. Dowiedziałem się, że w niedużej odległości na prawo od nas płynie Odra; to była ta sama rzeka, która wpadała do morza koło Jomsborga.

Eystein powiedział później, że przez cały czas tamtej wędrówki przypominałem umarlaka z Helheimu. Nie miałem siły jeść i pić, współtowarzysze musieli piec i kroić na kawałki mięso dla mnie, podstawiać mi kubek z wodą. Vingurem zajmował się Eystein, a Fenre przeważnie trzymał się Torgunn, pewnie dlatego, że dbano, by mogła dobrze zjeść zarówno rano, jak i wieczorem. Ludzie zagadywali do mnie, Aslak groził,

że mnie wygna, nie odnosiło to jednak żadnego skutku.

Potrzeba było około dwudziestu dni, bym się wyrwał z otepienia i co dziwniejsze, nie pomogły tu ani pokrzepiające słowa Eysteina i innych przyjaciół, ani pogróżki Aslaka, tylko muchy. Co prawda była to jeszcze wczesna pora roku, ale znaleźliśmy się na terenach bagnistych, a jeźdźcy doprowadzili nas do traktu wyłożonego przegniłymi belkami, gdzie w okamgnieniu opadła nas chmara owadów. Nie mogliśmy pojąć, jakim cudem pojawiły się o tak wczesnej porze roku. Tu, na południu, wiosna musiała przychodzić wcześniej. Owady były żądne krwi i potu, wpełzały pod ubranie i żądliły, gdy tylko znalazły kawałek gołej skóry. Nie mam pojęcia, czy na tamtych bagnach zaatakowały nas jakieś małe bąki, czy wyrosnięte meszki. W każdym razie musiałem się skupić na czymś innym i gdy w końcu zerwał się wiatr, a muchy na powrót przyczały się w trawie, poczułem się tak, jak po przebudzeniu z długiego snu. Postanowiłem, że koniecznie muszę ustalić, co stało się z moim bratem. Lecz tego wieczoru, obchodząc kolejne ogniska i wypytując, czy ktoś widział jego śmierć, niczego konkretnego się nie dowiedziałem. Wiedzieli jedynie, że był na jednym ze statków, które utknęły na rzece.

Siedziałem do późna w nocy, wyobrażając sobie, jak mój brat stoi na brzegu rzeki w obliczu Sigvaldego, dumny i odważny, pokryty ranami, a kolejni jomswikingowie wokół niego dają katu głowę. W końcu Sigvalde wskazuje na Bjørna palcem i mówi, że temu wojowi daruje się życie, bo mężczyzna, który okazuje taką odwagę, ma po swej stronie Odyna. A Sigvalde nie chciałby Odyna rozgniewać. Długo podtrzymywałem w myślach taki obraz, ale poddałem się z nadejściem świtu. Wtedy ujrzałem oczami wyobraźni, jak wywlekają Bjørna na brzeg, jest półżywy z powodu utraty krwi i nawet nie zauważa topora opadającego na jego kark.

Dwa dni później dotarliśmy do miejscowości, którą my, jomswikingowie, nazywaliśmy Leśnym Jarem, czyli Veitskog. Wendowie nazywali ją inaczej, ale tej nazwy nigdy nie udało nam się wymówić. Wielkim miastem to raczej nie było, zabudowań nie stało tu więcej niż na długość trzech strzałów z łuku. Lecz na wzniesieniu górował okrągły fort wybudowany z drewna i gliny, a za przedpiersiem straż pełniło wielu łuczników. Wyłożona drewnianymi belkami ulica wiodła nas między budynkami, a na wzgórzu otwarto przed nami masywne dębowe wrota.

Nigdy nie zapomnę chwili, gdy wkroczyliśmy do halli Burysława. Synowie często mnie pytają, czy wtedy padliśmy na kolana przed władcą Wendów, a ja zawsze odpowiadam, że nigdy nie zgiąłem kolan przed żadnym królem. Czy mi wierzą, trudno orzec. Ale prawda jest taka, że maszerując do fortu na wzgórzu po trzytygodniowej wędrówce, umówiliśmy się, że nie uklękniemy przed wendyjskim władcą i że nikt nie odda broni. Nawet gdyby Vagn nas prosił, nie zrobimy tego. Być może mieliśmy teraz służyć jakiemuś królowi, ale nadal byliśmy jomswikingami.

Wkrótce miało się okazać, że Burysław wcale nie oczekiwał, że będziemy przed nim klękać. Wystarczyła mu obietnica, że będziemy dla niego zabijać. A to właśnie przyrzekł mu Vagn tamtego wieczoru. Trzeba też powiedzieć, że przybycie jomswikingów było oczekiwane. Posłańcy Vagna właśnie tu dotarli, wioząc ze sobą pierścień z runą naszego hovdinga. Był to dawny obyczaj wśród królów i hovdingów. Ten, który słał swój pierścień, prosił o sojusz. A Burysław niczego sobie bardziej nie życzył niż tego, by Vagn ze swymi jomswikingami stanął u jego boku. Widłobrody urósł w siłę bardziej, niż to się uśmiechało Burysławowi, i dlatego król Wendów próbował opłacić złotem lojalność Vagna. Wiadomość o upadku Jomsborga dotarła do Burysława, jeszcze zanim przybyliśmy do Veitskog, przyniosły ją wody rzeki w ciągu kilku dni. Potem zjawili się dwaj jeźdźcy z pierścieniem Vagna, ale Burysław wiedział, że nasza sytuacja przedstawia się teraz niewesoło, bo gdy Vagn stanął przed jego obliczem w halli, nie było już mowy o zapłacie w złocie. Mężom z Jom zapewni się dach nad głową i jedzenie na stole. To ma być ich zapłata za służbę u króla. Złoto mogą sobie zrabować u tych, których zabijają. Nie spodobało się to Vagnowi. Rzekł, że złoto obiecane im przez Burysława ma się natychmiast znaleźć na stole, albo jomswikingowie spalą gród, wybiją wszystkich, nie oszczędzając kobiet i dzieci. Przez hallę przebiegł szmer. Stałem dość daleko z tyłu, ledwo udało mi się przekroczyć próg, a za mną stał jeszcze Oracz i kilkudziesięciu mężczyzn, bo nie było w środku dość miejsca dla nas wszystkich. Słyszałem, że na przedzie Vagn przemawiał szorstkim tonem, ale nie udawało mi się wychwycić wszystkich słów. Widziałem jednak, że wskazywał na ludzi siedzących za długimi stołami i w jego głosie słychać było groźbę. Stałem, zaciskając dłonie na toporze, i przez moment sądziłem, że Aslak wyda rozkaz ataku. Byłem temu niechętny, widziałem, że ci ludzie się boją. Taki sam strach obserwowałem wcześniej

tego dnia, gdy maszerowaliśmy przez pola. Chłopi właśnie orali ziemię, przygotowując ją pod zasiew. Na nasz widok zatrzymywali konie i wypuszczali z rąk pługi, niektórzy uciekali w popłochu; o naszym przybyciu ostrzegały sygnały rogów dobiegające z okolicznych gospodarstw.

Z miejsca, w którym stałem, nie widziałem Burysława zbyt dokładnie, ale zauważyłem, że siedział na swego rodzaju tronie, a obok niego stał jakiś garbus, który rozmawiał z Vagnem łamaną duńszczyzną. Starzec przekazał Vagnowi, że Burysław nie lęka się żadnego człowieka, że krew dostaniemy, skoro takie nasze życzenie, lecz jeśli mielibyśmy ochotę na coś innego, to znajdzie się dla wszystkich piwo. Vagn uważał najwyraźniej, że oferta wcale nie była najgorsza, bo przeszliśmy kawał drogi i bardziej mieliśmy ochotę napić się czegoś, niż walczyć. I być może pojął, że ma niewielkie możliwości negocjowania, gdyż wyjął miecz i wznosił go nad głową. Aslak, obróciwszy się w stronę naszych szeregów, krzyknął, a my natychmiast unieśliśmy broń i zawtórowaliśmy Vagnowi, gdy z jego gardła wydobył się ryk.

Później oprowadzono nas po forcie. Pokazano nam długie domy, w których mieliśmy kwatrować, i wkrótce znowu miałem dach nad głową. Dom był mniejszy niż ten w Jomsborgu, ale strop wznosił się wyżej, a podłogę wyłożono klepkami ze starego poszycia łodzi. Przydzielono mi miejsce na ławie, podobnie jak w Jomsborgu, i otrzymałem drewniany kubek. Potem weszli niewolnicy, upiekli dla nas mięso nad paleniskiem i każdemu wiano do kubka jedną porcję piwa. Wypiliśmy, najedliśmy się do syta i wcześniej zasnęliśmy tego wieczoru.

Myśl, że jesteśmy na służbie u obcego władcy, nie należała do miłych. Było nam wstyd. Dlatego nie rozmawialiśmy o tym w ciągu pierwszych dni. Aslak krążył między domami, wydając nam polecenia każdego ranka, a my wykonywaliśmy przydzieloną nam pracę, tak jak to było w Jomsborgu. Nie słyszałem, by ktoś się skarżył, ale każdy z nas uważał, że to upokorzenie. W przeszłości my, jomswikingowie, walczyliśmy za niejednego króla, zdobywając ziemię i bogactwo, jednak nigdy nie służyliśmy królom w czasie pokoju.

Kazano mi wykuwać groty strzał. To było moje pierwsze zadanie tu, w miasteczku. W kuźni miałem pracować całą wiosnę, spędzając większość czasu przy kamieniu do

szlifowania. Stał przed drzwiami, w cieniu jesionu, i przypominam sobie, że gdy stawiałem się na miejscu po raz pierwszy, gałęzie były nagie, a tamtego dnia, gdy Aslak, zjawiwszy się przy kuźni, polecił mi iść ze sobą, drzewo pokrywały liście.

Aslak zaprowadził mnie do jednej ze stajni stojących opodal fortu, gdzie powierzono mi podkuwanie koni. Przydzielono tam także boks Vingurowi, więc to miejsce pracy bardzo mi odpowiadało. Okazało się, że Burysław otrzymał transport wytopionych z brązu podków z Miklagardu, które należało przybić do końskich kopyt. Nigdy przedtem nie widziałem podkowy, również stajenni nigdy czegoś takiego nie widzieli. Nikt z nich nie ośmielił się podkuć konia, bojąc się, że zrobią mu krzywdę, za co groziłoby im ścięcie. Zadanie zatem przypadło mnie. I muszę się przyznać, że gdy pierwszy raz przybijałem podkową do kopyta, byłem przekonany, że koń zacznie się szarpać z bólu, widziałem oczyma wyobraźni pęknięte kopyto i tryskającą krew. Bogowie jednak musieli trzymać nade mną dłoń, bo żaden koń przeze mnie nie ucierpiał. Pojąłem natychmiast, że każdą podkową należy dopasować. Zrównywałem spód kopyta, tak by żelazo mogło do niego dobrze przylegać. Widziałem, że później inni kowale postępowali podobnie.

W czasie służby u króla Wendów przybiłem setki podków, gdyż Burysław był zdania, że podkute konie wyglądają wspaniale, a nie chciał ustępować kijowskiemu Wladirowi w bogactwie i przepychu. Wkrótce po przybyciu usłyszałem, że Burysław ma tylu niewolników, że nikomu nie uda się ich policzyć, i dlatego zapalałem do niego nienawiścią. Nie byłem jedynym, który w taki sposób myślał o władcy Wendów, więc nie minęło wiele dni od naszego przybycia, gdy pewna obraźliwa przyśpiewka zaczęła krążyć po domach, w których kwaterowaliśmy: „Przyszliśmy do Burysława, bo się na wojnę zbiera, mieszkamy pod jego dachem, niewolnik mu dupę podciera”.

Vagn nie słyszał przyśpiewki, ale Aslak zajrzał kiedyś do nas z wieczora, gdy Eystein i Toke Trzy Palce, Jutlandczyk, któremu u prawej dłoni brakowało dwóch palców, podśpiewywali, sącząc piwo. Aslak wpadł we wściekłość, wytrącił kubki z dłoni obu wesołkom, po czym zrugął nas od góry do dołu. Grzmiał, że jeśli nie mamy problemu z piciem królewskiego piwa, to poniżej naszej godności powinny być takie obraźliwe przyśpiewki.

Kłamałby ten, kto by twierdził, że po tamtej awanturze nie nuciliśmy owej piosenki.

Burysław był dla nas odległą postacią, człowiekiem, z którym nikt z nas nie rozmawiał i którego bardzo rzadko widywaliśmy, kiedy jechał konno ulicami, z myśliwską włócznią, otoczony sforą psów. Był postacią przykuwającą uwagę, szczupły, ciemnowłosy, z długimi wąsami zwisającymi poniżej podbródka. Wcześniej już wiedziałem, że ożenił się z siostrą Svena Widłobrodego, Tyrą, córką Haralda. Nikt jej jednak nie widział i plotka głosiła, że małżonka uciekła. Burysław najwyraźniej tym się nie przejmował, powiadano, że każdej nocy brał do łóża inną kobietę, a wiele z nich było niewolnicami. Król Wendów miał liczne potomstwo, a dzieciom urodzonym z wolnych matek aranżowano w młodym wieku małżeństwo, by zacieśnić sojusze. Sven Widłobrody był mężem Gunnhild, córki Burysława, a Sigvalde ożenił się z jej siostrą Astrid; były też inne, a niejedno dziecko wysłano na południe do możnowładców i hovdingów, których imion nie pamiętam. Krążyły plotki, że jeśli Torgunn urodzi dziewczynkę, Vagn obieca małą jednemu z synów Burysława, może nawet samemu Burysławowi. Z tego powodu wszyscy mieliśmy nadzieję, że urodzi się chłopak, którego będziemy mogli szkolić. Może to i prawda, że byliśmy na służbie u Burysława, ale sądziliśmy, że to nie potrwa długo. W ciągu jednego popołudnia można było dojść z fortu nad brzeg Odry uchodzącej do morza przy Jomsborgu. Być może gród był stracony, ale gdyby udało się nam zdobyć nowe statki i wypłynąć nimi na morze, znów bylibyśmy wolni.

Vagn przywiódł nas do Veitskog i oddał na służbę obcemu królowi pewnie dlatego, że nie chciał, by jego córka rodziła pod gołym niebem. Widzieliśmy, że jej brzuch robi się coraz większy. Pamiętam, że zapytałem Eysteina, czy wie, kto jest ojcem. Eystein nie słyszał żadnych plotek na ten temat.

– Pewnie jeden z poległych – rzucił.

Siedzący wokół ogniska zgodnie pokiwali głowami. Pewnie tak, bo gdyby chodziło o kogoś z tych, którzy przeżyli, to Vagn by go dawno zaszlachtował. Po tej rozmowie nie wracałem do sprawy.

Jak wspomniałem, do rzeki było niedaleko, a ponieważ nam, jomswikingom, cknęło się do morza, często wyprawialiśmy się nad brzeg. Rzeka oczywiście nie mogła zastąpić widoku fal i zapachu słonej wody, ale było to lepsze niż włóczenie się po miasteczku, u stóp Burysławowego fortu. Tylko ci, którzy mieli pojęcie o jakimś rzemiośle,



dostawali pracę; innym trudno było znaleźć zajęcie. Vagn na pewno by nas rozgrzał codziennymi treningami, ale w Veitskog nie było dużego dziedzińca, na którym moglibyśmy się zgromadzić, a poza tym mówiono, że Burysław nie chce widzieć jomswikingów z bronią w ręku, chyba że sam wydałby taki rozkaz. W rezultacie chodziło się na polowania albo łowiło ryby w okolicznych potokach i jeziorach, a gdy tylko znaleźliśmy jakieś dobre wytłumaczenie, wyprawialiśmy się nad brzeg rzeki. Ponieważ spadł na mnie obowiązek podkuwania koni dla Burysława i jego drużynników, mogłem o dowolnej porze wypuszczać się po to, czego właśnie potrzebowaliśmy do pracy, na przykład po węgiel do paleniska lub cuchnący olej, którym Burysław kazał smarować końskie kopyta. Pracując w stajni, mogłem też brać stamtąd konie. Wystarczyło powiedzieć, że muszę sprawdzić, czy podkowy są prawidłowo osadzone.

Jeśli jestem z czegoś dumny, to na pewno z tego, że radziłem sobie z jazdą konno od pierwszego dnia, kiedy na grzbiecie konia opuściłem Veitskog. Ci, których gościłem w swojej halli, nieraz o tym słyszeli i może to brzmi jak przechwałki, ale od początku miałem dobrą rękę do koni. Oczywiście, że siedziałem przedtem na końskim grzbiecie, ale tu jeździłem na koniach wendyjskich drużynników, a trzeba powiedzieć, że większych rumaków nigdy nie widziałem. Niebawem miałem skończyć szesnaście lat i osiągnąłem wzrost dorosłego mężczyzny, a mimo to niejeden z tych koni sięgał mi dobrze ponad głowę. Był taki koń, smolistoczarny ogier, z blizną o kształcie sierpa na boku, którego dosiadłem pierwszy raz, kiedy wybrałem się nad rzekę. To młodzieńcza przekora skłoniła mnie do takiego wybryku. Gdyby Vagn lub Aslak ujrzeli mnie wtedy, pewnie wpadliby w złość. Ponieważ był to koń, którego sam Sven Widłobrody podarował Burysławowi jako część posagu Tyry. Później dowiedziałem się, że Burysław zauważył, że wyjeżdżam, a jeden z jego synów zapytał, czy mają mnie pojmać i powiesić za kradzież, ale Burysław był rozsądnym człowiekiem i kazał dać mi spokój. Zresztą miałem sprawę na brzegu rzeki. Burysław kazał masztalerzowi posłać mnie do tamtejszej kuźni po gwoździe. O zapłatę miałem się nie kłopotać, bo posłano zawczasu niewolników ze srebrem dla kowala.

Z Jomsborga wyszło nas około czterech setek wojów i czasami miało się wrażenie, że wszyscy włączyliśmy się bez celu po okolicznych lasach. Eystein i Toke Trzy Palce

wybrali się ze mną tamtego poranka i na trakcie prowadzącym do rzeki minęliśmy kilkudziesięciu Jomsborgczyków. Niektórzy mieli w garści łuki w nadziei, że uda im się ustrzelić jakiegoś zająca lub ptaka, ale napotykaliliśmy też grupki spędzające czas na pijatykach, mężczyźni gadających od rzeczy i głośno rechoczących, rozłożonych w pobliżu drogi, siedzących ciasno wokół ognisk, których dym chronił przed komarami.

Podobnie jak miasteczko wokół fortu Burysława, tak nad rzeką wyrosła osada. Wybudowano pomost z drewnianych bali, wchodzący do rzeki na długość równą rzutowi kamieniem, a wokół tego miejsca wzniesiono około setki chat i szop. Większość stała na słupach, niektóre dzielnie balansując nad wodą głęboką na tyle, że można z nich było oferować towary przybyszom cumującym przy pomoście. Gdy się zjawiliśmy, cumował tam statek typu busse<sup>26</sup>, olbrzym o kształcie balii, śmiesznie krótkim maszcie i tak szerokim kadłubie, że równie dobrze mógłby żeglować bokiem. Na pokładzie mieli futra poukładane w wysokie stosy, co rozśmieszyło Tokego, który uważał, że sprzedawanie futer w środku lata jest szczytem głupoty. Po pokładzie kręciło się trzech mężczyzn. Jeden z nich miał czarną skórę i całkiem łysą głowę, był niebieskim człowiekiem. Stanowił, rzecz jasna, niecodzienny widok i większość mieszkańców nadrzecznej osady zgromadziła się na brzegu, by mu się poprzyglądać. W osadzie zbudowano tylko jeden pomost, więc dziwiło mnie, że miejsce to nazywano Bryggene, czyli Pomosty. Ale konstrukcja była szeroka i długa i nie można jej było odmówić solidności. Tego samego nie można było powiedzieć o porozrzucanych dookoła chałupach, które sprawiały wrażenie tak mizernych, że zdmuchnąłby je byle wiatr.

Ponieważ Eystein, Toke i ja jechaliśmy konno, mogliśmy do pewnego stopnia ogarnąć wzrokiem zabudowania. Kierowaliśmy się dźwiękiem uderzeń młota nadbiegającym od strony budynków mieszczących się na prawo od przystani i tam znaleźliśmy niewielki domek z bali, przylegający do potężnego, osmalonego dębowego pnia. Po drugiej stronie pnia zobaczyliśmy palenisko i miech, a także kowadło oraz niewysokiego, ale potężnie zbudowanego mężczyznę z niezwykle szerokim tyłkiem. Gdy nadjechaliśmy, stał pochylony i jedyne, co mogłem dostrzec, to ten jego tyłek. Nie spieszył się też z wyprostowaniem się, jakby miał oczy z tyłu i mógł się nam przyglądać, szukając jednocześnie czegoś w niewielkiej skrzynce z desek.

– Oto i jomswikingowie, taa... – Zacharczał i splunął, celując między swoje bose stopy. – Zdążyłem was zauważyć. I usłyszeć, tak, tak...

Kowal pochodził najwyraźniej z Jutlandii i mówił duńszczyzną typową dla tamtego regionu. Prostując się, podniósł w górę niewielki gwóźdź.

– Takich. Takich potrzebujecie. Który z was...? – Wbił wzrok w Eysteina, potem w Tokego, a na końcu we mnie, a ja skinąłem głową. Raz jeszcze odcharknął i splunął, ale tym razem część śliny została na jego krzaczastej, brudnosiwej brodzie. Wymierzył we mnie gwóźdź. – Wiedz, chłopcze, że to głupota. Gdyby konie miały nosić takie chodaki, toby się z nimi rodziły.

Wybąkałem coś na temat Burysława, który wydał taki rozkaz, że mnie nic do tego, robię tylko to, co mi kazano. Wtedy splunął po raz trzeci, a przez prawą stronę pyzatej twarzy przebiegł skurcz, po czym syknął, że pochodzi z północy, tak jak my, ale nie zabijał mężczyzn, kobiet i dzieci na rozkaz różnych królów, z czego byliśmy znani.

– To jednak nie ma znaczenia – dodał. – Bo teraz zostaliście ludźmi Burysława i do końca życia nimi będziecie. – Myśl ta chyba mocno rozbawiła tego rozłożystego człowieczka, bo ryknął śmiechem, a zatrzaszkując wieko skrzynki, wciąż chichotał. Opanował się dopiero, gdy podszedł i wręczył mi skrzynkę.

– Nie musisz płacić – rzekł. – Było tu niedawno kilku niewolników i przekazali mi srebro.

Opuszczaliśmy osadę zaopatrzeni w gwoździe. Później dowiedziałem się, że Burysław często zlecał niewolnikom zadania wymagające pewnej odpowiedzialności, a wielu z nich nawet uczyło się pisać i czytać, sztuki zazwyczaj zarezerwowanej dla skaldów i kronikarzy. Wysyłając tego poranka grupę niewolników do kowala, chciał z pewnością sprawdzić, czy są mu posłuszni, czy może znajdował się wśród nich ktoś, kto będzie próbował ucieczki.

W towarzystwie Eysteina i Tokego wjechałem w las. Siedząc na końskim grzbiecie, odnalazłem odpowiedni rytm, co nie uszło uwadze Eysteina. Zapytał, czy już jeździłem konno. Odpowiedziałem, że nie, z wyjątkiem dnia, w którym uciekaliśmy z Jomsborga. Eystein uważał, że stroję sobie z niego żarty. Siedziałem z jedną ręką spoczywającą na udzie, lejce trzymałem w drugiej, nie musiałem jednak kierować koniem. Wydawało się, że ogier sam czuł, dokąd zmierzam, i wybierał właściwą drogę. Oczywiście

dawałem mu sygnały kolanami, ale tego ledwo sam byłem świadomy i cieszyła mnie myśl, że mam dziwną władzę nad tym ogromnym zwierzęciem, którego dosiadałem. Jechałem na czele naszej trójki, Eystein i Toke byli zdania, że powinniśmy wjechać głębiej w las i poszukać śladów dzików, miało tu ponoć biegać mnóstwo tłustych osobników. Znajdowaliśmy się w odległości kilku strzałów z łuku od miasteczka, a na prawo od traktu, otoczona buczyną, rozpościerała się polana. Pośrodku tego niewielkiego leśnego prześwitu stała kobieta. Była do nas zwrócona plecami i chyba nie zauważyła, że nadjeżdżamy. Szczupła postać, odziana w długą brązową koszulę z grubej tkaniny, zwyczajnej wśród niewolników. Jej rude, kręcone włosy spływały na plecy. Zatrzymałem konia. Eystein i Toke też ją zauważyli i zamilkli. Również tak kiedyś stałem, wracając z uczty ofiarnej u Haralda Rudego w Skiringssalen. Czy dziewczyna zatrzymała się w lesie, podobnie jak ja wówczas, wyobrażając sobie wolność, która czekała na nią, gdyby tylko ośmieliła się stąd uciec?

– To jedna z niewolnic Burysława – odezwał się Eystein i napał na mnie koniem. – Zostaw ją w spokoju, Torsteinie.

W tym momencie się obejrzała. Patrzyła na nas odważnie, nie spuszczając ani na moment wzroku.

Kłamałbym, utrzymując, że od razu ją poznałem. Jest mi trochę wstyd, że tak właśnie się nie stało. Niewolnicy Burysława nie nosili obręczy, byli zawsze czyści i dobrze odżywieni. Minęło jednak półtora roku, a w ciągu tego czasu dziewczyna, wobec której żywiłem ciepłe uczucia, stała się kobietą. Tak, przed nami stała Sigrid z Orkadów.

Podmuch wiatru omiół polanę i w mgnieniu oka powietrze wypełniło się wirującymi nasionkami i pyłkami kwiatów. Między drzewami zbliżał się jakiś łyсы mężczyzna, który trzymał w obu rękach pęk zielonych łodyg. Za nim podążała czarnowłosa, niewysoka kobieta, niosąc po jednym jajku w każdej dłoni. Spojrzała ku nam spod oka i rzuciła kilka słów po wendyjsku do swego towarzysza.

Ja, Eystein i Toke pozostawiliśmy w siodłach, gdy tamta trójka weszła na trakt. Sigrid, mijając nas, spojrzała na mnie, a ja o mały włos nie zeskoczyłem z konia, by wziąć ją w ramiona. Ale ona odwróciła się tyłem i cała trójka udała się w swoją drogę. Eystein chciał się dowiedzieć, co mi dolega. Dlaczego stoję jak wryty i tak się gapię?

Wymamrotałem, że ją znam. Wiem, kim jest, że przedtem nie była niewolnicą...

Nie wiem, czy Sigrid rozpoznała mnie tamtego dnia. Od czasu, gdy ją wydano za mąż, zmieniłem się z chłopca w młodego mężczyznę. Moją twarz okalała teraz gęsta, ciemna broda, a bary miałem szersze niż zazwyczaj chłopcy w moim wieku. Poza tym byłem odziany jak wojownik, w solidne, dobrze uszyte ubranie.

Ruszyłem za nią. Jednak łysy człowiek i jego żona pociągnęli ją w stronę zarośli i słyszałem, że puścili się biegiem. Chciałem zeskoczyć z siodła i pognać za nimi, ale dogonił mnie Eystein.

– Oszalałeś? To niewolnica Burysława!

Toke mruknął, że mi się pewnie zachciało i nic w tym złego, że w moim wieku trudno kontrolować takie chciejstwa.

Pozwoliłem Sigrid wymknąć się tego dnia. Jednak kiedy tylko dotarliśmy do Veitskog, zacząłem rozpytywać o nią wśród jomswikingów i wkrótce wiedziałem, że dopiero od niedawna jest własnością Burysława. Przysłał mu ją Sven Widłobrody i przypomniało mi się, że przecież podczas naszego pobytu coś napomknął o irlandzkich niewolnikach, pamiętałem też człowieka zabitego przez Sigvaldego. Nie mogłem się otrząsnąć z myśli, że Sigrid być może była w Trelleborgu tego dnia, gdy się tam zjawiliśmy.

Jak tylko wróciliśmy do miasteczka, zabrałem Fenrego i poszedłem z nim do fortu. Nie można było tam wejść, o ile nie miało się konkretnej sprawy do załatwienia, ale przecież ja miałem ze sobą skrzynkę gwoździ. Gdyby ktoś pytał, mógłbym powiedzieć, że idę do stajni.

Tamtego wieczoru nie ujrzałem Sigrid, ale udało mi się ustalić, gdzie sypia. W murach fortu było niewiele budynków z powodu małej przestrzeni. Nie był to fort, w którym wszyscy mieszkańcy Veitskog mogliby znaleźć schronienie na wypadek ataku, na to był zbyt mały. Wewnątrz murów znajdowało się sześć długich domów otaczających kołem hallę Burysława, ponadto były stajnia i obora. Wendyjscy druzynnicy zajmowali pięć długich domów, a w szóstym mieszkali niewolnicy i wystarczyło iść za Fenrem, żeby ustalić, który to budynek. Z domu niewolników wydobywała się specyficzna woń, bo gotowano tam zupę na kościach i okrawkach, którymi zazwyczaj pogardzali druzynnicy. Podążyłem za swoim trójnogim

przewodnikiem i po krótkiej chwili wetknąłem głowę do budynku zajmowanego przez niewolników. Dostrzegłem palenisko, a wokół niego jakieś półnagie postacie, poczułem ostrą woń potu oraz zwierzęcych skór, ale Sigrid nie udało mi się wypatrzeć, bo nagle ktoś chwycił mnie za ramię i rzucił mną o ziemię. Dwóch druzynników, czarnowłosych, z brodą w szpic, przyuważyło mnie i miało ochotę porachować mi kości, bo przecież nic mi do niewolników Burysława. Nie mieli broni za pasem, ale pewnie założyli, że im się nie przyda, skoro ich było dwóch, a ja jeden. Wymierzyli mi kilka kopniaków w uda i plecy. Otrzymałem też cios w prawe biodro, tuż obok starego stłuczenia. Pałący ból przeszył nogę z góry do dołu, co sprawiło, że popuściłem mocz. Jeden z napastników wytknął mnie palcem i parsknął śmiechem. Nie całkiem pamiętam, co później nastąpiło, ale po chwili pierwszy z Wendów leżał na ziemi z zakrwawionymi ustami, podczas gdy ja trzymałem drugiego za kubrak na piersi, rąbiąc go łokciem w twarz; chwyt, którego nauczył mnie Oracz. Żal po stracie Bjørna wciąż mnie nie opuszczał, a widok Sigrid w lesie wystarczył, by wzbudzić we mnie agresję wypływającą z poczucia bezsilności.

Wkrótce rozeszła się wieść, że tamtego wieczoru Torstein Szkutnik obił dwóch wendyjskich druzynników. Ja sam trzymałem język za zębami, ale wróciłem do domu z pokrwawionymi kłykciami, i chociaż Eystein nie doczekał się odpowiedzi, gdy pytał, co się stało, było dla niego jasne, że poszedłem szukać napotkanej w lesie niewolnicy. Tego samego wieczoru Aslak dostał wezwanie do Burysława. Jednoręki przybrał mocno zafrasowany wyraz twarzy, przeprasząc za zajście i obiecując, że winny zostanie ukarany; żadnej kary jednak nigdy nie dostałem. Aslak odwiedził nasze domy następnego wieczoru, wychylił kufel piwa przy palenisku, pomasował kikut, po czym powiedział nam, że pobito jakichś Wendów i żeby coś takiego więcej się nie powtórzyło. Jeśli zjawiliby się u nas ktoś od Burysława i wypytywał, mieliśmy mówić, że nie wiemy, kto to zrobił, ale że za karę pozbawiono nas piwa. Wzniósł kufel, kazał przyrzec, że będziemy spokojni, za co wszyscy wypiliśmy.

Chociaż mnie nie ukarano, przez swoje wybuchy gniewu narobiłem sobie kłopotów. Nie mogłem samemu chodzić do fortu, bo to nie było bezpieczne. Wendowie nie żywili do nas, jomswikingów, zbyt przyjaznych uczuć, a mnie wręcz znienawidzili. Zacząłem chodzić uzbrojony w duna, co zdawało się trzymać „szpicbrody”, jak ich nazywaliśmy,

na dystans. Eysteinowi Pierdziuchowi zlecono nadzór nade mną. Tak rozkazał Aslak, który doskonale wiedział, że to ja narozrabiałem przy domu niewolników. Wciąż byłem odpowiedzialny za podkuwanie koni, a teraz takie zadanie otrzymał również Eystein.

Nie miało sensu wybierać się do domu niewolników, by szukać tam Sigrid. Niewolnikom nie wolno było nas wpuszczać. Ale już dzień po bójce stałem pod okapem przy stajni, mając nadzieję, że ją wypatrzę. Pamiętam, że przekładałem podarowany mi przez brata kamień słoneczny między palcami swoistym węzowym ruchem, tak jak niektórzy potrafią robić z kośćmi do gry lub monetami. Eystein miał kłopoty żołądkowe, co jego zdaniem było moją winą, bo przy niespokojnych myślach brzuch mu się burzył. Żuł przez cały dzień suszone ziarna angeliki i bez przerwy puszczał wiatry. Za każdym razem, gdy się pochylał, by przytrzymać kopyto, z jego portek dochodził wstydlivy odgłos. Męczyło go przez cały dzień i jeszcze następny, a on po cichu utyskiwał, mrużąc z gęstwiny swej brody:

– Nie rozumiemy tego miejsca, Torsteinie. Cała nasza gromada to tylko zwykli zabijacy, pełni piwa napaleńcy... Nie należymy do tego miejsca. A teraz jeszcze będzie dziecko, na Odyna...

Nadchodził bowiem czas, w którym Torgunn miała rodzić i w halli Burysława przygotowywano się do tego wydarzenia. Wyszykowano łoże, wypełniono zagotowaną wodą szerokie misy z brązu. Burysław nie oszczędzał na niczym, zupełnie jakby to jego córka miała rodzić. W pogotowiu leżały jedwabne nici, a także tak cienka igła, że cieńszej nigdy nie widziałem. Dwie położne zamieszkały w halli i powiadano, że sam Burysław pochylił głowę i modlił się do Białego Chrysta, by matce i dziecku nic się nie stało.

Okazało się, że Sigrid skierowano do halli i dlatego przez wiele dni nie udawało mi się jej wypatrzeć. Była jedną z niewolnic, które miały pomóc przy porodzie. Gdy ja krążyłem po Veitskog w nadziei, że dojrzę jej bujne rude włosy, ona czuwała przy łożu w halli Burysława, gdzie wszystko było gotowe na narodziny wnuka hovdinga jomswikingów.

Torgunn urodziła wieczorem, cztery dni po tym, jak zobaczyłem Sigrid. Byłem z Eysteinem w stajni, gdy usłyszeliśmy jakiś hałas na zewnątrz. Wyjrzelismy

i zobaczyłem Torgunn. Była na ostatnich nogach, Vagn ją podpierał, słańiała się. Otaczał ich zbrojny oddział jomswikingów, z Aslakiem na czele. W oddziale był Ulfar Oracz, Torvar Bezbożny i wielu innych siwobrodych. Zostali na zewnątrz, podczas gdy ojciec z córką weszli do halli. Mężczyźni pilnowali wejścia przez cały dzień, pod wieczór usłyszeliśmy bolesne krzyki Torgunn, po czym wszystko ucichło. Vagn został w halli. Fort i miasteczko pogrążyły się w ciemnościach.

To, że Vagn nie wyszedł przed drzwi, by oznajmić płęć nowo narodzonego, było złym znakiem. Siedzieliśmy w domu do późna w nocy i niejednen mamrotał, że pewnie dziecko urodziło się martwe, a może coś bardzo złęgo działo się z nim lub z matką. Na dodatek nie wiadomo, kto jest ojcem... Stary Fjole kręcił głową i był zdania, że Hel na pewno zabrała dziecko. Często tak robiła, gdy nie było wiadomo, kto jest ojcem. W wielkim bólu pogrąży się teraz Vagn.

Kiedy tak siedzieliśmy, zobaczyłem Sigrid. Stanęła nagle w półmroku, ledwo przekroczywszy próg domu, w długiej koszuli poplamionej krwią, włosy miała ciasno związane z tyłu głowy.

– Szukam Torsteina Tormodsona! – zawołała.

Nie było w domu ani jednego mężczyzny, który nie przeniósłby wzroku na mnie. Fjole wstał i wskazał mnie trzęsącą się ręką. Chyba nie mógł znaleźć odpowiednich słów, bo po prostu zmarł w takiej pozycji.

– Nie wierzę – mruknął Eystein. – Nie wiem jednak, czy uścisnąć ci dłoń i pogratulować, czy podstawić ci najbardziej ręczęgo rumaka, byś zdołał czmychnąć.

– Nie ma czasu – rzuciła Sigrid i wyszła.

Podążyłem za nią drewnianymi ulicami. Szła szybko i przez cały czas trzymała się kilka kroków przede mną, a tuż przed bramą fortu puściła się biegiem. Staralem się jak mogłem dotrzymać jej kroku. Gdy wszedłem do halli, Sigrid stała przy łożu. Nie było tu wiele osób. Przy stołach czuwało kilku jomswikingów, Buryśław siedział na tronie, popijając z kufła wykonanego z brązu, i wyglądał na zrotpaczonego, a Vagn siedział na stołku u stóp łożka i płakał. Na łożku, na kilku zbrczonych krwią lnianych prześcieradłach leżała kompletnie naga Torgunn. Jedna z położnych siedziała i przyciskała jej do krocza lniany ręcznik. Dziecko, które ułożyli matce na piersi, było równie zakrwawione jak prześcieradła. Między nogami tej nieszczęsnej istotki



dostrzegłem pępowinę. Torgunn leżała z zamkniętymi oczami, główka dziecka przylgnęła do jej szyi, a ona gładziła je po plecach.

Sigrid podprowadziła mnie do niej.

– Torgunn – zagadnęła. – Torstein Tormodson tu jest.

Oczy Torgunn otworzyły się powoli. Sprawiała wrażenie sennej, ale wiedziałem, że to z powodu utraty krwi.

– Dziecko twojego brata przyszło na świat – powiedziała i cień uśmiechu pojawił się na jej wargach. – Tak... Vagn wie.

Vagn musiał usłyszeć swoje imię, bo z jego piersi wyrwał się tak rozdzierający krzyk, jakby miał paść na ziemię i już nigdy się nie dźwignąć. Jednak wciąż siedział; teraz z twarzą ukrytą w dłoniach.

– To dziewczynka – rzekła Torgunn. Odszukała moją dłoń i położyła na plecach dziecka. – Ale Bjørn byłby z niej dumny.

– Na pewno. – Kiwnąłem głową. – Na pewno byłby dumny.

– Sigrid mówi, że cię zna. Mówi, że dobry z ciebie człowiek.

Milczałem. Nagle poczułem, że Torgunn pociągnęła mnie za rękę.

– Bliżej – szepnęła, a ja pochyliłem się nad nią. – Jeśli Bjørn żyje... powiedz mu, że ma córkę.

Stałem pochylony, z uchem przy jej ustach i ze wzrokiem utkwionym w Vagnie, któremu sługa chciał podać róg z napitkiem. Vagn nie zauważył ani służącego, ani rogu. Wysunął się twarzą w przód, a ręce mu dygotały, jakby przeniknął go okrutny ból.

– Obiecuj mi to, Torsteinie.

– Tak – odrzekłem. – Obiecuję.

Poczułem jej ciepłą dłoń na policzku.

– Dziękuję.

Po tym Sigrid odciągnęła mnie od niej, bo podeszły położne, zabrały dziecko i pomogły Torgunn uklęknąć. Córnka Vagna płakała i z trudem łapała oddech, ale jedna z kobiet ostro do niej przemówiła, więc wyjąc z bólu, napięła całe ciało. Przebiegły ją drgawki, po czym zebrała się w sobie i po raz kolejny się napięła. Opadła, a kobiety pomogły jej ułożyć się na plecach i ponownie włożyły jej w ramiona dziecko. Torgunn zamknęła

oczy, Sigrid zaś szepnęła, że muszę wyjść. Posłuchałem i wkrótce znalazłem się na głównym dziedzińcu. Ciepło było tej nocy. Idąc tu, nie zwróciłem na to uwagi. Zatrzymałem się i obejrzałem, spoglądając w stronę stajni. W myślach widziałem siebie jadącego konno przez pogrążony w ciemnościach las, byle dalej od tego wszystkiego. Zapraǳiałem znaleźć się daleko stąd, nie tylko z obawy, że Vagn zabije mnie za to, co uczynił mój brat. Moja matka zmarła, wydając mnie na świat. Myśl, że tak właśnie leżała, trzymając mnie w ramionach i wykrwawiając się na śmierć, pozostawiła we mnie ślad. Nie pierwszy raz zastanawiałem się nad tym. Tkwiło to we mnie niczym zadra przez całe dzieciństwo, lecz w dniu, w którym pojawili się Ros i jego ludzie, zostałem wyrwany ze wszystkiego, co znałem, i prawdę mówiąc, przez dłuższy czas nie wracałem do tamtych wspomnień. Teraz znowu mnie to dopadło. Bolesne uczucie, które sprawiło, że byłem dziwnie słaby i odrętwiały. Przypomniał mi się dzień w rodzinnych stronach, gdy siedziałem nad brzegiem, wycinając z kory małe stateczki i puszczając je z nurtem potoku. Nie miałem pewnie więcej niż cztery, pięć lat. Dwójka dzieciaków, która właśnie nadeszła, była synami jakichś krewnych gospodarza. Przebywali u niego w gościnie.

– To ty jesteś tym chłopakiem! – zawołał jeden z nich. – Tym z wielką głową!

Przypominam sobie, że dotknąłem głowy, ale niczego dziwnego nie wyczułem, i odkrzyknąłem:

– Moja głowa wcale nie jest duża!

Jeden z chłopaków trzymał w ręku długi kij i wskazał nim w moim kierunku.

– Ojciec mówi, że twoja matka pękła, bo masz taki wielki łeb!

Kolejną rzeczą, którą pamiętam, jest zapach otaczającego mnie lasu. Biegnę, nie zatrzymuję się, dopóki nie znajdę się nad brzegiem morza przy naszej chacie. Wchodzę do wody i przyglądam się swemu odbiciu. Zabiłem swoją mamę. Zabiłem ją. Wtedy czuję czyjaś dłoń na ramieniu. Obok mnie stoi ojciec. Milczy. Po prostu stoi.

Nie zauważyłem, gdy Sigrid do mnie podeszła. Chwyciła mnie za ramię, na co wzdrygnąłem się tak gwałtownie, że mnie puściła. Stałem z dłonią na głównej topora, mój oddech przyspieszył.

– Zapomniałeś o mnie, Torsteinie? Nie pamiętasz mnie?

Nie odpowiedziałem od razu. Przeniosłem spojrzenie na strażników przy drzwiach

i doszedłem do wniosku, że najlepiej wszystko przemilczeć, więc bez słowa skierowałem się ku bramie. Poszła za mną, a kiedy doszliśmy do krańca podwórca, ponownie złapała mnie za ramię.

– Wiem, że mnie pamiętasz – nie ustępowała.

Znajdowaliśmy się właśnie przy długiej ścianie jednego z domostw otaczających podwórzec, wśliznąłem się więc pod okap.

– Mówią, że to łożysko – odezwała się po chwili. – Nie chce wyjść. I... Ona się wykrwawia, Torsteinie. Jeśli nie uda im się zatamować... Jeśli umrze... Jesteś bratem ojca jej dziecka, Torsteinie. Jeśli Vagn straci córkę, zabije cię.

Ruszyłem przed siebie. Nie oddaliłem się jednak zbyt daleko, gdy mnie dogoniła. Uczepiła się mego ramienia, jakby nie chciała, żebym odchodził.

– Weź mnie ze sobą – poprosiła. – Jeśli będziesz wyjeżdżał, pozwól, bym ci towarzyszyła. Przysięgam, nie będę cię spowalniać.

Byłem młody i głupi, na dodatek zbudziła się we mnie zazdrość.

– Dlaczego ci na tym zależy? Wyjechałaś przecież. Do tego mężczyzny w Irlandii. A może chcesz, bym cię tam odwiózł, o to ci chodzi?

Słyszając to, puściła mnie. Wbiła wzrok w ziemię i zakołysała głową. Zrobiło mi się jej żal, chciałem ją przytulić i powiedzieć, że powinniśmy puścić w niepamięć to, co było, ale gdy jej dotknąłem, odsunęła się.

– Zabili go – rzekła. – Tamtej nocy zabili wszystkich mężczyzn.

– Wtedy, gdy cię pojмали? – Pokiwałem w zamyśleniu głową.

– To byli Danowie. Ich wódz zwał się Sigvalde. Powieźli nas na Jutlandię i sprzedali swemu królowi. On nas tu wysłał. Jako podarunek.

Ostatnie słowo rzekła pogardliwym tonem, prawie je wypluła, po czym dodała:

– Ale wiem, co sobie myślisz.

– Co sobie myślę?

– Tak – odparła. – Nie chcesz brać sobie na kark niewolnicy, której ktoś już użył. Ale oni nie skrzywdzili mnie... w taki sposób. Tylko złamali mi rękę. Dotknij.

Położyła moją dłoń na swoim przedramieniu. Tuż poniżej łokcia, pod skórą można było wyczuć zgrubiałą kość.

– Dlaczego ci to zrobili?

– Nie wiem. Byli pijani i... Wiesz, jacy oni potrafią być. Sam byłeś niewolnikiem.

– Byłem – przytaknąłem i poczułem się jak dureń, bo nie znalazłem więcej słów, które mógłbym jej powiedzieć, choć w środku krzyczałem ze złości. Chciałem ją pochwycić i uciec stąd, chciałem znaleźć tego, który złamał jej rękę, a potem odrąbać mu jego rękę. Gdyby ktoś stanął między nami a czekającą nas gdzieś tam wolnością, posiekałbym go bez litości.

– Muszę wracać – szepnęła.

Weszła ponownie na dziedziniec i znalazła się w blasku pochodni. Zatrzymała się na moment, rzuciła mi szybkie spojrzenie, po czym zniknęła w drzwiach.

Resztę nocy spędziłem w stajni. Osiodłałem tego rosłego ogiera z blizną, Vingurowi założyłem uzdę i byłem gotów wyruszyć w każdej chwili. Jednak nie dobiegł mnie odgłos żadnych kroków, a w halli panowała cisza. O świcie zjawił się Eystein. Znalazłszy mnie przycupniętego na sianie, odgarnął opadające na twarz długie rude włosy i oznajmił, że wszyscy z naszego domu byli pewni, że opuściłem osadę. A poza tym najwyższy czas, abym mu zdradził, jak mi się udało, mimo tak młodego wieku, zrobić dziecko córce wodza. Przez całą noc o tym gadali, z podziwem, ale i niedowierzaniem.

Gdy wyjaśniłem, że to nie ja, tylko mój brat jest ojcem dziecka, uśmiechnął się pod wąsem. Pokiwał głową, pomruczał, że głupki z nich, wszyscy do kupy wzięci, powinni przecież sami na to wpaść. Teraz jednak, dodał, przyglądając mi się z ukosa, powinienem rozsiodłać konia i zdjąć dłoń z topora, bo przed chwilą Aslak obszedł długie domy i obwieścił, że matka i dziecko przeżyją. Poród był ciężki i przez długi czas wyglądało to bardzo groźnie, ale w końcu udało się zatrzymać krwotok, a łóżysko samo wyszło.

W kolejnych dniach w Veitskog wzniesiono wiele toastów. Vagn odwiedzał nas w domach i razem z nami wychylał kufle piwa. Do mnie nie odezwał się ani słowem, ale pierwszego wieczoru po porodzie, rzuciwszy spojrzenie znad rogu, skinął mi lekko głową i to wystarczyło, bym się przestał obawiać, że ukarze mnie za postęпки brata. Ośmieliłem się nawet sądzić, że to wszystko może obrócić się na moją korzyść, bo bez względu na to, czy mu się to podobało, czy nie, byłem z nim teraz spokrewniony.

Piliśmy za zdrowie matki i córki, przysięgaliśmy bronić ich, nawet za cenę życia.

Trzeba jednak dodać, że gdy Norny odsuwają nożyce od nici życia jednego dziecka, zbliżają je do nici innego. W czasie gdy wznosiliśmy toasty za Torgunn i jej córkę, przebywający na norweskiej ziemi Olaf Tryggvason pogrążył się w głębokiej żałobie. Nie wiedzieliśmy o tym, ale Tyra, siostra Svena Widłobrodego, nie tylko odmówiła dzielenia łoża z Burysławem, po tym jak brat wydał ją za mąż. W tajemnicy wyjechała na północ i zabrawszy ze sobą swoich wojów oraz niewolników, została kobietą Olafa. Wkrótce zaszła w ciążę i wczesną wiosną dała Olafowi pierworodnego syna. Jednak dziecko od chwili przyjścia na świat słabowało i wieść niesie, że tej samej nocy, której Torgunn rodziła, chłopczyk dostał gorączki i zmarł.



## 27

### Poselstwo

**R**ok, w którym pojawiliśmy się w Veitskog i wstąpiliśmy na służbę u króla Wendów, był dla chrześcijan rokiem 996 po urodzeniu Białego Chrysta. Liczyłem sobie wówczas szesnaście lat i już cieszyłem się wśród jomswikingów pewną sławą wojownika. Dzięki temu, że z Vagnem połączyły mnie więzy pokrewieństwa, mój status wzrósł. Gdyby po śmierci Vagna nikt inny nie zgłosił roszczeń do godności hovdinga, przypadłaby ona właśnie mnie, jako że stałem się jego najbliższym krewnym w linii męskiej.

Zostaliśmy w Veitskog do końca lata, ale gdy drzewa zaczęły gubić liście, Burysław opuścił gród, zabierając ze sobą drużynę, niewolników, żony i dzieci, a i my, jomswikingowie, dołączyliśmy do orszaku. Zima w kraju Wendów bywa ciężka, dlatego przypuszczałem, że król zechce spędzić ten czas bliżej morza, gdzie najciemniejsze miesiące w roku mogą mieć nieco łagodniejszy przebieg. Jednak Burysław, odkąd był dzieckiem, spędzał zimy w dworzyszczu leżącym w głębi wendyjskiej puszczy i najwyraźniej zamierzał być wierny temu obyczajowi do końca swoich dni. Miejsce to znajdowało się w odległości ośmiu dni marszu na południowy wschód od Veitskog i było nie tyle dworzyszczem, ile skupiskiem odznaczających się przepychem hall o rzeźbionych słupach narożnych i z rzędami ław tak długimi, że człowiek, biegnąc od jednego końca do drugiego, zdążył się zdyszeć. Tutejsza stajnia była większa od tej w Veitskog, a w oborze trzymano krowy i utuczone świnie; większego dobrobytu nigdzie nie widziałem. Burysław nie przywiązywał do tego dużej wagi. Jego namiętnością były polowania konnym zaprzęgiem z saniami i tamtej zimy więcej czasu spędzał w puszczy ze swymi łowczymi niż w dworzyszczu. Nam,

jomswikingom, nie bardzo się to miejsce widziało; co prawda nie ma nic złego w ogromnych hallach i tłustych prosiakach, ale nie było tu żadnych wałów obronnych i wróg mógł bez problemu ukryć się wśród drzew w odległości od zabudowań mniejszej niż na strzał z łuku. Aslak rozkazał nam trzymać wartę dniem i nocą, obowiązek, który przypadał po kolei na każdego z nas i którego nie znosiliśmy, bo nigdy przedtem nie przyszło mi doświadczać tak przenikliwie zimnych nocy, jak wówczas.

To właśnie tam, w Gården, czyli Zagrodzie, jak między sobą nazywaliśmy to miejsce, dowiedziałem się, że Sven Widłobrody raczej nie znał planów Sigvaldego dotyczących ataku na Jomsborg. Oczywiście król użył mu statków, ale wielokrotnie tak czynił, gdyż Sigvalde nieraz wyprawiał się na zachód, by grabić i zdobywać niewolników. To ludzie Sigvaldego, o czym Sigrid już wcześniej mi opowiedziała, przybili do brzegu w pobliżu gospodarstwa, gdzie mieszkała ze swym mężem i jego rodziną. To Sigvalde we własnej osobie, po splądrowaniu i podpaleniu zagrody, przechadzał się wzdłuż szeregu ustawionego z tych, którzy przeżyli atak, i decydował, kogo przeszyć mieczem, a kogo zabrać jako niewolnika. Na pokładzie słyszała rozmowy jego załogi, że wreszcie zdobędą Jomsborg, a jeśli Odyn będzie po ich stronie, to zdobędą również głowę Vagna. Ponadto Sigvalde narzekał, że Sven nie wykazywał chęci zapolowania na Vagna. Król Danów najwyraźniej w dalszym ciągu chciał, by Vagn i jego Jomsborgczycy, niczym wały obronne, stali między nim a Burysławem, w każdym razie gdyby doszło do zatargu z Wendami. Toteż Sigvalde ani myślał zdradzić Svenowi planów ataku na Jomsborg, król miał się o tym dowiedzieć po wszystkim. Po rozmowie z Sigrid poszedłem natychmiast do Vagna i zdałem mu raport z tego, co właśnie usłyszałem. Vagn siedział w halli Burysława i grzebał w misie paleniskowej. Słuchając mnie, kiwał w milczeniu głową, po czym mruknął, że tak, pewnie tak właśnie było. Spalenie Jomsborga raczej nie było po myśli Svena, król Danów wiedział doskonale, że bez jomsborgskiej twierdzy na wybrzeżu Burysław umocni swą pozycję. Ale Sigvalde... Sigvalde był niczym wściekły pies...

Tamtej zimy bardzo tęskniłem za Bjørnem, przez cały czas mi to dokuczało. Gdybym zamiast pomagać bratu dostać się na pokład statku, zabrał go wtedy za sobą, teraz bylibyśmy razem. Eystein, Toke i pozostali zamieszkujący nasz długi dom widzieli, że

coś mi nie daje spokoju, i pewnego wieczoru Eystein zapytał, czy wciąż myślę o tej niewolnicy. Pokręciłem głową i wymamrotałem, że chodzi o brata; winię się za to, że nie ma go z nami. Eystein jednak odgadł, że nie była to cała prawda, bo Sigrid pojawiała się w moich myślach równie często, jak tęsknota za Bjørnem. Nie mogłem się pogodzić z tym, że była niewolnicą należącą do Burysława. Siadywałem wieczorami i rozpamiętywałem to, co powiedziała mi tamtej nocy, gdy Torgunn rodziła – żebym ją zabrał ze sobą. Ale dokąd mielibyśmy się udać? Zjeździłem kawał świata: z Viken na wyspy zachodniego szlaku, a stamtąd z powrotem na zachodnie wybrzeże Norwegii i dalej na południe do Jomsborga, ale jak dotąd nie widziałem żadnego miejsca, w którym ja i Sigrid bylibyśmy bezpieczni. Gdy pewnego razu głowiłem się nad tym, do Gården zajechali wendyjscy kupcy. Był to jeden z najciemniejszych wieczorów tamtej zimy. Przybysze mieli sanie pełne gronostajowych skór, niedźwiedziego sadła oraz jedwabiu, które chcieli sprzedać Burysławowi. Mieli też wieści z północy. Czarnobrodzi nie ośmielili się osobiście zanieść ich królowi Wendów, ale zakwaterowano ich w naszym domu i po kilku kuflach piwa jeden z przybyłych podrapał się po zarośniętym podbródku, po czym opowiedział, co doszło do jego uszu w Jutlandii. Otóż Tyra, siostra Svena Widłobrodego, udała się do Norwegii, gdzie została kobietą Olafa Wronia Kość, któremu urodziła syna. Dziecko długo nie żyło i niektórzy powiadali, że Sven wysłał do Norwegii niewolnika, który otruł chłopca, ponieważ Sven nienawidził Olafa. Nie mógł mu wybaczyć ani tego, że Olaf go zdradził, przechodząc na stronę Ethelreda, ani tego, że zrobił dziecko Tyrze. Krążyły plotki, że pchnął poselstwo do Eirika Ofiarnika, najpotężniejszego z synów jarla Håkona, doprowadzając do zawarcia sojuszu i że oczekuje od Eirika pomocy w zgładzeniu Olafa i jego ludzi.

Coraz częściej myślałem o Sigrid i o jej prośbie, bym ją wziął ze sobą, jednak nie mogłem się zebrać na odwagę. I może dobrze się stało. Burysław nie był złym człowiekiem. Zdaniem Sigrid historyjki o tym, że każdego wieczoru bierze sobie nową nałożnicę, były wyssane z palca. Król nawet nie spojrzał na inne kobiety niż swoje żony. Zarówno ona, jak i pozostałe niewolnice miały spokój. Sigrid wykonywała swoje obowiązki tak jak my, spożywała posiłki przy palenisku w długim domu, w którym mieszkała wraz z pozostałymi niewolnikami, i nie skarżyła się. Ale dręczyła mnie myśl,



że nie jest wolna. Świadomość tego, że Burysław ma ją na własność i gdyby tylko zechciał, przyprowadzono by mu ją do łożnicy, była nie do zniesienia.

Powiadają, że takie myśli mogą zniszczyć mężczyznę. I być może dlatego wiosną roku 997 zaczął mnie męczyć kaszel. Nadal przebywaliśmy w Gården, choć była mowa o tym, że Burysław wkrótce opuści to miejsce, jako że przebywał tu tylko zimą. Eysteina martwił mój kaszel, uważał, że powinienem wyleżeć się w ciepłe i wydobrzeć, ale ja wciąż musiałem zajmować się końmi w stajni; czyściłem im kopyta, podkuwałem, szczotkowałem sierść. Po dwóch tygodniach takiego niedomagania po raz kolejny wdałem się w bójkę. Tamtego dnia właśnie podkuwałem jedną z klaczy Burysława, gdy przez otwarte drzwi stajni dostrzegłem Sigrid, jak siedziała pod okapem dachu z wrzecionem w dłoni. Nagle zwróciłem uwagę na jednego z niewolników, potężnie zbudowanego czarnobrodego, który pojawił się obok niej. Chwycił ją brutalnie za ramię, wrzeciono upadło na ziemię.

Cóż innego mogłem zrobić, jak nie podbiec do niej? Czarnobrody warknął na mnie w niezrozumiałym języku, ale jej nie puścił. Jak zwykle miałem u pasa toporek, więc wyszarpnąłem go i uderzyłem napastnika drzewcem w czoło. Puścił ramię Sigrid, zamachnął się i trafił mnie pięścią w szczękę, aż przykląknęłam, lecz wykorzystując ten moment, podciąłem go, zahaczając głownię toporka o jego kolano. Rzuciwszy się na draba, przycisnąłem mu ostrze do gardła.

Byłbym go wtedy zabił, gdyby Sigrid nie zaczęła krzyczeć i błagać, żebym mu darował, żebym go oszczędził. Nie mogłem tego pojąć, ale nagle potwornie się rozkaszałem, a czarnobrodemu udało się oswobodzić i wyprowadzić cios, którym dosięgnął mnie między oczy. Kolejną rzeczą, jaką pamiętam, są belki na powale halli Burysława, pod którymi trzepocą się małe ptaszki, a jednemu z nich udaje się narobić na moją pierś. Następnie czuję, jak przytula się do mnie Fenre, a kątem oka dostrzegam króla Wendów, który stoi obok i wygląda na mocno zafrasowanego. Gładzi się po spiczastej brodzie, mruczy hm... hm... po czym się oddala.

Leżałem na ławie, a tymczasem Burysław wrócił na swój tron w pobliżu paleniska. Był tam również Vagn, towarzyszył im zaś ów stary tłumacz. Nikogo innego nie zauważyłem. Obaj wodzowie siedzieli nad kuflami i rozmawiali półgłosem, a Vagn, rzucając w moim kierunku ukradkowe spojrzenia, kręcił głową.

Dopiero pod wieczór dowiedziałem się, o czym rozmawiali. Eystein i Toke donieśli mi, że wolą Burysława było, żebym pozostał w halli, dopóki nie wydobrzeję. Po bijatyce osłuchano mi pierś i odkryto jakieś bulgotanie. Nie miałem jednak powodu do obaw, twierdził Toke, bo Burysław dowiedział się o mistrzu seid<sup>27</sup>, mieszkającym w leśnych ostępach, i właśnie po niego posłano. Gdy zapytałem, czy czeka mnie kara, nie wiedzieli, o co mi chodzi. Dlaczego król miałby mnie karać? Każdemu może się przydarzyć choroba.

Tego samego wieczoru zajrzała do mnie Sigrid. Między belkami pod pułapem zawieszono zasłonę i tym sposobem wydzielono dla mnie w halli kąt, bo Burysław i jego drużownicy nieraz siedzieli nad kielichem do późna w nocy. Sigrid stała przez moment przy moim posłaniu, po czym na wpół obróciła się ku siedzącym za stołami ludziom.

– Nie sądzę, że ktoś się zorientował – szepnęła ze wzrokiem utkwionym w biesiadnikach, po czym przysiadła na brzegu ławy i położyła dłoń na mojej piersi. – Ale musisz być ostrożny, rozumiesz? Nie zdradź tego. Nikomu.

Wszystko mi wyjaśniła. Człowiek, na którego się rzuciłem, był jej szwagrem. Osin mu było, należał do tych nielicznych mężczyzn, którzy przeżyli atak na gospodarstwo. Nie wolno mi było nikomu o tym wspomnieć. Niewolników, których łączyły więzy pokrewieństwa, zawsze rozdzielano. Bójki nikt nie zauważył, a Osin dowłókł się do domu i potem starał się schodzić ludziom z oczu. Z pomocą kilku niewolnic udało się jej przydzwigać mnie do halli, gdzie powiedziała tłumaczowi, że upadłem, że straciłem przytomność w czasie napadu kaszlu.

– Ale ten człowiek, on cię szarpał – odezwałem się. – Z jakiej racji?

Sigrid cofnęła dłoń z mojej piersi, a długie rude włosy opadły do przodu, kryjąc jej twarz. Nie rzekła więcej ani słowa. Po prostu wstała i wyszła.

Powiadają, że chory, który zbyt długo trzymał się na nogach, położywszy się do łóżka, jeszcze poważniej się rozchoruje. I być może tak sprawy miały się ze mną, ponieważ tamtej nocy poczułem się gorzej. Ostatnią rzeczą, jaką pamiętam, było to, że jest mi bardzo zimno. Jakaś postać stoi przy moim posłaniu i początkowo zdaje mi się, że to Björn. Wyciągam rękę, chcąc go dotknąć, ale wtedy strzela w górę płomień lampy. Ktoś

odziany w skóry niezliczonych zajęcy i wiewiórek stoi i przygląda mi się spod oka. Na małej pomarszczonej twarzy nie można wypatrzeć najmniejszego śladu zarostu, czaszka jest równie bezwłosa. Ma spiłowane zęby, bielmo na jednym oku, a paznokcie długie niczym szpony. Pojąłem, że to mistrz seid.

Ten mglisty obraz postaci, która równie dobrze mogła wypełznąć ze świata podziemnych istot lub przybyć tu aż z Jotunheimu, jest moim jedynym wspomnieniem. Powiedziano mi, że tej nocy zapadłem w malignę, pewnie gorączka trawiła mnie przez kilka poprzednich dni. Z wywarem sporządzonym z suszonych ziół i korzeni wygrzebanych ze zmrożonej ziemi mistrz seid czuwał przy mnie pospołu ze swymi duchami i przodkami i szeptał do bogów, których imion nie znałem. Niejeden sądził, że zbliżam się do końca nici swego życia. Jednak mimo że gorączka do lekkich nie należała, nie uległem jej, i w końcu ocknąłem się, czując łagodny podmuch wiatru wpadającego przez dymniki i zobaczyłem trzepocącą się w przeciągu zasłonę. Fenre wskoczył na posłanie i przylgnął do mnie, a ja, ułożywszy się na boku, wykasłałem z siebie masę zielonkawego śluzu, dzięki czemu od razu poczułem się lepiej. Polegiwałem jeszcze przez jakiś czas, rozkoszując się ciszą panującą w halli.

Wyszedłem na dziedziniec boso, jedynie w gaciach. Nie zauważyłem jomswikingów i żadnych niewolników. Długie domy, w których zamieszkiwaliśmy, były puste i wysprzątane, a popiół w paleniskach dawno ostygł. Znalazłem swój łuk, dwa topory i saks. Wszystko, co miałem, leżało na swoim miejscu, ale Vagna i jego ludzi, a także Burysława z drużyną w Gården nie było.

Przysiadłem na jednej z ław przy palenisku i niesamowita zdała mi się panująca wewnątrz cisza. Wiatr wpadał przez dymnik i wzbijał chmury popiołu, który opadał na stopy i włoski na nogach leciutko niczym płatki śniegu. Znowu byłem sam. O miłości między kobietą a mężczyzną nie wiedziałem nic ponad to, co usłyszałem w pijackich przyśpiewkach i w poezji skaldów, w których na próżno szukałem pomocy. Ale wyobrażałem ją sobie, jak idzie wydeptaną ścieżką przez las. Orszak Burysława, z Wendami i jomswikingami, służbą i niewolnikami tworzy barwny pochód poruszający się wśród buczyny.

Wtedy usłyszałem kroki na zewnątrz i obejrawszy się, zobaczyłem stojącego

w drzwiach Eysteina. Odgarnął włosy do tyłu, odsłaniając porane bliznami czoło. Mój widok sprawił mu wyraźną ulgę. Podszedł do swego legowiska i wziął się do pakowania broni, kołczanów, zawiniątek z suszonym mięsem, a także węzełków z ziołami, które mi pokazał, mrużąc, że mistrz seid zostawił je dla mnie na wypadek, gdyby mi się pogorszyło. Skoro jednak zwlokłem się z posłania, nie mamy się czym przejmować.

Wędrówka wiosną przez wendyjską puszcze stanowi jedno z moich najpiękniejszych wspomnień. Jeszcze pamiętam zapach mokrej gleby i tysiące strumyczków występujących z brzegów na skutek dużej ilości topniejącego śniegu. Pamiętam las usłany zawilcami i szeleszczącymi na wietrze młodymi brzózkami pokrytymi pąkami liści. Jechałem na srokatej klaczy zostawionej przez Vagna, a Vingur biegł obok mnie. Zdaniem Eysteina mógłbym już dosięść swojego ogierka, jako że po utykaniu nie było już śladu, ale przecież nie przywykł dźwigać kogoś na grzbiecie.

Vagn zostawił jakiś skrawek skóry, na którym naniósł kilka linii. To niby miała być mapa, ale od przyglądania się jej ani ja, ani Eystein nie staliśmy się mądrzejsi. Eystein został ze mną, podczas gdy reszta jomswikingów ruszyła za Burysławem, ale nikt nie miał pojęcia, dokąd król Wendów się wybiera. Zimy spędzał w Gården, o tym wiedział każdy. Zimową porą kraj Wendów był trudny do przebycia i Burysław czuł się bezpieczny w swoich lasach. Zupełnie inaczej rzeczy się miały, gdy stopniały śniegi. Aby uniknąć sytuacji, w której wrogowie gromadzą wojska i ruszają przeciwko niemu, król często się przemieszczał. Ktoś nawet opowiadał, że znalazł dwóch ludzi, bardzo do niego podobnych, którzy pojawiali się w otoczeniu świty w różnych fortach, by zmylić przeciwników.

Co prawda ja i Eystein nie mieliśmy pojęcia o planach Burysława, ale nietrudno było iść jego śladami. Królewski orszak pozostawiał po sobie paskudną wyrwę w tym jakże urokliwym wiosennym lesie. Trawę i paprocie podeptano, a co kilka kroków można się było natknąć na ludzkie lub zwierzęce odchody. Nocne postoje ryły znaki na leśnym poszyciu, wyraźne niczym runy na kamieniu – były tu wypalone miejsca po ogniskach, odcisnięte legowiska i drzewa oczyszczone z gałęzi do wysokości, do której mógł sięgnąć dorosły człowiek.

Ślad rozchodził się jednak zaledwie po trzech dniach drogi od Gården i teraz dwa

równie szerokie trakty wiodły w dwóch różnych kierunkach, co zmusiło nas do rozejrzenia się na miejscach postoju za oznakami bytności naszych współbraci: może szklany paciorek, runa wyryta na pniu drzewa lub strzała wskazująca obrany przez nich kierunek. Niestety żadnych takich znaków nie znaleźliśmy i pomyśleliśmy, że Burysław poprosił Vagna, by ten podzielił swój oddział na dwie grupy, w ten sposób wprowadzając w błąd wrogów, i że po kilku dniach oba ślady znowu się spotkają. Poszliśmy śladem, który naszym zdaniem skręcał wyraźniej na północ. Wydawało nam się to bezpieczniejsze, bo o krainach leżących na południu słyszeliśmy wiele niedobrego. Ziemie te zamieszkiwały dzikusy, a o Vladimirze z Kijowa powiadali, że był szalony i niegodziwy. Eystein słyszał też o jeźdźcach, którzy przybywali z rozciągających się na wschodzie stepów. Był to lud, którego mężczyźni prawie nie mieli zarostu z powodu tego, że pożerali swoich wrogów. Niczym dzikie zwierzęta rozrywali im brzuchy zębami, przy czym niemożliwie by się upaprali, opowiadał mój kompan, gdyby mieli brody takie jak inni mężczyźni. Eystein słyszał także, że mistrz seid, który mnie uleczył, pochodził z plemienia zamieszkującego otaczające nas lasy, i gdybyśmy się na ten lud natknęli, należało ich poczęstować jedzeniem i pić, w innym wypadku przywołałiby istoty podziemne i gdybyśmy tylko ułożyli się na spoczynek, zostalibyśmy wciągnięci pod ziemię.

Eysteina martwiły zjawy podziemne, mnie bardziej dokuczało myślenie o tym, czego może się dopuścić szwagier Sigrid. Leżałem wieczorami, wyobrażając sobie, że on staje pod okapem dachu i chwyta ją za ramię, ale mnie wtedy tam nie ma. Wciąga ją do domu, w półmrok, a inni niewolnicy odwracają się plecami, w chwili gdy on bierze ją siłą. Dręczyły mnie te myśli i zacząłem żałować, że go nie zabiłem.

Byłem młody i wielu rzeczy nie pojmowałem. A ponieważ byłem jomswikingiem, którego obawiali się zwykli ludzie, tacy jak Wendowie z Veitskog i Gården, coraz łatwiej było mi uciekać się do przemocy. Nic dziwnego, że się stałem brutalny, przecież każdego dnia treningu Oracz powarkiwał, że mam ciąć, uderzać, zadawać pchnięcia, że mam zabijać bez wahania. To dlatego mnie karmili, to dlatego mogłem się nazywać jomswikingiem. Więc na mój młody rozum dobry szwagier był martwym szwagrem i zacząłem sobie roić, jak czatuję na niego w ciemnościach z za węgła. Moja dłoń na jego ustach, jedno pchnięcie między żebra i byłoby po nim.



W końcu dotarliśmy nad brzeg jakiejś rzeki. Zdaniem Eysteina była to Odra, bo płynęła szerokim korytem i miała niebieskozieloną barwę. Prawdę mówiąc, mieliśmy w tym czasie mgliste wyobrażenie o tym, w którą stronę świata się kierowaliśmy, a ślady w lesie zdążyły się już kilkakrotnie podzielić, ale byłem pewien, że ta rzeka, podobnie jak inne, płynie w kierunku morza. Podążając z jej biegiem, przynajmniej nie wchodzilibyśmy w głąb lądu.

Pamiętam, że pierwszego dnia nad rzeką upolowaliśmy jelenia. Było to ogromne zwierzę, byk o imponującym porożu. Takie rogi nadawałyby się na ozdobę kalenicy każdego wodzowskiego domu. Zdaniem Eysteina nasza wędrowka przez las musiała ucieszyć Ulla<sup>28</sup>, skoro pozwolił, by dopisało nam szczęście na łowach, ale ja nie dostrzegałem w tym żadnego szczęścia. Takiego pięknego byka nigdy bym nie ustrzelił, był przecież hovdingiem w swoim królestwie i nie wyrządził mi żadnej krzywdy. Mimo wszystko strzeliłem do niego, ponieważ w jego ciele utkwiała już wcześniej czyjaś strzała. Przebiła kark i nie mam pojęcia, w jaki sposób zwierzę wciąż trzymało się na nogach. Gdy moja strzała trafiła byka w pierś, parsknął, jakby zadowolony z tego, że nadszedł kres, po czym załamały się pod nim nogi i padł na ziemię.

Najedliśmy się do syta tamtego wieczoru, a cały następny dzień zszedł nam na porcjowaniu i wędzeniu mięsa. Zdjęliśmy skórę, odcięliśmy poroże i zapakowaliśmy wszystko do trzech tobołków, którymi objuczyliśmy nasze konie.

Dobrze pamiętam, jak jechaliśmy z Eysteinem obok siebie, posuwając się brzegiem rzeki w wysokiej trawie. Mówi się, że ktoś, kto pracuje w stajni, po krótkim czasie nie może patrzeć na konie albo przeciwnie, stają się one jego pasją. Eystein i ja należeliśmy raczej do tej drugiej grupy i podczas leśnej wędrowki przez ostatnie dni wiedliśmy długie rozmowy o koniach. Tego dnia zastanawialiśmy się, jaką rasę chcielibyśmy mieć, gdybyśmy byli bogaci i mogli swobodnie wybierać. Oczywiście niewiele wiedzieliśmy o rasach koni z południa i ze wschodu, takich, jakie niebiescy ludzie przywożą na targi, i wartych garści złota, ale słyszeliśmy o koniach na Islandii, hodowanych tak, by radziły sobie z ciężkimi ładunkami i trudnym klimatem.

Wiedzieliśmy też o masywnych koniach bojowych z Vallandii, na południe od kanału angielskiego. A tu, w lasach porastających głębie kraju, można napotkać dzikie stada, twierdził Eystein i przymrużonymi oczami wpatrywał się w buczynę, jakby w nadziei, że między pniami wypatrzy jakieś stado. Nagle zatrzymał konia i wskazał ręką. Przed nami wyłoniła się polana, na niej kilka domostw i wieża wzniesiona z bierwion.

Dotarliśmy do osady o nazwie, która w języku wendyjskim oznacza łachę. Nazwa pasowała, bo stało tu kilka ziemianek, parę długich domów i wieża wzniesiona przy starorzeczu. Nie wjechaliśmy od razu do wioski, siedzieliśmy w siodłach, ukryci wśród gęstwiny drzew, ale nic nie wskazywało na niebezpieczeństwo. Zauważyliśmy drewniany pomost, do którego przycumował byrding. Kilkoro nagich dzieciaków biegało na brzegu z cebrzykiem i zbierało małże. Skądś dobiegał dobrze znany dźwięk kowalskiego młota, zaszczekał pies, jacyś mężczyźni głośno się śmiali.

Wjechaliśmy do wioski. Przed sobą w siodle trzymałem Fenrego, bałem się, że wda się w bójkę z miejscowymi kundlami. Eystein był zdania, że można by tu sprzedać poroże i popytać, czy ktoś wiedział, dokąd udał się Burysław. Najpierw należałoby zajrzeć do kuźni, bo kowale bywają dobrze poinformowani, zawsze ktoś do nich zachodzi, zarówno żeglarze, jak i wojowie, a jeśli przejeżdżał tędy Burysław ze swą drużyną i jomswikingami, kowal będzie o tym wiedział.

Kuźnia leżała na skraju lasu i bardzo przypominała sadybę szkutnika w osadzie kupieckiej. Na dziedzińcu dostrzegłem gotową, obciosaną stępkę. Stewy i około dziesięciu klepek już osadzono, a pod zadaszeniem stał kowal i walił młotem w rozgrzany do czerwoności nit. Nie byliśmy jednak jedynymi odwiedzającymi kuźnię. Pod dachem stało dwóch mężów i na pierwszy rzut oka można było poznać, że są z północy. Mieli jasne włosy i brody, a u pasa topory. Płaszcz nosili na skos, aby owe topory ukryć, lecz u obu dostrzegłem błysk ostrza. To nie byli zwykli ludzie. To byli wojownicy.

W chwili gdy z Eysteinem wjechaliśmy na podwórze kuźni, wszyscy zwrócili się w naszym kierunku. Kowal był mężczyzną barczystym i żyłastym, miał brodę przyciętą poniżej podbródka i świńskie oczka, którymi ledwie prześliznął się po nas, nim podszedł do paleniska i włożył nit do żaru.

Rozmowa, która potem nastąpiła, miała dość dziwny charakter. Jako że Eystein

był z nas dwóch starszy, to on zabierał głos, ale nie był skaldem jak Halvor i nie bardzo radził sobie ze sztuką słowa. Nie miało to zbyt wielkiego znaczenia, bo Wendowie nie znali naszego języka, a my nie mówiliśmy ich językiem. Eystein, chrząknąwszy, zapytał tylko:

– Burysław?

Następnie rozejrzał się wokół z pytającym wyrazem twarzy.

Kował mruknął coś poirytowanym głosem, a jeden z jego gości zatknął dłonie za szeroki skórzany pas. Miał na sobie błękitną tunikę z bogato wyszywanymi rękawami, a poły płaszcza przytrzymała srebrna zapinka.

– Norwegowie?

Eystein przyjrzał się tamtej dwójce z wysokości siodła.

– Owszem... Wy też, jak słyszę.

– Jomswikingowie?

Eystein chrząknął.

– Sam nie wiem... Przyjechaliśmy, bo chcemy sprzedać... – wykonał półobrót w siodle i wskazał na poroże uwiązane do tobołków – takie coś.

Wojownik pogładził się po jasnej brodzie. Przeniósł wzrok na mnie i lekko przekrzywił głowę, przyglądał się mnie.

– Gdybyście byli jomswikingami, kupiłbym poroże. Dostalibyście dobrą cenę. I jeszcze dorzuciłbym srebra, gdybyście mi powiedzieli, gdzie znajdę Burysława.

Z Eysteina był poczciwy chłop, ale gdy rozdzielano rozum, to nie ustawił się w odpowiedniej kolejce. W chwili gdy jasnowłosy wojownik wyłowił monetę z sakiewki, Eystein fuknął:

– Jomswikingowie się nie sprzedają!

Z reszty rozmowy niewiele pamiętam, ale stało na tym, że Eystein został właścicielem srebrnej monety, Norwegowie zaś wzięli poroże, po czym udali się na byrding, skąd zabrali dwie skóry, trochę suszonych ryb, podpłomyki, dwa bukłaki na wodę. Znów byliśmy w drodze, a tamci dwaj postanowili nam towarzyszyć do Burysława.

Spędziwszy wiele dni w lesie, tylko w towarzystwie Eysteina, Fenrego i koni, ledwo



mogłem znieść obecność tamtych Norwegów. Oczywiście obawiałem się, że są od Olafa i że mnie rozpoznają. Przez cały pierwszy dzień zachowałem całkowite milczenie, a gdy stanęliśmy na nocleg, siedziałem w półmroku, obserwując tę dwójkę. Byłem pewien, że już ich wcześniej widziałem, ale nie mogłem sobie przypomnieć gdzie.

Tak minęły dwie doby. Ślady orszaku Burysława wreszcie zaczęły się zbiegać i stanęliśmy na gliniastej równinie, gdzie poczuliśmy smród odchodów i ujrzeliśmy czarne plamy po co najmniej dwunastu ogniskach. Na przeciwnym brzegu dostrzegłem tratwę z bali, o jakiś rzut kamieniem w dół biegu rzeki od miejsca, w którym staliśmy.

Przepełniliśmy z Eysteinem na drugi brzeg. Tratwa była ciężka i obrosnięta glonami, ale miała dwa wiosła, a my byliśmy silni w ramionach. Poniosło nas spory kawałek z biegiem rzeki, gdzie, stojąc w wodzie, czekali na nas obaj Norwegowie, którzy następnie wskoczyli na pokład. Przewieźliśmy ich na drugi brzeg, po czym zawróciliśmy po konie, mnie zaś zaświtało w głowie, by obcych tam zostawić. Jeśli mnie poznali i doniosą Burysławowi, że zdezerterowałem, zabijając przy okazji ludzi Olafa, zostaną być może wyjęty spod prawa również tu, w kraju Wendów. Nie miałem jednak pewności, jaki był stosunek wendyjskiego króla do Olafa. Tyra, córka Haralda, od niego uciekła, i wieść niosła, że została żoną Olafa. Wend powinien zatem go nienawidzić, ale Burysława niełatwo było rozgryźć. Miał przecież wiele żon i zdaniem niektórych był zadowolony, że się pozbył Tyry.

Ostatecznie nie porzuciliśmy ich. Udaliśmy się wspólnie w dalszą drogę i po zaledwie pół dnia jazdy konno w głąb bukowych lasów rozciągających się po drugiej stronie rzeki odnaleźliśmy fort wznoszący się na szczycie łagodnego wzgórza. Obaj Norwegowie natychmiast udali się do halli Borysława. Ja i Eystein objechaliśmy konno wioskę otaczającą fort i wkrótce natknęliśmy się na Tokego i kilku innych, którzy przywitawszy się serdecznie, powiedli nas gliniastymi uliczkami do długich domów, gdzie kwaterowali jomswikingowie. Przybyli trzy dni wcześniej, zdążyli znienawidzić to miejsce, nadali mu nazwę Myggborg, czyli Komarzy Gród, bo mało było miejsc, gdzie komary dały im się tak we znaki jak tu.

Nie ustaliłem, co ci dwaj Norwegowie mieli do powiedzenia Burysławowi, i nikt ich tego dnia więcej nie widział. Teraz i tak co innego miałem w głowie. Dowiedziałem się,

że podobnie jak w Veitskog, domostwo niewolników mieściło się w forcie i niezwłocznie tam pospieszyłem. Sigrid nie było w domu, ale zastałem jej szwagra. Gdy tylko mnie spostrzegł, podniósł się ze swego miejsca przy palenisku i wycofał w mrok, który otaczał ławy do spania, skąd mi się z niechęcią przyglądał. Dałem mu spokój, poszedłem na główny dziedziniec fortu, gdzie przez chwilę się przechadzałem. Następnie zajrzałem do stajni, wziąłem nożyk do kopyt i kilka podków, z którymi się obnosiłem, że niby właśnie w takim celu tam poszedłem. Sigrid jednak nie udało mi się wypatrzeć ani tam, ani w okolicach wioski. Usiadłem zatem w naszym domu, rzuciłem w kąt podkowy i nożyk i poczułem straszliwe przygnębienie. Tak szybko mnie ono naszło, że nie wpadłem na pomysł, by kogokolwiek o nią spytać. Gdybym to zrobił, dowiedziałbym się, że jest w lesie i zbiera sok z drzewa klonowego, bo Torgunn wciąż słabowała, a służące Burysława uważały, że pomoc może kobyle mleko gotowane z sokiem klonowym. Sigrid nie było przez cały dzień, zjawiała się w domu dopiero wieczorem. Wtedy podszedł do niej szwagier, odciągnął ją na bok i coś jej szepnął do ucha, a Sigrid natychmiast wyszła. Ogarnięty czarną rozpaczą nawet nie zauważyłem, że drumle Oracza zabrzmiały fałszywie i umilkły, rozmowy zamarły. Na nic nie zwróciłem uwagi, dopóki Toke nie podszedł, nie szarpnął mnie za ramię i nie pokazał palcem drzwi. Stała w nich Sigrid, podobna do wystraszonego zwierzątka. Zerwałem się na równe nogi. Gdy mnie dostrzegła, na krótką chwilę na jej ustach zagościł uśmiech, po czym, powstrzymując się od płaczu, wybiegła na ulicę.

Co sobie mogli wyobrażać tego wieczoru jomswikingowie? Znali przecież historię o dziecku mojego brata. Myśleli pewnie, że jestem równie rozwiązły jak on. I może mieli rację. Gdy rozmowy na nowo rozbrzmiały, a Oracz uderzył palcem w drumle, ja, otuliwszy się płaszczem, wymknąłem się w ciemną noc. Wiem, że zdaniem wielu byłem wtedy niczym pies goniący za sukami, a o rozsiewanie takich plotek podejrzewam Eysteina. Ale to nieprawda. Musiałem po prostu ją zobaczyć, dotknąć jej. Wypatrzyłem ją w forcie. Stała przed domem niewolników i płakała. Nie znalazłem słów, którymi mógłbym się do niej odezwać, lecz nagle płacz ucichł, uniosła oczy, a wzrok miała dziwnie przesycony bólem.

– Myślałam, że umarłeś... Powinnam zostać z tobą, ale kazali mi iść ze wszystkimi.

Moja dłoń odszukała jej, ale dziewczyna się odsunęła. Rzuciła spojrzenie w kierunku

przedpiersia.

– Straże – szepnęła.

Gapiący się w mrok strażnicy Burysława byli z pewnością zmęczeni i otumanieni piwem, ale komary robiły, co mogły, by wartownicy nie pozasypiali. Pociągnąłem Sigrid za sobą pod okap dachu, gdzie nie dochodził blask pochodni rozmieszczonych na dziedzińcu, a dziewczyna przyłgnęła do mnie. Obejmowałem jej szczupłe ciało, gładziłem długie, kędzierzawe włosy, ona zaś płakała wtulona w moją szyję. W jej łkaniu wybrzmiewała nie tylko ulga z powodu tego, że przeżyłem. Poczucie ulgi podszyte było przejmującym, głębokim smutkiem. W jej płaczu słyszałem rezygnację, która towarzyszy każdemu, kto popadł w niewolę, rezygnację, którą znałem aż za dobrze.

Długo tak staliśmy. Płakała, aż plecy jej dygotały. Uspokoiała się po jakimś czasie, ale wciąż wtulała się we mnie. Dopiero gdy jakiś mężczyzna pojawił się w bramie fortu, odsunęła się ode mnie. Rozpoznałem tego człowieka, to był Aslak. Nie miał na sobie płaszcza. Był nagi od pasa w górę i kompletnie pijany. Zataczał się i mamrotał sam do siebie.

Sigrid weszła do domu, a ja wciąż kryłem się w mroku pod okapem dachu. Aslak osunął się na kolana i wyjął, uderzał pięścią o kikut, po czym padł twarzą na ziemię.

Okryłem go swoim płaszczem i usiadłem pod okapem, gdzie zostałem przez resztę nocy. O świcie obudziły mnie czyjeś kroki. To dwaj posłańcy z Norwegii właśnie opuszczali hallę Burysława, trzymając w dłoniach łuki i dźwigając na plecach ekwipunek. Minęli Aslaka, ale nawet na niego nie spojrzeli. Po chwili wyszli przez bramę i zniknęli mi z oczu.



## 28

### Gość z Północy

**K**olejne dwa lata byłem na służbie u Burysława i wraz z całym jego otoczeniem zmieniałem miejsca pobytu, podporządkowując się woli króla. Misja tamtych dwóch Norwegów nie dawała mi spokoju, wypytywałem ludzi, ale nikogo nie zaproszono do halli owej nocy, gdy Burysław przyjął posłańców. Zostawili swoje konie i powiadano, że popłynęli statkiem na północ, lecz nikt nie miał pojęcia, czy przysłał ich Olaf oraz jakie przesłanie przywieźli Burysławowi. Wtedy właśnie wioski wzdłuż brzegów Odry obiegrała plotka, że Olaf Wronia Kość traci kontrolę nad norweskim wybrzeżem i że Eirik Håkonson, zwany przez nas Ofiarnikiem, zaczął pobierać podatki wzdłuż całej zachodniej Norwegii. Długo miałem nadzieję, że to prawda, że Olafa zgładzono albo że uciekł do Anglii. Zdaniem wielu Eirik Håkonson miał dobre układy ze Svenem Widłobrodym, bo syn jarla nie był zainteresowany nakładaniem podatków na uciążliwych hovdingów z Viken i z radością oddałby tam rządy hersirom Svena. Ale jak dotąd, dochodziły do nas tylko pogłoski.

W tym czasie zrozumieliśmy, że Aslak za dużo pije, i przypuszczaliśmy, że właśnie z tego powodu wciąż jeszcze nie zaczęliśmy treningów. Co prawda szyliśmy z łuku do pniaków, ćwiczyliśmy zapasy i wprawialiśmy się w walce na miecze i topory, ale to było co innego niż wtedy, gdy mieliśmy na sobie wzrok Aslaka. Szczerze mówiąc, rozleniwiliśmy się i staliśmy otępiali. Vagn rzadko pojawiał się u nas, najczęściej przesiadywał u Burysława razem z Torgunn i dzieckiem, a my mieliśmy wrażenie, że nic go nie obchodzi. Jednak jesienią, jedną pełnię księżyca po naszym powrocie do Veitskog, zdarzyło się coś, co strząsnęło z nas całe otępienie. Odrą przyplłynął langskip,

który przybił do brzegu w Bryggene. Na pokładzie byli rabusie, którzy – zanim powiosłowali dalej – zabili trzech mężczyzn i porwali dwie dziewczynki, pewnie z zamiarem sprzedania ich Svenowi. Gdy wiadomość o tym dotarła do nas, Vagn kazał stawić się sześćdziesięciu konnym.

Znalazłem się wśród nich. Był jeden z tych chłodnych, klarownych jesiennych dni, kiedy cały świat zdaje się nieruchomieć. Pamiętam, że pędząc przez las, czułem się, jakbym frunął. Wydawało się, że pozłacane liście buków wiszą w powietrzu; pod nami pracowały ciała koni, lecz grzmotu kopyt prawie nie słyszałem, czułem tylko uderzenia zimnego powietrza na twarzy i ciężar topora przytroczonego do pleców.

Przez cały dzień posuwaliśmy się wzdłuż koryta rzeki. Mając pewność, że dotarliśmy poniżej punktu, w którym znajduje się langskip, zbliżyliśmy się do brzegu, po czym ostrożnie zaczęliśmy się cofać w górę rzeki. Z wolna zapadał zmrok. Nie ujechaliśmy daleko, gdy naszym oczom ukazał się statek. Tamci rzucili kotwicę pośrodku rzeki, na pokładzie nie płonęła ani jedna pochodnia, ale słychać było ludzkie głosy. Zdjęliśmy ubrania i buty, wszystko z wyjątkiem pasów z bronią, i zanurzyliśmy się w wodzie.

Twierdzenie, że Vagn uczynił to wszystko jedynie po to, by uratować dwie wendyjskie dziewczynki, byłoby kłamstwem. Zrobił to również dlatego, żebyśmy mieli możliwość zabijania. Byłem jednym z sześciu toporników; podpłynąwszy, zahaczyłem głownię topora o nadburcie i podciągnąłem się na pokład. Przy górnej krawędzi spieszenie umocowałem linę, którą miałem u pasa, tak by inni mogli dostać się na statek, po czym uniosłem topór, bo dostrzegłem zbliżające się w moim kierunku postacie.

Tej nocy nie ponieśliśmy żadnych strat. Byliśmy wojownikami. Byliśmy jomswikingami. Rozbójnicy na statku byli tylko rozbójnikami. Zaszlachtowaliśmy prawie wszystkich na pokładzie, z wyjątkiem dwóch, którzy się poddali. Zabraliśmy ich do Burysława wraz z głowami zabitych. Król osobiście zawiózł do osady tych dwóch oraz odrąbane głowy i przyjął podziękowania mieszkańców. Owych dwóch rzezimieszków nigdy już nie widziałem, ponoć Burysław pozwolił ludziom z osady ich utopić.

Dwa dni później zaczęliśmy treningi. Ponieważ nie mieliśmy do dyspozycji

wystarczająco dużego dziedzińca, chodziliśmy na leśną polanę, gdzie mogliśmy demonstrować słabującemu z przepicia Aslakowi ciosy, pchnięcia i parowanie. Nieczęsto miałem możliwość oglądać bardziej skwaszonego człowieka. Był rozczarowany niechlujstwem naszych ruchów i mówił to każdemu z osobna, snując się po polanie w czasie ćwiczeń. Jasne było, że nie jest już tym samym mężem co kiedyś. I nie tylko pijaństwo go trawiło. Wyglądał staro, ramiona miał obwisłe, a rękę drżącą.

W tym samym czasie wyniesiono z długich domów beczki z piwem i antałki z miodem, a Vagn poprosił Burysława, by żadnemu z nas nie wolno było nawet posmakować sfermentowanego napoju, dopóki byliśmy u niego na służbie. Na to niejeden z jomswikingów ryknął z wściekłości, niektórzy siedzieli wieczorami, kiwając się, jakby ogarnęło ich jakieś szaleństwo.

Ja jednak wolałem nowe porządki. Ojciec mnie ostrzegął przed pijaństwem, ale dopiero teraz, gdy zabrano nam trunki, zobaczyłem, co mogą one robić z ludźmi.

Dużo się wtedy mówiło o Halvorze i Sigurdzie Buesonie; ludzie byli zdania, że Vagn powinien wysłać kogoś do Svena z żądaniem ich uwolnienia. Jednak nie tylko ja uważałem, że owszem, nasi towarzysze byli zakładnikami króla Danów, ale raczej nie jego więźniami. Kiedyś w stajni Eystein stwierdził, że tamci pewnie od dawna są na duńskiej służbie i raczej sobie nie krzywdują, bo, prawdę mówiąc, nie było zbyt wielkiej różnicy między byciem na żołdzie u Svena a życiem jomswikingów; w każdym razie teraz, gdy podporządkowaliśmy się Burysławowi. Eystein słyszał nawet, że zdaniem niektórych lepsza byłaby służba u Widłobrodego niż u króla Wendów. Nikt jednak nie śmiał o tym wspomnieć w obecności Vagna.

Regularne treningi nieco poprawiły nam humory. Należałem do tych, którzy ćwiczyli walkę konno. To zadanie wyznaczył mi Aslak, a szkolić mnie miał jeden z drużynników Burysława o imieniu Pritbor. Był mężem niewysokim z wąskimi ramionami i nigdy przedtem nie widziałem kogoś z tak blisko osadzonymi oczami. Dosiadał pokrytego bliznami bojowego wendyjskiego ogiera o szerokiej piersi, a do siodła miał przytroczone włócznię, łuk i jednoręczny topór. Przypominam sobie, że my, wybrani do treningów pod jego komendą, początkowo wątpiliśmy, że ten osobnik będzie nas mógł czegoś nauczyć. Ale pierwszego dnia Pritbor zademonstrował nam coś, czego wcześniej

nie widziałem: pędząc na koniu, podrzucił w górę szczapę drewna i zanim opadła na ziemię, zdążył wydobyć łuk i trafić w nią trzema strzałami.

Pritbor nauczył nas galopować bez trzymania lejców i pokazał, w jaki sposób należy trzymać cztery strzały między palcami dłoni dzierżącej łuk; strzały te można było kolejno nakładać na cięciwę i wystrzeliwać tak szybko, że wszystkie cztery znajdowały się jednocześnie w powietrzu. Nie udałooby się tego dokonać za pomocą długiego łuku, dlatego każdy z nas otrzymał łuk używany przez jeźdźców wendyjskich, wykonany nie z drewna, lecz z rogu. Na początku trudno nam było w to uwierzyć, myśleliśmy, że chodzi o jakiś rodzaj rosnącego na południu gatunku drzewa, którego przedtem nie widzieliśmy, lecz później sam miałem okazję przyglądać się wendyjskiemu łucznikowi, jak taki łuk robił, jak łączył dwa długie rogi, by otrzymać odpowiedni kształt.

W tym czasie zająłem się też ujeżdżaniem Vingura. Okazało się, że ma niezwykle rzadkie zdolności – rozumiał, czego chciałem i dokąd ma się kierować; nigdy nie dosiadałem tak mądrego konia. Wciąż wracam myślami do naszych przejazdów w wendyjskich lasach, do jego miękkiego chodu i tego, w jaki sposób trącał mnie głową, gdy zsiadałem, by dać mu nieco wytchnienia. Nieraz myślałem, że to sam Odyn wysłał mnie wtedy do stajni u Halfdana Halli, że pozwolił, bym wyratował Vingura od ofiarnego noża. Bo gdy siedziałem na końskim grzbiecie, nie było widać, że kuleję. A jeźdźcem byłem dobrym, wkrótce zdobyłem sobie tym uznanie. Teraz częściej siedziałem w siodle, niż chodziłem, i częściej przebywałem w stajni niż w domu. W siodle czułem się wolny i nie należałem do tych, którzy siedząc wokół ognia, narzekali, że wcielono ich do hirdu wendyjskiego króla. Nawet tęsknota za morzem już nie dokuczała i być może spędziłbym resztę życia jako wendyjski wojownik, gdyby nie jedna zgryzota przypominająca ranę pokrytą strupem, wciąż przeze mnie zdrapywanym. Że była niewolnicą, że była własnością innego mężczyzny... Nie mogłem tego znieść. Najchętniej powiozłbym ją na końskim grzbiecie, byle dalej stąd, ale się nie ośmieliłem. Gdybym okradł Burysława, znów zostałbym wyjęty spod prawa.

Po tej nocy w Myggborgu, gdy staliśmy objęci pod okapem, usilnie zastanawiałem się, jak ją znów spotkać, nie wzbudzając przy tym podejrzeń. Wszystkie forty Burysława były otoczone wałami, z których strażnicy mieli widok zarówno na dom niewolników wewnątrz umocnień, jak i na mieszkańców osady, ale wykoncypowałem,

że skoro większość czasu spędzam w siodle, ktoś musi pilnować Fenrego. Zwróciłem się z tym do Aslaka, nadmieniając przy okazji, że mój psiak bardzo polubił jedną z niewolnic, na co Aslak mruknął, że w takim razie niech kundel sobie przy niej pokuśtyka, nie będzie to nikomu przeszkadzało.

Druga zima w kraju Wendów była mroźna i zażądała życia czterech jomswikingów. Zmarli na gorączkę. Ich ciała zostały spalone, a imiona wyryte na skalnej płycie, wysokiej na wzrost dorosłego mężczyzny. Burysław wyjeżdżał saniami na polowania, jak zwykle, ale pewnego razu, pod koniec zimy, gdy śnieg był mokry, a strumyki wypełnione wytapianą wodą, rozeszła się wieść, że sanie wywróciły się i przygniotły króla, gruchocąc mu niejedną kość. Po wypadku rzadko go widywaliśmy. Krążyły plotki, że lada moment wyznaczy swego następcę. Vagn kazał nam naostrzyć miecze i topory, bo jeśli synowie zaczną walczyć o schedę po ojcu, to kraina Wendów spokojną być przestanie. Tymczasem nie powinniśmy nikomu wspominać o tym, co się przytrafiło Burysławowi. Najlepiej byłoby, gdyby nikt o tym się nie dowiedział.

Lecz ani Vagn, ani nikt z nas nie wierzył, że wypadek króla pozostanie tajemnicą. Jeszcze tego nie wiedzieliśmy, ale wieści dotarły już do brzegów Odry, skąd kupcy zawieźli je na dwór Svena Widłobrodego, a stamtąd – przez Skaggerak – do osad kupieckich w Viken i wzdłuż zachodniego wybrzeża Norwegii. Zanim ostatnie łąty śniegu stopniały w wendyjskiej puszczy, Olaf Tryggvason wysłuchał nowin kupca bursztynnego, który słyszał, że Burysław jest słaby i chory, że pierś ma zgruchotaną i pewnie nie przeżyje kolejnej zimy. Wkrótce potem wieści szeptem podawano z ust do ust na przystaniach wzdłuż dolnego biegu Odry, mówiono, że Olaf chce się wybrać tu na wyprawę łupieżczą. Ktoś twierdził, że Olaf przebywa u Ethelreda, który oczekuje, że Tryggvason ogołoci kraj Wendów ze srebra, złota i kobiet. Inni donosili, że w skrzyniach Olafa widać dno, że nie stać go na utrzymanie hirdu ani na opłacanie lojalności swoich hersirów. Jakkolwiek rzeczy się miały, plotki te skłoniły synów Burysława do objeżdżania okolicznych wiosek i prowadzenia zaciągu ludzi, co nie przebiegało całkowicie bez przymusu.

Również o Svenie Widłobrodym krążyły opowieści. W lecie roku 998, zgodnie z chrześcijańskim sposobem liczenia czasu, dowiedzieliśmy się o sojuszu zawartym



między nim a Olofem Skötkonungiem i o tym, że teraz statki strzegą szlaków wodnych między Jutlandią a Zelandią oraz wokół Skanii. Na pokładzie byli wojowie, którzy żądali daniny od każdej przepływającej obok jednostki i jak wieść niosła, Olof i Sven dzielili się dochodami po bratersku. Sven stał się najbogatszym człowiekiem, jakiego widziały ziemie na północ od Danevirke, a jego flota była ponoć tak liczna, że mogłby suchą stopą przekroczyć Kattegat.



Późną wiosną Burysława przewieziono do Veitskog. Ludzie mówili, że król chce tam dokonać żywota. My, jak zwykle, pociągnęliśmy za nim. Los Burysława nie przejmował mnie, ponieważ coś innego zaprzętało mi myśli. Sigrid stała się bardzo piękną kobietą, była drobniejsza niż większość niewiast, szczuplejsza, niż podobałoby się to większości mężczyzn, ale każdego ranka, gdy przyprowadzałem do niej Fenrego, nie mogłem od niej oderwać oczu. Moi towarzysze wiedzieli, co do niej czuję, lecz nikt nie stroił sobie ze mnie żartów, bo miałem opinię człowieka bardzo porywczego i impulsywnego, nawet jak na jomswikinga. Fakt, że Burysław słabował i cały czas przebywał w halli, ośmielił mnie i jesienią tamtego roku poprosiłem Sigrid, by spotkała się ze mną na polanie, na której po raz pierwszy ją ujrzałem. Pojechałem w to miejsce i ukrywając się z Vingurem w buczynie, czekałem.

Tego dnia Sigrid się nie pojawiła. Gdy wróciłem, panował już gęsty mrok. Przygnębiony usiadłem w pobliżu paleniska, zapomniałem nawet, że Fenre wciąż u niej siedział. Następnego dnia poszedłem prosto do stajni i zacząłem walić młotem w jakieś podkowy. Podków nie trzeba było poprawiać, ale byłem zły i przybity i aż nadto dobrze pamiętałem tamten poranek nad morzem, gdy wróciłem z Jorvik. Nie rozumiesz, Torsteinie? Nie mogę za ciebie wyjść. Ta twoja noga, Torsteinie. I nie masz rodziny. Jak dasz radę prowadzić gospodarstwo z tą nogą, bez pomocy rodziny?

Z młotem kowalskim w garści musiałem budzić grozę, bo gdy ją zauważyłem, wyglądała na przestraszoną. Stała w drzwiach, jej pierś pod koszulą unosiła się i opadała. Zebrała się na odwagę i wśliznęła do najbliższego boksu.

Młot wypadł mi z dłoni. Pamiętam, że posłałem szybkie spojrzenie ku dziadzińcowi,

gdzie spostrzegłem kilku przechodzących obok drużynników, i w jednej chwili znalazłem się obok niej. Podeszła. Jej filigranowa postać przyłgnęła do mnie, a ja zanurzyłem twarz w jej miękkich kędziorach, przytuliłem się do jej szyi. Nie płakała, tak jak tamtego wieczoru w pobliżu domu niewolników. Wyszepiała, że nie mogła wyjść, że szwagier jej zabronił. Gniew mnie wtedy ogarnął, ale objęła mój kark i poczułem nagle jej usta na swoich. I naraz zdało mi się, że to szczupłe kobiece ciało otwiera się na mnie, że mogę ją teraz wziąć, jeśli się ośmielę.

Tak się jednak nie stało. Nieoczekiwanie usłyszałem kroki w przejściu między boksami, a gdy odsunąłem się od niej, zobaczyłem Eysteina. Stał z półotwartymi ustami i wytrzeszczonymi oczami. Po chwili rzucił się do drzwi, zatrzasnął je, zaryglował i oparł się o nie plecami, jakby się obawiał, że ktoś będzie próbował wtargnąć do środka.

Między mną a Sigrid do niczego nie doszło tamtego dnia. Właściwie dobrze się stało, że pojawił się Eystein. Sigrid wróciła do domu niewolników, a ja z Eysteinem zabraliśmy się do szczotkowania koni. Mój kompan długo pomrukiwał sam do siebie, w końcu podszedł i pouczył mnie, że cokolwiek bym wyczyniał, pod żadnym pozorem nie mogę zrobić dziecka niewolnicy. O ile nie chcę zobaczyć, jak mego potomka sprzedają w niewolę i wysyłają nie wiadomo dokąd.

Słowa Eysteina nie zrobiły na mnie większego wrażenia, bo po tym dniu w stajni nie minęło wiele czasu, a znów zobaczyłem się z Sigrid. Tym razem do spotkania doszło na polanie, na której umówiliśmy się poprzednio, lecz Sigrid martwiła się tym samym, co Eystein, i nie pozwoliła mi na to, co bym najchętniej zrobił. Czasami wstyd mi, że na nią tak wtedy naciskałem. Powinienem wziąć się w karby, ale stałem się mężczyzną, a wciąż jeszcze nie zaznałem kobiety. Pewnie dlatego wydawało mi się, że mam do tego prawo. Gdyby mi chodziło o jakąkolwiek kobietę, prawdopodobnie znalazłbym kogoś w Bryggene. Wendyjskie dziewczęta już nie czuły strachu, widząc nas, nadjeżdżających konno, a mężowie doświadczeni bardziej ode mnie twierdzili, że z ich piwnych oczu można było wyczytać pożądanie. Wiedziałem, że wielu z naszych znalazło sobie ukochane w gospodarstwach porzrzucanych w lesie i nad brzegiem rzeki, a niektórym nawet urodziły się dzieci, co wymusiło wprowadzenie tak zwanej wolnej doby, podczas

której owi mężczyźni mogli odwiedzać swoje kobiety i przebywać u nich jako mężowie i ojcowie. Zazdrościłem im i zacząłem nawet bawić się myślą o wykupieniu Sigrid. Jakbym miał temu podołać, dokładnie nie wiedziałem, ale dowiedziałem się kiedyś od ojca, że każdy niewolnik i każda niewolnica mieli prawo do wolności, o ile mogli za nią zapłacić. Gdybym tylko zdobył dość srebra...

Jesienią 998 roku spotykaliśmy się z Sigrid potajemnie – tak często, jak to tylko było możliwe. Oczywiście było dla nas, że Burysław raczej nie zaakceptowałby tego, że spotykam się z kobietą, która stanowi jego własność, ale Sigrid była jedną z około czterdziestu niewolnic, a ponieważ król już prawie nie pokazywał się poza hallą, mogliśmy się wymykać, nie wzbudzając większych podejrzeń. Szwagier wiedział, co się działo, i za każdym razem, kiedy się widzieliśmy, obrzucał mnie niechętnym spojrzeniem, nie obawiałem się go jednak. Wręcz przeciwnie, dałem mu do zrozumienia, że go zadżgam, jeśli spróbuje nas zdradzić. Sigrid i ja nigdy nie ośmieliliśmy się spędzić razem całej nocy. Ja nie miałbym nic przeciwko temu, ale ona miała obawy. Podobnie było, gdy ją obejmowałem. Mogliśmy się całować, mogłem czuć, jak całą sobą lgnie do mnie, ale nigdy nie pozwalała, byśmy poszli krok dalej.

– Gdy będę wolna – szeptała wówczas. – Gdy mnie stąd zabierzesz.



Nadeszła zima i weszliśmy w chrześcijański rok 999. Zima to była niezwykła, łagodna i wietrzna, a tuż po pierwszym zimowym księżycu wiatr przywiał burzę nad Veitskog, piorun uderzył w las opodal osady i rozszczępił stary dąb. Wieść niosła, że z Burysławem jest bardzo źle, ale że wciąż trzymał się przy życiu, bo usłyszał o starej przepowiedni: gdy minie tysiąc lat, Biały Chryst powstanie z martwych, uzdrowi chorych i osądzi niewiernych. Król wysłał posłańców do wszystkich sadyb w krainie Wendów; gdyby ktoś zauważył Białego Chrysta, miał mu przekazać, że dostanie tyle złota i srebra, ile sobie zażyczy, jeśli tylko przybędzie do Veitskog i uleczy ukochanego króla wszystkich Wendów.

My, jomswikingowie, nie dawaliśmy się nabrać na coś takiego. Pewnego wieczoru zajrzał do nas Vagn i zapytał, czy słyszeliśmy plotki i czy jest wśród nas ktoś, kto ma

zamiar się ochrzcić. Następnie pokazał nam swój miecz i rzekł:

– Bracia, w to jedynie macie wierzyć. I wiedzcie, że Odyn urządzi ucztę dla tych, którzy nadają kształt swemu przeznaczeniu.

Dużo myślałem o tym, co rzekł. Nie po raz pierwszy słyszałem te słowa, ale teraz dźwięczały mi w uszach wyraźniej niż kiedykolwiek. Zastanawiałem się, w jaki sposób mam zabrać Sigrid ze sobą, dokąd mielibyśmy się udać i czy powinienem ją porwać, czy raczej próbować zarobić srebro potrzebne na jej wykupienie. To ostatnie nie należało do rzeczy prostych. Mógłbym polować i sprzedawać skóry handlarzom cumującym w Bryggene, ale oni zazwyczaj sami przywozili skóry na wymianę. Mógłbym zająć się wytwarzaniem łuków, ale Wendowie woleli robić łuki własnoręcznie. Przez moment rozważałem wybudowanie byrdinga na sprzedaż. Gdybym się wziął migiem do roboty, mógłby być gotowy na wiosnę. Znajdowaliśmy się jednak w głębi kraju, a mieszkańcy miasteczka nie bardzo mieli co robić na rzece. Stało na tym, że najlepiej będzie, jeśli ją wykradnę. Ale właściwy czas jeszcze nie nastał. Postanowiłem czekać na śmierć Burysława. Wówczas Wendowie będą mieli myśli zaprzątnięte czymś innym, a my wyśliźniemy się i co koń wyskoczy pomkniemy na północ.

Burysław nie poddawał się jednak, a wiosna była już za pasem. Pewnego dnia król wyszedł przed hallę po raz pierwszy od bardzo dawna. Podpierał się laską, był wychudzony i wycieńczony, lecz miał na tyle siły, by unieść zaciśniętą pięść, gdy drużynnicy wydali okrzyk na jego cześć.

Niektórzy ludzie powiadali, że w Veitskog pojawił się Biały Chryst, który uzdrowił króla Wendów, ale Aslak, przyszedłszy do nas w odwiedziny, mruknął, że to wszystko dzięki sile męskości i być może dobrego seidu, a potem dodał, że osobiście obiłyby każdego jomswikinga, który pozwoliłby się ochrzcić. Ledwo zwracałem uwagę na jego słowa, bo pogrążyłem się w myślach. To, że Burysław znowu stanął na nogi, niemal go otaczało poświatą nieśmiertelności, mnie zaś przerażało. Kontynuowanie spotkań z Sigrid zdało się teraz igraniem z ogniem. Wpadłem w tarapaty, które przypominały kłopoty Bjørna, bo byłem z kobietą, która należała do innego, i gdyby to doszło do Burysława, miałbym się z pyszna. Tego wieczoru obiecałem sobie, że z tym koniec.

Jednak kiedy następnego ranka poszedłem do niej z Fenrem, nie zdobyłem się na to, by jej o tym powiedzieć. Uśmiechnęła się do mnie i zapytała, czy słyszałem, że Burysław stanął na nogi. Potwierdziłem, że owszem, słyszałem. Pochyliłem się, a obietnice z poprzedniego dnia gdzieś uleciały. Zapytałem szeptem, czy dziś na polanie... Czy możemy się spotkać, jak zawsze? Odpowiedziała tak jak miała w zwyczaju, ledwo zauważalnym skinieniem głowy, po czym zniknęła z Fenrem w domu niewolników.

Burysław nabierał sił, a w czasie, gdy jesiony pokryły się pąkami liści, wybrał się na łowy. Ludzie mówili, że król nie będzie się przenośił tego lata, tylko zostanie w Veitskog. I tak też się stało. Wiosna zmieniła się w lato i pamiętam, że było ono niezwykajnie chłodne, dzięki czemu muchy i komary nie dawały się we znaki tak bardzo jak w poprzednim roku. Spotykaliśmy się z Sigrid potajemnie, nie potrafiliśmy trzymać się od siebie z daleka i nie zauważyliśmy nawet, kiedy złote liście okryły drzewa, a jesienne sztormy nadciągnęły nad puszcę.

W tym czasie dziwne rzeczy opowiadali mieszkańcy Bryggene. Mówili, że jakaś flota gromadzi się na rzece, kilka dni drogi na północ od nas. Ciągłe przyłączały się do niej kolejne statki, ale nigdy więcej niż jeden naraz.

Dla nas, jomswikingów, jasne było, że ktoś z północy próbuje prześliznąć się ze swymi langskipami obok statków Olofa Skötkonunga i Svena Widłobrodego, kontrolujących Kattegat. Pojedynczej jednostce mogło się to udać, ale nie całej flocie. Czy był to jakiś wódz, który przegrupowywał swoje siły w nadziei, że Burysław wciąż słabuje i nie będzie w stanie bronić swoich ziem? Ktoś uważał, że stoi za tym Ethelred. Inni podejrzewali Olafa Tryggvasona, bo chodziły słuchy, że skończyło mu się srebro i być może musiał wyprawić się po łupy, by mieć z czego opłacić norweskich hovdingów.

Vagn zwołał nas i nakazał trwać w gotowości do walki. Wciąż jeszcze nie postanowiono, czy mamy czekać na atak tutaj, czy zaatakować statki na rzece.

Pamiętam, że właśnie siedziałem i ostrzyłem saks, gdy moich uszu dobiegły jakieś nawoływania. Zerwałem się, a Toke Trzy Palce, wetknąwszy głowę do środka, wrzasnął:

– Ktoś nadchodzi!

Jak na komendę rzuciliśmy się do drzwi. Stając przed domem, mieliśmy uniesione topory, strzały na cięciwie, byliśmy gotowi do walki. Nikt jednak nie atakował. Przez miasteczko przejeżdżał orszak jeźdźców, nie spieszyli się. Ledwo ukazali się naszym oczom, a już woj jadący na czele ściągnął lejce i zatrzymał cały oddział. Znajdowali się tuż obok chlewika należącego do Wenda o imieniu Slúvi, garbatego starucha, któremu nigdy nie udało się całkiem splukać z siebie świńskiego smrodu. Slúvi i paru innych stało przy chlewie, gdy mąż przewodzący orszakowi wyłowił coś z sakiewki u pasa. Błysnęło, kiedy uniósł przedmiot ku słońcu. Moneta. Posłał ją jednym pstryknięciem Slúviemu, a potem rzucił jeszcze kilka monet między stojących, po czym ruszył z wolna przed siebie.

Od mojego wyjazdu z Norwegii minęło kilka lat, dlatego nie rozpoznałem go od razu. Widziałem przed sobą rosłego, silnie zbudowanego mężczyznę. Był odziany w błękitną tunikę i błękitny wełniany płaszcz, spod którego wystawała pochwa miecza. Posiwiwały mu włosy i broda, dlatego w pierwszej chwili go nie skojarzyłem. Vagn wyszedł na gliniastą uliczkę i krzyknął, byśmy opuścili broń, a potem podparł się pięściami pod boki, czekając na obcych. Ci jednak mieli dużo czasu, a człowiek w błękitnym płaszczu wysupłał jeszcze kilka monet, które pstryknięciami posłał Wendom, po czym on i jego świta zrównali się z Vagnem. Wtedy dotarło do mnie, kto to jest, i skryłem się w cieniu pod okapem.

– Stać! – krzyknął Vagn, unosząc dłoń w powstrzymującym geście. – W jakiej sprawie przybywacie?

Mężczyzna wyprostował się w siodle, rozejrzał dokoła i rzekł:

– Jam jest Olaf Tryggvason, król Norwegii! Przybywam po wiano Tyry Haraldsdatter!

Miało się wrażenie, że słowa te obiegiły cały Veitskog. Mężczyzna odrzucił płaszcz i uniósł się w siodle, jakby chciał się nam zaprezentować.

– Doszły mnie słuchy, że król Burysław przebywa tu ze swym dworem! Prowadź mnie do niego!

W tym momencie wszystko mogło się zakończyć. Vagn nie należał do ludzi skorych do przyjmowania rozkazów. Zrobił krok w kierunku Olafa, jego dłoń bezwiednie

zaczęła szukać rękojeści miecza, a oczy zwięziły się i wypełniły złością. Ale wtedy dobiegł nas okrzyk z wału nad bramą wiodącą do fortu:

– Wprowadź ich!

Na górze stał stary tłumacz. Nie był jednak sam. Na przedpiersiu pojawiło się co najmniej czterdziestu łuczników, a w forcie królewscy druzynnicy stanęli w gotowości bojowej. Dostrzegłem ich tuż za bramą.

Vagn ruchem ręki nakazał Olafowi i jego świcie, by ruszyli za nim. Ledwo nas minęli, gdy Aslak warknął, że bierze z sobą sześćdziesięciu chłopów. Pospieszenie wybrał tych, którzy mieli z nim iść, byłem w tej grupie. Reszta miała czekać przed bramą w gotowości.

W halli Olaf rozgościł się na dobre. Robił wrażenie niesamowicie bezczelnego, gdy podszedłszy do jednego ze stołów, chwycił stojący kufel i trzymając go, wyciągnął rękę w bok, jakby oczekiwał, że go natychmiast obsłużą. Burysław siedział na tronie i przez chwilę przyglądał się Olafowi z ponurą miną, po czym dał znać jednemu ze służących zajmujących się trunkami, by podszedł i napełnił kufel. My, jomswikingowie, stłoczyliśmy się przy drzwiach i tak staliśmy, sześćdziesięciu zbrojnych. Burysław miał podobną liczbę druzynników, którzy zajęli pozycje za tronem i między stołami. Wydawało się, że Olaf nas nie zauważa, bo pociągnął spory łyk, odstawił kufel na najbliższy stół, przykucnął przy palenisku i zaczął rozgrzebywać żar pogrzebaczem. Aslak podszedł do niego i rzucił, że najwyższy czas, by wyłożył, z czym przybywa, a potem dodał:

– My, jomswikingowie, już nieraz zabijaliśmy królów, Olafie Wronia Kość, i zabijemy ponownie, jeśli będzie trzeba!

Ludzie Olafa nie zachowywali się tak spokojnie jak ich król. Chwycili za broń i ustawili się pośrodku halli w nieregularnym kręgu, plecy w plecy, jakby sądzili, że rzucimy się na nich.

Widząc to, Burysław głośno chrząknął, po czym wskazał na Olafa i powiedział kilka słów po wendyjsku. Tłumacz już uprzednio zajął miejsce przy tronie. Powiedział Olafowi, że król chce wiedzieć, po co przyjechał.

Wtedy Olaf wstał. Wciąż trzymał w ręce pogrzebacz. Skierował go na tłumacza.

– Już mówiłem, po co tu jestem. Tyra miała duże wiano od Svena Widłobrodego, ale

nie zabrała go ze sobą, wyjeżdżając. Przybyłem, by je odebrać.

Burysław pogładził się po wąsach, ogarnął wzrokiem zebranych w halli, spojrzał z niechęcią na ludzi Olafa, spojrzał na nas, potem na swoich drużynników i zapadł się w swoim siedzisku. Gestem nakazał tłumaczowi, by się zbliżył, i rzucił kilka słów po wendyjsku, przez cały czas wbijając wzrok w Olafa. Potem nagle wpadł w złość i walnął pięścią w podłokietnik. Tłumacz w zamyśleniu oblizał wargi i chrząknął.

– Tyra, córka Haralda, wyjechała bez zgody Burysława. Król uważa, że twój przyjazd jest... niestosowny.

Olaf pokiwał głową, przeszedł na drugi koniec paleniska, tak że żar znalazł się między nim a tronem.

– Tyra urodziła mi syna. Teraz jest moją kobietą. Więc wiano należy do mnie.

Tłumacz przetłumaczył. Burysławowi nie podobało się to, co usłyszał, głęboka zmarszczka rozorała mu czoło, prawa dłoń zaczęła drżeć. Nagle rzucił rozkaz, drużynnicy wydobyli broń, a my, Jomsborgczycy, zrobiliśmy to samo, lecz wówczas Olaf krzyknął:

– Czekaj! Posłuchaj mnie, królu Wendów!

Burysław uniósł dłoń. Drużynnicy się cofnęli. Następnie król mruknął parę słów do tłumacza, a ten znów chrząknął.

– Mów, królu Norwegów. Ale radzę ci, zważaj na słowa.

Olaf włożył pogrzebacz do żaru i poruszył w nim tak, że płomienie strzeliły w górę.

– Zgromadziłem wszystkie norweskie rody, Burysławie. Jestem potężnym człowiekiem. A Ethelred, król Mercji, stoi po mojej stronie. Ja...

– Burysław o tym wie. I nie jest w nastroju, by wysłuchiwać przechwałek! – wpadł mu w słowo Vagn.

Olaf odwrócił się i wskazał go palcem.

– Kim jest ten człowiek? Wielkiej odwagi być musi, skoro ośmiela się przerywać królom, gdy rozmawiają!

– To Vagn Åkeson, wódz jomswikingów – odrzekł tłumacz.

Olaf położył dłoń na piersi.

– W takim razie rozumiem, że się ośmiela. Wszystkim znana jest ogromna odwaga Jomsborgczyków. I wszyscy słyszeliśmy, jak Vagn Åkeson walczył z siłą niedźwiedzia



w Hjørungavåg! – Zdawało się, że nagle zapomniał o królu Wendów. Zrobił krok w naszą stronę. – Walczyliście przeciwko jarlowi z Trøndelagu i jego synom. Teraz ja walczę przeciwko nim!

– On już nie walczy z jarlem – odezwał się cicho Eystein. – Przecież odrąbali mu głowę.

Olaf to usłyszał.

– Kto to powiedział?

Eystein milczał, ale Olaf wiedział, skąd dobiegł głos. Odwrócił się gwałtownie, lecz to nie na Eysteina padł jego wzrok, tylko na mnie. Oczy mu się zwężyły. Poznał mnie.

W tym momencie odezwał się tłumacz.

– Burysław nie życzy sobie, byś stawał do niego tyłem!

Olaf odwrócił się, ponownie podszedł do paleniska i zaczął rozgrzebywać żar. Usunąłem się w mrok pod ścianą i miałem ochotę natychmiast uciekać, jednak coś we mnie stawiało opór. Byłem teraz jomswikingiem, a oni nie uciekają. Poza tym Olaf nie miał tu żadnej władzy. Wystarczyłoby, żeby Burysław pokazał na niego palcem, a Olafa i jego ludzi rozerwano by na strzępy.

– Nie wiedziałem, że trzymasz z jomswikingami, potężny Burysławie. – Norweg pokiwał głową, a jego wzrok spoczął na płomieniach. – Ale to jeszcze utwierdza mnie w przekonaniu, że słusznie zrobiłem, przyjeżdżając.

Burysław oparł się wygodniej i znowu coś mruknął do tłumacza. Ten przekazał, że król Wendów domyśla się, że Olaf nie tylko po wiano przyjechał.

– To prawda – przytaknął Tryggvason. – Nie przyjechałbym tylko po wiano. Nie płynąłbym, mając w pobliżu flotę Svena i Olofa, gdybym nie wiedział, że Burysław jest mężem o wielkiej odwadze.

– Powiedz zatem, z czym przybywasz. – Tłumacz położył dłoń na oparciu królewskiego siedziska. – I zrób to, zanim Burysław straci do ciebie cierpliwość.

Olaf raz jeszcze wsunął pogrzebacz do żaru, tym razem go tam zostawił. Sięgnął po kufel, upił łyk i sprawiał wrażenie zamyślonego, a gdy w końcu zaczął mówić, wzrok miał skierowany nie na króla Wendów, lecz na płomienie.

– Władam całym norweskim wybrzeżem – zaczął. – Od Viken aż do Finnmarku. Lecz to nie dzięki sile miecza stałem się królem. To dzięki srebru. Przez cztery lata

tuczyłem hersirów, hovdingów i wojów z mojego hirdu. – Położył sobie dłoń na karku i ciężko westchnął. – W ciągu tych czterech lat Sven Widłobrody urósł w siłę, większą niż kiedykolwiek. A teraz, gdy sprzymierzył się z Olofem Skötkonungiem... Sven jest chciwcem. Jutlandia i Zelandia już go nie zaspokoją. Wkrótce pożegluje na północ i zajmie Viken. A razem z Olofem popłynie w górę Odry na rabunek. W twoim kraju zaroi się od tysięcy Danów, Burysławie. Będą rabować wasze spichlerze i palić wioski. – Podniósł wzrok i rozejrzał się wokoło, podczas gdy tłumacz przekazywał jego słowa, a potem mówił dalej: – Będą gwałcić wasze kobiety. Zabiorą wszystko, co macie. – Odstawił kufel i zwrócił się do gospodarza. – Dzielny Burysławie, królu Wendów. Jesteśmy obaj chrześcijanami. Ogień między nami w tej halli przypomina pogański sojusz Svena z Olofem. Dzieli nasze dwa dumne królestwa! – Obszedł palenisko dookoła. – Pchnąłem posłańców do Ethelreda w Anglii i poprosiłem o statki i wojowników, ale on przysłał mi zakonników i skrybów. Dlatego potrzeba mi twego zbrojnego ramienia. Razem, jak bracia, możemy przeciąć sznur, którym Sven i Olof związali Kattegat. Możemy sprawić, by żaden Dan czy Swear nie ośmielił się położyć ręki na tym, co nasze.

Burysław dotknął dłonią brody. Wyglądał na zamyślonego, słuchając tłumacza.

– W czasach twego ojca panowaliście na Bałtyku – ciągnął Olaf. – Przepływaliście Kattegat jako wolni ludzie i żaden Dan nie ośmielił się was zatrzymać! Proszę o twą przyjaźń, dzielny Burysławie! Proszę, byś traktował wiano Tyry jako znak twojej wielkości! W zamian będę ci bratem, a moi ludzie staną do walki ramię przy ramieniu obok twoich!

Burysław, przyciągnąwszy bliżej tłumacza, zaczął mu szeptać do ucha.

– Król chce wiedzieć, gdzie jest reszta twoich ludzi.

– Na statkach – odparł Olaf. – Rzuciliśmy kotwice na rzece.

Burysław znowu zwrócił się do tłumacza.

– Król słyszał, że zima w Norwegii bywa sroga. Prawda to?

– Prawda.

Burysław ponownie odezwał się do tłumacza i nie spuszczał oczu z Olafa, gdy jego słowa były tłumaczone.

– Król sądzi, że Eirik cię ściga i że postanowiłeś tu przezimować.

Olaf zamyślił się, znieruchomiał wpatrzony w ogień.

– W Norwegii panuje nieurodzaj. Lato było zimne i zboże nie obrodziło. Ludzie zaczęli składać ofiary starym bogom. Wielu zwróciło się przeciwko mnie.

Burysław wsłuchiwał się w tłumaczenie mowy Olafa i kiwał głową. Rozumiał, do czego jego rozmówca zmierza. Wszyscy rozumieliśmy. I wcale mi się to nie spodobało. Wycofałem się i wysliznąłem za drzwi, po czym rzuciłem się pędem do stajni. Pospiesznie osiodłałem Vingura. Fenrego znalazłem przed domem niewolników, chwyciłem go pod pachę, wskoczyłem na siodło i wyjechałem z Veitskog.

Przez cały dzień jechałem lasem. Najpierw kierowałem się na północ, bo byłem przerażony i chciałem się znaleźć jak najdalej od tamtego miejsca, chciałem pogalopować w noc i zniknąć. Stopniowo jednak lęk opadł ze mnie, zatrzymałem konia i przez jakiś czas siedziałem w siodle. Wciąż pamiętam miejsce, w którym się zatrzymałem – tuż obok potężnego dębu. Było bezwietrznie, a złote liście spadały na ziemię wokół mnie. Koński oddech zmieniał się w siwą parę. I pojąłem, że nie mogę uciekać. Nie byłem już chłopcem, tej jesieni skończyłem dziewiętnasty rok swego życia. Byłem jomswikingiem. I w Veitskog miałem kobietę.

Rozbiłem obóz pod dębem, bo doszedłem do wniosku, że najlepiej poczekać z powrotem, aż się ściemni. Ale ledwo usiadłem i uderzyłem krzesiwem w krzemień, usłyszałem dźwięk młota. To nie mógł być kowal z Bryggene, bo dźwięk szedł z zachodu. Kiedy nasłuchiwałem, dobiegło mnie: „Cięgnąć! Cięgnąć mocno!”.

Zrozumiałem, że słyszę ludzi Olafa. Pospiesznie wsiadłem na Vingura i wjechałem stępą w las. W odległości ledwo kilku strzałów z łuku od mojego obozowiska przeciąłem ślady pozostawione przez wiele koni; musiała tędy przejeżdżać świta Olafa. Między drzewami dostrzegłem rzekę. Wdrapałem się na wzniesienie, gdzie wśród gęstwiny młodych brzoź byłem niewidoczny, a jednocześnie stałem na tyle wysoko, że miałem dobry widok na rzekę. Zakotwiczone statki stały w długim szeregu, naliczyłem ich dwanaście. Ten na przedzie był ogromny, co najmniej dwa razy dłuższy niż pozostałe, a wolna burta sięgała tak wysoko, że langskip przypominał pływającą twierdzę. Stewa rufowa i dziobowa błyszczały od złota. Ruszyłem z Vingurem i Fenrem w dół rzeki, by lepiej mu się przyjrzeć. Okazało się, że odgłosy młota dobiegały właśnie

stamtąd. Jakiś człowiek podwieszony przy dziobnicy na linach i taliach walił młotem w pozłocaną głowę smoka zdobiącą stewę dziobową. To ona tak błyszczała. Pozłota z prawej strony została już usunięta i ostrożnie ułożona przy luku, skąd spuszczano ją delikatnie do ładowni. Teraz spostrzegłem też wielkiego psa należącego do Olafa. Pamiętałem, że wabi się Vige. Siedział na baranicy, w cieniu masztu, łeb miał uniesiony, a uszy postawione; czuwał.

Gdybym się nieco zastanowił, nie prowadziłbym Vingura nad brzeg. Zawsze było tam pełno bąków i jakichś ogromnych bestii, które nazwaliśmy wendyjskimi muchami. Taki owad siadł właśnie na szyi Vingura, który zaczął potrząsać łbem i parskać. Zabiłem muchę pląśnięciem dłoni i uspokajałem konia, jak tylko mogłem, ale załoga mnie usłyszała. Kilku ludzi podeszło do nadburcia, jeden z nich uchwycił się wanty podtrzymującej olbrzymi maszt, wspiął się na nadburcie i zmrużywszy oczy, przeczesywał wzrokiem brzeg, a potem wskazał ręką w kierunku wzniesienia, na którym stałem. Znałem tego woja. Opadające na ramiona czarne włosy były teraz nieco dłuższe. Utył, brzuch wylewał się znad pasa. Ale jego oczy, małe, okrutne, pod niskim czołem... To był Ros.



## 29

### Ucieczka

**P**ierwsze dni po przybyciu Olafa siedziałem w lesie. Zanim opuściłem miasteczko, opowiedziałem Sigrid i Eysteinowi, jak się rzeczy mają, że kiedyś Olaf i jeden z jego ludzi ścigali mnie i Bjørna. Eystein obiecał, że na czas mojej nieobecności będzie mieć oko na Sigrid i będzie pilnował, by nikt ze świty Olafa jej nie tknął, na co by się, jego zdaniem, i tak nie ośmielili, gdyż była własnością Burysława. Miał również wyjaśnić Vagnowi i Aslakowi powód mojego wyjazdu.

Przeważnie trzymałem się północnych rejonów puszczy. Panował ziąb. Urządziłem sobie schronienie w wykrocie, gdzie siedziałem z Fenrem, oddając się rozmyślaniom. Jeśli Olaf ze świtą zechce zostać tu na zimę, co wówczas pocznę? Olaf pewnie już powiedział Rosowi, że mnie widział. Tamten być może nie ośmieli rzucić się na mnie od razu, byłem przecież jednym z jomswikingów, ale jeśli tylko dopadłby mnie gdzieś samego, w jakiś mroczny jesienny wieczór... Może kryłby się za węglem i zaatakował w chwili, gdy będę przechodził. Jedno dźgnięcie w bok, jego syczący głos w uchu... Będzie chciał pomścić brata przy pierwszej nadarzającej się okazji.

Cztery dni i noce przesiedziałem w lesie. Piątego dnia do mojej kryjówki dotarł konno Eystein i powiedział, że Olaf udał się ze świtą z powrotem na statki. Ustalono, że mogą prezimować, ale będą przebywać na statkach i w obozowisku, które sobie rozbiją nad brzegiem rzeki.

Ja i Fenre wróciliśmy z Eysteinem do Veitskog. Wieczór już nastał, gdy odprowadziłem Vingura do stajni. Jesienny mrok spowijał domy. Nasypałem siana do boksu, nappełniłem koryto wodą i poszedłem do domu niewolników. Wetknąwszy głowę do środka, od razu spostrzegłem krępą postać szwagra. Czarnobrody wstał i kiwając się

na boki, ruszył w moim kierunku niczym rosłe zwierzę. Zatrzymał się przy mnie, mamrocząc coś gniewnie w swoim dziwnym języku, po czym pogroził mi zaciśniętą pięścią i z wolna pokiwał głową. Nie miałem pojęcia, co próbuje mi powiedzieć, ale wtedy usłyszałem tuż za sobą czyjeś kroki. To była Sigrid. Nie spuszczać ze mnie oczu, rzekła kilka słów do szwagra, po czym wysliznęła się z domu.

Tuż za progiem ją objąłem. Nie wiem, co mnie naszło; moje dłonie pochwyciły jej plecy, zsunęły się na pośladki. Całowałem jej szyję i usta, oddychała ciężko, opierając się o mnie całym ciałem. Wziąłbym ją wtedy, nie przejmując się tym, że od halli Burysława dzieli nas tylko kilka kroków, gdyby mnie nagle nie odepchnęła.

– Nie tutaj. Ktoś może nadejść.

Zostawiłem ją i bez słowa przeszedłem przez dziedziniec, a potem minąłem bramę okrągłego fortu, z Fenrem kuśtykającym tuż za mną. Znalazłem się w długim domu, opadłem ciężko na swoje miejsce na ławie, przy ścianie. Choć dzielący ze mną kwaterę wojowie byli ciekawi, gdzie się podziewałem, siedziałem bez słowa, wpatrując się bezmyślnie przed siebie. Jak przez mgłę przypominam sobie, że Eystein stanął obok i wziął na siebie ciężar rozmowy. Powiedział, że byłem w lesie i żeby dali mi spokój, bo chyba widzą, że Odyn zesłał na mnie złość i zgryzotę. I miał rację, na swój sposób. Człowiek może znosić niesprawiedliwość i godzić się z nią latami, może znosić niewolniczą obręcz na karku i smagnięcia pejcem po plecach. Lecz gdy już posmakuje wolności, gdy poczuje swoją siłę na polu bitwy, nie zniesie więcej ucisku. Byłem dorosłym mężczyzną. Byłem jomswikingiem. Nie musiałem już żyć w strachu. Postanowiłem wyjechać tak szybko, jak to tylko możliwe, a Sigrid miała mi towarzyszyć.

Następnego dnia pojechałem konno do Bryggene, gdzie w drodze wymiany zdobyłem mapę. Było to właściwie kilka linii narysowanych na koziej skórze, ale wskazywały bieg rzeki. Oprócz tego zaznaczono na mapie miejsca, gdzie mogłem natknąć się na zbójckie bandy i dzikusów. Już wcześniej wiedziałem, że najbezpieczniej będzie udać się na północ, aż nad brzeg Bałtyku, a potem jechać na wschód. Człowiek, który wiedział, jak zbudować dobrą łódź, mógł liczyć na przychylnie przyjęcie w Estonii. Oboje z Sigrid nie zdradzilibyśmy miejsca naszego pochodzenia i używalibyśmy innych

imion, tak by nikt nie mógł nas powiązać z Burysławem.

Plan nie był taki zły i jeśli by sprawy potoczyły się inaczej, wiódłbym może spokojne życie na wschodzie. Zacząłem wykradać to, co mogło mi się przydać podczas wędrówki przez pokryte lasem ziemie Wendów: skóry, strzały, suszone mięso, bukłaki na wodę i parę cięciw na wypadek, gdyby ta, której używałem, pękła. Dla Sigrid wykułem długi nóż, a swoją broń naostrzyłem. Wypatrzyłem dobrego konia dla niej, jedną z młodych klaczy, które przywiedliśmy ze sobą z Jomsborga. Chciałem zdradzić swoje plany Eysteinowi, ale przypomniało mi się to, co powiedział kiedyś Toke. Prosić Eysteina o zachowanie tajemnicy to tak, jakby chciało się nabrać wody w pęknięty dzban.

Od trzech lat żyłem na ziemi Wendów i wiedziałem, że tutejszej pogodzie nie można ufać. Wiatr niósł zimowe mrozy aż z Gardarike, a kiedy zaczynał sypać śnieg, mógł w krótkim czasie zalegać tak grubą warstwą, że nigdzie nie można było się ruszyć bez sań. Jednego konia, ewentualnie dwa, mógłbym sobie jakoś przywłaszczyć, miałem nadzieję, że przynajmniej Vagn zrozumiałby mnie, gdyby odkrył, że Sigrid też zniknęła. Miałem nawet nadzieję, że wstawi się za mną u króla i na tym sprawa się skończy. Burysław nie był przesadnie zapamiętały, był mężem roztropnym i rozumnym. Ale może nie powinienem aż tyle oczekiwać. Uciekając z Sigrid, okradłbym władcę. A żaden król, któremu honor miły, nie puściłby tego płazem. Wysłałby za mną swoich ludzi na rącznych koniach. Gdyby nas dopadli, musielibyśmy walczyć o życie.

Nie wspominałem o tym Sigrid ani słowem. Powiedziałem tylko, że udamy się na północ. Zapytałem, czy umie jeździć konno, a ona potwierdziła skinieniem głowy. Ale czy była dobrym jeźdźcą, nie miałem pojęcia. A sprawdzanie, jak sobie radzi w siodle, nie było dobrym pomysłem, bo tylko kilku najbardziej zaufanych niewolników Burysława miało prawo dosiadać koni.

Ledwie dwanaście dni po przybyciu Olafa spadł pierwszy śnieg. Utworzył warstwę na pięć głęboką i wielu narzekało, że każdego roku zima przychodzi coraz wcześniej, ale wkrótce powiał cieplejszy wiatr i wszystko się stopiło. Przygotowałem się do ucieczki. W północnej części lasu zagrzebałem strzały i baranice, worek zboża dla koni i stary żagiel, z którego chciałem zrobić schronienie, gdyby napotkała nas zamieć. Poprosiłem Sigrid, by trwała w gotowości, bo teraz czekałem tylko na to, by Burysław

wyruszył na łowy. Zajechałem do Bryggene, gdzie rozpuściłem plotki o dzikach, które pojawiły się na drugim brzegu rzeki, w nadziei, że te pogłoski dotrą do uszu wendyjskiego króla. Miał tratwy, którymi mógł się przeprowić przez rzekę razem ze swoimi ludźmi i końmi. A jak już znalazł się po drugiej stronie, spędzał tam zazwyczaj kilka dni.

Postanowiłem, że Vingur posłuży za jucznego konia, i dlatego musiałem ukraść dwa rumaki. Wybrane przeze mnie nie były ani najszybszymi, ani najbardziej wytrzymałymi. Najlepszy koń w Veitskog należał do Vagna, a tego nie śmiałem wziąć. Nie chciałem też kraść zwierząt Burysława, bo podejrzewałem, że kradzież konia potraktowałby jako poważniejsze przestępstwo niż uprowadzenie niewolnicy. Wybrałem zwierzęta używane na co dzień przez Eysteina i Tokego. Pomyślałem, że mnie zrozumieją. W każdym razie Eystein. Karmiłem zatem dobrze te trzy konie. Dostawały najlepsze siano i gdy tylko mogłem, podtykałem im pod pyski ziarno oraz chleb. Co wieczór oczyszczałem im kopyta, natłuszczałem uprzęż i siodła.

Być może mająca wkrótce nastąpić ucieczka tak mnie ekscytowała, że stałem się nieostrożny. Powinienem wiedzieć, że samotne przebywanie w stajni jest szczytem głupoty. Tego wieczoru, kiedy przyszli, byłem zajęty uprzężą – smarowałem ją tłuszczem i sprawdzałem klamry; gdyby coś pękło podczas podróży, mogłoby się okazać, że wędrówkę trzeba kontynuować pieszo. Tak mnie to zajęło, że nie zwróciłem uwagi na mężczyznę, który pojawił się w drzwiach. Usłyszałem go dopiero, kiedy wszedł do środka. Najpierw zdało mi się, że w stajni pojawiła się jakaś zjawa, bo tamten stał nieruchomo w ciemnościach, kryjąc twarz pod kapturem. Nagle zsunął go ruchem ręki i rozpoznałem Rosa. Wskazał na mnie ręką, w której trzymał zwiniętą linę, i nagle do środka wpadło sześciu uzbrojonych w pałki drabów. Rzucili się na mnie. Chwyciłem łopatę do przerzucania nawozu i pchnąłem trzonkiem w pierś jednego z napastników, ale ich pałki mnie dosięgły. Upadłem na kolana, potem na brzuch, a oni, stojąc wokoło, wciąż mnie bili, aż w końcu Ros kazał im obrócić mnie na plecy. Przygniótł mi szyję obutą nogą.

– Zabiliście mi brata. – Splunął mi w twarz. – Nadszedł czas zemsty.

Przerzucił zwój liny nad jedną z belek biegnących pod sufitem. Zawczasu zrobił na



drugim końcu pętlę. Założył mi ją na szyję. Zacząłem się rozpaczliwie opierać, próbowałem krzyknąć, ale mężczyźni wepchnęli mi szmatę do ust i zacisnęli pętlę. Obrócili mnie na bok, w pośpiechu skrepowali mi ręce na plecach. Następnie postawiono mnie na nogi, dwóch ludzi pociągnęło za linę, podniosło mnie do góry. Czując na szyi zaciskającą się pętlę, zakneblowanymi ustami próbowałem chwycić powietrze jak ryba wyrzucona na brzeg.

Jednak tego dnia życzenie Rosa nie spełniło się. Odyn pewnie doszedł do wniosku, że źle byłoby pozwolić chrześcijaninowi pozbawić mnie życia, gdy wciąż jeszcze miałem tyle do zrobienia. Jak przez sen słyszę czyjś ryk brzmiący niczym głos dzikiego zwierza. Dostrzegam półnągą postać, która rzuca się na Rosa i jego ludzi, wymachuje sękatym drągiem, bez lęku na nich naciera. Potem czuję wokół nóg jego ramię. Podstawia mi swój bark, bym na nim stanął. Ale tym samym zostaje unieruchomiony. Jeśli się przesunie, ja ponownie zawisnę na linie. Ros i jego banda okładają go pałkami, on jednak ani drgnie, wykrzykuje tylko słowa, których nie rozumiem. Wkrótce czuję, że chwieje się pode mną, omdlewa pod ciosami pałek. Wypuszcza drąg z ręki, chwytając się za twarz, a rzezimieszki Rosa okładają go bez ustanku, chcąc go zmusić, by przykląkł.

Ale ludzie usłyszeli odgłosy walki i do stajni wpadli druzynnicy Burysława. Przyparli dwóch kamratów Rosa do drzwi boksu i na miejscu zadźgali. Pozostali napastnicy pobiegli na drugi koniec stajni i najwyraźniej znaleźli tylne wyjście, bo gdy druzynnicy odcięli mnie ze sznura i pomogli wyjść na zewnątrz, tamci zdążyli się ulotnić. Rosa też nigdzie nie było widać.

Noc spędziłem w domu niewolników. Tym, który rzucił mi się na ratunek, był Osin, szwagier Sigrid. Był w ciężkim stanie. Miał zmiażdżony nos, skórę na czole pooraną aż do nasady włosów, wybite siekacze. Wstyd mi było, że tak źle o nim myślałem.

Sigrid siedziała przy mnie przez całą noc. W domu niewolników nie było ław pod ścianami, ludzie spali na klepisku, lecz ja leżałem na wygodnej baranicy, otulały mnie koce, a Fenre umościł się mi w nogach, więc nie marzłem. Sigrid nie zapytała, kto na mnie napadł, ale chyba zrozumiała.

Eystein przyniósł moją broń i został całą noc. Usiadł przy długim stole i nie odrywał wzroku od drzwi. Vagn zajrzał jeszcze tego samego dnia wieczorem, najpierw

przyglądał się mi przez dłuższą chwilę w zamyśleniu, po czym wyszedł, a kiedy zjawił się następnym razem, była późna noc i drzemałem. Poczułem jego dłoń na ramieniu, potem na czole; przykląkł przy mnie. Sigrid leżała po mojej drugiej stronie z ręką na mojej piersi. Zasnęła w tej pozycji i najwyraźniej przestała się przejmować tym, czy inni niewolnicy dowiedzą się o jej uczuciu do mnie.

– Olaf jest w halli Burysława – rzekł Vagn cichym głosem. – Twierdzi, że przyszedł od razu, gdy tylko się dowiedział o napaści. Obiecał odszukać tych, którzy wymknęli się ze stajni. Chce ich, jak mówi, surowo ukarać.

– Nie... – Dotknąłem szyi. Wciąż bolało, gdy mówiłem. – On... on kłamie. Człowiek, który tam był, w stajni... jest przyjacielem Olafa.

Vagn nie odpowiedział. Zerknął w stronę stołu, przy którym siedział Eystein i spał z brodą opartą o pierś.

– Wiem, że się przygotowałeś do wyjazdu. Myślę, że nie powinieneś dłużej czekać. Wypocznij przez noc. Jutro, jeśli dasz radę... jedź na północ, Torsteinie. Jak najdalej stąd.

Eystein zostawił przy mnie jednoręczny topór, Vagn wsunął mi go do ręki. Zacisnąłem dłoń na drzewcu.

– Torsteinie, dobrze się zasłużyłeś dla Jom jako wojownik. Gdy wyjedziecie, wykupię ją.

Pamiętam, że to wszystko wydało mi się snem, ale nagle Vagn ponownie przykucnął obok mnie i położył skórzaną sakiewkę na mojej piersi. Następnie się wyprostował, zrobił kilka kroków i ukrył w mroku.

– Wyjedź stąd, Torsteinie. Wypłynij w morze. I weź ze sobą swoją kobietę.

Rozsuplałem sznurek przy sakiewce i wsunąłem dłoń do środka. Był tam kamień słoneczny, który dostałem od Bjørna.

Wyruszyliśmy o świcie. Pewnie odpoczywałbym jeszcze dzień lub dwa, ale Vagn obudził Eysteina i wysłał go do Bryggene, by rozpowiadał, że leżę ranny, poobijany i nie stanę na nogi wcześniej niż za ładnych parę dni, co z pewnością dojdzie do uszu ludzi Olafa, snujących się między chałupami, a my zyskamy kilka dni przewagi, co nam ułatwi ucieczkę. Miał nam towarzyszyć Osin. Po tym, jak się rzucił w stajni na ludzi

Olafa, nie mógł już pokazywać się w Veitskog, bo pewnie by go zadźgali, więc Vagn wykupił również jego.

W ciągu nocy Vagn dopilnował, by spakowano potrzebne nam broń, koce, skóry, jedzenie i wodę. W ekwipunku znalazły się też dwa stroje podróżne ze skóry, nasączone rybim tłuszczem i pszczelim woskiem, buty z cholewami do kolan i grube, wydziergane z wełny skarpety. Zapakowano łuki oraz po saksie dla Sigrid i Osina, a cztery osiodłane konie czekały na nas, gdy wyszliśmy z domu niewolników. Wśród tej czwórki znajdował się Vingur – dźwigał skóry, bukłaki i mojego duna, ale pozostałe trzy nie były tymi, które chciałem ukraść. Należały do najbardziej ręcznych koni, jakie wyprowadziliśmy z Jomsborga. W pobliżu domu niewolników nie było nikogo oprócz Vagna i Aslaka. Obaj stali w milczeniu, owijając się szczelnie wełnianymi płaszczami.

Pomogłem Sigrid dosiąść konia. Osin wgramolił się na koński grzbiet o własnych siłach.

– Pewnego dnia znów się zobaczymy – rzekł Vagn, gdy chwyciłem lejce. – Jeśli nie wcześniej, to na pewno w halli Odyna.

Przytaknąłem. Wskoczyłem na konia i ruszyliśmy przez dziedziniec, kierując się ku bramie. Śnieg przestał padać, ale z północy wiał lodowaty wiatr. Poprowadziłem naszą trójkę obok długiego domu zamieszkanego przez drużynników, a potem obok kuźni i wkrótce sunęliśmy wśród nagich bukowych pni.



Przez cały dzień jechaliśmy pod wiatr. Nie robiliśmy postojów, nie wyrzekliśmy ani jednego słowa podczas przeprawy przez las. Wciąż oglądałem się za siebie, bo się bałem, że ludzie Olafa, zauważywszy nasz wyjazd, ruszą w pościg. Miałem Fenrego przed sobą w siodle, cięciwę na łuku i strzały luzem w kołczanie. Ale ani nie widziałem, ani nie słyszałem niczego oprócz wycia wiatru i szeleszczących nad głowami gałęzi. Pamiętam, że obróciłem się w siodle i krzyknąłem do Sigrid, że Thor jest po naszej stronie, bo niepogoda, którą na nas rzucił, zaciera wszelkie ślady. Sigrid uśmiechnęła się do mnie, widziałem jednak, że się boi.

Pierwszej nocy nie ośmieliłem się zasnąć. Siedziałem z Fenrem na kolanach i z łukiem

w garści, wpatrując się w ciemności. Podtrzymałem płomień w małym ognisku, które rozpaliliśmy za osłoną z kamieni i bukowych gałęzi, pilnując, by konie nie zrzuciły z siebie derek. Co chwila zamierałem, bo zdawało mi się, że słyszę ciała poruszające się w ciemnościach, stopę łamiącą gałązkę, głosy niesione przez wiatr... Lecz gdy w końcu nastał świt, byliśmy w dalszym ciągu sami.

Wkrótce Osin okazał się najbardziej doświadczonym człowiekiem lasu, jakiego kiedykolwiek spotkałem. Jego zdaniem musieliśmy być bezpieczni, mając za sobą cały dzień jazdy, bo miał czas, żeby przystawać i wskazywać palcem coś na ziemi. Niewiele się odzywał, pewnie niełatwo mu było mówić z wybitymi przednimi zębami, ale zakładam, że odnajdywał ślady zwierząt. Jak udawało mu się je wypatrzeć w śnieżnej zawiei, nie pojmowałem. Ja nie dostrzegałem niczego poza zmrożoną ziemią, liśćmi i nieustannie wirującym śniegiem.

Sigrid wciąż milczała. Kiedy rozbiliśmy obóz po drugim dniu leśnej wędrówki, zapytałem, czy żałuje. Czyżby wolała zostać w Veitskog jako niewolnica? Myślałem pewnie, że okaże mi teraz więcej uczucia, że wdzięczna będzie się do mnie tulić. Nie było jednak ani śladu po miłości, którą mi w tajemnicy okazywała w grodzie. Już drugą dobę nie spałem i całe ciało miałem obolałe od ciosów pałkami. Ledwo wmusiłem w siebie garść zboża i kawałek suszonego mięsa, gdy opadła mnie senność i z trudem wczółgałem się pod koce przy ognisku. Zdawało mi się, że położyła się przy mnie, ale może mi się tylko śniło.

– Boję się – szepnęła. – Zabiją nas...

Wiatr osłabł tej nocy. Gdy się ocknąłem, Osin i Sigrid byli już na nogach. Osin nacierał twarz plastrem słoniny. Już nie był taki opuchnięty, lecz twarz wciąż miał poranioną, a nos przypominał czarnogranatową narośl. Narzekanie nie leżało jednak w jego naturze, bo kiedy Sigrid zapytała, czy go boli, wzruszył tylko ramionami i wziął się do naciągania popręgów.

Zasypaliśmy ognisko liśćmi i śniegiem i pojechaliśmy dalej. W odległości zaledwie kilku strzałów z łuku od obozu wypatrzyliśmy lekką mgiełkę między pniami drzew. Tam płynie Odra, pomyślałem. Gdyby nam się udało przeprowić na drugi brzeg! Konie zostawiały wyraźne ślady, a jeśli nie zacznie znowu wiać lub jeśli nie spadnie śnieg,

Ros i jego kompani bez trudu nas odnajdą. Dla niewolników w Veitskog była to nie lada pokusa; pewnie sądzili, że Olaf nagrodziłby ich srebrem, może tak sownie, że wystarczyłoby na wykupienie się z niewoli, gdyby donieśli, że wcale nie dochodzimy do siebie w domu niewolników, tylko opuściliśmy potajemnie gród. Ja jednak wcale nie byłem pewien, że niewolnik, który zjawiłby się u Olafa z taką wieścią, zostałby nagrodzony. Pamiętałem, jaką zapłatę dostał niewolnik jarla Håkona.

Dojechaliśmy do brzegu rzeki. Poziom wody był niski, a wzdłuż linii wodnej ciągnął się zmarznięty pas piasku i błota. Tędy łatwiej było się posuwać do przodu i mogliśmy jechać kłusem.

Pamiętam, że kłusując wzdłuż brzegu, wciąż przyglądałem się rzece. Na powierzchni tworzył się lód. Już skuł wodę przy samym brzegu, a wkrótce całe koryto miało zamarznąć. Gdybyśmy się przeprawili, moglibyśmy skierować się na północny zachód, w stronę Danevirke. Niewykluczone, że tam, na ziemiach Svena Widłobrodego, było bezpieczniej, tam żaden człowiek Olafa nie był mile widziany. Moglibyśmy się osiedlić gdzieś na wybrzeżu, moglibyśmy powiedzieć, że uszliśmy z Norwegii, że wygnała nas stamtąd królewska władza Olafa, co w pewnym stopniu było prawdą. Mój ojciec miał dobre zdanie o Danach, to byli uczciwi ludzie.

W dalszym ciągu uważam, że Osin żyłby wciąż, gdybym się wówczas nie zatrzymał. Woda była tamtego dnia niezwykle przejrzysta, nie brunatna i mętna, jak to zazwyczaj bywało. Zsiadłem z konia i postawiłem Fenrego na ziemi. Wyglądało na to, że był to bród, że łatwo będzie się przeprawić na drugą stronę. Co prawda wiedziałem, że langskipy mogły tędy płynąć, ale takie statki nie zanurzały się szczególnie głęboko, a ponadto poziom wody był dość niski.

Nagle dobiegł mnie szum, jakby szept nadlatujący od strony drzew. Osin jęknął. Odwróciłem się w jego stronę w chwili, gdy przechylił się ku końskiemu karkowi. Głęboko w jego plecach tkwiła strzała. I wtedy dostrzegłem mężczyzn kryjących się między drzewami. Zauważyłem psy o zmierzwionej sierści, na smyczach, z kagańcami na pyskach. Słyszałem grzechotanie strzał w kołczanach i widziałem napinane łuki.

– Na drugą stronę!

Pamiętam swój głos tam, na plaży, brzmi szorstko i dorośle. Wydobywam łuk wendyjskich jeźdźców z kołczana, przytrzymuję trzy strzały palcami, tak jak mnie

uczono; czwarta na cięciwie. Strzelam w kierunku dwóch postaci między drzewami, gubię pozostałe strzały, schylam się i podnoszę je z ziemi, ale wtedy tamci rzucają się w moją stronę, widzę wśród nich Rosa. Biegając, wyciąga miecz z pochwy, kieruje się prosto na mnie.

Tamtego dnia ogarnął mnie strach. Chwyciłem Fenrego pod pachę i wbiegłem w nurt rzeki. Sigrid jechała przede mną i jej koń już stał po brzuch zanurzony w wodzie. Krzyczę, że musimy na drugą stronę, nie może się zatrzymać, ciągnę za lejce Vingura, ślizgam się na kamienistym dnie. Upadając, upuszczam Fenrego, pies idzie pod wodę i płynie porwany prądem. Rzucam się za nim, wciąż ciągnąc Vingura za sobą, ale nagle tracę grunt pod nogami, bo zmyliła mnie przejrzystość wody; tu jest głęboko. Zanurzam się, otacza mnie zimna toń.

Prąd jest silny i gdybyśmy z Sigrid nie byli dobrymi pływakami, potopilibyśmy się. Kiedy udało mi się wypłynąć na powierzchnię, prąd pociągnął nas ku jeszcze większej głębini. Sigrid zeskoczyła z konia. Poniosło nas w dół rzeki. Fenre płynął tuż obok mnie, znów go otoczyłem ramieniem. Tylko Vingur i koń Sigrid znalazły się z nami w wodzie, pozostałe konie zatrzymały się na brzegu. Zobaczyłem Osina. Udało mu się zejść z siodła. Ustawił się z łukiem w rękę. Napastnicy wciąż kryli się za drzewami, wydawało się, że jest ich co najmniej tuzin. Osin strzelił kilkakrotnie między drzewa, ale był słaby i ledwo naciągał cięciwę. Promień strzały tkwił głęboko w jego plecach i wiedział, czym się to skończy. Odwrócił się do nas częściowo i krzycząc coś, pokazał na przeciwległy brzeg. Wtem otrzymał kolejną strzałę, zachwiał się, lecz wciąż stał.

Przeprawiliśmy się z Sigrid na drugi brzeg i wprowadziliśmy konie między drzewa, które osłaniały nas przed strzałami. Zdawało się, że ludzie Olafa zapomnieli o nas na jakiś czas. Osin stał nad wodą z saksem w dłoni. Kolejna strzała trafiła go w udo, zmuszając, by przykląkł. Jeden z napastników rzucił się w jego kierunku i siekł go w ramię. Saks wysunął się z dłoni Osina i wpadł do wody. Osin obrócił się ku nam i miałem wrażenie, że widząc nas na drugim brzegu, lekko się uśmiechnął. Zbliżył się do niego olbrzym w płaszczu z wilczej skóry, trzymający myśliwską włócznię; był to Ros. Pchnął Osina włócznią pod ramię, z taką siłą, że ostrze przeszło na wylot i wyszło piersią. Osin nie wydał z siebie żadnego dźwięku i wolę myśleć, że włócznia trafiła w serce i był już martwy, gdy Ros wyszarpnął swój oręż, bo w tej chwili zdjęto psom

kagańce i spuszczone je ze smyczy. Ruszyły na Osina. Jeden rzucił się do gardła, dwa pozostałe szarpały ramię. Kamraci Rosa przyglądali się temu z zainteresowaniem, śmiali się i wytykali Osina palcami. Rosa niewiele to obchodziło, za to z nienawiścią spoglądał w naszym kierunku.

– Torsteinie Szkutniku! Widzę cię! Próbujesz się ukryć jak nikczemny tchórz!

Wtedy Sigrid odczepiła łuk i strzały od siodła, podeszła do brzegu i napięła cięciwę. Strzała przeleciała nad rzeką i wbiła się między mężczyzn. Jeden z nich skulił się, wydając z siebie okrzyk. Pozostali unieśli w górę łuki, ale Ros powstrzymał ich ruchem dłoni.

– Pozwalasz, by niewolnica walczyła w twoim imieniu! Co z ciebie za mężczyzna?

Wciągnąłem Sigrid z powrotem między drzewa. Obawiałem się, że Ros wyśle do nas swoich ludzi, ale on tylko odgonił psy kopniakami i pochylił się nad Osinem. Któryś z mężczyzn przyniósł należący do Osina saks i Ros odciął głowę zabitego. Potem cisnął ją w naszą stronę. Był to potężny rzut, głowa doleciała prawie na środek rzeki. Warknął do mnie kilka słów w obcym języku i poruszył biodrami w przód, dając do zrozumienia, co się stanie z Sigrid, gdy nas dopadną. W tym czasie jego ludzie zabrali porzucone przez nas konie, psom nałożono kagańce i odciągnięto je od zwłok, które wrzucono kopniakami do rzeki, gdzie porwał je nurt. Tego, którego postrzeliła Sigrid, dźwignięto, trzymając za nogi i rękę, i zabrano z brzegu.

Jechaliśmy przez cały dzień. Ponieważ Vingur musiał teraz służyć za wierzchowca, porzuciłem większość ekwipunku. Oczywiście zostawiłem broń, kilka skór, by nas chroniły przed nocnym zimnem, suszone mięso i jeden z bukłaków napełniony przez Vagna sfermentowaną serwatką, która – jak słyszałem – oczyszcza pierś z kaszlu. Sigrid cały czas milczała, jej długie rude włosy zamarzły i otaczały ją niczym oszroniony szal, ale nie ośmieliliśmy się zatrzymać przed zmrokiem.

Znalazłem zaciszne miejsce w odległości kilku strzałów z łuku od rzeki, schroniliśmy się za wykrotem. Rozpaliłem ogień, używając na rozpałkę suchych gałązek, które oberwałem z pobliskich drzew, a potem przewróciłem zeszlą sosnę, napierając na nią barkiem – miała zapewnić nam ciepło na całą noc. Nie chciałem używać topora, bo dźwięk jego uderzeń niósłby się daleko po lesie. Nie spuszczałem

oka z Fenrego, mając nadzieję, że się ożywi, gdy ich wyczuje, ale z niego nigdy nie był dobry strażnik. Zasnął natychmiast, kiedy tylko rozpałem ogień. Sigrid rozebrała się w ciemnościach i siedziała okryta baranicą, podczas gdy jej ubranie suszyło się rozwieszane na gałęziach; wierzchnie okrycie ze skóry, koszula, długa tunika, podkoszulek i buty. Widok tych rzeczy wiszących na gałązkach i ona owinięta skórą, jej nagie ramiona w blasku ognia... Każdy mężczyzna w takiej sytuacji oszalałby, ale tamtej nocy mogłaby siedzieć przede mną kompletnie naga i do niczego by nie doszło, gdyż mnie przepęniała obawa, że Ros i jego kompani już przekroczyli rzekę i napadną na nas pod osłoną nocy.

Stałem odwrócony plecami do ognia, z dunem w garści, nasza odzież podsychała. Wypiłem kilka łyków serwatki; to wszystko, co udało mi się w siebie wmusić. Po jakimś czasie włożyliśmy na siebie ubrania, a Sigrid położyła się przy ogniu. Przytuliła Fenrego i długo myślałem, że śpi, ale gdy płomienie przygasały, a ja przyklęknąłem, by dorzucić gałązek do ognia, zobaczyłem, że płacze. Nie śmiałem położyć się obok niej, musiałem trzymać straż. Poza tym ogarnęło mnie przeczucie, że wcale nie pragnęła mej bliskości, że był to smutek, z którym musiała uporać się sama.

– Nie obawiaj się. Będę nad tobą czuwał.

Na te słowa skuliła się pod przykryciem, a przez jej filigranowe ciało przebiegł dreszcz.

– Jeśli przyjdą... uderz mnie toporem. W kark, tak bym od razu umarła.

Nie odpowiedziałem. Stałem, wpatrując się w ciemność.





## 30

### Donos

**P**owiadają, że tylko ci, którzy urodzili się w niewoli, są w pełni lojalni wobec swego właściciela. Tylko ci, którzy nigdy nie zaznali życia na wolności, mogą dźwigać jarzmo niewolnika, w głębi duszy nie pragnąc go zrzucić. Wszyscy inni, których pochwycono i zakuto w kajdany, których batem zmuszono do posłuszeństwa, zawsze będą pragnąć wolności. To tkwi w człowieku, takie pragnienie, aż po ostatni dzień istnienia ludzkości.

Przekroczyliśmy Odrę, a plan zakładający, że skierujemy się ku Estonii i gdzieś tam się rozpłyniemy, już mnie nie kusił. Studiowałem dokładnie mapę, którą dał mi Vagn, ale ani ja, ani Sigrid nie rozumieliśmy zbyt wiele z tamtych linii i znaleźmy mniej niż połowę nakreślonych przez niego run. Wiedziałem, że dotrzemy do jeziora przy Jomsborgu, jeśli tylko udamy się na północ wzdłuż biegu Odry. W zaistniałej sytuacji decyzja, by udać się właśnie tą drogą, zdawała się najwłaściwsza. Kierowało mną nie tylko pragnienie wolności. Miałem dziewiętnaście lat. Gdybym był młodszy, gdybym poczuł w sobie strach tego ranka po napadzie, kiedy z łukiem w dłoni wpatrywałem się w rzekę, byłbym wdzięczny swym bogom za to, że uszedłem z życiem. Lecz tego ranka nie bałem się, lęk odczuwany poprzedniego dnia zastąpiło pragnienie zemsty i kiedy stałem między młodymi brzożami, próbując przebić wzrokiem unoszącą się nad rzeką mgłę, i nie mogłem wypatrzeć na przeciwległym brzegu niczego poza śniegiem i drzewami, nie doznałem ulgi. Raczej byłem zawiedziony, że nie zobaczyłem tam ludzi Rosa, do których mógłbym szyc z łuku.

Mówi się o mnie, że zdradziłem, doniosłem. Tylko pokaż mi mężczyznę pragnącego zemsty i niekorzystającego z okazji, jeśli taka się nadarzy! Gdybyśmy pojechali na

północ, gdybyśmy dotarli do Danevirke, a później w głąb królestwa Widłobrodego, gdybyśmy znaleźli miejsce jego pobytu... stanąłbym przed jego tronem i oznajmiłbym, że Olaf Tryggvason gości u Burysława, że jest w asyście niewielu statków, że wcale nie dysponuje licznymi oddziałami. Po nastaniu wiosny i puszczaniu lodów na Odrze Olaf pewnie będzie wracał na północ, a wówczas langskipy Svena i Olofa mogłyby już na niego czekać. A ja w końcu zaznałbym zemsty.

Nic nie powiedziałem Sigrid na temat swoich planów. Przez pierwsze dni po napaści jechaliśmy w milczeniu przez zimowy las. Wciąż oglądaliśmy się za siebie, niejednokrotnie zatrzymywaliśmy się, patrząc badawczo między drzewa. Nieustannie wydawało nam się, że słyszymy stukot kopyt, odgłosy łamanych gałęzi.

Sigrid dziwnie się zachowywała, nie potrafiłem jej rozgryźć. Wieczorami siedziała, wpatrując się w płomienie, tak jakby mnie nie zauważała. Ponieważ zostały nam tylko dwie baranice, musieliśmy leżeć obok siebie, mając jedną skórę pod sobą, a drugą się przykrywając. Gdy się do niej przytulałem, sztywniała, jej ciało tężało i było niechętnie. Nie była taka podczas naszych ukradkowych spotkań w lesie. Nieraz leżeliśmy obok siebie i miałem wtedy okazję, by poczuć ją w swoich dłoniach ciepłą, szczupłą, uległą. Nie pozwalała, rzecz jasna, bym jej wsunął dłonie pod koszulę, bo oboje wiedzieliśmy, do czego to doprowadzi. Teraz jednak byliśmy wolni, mieliśmy wystarczająco dużo lat, by zostać mężem i żoną, a moje umiejętności rzemieślnicze wystarczyłyby, żeby utrzymać nas i nasze dzieci. Mimo to była wobec mnie lękliwa i niedostępna. Czy zrobiłem jej coś złego? Nie mogłem tego pojąć, a było jeszcze gorzej, gdy następnego ranka, budząc się, zobaczyłem, że stoi przy ognisku i ociera uda z krwi.

Oczywiście to śmieszne, ale wtedy jeszcze nie miałem pojęcia, że kobiety krwawią. Dorastałem przecież bez matki, nie miałem sióstr, a moja wiedza o kobietach ograniczała się do tego, czego się dowiedziałem z historyjek Halvora, Eysteina i innych jomswikingów. Dlatego zerwałem się i chwyciłem ją za ramiona.

– Jesteś ranna? Dlaczego nic nie powiedziałaś? Gdzie... Czy to strzała?

Pamiętam, że pokręciła głową, a długie rude kędziory okrywały ją i znów była dziewczynką z Orkadów. Pod burzą włosów błysnął uśmiech, po czym uderzyła pięścią w moją pierś, mamrocząc, że rozumiem przecież, głupi chyba nie jestem. Znowu więc zapytałem, czy jest ranna, a do niej dotarło, że nie żartuję. Odgarnęła włosy z twarzy

i spojrzała na mnie.

– Nie wiesz... – ręką przesunęła w stronę krocza – tego?

Spojrzałem w dół i pomyślałem, że strzała ją tam ugodziła, ale nie zauważyłem, by koszula była rozdarta.

– Nie wiesz – powtórzyła. – Torstein... – Ponownie uderzyła mnie w pierś, lekko, otwartą dłonią. – Biedny Torstein. Nikt ci nie powiedział... – Kolejne uderzenie, teraz zaciśniętą pięścią, silniejsze. Uśmiech, który przed chwilą pojawił się pod kędziorami, zniknął. Znowu mnie uderzyła, tym razem drugą dłonią. Wtedy otoczyłem ją ramionami i przytuliłem. Cała niechęć opuściła tę drobną, szczupłą kobietę. Jęknęła, tłumiąc płacz, i przyłgnęła do mnie.

Tego dnia nad puszcę nadciągnęła wichura. Zbudowaliśmy z Sigrid schronienie z grubych konarów i gałązek świerkowych i przymusiliśmy konie, by stanęły jak najbliżej ogniska. Ja byłem przyzwyczajony do chłódów, z Sigrid było gorzej. Mieliśmy, co prawda, wierzchnie odzienie ze skór oraz baranice, ale zimno, które nadciągnęło tego dnia, było jednym z najbardziej dotkliwych, jakiego kiedykolwiek doświadczyłem, i przez moment sądziłem, że Sigrid i konie tego nie przeżyją. Ściąłem dunem cztery drzewa: dwie na wpół martwe, prawie uschnięte brzozy oraz dwa buki. Przygotowałem z nich ognisko długości odpowiadającej naszemu wzrostowi, przy którym leżąc, mogliśmy się ogrzewać od stóp do głów. Konie podprowadziłem pod nasze prowizoryczne zadaszanie, bo nie przeżyłyby w szalejącej na zewnątrz zamieci. W misie, którą zrobiłem z brzozowej kory, stopiliśmy śnieg i w pierwszej kolejności napoiłem zwierzęta. Potem wziąłem na kolana Fenrego; biedak miał całkowicie oblodzoną sierść. A dalej już tylko czekaliśmy.

Zamieć trwała cały dzień i całą noc. Czuwałem nad Sigrid, czuwałem nad zwierzętami, ale w końcu musiałem przysnąć, bo kiedy się ocknąłem, było jasno. Ze ściółki zniknął śnieg, z wyjątkiem zasp, które utworzyły się za pniakami i pagórkami. Dookoła leżały gałęzie, drzewa poprzewracały się, wyrywając potężne płyty zamarznętego torfu. Konie grzebały w mchu po drugiej stronie ogniska, w którym wciąż jeszcze tlił się ogień. Sigrid powiesiła nad żarem korową misę, w której parował topiący się śnieg.

Tego ranka powiedziałem jej, dokąd jedziemy. To się jej nie spodobało, tak jak się

zresztą spodziewałem. Siedziała przy ognisku z pochyloną głową, a ja szykowałem konie do dalszej drogi. Przywieziono ją do Svena Widłobrodego, gdy jako niewolnica przybyła do Danii. A teraz chciałem ją tam z powrotem zaprowadzić?

Przez cały dzień była ponura i milcząca. Jechałem przodem, oglądając się co chwila przez ramię. Podążała za mną, nie odjechała. Być może zrobiłaby to, gdyby w lesie nie było tak zimno, gdybyśmy w dalszym ciągu nie byli zmuszeni wypatrywać między drzewami Rosa i jego bandy. Pewnie myślała sobie, że przynajmniej na razie było bezpieczniej ze mną niż w pojedynkę.

Rosa i jego ludzi więcej nie zobaczyliśmy i założyłem, że wrócili do Veitskog. Byliśmy w lesie sami, spadł śnieg, minęły dwa, a potem trzy dni, Sigrid się ożywiła, siedziała w siodle bardziej wyprostowana i znowu zaczęła się do mnie odzywać. Uważała, że trzeba zapolować, i była ciekawa, jak dobrym jestem łucznikiem. Na śniegu zauważyliśmy ślady zająca, a w koronach drzew można było dostrzec gołębie i łowne ptactwo. Pewnego dnia natknęliśmy się na brzozowy zagajnik ze zrytą ziemią i wyszarpanymi korzeniami, gdzie leżały jeszcze ciepłe odchody dzika. Chwyciłem łuk i poszedłem tropem prowadzącym do lasu, w dół kamiennego usypiska, w głąb jaru, który porastały okryte szronem paprocie, i tam wyszedłem prosto na stado, które pokwikując, rozbiegło się na wszystkie strony. Były tu podrośnięte warchlaki, potężne lochy i uzbrojony w kły odyniec, który rzucił się w moim kierunku, pchnął pyskiem w chorą nogę i przewrócił mnie, jakbym był trzcinką, która stała mu na drodze.

Sigrid pewnie swoje pomyślała, gdy przykuśtykałem z powrotem. Chciała wiedzieć, co się stało, ale powiedziałem jedynie, że upadłem. Następnie wdrapałem się na siodło i ruszyliśmy w dalszą drogę.

Powiadają, że zgorzknienie może zniszczyć człowieka. Do tej pory znosiłem swój los lepiej, niż można by się spodziewać po jakimkolwiek mężczyźnie, lecz ból odczuwany tamtego dnia coś ze mną zrobił. Było to na swój sposób dziwne, bo nie dopadł mnie jakiś gwałtowny ból i nie krwawiłem. Jednak siedząc wtedy w siodle, dumiałem nad całym złem, które mi się przytrafiło, rozmyślałem o zamordowanym ojcu i Bjørnie, który padł z rąk ludzi Sigvaldego. Przeklinałem tego, który uszkodził mi nogę, i życzyłem mu wiecznych cierpień w lodowatych hallach bogini Hel. Już nigdy

nie pobiegnę z innymi mężczyznami, zawsze będę powłóczył nogą. Nie po raz pierwszy odczuwałem gorycz, ale nigdy przedtem nie ogarniało mnie takie palące pragnienie zemsty na tych, którzy skrzywdzili mnie i moich bliskich. Zaświtało mi w głowie, że muszę wypowiedzieć te słowa na głos, przynajmniej wyszeptać je, bo inaczej, gdybym wszystko zachował w swoich myślach, nie miałbym pewności, że Odyn pozna moje pragnienie.

– Wszechojczcie w złotej halli... Ześlij zemstę na moich prześladowców...

Wkrótce okazało się, że wybraliśmy dobrą porę, aby opuścić Veistskog. Śnieg jeszcze nie zalegał warstwą na tyle grubą, by to utrudniało jazdę, a zmarznięta ściółka nie załamywała się pod ciężarem koni i jeźdźców. Przecinaliśmy bagna i jeziora, na których okrążanie zmitrężylibyśmy wiele dni. Pewnego poranka, w odległości zaledwie jednego strzału z łuku, las otworzył się przed nami i wyszliśmy na przecinkę wiodącą z południa na północ. Zauważyłem na wpół zdmuchnięte ślady końskich kopyt, a kiedy zeskoczyłem z siodła i przekrzywiłem nieco głowę, dostrzegłem wgłębienia pod śniegiem, będące śladami kół. Dotarliśmy do traktu.

Słyszałem o drogach budowanych przez królów i cesarzy południowych krain i zrozumiałem, że to pewnie jedna z nich. Podążyliśmy nią na północ, łatwiej było poruszać się w ten sposób, niż jechać lasem. Wsunąłem łuk z nałożoną cięciwą do kołczanu przy siodle i nadstawiałem uszu, próbując wychwycić ludzkie głosy albo stukot kopyt, ale nie słyszałem niczego poza skrzeczeniem srok w koronach drzew, parskaniem naszych koni na mrozie i gałęzi, z których osuwał się śnieg.

W tamte dni Sigrid i ja nie rozmawialiśmy zbyt wiele. Gdy stawaliśmy w ciemnościach na nocleg, szukałem dokoła w lesie suchych pni i rozpałki; jako tej ostatniej używałem hub, których rosło sporo w tamtej okolicy. Pnie ścinałem toporem, po czym obwiązywałem je rzemieniem, a Vingur ciągnął je do obozowiska. Po utykaniu, które mu dokuczało na początku, nie było śladu. Stał się jednym z najsilniejszych młodych koni, jakie do tej pory widziałem. Gdyby ze mną sprawy miały się podobnie i gdybym mógł pozbyć się kalectwa, to niewielu innych rzeczy pragnąłbym w życiu. Najwyżej tego, by Bjørn przeżył, by jakimś sposobem uratował się tamtego dnia...

Sigrid niełatwo było się pogodzić z tym, że udawaliśmy się na ziemię Svena

Widłobrodego. Widziałem to. Po zapadnięciu zmroku siadywała zamyślona, a niebieskie oczy wzierające spod rudych pukli wpatrywały się w płomienie. Napomykałem od czasu do czasu, że tam będziemy bezpieczni. I chociaż teraz jechaliśmy do króla Danów, to przecież nie znaczyło, że zostaniemy tam na zawsze. Mógłbym zbudować łódź, moglibyśmy wypłynąć w morze, popłynąć z powrotem na Orkady, do jej rodziny. Tego by przecież chciała? Sigrid tylko kręciła głową, gdy o tym wspominałem, jakby ją to nie obchodziło.

Wciąż jeszcze nie natknęliśmy się na ludzi ani na zabudowania, ale wkrótce miało się to zmienić. Trakt, na którym się znajdowaliśmy, Danowie nazywali Drogą Wojów, bo tędy królowie i hovdingowie wiedli swoje wojska, udając się na wojnę lub z niej wracając. Obecnie trakt był najczęściej używany przez kupców i posłańców i nie minęło wiele dni, gdy dotarliśmy do pierwszych miejsc postojowych. Na niewielkiej polance na prawo od drogi napotkaliśmy długi dom z lekko wklęsniętym dachem, stajnię i stodołę. Na podwórzu stało dwóch mężczyzn; pierwszy z nich, we włochatej czapce, machał do nas nad głową potężną owłosioną łapą, a drugi próbował ukryć za plecami długi łuk.

Nie mieliśmy ochoty robić w tym miejscu postoju, ale mężczyźni zawołali do nas w swego rodzaju duńskim i jeśli już nic innego, to przynajmniej chciałem się dowiedzieć, jak daleko stąd do Danevirke.

Wprowadziliśmy konie do stajni, podsunęliśmy im siana, a potem zaproszono nas do domu. Mieszkańcy stanowili różnorodną zbieraninę, około dziesięciu kobiet i mężczyzn odzianych w grube wierzchnie tuniki, niektórzy naznaczeni okropnymi bliznami. Twarz jednego z nich była w połowie zmiądzona, inny zamiast ręki miał kikut, który opierał o stół podczas całego posiłku i mogliśmy obserwować, jak przemieszczają się kości pod cienką skórą, za każdym razem, gdy poruszał kikutem. Niewykluczone, że tego wieczoru wypilem zbyt wiele piwa, był to mocny trunek, a gospodarze nieustannie napełniali mi kufel. Było tam kilkoro maluchów i jakaś dziewczynka, ale dzieciaki wkrótce poukładały się do snu na pryczy pod ścianą. Potem miejsca przy stole opuściły kobiety i w końcu zostało z nami tylko czterech mężczyzn. Sigrid nie piła, siedziała przy mnie w milczeniu, ściskając pod płaszczem rękojeść noża. Jasne było dla niej, co się święci. Ten z kikutem wskazał na mnie swoim kuflem. Oznajmił, że czas na

zapłatę... Bo jak się wkrótce miałem przekonać, nie z gościnności ci mężczyźni zaprosili nas do siebie. Za dach nad głową, jedzenie i piwo oczekiwali czegoś w zamian.

– Masz pewnie srebro – stwierdził, klepiąc dłonią pas. – Taki wojownik jak ty? Pewnie ktoś na południu cię opłacał. Może Burysław? Wieść niesie, że ostatnio skumał się z jomswikingami.

Srebra nie miałem. W sakiewce nie było niczego oprócz krzesiwa i kamienia słonecznego, który dostałem od brata, a z żadną z tych rzeczy nie zamierzałem się rozstawać.

– Jeśli nie masz srebra... – uniesiony kikut był skierowany prosto na Sigrid – to dasz nam kobietę. Przynajmniej na jedną noc.

Musiałem być mocno pijany w chwili, gdy padły te słowa, ponieważ nie dotarły do mnie od razu. Gdy pojąłem, co ma na myśli, rozjuszony zerwałem się z miejsca, ale Sigrid chwyciła mnie za rękę i powiedziała, że natychmiast wychodzimy. Pociągnęła mnie za sobą w stronę drzwi. Stał tam mój topór, chwyciłem go, obrzucając całą czwórkę przy stole wściekłym spojrzeniem.

Poszliśmy osiodłać konie. Kiedy tylko znaleźliśmy się przed stajnią, Sigrid dosiadła wierzchowca, trzymając przed sobą Fenrego. Niezbyt pewnie stałem na nogach i nie udało mi się włożyć stopy w strzemię. Zakląłem, wzywając Hel i wszystkich jej umarlaków. Wtedy przed domem pojawili się mężczyźni. Ten z kikutem trzymał w drugiej dłoni siekiere, a pozostali byli uzbrojeni w długie kije.

Niewykluczone, że mogliśmy po prostu stamtąd odjechać. Sigrid krzyczała, żebym natychmiast włąził na konia. Ale poczułem w dłoniach ciężar duńskiego topora, a w tym ciężarze drzemie poczucie siły. Już nigdy żaden mężczyzna nie zabierze mi Sigrid, pomyślałem. Tamci ruszyli ku mnie, Sigrid ponownie krzyknęła, błagała, bym jechał za nią.

Wznosząc topór, zawyłem niczym zwierzę. Przypuszczam jednak, że uświadomiłem sobie, jak niemądrze byłoby stać się teraz zabójcą, to byli, bądź co bądź, Danowie, należeli do ludu Svena Widłobrodego. Przekręciłem więc drzewce w dłoni i zaatakowałem obuchem. Zamachnąwszy się, uderzyłem z boku w głowę tego z kikutem, z ust posypały się zęby i trysnęła krew. Padł na ziemię jak worek.

Zaległa całkowita cisza, gdy po raz kolejny uniosłem topór. Pozostali mężczyźni

wpatrywali się we mnie. Człowiek u ich stóp ani drgnął i zacząłem się zastanawiać, czy go nie zabiłem. Jego kamraci, porzuciwszy go, wycofywali się z kijami w rozdygotanych dłoniach, z szeroko rozwartymi przerażonymi oczami na zarośniętych twarzach, sądząc z pewnością, że teraz rzucę się na nich, że wszystkim rozplątam czaszki.

Wyjechaliśmy w pośpiechu. Kiedy w końcu się zatrzymaliśmy, ześliznąłem się z siodła i wysikałem na śniegu. Ponieważ przez cały czas kurczowo ścisnąłem drzewce topora i ze spodniami oraz całą resztą musiałem poradzić sobie za pomocą jednej ręki, to trochę pociekło po nodze i na stopę. Sigrid przyglądała mi się z końskiego grzbietu. Emanowałem dzikością, której przedtem u mnie nie widziała, i pomyślałem, że się mnie przestraszyła. Nie miałbym jej za złe, gdyby odjechała i nigdy nie powróciła.

Ale nie odjechała. Zamiast tego zeszła z siodła i odstawiała na bok Fenrego. Potem podeszła do mnie. Dotknęła mego barku.

– Dziękuję – szepnęła.

Położyła moją rękę na swoich plecach i tak staliśmy pogrążeni w ciemnościach.

Po tych wydarzeniach Sigrid była w znacznie lepszym nastroju. Jechaliśmy obok siebie drogą na północ, ona z uniesioną głową i wzrokiem skierowanym daleko przed siebie. Była w niej moc, której wcześniej nie widziałem, i stanowczość, która nagle zrobiła z niej kogoś więcej niż tylko rudowłosą dziewczynę poznaną na Orkadach. Stała się kobietą, wolną kobietą. Jeśli zdecydowała się zostać ze mną, to zrobiła to z własnej woli i z miłości.

Nie rozmawialiśmy więcej na temat celu naszej wędrówki i tak pewnie było najlepiej. Nie wiem dlaczego, ale wkrótce opadły mnie wątpliwości, czy słusznie postępuję. W chwili gdy wpadłem na pomysł, by donieść na Olafa do Svena Widłobrodego, wydawało się to czymś bardzo sprytnym, ale teraz zastanawiałem się nad atakiem na Jomsborg. A co, jeśli za wszystkim stał Sven? Co, jeśli Sigvalde wykonywał rozkazy króla Danów? Oczywiście, taka myśl nawiedzała mnie również wcześniej, ale szybko ją przeganiałem, bo trawiła mnie chęć zemsty na Olafie i Rosie. Widziałem oczyma wyobraźni, jak Danowie czają się w zasadzce za kilkoma wysepkami, setka okrętów wypełniona po brzegi wojownikami, a gdy nadpływają



langskipy Olafa, duńskie statki wynurzają się z ukrycia i otaczają je, burty się szepiają, Danowie wlewają się na pokłady Norwegów, rąbią, dźgają, zabijają, aż wśród żywych pozostają tylko Olaf i Ros, zapędzani w to samo miejsce. Wówczas pojawia się Sven w otoczeniu swoich wojów – zawsze wyobrażam go sobie z jednoręcznym toporem – i tnie toporem Rosa przez pierś, a ten pada u stóp króla Danów. Potem zbliża się do Olafa, który unosi miecz do ciosu, ale Sven jest zbyt szybki, tnie go z boku w szyję i jest to koniec Olafa i jego władzy królewskiej.



Droga wiodła nas dalej. Momentami wiła się wśród ściętych mrozem mokradel i pokrytych warstwą lodu jeziorok, omijała powalone drzewa i pojedyncze głazy, lecz wciąż kierowała się na północ. Czasami przejeżdżaliśmy obok zadaszeń z obciosanych pni, zbudowanych przy drodze przez wędrowców. Pod śniegiem można było zauważyć ułożone w krąg kamienie i pniaki drzew, które ścięto, by przez noc podtrzymać płomień w ognisku. Razem z Sigrid woleliśmy wchodzić głębiej w las przy rozbijaniu obozu, bo chociaż nasze ślady na śniegu były łatwe do odczytania, wśród drzew czuliśmy się bezpieczniej. Przez pierwsze dni po wydarzeniach w tamtej zagrodzie trzymaliśmy na zmianę wartę. Ubzdurałem sobie, że Ros i jego kamraci wcale nie zrezygnowali, tylko wzięli od Burysława sanie i wkrótce nas dogonią. Niewykluczone, że Ros właśnie dotarł do zagrody i usłyszał od tamtych, jak na nich napadłem, więc zabrał ich ze sobą na sanie i teraz podążali naszymi śladami, pewni tego, że wkrótce padną z ich ręki. A zachłanne łapska pochwyć Sigrid i siłą położyć ją na ziemi...

Dni jednak mijały i przestałem wpatrywać się między drzewa. Ze strachem jest tak, jak z raną, która, gojąc się, już tak bardzo nie dokucza. Znów kusiło mnie ciepłe miejsce przy ognisku, pod baranicą obok Sigrid i kiedy pewnego wieczoru rozpałem ogień, ona położywszy się pod skórą, wyciągnęła ku mnie rękę. Ległem przy niej, schowałem twarz w jej lokach, położyłem dłoń na jej wąskiej kibici, a potem przesunąłem w stronę brzucha, gdzie już umościło się kudłate psie ciało. Nieraz myślę, że mój pierwszy syn zostałby poczęty tamtej nocy, gdyby Fenre nie wcisnął się wtedy pod baranicę.

Niebawem wjechaliśmy w bardziej otwarty krajobraz. Wiatr prawie zupełnie omiótł

pola ze śniegu, a spod wciąż jeszcze zalegającej białej warstwy wyzierały rżyska. Nagle na jednym z pól pojawił się chłopiec. Biegł z długim łukiem w ręku i parą gołębi u pasa, wołał do nas w języku przypominającym duński, że mamy iść za nim, a dostaniemy pieczonego mięsa i piwa, i jęczmienia dla koni. My jakoś dawaliśmy sobie radę, ale konie żywiły się tą odrobiną mchu i zeschłej trawy, jaką udało im się znaleźć po drodze, potrzebowały zatem pożywienia i odpoczynku.

Chłopak biegł przed nami. Miał oszronione, długie do ramion włosy i czapkę z wiewiórczych skórek, a biegł na tyle szybko, że wciąż nas wyprzedzał. Od czasu do czasu zatrzymywał się, zdejmował rękawicę i przecierał ramiona łuku. Tego popołudnia było tak zimno, że aż szczypało w policzki. Przy takim mrozie łuk mógł się złamać.

Droga Wojów biegła teraz prosto i wnet ujrzelśmy w oddali wał. Ciągnął się ze wschodu na zachód. Zbliżając się, odkryliśmy, że na szczycie wału znajduje się częstokół, i zrozumieliśmy, że to musi być Danevirke. Nie mogę powiedzieć, że widok był imponujący, bo wał nie był na tyle stromy, by dorosły mężczyzna nie mógł się na niego wspiąć, a palisada nie należała do szczególnie wysokich. Ale połyskiwały grot strzał. Za przedpiersiem trzymano wartę.

Chłopak w dalszym ciągu wyprzedzał nas o kilka długości konia. Niebawem zbliżyliśmy się do wzmocnionej żelazem bramy, przez którą musiał przejść każdy wędrowiec pragnący znaleźć się w królestwie Svena Widłobrodego. Dwie gęby okolone gęstymi, białymi od szronu brodami wychyliły się z nad palisady.

Nasz przewodnik zawołał, by otwierali bramę, a jeden z brodaczy krzyknął do kogoś na dole, że chłopak Holgera przyprowadził ze sobą mężczyznę i kobietę, oboje na koniach. W naszym kierunku został wymierzony gruby paluch, a z głębi brody dobiegło pytanie, skąd jesteśmy i dokąd się wybieramy. Na początku nie rozumiałem, co mówi, bo mówił po duńsku, a na dodatek gębę miał ściętą mrozem. Sigrid jednak zrozumiała i szepnęła, bym powiedział, że jestem skutnikiem, a ona jest moją kobietą.

Tak też zrobiłem. Do brodaczy na górze dołączył jeszcze jeden. Był to wysoki białobrody starzec, który podejrzliwie nam się przyglądał. Chciał wiedzieć, do jakiego gospodarstwa się udajemy, czy czeka tam na mnie jakaś robota i z jakiego rodu pochodzimy.

– Tormod było mojemu ojcu – rzekłem i nagle poczułem, że moje plany dotyczące

zemsty były przedsięwzięciem odważnym i imponującym, a to sprawiło, że ujawniłem niezwykle, jak na mnie, umiejętności krasomówcze. – Nie udaję się do innego gospodarstwa niż to, które prowadzi twój król. Gdyż mam dla niego wieść.

– Tę wieść możesz przekazać mnie – stwierdził starzec.

– Nie – odparłem. – Ta wieść jest przeznaczona dla twojego króla!

Więcej słów przy bramie nie padło. Białobrody owinął się szczelniej wełnianym płaszczem i spojrzął na pola rozciągające się na zachodzie, ponieważ słońce wisiało teraz nisko i wkrótce miał zapaść mrok.

– Hmm... – chrząknął i zszedł po czymś, co, jak przypuszczałem, było schodami po wewnętrznej stronie częstokołu. Jęknęły łańcuch i liny. Brama została otwarta.

Spędziliśmy noc po drugiej stronie Danevirke. Widłobrody o każdej porze miał tutaj swoich wojów w liczbie około stu ludzi, którzy według własnego uznania dysponowali okolicznymi polami i lasami, ale nie wolno im było pobierać żadnych opłat ani podatków od ludzi, którzy zatrzymywali się tutaj na odpoczynek, ponieważ wszelkie dobra, które wędrowcy wieźli ze sobą, miały zostać opodatkowane w miastach leżących dalej na północ. Białobrodego zwano Egirem i to on nas oczekiwał, gdy przejechaliśmy bramę. Chłopak, który przeprowadził nas przez pola, pokazał nam drogę do stajni; tam rozbił warstwę lodu w jednym z wiader z wodą, znalazł zaciszne boksy dla naszych koni, wypełnił koryta ziarnem i sianem. Dla mnie i Sigrid znalazło się miejsce w jednym z domów gościnnych. Było ich tu wiele, stały rozrzucone na polanie przy wewnętrznej stronie bramy, tworząc maleńką osadę. W domu płonął ogień w palenisku, a dwie niewolnice gotowały zupę na ziarnach i boczku. Nie byliśmy z Sigrid sami, bo niektórzy z przejezdnych nocowali tu w oczekiwaniu na krewnych mających przyjechać po nich saniami z leżących na północy gospodarstw. Inni byli zbyt zmęczeni po wielodniowej podróży i postanowili przeczekać tu kilka dni przed dalszą drogą. Wśród gości było dwóch mężczyzn w sięgających ziemi mnisich habitach z grubej wełny. Twierdzili, że byli aż w Miklagardzie, i próbowali mi sprzedać kość palca ponoć samego Białego Chrysta, dzięki której mógłbym się uleczyć z utykania, gdybym ją tylko przyłożył do chorej nogi. Byłem opryskliwy wobec nich i gdy położyłem dłoń na toporze, wycofali się przestraszeni na miejsce po przeciwnej stronie paleniska, gdzie

przesiedzieli resztę wieczoru, grając w kości. Wciąż jednak zerkali na mnie, jakby oczekiwali, że wstanę i rzucę się na nich z toporem.

Ludzie przy bramie bez wątpienia pojęli, że jestem jomswikingiem, i słyszeli, że Burysław trzyma z takimi jak ja. Historia upadku Jomsborga była powszechnie znana. Doszło do bitwy między dwoma hovdingami, Sigvaldem i Vagnem, i powiadano, że bitewna pożoga strawiła wszystkie domy Jomsborga, a przy tym wiele statków.

W domu gościnnym nocowało około dziesięciu osób, głównie kupców, ale był tam również rosy Wend, którego wzrok wciąż wędrował w moją i Sigrid stronę. Od czasu do czasu chwycił się za krocze, pojękując, ale nigdy nie trwało to zbyt długo, jakby nie mógł się zdecydować, czy ma się gapić na Sigrid, czy raczej bać się mojego topora. Sigrid chciała przenocować w stajni, ale uważałem, że tu, gdzie nie byliśmy sami, jest bezpieczniej. Poza tym noc była mroźna, słycać było skrzypienie śniegu, za każdym razem, gdy ktoś przechodził.

Obie niewolnice też miały swoje legowiska w domu gościnnym. Jedna z nich poszła spać z Wendem za kawałek srebra, który odłamał ze swojego naramiennika. Siedzieliśmy, patrząc, jak tamta dwójka robi swoje pod baranicą niczym dwa psy parzące się naprędce, lecz Wend, nawet gdy dogadzał sobie, nie spuszczał oczu z Sigrid do chwili, gdy jego plecy wygięły się w łuk nad niewolnicą, po czym znieruchomiał ze śliną ściekającą po brodzie i wzrokiem zwróconym na bok i w końcu zasnął.

Postanowiłem czuwać tej nocy nad Sigrid. Usiadłem na brzegu pryczy u jej stóp, z toporem na kolanach, w takiej pozycji, że gdybym zapadał w sen, musiałbym przechylić się do przodu i spaść. Jednak w ciągu nocy najwyraźniej się poddałem, bo ocknąwszy się, leżałem na ziemi, a w palenisku tlił się tylko żar. Już chciałem wstać i dorzucić drewna, kiedy przyszedł jakiś chłopiec z naręczem brzozonej kory i gałęzi. Prawdę mówiąc, chodzeniem trudno było to nazwać, bo bardzo kulał. Był wychudzony i ubrany w łachmany. Na szyi miał niewolniczą obręcz. Rozpalił ogień i nieufnie mi się przyglądał, obracając ku mnie zdeformowaną i pokrytą bliznami twarz. Trudno było orzec, czy taki się urodził, czy obito go tak mocno, że zniekształcono mu twarz. Usta były krzywe, brakowało jednego oka, z boku szczęki widać było gułę pod skórą. Podniósł się z wielkim trudem i powłócząc nogą, skierował się do wyjścia, dygocąc na

całym ciele.

Podszedłem do niego. Chłopak skulił się i schował głowę w ramionach, zapiszczał jękliwie, myśląc pewnie, że chcę go uderzyć. Chciałem mu tylko powiedzieć, że kiedyś byłem taki jak on, że nie ma potrzeby, by pełzał, że ma się wyprostować, że jarzmo niewolnika można zrzucić... Ale wtedy obok wychynał jeden z mnichów. Uderzył chłopaka otwartą dłonią, powalając go na ziemię i przeklinając jego i jego pogańskie ciało słowami o Białym Chryście i o Szatanie. Kazał mu wynosić się z powrotem do stajni, zamiast niepokoić Waregów swoją szpetną gębą. Kopnął chłopaka kilka razy i wyszczerzył się do mnie, zapewne sądząc, że obecność tego biedaka była dla mnie nieprzyjemna, lecz nagle stracił animusz i wycofał się, widząc, jaka wściekłość mnie ogarnia.

Obudziwszy się, leżałem przy Sigrid, jedną ręką obejmując ją, a drugą topór, Fenre zaś przytulał się do jej brzucha. Mnisi wyjechali, a małego niewolnika nigdzie nie było widać.

Od Danevirke jechaliśmy w dalszym ciągu na północ. Wciąż podążaliśmy Drogą Wojów, wkrótce jednak mieliśmy z niej zboczyć i skierować się na wschód. Dowiedzieliśmy się, że król osiadł na wyspie zwanej Fionia; tam w głębi jednego z fiordów jego ojciec wybudował okrągły fort. Na wybrzeżu można było spotkać żeglarzy, którzy zabierali na pokład ludzi i konie. Za jedną lub dwie srebrne monety moglibyśmy się przepawić do grodu, w którym Sven spędza zimę. Opowiedział nam o tym białobrody, najwyraźniej miejsce pobytu króla nie było tajemnicą. Nie powinienem jednak jechać do niego, nie mając umiejętności lub nowin do zaoferowania, twierdził stary wojownik, dodając, że król Sven bywa gwałtowny i nieobliczalny. Przytaknąłem ruchem głowy, mrużąc, że już kiedyś stałem przed królewskim obliczem i że będę się pilnował. Znacznie bardziej martwiła mnie przeprawa statkiem, bo nie mieliśmy srebra.

Ja i Sigrid podróżowaliśmy już tak długo, że prawie czułem, jakbyśmy byli mężem i żoną; mnie w każdym razie podobała się ta myśl. Gdy stawaliśmy na nocleg, niepotrzebne były słowa. Ja wychodziłem w zapadającym zmroku, by naciąć suchych gałązek i konarów, od czasu do czasu powalić jakąś uschniętą sosnę, żeby ognisko paliło się całą noc, chroniąc nas przed chłodem. W tym czasie Sigrid przygotowywała

kryjówkę. Ścinała gałęzie, najlepiej jeśli udało jej się znaleźć gałęzie świerkowe, mościła nimi miejsce na legowisko i wznosiła niską ściankę z kamieni albo stawiała na sztorc jeden z pniaków, tak by ciepło bijące z ogniska lepiej skupiało się wokół nas. Karmiła Fenrego, masowała jego podkurczoną tylną łapę, a kiedy wracałem do obozu z drewnem, z reguły czekała na mnie, trzymając psa na kolanach. Potem przykucaliśmy ramię w ramię, by tworzyć osłonę przed wiatrem, podczas gdy ja, uderzając krzesiwem o krzemień, krzesalem iskry. Nawet najłżejszy powiew mógł takie iskry zdusić. Wtedy najczęściej panowały już ciemności i przez pewien czas ogień był jedyną rzeczą, która miała dla nas znaczenie. Do rozpałki przykładałem wiechcie suchej trawy, wzniecałem w nich ogień, a następnie dokładałem suchych gałązek i podsycałem płomienie tak długo, aż zajęły się większe kawałki drewna, a my mogliśmy umieścić nad ogniskiem kije do pieczenia. Kije strugałem ze świeżych, giętkich gałęzi, które nie paliły się zbyt łatwo. Topiliśmy śnieg w kubkach z kory. Podczas podróży Sigrid powykrawała wiele takich naczyń; okazało się, że ma do tego rękę.

Suszone mięso, które zabraliśmy z Veitskog, dawno się już skończyło, lecz na północ od Danevike było mnóstwo drobnej zwierzyny. Z końskiego grzbietu udawało mi się ustrzelić zające i ptactwo, lecz jak zwykle nie znajdowałem w polowaniu radości odczuwanej często przez innych mężczyzn. Zabijałem, by zaspokoić głód. W każdym razie było tak do momentu, kiedy zauważyłem, że Sigrid nabierała swoistej miękkości i czułości, jak wręczałem jej zdobycz. Bywało, że w takich chwilach pogładziła mnie po ramieniu albo przytuliła się do mnie, pozwalając mi się objąć, a ja mogłem poczuć, że w tym wszystkim jest jakiś sens. Gdybym jeszcze tylko zdołał zaalarmować Svena Widłobrodego, że Olaf jest u Burysława i że wystarczy zrobić zasadzkę, a potem zaczekać na niego, mógłbym się zemścić za ojca i niewolnicze jarzmo, a potem razem z Sigrid zostawić to wszystko za sobą.

W tym czasie zastanawiałem się też, co właściwie stało się z moim bratem. Zdałem sobie sprawę, że tam gdzie przebywał Widłobrody, było duże prawdopodobieństwo natknięcia się także na Sigvaldego. Wiedziałem, że dawny hovding jomswikingów cieszy się względami króla Danów, jednak nie porzuciłem myśli o pomszczeniu brata. Znaleźć się w pobliżu Sigvaldego, nie ryzykując życia, wydawało się niemożliwe, o każdej porze otaczał się wojownikami. Być może udałoby mi się wmówić mu, że

popadłem w niełaskę u Vagna i teraz wolałbym jemu służyć. Może wywabiłbym go na polowanie? Tylko on i ja. Ale gdybym go zabił, po raz kolejny zostałbym wyjęty spod prawa. Wówczas ludzie Sigvaldego ścigaliby mnie i Sigrid i znowu musielibyśmy uciekać.

Dumałem nad tym długo, lecz każdy pomysł na zemstę, który rodził się w mojej głowie, natychmiast odrzucałem. Z Bjørnem nie było tak jak z ojcem. Nie miałem pojęcia, kto go zabił, i nie mogłem w sobie wzbudzić takiej nienawiści do Sigvaldego jak do Rosa. Z Sigvaldem sprawy miały się inaczej, bo on nigdy nie miał nic przeciwko mnie lub mojemu bratu; pewnie nawet nie wiedział, kim jesteśmy. Jednak gdybym go zobaczył samego w lesie, gdyby nadarzyła się okazja, by przebić strzałą tego starego jomswikinga... nie wahałbym się.

Pewnego poranka Sigrid i ja stanęliśmy nad brzegiem morza. Szum fal dobiegał nocą do naszego obozowiska i jak tylko zaświtało, przejechaliśmy ten ostatni kawałek dzielący nas od wybrzeża. Siedzieliśmy w siodle, przed nami rozciągało się morze szare i zamglone, a zimny wiatr smagał nam twarze. Jeśli nie rzucimy się w pław, to przyjdzie nam tu zostać na zawsze. Powinniśmy znaleźć kogoś, kto nas przeprowi. Jednak wciąż nie mieliśmy srebra.

Dookoła nas leżały uprawne pola i żadnego naturalnego schronienia przed wiatrem. Dlatego jechaliśmy z powrotem przez pół dnia w głąb lądu drogą, którą właśnie pokonaliśmy, po czym stanęliśmy na nocleg. Pamiętam, że mieliśmy tam daszek z gałęzi i że pod wieczór zaczął padać śnieg. Położyliśmy się pod zadaszeniem, mając, jak zwykle, jedną skórę za legowisko, a drugą za przykrycie. Tamtego wieczoru nie mieliśmy niczego do zjedzenia i pamiętam, jak z głodu bolał mnie brzuch, przez co nie mogłem zasnąć. Sigrid wręcz przeciwnie, szybko zapadła w sen, więc leżałem tak do późnej nocy. Konie wydychały szare obłoki w poświacie ognia i pewnie były równie głodne jak ja.

Pamięć mi podpowiada, że długo tak leżałem przy ognisku, zanim się pojawili. Choć bardziej prawdopodobne, że mrok właśnie zapadł, bo tych dwóch raczej nie podróżowałyby w ciemnościach. Znajdowaliśmy się na ubitym trakcie wybieranym często przez tych, którzy z Drogi Wojów kierowali się ku Fionii, a będąc na tej drodze,

łatwo było zauważyć płomienie. Nagle zatrzeszczały gałęzie i zachrząścił śnieg. Z mroku wyłoniło się dwóch mężczyzn, po czym przykucnęli po drugiej stronie ogniska. Trzęsąc się z zimna, wysunęli dłonie w stronę ciepła, blask ognia padł na ich twarze i poznałem ich. To byli ci dwaj mnisi.

– Nie będziemy przeszkadzać – rzekł pierwszy, podczas gdy jego wzrok spoczął na Sigrid, która przebudziwszy się, usiadła blisko mnie.

– Chcemy się tylko ogrzać – dodał drugi.

Zauważyłem, że mieli ze sobą dwa konie. Zwierzęta wpatrywały się w ognisko szeroko otwartymi oczami, płomień pewnie napawał je lękiem.

– Nie mamy krzesiwa ani hubki – odezwał się ponownie ten pierwszy.

– Ktoś nam ukradł – dorzucił drugi. – Tuż przed naszym wyjazdem. Powinniśmy byli zawrócić, ale... Powinniśmy byli zawrócić.

– To pewnie ten mały niewolnik, niech będzie przeklęty.

– I zaiste przeklętym jest – stwierdził ten drugi. – Ten, kto okrada sługi boże, będzie smażyć się w piekle.

– Dokąd idziecie? – zapytałem.

– Do króla Danów – padła odpowiedź. – Chcemy mu opowiedzieć o Białym Chrystie i ochrzcić go, jeśli tylko zechce. Powiemy mu, że na nieochrzczonych czeka piekielne morze ognia.

Chciałem im powiedzieć, że najlepiej dla nich byłoby, gdyby zawrócili, że Sven raczej nie potraktuje ich łaskawie, gdy mu zaczną opowiadać o morzu ognia i chrzcie. Ale poczułem dłoń Sigrid na ramieniu, ścisnęła mnie mocno, a ja zrozumiałem, że się boi. Nie chciała, by ci dwaj spędzili noc w naszym obozie. Mnie to też się nie uśmiechało. Poza tym pomyślałem, że jeśli to mały niewolnik ukradł im krzesiwo i hubkę, to w pełni sobie na to zasłużyli. Ponadto już wiedziałem, w jaki sposób przeprawimy się na Fionię.

Byłoby kłamstwem utrzymywać, że miałem opory przed napadnięciem tej dwójki. Gdy moi synowie byli młodzi i po raz pierwszy słyszeli tę historię, stwierdzili, że nie powinienem tak czynić, że zachowałem się jak rozbójnik. Ale przecież wyuczyłem się na jomswikinga, brałem udział w walkach i zabijałem. Byłem młody i silny, a Sigrid przytulała się do mnie i niczego innego nie pragnęła, jak tylko tego, by tamci zniknęli.



Podniosłem się zatem i trzymając w garści duński topór, poszedłem między drzewa, przyprowadziłem konie mnichów i uwiązałem lejce do gałęzi. Tamci przyglądali mi się i pewnie sądzili, że robię im przysługę, bo kiwali głowami i chcieli mi dziękować, gdy nagle uderzyłem jednego z nich tępym końcem drzewca w oko. Drugiemu wymierzyłem kopniaka w głowę, po czym zamachnąłem się toporem, uderzając obuchem w bok szyi. Tak jak siedział, tak padł. Nie wiedziałem, czy mój cios zabił go, czy tylko pozbawił przytomności, w każdym razie mnich się nie ruszał. Ten, któremu wbiłem końcówkę drzewca w oko, zataczając się, wbiegł między drzewa i zniknął mi z oczu, słyszałem tylko trzaskające gałązki, kiedy przedzierał się przez zarośla, jego krzyki i jęki.

Przeszukałem sakiewki, które miał u pasa mnich leżący teraz przy ognisku, lecz nie znalazłem niczego oprócz kawałeczków skóry i pęczka nici ze zwierzęcych ścięgien. Sigrid zaś wsadziła rękę za jego habit i wyjęła krucyfiks, który połyskiwał metalicznie w poświacie ogniska. Natychmiast odjechaliśmy, zabierając ze sobą konie mnichów. Miałem zamiar wymienić je na przeprawę, dorzucając krucyfiks, jeśli był ze szlachetnego metalu.

Znajdowaliśmy się gdzieś na wschodnim wybrzeżu Jutlandii, minęliśmy, nie mając o tym pojęcia, kupiecką osadę o nazwie Hedeby tuż na wschód od Danevirke, a teraz wjeżdżaliśmy na najmniej zaludnione tereny w tamtejszej okolicy. Dwa, trzy dni jechaliśmy wzdłuż niekończącej się piaszczystej plaży, aż wreszcie zauważyliśmy zagrodę. Gospodarstwo nie było duże, a tutejszy długi dom podzielono na starą modłę; konie, kozy, kilka owiec przebywało w jednej części, mieszkańcy zaś w drugiej. Ludzi było dość dużo, trzy pokolenia kobiet, dzieci i psy. Tego wieczoru siedzieliśmy ciasno przy stole. Stary gospodarz nazywał się Svartur, był siwowłosym chłopem o twardych pięściach, który przyzeglował tu z Islandii, ale żona była z ludu Danów, a trzech synowie – Sigvur, Thivar i Ravni – przyszli na świat na duńskiej ziemi.

Oznajmiłem, że jestem posłańcem Burysława i zapłacę dwoma końmi za przeprawę do miejsca, w którym przebywał duński król. Ludzie zamilkli, kierując wzrok na Svartura siedzącego u szczytu stołu. Ten chrząknął i stwierdził, że wszyscy mężczyźni są mu teraz potrzebni, ale jeśli dam w zastaw konie, to będę mógł pożyczyć od niego

byrding, a ten ma zarówno żagiel, jak i wiosła i po morzu pływa się nim bezpiecznie. Wypiliśmy za to.

Noc spędziliśmy, śpiąc na kilku skórach przy palenisku. Ludzie z tego gospodarstwa byli porządni. Żaden z mężczyzn nie patrzył pożądliwie na Sigrid, nikt się też nie upił i od picia nie zgłupiał. Pamiętam, że siwobrody siedział przy stole z niemowlakiem na ręku i szmatką, którą co chwila zanurzał w kubku z kozim mlekiem, a dziecko uspokajało się, dostając szmatkę do ssania. Starzec i niemowlę usnęli w tej pozycji, a gdy obudziłem się o świcie, wciąż tam siedzieli, tylko ktoś otulił ich pledem.

Następnego poranka zszedłem samotnie na plażę. W uszach wciąż dźwięczały mi słowa, które przed wyjściem usłyszałem od niej.

– Zostaję tu, Torsteinie. Nie wrócę tam. Do tych... bestii.

A potem mój głos:

– Przecież będę przy tobie, Sigrid. Nie ośmielą się ciebie tknąć. A co, jeśli zjawią się tu mnisi? Co, jeśli przyjdą, a mnie nie będzie?

Przez chwilę milczy, potem odpowiada:

– Raczej mnisi niż bestie króla Danów. Poczekam tutaj, Torsteinie. Tak to będzie.

I tak też się stało. Gdy czekałem, pojawili się Svartur z synami, dźwigając mały byrding. Znieśli go do wody, a ja dotarłem do niego, brodząc, po czym wszedłem na pokład. Fenre został z Sigrid. Wetknięto mi do garści rulon skóry, na której nakreślono linię brzegową i morski szlak. Wysunąłem wiosła i zacząłem wiosłować.

Zbyt wiele z tej podróży nie pamiętam. Przypominam sobie, że żagiel postawiłem niedaleko od lądu i że wiało z zachodu. Wiatr nie był silny, a morze było stosunkowo gładkie. Miałem żeglować prosto na wschód, aż dotrę do szlaku północnego. Tamtejsze wody powinienem rozpoznać, bo żeglowaliśmy po nich, udając się z Halvorem i resztą do duńskiego króla. Z pewnością zamartwiałem się o Sigrid, czy jest bezpieczna w gospodarstwie, i wciąż spoglądałem za siebie w stronę lądu. W końcu najprawdopodobniej wpłynąłem do cieśniny między Fionią a Zelandią, cieśniny, którą Danowie zwą Svolder, bo następne, co pamiętam, to widok wybrzeży Fionii i zapadający zmierzch. Pewnie wtedy rzuciłem kotwicę, gdyż noc spędziłem na dnie łodzi, pod baranicą. Snu nie zaznałem, ale jakoś udało mi się utrzymać ciepło. O świcie

byłem znów na nogach i ośmieliłem się prowadzić byrding bliżej brzegu, tak długo, aż za półwyspem, zwanym w tym czasie Nordskogen, znalazłem zatoczkę, skąd popłynąłem rzeką w głąb uprawnych poletek. Wciąż spora liczba statków i byrdingów wypływała na połów ryb, więc szlak na rzece utrzymywano wolny od lodu. W miejscu, w którym rzeka rozwidlała się, szlak poprowadził mnie na południe, lecz nie dotarłem dalej niż na odległość kilku strzałów z łuku, gdy natknąłem się na liczne langskipy tarasujące rzeczne koryto. Stały burta w burte, przycumowane do pniaków i drzew po obu brzegach i pomyślałem sobie, że było to pewnie ich zimowe leże. Ja postanowiłem powiosłować z powrotem do rozwidlenia rzeki, bo nie chciałem, aby byrdig został uwięziony w lodzie, musiałem przecież wrócić do Sigrid natychmiast po rozmowie z królem Danów.

To ostatnie przerażało mnie teraz i po zejściu na ląd, maszerując wzdłuż rzeki, serdecznie wszystkiego żałowałem. A co, jeśli każe mnie ściąć, tak jak Olaf postąpił z niewolnikiem jarla Håkona? A co, jeśli mnie uwięzi i nigdy nie wrócę do Sigrid, Fenrego i Vingura? Pamiętam, że zatrzymałem się na brzegu, tuż przy kępie starganych wichrami wierzb, a silny podmuch wzbił śnieg na polach i sypnął nim w moim kierunku. Byłem przemarznięty i głodny. Na rzece, na pokładzie jednego ze statków, stał człowiek w futrzanym płaszczu, przyglądając się mi. Potem krzyknął coś, czego nie zrozumiałem, ale domyśliłem się, że chce wiedzieć, co tu robię. Odkrzyknąłem, że idę do Svena Widłobrodego. Wtedy pokazał kierunek wzdłuż rzeki.

Znalazłem się na uczęszczanej trasie, gdzie leżało sporo końskich odchodów, widać też było ślady wozów i sań. Idąc, usłyszałem dobiegające z tyłu głosy i obejrzawszy się, dostrzegłem jakieś rozczochrane typy wynurzające się z luków, niektórzy wskazywali na mnie. Samotny wędrowiec, bez ekwipunku... Pewnie było dla nich jasne, że skoro nie miałem ze sobą towaru, to niosłem słowa. I to mnie przerażało, bardziej niż kiedykolwiek. Jednak nie zatrzymałem się i przemarznięty do szpiku kości, szedłem pochylony pod wiatr, stawiając jedną nogę przed drugą, aż znalazłem się wśród zabudowań i zagród dla zwierząt, a nad zamarznąłą rzeką dostrzegłem kilka szop wykorzystywanych przez rybaków. Sypnęło śniegiem, ale nie na tyle gęsto, bym nie dostrzegł częstokołu, który początkowo zdawał się unosić w powietrzu nad dachami pobliskich budynków. Wybudowano tu okrągły fort, podobny do tego, który Danowie

zwali Trelleborgiem, i wkrótce znalazłem się przed stojącą otworem wschodnią bramą, mając widok na drewnianą ulicę i łuczników za osłoną z drewnianych bali. Krzyknęli do mnie, żebym zawrócił, bo nikt nie może wejść, nie mając towaru na sprzedaż. Odparłem, że mam wieści od Burysława, że jestem jego posłańcem. Ruchem dłoni dali mi znać, że mogę wejść.

Okrągły fort na Fionii został, podobnie jak Trelleborg na Zelandii, zbudowany przez ojca Svena. Również leżał nad rzeką, wał ziemny tworzył krąg, a na jego szczycie wzniesiono częstokół z drewnianych pali. Znajdowały się w nim cztery bramy, każda skierowana w inną stronę świata. Dwie drewniane ulice krzyżowały się w centrum fortu i dzieliły zabudowania na cztery grupy. Każde z czterech skupisk składało się z czterech długich domów umiejscowionych w taki sposób, że między nimi było podwórze. To sprawiło, że zatrzymawszy się na skrzyżowaniu ulic pośrodku fortu, miałem wrażenie, że zabudowania po jednej stronie są lustrzanym odbiciem tych po drugiej, i nie miałem pojęcia, dokąd powinienem się udać. Żaden dom mieszkalny nie był większy i bardziej okazały niż pozostałe. Nic nie wskazywało na to, że przebywał tu sam król Danów.

Wciąż była wczesna pora dnia, a ponieważ poranek był chłodny, większość ludzi przebywała w domach. Dobiegały mnie odgłosy rozmów, ktoś pokasływał za płotem z gałęzi, ustawionym wzdłuż długiej ściany jednego z domostw, gęgały gęsi, jakaś kobieta o rozwichrzonych włosach wychynęła z koszykiem w jednej ręce i jajkiem w drugiej.

– Szukam Svena – zagadnąłem odważnie, ale kobieta nie odezwała się.

Zniknęła w domu i usłyszałem, że z kimś rozmawia, po czym wyszedł stamtąd jakiś typ i stanąwszy przy płocie, mierzył mnie podejrzliwym wzrokiem. Powtórzyłem, jaką mam sprawę. Wtedy wskazał ręką na południowy kraniec grodu i zniknął w domu.

Okazało się, że tego poranka Sven był mocno przepity. Ja i Sigrid straciliśmy rachubę czasu, ale poprzedniego wieczoru ludzie świętowali przesilenie zimowe, cieszyli się, że został tylko miesiąc do vinterblot i że nadchodziły jaśniejsze dni. Sven był znany nie tylko z tego, że na ucztach nie żałował sobie napitku, jedzenia czy dziewczek, ale też z tego, że nie znosił dobrze przepicia.

Zrozumiałem to, gdy w końcu odszukałem jego domostwo. Przy drzwiach stały

straże, dwóch zaspanych typów z włóczniami, o przekrwionych oczach. Gdy zapytałem, czy Sven Widłobrody jest w środku, w odpowiedzi jeden żałośnie jęknął, a drugi słabo skinął głową. Wszedłem więc.

Nieczęsto miałem sposobność oglądać wnętrze długiego domu tak zrujnowane po biesiadzie, jak to, co ujrzałem w środku. Długie stoły i ławy porzucono, mężczyźni i kobiety spali pokotem pijani, wszędzie wałały się rozbite naczynia, baranice i ubrania. Pośrodku domu znajdowało się podłużne palenisko. Jakiś staruch siedział i grzebał patykiem w żarze. Spojrzał na mnie, ale zaraz wrócił do swojego zajęcia. Następnie głośno wypuścił powietrze, jakby mu się nie chciało otwierać ust, i takim sposobem chciał mnie powitać.

Na końcu paleniska stał stół, za którym ustawiono tron, nikt jednak na nim nie siedział. Chrząknąłem i rozejrzałem się dookoła, po czym zwróciłem się spokojnie do starego:

– Szukam króla.

Staruch potarł palcem pod nosem, podniósł patyk i wskazał na półmrok zalegający pod ścianą. Wtedy go dostrzegłem. Sven Widłobrody leżał pod ścianą na plecach, miał nagi tors, a po obu stronach po jednej młodej dziewczynie. Chciałem się wycofać, bo budzenie go nie wydawało się najmądrzejszą rzeczą, ale staruch podniósł się, podszedł do króla i pociągnął go za nogę, na co Sven się ocknął. Brutalnie odepchnął dziewczyny, potem usiadł. Najpierw przewrócił oczami, jakby nie całkiem rozumiał, gdzie się znajduje, po czym jego wzrok spoczął na mnie. Odetchnął, wydając z siebie warkotliwy dźwięk.

– Czego?

Nie zareagowałem od razu, więc powtórzył.

– Czego chcesz?

– Mam wieści – powiedziałem spokojnie.

Sven wstał. Miał na sobie luźne spodnie z lnu, które mu zsunęły się z tyłka, gdy chwiejnym krokiem podchodził do paleniska. Stanął w rozkroku, portki opadły mu do kostek, następnie wziął w rękę członek i wysunął biodra do przodu.

– No – odezwał się. – Mów.

Mówiłem o Olafie, a Sven w tym czasie oddawał mocz na żarzące się węgle.

Następnie podciągnął spodnie i odwrócił się do mnie.

– Wiedzieliśmy, że Olaf jest na południu – powiedział, po czym wysmarkał się w place. – Krążyły plotki, że siedzi u Burysława. Stamtąd przyjechałeś?

– Tak – potwierdziłem.

Sven spojrzał na mnie.

– Pamiętam cię. To ty powiedziałaś, że mamy oszczędzić niewolnika.

Skinąłem głową.

– Torkjell opowiadał mi o tobie. Masz trójnogiego psa. Ponoć kawał dzikusa z ciebie.

Uniósł pięść w moim kierunku i pomyślałem, że chce mnie uderzyć, ale wtedy rozwarł dłoń i położył mi ją na ramieniu.

– Srebra nie dostaniesz, bo donosicielstwa nie nagradzam. Ale dostaniesz jedzenie, picie i miejsce przy ognisku, gdzie będziesz mógł się ogrzać.

Chciałem mu podziękować, bo jego słowa przyniosły mi niesamowitą ulgę. Sven jednak ponownie opadł na swoje miejsce między dziewczynami, zagarnął je ramionami ku sobie, moszcząc się wygodnie. Pomyślałem, że powinienem stąd wyjść i poczekać, aż ludzie się pobudzą, lecz usłyszałem znajomy głos:

– Torstein?

Obejrzałem się. Przy jednym z przewróconych stołów próbował pozbierać się Halvor.

– Torsteinie, czy to ciebie widzę? – Odgarnął włosy z czoła i przetarł oczy.

– Tak, to ja.

Halvor podszedł do mnie, cuchnął piwem i wymiocinami. Patrząc mi w oczy, chwycił mnie za ramiona, po czym pociągnął w stronę drzwi.

– Chodź ze mną, chłopcze.

Udałem się za nim. Wyszliśmy na zimowy poranek, Halvor zrobił sobie krótki postój na skraju drewnianej ulicy, by się wysikać, a następnie powiódł mnie na północny kraniec grodu. Tam zajrzeliśmy do jednego z długich domów. Wszelkie znaki wskazywały na to, że poprzedniego wieczoru nie zabrakło tu trunków, jako że mężczyźni wciąż chrapali pod skórą. Halvor przeszedł chwiejnym krokiem wzdłuż ław i zatrzymał się przy jednym z pogrążonych we śnie biesiadników.

– Chodź – powiedział, przywołując mnie ruchem dłoni.

Gdy się zbliżyłem, wskazał palcem na śpiącego, którego całkowicie skrywały koce i długie brązowe włosy. Halvor kopnął go w stopę. Wówczas tamten się ocknął. Podparłszy się łokciem, odgarnął włosy z twarzy. Był to Bjørn.



## 31

### Nowe tysiąclecie

**B**jørn wszedł ze mną na pokład byrdinga. Płynęliśmy pod wiatr, lecz zasiadłszy każdy przy swoim wiosle, trzymaliśmy się blisko brzegu, gdzie przeciwny prąd nie był tak silny. W forcie dostaliśmy jedzenie na drogę, a na dodatek bukłak z piwem. Zeszliśmy na ląd na południu Fionii, nazbieraliśmy dryfującego drewna i przesiedzieliśmy cały wieczór, popijając i rozmawiając o wszystkim, co nam się przydarzyło od czasu bitwy o Jomsborg. Wieczór ten zapadł mi w pamięć jako niemroźny, tak jakby nagle nastąpiła wiosna. Bjørn nie był więźniem Svena i prawdę mówiąc, więzieni nie byli też pozostali jomswikingowie. Gdy rozeszła się wieść, że Vagn i Aslak powiedli ocalałych na służbę do Burysława, Sven poprosił Sigurda Buesona i Halvora, a także resztę moich towarzyszy broni, aby odjechali, jeśli taka jest ich wola. Nie byli już zakładnikami. Lecz jeśli chcieliby zostać, będzie im płacił srebrem. Zostali więc. I nie zapłata srebrem była głównym powodem. Myśl o życiu w głębi lądu i służeniu wedyjskiemu królowi nie kuszyła żadnego wikinga.

Bjørn pokazał mi srebrne monety, które przechowywał w sakiewce u pasa. Miały po jednej stronie wytłoczony wizerunek twarzy. Niektórzy mówili, że to Sven kazał ozdobić monety swoją podobizną, ale inni uważali, że wizerunek przedstawia Ethelreda i że był to łup z Anglii. Brat pokazał mi też blizny pozostałe po bitwie o Jomsborg. Na ramieniu miał długie na palec wklęsnięcie; w miejscu, skąd wyjęto grot, powstało zagłębienie, w które można było włożyć kciuk. Druga strzała trafiła go w szczękę i pod zarostem ukrywał bliznę. Otworzył szeroko usta i pokazał mi dziury po zębach trzonowych. Szczęka została złamana, ale ładnie się zrosła.

Co do Sigvaldego, mój brat uważał, że wcale nie jest taki zły, jak się o nim mówi.



Gdy było już po bitwie, tych, którzy przeżyli, oszczędzono. Bjørn był osłabiony na skutek ran, więc go zaniecono na ląd i opatrzono. Sigvalde podchodził do każdego mężczyzny i oznajmiał, że odtąd będzie ich nowym hovdingiem i że mają mu służyć. Pozwolono im wrócić na statki, a Sigvalde powiódł flotę z powrotem na duńskie wody.

Nie wspomniałem ani słowem o tym, że to Sigvalde zrobił z Sigrid niewolnicę, zapytałem jedynie, gdzie ten stary wiking teraz przebywa. Tego, jak się okazało, nikt nie wiedział, gdyż stary pokłócił się ze Svenem Widłobrodym i wypłynął na czele kilku statków, co zdarzyło się nie po raz pierwszy. Najświeższe plotki głosiły, że wraz ze swymi Gotalandczykami znajdował się gdzieś na zachodzie, że pozęglowali plądrować Fryzję.

Tego wieczoru powiedziałem Bjørnowi, że mam ze sobą dziewczynę, która przedtem była niewolnicą Burysława, że król Wendów darował jej wolność i że ona czeka teraz na mnie w jednym z gospodarstw wraz z Fenrem i naszymi końmi. I oczywiście wspomniałem mu o Olafie i jego ludziach. Jednak tego, że mój brat został ojcem, nie potrafiłem powiedzieć. Czekałem, aż sam zapyta. Bjørn jednak nie zaczynał rozmowy na ten temat do chwili, gdy mieliśmy wpłynąć na plażę, z której wcześniej wyruszyłem w podróż. Zobaczyliśmy długi dom i kilka postaci przed nim, a wśród nich Sigrid. Uniosłem rękę nad głowę i pomachałem do niej. Odpowiedziała powitalnym gestem i puściła się biegiem w stronę plaży.

– To ta niewolnica? – spytał Bjørn.

– Tak – odparłem. – Sigrid.

Ramię brata trąciło moje, gdy pociągając wiosłem, odchylił się. Było prawie bezwietrznie, a tafla wody pozostawał gładka niczym kuta metalowa płyta.

– Pewnie rozumiesz, że nie mogłem do ciebie przyjechać.

– Tak – powiedziałem. – Rozumiem.

– Vagn by mnie zabił – ciągnął.

– Być może – odrzekłem.

Wiosłowaliśmy tak długo, aż stępka zaszorowała o piaszczyste dno, po czym wskoczyliśmy do wody i wciągnęliśmy byrding na brzeg. Woda była lodowata, lecz pomogli nam mężczyźni z gospodarstwa; wspólnie dźwignęliśmy łódź i trzymając ją

między sobą, wynieśliśmy na suchy ląd.

Na plaży Sigrid pochwyciła mnie w ramiona. Przyłgnęła do mnie filigranowym ciałem, a jej bujne rude włosy pachniały świeżo gotowanym mydłem z popiołu. Bjørn przyglądał się nam w milczeniu, po czym mruknął: „młodziak stał się mężczyzną” i z uśmiechem poklepał mnie po ramieniu. Następnie schylił się i poczochnął Fenrego, a ten lizał jego brodę, piszczał, w końcu położył się na plecach, domagając się dalszych pieszczot.

Gdy dotarliśmy do domu, na stole pojawiły gorąca kasza i piwo, a siwobrody wraz z synami usiedli przy nas, chcąc usłyszeć opowieść o wizycie u Svena. Nie miałem jednak zbyt wiele do powiedzenia. Zastanawiałem się, dlaczego Bjørn jeszcze nie zapytał o dziecko, czyżby go to nie obchodziło? Po posiłku mieszkańcy wyszli z domu. Roboty w obejściu było sporo. Mężczyźni ścięli wierzbę w odległości kilku rzutów kamieniem na północ od gospodarstwa, a teraz rąbali ją na mniejsze bloki. Kobiety musiały przygnać owce, które mogłyby się pogubić w zamieci. Bo sypało gęsto i gdy wstawszy od stołu, wyszedłem przed dom, ledwo mogłem dostrzec powierzchnię morza. To wtedy Bjørn zamienił wreszcie ze mną kilka słów o córce. Że to była córka, nie syn, już wiedział.

– Dużo się dowiadujemy od kupców – rzekł, zamykając za sobą drzwi. – Ale nie mogłem tam pojechać.

Pokiwałem w milczeniu głową, przypatrując się śnieżycy. Dobiegał mnie odgłos siekier i nawoływania kobiet, wszystko jednak tłumiał padający śnieg. Jego ręka spoczęła na moim ramieniu.

– Myślałem, że nie żyjesz.

Nie odpowiedziałem. Że też był tu przez cały czas, nie dając najmniejszego znaku życia... Byłem pewien, że zginął. Gdyby mu zależało na Torgunn i córce, spróbowałyby chyba wysłać do nich wiadomość.

– Duński król jest bezwzględny człowiekiem – powiedział. – Ale nie jest gorszy od innych, którym służyłem.

– A więc to jemu służysz? Sądziłem, że Sigvaldemu.

– Sigvalde służy Svenowi, tak jak Vagn Burysławowi. My, jomswikingowie, wykonujemy rozkazy tak długo, jak nam płacą.

Nigdy tak o tym nie myślałem i nagle ogarnęła mnie złość. Czy my, jomswikingowie, nie byliśmy wolnymi ludźmi honoru? Nie byliśmy najdzielniejszymi wojownikami, na jakich mógł z wyżyn spoglądać Odyn? Sposób, w jaki Bjørn o nas mówił, zmieniał to w coś prostackiego.

– Sigvalde i Sven – wymamrotałem – to rabusie i mordercy.

Bjørn uśmiechnął się kącikiem ust, pokręcił głową z rezygnacją.

– Ależ braciszku... Jesteśmy tacy jak oni.

Nie rozmawialiśmy więcej tego ranka. Jeśli dobrze pamiętam, chwyciłem łuk i strzały, mruknąłem do Sigrid, by pilnowała Fenrego, i wyszedłem, nie mówiąc bratu ani słowa. Przez resztę dnia z łukiem w ręku wydeptywałem ścieżki w śniegu. Ale strzały nie opuściły kołczana, bo jedyne, o czym mogłem myśleć, to słowa Bjørna. Nie chodziło mi nawet o to, co powiedział. Bolesny był sposób, w jaki to powiedział. Traktował mnie z lekceważeniem, nazwał „braciszkiem”.

Biorąc pod uwagę wiek, byłem dorosłym mężczyzną, ale gdy wspominam tamtą zimę i to, jak wówczas patrzyłem na świat, widzę, że było we mnie jeszcze dużo z chłopca. A chłopiec ów nie dostrzegał, że nas, jomswikingów, bali się wszyscy i wielu nienawidziło. Gdziekolwiek szliśmy za Burysławem, chłopci ciężko harowali, by nas, wojowników, nakarmić, i jakoś nigdy nie dziękowaliśmy im za to. Byłem zabójcą, inaczej nazwać tego nie można. Nie chciałem przyjąć do wiadomości, że plądrowanie, rabowanie i zabijanie niewinnych leżało tak samo w naturze Aslaka, Vagna i innych mężczyzn, z którymi mieszkalem pod jednym dachem, jak Svena i Sivaldego.

Bjørn i ja mieszkaliśmy w gospodarstwie, a ponieważ nie wspominał o powrocie do duńskiego króla, ja także do tego nie wracałem. Pomagaliśmy przy rąbaniu drewna, przy stole nie jedliśmy więcej niż pozostali i Svartur pewnie sądził, że postanowiliśmy zostać, a ponieważ byliśmy jomswikingami i na dodatek jeden z nas był na służbie u samego króla, nie śmiał się sprzeciwiać.

Kilka dni później, pod wieczór, do brzegu dobili Halvor i Jostein Karzeł. Josteina ujrzałem wtedy po raz pierwszy od czasu bitwy o Jomsborg. Król Danów najwyraźniej karmił go dobrze, bo dorobił się dużego brzucha i okrągłych policzków. Svartur oczekiwał ich na podwórzu, Halvor długo ścisnął mu rękę i miało się wrażenie, że

spotkali się już wcześniej. Otwarto beczkę piwa, wystawiono kufle, a my, mężczyźni, rozsiedliśmy się wokół stołu. Opowieści Halvora potwierdzały to, co wcześniej usłyszałem od Bjørna, mianowicie, że żaden jomswiking nie był więźniem Widłobrodego. Mogli swobodnie się poruszać, ale skoro Jomsborg padł, a plotki głośiły, że tych, którzy uszli z życiem, Vagn oddał na służbę królowi Wendów, wielu zostało na służbie u Svena. Natomiast Sigurd Bueson i jego załoga pływali na wiking; powiadano, że przepływali przez Bałtyk i wiosłowali w górę rzek Rusi. Mówiono też, że Sigurd pragnie złupić tyle bogactw, by stać go było na opłacenie własnego wojska i odbudowanie Jomsborga. Inni pożęglowali na zachód. Nikt zaś nie pojechał do kraju Wendów. Żaden jomswiking nie uważał służby u wendyjskiego króla za słuszną.

Gdy następnego poranka Halvor i Jostein odpływali, dołączył do nich Bjørn. Stałem na plaży, odprowadzając ich wzrokiem, i pamiętam, że trudno było mi to wszystko pojąć. Dlaczego, gdy w końcu się odnaleźliśmy, Bjørn mnie po prostu zostawił? A co z córką? Nie mógł nawet wysłać wieści do Torgunn, że żyje i że dziecko ma ojca? Uniósł rękę na pożegnanie, byrding zniknął w morskich oparach mroźnego dnia i dobiegał mnie już tylko odgłos wiosła.

Rozstanie z bratem pograżyło mnie w mroku. Przygnębienie od dawna nie dawało mi się we znaki, ale teraz dopadło mnie z taką mocą, że gdy dotarłem do domu, ledwo dowlokłem się do paleniska. Tam zwinąłem się w kłębek niczym zwierzę, a gdy nadeszła Sigrid i chciała wiedzieć, co mi się stało, nie miałem siły jej odpowiedzieć. Zrozumiała, że przeżywam wyjazd Bjørna, usiadła przy mnie, gładziła po włosach, szepcząc, że nie powinienem tak się zamartwiać. Wszystko się ułoży, a tu, u Svartura, jesteśmy bezpieczni; słyszała, że kiedyś był na służbie u Svena, teraz cieszył się jego opieką. Mogliśmy tu przezimować, pomagając, jak najlepiej potrafimy.

Przez dwa dni dręczył mnie smutek. Opuszczałem legowisko tylko po to, by załatwić swoje potrzeby. Sigrid siedziała przy mnie, gdy tylko mogła, a nocami miałem przy sobie Fenrego. Trzeciego dnia pozbierałem się i chwiejnym krokiem poszedłem do Vingura, który czekał cierpliwie w części domu przeznaczony dla zwierząt. Najpierw przez dłuższą chwilę stałem z głową przy jego piersi, wsłuchując się w duże, kryjące się tam serce, a jego sierść ogrzewała mi policzki. Potem osiodłałem go, wziąłem łuk

i ruszyłem przed siebie.

Krajobraz wokół gospodarstwa Svartura był piękny, znajdowały się tu pola i kamieniste łąki, małe zagajniki, gdzie wierzby i jesiony wyciągały swoje nagie ramiona ku niebu. Po latach spędzonych w porośniętej lasem wendyjskiej krainie dobrze było znowu znaleźć się na otwartej przestrzeni. Naciąłem długich, prostych gałęzi i tego wieczoru obrabiałem je nad ogniem tak długo, aż stały się gładkie. Svartur siedział z kuflem piwa i stwierdził, że może wykuć kilka grotów strzał, rzemiosło to nie było mu obce, i poduczy mnie, jeśli tylko będę miał ochotę. Wtedy podeszła do mnie Sigrid, poczułem jej drobną dłoń na karku i usłyszałem, jak mówi, że jestem wyuczony na skutnika. Svartur uniósł brwi, po czym pokiwał głową, mrużąc, że to się może przydać. Pociągnął z kufła, po czym poczłapał w stronę drewnianej przegrody oddzielającej zwierzęta od ludzi i ze stojącej tam beczki zaczerpnął kolejną porcję piwa.

Beczkę, z której się raczył, otwarto przy okazji wizyty Josteina i Halvora. Svartur uważał, że w już raz otwartej beczce piwo się nie przechowa. Czy to była tylko wymówka dla żony, nie wiem, w każdym razie pił co wieczór i nigdy nie kładł się spać trzeźwy. W gospodarstwie wystarczało jednak mężczyznom, a Svartur większość obowiązków przekazał swoim trzem synom. Dwóch z nich doczekało się już własnych synów, którzy mieli mniej więcej po dziesięć zim. Trzeci właśnie został ojcem, a widok niemowlęcia sprawiał, że myślałem o Torgunn i córeczce mojego brata, które przebywały gdzieś w krainie Wendów. Myśl ta nawiedzała mnie często tamtej zimy.

Langhus zamieszkały przez Svartura i jego domowników leżał na łagodnym zboczu, skąd rozciągał się dobry widok na morze i plażę. W następne dni często przebywałem na dziedzińcu w nadziei, że gdzieś na horyzoncie dostrzegę Bjørna, ale czas mijał, a kalendarz runiczny, będący w posiadaniu żony Svartura, pokazywał, że nadszedł już drugi miesiąc roku.

Przygotowałem się do ponownego wypłynięcia byrdingiem gospodarza. Obawiałem się, że coś złego przytrafiło się mojemu bratu, bo dziwne zdawało mi się, że wciąż nie wraca. Sigrid nie chciała, bym wyjeżdżał. Sven był może ugodowo usposobiony poprzednim razem, ale naprawdę był nieobliczalny. Uważała, że nie powinienem się martwić bratem, który najprawdopodobniej siedział u Svena w obawie, że Vagn pośle kogoś jego śladem. Pamiętam, że kiedy to mówiła, staliśmy w promieniach zimowego

słońca, a ona, uśmiechając się, dotknęła mojej ręki. Lekka bryza unosiła jej rude włosy. Może moglibyśmy pojechać na polowanie? Tym razem wybrałaby się ze mną. Odkąd tu przybyliśmy, nie oglądała niczego oprócz gospodarstwa. Fenre mógłby, jej zdaniem, zostać w zagrodzie, bo i tak o tej porze roku najchętniej siedzi przy palenisku. Kiwnąłem głową i odparłem, że możemy wybrać się na przejażdżkę do lasu i sprawdzić, czy nie ma tam jakiejś zwierzyny, ale po powrocie będę musiał wyjechać. Muszę się dowiedzieć, co się stało z bratem.

Sigrid i ja pojechaliśmy kamienistymi łąkami i wkrótce dotarliśmy do zagajnika, gdzie nieraz udawało mi się ustrzelić zająca lub gołębia. Zsiadłem z Vingura i nałożyłem cięciwę na łuk, zarzuciłem kołczan na ramię, a lejce okręciłem wokół gałęzi. Spostrzegłem ślady zająca i chciałem odszukać w zagajniku jego norę. Przez chwilę wahałem się, jak zwykle przed wyjściem na polowanie, bo chociaż byłem już dorosłym mężczyzną i myśliwym, wciąż tkwiła we mnie częśćka tego chłopca, który przybiegał do ojca ze zranionymi wiewiórkami i ptakami.

Stojąc tak, nagle poczułem na ręce dłoń Sigrid. Pieszczotliwie przesunęła palcami w górę, ku memu ramieniu, a ja spojrzałem na nią, niczego nie pojmując.

- Nie jestem już niewolnicą – szepnęła.
- Nie – zgodziłem się i byłem równie głupi, jak przed chwilą.
- W gospodarstwie są zawsze jacyś ludzie. – Przekrzywiła lekko głowę, uśmiechając się. Miała przepiękny uśmiech, a zęby białe niczym leżący wokoło nas śnieg. – Zanocujmy tu – dodała, a uśmiech nie schodził jej z ust. – Nie będzie nam zimno.

Przypuszczam, że wtedy do mnie dotarło. Następne, co pamiętam, to to, że udaję się do lasu, by ściąć kilka młodych drzew, które wiąże paskami z brzozy kory i po chwili mam ustawione zadaszanie, a obok nagromadzone suche gałęzie. Przez cały ten czas Sigrid stała, przyglądając mi się uważnie, nie spuszczała mnie z oczu, a gdy obozowisko było gotowe, skinęła głową i zaproponowała, byśmy pojechali jeszcze kawałek i zapolowali, bo tu uderzenia siekiery wypłoszyły wszystko, co żywe.

Pojechaliśmy na wschód, krajem lasu, a Sigrid wskazała palcem zajęcze tropy. Podążywszy nimi, wszedłem między drzewa, ale ledwo mogłem utrzymać wzrok na ziemi. Krążyłem, zapadając się po kostki w śniegu, ze strażą na cięciwie, w końcu

wpadłem w gęste zarośla, skąd wypłoszyłem kilka gołębi z gatunku tych mięsistych, które upieczone nad ogniskiem tak dobrze smakują. Jednak moja strzała zniknęła w nagich koronach drzew, po czym utkwiała w jednej z gałęzi, na co w normalnych warunkach zareagowałbym gniewnym krzykiem, ale teraz mało mnie to obchodziło. Zrobiłem kilka rund wśród drzew, podczas gdy Sigrid czekała na mnie w siodle i na odczepnego rzuciłem śniegową kulą w kępę młodych brzoź, by sprawdzić, czy uda mi również stamtąd coś wypłoszyć, ale niczego tam nie było.

Wróciliśmy do obozowiska. Sigrid miała ze sobą zawiniątko z kawałkiem wieprzowiny, którą żona Svartura przechowywała w serwatce; nadziane na patyki kawałeczki mięsa piekliśmy nad ogniskiem. Sigrid przywiązała do końskich grzbietów skóry, tak by zwierzęta poradziły sobie przez noc, a gdy zjedliśmy, siedziała dziwnie milcząca. Obóz rozbiliśmy na samym skraju lasu i mieliśmy stąd widok na kamieniste łąki. Słońce było ognistą kulą na horyzoncie, a śnieg przybrał szaroniebieską barwę.

– Ściemnia się – odezwała się Sigrid, a ja przytaknąłem jej ruchem głowy. – Musimy się ogrzać – dodała. – Narzuć na nas koce i przytul się do mnie.

Zrobiłem, jak powiedziała, i przez chwilę leżeliśmy tak jak podczas wędrówki przez kraj Wendów. Miała plecy przy moim brzuchu, ja otaczałem ją ramionami, a twarz ukryłem w jej bujnych, kręconych włosach. Po chwili ujęła moją dłoń i położyła sobie na policzku.

– Nie jestem już niewolnicą – powtórzyła i spodziewała się być może, że coś powiem, lecz wciąż milczałem, więc dodała: – Ludzie sądzą, że jestem twoją kobietą. – Obróciła się i zajrzała mi w oczy. – Mogę nią być, Torsteinie. Jeśli chcesz.

Nie pamiętam, czy coś odpowiedziałem albo czy w ogóle się odezwałem. Pamiętam jedynie, że podciąga koszulę, a potem moje ręce gorączkowo rozwiązują sznurówki wełnianych majtek, które ma pod spodem. Ona obejmuje moje plecy, jej oddech drży, drobne ciało wślizguje się pode mnie. Czuję w dłoniach jej ciepłą skórę, jej uda, jej usta na moich ustach. Po omacku mocuje się z moim pasem, w końcu udaje jej się go poluzować i piętami zsuwa ze mnie spodnie. Moja skóra przylega do niej, a gdy w nią wchodzę, Sigrid przyciska biodra do moich bioder, napina całe ciało, wbija mi paznokcie w kark, ciężko oddycha.

Tego wieczoru oddała mi się i nigdy żadna kobieta nie uczyniła tego dla mnie

piękniej. Sama Freja musiała szeptać nad nami zaklęcia o miłości i rozkoszy, bo miało się wrażenie, że zimowy chłód wokół nas gdzieś się rozplynął. Czuliśmy tylko siebie.

Świtało, kiedy się obudziliśmy. Leżałem na plecach, Sigrid opierała głowę na moim ramieniu. Nie pamiętam, byśmy marzli, bo leżeliśmy ciasno obok siebie, pod kocami, choć ognisko dawno już wygasło, a konie miały oszronione pyski. Czułem, że muszę oddać mocz, a Sigrid chyba zorientowała się, że nie śpię, gdyż przeciągnąwszy się, sennie zamruczała. Gdy wstałem, oparła się na łokciu i rzuciła mi ukradkowe spojrzenie.

– Dokąd idziesz? – zapytała.

Wymamrotałem coś o pójściu za drzewo, a ona położyła się z powrotem. Skryłem się za starym dębem i opróżniłem pęcherz, po czym wróciłem, porąbałem na mniejsze kawałki to, co zostało z gałęzi i konarów, wyjąłem trochę hubki z przytroczonego u pasa mieszka i wziąłem się do krzesania iskier. Sigrid nie spuszczała ze mnie wzroku, jakby to, co robię, niesamowicie ją interesowało. Gdy udało mi się rozżarzyć hubkę i zacząłem rozdmuchiwać płomyk w drewnianych drzazgach, usiadła, owijając się kocami.

– Wiesz, że nie możesz teraz wyjechać i mnie zostawić? – odezwała się.

Kłęczałem przy ognisku, z żarzącą się hubką i drzazgami w dłoni.

– Ale ja nie zamierzałem...

– Może już noszę w sobie dziecko. – Odgarnęła włosy z czoła i spostrzegła dymiące się drzazgi w mojej dłoni.

Siedziałem, trawiąc jej słowa. Wiedziałem, że ma rację, ale poprzedniego wieczoru inaczej o tym wszystkim myślałem. Wcale nie myślałem. A teraz poczułem ukłucie żalu.

– Nie chcesz chyba wyjechać i porzucić swoje nienarodzone dziecko, tak jak to uczynił twój brat?

– Nie. – Mój głos zabrzmiał niespodziewanie stanowczo, nie było w nim śladu wahania lub żalu.

– Przysięgnij, Torsteinie Tormodsonie. Przysięgnij na Odyna.

Żar zaczął mnie parzyć, więc szybko wrzuciłem go pod ułożone w ognisku małe gałązki.



– Przysięgnij na Odyna – powtórzyła Sigrid.

– Tak. – Skinąłem głową i potarłem oparzoną dłoń. – Przysięgam na Odyna.

Więcej słów nie zamieniliśmy ze sobą tamtego poranka. Sigrid chciała, bym się wśliznął pod koc obok niej i tak siedzieliśmy, grzejąc się przy ogniu i zjadając połówkę chleba, którą miała ze sobą. Moim synom nieraz mówiłem, że w tamten pogodny zimowy poranek siedzieliśmy przytuleni, dwoje młodych kochanków, którzy wreszcie mogli poznać siebie jako kobieta i mężczyzna. Mówiłem też, że kroilem chleb na małe kawałeczki, które wrzucałem w płomień jako ofiarę dla Frei, ale prawda jest taka, że wkrótce zapomniałem zarówno o chlebie, jak i o obawie, że ona może nosić w sobie dziecko. Tamtego poranka przy ognisku zbliżyliśmy się z Sigrid, podobnie jak poprzedniego wieczoru. Gdy wróciliśmy do gospodarstwa, Svartur i najmłodszy z jego wnuków czekali na nas na podwórzu. Zsiadłem z konia, a stary podszedł do mnie i uściskał mi dłoń. Zerknął na Sigrid, po czym klepnął mnie po ramieniu i pokiwał głową. Następnie pokazał ruchem dłoni, że mamy iść za nim, i mruknął, że najlepiej będzie, jeśli wejdziemy do środka, chłopak zajmie się końmi. Miałem bowiem gościa.

Eystein Pierdziuch siedział przy długim stole, na kolanach trzymał Fenrego, a w garści kufel piwa. Opoдал na klepisku leżała jego włochata oponcza z wełny, obok wierzchnie okrycie z koziej skóry, a także ekwipunek składający się między innymi z na wpół pustego kołczanu, dwóch zajęcy i pary zwiniętych w rulon skór. Eystein wyjaśniał, gdy weszliśmy z Sigrid do domu, odstawił Fenrego na klepisko, podszedł nas i mnie objął. Ostra woń długiej podróży uderzyła mnie w nozdrza, a on zaśmiał się i mocno mnie uściskał. Sigrid stanęła tuż przy mnie. Ujęła mnie za ramię i zapytała, czy my, mężczyźni, nie wolelibyśmy usiąść, bo przecież byłem zmęczony po polowaniu i potrzebowałem odpoczynku. Słyszając to, Svartur, parsknął śmiechem i stwierdził, że owszem, wymęczony byłem, że takie łowy wycieńczają. Eystein rozsiadł się ponownie za stołem, a Sigrid puściła moje ramię, szepnąwszy, żebym się dowiedział, czego on tu szuka.

Na początku Eystein nie odzywał się, tylko pociągał z kufła, rozglądając się dokoła. Wyglądało na to, że właśnie przyjechał. Sigrid poszła do zwierząt, gdzie przystanęła obok Sili, jednej z wnuczek Svartura; stały tam głowa w głowę. Sila zerkała w moją stronę i chichotała, po czym szepnęła coś Sigrid na ucho, a ja pojąłem, że to, co

zrobiliśmy z Sigrid, jest od tej chwili wszystkim wiadome.

Gdy Eystein w końcu był gotów, by opowiedzieć o celu swojej podróży, wziął łyk piwa. Otarł wąsy grzbietem dłoni i chrząknął. Burysławowi znudziło się karmienie Olafa i jego ludzi. Powiadają, że norweski król pożegluje na północ, gdy tylko lody puszczą.

– Tak przypuszczałem. – Pokiwałem głową.

– Sven wspomniał, że byłeś u niego. Powiedział, że doniosłeś na Olafa.

Przytaknąłem ruchem głowy.

Eystein pociągnął spory łyk, odstawił kufel na stół i przesunął po jego brzegu palcem wskazującym, osmolonym i brudnym po długiej podróży.

– Przypuszczałem, że obierzesz tę drogę, Torsteinie. Przypuszczałem, że pojedziesz i opowiesz duńskiemu królowi o Olafie Wronia Kość, zimującym w gawrze Burysława. Szukasz zemsty.

– Tak – zgodziłem się z nim. – Szukam.

– Twój brat... – Rzucił mi spojrzenie spod oka. – Mam ci przekazać pozdrowienia.

Milczałem. Cóż mogłem powiedzieć. Eysteina musiało dziwić to, że Bjørn wolał być u duńskiego króla niż ze mną. Sam tego nie pojmowałem.

– Halvor i reszta wojów chcą wiedzieć, czy staniesz u ich boku, gdy pojawi się Olaf.

Nie od razu odpowiedziałem. Spojrzałem ukradkiem na Sigrid. Wciąż stała obok Sili. Teraz obie mi się przyglądały, a Sila miała szelmowski błysk w oczach.

– Sigrid to się nie spodoba – rzekłem cicho. – Jeśli polegnę... zostanie sama.

Eystein w zamyśleniu pogładził się po krzaczastej brodzie, obrzucił spojrzeniem najpierw mnie, potem Sigrid, a następnie chrząknął i powiedział, że rozumie, nie muszę nic więcej mówić. Dodał, że żaden mężczyzna nie miałby mi za złe, gdybym nie przyłączył się do załóg Svena, by stanąć do walki z Olafem, ale czy nie było prawdą, że pragnę zemsty?

– Jeśli się przyłączysz – dodał – to być może twoja strzała pośle Olafa do krainy Hel. Albo... – ruchem głowy wskazał mój topór, który oparłem o ścianę przy drzwiach – twój topór.

Przy stole pojawił się Svartur, dźwigając dwa kufle i antałek. Jeden kufel wcisnął mi do garści, po czym nalał sobie i nam. Opadł na ławę u szczytu stołu, pomrukując

niczym stary, senny pies i przystawiwszy kufel do ust, upił sporo. Ja również sobie nie odmówiłem. Piwo Svartura było mocne, o bogatym smaku.

– Olaf to twardy wojownik – rzekłem. – Niełatwo będzie go złamać.

Svartur pokiwał głową i mruknął, że Sven był równie twardy, a Olafa nienawidził za zdradę w Anglii. Ludzie mówili, że przysiągł powiesić głowę Olafa na dziobie królewskiego okrętu. Okrutnym człowiekiem był Sven. Było w nim coś, co napawało strachem jego wrogów. Svartur wiedział o tym doskonale, służył kiedyś w jego oddziałach.

Ja i Eystein popijaliśmy, a stary mamrotał coś pod wąsem, kiwał głową, skubał nasadę nosa, jakby próbował otrząsnąć się ze złych wspomnień. Po jakimś czasie Eystein chrząknął i oznajmił, że nie ma zamiaru wracać do Burysława i że nie jest jedynym jomswikingiem, który opuścił kraj Wendów. Większość udała się na wschód, a niektórzy wyruszyli z zamiarem zaciągnięcia się do służby w Miklagardzie. Pociągnął z kufla kolejny łyk, beknął, podrapał się szybko w kark i dodał:

– Burysław sądzi, że wyleczył go chrześcijański bóg. Wierzy, że to jedyne wytłumaczenie. Stwierdził zatem, że i Vagn musi zostać chrześcijaninem.

– Co na to Vagn? – zapytałem zaciekawiony.

– Nie mam pojęcia, Torsteinie. Ale wielu naszych towarzyszy broni nosi teraz krzyż. Chrześcijanie twierdzą, że zaczęło się nowe tysiąclecie i że czeka nas sąd. Powiadają, że Biały Chryst wstał z martwych i wędruje wśród zwykłych ludzi.

– Tak tylko mówią. Nikt nie może powstać z martwych. – Przez chwilę zastanowiłem się nad tym i przypomniały mi się historie o Odynie, które ojciec opowiadał mnie i bratu, gdy byliśmy mali. – Chyba że Odyn. Nikt inny poza nim nie może.

Eystein i Svartur pokiwali głowami. Svartur uważał, że powinniśmy wznieść toast za Wszechojca. Wznieśliśmy zatem toast, wypiliśmy i już nie zamieniliśmy ze sobą więcej słów na temat Wendów i ich bogobojności.



Trzy dni później popłynęliśmy z Eysteinem na Fionię. Siedzieliśmy ramię przy

ramieniu na środkowej ławeczce byrdinga i wiosłowaliśmy pod wiatr, wiele ze sobą nie rozmawiając. Większość rzeczy już została powiedziana. Eystein wiedział, że ja i Sigrid byliśmy sobie przeznaczeni. Wiedział też, że jeśli nawet teraz wiosłowałem z nim do siedziby króla Danów, to długo tam nie zabawię. Ponownie zapytał, czy będę walczyć, gdy pojawi się Olaf, ale nie potrafiłem mu odpowiedzieć. Chciałem zemsty, pragnąłem jej, ale jednocześnie bałem się. W moich oczach Olaf był prawie nadczłowiekiem. Wszystko w nim było doskonałe, jakby był bogiem z Asgardu. Svena znali wszyscy jako wielkiego wojownika, lecz stając naprzeciwko Olafa, był tylko człowiekiem. Choćby dowodził wszystkimi wojownikami świata, nie byłem pewien, czy uda mu się pokonać Olafa.

Zacząłem ponownie spoglądać ku morskemu horyzontowi. Jeśli Olaf zabije Svena, myślałem, a kraj Danów uczyni swoim, będę zmuszony do ucieczki. Zabiorę Sigrid i Fenrego, a także Vingura, kiedy tylko znajdę wystarczająco duży statek, by go uniósł, a następnie pożegluję na Morze Północne. Svartur pokazał mi, jak należy trzymać kamień słoneczny, kierując go w stronę horyzontu. Trzeba to robić przy wschodach i zachodach słońca. W ten sposób wiedziałbym, w którą ze stron świata żegluję. Ale nie popłynęlibyśmy na Orkady. Tam nie bylibyśmy bezpieczni, bo tam przecinały się szlaki handlowe, a ludzie lojalni wobec Olafa dowiedzieliby się o miejscu mego pobytu. Svartur opowiadał o Islandii, o tamtejszych polach, gdzie pług można było po prostu wbić w ziemię. Wystarczało jej dla wszystkich. Moja rodzina nie miała konfliktu z żadnym z tamtejszych rodów, więc byłbym mile widziany; Islandczycy są gościnni i przyjaźni, mówił Svartur. Z własnej woli nigdy by stamtąd nie wyjeżdżał, gdyby nie nieszczęście, które go w młodości spotkało. Doszło do krwawej bójki między nim a człowiekiem zwanym Eirikiem Torvaldsonem i paroma jego kompanami, podczas której jednego z nich zabił. To zmusiło Svartura do ucieczki, gdyż Eirik był osławionym typem, w którym, jak powiadano, zamieszkało szaleństwo i po którym można się było spodziewać podpalenia lub nawet gorszych postępów.

Rozbiliśmy z Eysteinem obóz w tym samym miejscu, w którym nocowałem z Bjørnem, wracając od Svena. Wydawało się, że było to całą wieczność temu. Spaliliśmy drewno, które fale wyrzuciły na brzeg, i wpatrywaliśmy się w otaczający nas mrok, przemarznięci i zmęczeni. Nie mówiliśmy wiele. Eystein powiedział, że zostanie

u Svena i gdy pojawi się Olaf, będzie walczył u jego boku, bo Sven obiecał mu srebro. Za to srebro chciał kupić krowy i kilka owiec, chciał sprawić sobie gospodarstwo i kobietę, mieć synów i córki. Czas jomswikingów minął, mruknął. Nowe tysiąclecie było tysiącleciem królów i chrześcijan.

Następnego dnia dopłynęliśmy do cieśniny między Zelandią a Fionią i zastaliśmy tam całą flotę statków. Było tu płytko, statki stały na kotwicach. Gdy je mijaliśmy, wiatr zmienił kierunek na zachodni, a jednostki obróciły się wraz z wiatrem, jakby były żywymi istotami, niespuszczającymi z nas wzroku. Eystein powiedział, że to statki Olofa Skötkonunga, kotwiczyły tu już, kiedy płynął tędy z kraju Wendów.

Wojowie stali przy nadburciach, przyglądając się nam uważnie, ale Eystein sądził, że jesteśmy bezpieczni. Krążyły wieści, że Sven, Olof i Eirik Ofiarnik chcą się podzielić norweskim wybrzeżem. Olof wzięłby Vingulmork, Sven zagarnąłby wewnętrzną część Viken i szlaki do miejsca, w którym linia wybrzeża skręcała na północ, gdzie mieli panować Eirik i jego bracia. Wciąż jednak wielu możnych było lojalnych wobec Olafa i tak długo, jak żył, Norwegii nie można zagarnąć bez dużych strat w ludziach po obu stronach. Tak w każdym razie twierdził Eystein.

Eystein i ja minęliśmy naszym malutkim byrdingiem kolejne statki i wpłynęliśmy do zatoki na północy półwyspu, a zatrzymani przez lód, wciągnęliśmy kadłub na zaśnieżony brzeg i w dalszą drogę udaliśmy się pieszo. O samej wędrówce niewiele można powiedzieć poza tym, że podczas niej zastanawiałem się, w jaki sposób namówię brata, by ze mną wrócił do zagrody Svartura i by już tam pozostał. Porozmawiałbym z nim o wybudowaniu naszego własnego gospodarstwa, o tym, że Svartur dałby nam może kawałek ziemi, gdybyśmy utrzymywali z nim dobre relacje. Tak byłem pochłonięty myślami, że ledwo zwracałem uwagę na to, którądy idziemy, dopóki nagle nie stanęliśmy u bram okrągłego fortu, a Eystein szturchnął mnie łokciem i mruknął, że mam się wziąć w garść, bo przecież idziemy do Widłobrodego.

Moi synowie nieraz słyszeli ode mnie o Svenie i o tym, że był jednym z najdziwniejszych ludzi, jakich w życiu spotkałem. Była w nim dwoistość sprawiająca, że jednego dnia wydawał się przyjaznym człowiekiem, dobrodusznym kompanem do kielicha, który zaprasza cię do stołu i złego słowa o nikim nie powie. W inne dni mogło

dać o sobie znać owo szaleństwo, z którego był znany i które skłoniło Ethelreda do zmiany pierwotnego planu, bo Ethelred początkowo zamierzał zaoferować Svenowi, a nie Olafowi, cztery langskipy wypełnione srebrem.

Tego dnia sprzyjało nam szczęście, gdyż Sven był w najlepszym humorze i wkrótce po tym, jak nam kazano czekać pod okapem jednego z długich domów, wyszedł nam na spotkanie. Prowadził za rękę chłopca, małego szkraba, w wieku siedmiu, ośmiu lat. Mężczyzna i dziecko zatrzymali się w odległości kilku kroków od nas. Sven położył jedną dłoń na sfilcowanej brodzie, która tamtego dnia była rozłożysta, bez warkoczyków, podczas gdy jego druga ręka spoczęła na ramieniu chłopca. Dziecko było pięknie ubrane, miało niebieskie spodnie i tkane owijacze, płaszczyk obszyty futrem i czapkę z zajęczej skórki.

– Obiecałem, że przyjmę każdego jomswikinga, który przybędzie, by mi służyć – rzekł Sven. – To dotyczy również ciebie. Jesteś bratem Bjørna Tormodsona, nieprawdaż?

Skinąłem głową.

– Zajmiesz więc jego miejsce.

Odchrząknąłem.

– Jego miejsce? Ale czy on... Czy nie będzie potrzebował swojego miejsca?

Sven nie odpowiedział, prychnął tylko i wraz z chłopcem ruszył przed siebie drewnianą ulicą. Zwróciłem się do Eysteina, który uporczywie kopał nogą w śnieżną skarpetę.

– Bjørna tu nie ma?

Eystein się zawahał.

– Nie... W zasadzie go nie ma.

– Przecież mówiłeś, że jest tu. Że masz od niego pozdrowienia.

– Tego nie mówiłem. Halvor powiedział, że mam przekazać pozdrowienia. Bjørn go o to prosił przed wyjazdem.

– Dokąd wyjechał?

– Nie wiem. Nikt tego nie wie.

Chwyciłem Eysteina za ramię.

– I nie powiedziałaś ani słowa? Kiedy wyjechał?

– Nie wiem – odparł i ruchem głowy wskazał długi dom po drugiej stronie drewnianej ulicy. – Zapytaj Halvora.

Bo właśnie pojawił się Halvor, zaspany i rozczochrany, nagi od pasa w górę, mrużył oczy w świetle dnia.

Rozmawiałem z Halvorem i z innymi jomswikingami. Byli niewyspani, przepici i wszyscy, jak jeden mąż, przytyli. Halvor rzekł, że Bjørn wyjechał dawno, zabrał się na *busse*, który zmierzał do krainy Wendów z ładunkiem foczych skór i kłów morsa. Halvorowi powiedział, że ma sprawę do Vagna. Sigurd Bueson był ciekaw, czy chce jechać sam, czy zabierze mnie ze sobą. Wtedy Bjørn zawahał się, jakby nie wiedział, co odpowiedzieć, aż w końcu wymamrotał, że raczej musi jechać sam i że najlepiej byłoby, gdybym się o tym nie dowiedział, a następnie wszedł na pokład. Statek opuścił zatokę, mając w żaglach lodowaty zachodni wiatr i od tej pory nikt mojego brata nie widział.

Tamtego dnia ja i Eystein dostaliśmy kwaterę w langhusie. Eystein przyznał, że poproszono go, by po mnie pojechał, ponieważ miałem opinię dzielnego wojownika i jomswikingowie chcieli mnie mieć w swoich szeregach, gdy powiosłują na bitwę z Olafem, a ja przecież sam opowiadałem, że to ludzie norweskiego króla zabili mi ojca. Mimo że kusila mnie myśl o ostatecznym dokonaniu zemsty, miałem ochotę natychmiast stamtąd wyjechać. Nie przyjechałem, by się przyłączyć do towarzyszy walk. Przybyłem, żeby się rozmówić z bratem i nakłonić go do powrotu, a teraz nie miałem pojęcia, co robić. Czy powinienem pojechać jego śladem, czy popłynąć do domu i do Sigrid. Najpierw skłaniałem się ku temu pierwszemu pomysłowi, potem ku drugiemu, ale cokolwiek bym postanowił, u Svena zostać nie mogłem. Właśnie wtedy zjawił się jeden z ludzi Svena z wiadomością, że wieczorem będzie składana ofiara. Halvor podszedł do mnie i powiedział, że powinienem zostać, bo Sven podchodził do składania ofiar bardzo poważnie i gdybym nie wziął udziału, potraktowałby to jak zniewagę.

Zostałem. Wraz z zachodem słońca przez bramę wjechał wóz ciągnięty przez woły, wyładowano beczki i poturlano je drewnianą ulicą do długiego domu należącego do Svena. Na skrzyżowaniu dróg w centrum fortu pojawił się brzuchaty Dan. Trzymał w dłoni róg inkrustowany srebrem i przez dłuższą chwilę wznosił okrzyki na cześć

Odyna i Freja, po czym przytknął róg do ust i zatrąbił. Na ten sygnał my, jomswikingowie, opuściliśmy nasze domy. Razem z członkami królewskiego hirdu i kilkoma możnymi chłopami, którzy przybyli poprzedniego dnia, zgromadziliśmy się na skrzyżowaniu ulic, rozprawiając o beczkach, które wcześniej widzieliśmy i w których, zdaniem Halvora, był miód, jako że Sven raczej nie piłby piwa w czasie uczty ofiarnej. Następnie otwarto drzwi do królewskiego domu. Weszliśmy, siadając przy długich stołach; ledwo wystarczyło dla nas miejsca. Podobnie jak w Trelleborgu, stoły umieszczono wzdłuż halli, z wyjątkiem stołu Svena, ustawionego w poprzek, u szczytu paleniska. Sven, dzieciak i Torkjell Wysoki siedzieli przy stole, przypatrując się wchodzącym, którzy właśnie zajmowali miejsca, a gdy biesiadnicy w końcu się usadowili, brzuchaty Dan stanął przed królewskim stołem i zadał w swój inkrustowany róg, na co Torkjell podniósł w górę kufel i zawołał, że czas, by służba roznosząca napitki wzięła się do roboty, bo tu się będzie piło na cześć króla.

My, jomswikingowie, byliśmy świetni w picciu. A członkowie hirdu wcale nam nie ustępowali. Kiedy służący napełnili kufle, unieśliśmy je w górę, wznosząc toast. Należało opróżnić kufel jednym haustem. Chłopiec również pił, lecz jego pucharek był mniejszy od pozostałych.

Po pierwszym toaście siedzieliśmy, rozpamiętując słodki smak miodu i mając świadomość, że po kolejnym większość z nas będzie pijana. Miód Svena był mocny i dojrzały. Czując w piersiach jego ciepło, przypomniałem sobie słowa Svartura. Na Islandii był taki wąż, w którym zbierał się ting. Tam mężczyźni mogli się spotkać i dojść do porozumienia. Ale opodal, w odległości zaledwie kilku rzutów kamieniem, było miejsce nazywane Pijackim Dołkiem, Driturgrop, gdzie ludzie mogli się spotkać po to, by się wspólnie upić. Według panującego w Driturgrop prawa przebywający tam ludzie nie mogli się rozejść jako nieprzyjaciele. Nieprawdą jest, twierdził Svartur, że pijaństwo zawsze prowadzi do kłótni i konfliktu. Wręcz przeciwnie. Znacznie więcej sporów rozwiązywano w Driturgrop przy akompaniamencie pijackich wynurzeń i bójek oraz dzięki podlanemu piwem brataniu się niż na tingu. I być może to właśnie zdarzyło się u Svena, myślałem, bo miało się wrażenie, że jomswikingowie zatrzymani tu jako zakładnicy wyglądali na bardzo zbratanych z wojami Svena. Nie padały wrogie spojrzenia, a gdy kufle ponownie wypełniono, przepijano do siebie między stołami i co



chwila wybuchano gromkim śmiechem.

Piliśmy i jedliśmy. Służebne ponadziewały ptactwo i kawałki jeleniego mięsa na wiszące nad paleniskiem żerdzie. Krążyły półmisy z cebulą i podpłomykami. Byłem wygłodniały, więc rzucałem się łapczywie na jedzenie. Jakiś człowiek stanął na środku i zaczął grać na kościanym flecie, ale natychmiast jakaś cebula wylądowała na jego głowie, więc odszedł jak niepyszny. Od stołu zajmowanego przez królewski hird dobiegły krzyki, że chcemy strunowej muzyki i żeby przyszły tancerki. Grupka muzykantów, ustawivszy się przed paleniskiem, zaczęła przygrywać na lirach i drumlach. Kilka dziewcząt wiło się wzdłuż stołów w bardzo skąpym przyodziewku, co sprawiło, że rozochoceni wojowie wyli niczym wilki i poszczekiwali jak zgraja psów.

Tańce trwały, a ja zbliżałem się do dna drugiego kufła. Wtedy niespodziewanie pojawił się niewolnik, prowadząc na powrozie ogromnego wieprza. Wiódł zwierzę wzdłuż paleniska do stołu Svena i trzymając przez cały czas wzrok wbity w klepisko, podał królowi koniec sznura. Król wziął go do ręki. W całym domu zapanowała cisza. Słyszeliśmy, jak Sven mruknął niewolnikowi, że ma się wynosić.

Wiedziałem, że wieprz zostanie złożony w ofierze. I nie podobało mi się to. Gdy myśliwy przebija zwierzynę strzałą, nie towarzyszy temu strach. Zanim uderzy grot, zwierzę nie ma o niczym pojęcia. Lecz przywlec wyhodowane zwierzę do halli, w ten hałas i pijackie wrzaski... Przykro było patrzeć, jak wieprz się trzęsie, jak szarpie się na uwięzi, próbując uciec.

Sven nakazał jednemu ze służących zajmujących się napełnianiem kufli, by potrzymał sznur, a sam poprowadził chłopca na przód stołu. Malec dostał od Svena nóż, a Eystein, który siedział obok, szturchnął mnie łokciem i szepnął:

– Wydaje mi się, że to syn. Knut mu na imię.

Duński król pewnie wyobraził sobie, że tamtego wieczoru syn pokaże siłę i odwagę, wbije nóż w wieprza na cześć swego ojca przebywającego w halli oraz Wszechojca na wysokościach. Ten jednak zaczął płakać.

– Za dużo miodu! – krzyknął Sven ze śmiechem, po czym chwycił małego za kark i popchnął go w stronę zwierzęcia.

Malec przycisnął nóż do szyi wieprza, który, kwicząc, szarpnął się w bok. Stróżka krwi pojawiła się w miejscu zadraśniętym przez ostrze, a Knut wypuścił z ręki nóż

i wyrwał się z uchwytu ojca. Chciał uciec między stoły. Wtedy podszedł do chłopca Torkjell Wysoki i objął go ramieniem. Dzieciak, szlochając, przylgnął do niego. Torkjell i Sven mierzyli się przez chwilę wzrokiem. Niemało nienawiści kryło się w spojrzeniu Svena. Torkjella widziałem jedynie od tyłu, ale spostrzegłem, że położył dłoń na rękojeści miecza, po czym gwałtownie odepchnął od siebie chłopca i zrobił krok do przodu. Miecz opuścił pochwę i uderzył w świński kark z taką siłą, że odrąbana głowa zawisała jedynie na skórze gardzieli, a krew obryzgała klepisko.

W halli zapanowała cisza. Oczy wszystkich spoczęły na świńskim cielsku oraz na chłopcu, który kurczowo obejmował Torkjella. Svena ogarnęła wściekłość; wyszczerzył zęby niczym pies, oczy miał szeroko otwarte, pięści zaciśnięte. Skulił się przy tym nieznacznie, jakby szykował się, żeby skoczyć Torkjellowi do gardła. Ten jednak włożył miecz do pochwy i podszedł do wieprza.

– Wydawało mi się, że zwierzę chce zaatakować chłopca. – Kopnął świńskie zwłoki czubkiem buta i zwrócił się do służących czuwających przy palenisku. – Przynieście miski i pozbierajcie krew, tak byśmy mogli ją ofiarować Wszechojcu. I pokrójcie zwierzę. Goście króla są głodni.

Wieprza podzielono na porcje, krew zebrano w misach i czarkach. Sven, wróciwszy na swoje miejsce za stołem, opróżniał kolejne kufle, a Torkjell i chłopiec usiedli w półmroku pod ścianą. Na nowo rozbrzmiały liry i drumle. Dziewczyny tańczyły, zrzucając z siebie kolejne części przyodziewku, aż pozostały w skąpych koszulkach i szalach przysłaniających piersi. Mężczyzn ogarnęło szaleństwo, niektórzy nawet powłazili na stoły, trzymając rękę na kroczu. Trwało to, dopóki Sven nie cisnął kuflem w stronę stołów. Muzyka ucichła, dziewczyny wybiegły, a mężczyźni usiedli na swoich miejscach. Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu, po czym nieśmiało wróciliśmy do rozmów, które teraz były prowadzone po cichu. Wciąż zerkaliśmy na Svena, który siedział za stołem niczym stary, rozdrażniony pies. Halvor podszedł do mnie i Eysteina i szepnął, że miód na szczęście jest mocny i Sven wnet będzie tak pijany, że zaśnie.

Tak też się stało. Wkrótce Sven przechylił się do przodu i usnął z twarzą wtuloną w misę z mięsiwem. Wówczas Torkjell i chłopiec wychynęli z półmroku i usadowili się przy palenisku. Torkjell podał małemu kijek do ostrugania, po czym odkroił plaster mięsa z zabitego wieprza tak, by dziecko mogło go sobie upiec nad ogniem.

Wieczór był jeszcze wczesny, ale mnie chyba trunek uderzył gwałtownie do głowy, bo nie jestem w stanie sobie przypomnieć zbyt wiele z tego, co się wtedy działo. Prawdopodobnie zasnąłem, tak jak Sven. Prawdopodobnie Eystein i inni ułożyli mnie na ławie pod ścianą, bo właśnie tam się ocknąłem. Poranek jeszcze nie nastał, w domu panowały ciemności, ale wielu już opuściło hallę. Pozostali leżeli, pogrążeni we śnie. Tylko dwóch ludzi nie spało. Byli to Torkjell Wysoki i Sigurd Bueson. Siedzieli przy palenisku, w którym Torkjell rysował coś patykiem.

Pozbierałem się z posłania, czując, że wciąż jestem pijany. Próbowałem stanąć na nogi, lecz podłoga uciekała mi spod stóp, opadłem na ławę i uchwyciłem się kufła. Nie mam pojęcia, dlaczego wlałem w siebie jeszcze więcej miodu; teraz, gdy o tym myślę, wydaje się to głupotą. Wtedy jednak siedziałem i piłem, trzymając się kurczowo brzegu stołu, a Sigurd z tymi swoimi spiłowanymi zębami spojrzał na mnie, szeroko się uśmiechnął, po czym ponownie zwrócił się ku Torkjellowi.

– Tu... I tu... – Torkjell pokazywał kreski, które narysował w popiele. – Wczoraj przybyły kolejne statki. W tym miejscu. I w tym... Wszystko to statki Olofa. A tu... – nakreślił w popiele długą linię prowadzącą wzdłuż paleniska – są nasze.

Sigurd pogładził się w zamyśleniu po brodzie, po czym znowu zerknął w moim kierunku.

– Pewnie się zastanawiasz, o czym rozmawiamy?

– Nie – zaprzeczyłem i spróbowałem wytrzeźwieć, choć na krótką chwilę. – Wydaje mi się, że rozumiem. Statki... czekają na Olafa.

– Olafa Zdrajcę – rzekł Sigurd. – Sven go tak nazywa. Gdy Olaf nadpłynie, wracając od króla Wendów, Widłobrody wzniesie nidstang i rzuci na niego przekleństwo. Jeśli mu się powiedzie, zetnie Olafowi głowę i każe ją obwozić po całym królestwie, by ludzie mogli z niej szydzić.

– Olaf zdradził go w Anglii – dodał Torkjell. – Przyjmując cztery statki pełne srebra.

– Tak. – Skinąłem głową. – Wiem.

Obaj mężczyźni ponownie pochylili się nad mapą rysowaną w popiele i słyszałem, jak półgłosem rozmawiali o statkach, które wkrótce stworzą między Skanią a Jutlandią linię nie do przerwania. Wszystkie cieśniny i szlaki żeglowne miały lada moment zostać zablokowane i żaden norweski król ani ktokolwiek inny tędy się nie prześliznie. Na

lądzie zaś jest Danevirke. Wtedy wykrzyknąłem, że tam byłem, widziałem wał zwieńczony palisadą. A potem dodałem, że armia mogłaby się tamtędy przedrzeć, bo wał nie jest zbyt wysoki i strzegą go nieliczne oddziały, przynajmniej przy Drodze Wojów, którą szedłem.

Słyszając to, Torkjell pokręcił głową, po czym wyjaśnił mi, że Danevirke wcale nie biegnie w poprzek całego kraju, ciągnie się tylko kawałek, w kierunku zachodnim. Ale Olaf raczej nie wybierze drogi lądowej. Musiałby porzucić swoje statki, a wówczas w jaki sposób dostałby się do Norwegii? Poza tym znany był jako morski król. Raczej nie będzie chciał prowadzić bitwy na lądzie. Będzie chciał spotkać swoich wrogów na morzu.

Nie przeszkadzałem już więcej obu mężczyznom w naradzie. To zadanie dla wodzów i możnowładców, myślałem, ja się na tym nie znam. Wziąłem swój jednoręczny topór, niczego innego z byrdinga nie zabierałem, po czym kopnąłem Eysteina w łydkę. Leżał pod stołem i nie reagował, dopóki nie przykucnąłem i nie szarpnąłem go za ramię. Nie chciał iść ze mną. Oznajmił mi, że zostaje u Svena. Tu można zdobyć srebro, tu w każdy wieczór stały na stole pieczony boczek i piwo.

W rezultacie wracałem sam. Szedłem traktem wzdłuż brzegu rzeki, noc była zimna, a nieboskłon wypełniały niezliczone gwiazdy. Rozmyślałem o Bjørnie, żałując, że mu opowiedziałem o córce. Gdyby mnie zapytał, co się stało z ciężą Torgunn, powinienem odpowiedzieć, że nie wiem, że Vagn i Torgunn wyjechali daleko i że mogą przebywać w jakiegokolwiek z krain na wschodzie lub zachodzie. Zamiast tego wzbudziłem w nim być może poczucie ojcostwa, a przynajmniej poruszyłem jego sumienie, tak że porzucił bezpieczeństwo, które tu odnalazł. I po raz kolejny się rozdzieliliśmy.

W pewnej chwili, gdzieś nad pokrytą lodem rzeką, musiałem opróżnić pęcherz, więc zatrzymawszy się, rozluźniłem wiązanie przy spodniach. Trakt w tym miejscu biegł wzdłuż stromej skarpy. Pijany i otumaniony posłałem strumień moczu łukiem w dół stromizny i o ile pamiętam, strumień w blasku księżyca przepięknie błyszczał, co sprawiło, że zapomniałem o bracie i wszystkich innych problemach. Tak się mogą rzeczy mieć z pijanymi mężczyznami, a pijany tamtej nocy byłem. Najprawdopodobniej pośliznąłem się na brzegu skarpy, bo następne, co pamiętam, to to, że leżę nad brzegiem rzeki ze spodniami wokół kostek. Chorą nogą uderzyłem o lodową grudę. Krzyczałem,

nie tyle z bólu, ile z wściekłości na całe zło, które mnie w życiu spotkało. Wreszcie wstałem, ściałem toporem zakrzywioną na końcu gałąź i podpierając się na niej, wdrapałem się z powrotem na trakt.



## 32

### Latno nad morzem

**S**pędziłem u Svartura zimę. Wkrótce dni zaczęły się robić dłuższe, a śnieg stopniał. Wierzby wypuściły pączki, gęsi wróciły z południa, owce Svartura okociły się. Sigrid i ja pomagaliśmy w gospodarstwie, wyciąłem jej dobry łuk, żeby mogła mi towarzyszyć w konnych polowaniach. Okazała się świetną łuczniczką, nieustępującą żadnemu mężczyźnie. Wspólnie dostarczaliśmy gospodarstwu więcej żywności, niż zjadaliśmy. Wiosną koło plaży zatrzymała się flota okrętów, mężczyźni podpłynęli łodzią wiosłową i napełnili beczki wodą pitną, a potem kilku z nich przystanęło, zerkając w naszą stronę. Wtedy ustawiłem się na podwórzu razem z mężczyznami z gospodarstwa, ściskając duna w rękach, a Svatur krzyknął, że jest pod ochroną Svena jako jeden z jego wojów. Już miałem zawołać do Sigrid, żeby uciekała konno do zagrody Hoddego, leżącej kawałek dalej na północ przy plaży, i schowała się tam. Ale mężczyźni wzięli chyba sobie do serca słowa Svartura, bo powiosłowali z powrotem do swoich statków, podnieśli kotwice, zwiesili żagle i wkrótce zniknęli w lekkiej mgłę.

Sigrid i mnie pozwolono spać na tej samej pryczy, bo wszyscy już wiedzieli, że jesteśmy parą. Ale rzadko byliśmy tam sami: a to jakieś dziecko właśnie się obudziło, a to Svatur siedział przy stole, pijąc i mamrocząc o Islandii, kobietach, bójkach i służbie u Svena Widłobrodego, którego uważał za największego wojownika na północ od Miklagardu. Sigrid i ja wymykaliśmy się, kiedy była taka możliwość, i jechaliśmy konno do leśnego zagajnika leżącego o kilka strzałów z łuku od gospodarstwa, gdzie za wywróconym z korzeniami drzewem były zarośla. Tutaj rozkładaliśmy baranicę i kochaliśmy się. Byliśmy młodzi, bywały dni, że niemal nic innego nie mieliśmy w głowie. Oczywiście często zastanawiałem się, co zrobimy, jeśli okaże się, że jest

w ciąży, ale za każdym razem, kiedy jej o tym napomykałem, wyjaśniała mi, że są dni pewne i dni niepewne i nigdy nie pozwalała mi na kochanie się w niepewne dni. Mówiła, że kobiety są jak księżyc. Dowiedziała się od swojej matki, że Freja pozwala kobietom począć dziecko tylko w niektóre dni. Niewiele z tego rozumiałem, ale zima przeszła w wiosnę, wiosna przechodziła w lato, a Sigrid była równie szczupła jak przedtem. Kiedy będzie właściwa pora, zostanę ojcem jej pierwszego dziecka. Nadchodzą niespokojne czasy, a poza tym chciałaby, żebyśmy najpierw założyli własne gospodarstwo. Więc czekaliśmy.

Nie zdecydowałem się w końcu, żeby ruszyć za bratem. Kiedy wróciłem z Fionii, nadciągnęła znad Skagerrak zawieja śnieżna i nie ruszyłem się z miejsca. Potem zacząłem myśleć, że Bjørn wcale nie pojechał zobaczyć się z córką, bo przecież wiedział już przed bitwą o Jomsborg, że Torgunn jest brzemienna. Może po prostu uciekł? Poza tym, jadąc na południe, mogłem natknąć się na Rosa, Olafa i jego ludzi.

Zostałem. Często spoglądałem na morze, mając nadzieję, że Bjørn przypłynie. Może uprowadził Torgunn i dziecko, tak jak w starych rozbójniczych opowieściach Svartura. Dobije do lądu na tutejszej plaży, obejmie mnie i obieca, że teraz zabierzemy ze sobą nasze kobiety, zbudujemy własne gospodarstwo i nigdy więcej się nie rozstaniemy.

Dużo rozmyślałem o zbudowaniu własnego gospodarstwa. Początkowo miałem zamiar zrobić to na Islandii. Pożeglowałbym przez morze i wbił pług w tamtejszą ziemię, jak w opowieściach Svartura. Z kamienia i torfu Sigrid i ja zbudowalibyśmy długi dom z miejscem dla zwierząt i ludzi. Byłem na to zdecydowany przez całą zimę, ale na wiosnę, kiedy śnieg stopniał i na drzewach pokazały się liście, ziemia wokół gospodarstwa Svartura wydała mi się tak piękna i żyzna, że wolałem pozostać tutaj. Na południe od zagajnika, gdzie ja i Sigrid mieliśmy tajemne miejsce schadzek, była łąka z dobrą ziemią. Svartur mi ją pokazał. Gdyby zabrakło mu ziemi dla siebie i synów, sam by ją obsiał. Po wbiciu w ziemię szpadla natychmiast pojawiały się dżdżownice. Ziemia miała luźną strukturę i ciemną barwę, doskonale nadawała się do uprawy jęczmienia i orkiszu. Svartur chciał mnie mieć za sąsiada, bo żaden z jego synów nie był wyszkolonym wojownikiem, a on sam był już stary.

Popłynąłem na Fionię tylko dwa razy w tym okresie. Pierwszy raz podczas roztopów;

spotkałem wtedy Halvora i Eysteina na polu nad rzeką, gdzie strzelali z łuków do kilku słomianych bel. Kiedy zapytałem, jak im się wiedzie pod Svenem, odparli, że nie mogą narzekać, po czym Eystein chwycił sakiewkę u pasa i nią zabrzączał. Dostali srebro, a będzie tego więcej, jeśli zostaną i będą walczyć przeciwko Olafowi.

Kiedy ich odwiedziłem za drugim razem, większość jomswikingów, łącznie z Halvorem, wyjechała. Tylko Eystein, Sigurd Bueson i jego załoga oraz kilkuset Danów zostało w okrągłym forcie. Sven przeniósł swoich ludzi do Trelleborga. Mówiono też, że Sigvalde powrócił z wielkimi bogactwami. Chciał walczyć u boku Svena, tak samo jak Olof Skötkonung. Wysłano człowieka z nidstangiem do Burysława, bo Olafa trzeba było wykpić i sprowokować do walki.

Ale minęła wiosna, przyszło lato, a Olafa i jego statków jeszcze nikt nie widział.

Tuż przed sommerblot, czyli letnią ucztą ofiarną, zacząłem ścinać drzewa. Musiałem jechać konno daleko w głąb łądu, żeby znaleźć wystarczająco proste pnie na materiał na deski. Potem zrezygnowałem z tego, dochodząc do wniosku, że zbuduję dom z kamieni i ziemi. Sigrid pomagała mi, a kiedy Svartur zaprosił nas na świeżo uwarzone piwo i wznieśliśmy toast, żeby bogowie znów pozwolili polom się zazielenić, mieliśmy już wyrównany teren i położone kamienie narożne. Ścięte drzewa wykorzystałem do zbudowania szkieletu: ustawiłem słupy narożne, przybiłem do palików deski wytyczające obrys domu, przymocowałem wszystko do ziemi mocnymi linami, bo miejsce było wystawione na wiatr. Wprawdzie łąkę otaczały drzewa, ale leżała na szczycie wzgórza schodzącego w dół do plaży, a kiedy było wietrznie, gwałtowne podmuchy unosiły się w górę zbocza. Drzewa rosnące od strony morza były powyginane i przygięte do ziemi, a przy wietrznej pogodzie nadbiegał z ich strony szept, jakby się skarżyły.

W każdą bezdeszczową noc wczesnego lata spaliśmy pod baranicą w miejscu, gdzie miało znajdować się nasze podwórze. Prawie nie było tam komarów, powietrze było ciepłe. Sigrid pomyślała pewnie, że skoro buduję własny dom, a moja kulawa noga mi w tym nie przeszkadza, jestem dobrym kandydatem na męża, więc zaczęła ze mną sypiać również w płodne dni. Ale mnie nic o tym nie powiedziała.

Na południe od naszego miejsca płynął strumień, wił się między niewysokimi



pagórkami, wpływał na południowy kraniec łąki, a potem spadał kaskadą po wysokim na mężczyznę uskoku i płynął dalej do morza. Sigrid i ja niemal co wieczór stawaliśmy pod bieżącą wodą, żeby zmyć z siebie pot i ziemię. Zacząłem myśleć, że Olaf utył, rozleniwił się i pozostanie w kraju Wendów, a mój czas wojownika i jomswikinga należy do przeszłości. Teraz miałem być rolnikiem i rybakiem i prawdę mówiąc, nie miałem nic przeciwko temu. Pamiętam, że rozmyślałem nad tym pewnego wieczoru drugiego miesiąca po letniej uczcie ofiarnej. Dzień był bardzo ciepły, stałem pod małym wodospadem, a Sigrid przygotowywała konie na podwórzu. Mieliśmy jechać do Svartura, chciałem go zapytać, czy da mi ziarno na zasiewy i dwie owce, w zamian za to, że pomogę mu wysmołować byrding.

Właśnie opłukałem się pod bieżącą wodą i usiadłem w zagłębieniu strumienia, żeby wyszorować się mydłem ugotowanym przez Sigrid, kiedy stanął przede mną. Był odziany w skóry i szmaty, twarz miał wysmarowaną sadzą, z początku go nie poznałem. Trzymał grubo ciosany cisowy łuk w jednej ręce i dwie strzały w drugiej. Zwinięta owcza skóra i krótka włócznia wystawały znad ramienia. Z wysokich butów pozostały tylko cholewy, był bosy.

– Torsteinie – powiedział.

Nadal siedziałem w zagłębieniu, bo widok tej postaci był dla mnie prawie nierzeczywisty. Wreszcie go rozpoznałem, ale był tak brudny i obdarty, że niewiele przypominał mężczyznę, którego znałem. Dlatego nie miałem do końca pewności, czy to rzeczywiście on, czy senna zjawa, jak podczas uczyty ofiarnej u Haralda Rudego w osadzie kupieckiej. Odstawiłem dzbanek z mydłem i spojrzałem na niego. Stał całkowicie nieporuszony, nie widziałem nawet, żeby oddychał.

– Wróciłeś – powiedziałem.

– Tak – dobiegło z jego wielkiej brody.

– Dotarłeś do Burysława?

– Tak – usłyszałem znowu.

– A twoja córka...

Obszarpana postać zadygotała, ręka wetknęła strzały w kołczan na plecach i mój brat nagle stał się dla mnie żywy i rzeczywisty.

– Torgunn jest teraz z innym mężczyzną. To jeden z synów Burysława. Nie chcą

mnie tam.

Wstałem. Nie pamiętam, czy coś powiedziałem, czy przyskoczyłem i go objąłem, czy może tylko włożyłem ubranie i kiwnąłem, żeby poszedł ze mną. W każdym razie tego wieczoru Bjørn pojechał z nami do Svartura i nieczęsto widziałem mężczyznę, który by tyle jadł. Opowiedział o swojej podróży na południe, o dniu, kiedy przybył do Veitskog. Ostatni odcinek drogi był zmuszony pokonać, przedzierając się przez las, bo Olaf i jego statki kotwiczyły oddalone o pół dnia rzecznej żeglugi i nikt nie mógł się tam prześliznąć bez pozwolenia Olafa. Okoliczny las też zajęli, więc Bjørn musiał obejść ich szerokim łukiem, co zajęło mu cztery dni. Jomswikingowie dobrze go przyjęli, ale nagle do budynku wszedł Vagn. Bjørn chwycił topór i był gotów walczyć o życie. Jednak Vagn podszedł tylko do ognia i zapytał, po co przybył. Kiedy Bjørn odpowiedział, że chce być ze swoją kobietą i swoją córką, Vagn pokiwał głową i odpowiedział, że zadba o to, by Bjørn zobaczył się z córką, bo nie byłoby słuszne mu tego odmówić, ale potem musi opuścić to miejsce. Torgunn jest teraz przyobiecana komuś innemu.

Bjørn został u nas i nie wspominał już o Torgunn i córce. Pomógł mi wznieść ściany domu, co zrobiliśmy w najgorętszym miesiącu lata. Bardzo mnie cieszyło, że mój brat jest ze mną, kiedy zbliżała się jesień i zima. Svartur mówił coś o jesiennych połowach na mijanym przez niego i jego synów północnym krańcu Jutlandii i Morzu Północnym. Wypływali co jesień, mniej więcej wtedy, gdy noce robiły się zimne, a teraz zaproponował mnie i Bjørnowi miejsce w łodzi. Połów mieliśmy podzielić, nie chciał, żeby jego sąsiedzi i przyjaciele głodowali. Sigrid bardzo się to nie podobało. Nic nie mówiła, ale widziałem, jak tężała ze strachu, kiedy tylko była o tym mowa. Zaciskała zęby i nie patrzyła ani na mnie, ani na Bjørna, który uważał, że takie zaproszenie to piękny i hojny gest ze strony starego. Pewnego wieczoru Bjørn rzekł, że nie możemy odmówić, musimy wziąć udział w połowach. Przecież Sigrid na pewno wkrótce urodzi dziecko i porządny zapas jedzenia bardzo się przyda. Sigrid stała przy palenisku, mieszając w żelaznym garze, który dostaliśmy w ramach wymiany. Bjørn chyba nie chciał, żeby usłyszała jego słowa, ale usłyszała i nagle rzuciła chochlą w górę, ku wieczornemu niebu, przez właśnie osadzone belki dachowe. Potem usłyszeliśmy długą

litanie, z której wynikało, że mężczyźni są głupi, a ona nie ma ochoty stracić męża i szwagra na morzu, tak jak straciła ojca, po czym wyszła, co wymagało przesunięcia na bok drzwi, których jeszcze nie osadziłem na stałe. Przewróciła drzwi z krzykiem, pobiegła w dół na plażę i stanęła w ciemnościach. Nie ruszyłem się z domu, aż Bjørn trącił mnie łokciem. Wtedy wstałem i poszedłem za nią.

Pod koniec lata nieustannie słyszeliśmy pogłoski o Olafie. Kupcy i myśliwi przyjeżdżali konno, przywożąc wieści zasłyszane na południu przy Danevirke; zawsze zatrzymywali się u Svartura, a on posyłał ich dalej, do naszego gospodarstwa zwanego teraz zagrodą synów Tormoda i to od nich słyszeliśmy najnowsze wieści. Jedni twierdzili, że Olaf wyruszył z kraju Wendów z flotą tak wielką, że pcha przed sobą potężną falę, która zatopi wszystkie statki Svena i Olofa Skötkonunga. Inni słyszeli pogłoski, jakoby Olaf już nie żył, jomswikingowie znowu udali się do Jomsborga i wybudowali tam domy, Olaf pod nieobecność Vagna próbował zamordować Burysława, ale król Wendów dźgnął go nożem, a teraz ludzie Olafa grasują po kraju Wendów i rabują. Były też pogłoski mówiące, że Olaf z ptasich kości wywróżył własną śmierć; że również Sven ma polec w walce, a Olof przejmie całą ziemię wokół Skagerrak i Kattegat i nałoży na ludzi ciężkie podatki. Jeszcze inni twierdzili, że Olaf jest już w Norwegii, że udało mu się niepostrzeżenie przemknąć statkiem na północ i już leży bezpiecznie w łóżnicy z córką Haralda, Tyrą, i bardzo się stara, żeby znowu stała się brzemienna.

Bjørn i ja nie wiedzieliśmy, co sądzić o całym tym gadaniu.

– To może być prawda albo nie – stwierdził mój brat, dodając z bardzo mądrą miną na brodatej twarzy: – Tylko Norny wiedzą, czy Olaf jest martwy, czy nie.

Skinąłem głową, chociaż ciężko mi było uwierzyć w to, że nie żyje. I wcale nie sądziłem, że udało mu się prześliznąć obok statków Svena i Olofa. Raczej nadal przebywał na rzece w kraju Wendów, dobrze wiedząc, że nie uda mu się powrócić do Norwegii bez walki.

Sigvalde i jego Gotalandczycy powrócili tuż przed nastaniem jesiennych sztormów. Zbierałem na plaży kłęby wodorostów wyrzucone na brzeg. Mieliśmy teraz owce i dwie kozy, a żona Svartura powiedziała nam, że będą miały więcej mleka w wymionach, jeśli będziemy je karmić wodorostami. Z plaży zobaczyłem statki płynące z południowego

wschodu, rejowe żagle były napięte w południowym wietrze, obite żelazem tarcze na burcie połyskiwały w słońcu. Naliczyłem aż dwanaście statków. Ustawiły się w szereg i szybko podążały na północ. Najpierw pomyślałem, że to Olaf, ale potem przypomniałem sobie, że jeden z jego statków, ten, który nazywali Długim Wężem, był dwa razy większy od pozostałych. Takiego statku tam w oddali nie dostrzegłem.

To od Halvora i Josteina dowiedziałem się, że statki, które widziałem, należały do Sigvaldego, który powracał z jednej z wypraw. Halvor i Jostein przyплыли dwa dni później i powiedzieli nam, że Sigvalde przybył do okrągłego fortu, ale ponieważ nie zastał tam Svena, tylko jomswikingów, którzy z całego serca go nienawidzą, zrobił zwrot i odplynął rzeką. Był teraz w drodze do Svena w Trelleborgu, o ile już tam nie dotarł. Halvor i Jostein zostali na noc, a następnego dnia pomogli Bjørnowi i mnie w pokrywaniu dachu, po czym znowu wyjechali. Twierdzili, że niedługo przyjdzie rozkaz wypłynięcia i dołączenia do „morskiej warowni”, jak Danowie nazywali szereg statków ustawionych między Jutlandią a Skanią. Olaf raczej nie pozostanie w kraju Wendów jeszcze jedną zimę. Chodziły pogłoski, że Burysław odmówił dostarczania mu pożywienia, a lasy nie obfitowały aż tak w zwierzynę, żeby ratować ludzi Olafa przed głodem.

Pamiętam ostatnie słowa, które Halvor wypowiedział do mnie, zanim z Josteinem zepchnęli swój byrding z plaży. Chwycił mnie za ramię i zapytał, czy wrócę i będę służył pod Svenem. Jest srebro do zarobienia, a Eystein Pierdziuch jest markotny i tęskni za mną jak za bratem. Kiedy mu odpowiedziałem, że dobry z niego przyjaciel, ale moja rodzina jest teraz tutaj ze mną, obrócił się do Bjørna. Bjørn rzekł, że wystarczająco długo służył obcym ludziom, a w tej chwili chce mi pomóc wybudować gospodarstwo.

Halvor zerknął wtedy na wzgórze. Sigrid stała przy drzewach, obserwując nas. Kiwnął głową zamyślony, a potem zwrócił się ponownie do mnie.

– Spędziłeś lato tu, nad morzem, Torsteinie Szkutniku. Wkrótce powrócicie do nas. Potem powiosłowali.

Może była jakaś magiczna moc w słowach Halvora, bo zaledwie trzy dni później jedno z dzieci z gospodarstwa Svartura przybiegło z wieścią, że na południu widziano statki

norweskiego króla. Nie była to tylko kolejna plotka, ponieważ sam Sigvalde przyплыnął i powiedział o tym królowi. Sven wzywa wszystkich zdolnych do noszenia broni mężczyzn. Dostaniemy srebro, jeśli wypłyniemy i dołączymy do morskiej warowni. Bjørn podniósł się z naszej świeżo wyciosanej długiej ławy, wciągnął głęboko powietrze i powiedział, że długo rozmyślał i doszedł do wniosku, że wyruszy, że będzie walczył. Kusilo go nie tyle srebro, ile możliwość pomszczenia ojca. Chyba o tym nie zapomniałem? Nie czekał na odpowiedź, wziął topór, łuk, kołczan i bukłak i wyszedł.

Jak to się stało, że wypłynąłem z nim tego dnia, trudno mi czasami zrozumieć. Zapamiętałem, że staliśmy na podwórzu, a w oczach mojego brata, kiedy patrzył na morze, pojawiło się coś bolesnego. Potem zapytał mnie, czy rzeczywiście chcę zostać.

– Jesteś teraz mężczyzną – dodał, rzucając mi szybkie spojrzenie. – Nie bardzo wypada mężczyźnie być uczepionym spódnicy swojej kobiety.

Pamiętam, że to wprowadziło mnie we wściekłość. Jakim prawem Bjørn mówi mi, co wypada mężczyźnie?

– Jeśli Sven i Olof przegrają, ludzie Olafa zejną na ląd, żeby grabić i mordować. Masz zamiar siedzieć tutaj i czekać, aż do tego dojdzie?

Odpowiedziałem, że Olaf nie może wygrać, bo Sven ma liczną flotę i wsparcie Olofa. Ale Bjørn twierdził, że niewielka pociecha w przewadze liczebnej, bo nikt nie wie, gdzie Olaf będzie próbował przerwać linię obrony. Statki Svena były rozproszone na dużej odległości, tak samo statki Olofa. A Bjørn wcale by się nie zdziwił, gdyby Olaf przyплыnął w towarzystwie setek Wendów. Oni z rozkoszą rozprawiliby się z Widłobrodym, żeby Burysław mógł zburzyć Danevirke i wziąć Jutlandię, Fionię i Zelandię.

Wtedy wyszła Sigrid. Spojrzałem na nią, spojrzałem na Fenrego, który kręcił się przy moich nogach, i pomyślałem, że Bjørn ma rację. Nie mogę tu zostać. Muszę wypłynąć, przynajmniej, żeby zobaczyć, jak to wszystko się potoczy. Jeśli będzie zapowiadać się na klęskę, ja i Bjørn musimy natychmiast wrócić do domu po Sigrid i uciekać.

Dlatego w końcu popłynąłem z moim bratem. Wzięliśmy ze sobą rzeczy i pojechaliśmy do gospodarstwa Svartura, gdzie ojciec i synowie byli już gotowi. Stary Svartur chwycił mnie i Bjørna za ręce i spojrzał nam głęboko w oczy, mówiąc, że Odyn wynagrodzi

nam to szczęściem w życiu.

Sigrid została razem z kobietami i dziećmi w gospodarstwie Svartura. Ani słowem nie wspomniała, że jest brzemienna. Może uważała, że nic by to nie zmieniło, bo i tak bym popłynął. A może pomyślała, że taki jest mój los.



## 33

### Bitwa pod Svolder

**O**płynęliśmy Fionię przy korzystnym południowym wietrze i popłynęliśmy na północ do cypla, który w tamtych czasach zwał się Rønes. Wystawał z wyspy Zelandii, tworząc przewężenie między Zelandią a kilkoma wyspami w pobliżu Jutlandii. Na północ od cypla leżał otwarty szlak, a na południu cieśnina między Fionią i Zelandią, zwana przez Danów Svolder. Płynąc tym szlakiem, Olaf był zmuszony minąć Rønes i dlatego Sven ukrył większość swojej floty za tym cyplem.

Nie wiem, ile statków znajdowało się tam w chwili naszego przybycia. Było ich więcej, niż mogliśmy policzyć. Kołysały się na kotwicach, maszty miały położone, bo cypel będący nisko leżącą łąką z pasącymi się krowami był niemal zupełnie pozbawiony drzew. Bjørn, Svartur z synami i ja dobiliśmy do lądu na końcu cypla. Przysiedliśmy się do jednego z obozowych ognisk, bo zrobił się wieczór, a my byliśmy głodni i spragnieni. Pięciu siedzących przy ognisku Danów z podręcznymi toporami i nowo wyciosanymi tarczami chciało wiedzieć, czy przy płynęliśmy na handel, czy po to, żeby wziąć udział w walce. Bo kiedy statki rzuciły kotwice za cyplem, natychmiast zjawili się na nim handlarze ryb, kowale, dziwki i czarownicy, a wszyscy byli równie uciążliwi jak końskie muchy.

Spędziliśmy noc na cyplu. Ze statków dobiegały głosy mężczyzn mówiących po norwesku, po gotalandzku i po duńsku. Pięciu nowo poznanych Danów powiedziało nam, że na statkach są już wszyscy możnowładcy, przeczuwając, że bitwa rozegra się w pobliżu cypla. Olof uszczelnił cieśninę między Skanią i Zelandią; nikt nie mógł się prześliznąć. Jedyne szlak, poza cieśniną między Fionią a Zelandią, przebiegał za wyspą

Samsøy, ale Sven uszczelnił go równie dobrze jak Olof szlak na wschodzie. Olof przebywał na jednym z zakotwiczonych zaraz za cyplem statków, tak samo jak Sven i synowie jarla Håkona, Eirik i Svein. Bjørn i ja zastanawialiśmy się przez chwilę, czy grozi nam śmierć z ręki synów jarla, jeśli się dowiedzą, że służyliśmy pod Olafem, a nawet braliśmy udział w zabójstwie ich brata. Ale doszliśmy do wniosku, że jest tutaj tak wielu ludzi, że raczej się o nas nie dowiedzą.

Tego wieczoru doszły też do nas pogłoski, które przeraziły mnie i Bjørna. Mówiono, że Olaf ma ze sobą o wiele więcej ludzi niż tylko tych, którzy gościli u Burysława. Jak wielu ich jest, tego nikt nie wie. Chodziły słuchy, że są z nim Einar Tambarskjelve i Erling Skjalgson, a każdy z nich dysponował wieloma statkami i w pełni skompletowanymi załogami. Erling ożenił się z siostrą Olafa, Astrid, i rządził ponoć całym Vestlandem jako swego rodzaju jarl podległy Olafowi. Einar był mniej więcej w moim wieku, ale już zdobył sławę potężnego wodza. Straszniejszego berserka niż on nikt ponoć nie widział.

Svartur przechadzał się tego wieczoru, rozmawiając z ludźmi, a po powrocie powiedział nam, że Sven ma nadzieję zwabić Olafa w pułapkę. Sigvalde i Torkjell Wysoki czekali za półwyspem po drugiej stronie cieśniny, tuż przy ujściu rzeki prowadzącej do fiońskiej warowni; mieli ruszyć z miejsca, gdyby flota Olafa przepływała obok. Jednocześnie wszystkie schowane za Rønes statki miały wypłynąć napędzane siłą wiosł. Chodziło o to, żeby otoczyć Olafa i wybić do nogi wszystkich ludzi na jego statkach.

Źle spałem tej nocy. Zrobiło się zimno, a po zapadnięciu zmroku wszystkie ogniska na cyplu kazano zalać wodą. Cały czas podnosiłem się, spoglądając w stronę statków, skąd dobiegały ściszone męskie głosy, tęskniłem za Sigrid, Fenrem i Vingurem, chciałem wracać do domu. Zrozumiałem, że mój plan, żeby trzymać się na uboczu bitwy i popłynąć do domu, gdyby szala zwycięstwa zaczęła przechylać się na korzyść Olafa, nie jest zbyt dobry. Jeśli znajdę się tak blisko bitwy, żeby zobaczyć, kto zwycięża, ludzie Svena będą oczekiwać, że wezmę w niej udział. Pomyślałem też, że powinienem być po drugiej stronie cieśniny. Stamtąd łatwiej ruszyć na południe. Z miejsca, gdzie się teraz znajdowaliśmy, trzeba najpierw przepłynąć przez cieśninę, a jeśli będzie tam trwała bitwa z pływającymi wszędzie statkami, może okazać się to



trudne.

O świcie przygotowałem byrding i właśnie miałem potrząsnąć Bjørnem, który chrapał pod kocami, kiedy rozległ się dźwięk rogu. Bjørn, Svartur i jego synowie natychmiast się zerwali. Wszyscy zobaczyliśmy statki płynące z południa. Tego ranka nie było wiatru, ale statki miały wysunięte wiosła i mozolnie posuwały się na północ. Najpierw naliczyłem dziesięć, potem piętnaście i dwadzieścia, słońce wzniosło się nad wyspę za nami i zobaczyliśmy na południu szereg statków tak długi, że nie było widać jego końca.

Dowiedziałem się później, że Olaf miał lojalnych ludzi na wszystkich duńskich wyspach, którzy szybkimi statkami już wysłali posłańców na południe z wiadomością, że wszystkie szlaki na północy są zablokowane. Olaf wybrał szlak, gdzie jest najszerszej między wyspami i gdzie najtrudniej będzie go zatrzymać. Sven, Olof i synowie jarla przewidzieli to. Chociaż nie wolno nam było palić ognia tej nocy, nic nie wskazywało na to, że obydwaj królowie i synowie jarla jeszcze się ukrywają, że czekają tu z wojskiem na norweskiego króla.

Cofnęliśmy się nieco, widząc czterech możnowładców idących w naszym kierunku. Przeprawili się łodziami wiosłowymi pod osłoną nocy, rozmawiali już z hersirami i kandydatami na wodzów, rozkazując, żeby byli w pogotowiu; chociaż nam, zwykłym wojom, tego nie powiedziano, obliczyli sobie, że flota Olafa dotrze do Svolder tego ranka.

Cała czwórka pojawiła się na skraju cypla, każdemu towarzyszył pachołek niosący długi łuk, kołczan i hełm swojego pana. Byli paradnie ubrani, każdy w długą do kolan kolczugę, mieli przytroczone do pasów najwspanialsze miecze, jakie kiedykolwiek widziałem. Wąsy i broda Svena były ciasno splecione w jeden gruby warkocz, włosy ściągnięte do tyłu w ogon, a skóra wokół oczu pomalowana na czarno, co nadawało mu tak ostre spojrzenie, że wszyscy aż cofnęliśmy się o krok. Synowie jarla byli niezwykle potężnymi mężczyznami, obydwaj mieli dobrze po trzydziestce. Bjørn szepnął mi, że jeden z nich, ten z blizną od noża idącą przez czoło i policzek, złożył w ofierze jednego ze swoich braci, żeby wezwać walkirie w czasie bitwy pod Hjørungavåg, skąd Sigvalde uciekł, okrywając hańbą jomswikingów. To ten, którego nazywaliśmy Eirikiem Ofiarnikiem. Drugi syn jarla, Svein Håkonson, był młodszy, ale w niczym nie

ustępował bratu. Czwarty mężczyzna nie był starszy ode mnie, pamiętam, że miał na sobie długie bufiaste spodnie, a włosy i brodę tak jasne, że niemal białe. Miało krągłą twarz i blisko osadzone oczy, patrzące teraz na statki z nieukrywaną nienawiścią. Był to Olof Skötkonung. To jego matkę Olaf poprosił o rękę, a potem wykpił, kiedy odpowiedź nie była po jego myśli. Moźnowładcy i ich pachołkowie zeszli na koniec cypla. My też skierowaliśmy się nad wodę; zbliżyliśmy się na tyle, na ile wystarczyło nam odwagi, bo myśleliśmy, że naradzają się, jak zniecka zaatakować. Chociaż trudno to było nazwać zasadzką i atakiem zniecka, bo załogi płynących z przodu statków Olafa już nas zobaczyły, wojowie stali przy burtach, przyglądając się nam, a po drugiej stronie cieśniny ukazały się statki Sigvaldego. Ustawiały się w długi szereg, najwyraźniej chcąc uderzyć w formację Olafa z boku.

Później dowiedziałem się, że flota Olafa liczyła sześćdziesiąt statków. Na południu u Burysława naliczyłem ich dwanaście, nie więcej. Powiedziałem bratu, że pewnie kazał swoim ludziom w Norwegii posyłać statki na południe pojedynczo, żeby Sven nie zaczął niczego podejrzewać. Może stacjonowały gdzieś na rzece na północy albo na wybrzeżu. Olaf musiał się domyślać, że Sven i Olof planują atak w czasie, kiedy będzie wracał do domu, dlatego czekał u Burysława na przypłynięcie całej swojej floty. Według Bjørna król Danów prawdopodobnie o tym wiedział, ale na to pozwolił. Sven Widłobrody nie pragnął niczego bardziej, niż mieć całą flotę Olafa zablokowaną tutaj, między wyspami. Nie mógł sobie chyba wyobrazić większego honoru, niż zabicie Olafa na jego własnym statku.

Pamiętam, że kiedy tak staliśmy, poczuliśmy podmuch wiatru z południa. Wtedy Eirik Håkonson powiedział głośno i wyraźnie, żeby wszyscy to usłyszeli, że ludzie Olafa nie wciągają do góry rei. Chcą walczyć.

Tylko jeden statek rozwinął żagiel. Był to pierwszy statek w szeregu, znajdował się tuż obok cypla, nie dalej niż na odległość strzału z łuku od nas. Na pokładzie podciągnięto do góry reję, wspaniały żagiel w pasy opadł i natychmiast wypełnił się południowym wiatrem. Na dziobie stał mężczyzna odziany w płaszcz ze skóry renifera i w kolczugę. Miał w ręku łuk; najpierw dostrzegł nas, stojących na cyplu, a potem jego wzrok padł na kotwiczące nieopodal statki. Ktoś inny może poprowadziłby statek nieco dalej od wroga, ale ten człowiek zawołał do sternika, żeby nie zbaczał

z dotychczasowego kursu. Eirik Håkonson znowu do nas przemówił.

– Poznaję tego człowieka! To Erling Skjalgson!

Statek szwagra Olafa płynął jako pierwszy w szeregu, a to, co się wydarzyło, uznaliśmy z Bjørnem za dziwne. Statek Erlinga Skjalgsona szybko odłączył się od pozostałych i popłynął na północ. Sven stał tylko, kiwając głową i nie zdradzając ochoty, żeby dać sygnał do rozpoczęcia walki. Później usłyszałem, że Sven i Erling zawarli umowę. Erling miał zostać przepuszczony przez blokadę, a gdyby Olaf zginął w bitwie, Sven pozwoliłby jego szwagrowi panować nad Vestlandem, tak jak wcześniej pod rządami Olafa. Musiałyby tylko przekazywać część danin Svenowi. Inni twierdzą, że to Olaf poprosił Erlinga, żeby płynął na czele szeregu i – o ile uda mu się prześliznąć – dalej na północ, bo Olaf wiedział, że pokonanie przeciwnika w tym miejscu będzie trudne. Sam nie miał jeszcze następcy i chciał, żeby to Erling przejął rządy w kraju, jeśli on sam zginie pod Svolder.

Czterech możnowładców pokazywało teraz na morze.

– Ten statek tam – powiedział Olof – czy to może statek Olafa?

Nie widziałem, na który statek wskazuje, ale wszyscy popatrzyli, zasłaniając oczy przed wschodzącym słońcem, Sven zaś pokręcił głową.

– Nie, ten jest za mały.

Staliśmy, wpatrując się w szereg statków, aż Bjørn trącił mnie łokciem w bok. Mój brat zawsze miał sokoli wzrok.

– Tam – wyszeptał. – Tam, na południu.

I wtedy ja także go zobaczyłem. Z lekko zamglonego powietrza na południu wyłonił się statek o wiele większy niż pozostałe. Stewa dziobowa była ponaddwukrotnie wyższa niż innych statków, przypomniałem sobie, że już widziałem ten okręt na rzece w kraju Wendów.

– Tam! – Sven wskazał palcem, on też go dostrzegł. – Tam płynie Długi Wąż!

Tych czterech zastygło, przypatrując się statkowi, aż Olof rzekł:

– Mówili, że głowa smoka na dziobie jest wysadzana złotem. Ale ten statek wcale nie błyszczy.

Wtedy Eirik Håkonson uśmiechnął się szyderczo.

– Wronia Kość jest biedny. Twoja matka ci o tym nie wspominała? On nie ma ani

złota...

– Ma złota i srebra aż nadto – przerwał Sven. – Nie myślcie sobie!

Eirik nie odpowiedział, nadal patrzył na morze. Załogi statków płynących z przodu wyjęły z wody wiosła i zwolniły, tylko Erling Skjalgson i trzy statki tuż za nim kontynuowały żeglugę. Udało się im prześliznąć i nigdy więcej ich nie zobaczyliśmy. Reszta ustawiała się w formację: statki na przedzie skrzyły na zachód w kierunku floty Sigvaldego, statki z tyłu też popłynęły w tym kierunku, podczas gdy dwanaście środkowych ustawiało się jeden obok drugiego. Długi Wąż ustawił się w środku; połączony z tymi dwunastoma tworzył jakby jeden długi most. Te trzynaście statków zostało otoczone kolejnym pierścieniem tak, że Sven i inni musieli przedrzeć się przez dwa kręgi statków, żeby dosięgnąć okręt Olafa.

Pomyślałem, że nadszedł czas, by uciekać. Ale wtedy w oczach Svena Widłobrodego pojawił się błysk. Rozejrzył się po stojących wokół niego ludziach; jakichś dwustu chłopca się tu zebrało.

– Wilki! Czy czujecie woń zdrajcy?

Danowie odpowiedzieli dzikim wyciem, a my, nie chcąc być gorsi, zawyliśmy razem z nimi.

– Całe złoto i srebro, które zdrajca Olaf ma ze sobą na pokładzie Długiego Węża, przypadnie temu, kto zdobędzie ten statek!

Po tych słowach mężczyźni na plaży ogarnęło szaleństwo. Ale może ja sam nie byłem lepszy. Patrzyłem na potężny statek stojący całkiem spokojnie, podczas gdy inne ustawiały się wokół niego. Zobaczyłem wojowników za burtą, wszyscy bez wyjątku byli odziani w kolczugi, rzecz dość niezwykła jak na morskich wojowników. Jeśli rzeczywiście na pokładzie było złoto i srebro... Gdybym zdobył chociaż garść, byłbym bogaty. Sigrid i ja moglibyśmy kupić stado krów, kilka byków i silne konie pociągowe. Moglibyśmy kupić beczkę piwa na zimową ucztę ofiarną, a gdyby jakiś handlarz znowu do nas zawitał, oferując ozdoby z bursztynu, kupiłbym jej taką ozdobę. Jednak bardziej niż złoto i srebro kusiła mnie zemsta. Ros raczej nie został w kraju Wendów, tylko towarzyszył Olafowi. Na tamtym statku był człowiek, który zabił mojego ojca. Tam stał ten, który przemocą zakuł mnie w żelazo i odebrał wszystko.

Może chwyciło mnie szaleństwo, tam na plaży. Sprawilo to pewnie natarczywe

spojrzenie Svena i sposób, w jaki uniósł topór bojowy. Bo teraz sam stałem, wznosząc topór nad głową i wyjąc razem z bratem, Danami, Gotalandczykami i ludźmi synów jarla, a kiedy Sven ryknął: „Na statki!”, pobiegliśmy do nich, chwyciliśmy wiosła i popłynęliśmy.

Bjørnowi, mnie i Svarturowi z synami wskazano miejsce na pokładzie statku należącego do synów jarla. Był to jeden z większych statków wchodzących w skład floty, ale był dosyć niski, a wiosłarze siedzieli na wysokości pokładu, a nie pod pokładem, jak na królewskim statku Svena albo na Długim Wężu. Wypływając, byliśmy ogarnięci szalem, nie bardzo zdając sobie sprawę, czyj to statek, lecz ponieważ mężczyźni na pokładzie mówili po norwesku, Bjørn kiwnął głową, twierdząc, że dobrze trafiliśmy. Ledwo weszliśmy na pokład, Eirik wdrapał się na statek przez burzę tuż po drugiej stronie. Mężczyźni podnieśli nad głowy włócznie, łuki i topory i zaryczeli. Eirik zdjął kolczugę oraz tunikę i zarzucił na ramiona wilczą skórę. Była zszyta tak, że skóra głowy tworzyła kaptur, górna szczeka wilka wystawała mu nad czołem.

Ponieważ Eirik i jego brat utracili ziemię i wpływy, a nasz ojciec zawsze dobrze się wyrażał o jarlu Håkonie, ubzdurałem sobie, że podejść do półnagiego syna jarla, mówiąc, że obydwaj straciliśmy ojca z winy Olafa i mamy taki sam powód do zemsty, ale kiedy miałem ruszyć, Bjørn chwycił mnie za ramię.

– Trzymaj się od niego z daleka, Torsteinie. To na niego mówią Eirik Ofiarnik. On jest ulfhednerem <sup>29</sup>.

Dobrze, że mnie powstrzymał, bo nagle jakby Freja rzuciła czar na Eirika i wielu jego ludzi. Przez ciała przechodziły potężne drgawki, szczyrzyli zęby i wrzeszczeli. Rzucono Eirikowi topór, ten złapał go w powietrzu i stanął z toporem w jednej ręce i mieczem w drugiej. Topór wbił w krawędź burty statku, aż poleciały drzazgi, potem skoczył na dziób i wyciągnął miecz w kierunku floty Olafa. Wreszcie zaryczał tak straszliwym głosem, jakby to jakiś olbrzym stał tam na przedzie.

– Wiosłować! Na boginię Hel, wiosłować!

Statki Olafa łączyły właśnie stewy dziobowe z rufowymi, tworząc idealny krąg wokół wewnętrznego rdzenia floty. Widziałem ustawiających się łuczników, załozę rozdawano długie włócznie. Z zachodu przyplłynął Sigvalde ze swoimi statkami, było ich ze trzydzieści. Razem z tymi, które teraz podnosiły kotwicę i wypływały z za cypla,

naliczyliśmy ponad sto statków. Olaf dysponował o wiele mniejszymi siłami, ale to wcale nie dawało mi pewności, że Sven, Olof i synowie jarla wyjdą z bitwy zwycięsko. Zobaczyłem go wspinającego się na stewę dziobową swego potężnego statku, jak widywałem go już wcześniej. Spojrzał na zachód na flotę Sigvaldego, a potem w naszym kierunku. Z daleka widziałem jego wielkiego, czarnego psa, który stał przednimi łapami na krawędzi burty i węszył w powietrzu. A tam, wśród mężczyzn na środku pokładu, czy to aby nie był Ros?

– Łuki! – ryknął Eirik i z ładowni pod pokładem zaczęto podawać łuki. – Tarczownicy w gotowości!

– Zrobimy tak jak przedtem – powiedział Bjørn. – Ty bierzesz łuk, a ja tarczę.

Ledwo to powiedział, zaczęto rozdawać łuki, kołczany i tarcze. Łuk i strzały miałem własne, ale Bjørn wziął tarczę. W pośpiechu zginałem łuk między nogami, zakładając cięciwę. Wiosła szybko poruszały się w wodzie, już opłynęliśmy cypel. Eirik nie mógł się chyba doczekać, kiedy dopłyniemy do wroga, bo krzyczał jak szalony i wymachiwał mieczem i toporem, po czym jego wzrok padł na brata, który stał na dziobie statku oddzielonego dwoma innymi statkami na prawo od nas.

– Svein! – krzyknął. A potem dodał: – Teraz pomścimy Erlenda! Pomścimy ojca!

Bjørn odwrócił się do mnie.

– My też – powiedział. – My też pomścimy dziś naszego ojca. Jesteś gotów, Torsteinie?

Przywiązałem kołczan do biodra pojedynczym węzłem tak, żebym łatwo mógł go odwiązać.

– Tak – odparłem. – Jestem gotów.

Może i byłem gotów. Byłem przecież wyszkolonym jomswikingiem, stałem na pokładzie statku Eirika Ofiarnika młody i w pełni sił. Ustawiłem się w szyku razem z innymi łucznikami, a Bjørn ukląkł przede mną. Topór duński położyłem sobie koło stóp, a gdy statek przemieszczał się do przodu po prawie gładkim lustrze wody tego poranka, dotknąłem ręcznego topora wiszącego u pasa po prawej stronie; saks wisiał przewieszony na ukos przez brzuch tak, że szybko mogłem go dobyć lewą ręką. Podniosłem łuk. Ale wcale nie czułem się odważny i pełen zapału do walki. Nie odczuwałem szału bojowego w rękach i nogach. Bałem się.

Pamiętam półnagie ciało Eirika na dziobie i szybko przesuwaną się wodę za burtą. Widziałem krąg statków Olafa o kilka strzałów z łuku przed nami i mężczyzn na ich pokładach. Widziałem zbitych w gromadkę Svartura i synów z łukami i tarczami tuż obok nas. I chyba coś powiedziałem mojemu bratu, bo ten nagle się odwrócił i zapytał, co ze mną jest nie tak. Czyżbym miał zamiar wyskoczyć za burtę i popłynąć do lądu? Dostałbym wtedy strzałę w plecy, i to od naszych.

Olaf zawołał coś do swoich ludzi. Nie słyszałem, co krzyczał. Statki w zewnętrznym kręgu stały burtą do nas, na każdym z nich mężczyźni wydali z siebie ryk, podchodząc do nadburcia i uderzając toporami i drzewcami włóczni w tarcze. Niektórzy ściągali spodnie i chwyтали w garść członek, poruszając biodrami w przód i w tył, co wprawilo ludzi na statku Eirika w prawdziwą wściekłość, bo potrzęsalii bronią i posyłali w stronę wroga najbardziej wulgarne przekleństwa. Następnie ludzie Olafa wycofali się znowu za tarcze, łuczniczy założyli pierwsze strzały na cięciwy i zapadła wielka cisza; słychać było jedynie wiosła zagarniające wodę.

Moi synowie często mnie pytają, jakie to było uczucie być tam tego dnia. Słyszeli opowieści o najlepszych i najodważniejszych z ludzi, którzy spotkali się pod Svolder i skrzyżowali klingi w największej morskiej bitwie wszech czasów. A ja kiwam głową. To prawda, byli tam dobrzy i śmiali ludzie i nigdy nie widziałem tyle odwagi, co tego dnia. Ale nie mówię im o szaleństwie, które ogarnęło mężczyzn wokół mnie, do którego wojownicy wzajemnie się podburzają, żeby pokonać strach. Milczę o tym, że Svartur posikał się w spodnie. Nigdy nie opowiadam o własnym strachu paralizującym mi wtedy nogi i ręce. Bo płynęliśmy prosto na krąg statków Olafa, który musieliśmy przerwać, chcąc się dobrać do samego króla Norwegii, a ja nie miałem nawet sił podnieść łuku. Bjørn krzyknął do mnie, co się dzieje? Pierwsze strzały wbiły się między nas, jedna trafiła Svartura prosto w czoło, natychmiast kładąc go trupem. Wymacałem strzałę w kołczanie, wyjąłem i założyłem ją na cięciwę. Pamiętam, że podniosłem łuk, ale kiedy go napiąłem, ledwo czułem naciąg cięciwy. Wymierzyłem w mężczyznę na statku przed nami, wyszukałem twarz i posłałem w jej kierunku.

Gdybyś był tam tego dnia, gdybyś zobaczył to, co ja... Nigdy byś już tego nie zapomniał. Choć może najlepiej pamiętałybyś dźwięki. Wioślarze pracowali z całych sił, ale dźwięk zanurzanych w wodzie wiosel całkowicie zagłuszało coraz szybsze

łomotanie w pokład. To strzały posyłane ze statków Olafa, wpadające między nas. Z każdym pociągnięciem wiosła dudnienie stawało się szybsze, aż wszystko zlało się wokół mnie w jeden dźwięk. Słyszałem Bjørna krzyczącego, że kiedy się zacznie, mam trzymać się blisko niego, żeby mógł osłaniać mnie tarczą.

Strzelałem do opróżnienia całego kołczana. Wtedy odłożyłem łuk i podniosłem duński topór. Szybko spojrzałem na wijących się z bólu mężczyzn ze strzałami w ciele, a potem skierowałem wzrok na połączone ze sobą statki przed nami. Bjørn rozstawił szeroko nogi, żeby utrzymać równowagę, bo lada chwila mieliśmy w nie uderzyć. Zrobiłem to samo. Przed nami za burtą stali wojownicy. Nadal strzelali, usłyszałem świst, kiedy strzała przeleciała tuż koło mojego ucha.

Gdy zbliżyliśmy się do wroga na trzy długości kadłuba, sternik Eirika wykonał manewr, jakiego nigdy przedtem nie widziałem. Krzyknął do wiosłarzy po lewej stronie, żeby włożyli wiosła do wody, a tym po prawej kazał wiosła wyjąć. Statek zrobił ostry zwrot w lewo. Nasz dziób uderzył w środek burty statku przed nami, błyskawicznie odrzuciło nas w bok, tak że znaleźliśmy się burta w burcie z atakowanym statkiem. Wojowie natychmiast rzucili się do walki; niektórzy spotkali się na krawędzi burty, rąbiąc się wzajemnie mieczami i toporami. Zobaczyłem, jak syn Svartura zraniony włócznią w łydkę wpada do wody między statkami, chciałem podbiec i rzucić mu linę, ale wtedy zobaczyłem dwóch mężczyzn zbliżających się do mnie i Bjørna. Jeden tarczą osłaniał obydwu, a drugi zadawał ciosy włócznią z szerokim grotem. Bjørn i ja rzuciliśmy się na nich bez wahania. Codziennie słyszałem od Ulfara Oracza: „Nigdy się nie wahaj, atakuj, atakuj!”. Czekala nas strzała w plecy albo topór w kark, gdyby ci dwaj zatrzymali nas na dłużej, trzeba było ich powalić natychmiast. Odciągnąłem tarczę toporem, a potem pchnąłem żeleźcem w twarz tarczownika, odsłaniając woja z włócznią. Bjørn trafił go w kolano, a potem w twarz. Potem rzuciliśmy się do nadburcia. Eirik Ofiarnik był już na jednym ze statków Olafa, u jego stóp leżało dwóch zabitych wojów. Zamachał do nas rękami, krzycząc, że musimy oczyścić cały pokład i wszystkich pozabijać.

Bjørn przeskoczył przez obydwie burty naraz. Ja sam nie dałem rady, jedna noga była zbyt słaba, ale przegramoliłem się najszybciej, jak potrafiłem i stanąłem obok brata. Ludzie Olafa nadal mieli przewagę liczebną, ale Eirik i walczący z nim ramię



w ramię wojowie wielu już położyli trupem. Bjørn zawołał do mnie: „Rąb, Torstein! Rąb!”, po czym zaczął krok po kroku przedzierać się do przodu, a ja szedłem za nim, zwalając z nóg każdego, kto stawał nam na drodze. Nie miałem odwagi zadać nikomu ciosu w plecy. Nie dlatego, że to niehonorowo, bo szczerze mówiąc, niewiele się tym przejmowaliśmy, ale nie byłem pewien, który z mężczyzn na pokładzie jest wojem Eirika, a który wojem Olafa.

Skłamałbym, twierdząc, że pamiętam wszystkich, których zabiłem tego dnia. Walczyłem jakby w szale, może to sam Odyn rzucił na mnie czary. Albo też wszystko było tak straszne, tak okrutne, że Wszechojciec pozwolił mi zapomnieć o najgorszym i dlatego czasami myślę o tym jak o złym śnie.

Wkrótce statek, na który weszliśmy, został oczyszczony z ludzi i szybko odcięty. Wróciliśmy na statek Eirika, my, łucznicy, znowu pozbieraliśmy łuki. Pusty statek został odepchnięty, wiosłarze chwycili wiosła i popłynęliśmy w kierunku dwunastu statków unoszących się na wodzie w samym środku bitwy. Nie byliśmy jedyni. Zewnętrzny krąg statków został już przerwany, zbliżali się tu teraz wszyscy wrogowie Olafa. Dzioby statków mijały martwych i umierających w wodzie wojowników, zobaczyłem Svena Widłobrodego na jego statku. Zaledwie o kilka długości kadłuba na lewo od nas stali Sigvalde i Torkjell na dziobie innego okrętu, obydwaj bracia uchylali się przed strzałami, które nadlatywały z dwunastu statków otaczających potężnego Długiego Węża.

Pamiętam, jak brat krzyknął do mnie, że to koniec, że Olaf tym razem nie zwycięży. Robi półobrót w moim kierunku, uśmiecha się. Nagle słyszę uderzenie, jakby ciężki kamień trafił jego tarczę. Bjørn wydaje z siebie okrzyk, widzę, że strzała przebiła tarczę na wylot i rozerwała mu przedramię. Z rany płynie krew. Pociągam go ze sobą w dół za nadburcie. Tam zrywam z siebie tunikę, odrywam z niej długie pasy materiału i mocno obwiązuję ranę.

Kiedy byłem tym zajęty, na nasz pokład spadło mnóstwo grubych strzał. Nigdy wcześniej nie widziałem strzał o takiej mocy rażenia. Widziałem, jak jedna trafia woja Eirika w skroń, przebija czaszkę i wychodzi po drugiej stronie głowy. Przeciwno tym strzałom nie na wiele zdały się tarcze, więc wojownicy zaczęli chować się za burtą.

Bez mężczyzn przy wiosłach statek tylko dryfował, Eirik znajdował się z przodu na

dziobie, klęczał ukryty za nadburciem, a teraz jakby dostał szału, bo krzyczał z wściekłości, waląc toporem i mieczem w pokład; próbował się podnieść, ale kolejna strzała zmusiła go do ponownego schowania się za nadburciem. Z ukrycia wykrzykiwał imię mężczyzny, który później okrył się sławą potężnego wojownika.

– Einarze! Einarze Tambarskjelve! Oby cię Hel porwała!

Zrozumiałem, że chodzi mu o łucznika na jednym z dwunastu statków wokół Olafa. Udało się im powstrzymać atak, a wiele statków z zewnętrznego kręgu zaczęło nas atakować od tyłu.

Siedząc za nadburciem, spojrzałem na swój łuk. Leżał na środku pokładu, tuż obok martwego ciała Svartura. Statek Eirika nie był zbyt szeroki, łuk leżał niedaleko mnie.

Eirik zrozumiał chyba, co mi przyszło do głowy, bo zawołał:

– Zabij Einara Tambarskjelve, chłopcze! Zabij go, a dostaniesz więcej złota, niż będziesz w stanie unieść!

Nie tyle złoto skłoniło mnie do zrobienia tego, co wtedy zrobiłem. Bardziej martwiłem się Bjørnem, który miał zranione ramię. Zrozumiałem, że szala zwycięstwa przechyli się na korzyść Olafa, jeśli nie rozprawimy się z jego łucznikami. Dostoczyłem do mojego łuku, wyciągnąłem kilka strzał z pokładu i wybrałem najbardziej podobną do moich. Jeszcze jedna strzała o grubym promieniu wbiła się obok mnie, łucznik Einar Tambarskjelve musiał mnie zauważyć. Ale tak jak on wypatrzył mnie, tak ja wypatrzyłem jego; potężnego mężczyznę o szerokich barach, z długą, zaplecioną brodą, stojącego na pokładzie Długiego Węza. Nie był jedynym łucznikiem, musiało ich tam stać co najmniej trzydziestu lub czterdziestu. Ale jego łuk był grubszy i dłuższy niż innych. Podniósł go i znowu skierował w moją stronę.

Pamiętam, że stałem z ręką przy policzku, a Bjørn błagał mnie, żebym schował się za nadburciem. Pamiętam, że wymierzyłem w pierś tego wielkiego mężczyzny na statku Olafa i strzała opuściła mój łuk. Podążyłem za nią wzrokiem, widziałem, jak leci pod niebem, a potem w dół. W moim kierunku nadleciała strzała Einara, nie trafiając mnie jednak, tylko przechodząc co najmniej na odległość ramienia z prawej strony. Nagle usłyszeliśmy trzask, łuk Einara pękł i złożył się wpół.

Mówią, że marzenie Olafa o panowaniu nad wybrzeżem Norwegii prysło w momencie, kiedy pękł łuk Einara. Mówią też, że strzelał z łuku króla, który był dla

niego za słaby. Ale to tylko słowa śpiewane przez skaldów, których tam nie było. Ja byłem i wiem, że to moja strzała złamała potężny łuk Einara tak, że nie mógł już posyłać grubych strzał w naszym kierunku.

Eirik, zobaczywszy, co zrobiłem, nabrał takiego zapachu bitewnego, jakiego nigdy przedtem nie widziałem. Rzucił się do wiosła sterowego, rycząc do wiosłarzy, że własnoręcznie odrąbie im ręce, jeśli natychmiast nie złączą wiosłować. Łuczników posłano na dziób statku. Tam byliśmy osłonięci przez stewę i nadburcie, lecz na statek leciał grad strzał trafiających wiosłarzy jednego po drugim. W końcu statek poruszał się do przodu tylko siłą rozpędu. Przy życiu nie zostało więcej niż dziesięciu czy piętnastu ludzi, ale to chyba wprawiało syna jarla w jeszcze większy szal, bo podskoczył do jednego z wiosłarzy, leżącego i zwijającego się z bólu ze strzałą w piersi. Kopnął go, mężczyzna podniósł się na kolana, a potem splunął krwią na brodę i tunikę i znowu się przewrócił. Eirik uderzył go mieczem w kark, po czym znowu pobiegł na dziób. Tylko dwie długości kadłuba dzieliły nas od statków Olafa. Widziałem łuczników za nadburciem, a za nimi mężczyzn gotowych rzucać w nas włóczniami. Na większości tych statków nadburcia wydawały się o długość ramienia wyższe niż nasze, oprócz Długiego Węza, który górował na wysokość mężczyzny również nad nimi. Dostrzegłem Olafa. Stał całkiem spokojnie na rufie, mając przy sobie dwóch mężczyzn. Cała trójka miała na sobie kolczugi. Jeden z nich przypominał Rosa.

Potężny łucznik przelazł przez nadburcie Długiego Węza i zszedł na przycumowany do niego niższy statek. Nie był sam. Wojownicy zaczęli schodzić na niższe statki, żeby wyjść nam naprzeciw.

Dziwne to było uczucie tak powoli poruszać się w kierunku statków przed nami. Dygotaliśmy przykucnięci za nadburciem i chociaż groziło nam przestrzelenie czaszki, nie mogliśmy się powstrzymać, żeby cały czas nie zerkać znad krawędzi nadburcia w ich stronę. Nagle odkryłem, że na tych statkach są moi znajomi. Dwa pokłady od nas stał Asgeir Portki z płomiennorudą brodą i cienkimi kosmykami włosów, a obok niego Koń i niski, krępy Ragnar Młot. Stali z toporami i tarczami, gotowi rzucić się do walki. Nie byli jedynymi, których rozpoznałem. Byli tu wszyscy ci, z którymi płynęliśmy z Bjørnem z Orkadów.

Pamiętam, że chwyciłem duński topór. Eirik, przycupnięty za stewą dziobową, rzucił

mi w tył spojrzenie.

– Zaczepisz toporem o nadburcie, chłopcze. Potem wleziesz do góry i zgarniesz dla nas łuczników.

Nie byłem jedynym właścicielem duna na pokładzie, ale może Eirik nie chciał poświęcać własnych ludzi, stracił ich już tak wielu. Stałem w ukryciu za stewą dziobową i kiedy pokonywaliśmy ostatni odcinek, ludzie Olafa nadal posyłali strzały w załogę Eirika, powalając jeszcze pięciu mężczyzn. Wtedy nasz dziób dotknął burty ich statku, zobaczyłem nadburcie tuż nad sobą i zadałem cios jednemu z mężczyzn stojących na górze. To było jak wybicie zęba, utworzyła się tam luka. Wdrapałem się na burtę naszego statku, zaczepiłem toporem jednego z mężczyzn na górze i ściągnąłem go za burtę. Potem wdrapałem się przez nadburcie i znalazłem się pośród ludzi Olafa. To, co się potem wydarzyło, niewiele przypomina późniejsze opowieści. Mówiono, że ja sam wybiłem załogę jednego ze statków Olafa i może to prawda, ale nie było w tym nic bohaterskiego. Bałem się, a przerażenie wywołało szal bitewny. W głowie słyszałem tylko gruby głos Ulfara Oracza, każący mi wywijać toporem, ciąć, pchać, podcinać nogi, ciąć w ramiona, karki...

Wkrótce ludzie Olafa leżeli wokół mnie pokotem w dużym kręgu, jęcząc i krwawiąc z okropnych ran. Dopiero wtedy zobaczyłem, że Bjørn stoi przy mnie. Zaraz potem przeleźli przez burtę Eirik i nieliczni ocalali mężczyźni z jego statku, a później podpłynął jeszcze jeden z naszych statków. Jakiś topór zaczepił o krawędź burty na rufie i pojawiła się tam najpierw głowa Torkjella Wysokiego, a potem Ulfara Oracza i garstki pozostałych wojowników.

Ludzi Olafa ogarnęło szaleństwo. Odparli nas z powrotem do nadburcia, a my odsłoniliśmy się od nich tarczami i włóczniami i toporami zaczęliśmy spychać ich na środek pokładu. Torkjell miał ze sobą wielu ludzi i wkrótce zorientowałem się, że już nie ustępujemy liczebnością ludziom Olafa. Ci wycofali się, wracając na Długiego Węza. Taki rozkaz wydał im wcześniej Olaf. Zamiast bronić każdego statku do upadłego, wojownicy mieli wycofywać się do Długiego Węza w przypadku, gdyby wróg zyskiwał przewagę.

Wszystkie statki Olafa, oprócz jego własnego, były już zdobyte. Sven Widłobrody, Olof Skötkonung, Sigvalde i synowie jarla wiedzieli, że ludzie Olafa będą walczyć do

ostatniego tchu. Nie mieli wyboru, bo nie mogli się stamtąd wymknąć. Byli osaczeni i jeśli chcieli zachować życie, musieli walczyć, żeby się wydostać. My byliśmy w innej sytuacji. Gdyby nasz atak został odparty, gdyby Długiego Węża nie udało się zdobyć, mogliśmy zawrócić. Jeśli tylko udałoby się nam wywalczyć drogę ucieczki między rozproszonymi teraz statkami Olafa, mogliśmy pożegłować do domu, do naszych gospodarstw i rodzin. Byłby to może tchórzliwy czyn, ale wielu ludzi woli być tchórzami niż nieboszczykami.

Może ja też tak myślałem. Bjørn krwawił przez szmaty, którymi obwiązałem mu ranę, krew spływała po przedramieniu i kapała z palców. Widziałem mężczyzn wokół mnie rzucających tęskne spojrzenia na szlak na południu i na północy, gdzie znikają coraz więcej statków. Trudno powiedzieć, czy to byli ludzie Olafa, Danowie czy Sweowie. Wszystkie statki wydawały mi się podobne, miały ziejące pustkami rzędy wiosła, a pokłady pełne strzał i trupów.

Eirik Ofiarnik i Torkjell zjednoczyli siły i ustawili około dziesięciu mężczyzn w mur tarcz. My, trzymając w rękach duny albo włócznie, zajęliśmy miejsce za nimi, a reszta ludzi za nami. Potem ruszyliśmy do przodu w stronę burty. Napotkaliśmy niewielki opór, wdrapując się na stojący bliżej środka statek. Zasłonięty przez tarczownika, uderzyłem toporem wojownika próbującego nas zatrzymać; żeleźce topora ześliznęło się po jego hełmie i trafiło go w bark. Stojący przede mną tarczownik nagle osunął się na pokład, a jeden z ludzi Olafa skoczył do przodu z włócznią, której grot drasnął mnie w łydkę. Dźgnąłby ponownie, gdyby Bjørn nie zepchnął mnie w bok. Mój brat zrobił coś, czego Aslak i inni jomswikingowie nam zabronili: rzucił toporem. Topór zrobił pół obrotu w powietrzu i trafił mężczyznę nie żeleźcem, tylko drzewcem. Jednak to wystarczyło, żeby mój brat chwycił włócznię, odwrócił ją i wepchnął w gardło przeciwnikowi.

To moja zdrowa noga została zraniona, ale nie wiedziałem, czy rana jest głęboka. Parliśmy dalej przez pokład. Bjørn mnie osłaniał i słyszałem, jak krzyczy, że jeśli noga mnie zawiedzie, mam go chwycić za tunikę i nie puszczać, muszę utrzymać się na nogach. Nadal jednak stałem i wkrótce przeleźliśmy przez nadburcie na pokład kolejnego statku Olafa. Tutaj ciżba była jeszcze gęstsza, bo ludzie Olafa poopuszczali już statki stojące najbardziej na zewnątrz, gromadząc się na czterech statkach stojących

po obydwu stronach Długiego Węza, który przypominał teraz unoszącą się na wodzie warownię. Na górze stał Olaf i jego najlepsi ludzie, wszyscy w kolczugach i hełmach. Stali w całkowitym milczeniu, przyglądając się walce i coraz bardziej zbliżającemu się wrogowi.

A my dotarliśmy do jeszcze jednego nadburcia. Svein dołączył do swego brata Eirika, miał wielu ludzi i mur tarcz ustawiony tuż przy krawędzi burty, ponieważ na statku Olafa wojownicy stali w gęstym szeregu od rufy do dziobu. Sigvalde, który był nieco za nami, ryknął, że musimy przeć do przodu i zabijać, bo na Odyna, musi mieć głowę Olafa przybitą do dziobnicy przed zachodem słońca.

Ale Bjørn i ja nie zdążyliśmy doskoczyć do tarczowników. Bo oto inny statek uderzył w nasz przy dziobie, a na jego pokładzie nie było Danów, Sweawów ani jomswikingów. Na nasz pokład zaczęli wdzierać się ludzie Olafa, a było ich wielu.

Wkrótce znalazło się tutaj tylu wojów, że zostaliśmy całkowicie ściśnięci; staliśmy z Bjørnem w środku, on z włócznią, ja z toporem, nie mogąc nic zrobić. Słyszeliśmy krzyki mężczyzn, ohydny dźwięk żelaza rozcinającego mięśnie i chrząstki, a od czasu do czasu plusk, kiedy ktoś wyskoczył za burtę. Czuliśmy napierające ciała, ściskaliśmy broń, dobrze wiedząc, że jeśli wypuścimy ją z rąk, zginiemy. Lecz kłamstwem byłoby twierdzić, że mieliśmy nadzieję dołączyć do walki. Ponad głowami mężczyzn wokół nas widzieliśmy, że jesteśmy całkowicie otoczeni. Udało mi się odczepić podręczny topór od pasa i wręczyć Bjørnowi, który wypuścił włócznię, a potem czekaliśmy, uwięzieni między tłoczącymi się coraz bardziej mężczyznami, aż napór zaczął słabnąć. Wtedy zrozumieliśmy, że między nami a wrogiem jest już tylko kilku wojów.

Nagle otaczający nas wojownicy też osunęli się na pokład, Bjørn wydał z siebie straszliwy ryk i podniósł topór do ciosu. Ci, którzy uprzednio stali wokół nas, leżeli teraz, wijąc się, a padło ich tak wielu, że ciała utworzyły wysoki do bioder wał między nami i ludźmi Olafa. Eirik i Svein pozostali przy życiu, widziałem, jak wspinają się na statek z przodu z garstką mężczyzn, ale nie widziałem nigdzie Torkjella. Podniosłem duński topór i potężnie zamachnąłem się, odrąbując ramię jednemu z ludzi Olafa, po czym trafił w ramię stojącego obok mężczyzny; uderzenie było tak silne, że się przewrócił. Znowu uderzyłem, trafiłem w tarczę, łamiąc ją i trzymając ją ramię. Szał berserka mnie nie opuszczał, mężczyźni wokół wycofywali się, któryś podniósł

włócznie, chcąc nią we mnie rzucić. Wtedy Bjørn chwycił tarczę jednego z umierających wojowników i rzucił się przede mnie, przechwytyjąc włócznie.

– Skacz! – krzyknął. – Skacz!

Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że stoimy plecami do nadburcia. Bjørn pchnął mnie w pierś tak mocno, że wypadłem za burtę.

Jeszcze pamiętam, jak uderzyłem czołem o kadłub, ocierając sobie skórę o pąkle, którymi był porośnięty; pamiętam, że woda wydała mi się dziwnie ciepła. Opadałem w dół, wciąż trzymając w ręku topór, a kiedy zerknąłem w kierunku powierzchni wody, przypominała srebrzysty klin między kadłubami, które porosły wodorostami. Potem u góry zamajaczył jakiś cień i nagle w ten klin wpadło czyjeś ciało. Bjørn patrzy na mnie z góry, czerwona mgła otacza jego głowę.

Odpląnałem stamtąd, holując go. Nie ruszał się i nic nie mówił. Holowałem brata między trupami, wiosłami i unoszącymi się na wodzie strzałami, mijając krwawiących mężczyzn, którzy chwyтали mnie, błagając o pomoc. Statki stały teraz rozproszone po całej cieśninie, niektóre wyglądały na całkowicie opuszczone. Pomyślałem, żeby zaczepić toporem o krawędź nadburcia jednego z nich, ale obawiałem się, że na pokładzie czają się jeszcze ludzie Olafa; nie wiedziałem też, jak wciągnąć na pokład Bjørna. Popłynąłem więc w kierunku cypla, na którym nocowaliśmy. W tej chwili leżał na południe od nas, bo gdy szalała walka, zerwał się wiatr i statki zniosło bardziej na północ.

Kiedy płynąłem, Bjørn nie wydawał z siebie żadnego dźwięku. Położyłem się na plecach i trzymałem go pod pachami, a topór umieściłem mu na piersi. Ciężko było tak płynąć, mając przeciwko sobie fale z południa. Cały czas mówiłem do Bjørna. Prosiłem, żeby nie tracił przytomności, bo wyglądał niemal jakby spał, gdyby nie krew bez przerwy spływająca z jego czoła.

Wreszcie poczułem ląd po nogami i natychmiast wciągnąłem Bjørna na plażę. Znaleźliśmy się bardzo blisko naszego byrdinga. Wziąłem z niego baranicę i zerwałem z brata mokre ubranie. Miał ranę z boku głowy, musiał zostać uderzony zaraz po tym, jak wyrzucił mnie za burtę. Zdjąłem szmaty, którymi obwiązane było jego przedramię. Głębokie cięcie nadal obficie krwawiło. Oderwałem nowe pasy materiału z jego tuniki,

owinałem przedramię i mocno zacisnąłem. Wtedy jego usta się otworzyły i głęboko z piersi dobiegło jakby bulgotanie. Ale ciało leżało bezwładnie.

Nie pamiętam, żebym płakał. Pamiętam, że siedziałem bez sił na piasku obok ciała brata, a kiedy pojawili się ograbiacze trupów, tręcili mnie kijem, mamrocząc, że postradałem zmysły. Potem przykucnęli obok Bjørna i jego mokrych ubrań, przeszukując je, ale nic nie znaleźli, więc zwrócili się do mnie. Było ich pięciu, mieli naramienniki, łańcuchy na szyi i pasy ciężkie od trzosów na monety. Wszystko to zrabowali tym, których ciała przydryfowały tutaj albo którzy sami dopłynęli do lądu, ale byli zbyt osłabieni, żeby stawiać opór. Jeden z rabusiów miał obcięty czubek nosa, widać już wcześniej był karany za kradzieże. Pamiętam go dobrze, bo przytknął twarz do mojej i zajrzał mi w oczy.

– Ten tutaj jest niegroźny – powiedział, a gdy się wyprostował, miał w garści mój topór, a na ustach uśmiezek.

To mnie wyrwało z odrętwienia, ale kiedy chwyciłem za pochwę u pasa, uświadomiłem sobie, że nie ma w niej saksa. Musiał mi wypaść, jak płynąłem.

Nie wiem, czy rabuś zabiłby mnie tam na plaży. Nie zdążył nawet podnieść topora. Jakaś postać rzuciła się na niego z boku, siwobrody upadł, wypuszczając z rąk topór. Młody mężczyzna, który pospieszył mi na ratunek, szybko chwycił upuszczony topór i przegonił rabusiów. Kiedy odwrócił się do mnie i Bjørna, zobaczyłem, że to Valp, syn jarla Orkadów. Poderwałem się, był przecież jednym z ludzi Olafa, myślałem, że zaatakuje mnie toporem. Ale Valp opuścił drzewce broni na ziemię.

– Wyspiarze pomagają sobie wzajemnie – powiedział, a potem jego wzrok padł na Bjørna. – Twój brat... nie żyje?

Oddał mi topór i przyklęknął przy nieruchomym ciele Bjørna. Odwróciłem się od nich. Pamiętam, że stanąłem nad wodą, fale nadpływały, rozmywając piasek pod moimi stopami tak, że grzęzłem coraz bardziej. Nie przejmowałem się tym, że woda jest zimna. Prawie jej nie czułem. Podniosłem głowę i zobaczyłem okręty oraz walczących mężczyzn, widziałem trupy w wodzie i dwa płonące żagle.

Długi Wąż został całkowicie otoczony przez mniejsze statki. Jeszcze nikomu nie udało się wdrzeć na pokład potężnego okrętu Olafa. Wydawało mi się, że widzę Olafa



w oddali, stał na rufie z garstką ludzi, a wokół nich widziałem krąg tarczowników. Czy to Ros stał tam, przechylony w stronę Olafa? Wyglądało, jakby coś mu szeptał do ucha, choć raczej musiał się zbliżyć, żeby przekrzyczeć zgiełk bitewny.

Rzuciłem spojrzenie na mojego brata. Widziałem, jak Valp nim potrząsa i klepie go po policzkach, jakby to w magiczny sposób mogło przywrócić go do życia. Potem znów obróciłem się w stronę statków. Pomyślałem o ojcu, o dniu, w którym zginął z ręki Rosa. Spojrzałem na Bjørna, widok Valpa potrząsającego jego okrwawionym ciałem coś ze mną zrobił. Wziąłem duna, wszedłem do wody i popłynąłem. Valp wołał do mnie, prosząc, żebym zawrócił, że możemy stąd odpłynąć, że umieranie za tych królów nie ma żadnego sensu. Ale ja nadal płynąłem. Wetknąłem topór za pas na plecach, szybko wpłynąłem między trupy i puste dryfujące statki i wkrótce znowu znalazłem się w środku bitwy. Moi synowie chlubią się, że kiedy byłem młody i walczyłem przeciwko chrześcijańskiemu królowi pod Svolder, jako pierwszy wszedłem na pokład Długiego Węza. Opowiadają, że wbiłem topór w zewnętrzne poszycie statku, wdrapałem się po wiosłach i zaczepiłem topór o górną krawędź nadburcia. Ale nie tak było. Użyłem topora, żeby wejść na pokład, tak jak uczył mnie Ulfar Oracz, lecz nie był to pokład Długiego Węza, tylko mniejszego statku, trzy pokłady bliżej mnie. Tutaj podskoczyłem w wodzie, tak wysoko jak dałem radę, i zaczepiłem toporem o krawędź burty, a potem podciągnąłem się za drzewce.

Każdy, kto kiedykolwiek brał udział w walce, wie, że gdy bitwa się zagęszcza, ranni wycofują się, tworząc wokół centrum walki pierścień wyjących, kulejących i krwawiących mężczyzn. To na nich najpierw się natknąłem. Nie wiedziałem, kto przyjaciel, a kto wróg, podobnie jak ci, którzy widzieli mnie wdrapującego się na pokład.

Nie wiem, ilu wojów zabiłem, torując sobie drogę przez pokłady statków. Może to dobrze, że chwycił mnie szal bojowy, bo zagłuszył we mnie strach. Wywijałem toporem, tnąc w ramiona, odciągając tarcze i podcinając nogi, zmiatałem wszystkich po drodze, słysząc własny zwierzęcy ryk. Przedostałem się na następny statek, na którym walczący byli bardziej słóczeni, ale i tutaj torowałem sobie drogę, a oprzytomniałem dopiero, znalazłszy się na statku przylegającym do Długiego Węza. Tutaj ktoś chwycił mnie brutalnie za kark i przedramię i przygiął na kolana. To Halvor pojawił się przede

mną, uderzając mnie otwartą dłonią w twarz i krzycząc:

– Nisko, chłopcze! Trzymaj się nisko! – Potem przykrył mnie sobą. Następne, co pamiętam, to świst strzał.

W szale berserka nie zauważałem, co się wokół mnie dzieje. Jeszcze o tym nie wiedziałem, ale król Danów i Olof już wycofali się z bitwy, bo Długi Wąż wydawał się niemożliwy do zdobycia, i zastanawiano się, czy nie dać Olafowi po prostu odpłynąć. Ale Eirik Håkonson, Ofiarnik i ulfhednar, tak jak ja opętany żądzą zemsty, chciał przywrócić panowanie nad wybrzeżem Norwegii swojemu rodowi. Zebrał wszystkich swoich łuczników na jednym statku stojącym po prawej stronie Długiego Węża, na którym i ja się znajdowałem. W ostatniej próbie odepchnięcia ludzi Olafa od nadburcia rozkazał łucznikom wystrzelić wszystkie strzały, jakie jeszcze im pozostały, a włócznikom rzucić wszystkimi włóczniami, jakie mieli.

To przyniosło skutek. Kiedy ustał świst, ludzie Olafa nie stali już tak gęsto jeden obok drugiego. Następnie zabrzmiał rozkaz Eirika:

– Na pokład! Na pokład!

Ci z nas, którzy mieli długie topory, zaczepili je o krawędź nadburcia Długiego Węża; kiedy tylko zaczepiłem swój, Halvor wetknął mi w rękę saks i syknął, że mam go włożyć sobie między zęby, więc włożyłem żeleźce tępą krawędzią do ust i się podciągnąłem.

Byłem jednym z pierwszych, którzy weszli na statek Olafa. Uzbrojony tylko w saks, stanąłem zaledwie kilkanaście kroków od jego najlepszych wojów. Strzały zepchnęły ich do tyłu, stłoczyli się po lewej stronie statku i na rufie, gdzie Olaf nadal był chroniony murem tarcz. Na pokładzie rozpoznałem wielu wojowników. Stali tam Ragnar Młot i Øystein Łapsko. Øystein mnie rozpoznał i patrzył szeroko otwartymi oczami, kiedy Olaf krzyknął:

– Na nich!

Za mną wdrapywali się inni. Jedni po drzewcach toporów, inni stawali na ramionach stojących niżej. Żeby uwolnić swój topór, musiałem kopnąć jednego z mężczyzn, który wspinał się po jego drzewcu, i ledwo zdążyłem się obrócić, kiedy ludzie Olafa już byli przy nas.

Mówi się, że walczyliśmy jak wilki. Ale wilk miałby wystarczająco dużo rozumu,

żeby się ratować. Gdybyśmy mieli rozum, wszyscy wyskoczylibyśmy za burzę. My natomiast staliśmy tam, ogarnięci żądzą oczyszczenia pokładu, tak jak oczyściliśmy poprzednie, a na samym przedzie stał Eirik Håkonson, rąbiąc wokół siebie z siłą, jaką rzadko przedtem widywałem. Wilcza skóra opadła, z toporem w jednej ręce i mieczem w drugiej rzucił się na ludzi Olafa, wydając straszny ryk ze zbroczonej krwią brody. W mgnieniu oka zobaczyłem jego topór wbity w bark Ragnara Młota. Wtedy sam zostałem zaatakowany, pchnąłem toporem w twarz mężczyzny nadbiegającego ku mnie, odciągnąłem jego tarczę i znowu uderzyłem toporem, tym razem prosto w krtań. Potem uniosłem topór wysoko nad głową i spuściłem na rudobrodego mężczyznę z włócznią, który stał za tamtym. Ostrze topora trafiło go w bark i powaliło na kolana; kopnąłem go w twarz i rąbnąłem toporem stojącego za nim woja. Ledwo widziałem twarz, zanim trafiłem, ale musiałem trafić dobrze, bo trysnął na mnie strumień krwi. Znowu zamierzyłem się dunem, ale teraz mój wzrok pada na wielką, zdeformowaną łapę trzymającą topór. Øystein Łapsko stoi tuż przede mną. Waha się, ja też się waham, przypominam sobie, jak pielęgnował mnie i Bjørna po bitwie w Trøndelagu. Wtedy czyjs topór spada na jego ramię, odrąbując zdeformowaną rękę. Sigurd Bueson, szczerząc ostre zęby, tnie Øysteina toporem prosto w szyję. Rzuca mi szybkie spojrzenie.

– Co tak stoisz? Chcesz zginąć?

Dobrzy ludzie padli tego dnia, niektórzy od mojego topora. Najpierw przedarliśmy się w poprzek pokładu, żeby móc utworzyć mur tarcz w kierunku dziobu i rufy, a kiedy to zrobiliśmy, wszyscy, którym udało się przedrzeć za nami do centrum bitwy, zgromadzili się w środkowej części Długiego Węza. Mając przewagę liczebną na statku Olafa, toporami i włóczniami zepchnęliśmy do tyłu najpierw wojów znajdujących się na dziobie. Większość rzuciła się za burzę, a kolczugi pociągnęły ich na dno, choć niektórym udało się je zdjąć i odpłynąć.

Pozostał tylko Olaf i garstka najbliższych mu ludzi. Stał na rufie, z jakąś dwudziestką wojów przed sobą. Dopiero teraz zobaczyłem, że jest ranny. Kolczuga była przecięta na brzuchu. Krew spływała spod kolczugi i po łydkach.

Eirik zrobił wszystko, żeby przełamać mur tarcz Olafa. Wystawił dwunastu tarczowników, a za każdym z nich dwóch mężczyzn, jednego z dunem, drugiego

z długą włócznią. Byłem jednym z toporników. Tarczownicy ruszyli do przodu, aż znaleźliśmy się na odległość ciosu toporem od ludzi Olafa. Dunami zaczepiliśmy i odciągnęliśmy tarcze wroga. Ale ludzie Olafa również mieli długie topory. Nagle woj przede mną upuścił tarczę i włócznia ugodziła go w pierś. Kolczuga nie pozwoliła grotowi wbić się głęboko, ale woj został zepchnięty do tyłu, a ja stałem odsłonięty, wystawiony na cios. Szybko zamierzyłem się toporem, tarcza osłaniająca mężczyznę z włócznią została zmiażdżona, ostrze topora przecięło trzymającą ją ramię i zatrzymało się dopiero na deskach pokładu. Wyrwałem topór, znowu wymierzyłem cios, tym razem trafiłem tarczownika w pierś. Cios odepchnął go prosto na woja z włócznią. Ten miał hełm z kolczugą, ale hełm spadł i rozpoznałem woja. To był Ros.

Mówią, że Eirik Håkonson złamał ostatnią linię obrony Olafa. Ale to ja sforsowałem mur tarcz na pokładzie rufowym Długiego Węża. Bo oto stał przede mną zabójca mojego ojca. Upuścił włócznię i wyciągnął szeroki miecz, a ja uderzyłem go toporem w twarz; zatoczył się do tyłu, ja postępowałem za nim. Nie zauważyłem, że szli za mną Sigurd Bueson, Halvor i Jostein Karzeł. Przerwaliśmy ostatnią obronę Olafa, jednak ja widziałem tylko Rosa. Zamierzył się mieczem na moją kulawą nogę, ale uderzyłem go toporem w goleń i zobaczyłem, że łamie się jak spróchniała gałąź. Ros wypuścił z ręki miecz, rzucił się na krawędź nadburcia, przewalił się przez nie i wypadł za burtę.

Za sobą usłyszałem głos Eirika:

– Naprzód! Zabij go!

Olaf stał całkowicie spokojnie plecami do rufy. W ręku trzymał miecz. Zdjął hełm. Jego wzrok padł na mnie, widziałem, że mnie rozpoznał.

Sigurd Bueson znów wychynął obok mnie. Między nami a Olafem było teraz tylko dwóch mężczyzn. Sigurd puścił nisko swój topór, który podciął kolano jednego z nich. Drugi dostał włócznią w brzuch. Pamiętam, że uniosłem topór, czując siłę w ramionach. Olaf podniósł miecz, ale nie po to, żeby odparować cios. Wyciągnął go prosto do nieba i zamknął oczy.

Trafiłem go w bok głowy. Nie wiem, dlaczego lepiej nie wycelowałem i nie rozplatałem mu czaszki ciosem z góry. Gdybym to zrobił, nigdy nie pojawiłyby się plotki, że uszedł z życiem i resztę swoich dni spędził jako mnich gdzieś na południu. Ostrze topora weszło głęboko w bark, ale on nadal stał. Z jego ust dobiegł mnie jakby

szloch. Puścił miecz, a ja podniosłem topór do kolejnego ciosu, ale się zawahałem. Olaf wgramolił się na krawędź nadburcia i stanął, opierając się o stewę, tak jak pierwszy raz, kiedy go zobaczyłem. Spojrzał na nas i dziwna cisza zapadła na pokładzie. Potem bezwładnie wypadł za burtę. Usłyszeliśmy plusk wpadającego do wody ciała i rzuciliśmy się do nadburcia, żeby zobaczyć, czy wypłynie. Ale Olaf Tryggvason znikł.

Większość nas padła na pokład. Byliśmy wyczerpani, krwawiliśmy z licznych ran. Eirik zadbał o to, żeby rannych wyłowić z wody i opatrzyć. Wyrwano luki pokładowe. Jednak pod pokładem nie znaleziono złota ani srebra. Stał tam tylko Vige, wielki, czarny pies Olafa, przywiązany do stopy masztu, warcząc na każdego, kto się zbliżył. Później dowiedziałem się, że Eirik przeprowił łodzią wiosłową psa na ląd gdzieś na wybrzeżu Norwegii i wypuścił, ale pies doszedł tylko do najbliższej skały nad wodą, tam położył się, wyglądając swego pana na morzu i odmawiając przyjęcia wody i jedzenia, w końcu zdechł.

Eirik Håkonson ogłosił wszem wobec, że Długi Wąż należy do niego, a wybrzeże Norwegii znowu jest pod panowaniem jarłów. Ledwo dosłyszałem, co powiedział. Upojenie walką i szal berserka opadły i nie mogłem myśleć o niczym innym jak o moim martwym bracie leżącym na plaży.

Nie pamiętam, ile czasu tam przesiedziałem. Ogarnęło mnie odrętwienie, siedziałem z toporem na kolanach, a Eirik obejmował swojego brata. Klepali się wzajemnie po plecach, śmiejąc się, Eirik gestykułował rękami, jakby chciał pokazać młodszemu bratu, czego dokonał. Byliśmy na potężnym statku Olafa, wokół nas stała jego zwyciężona flota. Wybrzeże Norwegii znowu było w rękach jarłów Trøndelagu i powinienem pewnie pomyśleć, że tak jest lepiej, ale szczerze mówiąc, niewiele mnie to obchodziło. Uświadomiłem sobie, że krwawię z obydwu rąk. Kostki były obtarte, miałem zadraśnięcia i rany na nogach i rękach.

Podszedł do mnie Halvor. Rozejrzał się po morzu i splunął krwią na pokład.

– Jostein nie żyje. To była dobra śmierć. – Jeszcze raz splunął na pokład. – Wielu mężczyzn podążyło dzisiaj do Wszechojca.

Wtedy w pełni odezwała się we mnie żaloba, dygotałem na całym ciele.

– Bjørn – powiedziałem. – Bjørn też.

Halvor zerknął na mnie, a potem podszedł do nadburcia, bo zauważył coś na wodzie.

– Twój brat nie zginął – powiedział. – Właśnie płynię tu do nas.

Zerwałem się. Halvor wskazał palcem między dryfującymi statkami, między unoszącymi się na wodzie trupami, tarczami i strzałami. Tam ukazał się nasz byrding z Valpem przy wiosłach. Bjørn stał na dziobie z długą włócznią w ręku, której używał do odwracania trupów.

– Szuka cię – powiedział Halvor. – Zawołaj na niego.

Zawołałem. Wdrapałem się na kraweź burty i podniosłem topór nad głowę. Bjørn mnie zobaczył. Zamachał ręką i krzyknął do mnie, a ja zeskoczyłem z krawędzi burty do wody.

Na pokładzie byrdinga Bjørn powiedział mi, że po uderzeniu stracił przytomność. Teraz tak okropnie bolała go głowa, jakby sama Hel go na niego rzuciła. Zbierało mu się na wymioty, ale była to niewielka cena za to, że widzi mnie żywym. Potem osunął się na dziobie, jakby opuściły go wszystkie siły, obrócił się na bok i zwymiotował w brodę. Zrozumiałem, że chyba nie tylko ból głowy doskwiera mojemu bratu. Wymamrotał, że może najlepiej by było, żebyśmy trzymali się z daleka od Svena, Olofa, Eirika i innych wielmożów, skoro Valp walczył po stronie Olafa. Valp i ja wiosłowaliśmy przez jakiś czas między statkami, szukając tych, którzy przeżyli. Niektórych przeprawiliśmy na ląd, żadnego nie pytając, po czyjej stronie walczył. Synów Svartura nie znalazłem, nie zobaczyłem ich też na pokładzie żadnego ze statków. Musieli zginąć tak jak ojciec. Bolesne wieści przyszło nam zanieść do domu.

Większość ludzi pozostała na pokładach statków przez resztę dnia. Wielu pewnie myślało, że Sven, Olof albo synowie jarla wynagrodzą tych, którzy przeżyli. Wszak krążyły pogłoski, że skarby Olafa miały zostać rozdzielone między ludzi, więc niejeden wojownik liczył na srebro i złoto. Ale należało też opatrzyć rannych i pożegnać tych, którzy polegli. Pozbierano resztki wraków i ułożono z nich na cyplu potężne stosy pogrzebowe. Sven, Olof i synowie jarla długo rozprawiali o tym, co zrobić z ocalałymi ludźmi Olafa. Rzucili przecież broń i wielu z nich obiecało służyć Svenowi równie wiernie jak przedtem Olafowi. Eirik i Olof chcieli ich wszystkich ściąć, ale król Danów okazał się nadszpiewanie wielkoduszny tego dnia. Z wieloma z tych ludzi walczył

ramię w ramię, kiedy on i Olaf pustoszyli Anglię, dlatego wszyscy bez wyjątku mieli dostać grid.

Sven, Eirik i Olof rozdzielili flotę Olafa. Już wcześniej ustalili, że podzielą między sobą jego własność. Wiele statków zostało zniszczonych podczas bitwy, niektóre zatoneły, a inne były tak mocno uszkodzone, że nie nadawały się do naprawy. Część odpłynęła, kiedy bitwa zbliżała się do końca, Valp i ja widzieliśmy je z pokładu byrdinga. Płynęły na północ, było ich z osiem czy dziewięć. Myśleliśmy, że Sven ruszy za nimi w pogoń, ale ani on, ani żaden inny wódz nie wydawał się nimi przejmować. Pozwolili im odpłynąć.

Nigdy nie usłyszeliśmy słów, które przywódcy wymienili między sobą tego dnia na Długim Wężu. Popłynęliśmy na południe i nie dobijaliśmy do lądu, dopóki nie zmusiło nas do tego pragnienie. Napiliśmy się wody ze strumienia, a ja przemyłem ranę Bjørna. Była czysta i chociaż mocno krwawiła, nie była spuchnięta, wyglądało na to, że będzie się dobrze goić. Ale Bjørn narzekał na ból głowy i dygotał na całym ciele, więc owinęliśmy go kocami. Obiecałem Valpowi schronienie i strawę; obiecałem też nikomu nie mówić, że walczył po stronie Olafa, jeśli tylko pomoże mi przewieźć brata do domu. Valp skinął głową, mówiąc, że i tak by mi pomógł. Potem dodał, że wie, iż jest nielubiany na rodzinnych Orkadach, ale jeśli potraktuję go jak przyjaciela, będzie ze mną wiosłował i nie ustanie, dopóki nie dotrzemy tam, gdzie mamy dotrzeć.



## 34

### Kraina na zachodzie

**S**igrid i Fenre stali na plaży, kiedy przyплыliśmy. Sigrid objęła mnie, gdy stanęliśmy na brzegu. Potem zapytała, co dolega Bjørnowi, popatrzyła na szmaty, którymi owinąłem sobie rany na nogach, i zapytała, dlaczego syn jarla Orkadów przyплыł z nami. Wyjaśniłem, najlepiej jak potrafiłem, że wzięliśmy udział w walce, chociaż przedtem obiecaliśmy, że popłyniemy tylko po to, żeby zobaczyć, jaki będzie wynik bitwy, a Valp nam pomógł i dlatego obiecałem mu schronienie w domu.

Nic na to wszystko nie odpowiedziała. Objęła mnie ponownie i położyła mi głowę na ramieniu.

Bjørn został w łodzi, ja zaś poszedłem do gospodarstwa Svartura ze smutnymi wieściami. Kobiety zobaczyły mnie już na wzgórzu i wybuchnęły płaczem, bo żaden z ich mężczyzn mi nie towarzyszył i zrozumiały, co to oznacza. Powiedziałem, że walczyli odważnie i poległ z honorem, ale sam słyszałem, jak niewielka pociecha jest w tych słowach.

Tego wieczora Valp, Sigrid i ja siedzieliśmy przy długim stole, jedząc gęstą zupę z zajęczego mięsa i żytniej kaszy. Sigrid była dziwnie milcząca. Pomyślałem, że to z powodu złego stanu Bjørna. Wcześniej tego dnia zszyła rany Bjørna i moje. Zostałem raniony w łydkę i chociaż rana tak bardzo nie krwawiła, Sigrid założyła mi cztery szwy. Kiedy zaczęła łątać ranę Bjørna, ten zwymiotował, a potem leżał blady na pościeli. Później jednak ożywił się, poskarżył na ból głowy, umiejscowiony tuż nad okiem, czuł tam ucisk. Już nie miał mdłości i zdaniem Valpa był to dobry znak; wiedział takie rzeczy od czarownika, który przebywał u jego ojca kilka lat temu. Sigrid nadal milczała,



była nieswoja, wzrok miała wbity w stół i pomyślałem, że to może obecność Valpa ją dręczy. Jarl Orkadów był przecież znienawidzony, a ja przywiozłem do domu jego syna. Może, myślałem, najlepiej będzie, jeśli poproszę Valpa, żeby nas opuścił, kiedy tylko się rozjaśni.

Nagle Sigrid wstała i wyszła. Zostawiła za sobą otwarte drzwi.

– Torsteinie. Chodź ze mną – rzekła.

Zeszliśmy w dół na plażę. Fenre mocował się tam z kilkoma kłębami wodorostów wyrzuconych przez morze na brzeg. Sigrid stanęła, obejmując się ramionami, łagodna nocna bryza lekko targała jej włosy i koszulę.

– Spodziewam się dziecka – powiedziała.

Nie zrozumiałem. Słyszałem słowa, ale coś się nie zgadzało. Była równie szczupła jak przedtem. Dlatego moja odpowiedź nie zabrzmiała zbyt mądrze.

– Dziecka?

– Tak – odparła.

– Ale tego nie możesz przecież wiedzieć.

– A właśnie, że mogę.

Zastanowiłem się nad tymi słowami i dopiero zaczęło do mnie docierać, co powiedziała. Dziecko. Spodziewa się dziecka. Naszego dziecka.

– Przestałam krwawić, Torsteinie. I czuję je. Tutaj... – Położyła rękę na dole brzucha. – Chodź. Dotknij.

Podszedłem do niej, a ona położyła moją rękę na swoim brzuchu.

– Twoje dziecko, Torsteinie. Jest tam, w środku.

Usłyszałem siebie mówiącego, że powinna była mi o tym powiedzieć, zanim wypłynąłem. Gdybym wiedział... zostałbym w domu.

– Może – odrzekła. – A może nie. Wracajmy. Ale nikomu nic nie mów.

Nie powiedziałem jej, że to ja zadałem Olafowi śmiertelny cios i wcale nie miałem zamiaru o tym mówić. Ani ja, ani Bjørn, ani Valp nie opowiadaliśmy Sigrid, co się działo podczas bitwy, i szczerze mówiąc, teraz myślałem o czymś zupełnie innym. Jedliśmy zupę i piliśmy piwo z gospodarstwa Svartura, a potem poszliśmy spać. Valp pozostał przy ogniu; obiecał przypilnować Bjørna i obudzić mnie w środku nocy, bo nad ludźmi, którzy otrzymali cios w głowę, cały czas ktoś musi czuwać.

Valp mnie nie obudził. Kiedy się ocknąłem, chrapał obok żarzących się węgli. Szybko podszedłem do Bjørna, który zrzucił z siebie koce, i podciągnąłem mu je pod brodę. Fenre podszedł do drzwi, zapiszczał i chciał wyjść.

Pomyślałem, że chce wyjść za potrzebą, ale kiedy tylko otworzyłem drzwi, puścił się biegiem na nasze pole tak szybko, jak mógł na swoich trzech łapach. Noc była pogodna. Księżyc rzucał srebrzysty blask na podwórze. Teraz zobaczyłem, że na polu stoi jakiś mężczyzna. Miał na sobie długi płaszcz z kapturem.

– Ty tam! – zawołał. – To ciebie zwą Torsteinem Szkutnikiem?

Wskoczyłem do środka, założyłem cięciwę na łuk i chwyciłem kilka strzał, ale kiedy znowu wyszedłem, już go nie było. Zatrzeszczała gałązka po drugiej stronie pola, puścił się biegiem do ucieczki.

Przez resztę nocy nie zmrzyłem oka. Jakiś czas stałem z łukiem w drzwiach, potem poszedłem na pole i znalazłem ślady w mokrej od rosy trawie, ale nikogo nie zobaczyłem ani nie usłyszałem. Bjørn ocknął się o świcie i zapytał, dlaczego siedzę z łukiem na kolanach, a ja odpowiedziałem, zgodnie z prawdą, że przyszedł jakiś mężczyzna i pytał o mnie. Bjørn tylko wzruszył ramionami w odpowiedzi. Poskarżył się, że mdłości wróciły, jego wzrok znowu stał się mętny, odetchnął ciężko i zasnął.

Podczas gdy Sigrid gotowała kaszę, wyszedłem na pole. Stamtąd ruszyłem śladami obcego. Przyszedł z południa, okrążył dom, potem wyszedł na pole, gdzie wydeptał ziemię, jakby tam stał i czekał. Następnie pobiegł między drzewa i znowu na południe, tam skąd przyszedł.

Przy stole zastanawiałem się, czy nie osiodłać Vingura i nie pojechać jego śladami. Nagle usłyszałem kroki na zewnątrz. Valp i ja szybko chwyciliśmy za broń. Ktoś zapukał do drzwi. Valp podniósł topór do góry i warknął, że ten, kto stoi na zewnątrz, ma powiedzieć, kim jest, albo obydwaj rozplątamy mu czaszkę toporami. Wtedy mężczyzna na zewnątrz odchrząknął.

– Nie życzę sobie żadnego topora w czaszce. Głupio by było tak zginać, akurat kiedy przeżyłem bitwę z norweskim królem. Nazywam się Halvor i jestem przyjacielem Torsteina Szkutnika.

– Nazywa się Halvor – powiedział Valp, zerkając na mnie, jakbym sam tego nie

słyszał.

– To jest dom Torsteina – zabrzmiało na zewnątrz. Tym razem mówił Eystein. – Ale ty nie jesteś Torsteinem. Otwórz drzwi i powiedz nam, co tutaj robisz, i najlepiej by było, gdybyś nam też powiedział, gdzie jest Torstein!

Wetknąłem topór do zawieszania przy pasie.

– Tu jestem – odrzekłem, otwierając drzwi.

Halvor zerknął ponad moim ramieniem do środka i zobaczył Bjørna na posłaniu.

– Twój brat jest ranny?

– Chyba uderzenie w głowę – powiedziałem, dotykając swojej skroni. – W tym miejscu. Jest też ranny w ramię.

Halvor skinął głową i obdarzył Sigrid pośpiesznym uśmiechem, a potem kiwnął na mnie.

Poszliśmy do naszego małego wodospadu, gdzie Eystein napełnił wodą przytroczony do pasa drewniany kubek i pociągnął łyk, a Halvor wyjaśnił, że właśnie przyszedł do sąsiedniego gospodarstwa z mężczyzną imieniem Thivar. Mężczyzna twierdził, że jest jedynym z tamtejszych mężczyzn, który przeżył, ale oni nie zostali w gospodarstwie, bo chcieli jak najszybciej zobaczyć się ze mną.

Kiwnąłem na to głową i bardzo ucieszyłem się z wiadomości, że przynajmniej jeden z synów Svartura przeżył. Lecz skąd ten pośpiech, żeby ze mną rozmawiać? Jeszcze nie zdążyłem zapytać, kiedy Halvor znowu chwycił mnie za ramię.

– Ktoś czyha na twoje życie, Torsteinie. Eystein i ja przyszliśmy tutaj, żeby chronić ciebie i twoją rodzinę.

– Był tu jakiś mężczyzna dziś w nocy. Tam, na polu. – Wskazałem. – Ale zniknął, kiedy tylko wyjąłem łuk.

– To musiał być ktoś z ludzi Olafa – powiedział Eystein. – Sven kazał ogłosić, że ten, kto znajdzie Torsteina Szkutnika, ma mu przekazać, żeby przyszedł do Svena, bo chce go wynagrodzić za zabicie Olafa. Jednak człowiek, który był tu dziś w nocy, raczej nie przyszedł, żeby powiedzieć ci o nagrodzie. To pewnie zwiadowca, który miał cię odnaleźć. Wkrótce tu będzie z całą bandą.

Halvor wygładził płaszcz na sobie.

– Niemądre ze strony Svena było ogłoszenie twojego imienia. Nie powinien nic

mówić. Wielu ludzi Olafa wymknęło się podczas bitwy. Nie mogą zemścić się na Svenie, Eiriku Håkonsonie i innych, ale na samotnym jomswikingu...

– Nie jesteś tu bezpieczny – rzekł Eystein. – Musisz pójść z nami. Bjørn też. I twoja kobieta. Musicie pójść z nami do Svena.

– Ale Bjørn jest ranny.

– Nie macie wyjścia. Skoro był tu w nocy ich zwiadowca, reszta ludzi Olafa jest już niedaleko.

Pamiętam, że kiedy wypowiadał te słowa, zaczęło padać. Deszcz przyszedł wraz z powiewem wiatru od morza. Płaszcz Halvora i Eysteina łopotały, wiatr był zimny.

Spakowaliśmy cały nasz dobytek i zaczęliśmy wiązać nosze dla Bjørna, ale nie chciał o tym słyszeć. Ból głowy nie stanowi dla mężczyzny żadnej przeszkody, zachnął się, chwycił gar i zarzucił sobie na plecy. Gar sporo ważył, bo Sigrid włożyła do niego wypełniony do połowy worek ze zbożem. Widziałem, że jest mu ciężko, skóra wokół jednego oka drgała, na czoło wystąpiły żyły. Wziąłem od niego gar i poprosiłem, żeby prowadził Vingura.

Sigrid powiedziałem, że byłem w pierwszym szeregu, kiedy walczyliśmy z Olafem i jego ludźmi na Długim Wężu i to dlatego chcą mnie dopaść. Nie miałem zamiaru jej mówić, że nie tylko byłem w pierwszym szeregu, ale własnoręcznie zabiłem Olafa. Jednak Eystein uznał, że trzeba o tym opowiedzieć. Usłyszawszy to, Sigrid, krzyknęła, chwyciła mnie za tunikę i popchnęła tak, że się wywróciłem.

Przeprowadziliśmy zwierzęta do gospodarstwa Svartura. Thivar wyszedł nam naprzeciw na podwórze. Jednym ramieniem obejmował żonę, drugim córkę. Powiedziałem mu o ludziach, którzy chcą mnie dopaść; że powinien zabrać ze sobą mieszkańców gospodarstwa i uciekać z nami. Odparł, że nie po to walczył przeciwko królowi Norwegii i stracił ojca i braci, żeby teraz uciekać ze swojego gospodarstwa. Halvor tylko prychnął, uderzając go w ramię. Czy nie rozumie, że ludzie Olafa zabiją go, jeśli się tu pojawią? Spalą gospodarstwo, zarzną bydło, a kobiety wezmą jako niewolnice, o ile w ogóle pozostawią je przy życiu.

Thivar stał, nadal gapiąc się na nas, potem szybko odwrócił się na pięcie i pognął żonę i córkę do domu.

Przyglądaliśmy się, jak pakują baranice, koce, worki zboża i pęczki rzepy. Dzieciaki wysłano do strumienia, żeby napełniły bukłaki wodą, i wkrótce Thivar ze swoją małą gromadką kobiet i dzieci był gotów do drogi. Chcieli iść do gospodarstwa Hoddego, bo tam było wielu mężczyzn potrafiących odeprzeć atak ludzi Olafa, gdyby ci się pojawili.

Stałem i patrzyłem za nimi. Najbardziej dręczyło mnie, że zabrali ze sobą Vingura. Spoglądał za mną, kiedy Thivar z nim odchodził. Nie rozumiał, dlaczego ci ludzie gdzieś go prowadzą.

Halvor i Eystein mieli byrding na plaży poniżej gospodarstwa. Był tak mały, że kiedy Eystein i ja zasiedliśmy do wiosła na środkowej ławeczce, trącaliśmy się ramionami. Bjørna położyliśmy na rufie, Sigrid usiadła przy nim razem z Fenrem i okryła go baranicą. Halvor i Valp zajęli miejsca z przodu i powiosłowaliśmy na wschód, prosto pod wiatr i przeciwko falom.

Od czasu, kiedy po raz pierwszy opuściłem Norwegię, nie czułem tak potwornego smutku jak tamtego dnia, gdy wypływaliśmy. Położył się ciężkim jarzmem na moich barkach. Kiedy Halvor i Valp przejmowali od nas wiosła, Halvor zapytał, czy jestem chory. Nie zdobyłem się na odpowiedź, Sigrid wyjaśniła, że pewnie jestem zmartwiony Bjørnem, który wprawdzie zasnął, ale był to niespokojny sen, a za każdym uderzeniem dziobu o falę kulił się i jęczał z bólu.

Spędziliśmy noc na plaży, na której ja i Bjørn wcześniej nocowaliśmy. Zgromadziliśmy dla osłony trochę wyrzuconego na brzeg drewna i trochę kamieni, rozpięliśmy nad nimi dwie baranice i wczołgaliśmy się do środka. Nigdzie nie było suchego drewna, więc tej nocy nie rozpaliliśmy ogniska. Siedzieliśmy pod kocami blisko siebie, żeby utrzymać ciepło. Nie mogłem zasnąć. Kiedy zamykałem oczy, pojawiały się straszne sceny. Widziałem odrąbaną rękę Øysteina, która spadła na pokład, obracając się wnętrzem ku górze. Palce się poruszyły, a potem ręka znieruchomiła jak wielki martwy owad. Widziałem Svartura padającego ze strzałą w czole i mężczyzn nadbiegających w moim kierunku, zatrzymujących się, gdy trafił ich mój topór. Podczas bitwy niemal ich nie widziałem, wszystko wokół mnie było jednym wielkim wirem ciał, broni i tarcz, ale teraz widziałem każdą twarz bez wyjątku, słyszałem ohydny dźwięk topora

rozcinającego skórę i rozrywającego mięśnie i ścięgna, ostry trzask łamanych rąk i nóg i krzyki, te straszne krzyki...

Możliwe, że dręczyło mnie to tak bardzo, ponieważ zabiłem mężczyzn, z którymi kiedyś służyłem. Myślenie o tym było prawdziwą torturą.

Nikt z nas za bardzo nie spał tej nocy. Wiatr wył, deszcz zacinał, wdzierając się pod nasze prowizoryczne schronienie. Długo siedziałem, rozmyślając o Vingurze; o tym, co się z nim stanie, jeśli ludzie Olafa przyjdą po Thivara i jego rodzinę. Czy zarąbią go na śmierć, czy może zabiorą ze sobą? Może poderzną mu gardziel, odrąbią mięso od kości i zapakują w skórę, zanim ruszą dalej. Byli wyjęci spod prawa, tak jak przedtem ja i Bjørn. Ich król nie żył, a kraj znowu należał do jarłów Trøndelagu.

Bjørn obudził się w nocy, był chyba jedynym z nas, który choć trochę spał. Pewnie było to bardziej omdlenie niż sen i to mnie martwiło. Zrozumiałem, że został uderzony w głowę w momencie, kiedy wypychał mnie za burtę. Ale później był przecież na nogach i wydawał się zdrowieć. Teraz leżał skulony między mną i Halvorem, z Fenrem zwiniętym przy brzuchu, mamrotał, jęczał i zawodził, nagle przez jego stopy przeszedł dreszcz. Usiadł, gwałtownie chwytając powietrze.

– Śniła mi się moja córka – wyszeptał. – Stoi na łące. Nie wie, kim jestem. Ucieka.

– Nie myśl o tym – powiedziałem. – Spróbuj zasnąć.

Bjørn poruszył się i chwycił się za głowę.

– Boli mnie.

Objąłem go i znowu położyłem.

– Musisz zasnąć. Potrzebujesz odpoczynku.

Leżał przez chwilę bez słowa. Sigrid musiała się obudzić, bo naciągnęła kawałek swojego koca na jego stopy. Bjørn pomyślał, że ja to zrobiłem.

– Dziękuję – rzekł. – Dobry z ciebie człowiek, Torsteinie. I dobry brat. Nikt nie ma lepszego brata niż ja.

Nie odpowiedziałem. To były wielkie słowa jak na Bjørna. Nigdy przedtem czegoś takiego mi nie mówił.

– Kamień słoneczny, który ci dałem... Naucz się go używać, Torsteinie. A pamiętasz... pamiętasz, co ci opowiadałem, kiedy byliśmy w Jomsborgu? Jest taki

kraj na zachodzie, bracie. Są tam lasy i łąki gotowe do zaorania. Słyszałem, że rosną tam winogrona, jak w krajach na południu, w sąsiedztwie Miklagardu. Islandczycy już tam są. Będą potrzebowali ludzi potrafiących budować statki. Jeśli uda mi się przeżyć... Chcę, żebyśmy tam pożeglowali, Torsteinie. A jeśli umrę, masz tam popłynąć beze mnie.

– Nie umrzesz.

Bjørn się zaśmiał. Zabrzmiało to dziwnie, prawie jak kaszel.

– Może i jesteś już dorosłym mężczyzną, z własnym gospodarstwem, żoną i tak dalej. Myślisz, że panujesz nad wieloma rzeczami... Ale nad śmiercią nigdy nie zapanujesz, Torsteinie.

Znowu zapadł w niespokojny sen. Siedziałem, czuwając nad nim. To była straszna noc. Ciemności pełne były zjaw, przez chwilę słyszałem jakby wycie w podmuchach wiatru i byłem niemal pewny, że to nieboszczycy Hel przyszli z Nivlheimu, żeby zabrać mojego brata. Nie mogłem tego zrozumieć, bo urazu, który mu tak dokuczał, nabawił się przecież w walce. Dlaczego nie przybyły tu z podmuchami wiatru walkirie, żeby zabrać go ze sobą? Bjørn powinien siedzieć obok ojca w Valhalli, a sam Odyn i jego wojownicy powinni wznosić toast na jego cześć.

Kiedy dniało, musiałem wreszcie zapaść w sen, bo nagle obudziłem się, potrząsany za ramię przez Sigrid, usłyszałem rozziewający krzyk i zobaczyłem Bjørna stojącego w wodzie. Miał w ręce saks, przytknął go do czoła i sprawiał wrażenie, jakby chciał wbić go sobie w głowę. Eystein pobiegł do niego, ale Bjørn, zamachnąwszy się saksem, ryknął, że ma się trzymać z daleka.

Zerwałem się. Bjørn przyłożył czubek saksa do miejsca tuż nad prawym okiem. A kiedy go wcisnął, złapał go jakiś atak. Zrobił dwa kroki w tył, potknął się, upadając na byrding, chwycił za burzę, stał i gapił się na nas. Potem wydarzyło się coś dziwnego: przez całe jego ciało przeszedł dreszcz, w jednej chwili wyprostował się, a na ustach pojawił się uśmiech. Z nosa i z kącika prawego oka wypływała żółta ropa. Bjørn zrobił wydech, przechylił się do przodu i wysmarkał w palce.

– Na Odyna... – Pokazał nam rękę pełną gęstej krwi i na wpół zakrzepłej ropy. Potem wszedł na ląd i znowu wydmuchał nos. Z obydwu dziurek wypłynęły długie, gęste strużki krwi.

Zjedliśmy chleb i cebulę, które Sigrid zabrała w drogę. Kiedy wypływaliśmy, Bjørn siedział na rufie i wyglądało na to, że ból całkowicie ustąpił. Halvor twierdził, że już się z czymś takim spotkał. Jak człowiek otrzyma uderzenie w głowę, coś może się w czaszce zatkać. Są w niej wąskie jamy przebiegające od nosa, z krtani aż do czoła, a jeśli zrobi się tam skrzep, może to wywoływać mdłości, a człowiek szaleje z bólu. Bjørn pokiwał głową. Czuł się teraz lepiej i dziękował za to Odynowi.

– Podziękuj raczej morzu – powiedział Halvor i dodał, że to pewnie bryzgi morskiej wody wlewające się do byrdinga poprzedniego dnia coś rozpuściły w jego czaszce.

Eystein potwierdził ruchem głowy, że tak jest, Halvor dodał, że „morze jest przyjacielem każdego człowieka”, a Bjørn pogładził się po czole. Byrding uniósł się na fali, Valp i ja znowu chwyciliśmy za wiosła.

Po obraniu kursu na północ mieliśmy sprzyjający wiatr i szybko przepłynęliśmy odcinek między Zelandią a Fionią. Z dala widzieliśmy statki stojące na kotwicy wokół Rønes. Maszty przypominały las nagich pni, z jednym wyższym pniem w środku. To był Długi Wąż, który teraz targał linę kotwiczną, a inne statki kołysały się wokół niego. Sven, Olof i synowie jarla jeszcze nie opuścili miejsca bitwy. Ostatnie dni poświęcili na rozdzielanie statków Olafa między sobą, podobnie było z toporami, włóczniami, łukami, saksami, sztyletami, setkami sztuk broni. Ułożono ją w wielkie stosy na pokładach statków i policzono, a wszystkie strzały, bez wyjątku, zostały wyjęte z desek pokładowych i klepek poszycia statków.

Słyszeliśmy głosy rannych wojów, kiedy wpływaliśmy między statki. To był dźwięk, którego nigdy nie zapomnę. Nie było żadnych krzyków, nikt nie przyzywał Odyna i jego synów, prosząc o siłę. Tutaj między statkami słychać było tylko cichy jęk, narzekanie i skargi. Gdy tylko zbliżaliśmy się do kadłuba któregoś ze statków, słyszeliśmy słowa padające na pokładzie, szept mężczyzn udręczonych ranami i szepty siedzących przy nich przyjaciół i towarzyszy broni. Widzieliśmy stosy pogrzebowe na cyplu; większość już się dopaliła, ale przepływając obok, zobaczyliśmy, jak właśnie podpalono kolejny. Mężczyznę w zbroczonej krwi tunice położono na dwóch złamanych deskach pokładu i umieszczono na palącym się drewnie.

Znaleźliśmy statek Svena o rzut kamieniem od cypla. Halvor zawołał na załogę. Do



nadburcia osobiście podszedł Sven. Był do połowy rozebrany, jak za pierwszym razem, kiedy go zobaczyłem. Stał z obnażonym okrągłym brzuchem i rogiem do picia w rękę i bacznie się nam przyglądał, jakby nie do końca nas rozpoznając. Następnie pociągnął łyk z rogu i wskazał na mnie.

– Ty. Torstein. Ten szkutnik.

– Tak – odpowiedziałem. – To ja.

Sven odwrócił się i poszedł na środek pokładu. Kilku mężczyzn podeszło i owinęło końcem liny rufę i dziobnicę, tak że Halvor i ja mogliśmy wejść na pokład. Valp owinął się kocem, próbując naciągnąć go na głowę jak habit – bał się, że ludzie na pokładzie go rozpoznają.

Sven siedział na zydłu obok masztu. Przed zydłem położono kilka trzosów z monetami i kilka srebrnych naramienników, leżał tam też stos mieczy. Sven spojrzał zrezygnowany na ten skromny łup, potem wskazał na nadburcie, nadal ze wzrokiem utkwionym w zdobycz. Wtedy jeden ze stojących na pokładzie, chudy mężczyzna z długą, zmierzwioną brodą, podszedł do nas i szepnął, żebyśmy zostawili psa i weszli na pokład, bo słowa Svena mają usłyszeć wszyscy.

Sigrid i Valp woleliby pozostać w byrdingu, nie chcieli wchodzić na pokład. Valp znowu stał się tą przyczojoną postacią, którą pamiętałem z Orkadów, ale teraz to nie za plecami ojca szukał schronienia, tylko za moimi. Sigrid stanęła obok mnie, dumna i wyprostowana, co musiało zrobić wrażenie na królu Danów, bo spojrzał na nią i podniósł róg, jakby wznosił toast na jej cześć.

– Sprowadziłem Torsteina Tormodsona i jego brata – powiedział Halvor. – I przekazałem Torsteinowi twoje słowa, że ma otrzymać nagrodę za zabicie Olafa Tryggvasona.

– Dobrze. Widzę, że wziął ze sobą ludzi. – Sven wskazał na mnie rogiem. – Halvor mówi, że masz teraz gospodarstwo. Czy to ludzie z twojego gospodarstwa, Torsteinie?

– Tak – odpowiedziałem.

– Dostałeś ziemię od Svartura, prawda?

– Tak.

– Ale wiesz, że są ludzie, którzy nastają na twoje życie?

Skinąłem głową.

Sven podrapał się po wydatnym brzuchu.

– Nie powinieneś tak szybko opuszczać miejsca bitwy. Nie jest to dla ciebie bezpieczne. Może nigdy nie będzie. – Podniósł się z zydła i podszedł do burty. – Pozwoliłem ludziom płynąć wpław do lądu. Niektórym pozwoliłem odpłynąć statkami. Może nie było to rozsądne z mojej strony. Powinniśmy zabić wszystkich bez wyjątku ludzi lojalnych wobec Olafa. Ci, którym udało się zbiec, będą grasować i rabować. A niektórzy z nich będą szukali człowieka zwanego Torsteinem Szkutnikiem.

Chciałem powiedzieć, że powinien utrzymywać moje imię w tajemnicy, ale Sven zrozumiał chyba, o czym myślę.

– Wielu jest tych, którzy wiedzą, że zabiłeś Olafa – powiedział. – To nie ja rozpowszechniłem twoje imię. Wszyscy, którzy byli na pokładzie Długiego Węża razem z tobą, rozpowiadali o tym czynie. A i ludzie Olafa na statkach obok widzieli, co zrobiłeś. O ile wiem, służyłeś Olafowi, zanim wyruszyłeś na południe, więc bądź pewien, że niektórzy z ocalałych rozpoznali cię. – Stał przede mną i zatknął ręce za szeroki, nabijany srebrem pas. – Teraz, kiedy wiesz, że nie jesteś bezpieczny po tej stronie morza, chcę zapytać, czy chcesz służyć w mojej drużynie, Torsteinie?

Obróciłem się nieco do Bjørna, który stał, opierając się o burzę. Dotykał ręką czoła, widać było wyraźnie, że nadal odczuwa ból. Sigrid obejmowała jego plecy. Spojrzała na mnie i pokręciła głową. Znowu obróciłem się do Svena.

– Nie – odpowiedziałem.

Sven spojrzał na mnie, a potem wrócił pod maszt i usiadł na zydłu.

– Twój brat mówił, że jesteś odważny. Widzę, że miał rację. Niewielu śmiałoby odrzucić taką propozycję. Ale jesteś wolnym człowiekiem. – Trzymał róg z boku. Mówił cały czas ze wzrokiem wbitym we mnie. – Nie chcę narzucać swojej woli wolnemu człowiekowi. Obiecałem, że tego, kto zabije Olafa, czeka nagroda. – Teraz jeden z mężczyzn na pokładzie podszedł z beczką i napełnił róg. Sven pociągnął kilka łyków, otarł splecione wąsy i brodę i machnął wolną ręką. – Wybierz, co chcesz! Ziemię, niewolników, bydło! Możesz dostać srebro z moich skarbców. Możesz wziąć broń, statki, co tylko zechcesz.

Halvor szepnął mi do ucha, żebym poprosił o srebro, bo Sven jest niesłuchanie bogaty. Ale mój wzrok padł na cieśninę, na flotę zakotwiczoną wokół nas.

– Statek – powiedziałem.

– Chcesz dostać statek? – Sven pociągnął łyk z rogu.

Znowu obróciłem się do Sigrid. Skinęła głową.

– Tak. – Zrobiłem krok w kierunku króla. – Statek z miejscem dla konia na pokładzie. Wiosła i żagiel. Jeśli mam wybór, wybieram statek.

– Dostaniesz statek, Torsteinie Szkutniku. I jeszcze coś. – Sven odstawił róg na pokład i zaczął gmerać przy jednym palcu. Wreszcie zdjął z niego srebrny pierścień. –

Weź ten pierścień. – Podszedłem i go wziąłem. Było na nim wytłoczonych parę run i twarz z długimi wąsami.

Sven odchrząknął.

– Rozpoznaję kobietę, która jest tu z tobą, Torsteinie. Jest z Orkadów. To Sigvalde ją przywiózł.

Kiwnąłem głową.

– Była niewolnicą. Teraz jest twoja. Pewnie chcesz dostać statek, bo masz zamiar popłynąć na zachód, na jej rodzinną wyspę. Myślisz może, że tam będziecie bezpieczni.

– Może. – Zerknąłem ponownie na Sigrid. Chyba nie podobało się jej, że Sven mówi o niej. Zatrzepotała powiekami, spojrzała na mnie i na Svena, a potem na byrding, jakby chciała tam wskoczyć i czym prędzej odpłynąć.

– Gdybym był na twoim miejscu, Torsteinie, popłynąłbym dalej. Powiadają, że jest ląd na zachód od Grenlandii, który nazywają Winlandią. Masz na tym pierścieniu mój znak. Weź go ze sobą na ten ląd na zachodzie i zajmij go w moim imieniu. Zrób to, a uczynię cię tam jarlem pod moim zwierzchnictwem.

Pamiętam, że nie byłem w stanie nic powiedzieć, wszystko wydawało mi się niepojęte. Ale Halvor chwycił mnie za ramię, mówiąc, że nikt nie mógłby dostać lepszej nagrody, a on chce ze mną popłynąć, o ile Sven mu pozwoli.

– Sam możesz wybrać sobie załogę – rzekł Sven. – Wybierz wystarczająco wielu mężczyzn do obsadzenia wiosł i do obrony statku. I wybierz statek z wysoką burtą i przestrzenią pod pokładem. Słyszałem, że na morzu koło Grenlandii jest zimno.

Ponownie wziął do ręki róg. Pił łapczywie, a my patrzyliśmy i nikt nie miał odwagi stamtąd odejść. Ale teraz król Danów jakby o nas zapomniał, bo zaczął się gapić na statek zakotwiczony nieco dalej od cypla. Spuszczono z niego na małą łódkę wiosłową

jakieś ciało, dwóch mężczyzn przejęło je i zasiadło do wiosła. Popłynęli do cypla i stojących na nim stosów pogrzebowych.

– Oby brama Valhalli stała dzisiaj otworem – dobiegł nas cichy głos króla. – Oby tamtejsi wojownicy zrobili miejsce nowym braciom.

Potem znowu przytknął róg do ust.

Resztę dnia spędziliśmy, pływając między statkami. Na pokład niektórych weszliśmy. Dotykałem lin utrzymujących maszty w pozycji pionowej i liczyłem wiosła, a tam, gdzie było wystarczająco dużo przestrzeni pod pokładem, schodziłem na dół i świeciłem ogniem na klepki. Wiele statków uszkodziły zderzenia w czasie bitwy. Na innych brakowało wiosła albo sztag był przecięty i maszt upadł. W końcu znaleźliśmy statek, który przetrwał bitwę bez większych uszkodzeń. Była to duża knara, jeden z największych statków oprócz Długiego Węża. Znajdował się w zewnętrznym kręgu i dlatego nie został uszkodzony w bitwie. Statek zaopatrzeniowy z czternastoma wiosłami z każdej strony i przestrzenią do transportu zwierząt pośrodku. Pod pokładem było na tyle wysoko, że mogłem tam stanąć prawie wyprostowany. Maszt i reja zostały położone, Halvor i Eystein pomogli mi rozłożyć żagiel. Był przerwany pośrodku, ale dziura została zaszyta i wzmocniona skórą, a cały żagiel niedawno posmarowano woskiem i smołą.

Na statku nie było zbyt wielu ludzi, zaledwie garstka pogrążonych w pijaństwie Danów. Kiedy stało się jasne, że to sam zabójca Olafa wszedł na pokład i że pozwolono mu wybrać statek, zleźli do kilku byrdingów i odpłynęli.

Sven dopilnował, żeby na pokład dostarczono beczki z wodą pitną. Dostaliśmy pęczki rzepy i cebuli, worki zboża, suszoną rybę i suszone mięso. Na pokład zapakowano baranice, koce, skórzane wierzchnie okrycia i dwie beczki smoły, na wypadek gdyby poszycie albo żagiel potrzebowały naprawy. Bjørn, Sigrid i ja staliśmy na rufie, przyglądając się temu wszystkiemu. Sven wyposażył statek na długą podróż i pewnie miał nadzieję, że znajdziemy dla niego ląd na zachodzie. Nie wiedziałem do końca, co o tym myśleć. Może powinniśmy po prostu pożeglować na Orkady i tam zostać. Trzymalibyśmy się z dala od portu, zbudowalibyśmy gospodarstwo w jakiejś zatoczce na jednej z wysp. A może powinniśmy pożeglować na Islandię albo nawet na

Grenlandię. Jeśli chodzi o te lądy, mieliśmy przynajmniej pewność, że istnieją. Ląd daleko na zachodzie może był tylko mitem.

Kiedy jednak spojrziałem na morze i poczułem, jak fale unoszą statek... Coś zaczęło mnie kusić. Cokolwiek by nas tam czekało, czułem, że mnie wzywa.

Po zapadnięciu zmroku rozpaliliśmy ogień w metalowej misie i usiedliśmy, grzejąc się w jego ciepłe. Zjedliśmy ugotowaną kaszę. Teraz na pokładzie pojawiło się więcej osób. Byli to jomswikingowie. Halvor wypłynął wcześniej tego dnia w poszukiwaniu ludzi do załogi. Powiedziałem mu, że trudno mi będzie zaufać komuś, kto nie służył razem z nami pod Vagnem. Halvor musiał im powiedzieć o życzeniu Svena, żebyśmy popłynęli do Winlandii, bo tego wieczoru wiele o tym rozprawiano na pokładzie. Niektórzy chcieli jeszcze zejść na ląd i zabrać swoje kobiety, jeden z nich miał córkę z niewolnicą w gospodarstwie nieopodal i chciał zabrać obydwie; miał srebro w trzosie przy pasie i planował ją wykupić, ewentualnie porwać, jeśli gospodarz odmówi. Dziwne to było uczucie, kiedy mężczyźni przychodzili do mnie, pytając, czy mogą zabrać kobiety, jakbym był ich wodzem. Może byłem nim w pewien sposób.

– Jesteś teraz właścicielem statku – powiedział Bjørn do mnie tego wieczoru. – Wszyscy na pokładzie muszą być posłuszni twoim rozkazom.

O świcie pożeglowaliśmy na południe. Mieliśmy dobry wiatr ze wschodu, prąd też był sprzyjający. Po drodze rzuciliśmy kotwicę w dwóch zatoczkach, gdzie dwóch mężczyzn popłynęło na ląd. Oprócz kobiet i dzieci jeden z nich chciał też zabrać złote monety zakopane przed bitwą gdzieś w leśnym zagajniku.

Potem popłynęliśmy dalej, statek był szybki i dobrze spisywał się na morzu; wkrótce znaleźliśmy się koło gospodarstwa Hoddego.

Długo rozmawiałem z Thivarem tego popołudnia. Chciałem, żeby dołączył z rodziną do naszego statku. Ale Thivar powtórzył, że nie po to walczył i przeżył śmierć ojca i braci, żeby opuścić gospodarstwo i ziemię.

Thivar i ludzie z gospodarstwa pomogli mi załadować Vingura na statek. Razem z Halvorem, Eysteinem, Bjørnem i kilkoma innymi wpłynęliśmy statkiem głębiej w stronę lądu, korzystając z przypływu, a kiedy morze się wycofało, podprowadziłem Vingura do statku i ustawiłem przy burcie. Po obłożeniu go skórą pod brzuchem

i piersią, owinąłem go liną, którą umocowałem na jednym końcu rei. Do jej drugiego końca też przywiązaliśmy linę i w sześciu dźwignęliśmy Vingura na pokład.

Staliśmy na kotwicy przez trzy dni i dwie noce, czekając na mężczyzn, którzy zeszli na ląd. Kiedy wreszcie wrócili, obydwu towarzyszyły dwie kobiety i pięcioro dzieci: dwóch synów i trzy córki. Oprócz tego zabrali kudłatego, długonogiego psa, dzban z dobrym miodem pitnym i kruka w wiklinowej klatce. Zapakowaliśmy na pokład mężczyzn, kobiety, dzieciaki, zwierzęta i miód, a Fenre z nieomylnym węchem natychmiast stwierdził, że nowo przybyły pies to suczka, ale ta gniewnie go przepędziła.

Nie dotykałem wiosła sterowego, dopóki znowu nie znaleźliśmy się w cieśninie między Fionią i Zelandią. Jomsborgczycy na zmianę stali na rufie, a ja jeszcze do końca nie pojmowałem, że ta potężna knara należy do mnie. Jednak gdy zbliżyliśmy się do cypla Rønes i zobaczyliśmy w oddali okręty, Halvor podszedł do mnie, mówiąc, że wypada, żebym to ja sterował na tym ostatnim odcinku.

Stałem więc na rufie i położyłem ręce na wyslizganym drążku. Szybko wyczułem ruch morza i rytm statku, poczułem drżenie kadłuba pode mną i wiatr w żaglu i ogarnęło mnie przedziwne uczucie: chciałem krzyknąć z radości, bo oto miałem własny statek, moi bliscy byli ze mną na pokładzie, mieliśmy pożywienie, wodę i wszystko, czego potrzebowaliśmy i nie musieliśmy się już nigdy obawiać Olafa i jego ludzi. Ale milczałem, a Bjørn, siedzący dotąd przy maszcie, podniósł się i stanął razem ze mną na rufie.

Kiedy dotarliśmy do Rønes, większość floty już odpłynęła. Sven nadal tam był, podobnie jak wiele jego statków, ale Norwegowie i król Olof odpłynęli poprzedniego dnia. Rzuciliśmy kotwicę w miejscu osłoniętym przez cypel i rozpaliliśmy ogień. Zaczął wiać jesienny, chłodny wiatr.

Sigrid siedziała ze mną przez cały wieczór. Okryłem nas kocem, objąłem ją ramieniem i przez dłuższy czas myślałem, że śpi. Lecz gdy ludzie na pokładzie poszli na spoczynek, a ogień w misie zamienił się w żarzące węgle, zapytała mnie, dokąd mam zamiar pożegłować. Odpowiedziałem, zgodnie z prawdą, że nie jestem pewien. Może na Islandię. Może jeszcze dalej na zachód, jeśli pogoda się utrzyma. Wtedy Sigrid zapytała, czy rzeczywiście chcę płynąć na nieznane morze w poszukiwaniu lądu

zwanego Winlandią. Kiedy nie odpowiedziałem, Sigrid poprosiła, abym obiecał, że niezależnie, dokąd się udamy, najpierw popłyniemy na Orkady. Chciała zobaczyć się z matką. Musiała jej powiedzieć, że oczekuje dziecka.

Zasnęliśmy, siedząc tak, i przyśnił mi się dziwny sen. Zobaczyłem siebie leżącego na pryczy zbitej z brzozowych drągów. Chyba spałem, bo oczy miałem zamknięte i nie ruszałem się. Wokół posłania stali półnaczy mężczyźni z torsami i ramionami pomalowanymi w koła i linie. Dziwnie wyglądali, byli niewysocy i mieli twarze bez zarostu. Jeden z nich wyciągnął nade mną rękę, na której siedział kruk. Ptak trzepotał skrzydłami, ale nie odlatywał.

Obudziłem się, gwałtownie łapiąc powietrze. Podniosłem się ostrożnie i popatrzyłem na morze. Niebo było rozgwieżdżone, woda w cieśninie falowała.

Wtedy usłyszałem jakiś stukot. Dźwięk dochodził z wiklinowej klatki, w której siedział kruk. Ptak był niespokojny i trzepotał skrzydłami.

Dręczyła mnie obecność kruka na pokładzie. Powinien latać nad lasami i górami, a nie siedzieć zamknięty w klatce. Ale czyż Halvor nie powiedział, że załoga ma mnie słuchać?

Podszedłem do klatki. Miała z boku otwór, zawiązany jedynie kilka razy sznurkiem, więc z łatwością ją otworzyłem. Jednak kruk nie chciał wyjść. Kiedy wetknąłem rękę do klatki, żeby go wyjąć, podziobał mi palce. Dałem mu więc spokój.

Nie mogłem już potem zasnąć. Stałem obok Vingura, który stał smętnie przy maszcie ze zwieszonym łbem. Pomyślałem, że nieważne, dokąd w końcu się udamy, ale muszą tam być dobre pastwiska. I nie możemy spędzić więcej czasu na morzu, niż to jest konieczne. Vingur potrzebuje ziemi pod kopytami.

O świcie przeniosłem się na rufę do wiosła sterowego, Bjørn podniósł się mozolnie, podszedł do mnie i popatrzył zmrużonymi oczami na morze. Wymamrotał, że trzeba już ruszać, nie ma na co czekać. Mamy wystarczająco dużo żywności i wody, wystarczy na wiele dni żeglugi, mamy mężczyzn przy wiosłach, a kierunek wiatru nie mógłby być lepszy. Potem podszedł do rei i zaczął wypakowywać żagiel. To obudziło większość mężczyzn obecnych na pokładzie. Zrzucali z siebie skóry, sikali do wody, charkali i soplowali przez burtę. Vingur niespokojnie stąpał, Fenre zrobił kupę na dziobie statku,

a Sigrid podeszła i stanęła ze mną.

Również Danowie przygotowywali się do wypłynięcia. Podnoszono reje z żaglami, wysuwano wiosła. Wkrótce nie było ani jednego statku, który nie podniósłby kotwicy. Obok nas przepłynął statek Svena. Stojący przy burcie Sven zawołał:

– Znajdź dla mnie ląd, Torsteinie Szkutniku! – Podniósł rękę nad głową i pozdrowił mnie otwartą dłonią.

Odpowiedziałem tym samym. Wszyscy mu odpowiedzieliśmy. Statki Svena popłynęły na północ, a Halvor, Bjørn, Eystein, Valp i pozostali na pokładzie zwrócili na mnie wzrok. Ja zaś położyłem ręce na drążku steru i zawołałem na cały pokład:

– Podnieść kotwicę! Reja do góry! Odpływamy!

Nigdy nie zapomnę tego uczucia, kiedy wiatr chwycił żagiel, a drążek steru zaczął drzeć. Mężczyźni napięli szoty, dziobnica prześliznęła się nad łagodną falą i statek nabrał prędkości. Popłynęliśmy na północ. Wkrótce mieliśmy się znaleźć na otwartym morzu.



# Przypisy końcowe

1. Langskip – jeden z typów łodzi wikińskich. Nazwa oznacza „długi okręt” (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczek). [\[wróć\]](#)
2. Ranrike – ziemie nad Oslofiordem, obecnie północna część krainy Bohuslän. [\[wróć\]](#)
3. Karv – niewielki zwinny langskip używany w żegludze przybrzeżnej do przewozu ludzi i towarów. [\[wróć\]](#)
4. Grenland – część dzisiejszego Telemarku. [\[wróć\]](#)
5. Miklagard – Bizancjum, później Konstantynopol. [\[wróć\]](#)
6. Hovding – ze staronordyckiego: hofðingi – wódz; namiestnik króla. [\[wróć\]](#)
7. Hersir – lokalny wódz, przywódca (często bez sprecyzowanego zakresu władzy). [\[wróć\]](#)
8. Dzierganie igłą (norw. nålebinding) – stara sporządzania (rodzaj plecionki) za pomocą kawałków i igły; nålebinding jest techniką starszą od dziergania na drutach lub szydełku. [\[wróć\]](#)
9. Halla – reprezentacyjny budynek typu langhus, przeważnie część posiadłości wikińskiego króla lub możnowładcy. W odróżnieniu od zwykłego langhusa halle były znacznie wyższe; największe z nich osiągały długość 50–60 metrów (choć większość znalezisk to pozostałości krótszych budowli). Nierzadko budowano je na wzniesieniu, w pewnej odległości od pozostałych budynków. [\[wróć\]](#)
10. Leidang – charakterystyczna dla Skandynawii forma pospolitego ruszenia; obowiązek spoczywający na wszystkich wolnych chłopach, polegający na wyposażeniu i obsadzeniu załogą statku na wypadek wojny lub zarządzanej przez władcę wyprawy. [\[wróć\]](#)
11. Einherjer – wojownik, który poległ w chwale na polu bitwy i został po śmierci sprowadzony przez walkirie do Valhalli. [\[wróć\]](#)
12. Pies. [\[wróć\]](#)
13. Szczeniak. [\[wróć\]](#)
14. Blámaðr – niebieski człowiek. Określenie człowieka ciemnoskórego, stosowane w średniowiecznej Skandynawii. [\[wróć\]](#)
15. Jom – pojawiająca się w skandynawskich sagach nazwa krainy, od której wywodzi się nazwa grodu, Jomsborg. [\[wróć\]](#)
16. Gardarike – nazwa Rusi w źródłach staroskandynawskich. [\[wróć\]](#)
17. Drakkar – największy typ langskipów; należały do wodzów i w czasie bitew pełniły funkcję okrętu flagowego; ich cechą charakterystyczną były mocowane do dziobnicy rzeźby przedstawiające głowy smoków. [\[wróć\]](#)
18. Hærpil – strzała z naciętymi znakami, służąca do wzywania wojowników na wyprawę wojenną; odpowiednik polskich wici. [\[wróć\]](#)
19. Grid (staroskandynawskie grið) – forma amnestii, darowania kary komuś, kto złamał prawo lub

sprzeniewierzył się władcy; ułaskawienie. [\[wróć\]](#)

20. Mogło to sugerować, że Vagn cieszy się na szczególną opiekę Odyna, z którym między innymi wiązano sztukę posługiwania się runami. [\[wróć\]](#)
21. Isefiord – fiord w północno-zachodniej części Zelandii. [\[wróć\]](#)
22. Skeid – typ langskipa. [\[wróć\]](#)
23. Angelika – dzięgiel litwor, arcydzięgiel litwor (*Angelica archangelica* L., *Archangelica officinalis*) – gatunek rośliny z rodziny selerowatych. Roślina jadalna, również o zastosowaniu leczniczym, ma wiele nazw zwyczajowych i ludowych, w tym angelika. Może osiągać do trzech metrów wysokości. [\[wróć\]](#)
24. Trel (norw.)/ træl (duń.)/ þræll (staroskand.) – niewolnik. [\[wróć\]](#)
25. Vidar – syn Odyna, bóg zemsty. [\[wróć\]](#)
26. Busse – langskip o dużej ładowności. [\[wróć\]](#)
27. Seid (staronordyckie seiðr) – forma praktyk szamańskich uprawianych w przedchrześcijańskiej Skandynawii. [\[wróć\]](#)
28. Ull – w mitologii nordyckiej pasierb Thora, patron myśliwych i narciarzy. [\[wróć\]](#)
29. Ulfhedner – berserk mający zdolność przybierania postaci wilka. [\[wróć\]](#)